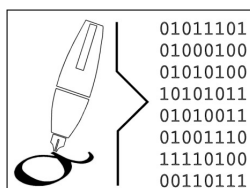


ROBERT JORDAN

OKO ŚWIATA

pierwszy tom z cyklu „Koło Czasu” cz.1

Przełożyła : Katarzyna Karłowska



Tytuł oryginału:

The Eye of the World

Data wydania polskiego: 1994

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1993

*Dla Harriet
Serca mego serca
Światła mego życia
Na zawsze*

PROLOG GÓRA SMOKA

Pałac drżał jeszcze co jakiś czas na wspomnienie dudniącej ziemi i jęczał, jakby przecząc temu, co już się stało. Tumany kurzu, wciąż unoszące się w powietrzu, połykiwały w smugach słońca przesączających się przez szczeliny w murach. Ślady ognia szpeciły ściany, podłogi i sufity, a rozległe czarne plamy naznaczyły nabrzmiałe pęcherzami farby złocień, jasnych niegdyś fresków. Sadza pokrywała rozpadające się fryzy ludzi i zwierząt, które zdawały się ożywać, zanim szaleństwo ucichło. Wszędzie leżeli martwi — mężczyźni, kobiety i dzieci — podczas daremnej ucieczki powaleni piorunami, które rozbłyskiwały we wszystkich korytarzach, pochwyceni przez osaczający ich ogień, zatopieni przez kamienie, kamienie pałacu, które płynęły jak żywe i ścigały ich dopóty, dopóki znowu nie nastąpiła cisza.

Dziwaczny kontrast stanowiły kolorowe gobeliny i obrazy — same dzieła mistrzów — wiszące jak przedtem, trochę tylko przekrzywione w miejscach, gdzie wybrzuszyły się ściany. Finezyjnie rzeźbione meble, inkrustowane kością słoniową i złotem, były nie naruszone, tylko leżały poprzewracane tam, gdzie wstrząsy pofałdowały podłogi. Pomieszczenie umysłu trafiło w sam rdzeń, pomijając wszystko, co nieistotne.

Lews Therin Telamon wędrował po pałacu, zwinnie utrzymując równowagę na rozkołysanej ziemi.

— Ilyeno! Gdzie jesteś, moja ukochana?

Skraj jego jasnoszarego płaszcza znaczył szlak we krwi, kiedy przestępował przez ciało kobiety. W pięknie jej złotych włosów zastygło przerażenie ostatnich chwil, wciąż otwarte oczy skrzepły niedowierzaniem.

— Gdzie jesteś, moja żono? Gdzie podzieli się wszyscy?

Jego wzrok pochwycił własne odbicie w przekrzywionym zwierciadle, wiszącym na spęczniałym marmurze, spoczął na królewskich szatach niegdyś szaro-purpurowo-złoty: teraz ich cienka materia, przywieziona przez kupców zza Morza Świata, była podarta i brudna, powalana tym samym pyłem, który pokrywał jego skórę i włosy. Przez chwilę przesunął palcami po symbolu naszytym na płaszczu: koło w połowie białe, a w połowie czarne, przedzielone krętą linią. Ten symbol kiedyś coś oznaczał. Teraz, wy-

haftowany wzór nie budził żadnych skojarzeń. Potem ze zdumieniem przyjrzał się swemu odbiciu. Wysoki mężczyzna wkraczający właśnie w wiek średni. Kiedyś bez wątpienia bardzo przystojny. Obecnie kolor włosów z brązu przechodził już w biel, twarz porały bruzdy napięć i zmartwień, ciemnym oczom dane było widzieć zbyt wiele. Lews Therin zaśmiał się cicho, potem odchylił głowę do tyłu. Echo jego śmiechu rozbiegło się po pozbawionych życia komnatach.

— Ilyeno, moja kochana! Chodź do mnie, moja żono. Musisz to zobaczyć.

Z tyłu, poza nim, powietrze zafalowało, załśniło i skrzepło w postać mężczyzny, który rozejrzał się i skrzywił lekko, z niesmakiem. Niższy niż Lews Therin, cały ubrany w czerń, z wyjątkiem śnieżnobiałej koronki przy szyi i srebrnych okuć na zwiniętych cholewach długich do ud butów. Stąpał ostrożnie, przytrzymując kapryśnie swój płaszcz, aby uniknąć ocierania się o zmarłych. Podłoga drżała od rezonansów trzęsienia, ale on zwracał uwagę tylko na mężczyznę wpatrującego się ze śmiechem w lustro.

— Panie Poranka — powiedział. — Przybywam po ciebie.

Śmiech urwał się nagle i Lews Therin odwrócił się powoli. Na jego twarzy nie było widać zaskoczenia.

— Proszę, oto gość. Czy posiadasz głos, przybyszu? Wkrótce nadejdzie pora śpiewu, zapraszamy wszystkich do wzięcia udziału. Moja kochana Ilyeno, mamy gościa. Ilyeno, gdzie jesteś?

Oczy czarno ubranego mężczyzny rozszerzyły się, omiótł spojrzeniem ciało złotowłosej kobiety, potem znowu wbił wzrok w Lewsa Therina.

— Niech cię porwie Shai'tan, czyżby skażenie zawładnęło tobą aż tak dalece?

— Tamto imię. Shai... — Lews Therin zadrżał i unióśł rękę, jakby się przed czymś bronił. — Nie wolno ci wymawiać tego imienia. Jest niebezpieczne.

— A więc przynajmniej tyle pamiętasz. Niebezpieczne dla ciebie, głupcze, nie dla mnie. Co jeszcze pamiętasz? Przypomnij sobie ty, Światłością oślepiiony idioto! Nie pozwolę, aby wszystko się dokonało dla ciebie, spowitego w nieświadomość jak dziecko. Przypomnij sobie!

Przez chwilę Lews Therin wpatrywał się w swą podniesioną rękę, zafascynowany wzorami, jakie utworzył na niej brud. Potem wytarł dłoń w jeszcze brudniejszy płaszcz i znowu zainteresował się mężczyzną.

— Kim jesteś? Czego chcesz?

Człowiek ubrany w czerń wyprostował się wyniośle.

— Kiedyś zwano mnie Elan Morin Tedronai, teraz jednak...

— Zdrajca Nadziei — wyszeptał Lews Therin. Pamięć zawirowała, ale on odwrócił głowę, nie chcąc stawić jej czoła.

— A więc jednak coś pamiętasz. Tak, Zdrajca Nadziei. Nazwali mnie tak ludzie, podobnie jak ciebie nazwali Smokiem, ale w odróżnieniu od ciebie, ja przyjąłem swe imię.

Nadali mi je po to, aby mi urągać, ale zmuszę ich, by na dźwięk mego imienia klękali i wielbili je. A co ty zrobisz ze swym imieniem? Od dziś będą cię zwali Zabójcą Rodu. I cóż z tym poczniesz?

Lews Therin potoczył niezadowolonym spojrzeniem po zrujnowanej sali.

— Ilyena powinna tu być, żeby zaofiarować ci gościnne przywitanie — mruknął w roztargnieniu, po czym podniósł głos. — Ilyeno, gdzie jesteś?

Podłoga zadrżała, ciało złotowłosej kobiety drgnęło, jakby odpowiadając na wołanie. Ale jego oczy nie widziały jej.

Elan Morin skrzywił się.

— Spójrz na siebie — powiedział pogardliwie — Kiedyś byłeś pierwszym wśród Sług. Kiedyś nosiłeś Pierścień Tamyrlinu i zasiadałeś na Wysokim Tronie. Wezwałeś kiedyś Dziewięć Róźdzek Dominium. Spójrz na siebie teraz! Żałosny, roztrzaskany wrak. Ale to nie wszystko. Upokorzyłeś mnie w Komnacie Sług. Pokonałeś mnie u Bram Pararan Disen. Teraz wszakże ja jestem potężniejszy. Nie dam ci umrzeć, zanim tego nie pojmiesz. Kiedy będziesz konał, swą ostatnią myślą uchwycisz pełnię własnej porażki, jej doskonałość i nieodwracalność. O ile w ogóle pozwolę ci umrzeć.

— Nie potrafię sobie wyobrazić, co też zatrzymuje Ilyenę. Już ona będzie na mnie ostrzyła swój język, kiedy pomyśli, że ukrywam przed nią gościa. Ufam, że lubisz sztukę konwersacji, bo ona z pewnością ją lubi. Ale ostrzegam, Ilyena zada ci tyle pytań, że w końcu wyznasz jej wszystko co wiesz.

Elan Morin odchylił poły swego płaszcza i ugiął ręce.

— Żal mi cię — zadumał się — że też nie ma tu żadnej z twych Sióstr. Nigdy nie byłem wprawny w Uzdrawianiu, a teraz praktykuję inną moc. Jednakże nawet któraś z nich dałaby ci jedynie parę chwil przytomności, a i to tylko wtedy, gdybyś jej pierwej nie unicestwił. To, co potrafię zdziałać, będzie służyło moim celom.

Jego nagły uśmiech był okrutny.

— Ale obawiam się, że uzdrawianie metodami Shai'tana różni się od tego które znasz. Lewsie Therinie, bądź uzdrowiony.

Wyciągnął ręce i światło przygasło, jakby cień padł na słońce.

We wnętrzościach Lewsa Therina zapłonął ból i wydarł mu z ust krzyk, krzyk który dochodził z samego dna jego jestestwa, krzyk którego nie potrafił powstrzymać. Ogień przepalał go do szpiku kości, żyłami popłynął kwas. Zachwiał się do tyłu, padł na marmurową posadzkę. Jego głowa uderzyła o kamień i odbiła się od niego. Serce załomotało, próbując wyrwać się z piersi, a z każdym uderzeniem pulsu ciało przenikał nowy płomień. Daremnie wił się i miotał w konwulsjach, jego mózg stał się polem najczystszych męczarni rozsadzających czaszkę. Ochryple okrzyki rozbrzmiewały echem po całym pałacu.

Powoli, nadzwyczaj powoli, ból zaczął ustępować. Jego odpływ zdawał się trwać całe tysiąclecie, a gdy wreszcie odszedł, Lews Therin szarpał się słabo, zasysając powietrze przez zachryplę gardło. Minęło chyba kolejne tysiąc lat, zanim zdołał się podźwignąć. Z mięśniami jak galareta, trzęsąc się, stanął na czworakach. Jego spojrzenie spoczęło na ciele złotowłosej kobiety i ten krzyk, który wydarł mu się z gardła, zagłuszył wszystkie poprzednie wrzaski. Chwiejnie, prawie pełznąć, gramolił się ku niej niezgrabnie. Wzięcie jej w ramiona kosztowało go resztkę sił. Ręce mu drżały, kiedy odgarniał włosy z pozabawionej życia twarzy.

— Ilyeno! Światłości, dopomóż mi, Ilyeno! — Otoczył ją troskliwie swoim ciałem, łkanie wyrwało się z głębi gardła, łaknie człowieka, który nie ma już dla kogo żyć. — Ilyeno, nie! Nie!

— Możesz ją odzyskać, Zabójco Rodu. Wielki Władca Ciemności ożywi ją, jeżeli będziesz mu służył. Jeżeli będziesz mi służył.

Lews Therin podniósł głowę, a człowiek w czerni cofnął się mimowolnie przed jego spojrzeniem.

— Dziesięć lat, Zdrajco — powiedział cichym tonem, miękkim jak dźwięk wyciąganego z pochwy miecza — Dziesięć lat twój odrażający władca niszczy świat. A teraz jeszcze to. Ja...

— Dziesięć lat! Ty żalosny głupcze! Ta wojna nie trwa dziesięć lat, lecz ciągnie się od zarania czasu. Ty i ja toczyliśmy tysiące bitew wraz z każdym obrotem Koła, tysiące razy po tysiąc, i będziemy walczyć, dopóki nie umrze czas i nie zatriumfuje Cień!

Zakończył, podnosząc pięść i krzycząc. Tym razem to Lews Therin cofnął się, wstrzymując oddech, gdy zobaczył blask w oczach Zdrajcy.

Lews Therin ostrożnie ułożył Ilyenę, delikatnie gładził palcami jej włosy. Gdy wstawał, łzy przepełniały mu oczy, ale jego głos był niczym lodowate żelazo.

— Za to wszystko, co uczyniłeś, nie może być przebaczenia, Zdrajco, ale za śmierć Ilyeny zniszczę cię tak, że nie naprawi tego nawet twój władca. Gotuj się na...

— Ty głupcze, przypomnij sobie! Przypomnij sobie swój daremny atak na Wielkiego Władcę Ciemności! Przypomnij sobie jego przeciwuderzenie! Przypomnij sobie! W tej chwili Stu Towarzyszy rozdziera świat na strzępy i codziennie przystępuje do nich kolejnych stu ludzi. Czyja to dłoń zabiła Ilyenę Złotowłosą, Zabójco Rodu? Nie moja. Nie moja. Czyja to dłoń zdławiła wszelki żywot, w którym płynęła choćby kropla twej krwi, wszystkich którzy cię kochali, wszystkich których ty kochałeś? Nie moja, Zabójco Rodu. Przypomnij sobie i poznaj cenę oporu wobec Shai'tana!

Nagle strumienie potu wyłobiły ślady w kurzu i brudzie pokrywającym twarz Lewsa Therina. Przypomniał sobie, wspomnieniem zamglonym niczym sen o śnie, lecz wiedział, że to wszystko prawda.

Jego wycie odbiło się od murów — skowyt człowieka, który odkrył, że sam potępił swą duszę. Chwyił się za głowę, jakby chciał oderwać oczy od widoku tego, co uczynił. Gdzie nie spojrzął, wszędzie jego wzrok napotykał zmarłych, porozrywanych, połamanych, do połowy pochłoniętych przez kamienie. Wszędzie widział pozbawione życia twarze, które znał, twarze które kochał. Starzy służący, przyjaciele z dzieciństwa i werni towarzysze długich lat walki. I jego dzieci. Jego synowie i córki porozrzucani jak połamane lalki — na zawsze ucichła zabawa. Wszyscy pomordowani z jego ręki. Twarze dzieci oskarżały go, ślepe oczy pytały daremnie, a łzy nie były żadną odpowiedzią. Śmiech Zdrajcy chłostał go, zagłuszał jęki. Nie mógł znieść tych twarzy, tego bólu. Nie mógł tu zostać ani chwili dłużej: Desperacko sięgnął do Prawdziwego Źródła, do splugawionego *saidina* i rozpoczął Podróż.

Otoczająca go kraina była jednostajna i pusta. Nieopodal płynęła rzeka, prosta i szeroka, ale czuł, że w promieniu stu mil nie ma żadnych ludzi. Był samotny, tak samotny jak człowiek, który jeszcze żyje, ale nie może uciec przed wspomnieniami. Tamte oczy ścigały go po bezkresnych jaskiniach myśli. Nie mógł się przed nimi schować. Przed oczyma swych dzieci. Przed oczyma Ilyeny. Kiedy zwrócił twarz ku niebu, na policzkach błyszczały mu łzy.

— Przebacz mi, Światłości!

Nie wierzył, że przebaczenie może mu być dane. Nie za to, co uczynił. Ale i tak krzyczał w stronę nieba, błagał, nie spodziewając się, że otrzyma to, o co błaga.

— Światłości, przebacz mi!

Nadal dotykał *saidina*, męskiej połowy mocy, która kierowała światem, która obracała Koło Czasu. Czuł oleistą plamę, zanieczyszczającą jego powierzchnię, plamę kontrataku Cienia, plamę, która oznaczała zgubę świata. Wierzył bowiem niegdyś w swej dumie, że ludzie potrafią dorównać Stwórcy, że potrafią naprawić to, co Stwórca wykonał, a oni zniszczyli. Tak nakazywała mu wierzyć duma.

Czerpał coraz głębiej z Prawdziwego Źródła, coraz to głębiej, jak człowiek umierający z pragnienia. Szybko nabrał więcej Jedynej Mocy, szybciej niżli był w stanie przemieścić, nie będąc wspomagany. Czuł jak pali go skóra. Napięty, wyteżał się, by zaczerpnąć jeszcze więcej, próbował wyczerpać wszystko.

— Światłości, przebacz mi! Ilyeno!

Powietrze stało się ogniem, ogień ciekłym światłem. Piorun, który uderzył z niebios, osmalilby i oślepił każde oko, próbujące na niego spojrzeć. Nadszedł z nieba i przepaliwszy na wskroś Lewsa Therina dowiercił się do wnętrza ziemi. Od jego dotknięcia parowały kamienie. Rażona ziemia trzęsła się i drżała jak żywe stworzenia w agonii. Błyszcząca pręga łączyła ją z niebem tylko przez czas jednego uderzenia serca, lecz kiedy już zniknęła, ziemia wciąż jeszcze falowała niczym wzburzone morze.

Fontanna stopionych skał tryskała w powietrze na wysokość pięciuset stóp, wzbijając się ryczącą masą, wyrzucając rozpylone płomienie coraz bardziej w górę, coraz to wyżej. Z północy i z południa, ze wschodu i zachodu nadciągało wycie wiatru, który łamał drzewa jak gałązki, wrzeszczał przeraźliwie i dał, jakby podsadzając rosnącą górę wciąż bliżej ku niebu. Jeszcze bliżej nieba.

Wiatr ucichł wreszcie, ziemia uspokoiła się, wydając tylko drżące pomruki. Po Lewsie Therinie Telamonie nie pozostał żaden ślad. Tam, gdzie stał, była teraz góra wznosząca się na wiele mil ku niebu, płynna lava wciąż tryskała z jej ściętego wierzchołka. Szeroka i prosta dotąd rzeka wygięła się w łuk wokół góry i rozwidlając się utworzyła pośrodku nurtu długą wyspę. Cień góry sięgał prawie do samej wyspy, rozpościarał się czernią po całej krainie, jak złowieszczą dłoń proroctwa. Przez jakiś czas słychać było tylko monotonne, protestujące dudnienie ziemi.

Na wyspie powietrze lśniło i zlewało się. Mężczyzna ubrany w czerń patrzył na ognistą górę, wznoszącą się nad równiną. Jego twarz wykrzywił grymas wściekłości i odrazy.

— Nie uciekniesz tak łatwo, Smoku. To, co jest między nami, nie dokonało się jeszcze. I nie dokona się, aż po kres czasu. Odszedł potem, a wyspa i góra zostały same. Czekają.

I Cień padł na ziemię, i świat został rozszczępiony, kamień od kamienia. Oceany wylały i góry zostały pochłonięte, a narody rozproszone po ośmiu krańcach świata. Księżyc był jak krew, a słońce jak popiół. Morza wrzały, a żywi zazdrościli umarłym. Wszystko zostało rozproszone, wszystko prócz pamięci zostało stracone, pamięci nade wszystko o tym, który sprowadził Cień i Pęknięcie Świata. A jego nazywali Smok.

(z: Aleth nin Taerin alta Camora, Pęknięcie Świata. Autor nieznanym, Czwarty Wiek)

I stało się w owych dniach, jak zdarzało się przedtem i zdarzy się znowu, że Ciemność ciężko zaległa nad ziemią i przygniotła ludzkie serca, i zniknęła zieleń, a nadzieja umarła. I wzywali ludzie Stwórcę, mówiąc: „O Światłości Niebios, o Światłości Świata, pozwól Obiecanemu urodzić się w górach, jak oznajmiają proroctwa, jak było to w wiekach przeszłych i będzie w nadchodzących. Daj, Księciu Poranka, zaśpiewać ziemi, by zazieleniła się, a doliny wydały jagnięta. Niech ramię Pana Świtu chroni nas przed Ciemnością, a jego wielki miecz sprawiedliwości niechaj nas broni. Daj Smokowi wędrować znów na wicherach czasu.”

(z: Charal Drianaan te Calamon, Cykl Smoka. Autor nieznanym, Czwarty Wiek)

PUSTA DROGA

Koło Czasu obraca się, a Wieki nadchodzą i mijają pozostawiając wspomnienia, które stają się legendą. Legenda staje się mitem, a nawet mit jest już dawno zapomniany, kiedy znowu nadchodzi Wiek, który go zrodził. W jednym z Wieków, zwanym przez niektórych Trzecim Wiekim, Wiekim, który dopiero nadejdzie, Wiekim dawno już minionym, w Górach Mgły podniósł się wiatr. Wiatr ten nie był prawdziwym początkiem. Nie istnieją ani początki, ani zakończenia w obrotach Koła Czasu. Niemniej był to jakiś początek.

Zrodzony pod wiecznie zachmurzonymi szczytami, które nadały górom ich nazwę, wiatr ten wiał na wschód, poprzez Piaskowe Wzgórza, niegdyś — przed Pęknięciem Świata stanowiące wybrzeża wielkiego oceanu. Przedarł się do Dwóch Rzek, do gęstego lasu, zwanego Lasem Zachodnim, i uderzył w dwóch ludzi idących przy konnym wozie po usianym kamieniami trakcie, zwanym Drogą Kamieniołomu. Pomimo że wiosna powinna była nadejść dobry miesiąc wcześniej, wiatr niósł z sobą lodowaty chłód, jakby wypowiadając swą tęsknotę za śniegiem. Rand al'Thor czuł, jak gwałtowne podmuchy na przemian to przylepiają mu płaszcz do pleców, oplątując jego nogi wełnianą materią ziemistego koloru, to rozdymają go z tyłu. Żałował, że płaszcz nie jest grubszy, albo że nie włożył przynajmniej dodatkowej koszuli. Przez cały czas zmagał się z okryciem, które wciąż zaczepiało o kołczan kołyszący się u jego biodra. Jednak przytrzymanie jedną ręką nie zdawało się na wiele, a w drugiej niósł gotowy do wystrzelenia łuk, ze strzałą nasadzoną na cięciwę.

Kiedy szczególnie silny podmuch wyrwał mu połę płaszcza z dłoni, spojrzął przelotnie na Tama, idącego u drugiego boku zmierzwionej, brązowej klaczy. Było mu trochę głupio, że rozprasza lęk, jak mały chłopiec popatrujący stale na swoich rodziców, ale był to jeden z tych dni, gdy wszystko zdaje się potęgować niepewność. W chwilach przerwy, między gwałtownymi porywami wichury, wycie wiatru zamierało i wówczas, w ciszy ciężko zalegającej ziemi, głośno rozbrzmiewało miękkie skrzypienie osi.

W lesie nie śpiewały ptaki, wiewiórki nie skakały po gałęziach. Rand nawet specjalnie się ich nie spodziewał, nie tej wiosny.

Tylko te drzewa, które jesienią nie zrzuciły liści lub igieł, miały na sobie coś zielonego. Splątane krzewy zeszłorocznych jeżyn rozpostarły brązową sieć na łysych gałęziach u ich stóp. Rzadkie poszycie leśne tworzyły głównie kolczaste chwasty, pokrzywy i bieleń, pozostawiający obrzydliwy zapach na butach nierozważnego wędrowca. W miejscach gdzie gęste kępy drzew rzucały głęboki cień, ziemię nadal zalegały białe łachy śniegu. W koronach drzew świeciło wprawdzie słońce, ale jego blask skrzył się mętnie, przemieszany z cieniem. Promienie nie niosły ze sobą ani życia, ani ciepła. Był to niefortunny poranek, stworzony dla nieprzyjemnych myśli.

Rand machinalnie dotknął nacięcia na strzale, w każdej chwili gotów przyciągnąć ją do policzka jednym gładkim ruchem, tak jak uczył go Tam. Zima wystarczająco dała się we znaki na farmach, gorszej nie pamiętali nawet najstarsi ludzie, ale w górach, z pewnością, była jeszcze ostrzejsza, co można było osądzić po ilościach wilków, które zagnała do Dwu Rzek. Wilki napadały na owczarnie i rozbijały ściany obór, by dopaść bydła i koni. Owce przyciągały też niedźwiedzie, a przecież niedźwiedzia nie widywano tu już od lat. Pozostawanie poza domem po zmierzchu nie było bezpieczne. Ludzie stawali się łupem drapieżników równie często jak owce, i to niekoniecznie po zachodzie słońca.

Tam stawiał miarowe kroki przy drugim boku Beli, podpierając się włócznią i ignorując wiatr, na którym jego brązowy płaszcz łopotał jak sztandar. Od czasu do czasu dotykał lekko boku klaczy, przypominając jej, że trzeba iść naprzód. Ze swą obszerną klatką piersiową i szeroką twarzą stanowił podporę chwiejnej rzeczywistości tego poranka, trwając w niej jak kamień pośrodku bezładnego snu. Jego ogorzałe od słońca policzki mogły być pomarszczone, a jego włosy mieć jedynie odrobinę czerni pośród siwizny, ale miał w sobie tę stałość, która nie pozwala poddawać się powodziom. Teraz beznamiętnie maszerował drogą. Mogą sobie być i wilki, i niedźwiedzie zdawała się mówić jego postać — winien wystrzegać się ich człowiek, który hoduje owce, ale niech lepiej nie próbują powstrzymać Tama al'Thora na jego drodze do Pola Emonda.

Z poczuciem winy Rand powrócił do obserwacji swojej strony drogi, trzeźwość Tama przypominała mu o własnych obowiązkach. Był o głowę wyższy od swojego ojca, wyższy niżli ktokolwiek w okolicy. Sylwetką również niewiele go przypominał, wyjąwszy może szerokie barki. Szare oczy i rudawy odcień włosów odziedziczył po matce, tak przynajmniej twierdził Tam. Była cudzoziemką i Rand nie pamiętał jej zbyt dobrze, z wyjątkiem może roześmianej twarzy. Niemniej jednak, każdego roku podczas święta Bel Tine kładł kwiaty na jej grobie, a później odwiedzał go w niedziele, przez całą wiosnę i lato.

Na chwiejnym wozie spoczywały dwie małe baryłki jabłkowej brandy i osiem większych beczek jabłkowego wina, odrobinę tylko wzmocnionego całożimowym dojrzewaniem. Każdej wiosny, na Bel Tine, Tam dostarczał taki ładunek do oberży „Winna Jagoda”. Również w tym roku oświadczył, że aby mu w tym przeszkodzić, trzeba czegoś wię-

cej niż grasującego stada wilków oraz zimnego wichru. Pomimo takich zapewnień nie pokazali się jeszcze w wiosce. Nawet Tam unikał dalszych wypraw w takie dni. Dał jednak słowo, że dostarczy trunki, nawet gdyby miało się to stać tuż w przeddzień święta. Raz dane słowo było dla niego nieodwołalne. Rand z kolei zwyczajnie cieszył się, że wreszcie opuści farmę, cieszył się z tego prawie tak samo, jak z nadejścia Bel Tine.

Wpatrywał się w swoją stronę drogi i powoli narastało w nim przekonanie, że jest obserwowany. Próbował pozbyć się jakoś tego uczucia. Nic przecież nie poruszało się wśród drzew, wszystkie odgłosy, jakie docierały do jego uszu, były dziełem wiatru. Nieprzyjemne wrażenie wciąż jednak uporczywie trwało, co więcej, potęgowało się nawet. Włosy na przedramionach zjeżyły mu się, mrowienie rozeszło po skórze, jakby coś świędzało od wewnątrz.

Przesunął z irytacją łuk, aby rozetrzeć ramiona. Nie powinien tak łatwo ulegać wszystkim przelotnym fantazjom. Po tej stronie drogi las był pusty, a Tam powiedziałby przecież, gdyby coś działo się po jego stronie. Spojrzał przez ramię... i zmrużył oczy. Nie dalej jak w odległości dwudziestu piędzi podążał za nimi drogą otulony płaszczem człowiek na koniu. Koń oraz jeździec byli identyczni — czarni, posepni, matowi.

Tylko nawyk, wykształcony przez długie wędrówki przy wozie, powstrzymał odruchowe pragnienie cofnięcia się. Płaszcz jeźdźca zakrywał go aż po cholewy długich butów, kaptur miał naciągnięty tak mocno, że nic nie było spod niego widać. Rand niejasno zdawał sobie sprawę, iż jest w nim coś dziwnego, zafascynowało go ocienione rozcięcie kaptura: Dostrzegał jedynie niewyraźny obrys twarzy, ale miał wrażenie, że spogląda prosto w oczy jeźdźca. I nie potrafił odwrócić wzroku. Poczł mdłości w żołądku. Cień tylko można było dostrzec pod kapturem, lecz poczuł wrogość tak silną, jak gdyby patrzył wprost w wyszczerzoną twarz ziejącą nienawiścią do wszystkiego co żyje. Nienawiścią przede wszystkim do niego, Randa, do niego przed wszystkim innym. Nagle zahaczył obcasem o kamień i potknął się, odrywając wzrok od ciemnego jeźdźca. Łuk upadł na drogę i tylko wysunięta ręka, chwytając uprząż Beli uchroniła go przed upadkiem na plecy. Z przestraszonym parsknięciem klacz stanęła, odrzucając łeb to tyłu.

Tam zmarszczył brwi i spojrzał ponad jej grzbietem.

— Wszystko w porządku, chłopcze?

— Jeździec — wydyszał Rand, prostując się. — Obcy, jedzie za nami.

— Gdzie?

Starszy mężczyzna uniósł szerokie ostrze swej włóczni i obejrzał się czujnie.

— Tam, w dole...

Gdy Rand odwrócił się, słowa zamarły mu na ustach. Droga za nimi była pusta. Nie dowierając, przypatrywał się drzewom po obu stronach traktu. Mimo iż nagie gałęzie nie dawały możliwości schronienia, nigdzie nie było nawet śladu konia ani jeźdźca. Napotkał pytający wzrok ojca.

— On tam był. Człowiek w czarnym płaszczu, na czarnym koniu.

— Nie wątpię w twe słowa, chłopcze, ale wobec tego, gdzie się teraz podział?

— Nie wiem. Był tam.

Szybko podniósł upuszczony łuk, pośpiesznie sprawdzając naciąg. Nasadził strzałę i napiął go do połowy, potem powoli zwolnił cięciwę. Nie miał w co celować.

— Był, przed chwilą.

Tam potrząsnął siwą głową.

— Jeżeli tak mówisz, chłopcze. Chodźmy więc. Koń zostawia ślady podków, nawet na takim podłożu. — Ruszył w stronę tyłu wozu, jego płaszcz powiewał na wietrze. — Jeżeli je znajdziemy, będziemy wiedzieli z pewnością, że tam był, jeżeli nie... cóż, są takie dni, kiedy widuje się różne rzeczy.

Wtedy Rand uświadomił sobie, co jeszcze dziwnego było w jeźdźcu, pomijając w ogóle fakt jego istnienia. Wiatr, który z taką siłą uderzał w niego i w Tama, ledwie tylko poruszał fałdy czarnego płaszcza. Nagle zaschło mu w ustach. Rzeczywiście, musiał wszystko sobie wyobrazić. Ojciec ma rację, jest to poranek, który potrafi wzburzyć ludzką wyobraźnię. Ale sam nie wierzył w swoje wyjaśnienia. Jak jednak mógł wytłumaczyć Tamowi, że człowiek nagle rozpląnął się w powietrzu, nadto jeszcze odziany był w płaszcz, którego nie dotykał wiatr?

Z grymasem strachu obejrzał drzewa rosnące wokół. Wyglądały inaczej niż zwykle. Niemalże od czasu, gdy już umiał chodzić, przemierzał samotnie las. Stawy i strumienie Lasu Rzeki, rozciągającego się na wschód od Pola Emonda, były miejscem, gdzie uczył się pływać. Wyprawiał się na Piaskowe Wzgórza — które wielu z Dwu Rzek uważało za przynoszące nieszczęście — a raz nawet, wraz z najbliższymi przyjaciółmi, Matem Cauthonem i Perrinem Aybara, zawędrował do samych podnóży Gór Mgły. Dużo dalej więc, niżli ludzie z Pola Emonda kiedykolwiek się wyprawiali. Dla nich podróż do najbliższej wioski, w górę do Wzgórza Czat, czy w dół do Deven Ride, stanowiła już wielkie wydarzenie. Nigdzie jednak nie napotkał miejsca, które napawałoby go takim niepokojem. A przecież dzisiaj Las Zachodni nie był taki, jakim go znał. Człowiek, potrafiący zniknąć tak nagle, jest w stanie równie nagle się pojawić, być może tuż za nimi.

— Nie ojczu, nie ma potrzeby.

Gdy Tam zatrzymał się zaskoczony, Rand zaciągnął kaptur płaszcza, ukrywając zmieszanie.

— Przypuszczalnie masz rację. Nie ma sensu szukać czegoś, czego tu nie ma. Nie teraz, gdy musimy się spieszyć, aby dotrzeć do wioski i schronić przed wiatrem.

— Mógłbym zapalić fajkę — powiedział Tam wolno — i wypić kufel piwa w cieple...

Znienacka szeroko się uśmiechnął.

— No i spodziewam się, że ty jesteś spragniony widoku Egwene.

Rand zdobył się na słaby uśmiech. Wśród wszystkich rzeczy, o których mógłby pragnąć myśleć teraz, córka burmistrza zajmowała ostatnie miejsce. Nie chciał więcej zamieszania. Przez ostatni rok, ilekroć byli razem, powodowała w nim narastającą konfuzję. Co gorsza, nie wydawała się być nawet tego świadoma. Nie, z pewnością nie chciał dodawać Egwene do swych obecnych zmartwień.

Miał nadzieję, że ojciec nie zauważył jego niepokoju, ale Tam nagle odezwał się:

— Pamiętaj o płomieniu, chłopcze, i o pustce.

Tam nauczył go kiedyś dziwnej rzeczy.

„Skoncentruj się na pojedynczym płomieniu i przelej w niego wszystkie swoje namiętności, strach, nienawiść, gniew, aż twój umysł opróżni się. Zlej się z pustką, stańcie się jednym — powiedział wówczas — wtedy będziesz w stanie zrobić wszystko.”

Nikt inny w Polu Emonda nie mówił takich rzeczy. Nie mniej jednak Tam, ze swą teorią płomienia i pustki, bez trudu wygrywał doroczne zawody łucznicze podczas Bel Tine. Rand uważał, że on sam ma szansę w tym roku, jeśli oczywiście będzie potrafił wytrwać w pustce. To, że Tam przywołał ja teraz, oznaczało, iż zdawał sobie sprawę z jego niepokoju, dalej jednak nie poruszał już tego tematu.

Tam cmoknął, Bela ruszyła, podjęli swą wędrówkę. Starszy mężczyzna kroczył prosto, jak gdyby nic niepomysłnego się nie zdarzyło i zdarzyć nie mogło. Rand żałował, że nie potrafi go naśladować. Próbował uformować pustkę w umyśle, ale pamięć wciąż wracała ku obrazom jeźdźca w czarnym płaszczu.

Pragnął wierzyć, że Tam miał rację, że jeździec był wyłącznie urojeniem, lecz zbyt dobrze pamiętał tę nienawiść. Tam był ktoś. I ten ktoś oznaczał nieszczęście. Nie przedstawiał oglądać się za siebie, do czasu aż otoczyły ich wysokie, szpiczaste, kryte strzechą dachy Pola Emonda.

Wieś leżała blisko Zachodniego Lasu, w miejscu, gdzie rozrzedzał się tak, że ostatnie drzewa stały pomiędzy solidnie zbudowanymi domami. Teren opadał łagodnie w kierunku wschodnim. Aż do Lasu Rzeki, po jego gmatwaninę strumieni i stawów, ciągnęły się łąki drzewa, farmy, ogrodzone pola i pastwiska: Ziemia na zachodzie była równie żyzna, a pastwiska bujne przez większość sezonów, pomimo to w Zachodnim Lesie istniało jedynie kilka farm. I żadna z nich nie rozpościerała się do Piaskowych Wzgórz, nie mówiąc już o wznoszących się ponad szczytami drzew Górach Mgły, odległych, lecz wyraźnie widocznych z Pola Emonda: Niektórzy mówili, że grunt jest tu zbyt skalisty, jakby wszędzie w Dwu Rzekach nie było skał, inni mówili, że to pechowa ziemia. Kilku mruczało, że nie ma sensu zbliżać się bardziej do gór, niżli jest to konieczne. Jakkolwiek jednak byłyby rzeczywiste powody, tylko najtwardsi ludzie uprawiali ziemię na obszarze Zachodniego Lasu.

Kiedy tylko minęli pierwszy szereg domów, małe dzieci i psy obskoczyły wóz radośnym mrowiem. Bela stąpała spokojnie, ignorując wrzeszczących wyrostków miotają-

cych się pod jej nosem, goniących się, toczących kółka. Przez ostatnie miesiące we wsi niewiele słyhać było dziecięcego śmiechu i zabawy. Nawet gdy pogoda poprawiła się wystarczająco, by mogły wychodzić na zewnątrz, strach przed wilkami zatrzymywał je w domach. Teraz wszystko wyglądało tak, jakby zbliżające się Bel Tine na powrót nauczyło je radości.

Równie mocno święto absorbowało uwagę dorosłych. Szerokie zasłony w oknach były odsunięte i prawie w każdym z nich stała kobieta przepasana fartuchem, z długimi warkoczami zawiniętymi w chustę. Trzepały pościelenie albo przewieszały materace przez parapety. Niezależnie od tego czy pojawiły się liście na drzewach; czy nie, żadna gospodyni nie pozwoliłaby sobie nie skończyć wiosennych porządków przed nadejściem Bel Tine. Wzdłuż drogi zwisały rozciągnięte na linach pledy, a dzieci, które nie były dość sprytnie i szybkie, by uciec na ulicę, za pomocą wiklinowych trzepaczek wyładowywały swoją frustrację na dywanach. Na każdym dachu mężczyźni sprawdzali, czy zimowe zniszczenia są tak duże, by istniała konieczność wezwania starego Cenna Buie, strzecharza.

Kilka razy Tam przystawał, wdając się to z jednym, to z drugim w krótką rozmowę. Ponieważ on i Rand nie opuszczali farmy od wielu tygodni, a w ostatnim czasie jedynie kilku ludzi z Zachodniego Lasu odwiedziło wioskę, każdy chciał w ten sposób odrobić zaległości. Tam mówił o zniszczeniach spowodowanych przez zimowe burze, jedna gorsza od drugiej, o nowo narodzonych jagniętach, o brązowych, jałowych polach, gdzie miały wykiełkować plony i zazielenić się pastwiska, o krukach zbierających się tam, gdzie przedtem przylatywały śpiewające ptaki. Ponura rozmowa pośród przygotowań do Bel Tine i wiele potrząsania głowami. Wszędzie dominowały podobne nastroje.

W większości mężczyźni wzruszali ramionami i mówili:

— Cóż, przeżyjemy, z woli Światłości.

Niektórzy uśmiechali się i dodawali:

— A nawet i bez niej, też przeżyjemy.

Takie były nastroje w Dwu Rzekach. Ludzie, zmuszeni patrzeć, jak wciąż na nowo grad niszczy im plony albo wilki porywają jagnięta, nie poddawali się łatwo, nieważne, jak wiele razy się to zdarzało. Większość z tych, którzy zrezygnowali dawno już odeszła.

Tam nie miał zamiaru stawać przed domem Wita Congara, ten jednak wyszedł na ulicę tak, że musieli albo zatrzymać się, albo pozwolić Beli go przejechać. Congarowie, a także Coplinowie — te dwie rodziny były tak mocno wymieszane, że nikt naprawdę nie wiedział, gdzie kończy się jedna, a zaczyna druga — byli znani od Wzgórza Czat do Deven Ride, a być może nawet aż po Taren Ferry, ze swego narzekania i zdolności przysparzania kłopotów.

— Chciałbym odstawić to do Brana al'Vere, Wit — powiedział Tam, wskazując ruchem głowy beczki na wozie.

Kościsty mężczyzna, z kwaśnym grymasem na twarzy, jednak nie ustępował. Leżał rozciągnięty na frontowych schodach; a nie na dachu jak inni, chociaż jego strzecha wyglądała tak, jakby dramatycznie domagała się uwagi pana Buie. Wydawał się człowiekiem, który nigdy nie był w stanie podjąć, czy skończyć tego, co raz rozpoczął. Większość Coplinów i Congarów była właśnie taka, wyjąwszy tych, którzy byli jeszcze gorsi.

— Co mamy zrobić z Nynaeve, al'Thor? — dopytywał się Congar. — Nie możemy mieć takiej Wiedzącej w Polu Emonda.

Tam westchnął ciężko:

— To nie nasza sprawa, Wit. Sprawami Wiedzącej powinny zajmować się kobiety.

— Cóż, lepiej zrobimy coś, al'Thor. Powiedziała, że zima będzie łagodna i że będziemy mieli dobre zbiory. Teraz, gdy spytasz ją, co niesie wiatr, patrzy na ciebie spode łba, odwraca się i odchodzi.

— Jeżeli pytałeś ją w taki sposób, w jaki zwykłeś to czynić, Wit — odparł cierpliwie Tam — to miałeś szczęście, że nie zbiła cię swoją laską. Teraz, jeśli pozwolisz, tę brandy...

— Nynaeve al'Meara jest po prostu za młoda, aby być Wiedzącą, al'Thor. Jeżeli Koło Kobiet nic z tym nie zrobi, to zajmie się tym Rada Wioski.

— Dlaczego interesujesz się Wiedzącą, Wicie Congar? — rozległ się kobiecy głos.

Wit cofnął się, gdy z domu wyszła jego żona. Daise Congar była dwukrotnie szersza od niego. Kobieta o ostrej twarzy pozbawiona nawet uncji tłuszczu. Utkwiła wzrok w mężu, opierając pięści na biodrach.

— Będziesz próbował wtrącać się w sprawy Koła Kobiet, a zobaczymy, jak będzie ci smakować własne gotowanie. I to do tego nie w mojej kuchni. Albo pranie własnych rzeczy i samodzielne ścielenie łóżka. Bynajmniej nie pod moim dachem.

— Ależ, Daise — zajęczał Wit. — Ja tylko...

— Pozwolę sobie przeprosić, Daise — wtrącił się Tam. — Wit. Niech Światłość opromienia was oboje.

Poprowadził Belę obok rozciągniętego na ziemi chudzielca. Daise obecnie skoncentrowała uwagę na mężu, ale przecież cały czas zdawała sobie sprawę, z kim Wit rozmawiał.

Z powodu takiego gadania nie przyjmowali też zaproszeń, aby zatrzymali się i zjedli lub wypili coś ciepłego. Na widok Tama, kobiety z wioski zaczynały zachowywać się jak psy osaczające królika. Nie było wśród nich takiej, która nie znałaby doskonałej żony dla wdowca z dobrą farmą, nawet jeżeli ta znajdowała się w Zachodnim Lesie.

Rand szedł obok równie szybko jak Tam, może nawet szybciej. Nie znosił tego uczucia przyparcia do muru, które opanowywało go, gdy Tama nie było w pobliżu, a on nie

miał możliwości ucieczki przed natręctwem. Wtłoczony na taboret przy kuchennym ogniu jadał pasztety, słodkie ciasta czy placki z mięsem. I zawsze oczy gospodyni mierzyły go i ważyły starannie; jakby centymetrem albo kupiecką wagą, kiedy mówiła mu, że to, co je, nie jest nawet w przybliżeniu tak dobre, jak kuchnia jej owdowiałej siostry lub starszej kuzynki. Tam nie staje się przecież młodszy, mówiły. To dobrze, że tak kochał żonę — dobrze to wróży następnej kobiecie w jego życiu — lecz oplakuje ją przecież już zbyt długo. Tam potrzebuje dobrej kobiety. Jest banałem, mówiły, lub czymś do niego bardzo zbliżonym, że mężczyzna po prostu nie daje sobie rady bez kobiety, która dba o niego i odsuwa wszelkie kłopoty. Najgorsze ze wszystkich były te, które rozważnie przerywały w tym miejscu, aby z wypracowaną obojętnością zapytać, ile właściwie Tam ma obecnie lat.

Jak u większości ludzi z Dwu Rzek charakter Randa wyposażony był w silną domieszkę uporu. Obcy mówili nawet, że to właśnie upór jest, główną cechą tamtejszych ludzi, że mogliby dawać lekcje mułom i uczyć kamienie. Większość kobiet przez cały czas była nawet miła i uprzejma, on nienawidził jakiegokolwiek przymusu, one zaś sprawiały, że czuł się jakby go kłuto szpilkami. Dlatego szedł szybko, pragnąc, by Tam popędził konia.

Wkrótce ulica wyprowadziła ich na Łąkę, rozległy obszar pośrodku wioski. Pokryty zazwyczaj grubą warstwą darni, tej wiosny ukazywał tylko kilka świeżych skrawków, pomiędzy żółtawym brązem roślinności zeszłorocznej i czernią nagiej ziemi. Kołysało się na niej stadko gęsi. Paciorkowatymi oczyma badały grunt, nie znajdując jednak nic do wydziobania. Nieco dalej ktoś spętał mleczną krowę, aby obgryzła mizerne źdźbła.

W zachodnim końcu Łąki, z niskiej kamiennej odkrywki wytryskiwała Winna Jagoda, płynęła strumieniem, który nigdy nie zanikał, na tyle silnym, by przewrócić człowieka i na tyle słodkim, by po kilkakroć obronić swą nazwę. Na wiosnę gwałtownie rozszerzająca się rzeka, wtulona w porośnięte wierzbami brzegi, biegła bystro na wschód, przez całą drogę aż do młyna pana Thane, a potem dalej, do miejsca gdzie rozdzielała się na tuziny strumieni w bagiennych głębinach Lasu Rzeki. Dwa niskie, wyposażone w balustrady mosty przecinały mały jasny strumień na Łące, a szerszy od nich Most Wozów, wystarczająco mocny, by utrzymać furmanki, przekraczał go w miejscu, w którym Droga Północna opadająca z Taren Ferry i Wzgórza Czat, stawała się Starą Drogą prowadzącą do Deven Ride. Obcym czasami wydawało się śmieszne, że droga nosi inną nazwę w kierunku północnym, a inną w południowym, lecz w ten sposób było zawsze, tak dalece jak ktokolwiek w Polu Emonda sięgał pamięcią. Dla ludzi z Dwu Rzek był to wystarczająco dobry powód.

Pod drugiej stronie mostów, ustawiono już stopy na ognie Bel Tine. Trzy pieczołowicie zbudowane sterty pni, prawie tak wysokie jak domy, znajdowały się, oczywiście, z boku na oczyszczonej ziemi. Na Łące miały odbywać się te elementy święta, dla któ-

rych nie przewidziano miejsca wokół ognia.

W pobliżu źródła kilka starszych kobiet śpiewało miękko, strojąc Wiosenny Słup. Umieszczony już w specjalnie wykopanym dole, pozbawiony gałęzi, prosty, wysmukły pień jodły wznosił się na wysokość dziesięciu stóp. Nie opodał, dziewczęta zbyt młode, by nosić związane włosy, siedziały w małej grupie, ze skrzyżowanymi nogami i patrząc zazdrośnie, okazjnie powtarzały urywki pieśni śpiewanej przez kobiety.

Tam cmoknął na Belę, jakby chciał ją zmusić do szybszego kroku, Rand natomiast w wystudiowany sposób starał się nie dostrzegać tego, co robiły kobiety. Rankiem, gdy mężczyźni odnajdują słup, oczekuje się od nich zaskoczenia, w południe niezamężne kobiety tańczą wokół niego, oplatając go długimi, kolorowymi wstążkami, podczas gdy nieznani mężczyźni śpiewają. Nikt nie wiedział, jakie było pochodzenie i przyczyna powstania tego zwyczaju — jeszcze jedna z rzeczy istniejących na sposób, w który istniały zawsze — lecz było to usprawiedliwienie śpiewu i tańca, a nikt w Dwu Rzekach specjalnego wytłumaczenia dla tych rzeczy nie potrzebował.

Cały dzień Bel Tine pochłona śpiewy, tańce i świętowanie, przewidziano też wyścigi biegaczy i zawody niemalże we wszystkich konkurencjach. Nagrody zbiorą nie tylko łucznicy, lecz także najrzęczniejsi strzelający z procy i najlepiej władający pałką: Będą konkursy rozwiązywania zagadek oraz układanek, przeciąganie liny, podnoszenie i miotanie ciężarami, nagrody dla najwspanialszego śpiewaka, skrzypka i tancerza, dla tego, który najszybciej ostrzyże owcę, a nawet dla najlepszych graczy w kule czy strzałki.

Święto Bel Tine przypadało na dzień, w którym wiosna przychodzi naprawdę i na dobre, gdy rodzą się pierwsze jagnięta i wschodzą pierwsze plony. Pomimo chłodu w powietrzu nikt jednak nie wpadł na pomysł, by je odłożyć. Wszystkim należało się trochę śpiewu i tańca. A jeśli można było wierzyć pogłoskom, ukoronowaniem święta miał być wielki, wielki pokaz fajerwerków na Łące — oczywiście, jeśli na czas zdąży dotrzeć do wioski pierwszy tegoroczny handlarz. Wywoływało to zrozumiałe poruszenie, ostatni taki pokaz odbył się przed dziesięciu laty, a rozmawiano o nim jeszcze do dzisiaj.

Karczma „Winna Jagoda” stała na wschodnim krańcu Łąki, tuż za Mostem Wozów. Parter zbudowany był z kamieni rzecznych, natomiast materiał fundamentów stanowił kamień dużo starszy, przywieziony z gór, jak powiadali niektórzy. Wymyte aż do bieli pierwsze piętro — na którym od dwudziestu lat mieszkał wraz z żoną i córkami Brandwelyn al’Vere, karczmarz i jednocześnie burmistrz Pola Emonda — wystającym balkonem otaczało cały budynek. Dach z czerwonej dachówki, jedyny taki w całej wiosce, połyskiwał w bladym słońcu. Dymiły cztery spośród tuzina wysokich kominów.

Za południowym krańcem gospody, z dala od strumienia, rozciągały się pozostałości szerszych kamiennych fundamentów, ongiś stanowiących jej część — tak przynajmniej powiadano. Pośrodku rósł ogromny dąb, z pniem o obwodzie trzydziestu kroków,

z rozpostartymi gałęziami grubości człowieka: Latem ich liście ocieniały stoły i ławy, które Bran al'Vere rozstawiał pod drzewem, aby ludzie mogli się uraczyć winem i zakosztować chłodnego powiewu, podczas gdy rozmawiali lub grali w kamienie.

— Jesteśmy na miejscu, chłopcze.

Tam sięgnął do uprząży Beli, lecz ona zatrzymała się przed gospodą, zanim jeszcze jego ręka dotknęła skóry.

— Zna drogę lepiej niż ja — zaśmiał się cicho.

Nim zamarło ostatnie skrzyknięcie osi, przed oberżą pojawił się Bran al'Vere. Jak zawsze wydawał się stąpać nazbyt lekko jak na człowieka jego tuszy, dwukrotnie przewyższającej czyjąkolwiek w wiosce. Pod rzadką grzywką siwych włosów okrągłą twarz przecinał uśmiech. Nie bacząc na ziąb, oberżysta był w samej koszuli, wokół pasa owinał nieskazitelnie biały fartuch. Srebrny medalion w kształcie układu zrównoważonych szalek wisiał na jego szyi.

Ten medalion, wraz z pełnym kompletem instrumentów służących do ważenia monet otrzymywanych od kupców przybywających z Baerlon po wełnę i tytoń, stanowił symbol urzędu burmistrza. Bran nosił go wtedy, gdy załatwiał interesy, a także podczas świąt i ślubów. Nałożył go dzisiaj zapewne dlatego, iż była to Noc Zimowa, noc poprzedzająca Bel Tine, w czasie której wszyscy odwiedzają się nawzajem, wymieniając drobne podarunki, jedząc i popijając trochę w każdym domu.

„Po takiej zimie — myślał Rand — przypuszczalnie uważa Zimową Noc za wystarczający powód i nie chce czekać do jutra.”

— Tam — krzyknął burmistrz, śpiesząc ku nim. — Niechże mnie Światłość oświeca, dobrze cię w końcu widzieć. I ciebie też Rand. Jak się masz mój chłopcze?

— Dobrze, panie al'Vere — odparł Rand. — A pan?

Bran jednak nie odpowiedział, całą swą uwagę zwracając na Tama.

— Już prawie zaczynałem myśleć, że tego roku nie dowiesz nam brandy. Nigdy dotąd nie czekałem tak długo.

— Nie miałem ochoty opuszczać farmy w taki czas, Bran — odpowiedział Tam. — Te wilki. Ta pogoda.

Bran westchnął ciężko.

— Byłbym szczęśliwy, gdyby ktoś miał ochotę mówić o czymś innym niż o pogodzie. Wszyscy się na nią skarżą, a ludzie, którzy powinni sami wiedzieć lepiej, oczekują ode mnie, że ją poprawię. Ostatnie dwadzieścia minut spędziłem wyjaśniając pani al'Donel, że nic nie mogę zrobić w sprawie bocianów. Chociaż to, czego ona się po mnie spodziewa...

Pokręcił głową.

— Zły znak — obwieścił skrzypiący głos — żaden bocian nie założył gniazda przed Bel Tine.

Cenn Buie, powykrzywiany i ciemny niczym stary korzeń, kroczył w kierunku Tama i Brana, podpierając się laską prawie tak wysoką, jak on sam i równie sękatą. Spojrzeniem okrągłego oka usiłował objąć obu mężczyzn jednocześnie.

— Będzie jeszcze gorzej, zapamiętacie moje słowa.

— Cóż to, zostałeś wieszczem interpretującym znaki? — sucho spytał Tam. — Czy też słuchasz wiatru jak Wiedząca? Plotek jest z pewnością wystarczająco dużo. Niektóre powstają niedaleko stąd.

— Kpijcie sobie, jeśli chcecie — zamruczał Cenn — ale jeżeli nie będzie wystarczająco ciepło, aby zboża wkrótce wykiełkowały, niejedna piwnica opróżni się, zanim nadejdą zbiory. Następnej zimy jedynymi mieszkańcami Dwu Rzek będą wilki i kruki. O ile w ogóle będzie następna zima. Być może będzie wciąż jedna i ta sama.

— A to, co miałyby znaczyć? — rzekł ostro Bran.

Cenn rzucił mu smutne spojrzenie.

— Nie mam nic dobrego do powiedzenia o Nynaeve al'Meara. Wiecie o tym. Z jednej strony jest zbyt młoda, by... Nieważne. Koło Kobiet nie pozwala Radzie Wioski nawet mówić o swoich sprawach, mimo że wtrącają się one do naszych, kiedy tylko chcą, a więc prawie przez cały czas, lub coś koło tego...

— Cenn — wtrącił się Tam — czy są na to jakieś dowody?

— Są dowody, al'Thor. Gdy spytać Wiedzącą, kiedy skończy się zima, to odwraca się i odchodzi. Być może nie chce przekazać nam tego, co powiedział jej wiatr. Być może usłyszała, że zima nie skończy się nigdy. Być może zima będzie trwała dopóty, dopóki Koło się nie obróci i Wiek nie dobiegnie kresu. Oto są moje dowody.

— A być może owce zaczną latać — odciął się Tam.

Bran uniósł rękę.

— Niech mnie Światłość chroni przed głupcami. Zasiadasz przecież w Radzie Wioski, czemu więc rozpowszechniasz to, czego naopowiadał Coplin. A teraz posłuchaj. Mamy wystarczająco dużo kłopotów bez...

Rand poczuł silne szarpnięcie za rękaw. Ściszony głos, przeznaczony tylko dla jego uszu, odwrócił uwagę od rozmowy starszych.

— Chodź, Rand, dopóki się kłóć. Zanim nie zapędzą cię do roboty.

Rand spojrział w dół i uśmiechnął się. Mat Cauthon przykucnął za wozem w taki sposób, że Tam, Bran i Cenn nie mogli go zobaczyć, chude ciało wygiął jak szyję bociana.

Brązowe oczy jak zwykle iskrzyły się psotą.

— Dav i ja złapaliśmy wielkiego starego borsuka, jest bardzo zły, że wyciągnęliśmy go z nory. Chcemy go wypuścić na Łące i przestraszyć dziewczyny.

Uśmiech Randa stał się szerszy. Pomysł nie wydawał mu się już tak zabawny, jak rok lub dwa lata temu, Mat jednak zdawał się nigdy nie dorastać. Rzucił szybkie spojrzenie na ojca — mężczyźni zbliżywszy głowy mówili jeden przez drugiego — potem zniżył głos:

— Obiecałem rozładować jabłecznik. Myślę jednak, że spotkamy się później.

Mat wywrócił oczy ku górze.

— Wynosić beczki! Niech szeszne, wolałbym raczej grać w kamienie ze swoją niańką. Dobrze, wiem o ciekawszych rzeczach niż borsuk. Mamy obcych w Dwu Rzekach. Zeszłego wieczoru...

Rand na moment wstrzymał oddech.

— Mężczyzna na koniu? — zapytał z przejęciem. — Człowiek w czarnym płaszczu, na czarnym koniu? A jego płaszcz nie poruszał się na wietrze?

Uśmiech zgasł na twarzy Mata, jego głos zmienił się w zachrypły szept.

— Też go widziałeś? Myślałem, że tylko ja. Nie śmieć się; Rand, jestem śmiertelnie przerażony.

— Nie śmieję się. Mnie też wystraszył. Mógłbym przysiąc, że on mnie nienawidzi, że pragnie mnie zabić.

Rand zadrżał. Do dzisiejszego dnia nie wyobrażał sobie, że ktoś mógłby chcieć go zabić, naprawdę chcieć go zabić. Takie rzeczy nie zdarzały się w Dwu Rzekach. Bójki na pięści, pojedynki zapaśnicze, ale nie zabijanie.

— Nie wiem nic o nienawiści, Rand, ale przeraził mnie wystarczająco. Nic nie robił, tylko siedział na koniu i patrzył na mnie, było to tuż za wsią, nigdy w życiu nie byłem tak przestraszony. Przestałem patrzeć tylko na chwilę, nie było to łatwe, sam pomyśl, a kiedy spojrzałem znowu, on zniknął. Przekleństwo. To się stało trzy dni temu, a ja wciąż nie mogę przestać o tym myśleć. Ciągłe oglądam się za siebie. — Mat usiłował się roześmiać, ale dźwięk, jaki z siebie wy dobył, bardziej przypominał krakanie. — Śmieszne, jak przerażenie może zawładnąć człowiekiem. Myśli się o dziwnych rzeczach. Teraz pomyślałem, w tej chwili, wyobraź sobie, że mógł to być sam Czarny.

Znowu próbował się roześmiać, lecz tym razem w ogóle nie wydobył z siebie głosu.

Rand głęboko wciągnął powietrze. Zwyczajnie dla przypomnienia oraz być może też z innych powodów, wyrecytował:

— Czarny oraz wszyscy Zapomnieni, uwięzieni są w Shayol Ghul pod Wielkim Zaklęciem, rzuconym przez Stwórcę w momencie Stworzenia, uwięzieni po kres czasu. Dłoń Stwórcy chroni świat, a Światłość opromienia nas wszystkich.

Wciągnął powietrze i kontynuował:

— A nawet jeśli by się uwolnił, cóż miałby robić Pasterz Nocy w Dwu Rzekach, obserwując farmerów?

— Nie mam pojęcia. Ale wiem na pewno, że ten jeździec jest... złem. Nie śmieć się. Przysięgam. Może to był Smok.

— Jesteś pełen radosnych myśli, nieprawdaż? — mruknął Rand. — Mówisz gorsze rzeczy niż Cenn.

— Matka zawsze mówiła, że Zapomnieni przyjdą mnie porwać, jeżeli się nie poprawię. Jeśli kiedykolwiek widziałem kogoś, kto mógł wyglądać jak Ishmael, czy Aginor, to był właśnie on.

— Każda matka straszy dzieci Zapomnianymi — powiedział sucho Rand — lecz większość z nich z tego wyrasta. Dlaczego nie miałby to być Pomor, jeśli już przy tym jesteśmy?

Mat popatrzył na niego.

— Nie byłem tak przerażony od... Nie, nigdy nie byłem tak przerażony, nie chciałem się tylko do tego przyznać.

— Ja również. Ojciec myślał, że przestraszyłem się cieni drzew.

Mat posępnie pokiwał głową, po czym przechylił się przez koło.

— Mój też tak myśli. Powiedziałem tylko Davowi i Elamowi Dowtry. Od tego czasu wypatrują jak jastrzębie, ale niczego nie widzieli. Teraz Elam myśli, że usiłowałem go nabrać. Dav uważa, że jeździec jest z dołu, z Taren Ferry, że jest złodziejem owiec albo kurczaków. Złodziej kurczaków!

Zamilkł obrażony.

— Tak czy siak, to wszystko pewnie głupstwa — stwierdził ostatecznie Rand. — Może to rzeczywiście tylko złodziej owiec.

Usiłował sobie to wyobrazić, ale było to równie skuteczne, jak wyobrażanie sobie wilka zajmującego kocie miejsce przed mysią dziurą.

— Tak, nie podobał mi się sposób, w jaki na mnie patrzył. Tobie również, sądząc ze sposobu w jaki mi to opowiedziałeś. Powinniśmy o tym komuś opowiedzieć.

— Zrobiliśmy to już, Mat, i nikt nam nie uwierzył. Możesz sobie wyobrazić przekonanie pana al'Vere, który go nigdy nie widział? Wysłałby nas do Nynaeve, żeby sprawdziła, czy nie jesteśmy chorzy.

— Teraz jest nas dwóch. Nikt nie uwierzy, że obaj to sobie wymyśliliśmy.

Rand podrapał się po głowie, zastanawiając się, co powiedzieć. Mat był kimś w rodzaju wioskowego błazna. Niewielu ludzi uniknęło jego kawałów. Jego imię pojawiało się zawsze tam, gdzie pranie spadło ze sznura w błoto, lub gdy rozluźniony popręg zrzucił kogoś na drogę. Mata nie musiało być w pobliżu. Jego poparcie mogło więc być gorsze niż żadne.

Po chwili Rand powiedział:

— Twój ojciec mógłby pomyśleć, że namówiłeś mnie do tego, a mój...

Popatrzył ponad wozem, tam gdzie mężczyźni rozmawiali i stwierdził, że ojciec patrzy na niego. Burmistrz wciąż pouczał Cenna, który przyjmował połajanki w ponurym milczeniu.

— Dzień dobry, Matrim — przywitał go serdecznie Tam, stawiając beczułkę brandy na burcie wozu. — Widzę, że przyszedłeś pomóc Randowi rozładować jabłecznik, dobry chłopcze.

Przy pierwszych słowach Mat zerwał się na nogi i natychmiast zaczął się wycofywać.

— Dzień dobry panu, panie al'Thor. I panu, panie al'Vere. Panie Buie. Niech Światłość was opromienia. Tato właśnie wysłał mnie, abym...

— Pomógł, oczywiście — powiedział Tam. — I nie ma również wątpliwości, ponieważ jesteś chłopcem, który wykonuje swoje zadania od razu. Sądzi, że dawno już to załatwiłeś. Dobrze więc, im szybciej wniesiecie jabłecznik do piwnicy pana al'Vere, tym szybciej zobaczycie barda.

— Bard! — wykrzyknął Mat, który zamierał bez ruchu każdorazowo, gdy Bran go zagadnął. — Kiedy on tu będzie?

Odkąd Rand pamiętał, jedynie dwóch bardów przybyło do Dwu Rzek. Za pierwszym razem był jeszcze tak mały, że oglądał go siedząc na ramionach Tama. Mieć tu jednego teraz, podczas Bel Tine, z harfą, fletem, opowieściami i wszystkim... Pole Emonda będzie mówić o tym święcie jeszcze przez dziesięć lat, nawet gdyby nie było żadnych fajerwerków.

— Głupstwa — zamruczał Cenn, ale ucichł, gdy Bran spojrzał na niego z całym majestatem urzędu burmistrza. Tam oparł się o wóz, używając beczułki brandy jako podpórki dla ramienia.

— Tak, bard, już jest tutaj. Zgodnie z tym, co mówi pan al'Vere, właśnie znajduje się w pokoju w oberży.

— Przyjechał tu w środku nocy. — Karczmarz potrząsnął głową z dezaprobatą. — Dobijał się do drzwi, aż nie obudził całej rodziny. Gdyby nie święto, kazałbym mu zaprowadzić konia do stajni i spać tam razem z nim, bard czy nie bard. Wyobraźcie sobie, przyjeżdżać tak po nocy.

Rand spojrzał na niego ze zdumieniem. Nikt nocami nie podróżował poza wioską, nie teraz, i z pewnością nie sam. Strzecharz zamruczał znowu, zbyt cicho tym razem, by Rand zrozumiał więcej niż jedno czy dwa słowa: „szalenciec” oraz „nienaturalne”.

— Nie nosił czarnego płaszcza, prawda? — spytał nagle Mat.

Brzuch Brana trząsał się ze śmiechu, kiedy mówił:

— Czarny! Jego płaszcz jest taki sam jak płaszcze wszystkich bardów. Więcej lat niż płaszcz a więcej kolorów, niż można sobie wyobrazić.

Rand roześmiał się głośno, śmiechem czystej ulgi. Groźny jeździec w czerni jako bard był pomysłem śmiesznym, ale... W zamyśleniu przyłożył dłoń do ust.

— Widzisz, Tam — rzekł oberżysta. — Tak mało było śmiechu w wiosce, odkąd nadeszła zima. Teraz wywołuje go nawet płaszcz barda. Samo to warte jest kosztów sprowadzenia go z Baerlon.

— Mów, co chcesz — odezwał się nagle Cenn. — Ja nadal twierdzę, że to głupie marnotrawienie pieniędzy. I te fajerwerki, na które się tak uparliście.

— A więc będą fajerwerki — rzekł Mat.

— Powinny już być tutaj miesiąc temu — ciągnął dalej Cenn — wraz z pierwszym tegorocznym handlarzem, ale on jeszcze się nie pojawił, prawda? Jeżeli nie przyjedzie do jutra, to co potem z nimi zrobimy? Mamy zorganizować następne święto, tylko po to, aby je zużyć? Oczywiście, o ile w ogóle je przywiezie.

— Cenn — westchnął Tam. — Masz w sobie tyle wiary, co człowiek z Taren Ferry.

— Więc gdzie on jest? Powiedz mi, al'Thor.

— Dlaczego nam nie powiedziałaś? — dopytywał się skrzywdzonym głosem Mat. — Cała wieś miałaby równie, dużo radości z czekania, co z barda, w każdym razie prawie tyle. Zobaczysz, jak przejmą się wszyscy samą pogłoską o fajerwerkach.

— Zobaczę — odparł Bran, obdarzając strzecharza długim spojrzeniem. — I jeżeli dowiem się, jak te wieści zaczęły się rozchodzić... Jeżeli zauważę, na przykład, że ktoś skarży się na koszt niektórych rzeczy, w miejscach gdzie mogą go słyszeć inni ludzie, podczas gdy te rzeczy mają być trzymane w tajemnicy... — Cenn przełknął ślinę.

— Moje kości są za stare na ten wiatr. Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, sprawdzę, czy pani al'Veere nie da mi trochę korzennego wina, by wygnać ziąb. Burmistrzowi. Al'Thor.

Nim jeszcze skończył, już szedł w kierunku gospody. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Bran westchnął.

— Czasami myślę, że Nynaeve ma rację... Cóż, w tej chwili to nieistotne. Młodzi przyjaciele, pomyślcie przez chwilę. Wszyscy są podnieceni fajerwerkami, ale jest to tylko pogłoska. Pomyślcie, jakby się czuli, po całym tym czekaniu, gdyby handlarz nie zdążył na czas. A przy takiej pogodzie zupełnie nie wiadomo, kiedy przybędzie. Będą pięćdziesiąt razy bardziej zainteresowani bardem.

— I czuliby się pięćdziesiąt razy gorzej, gdyby nie przyjechał — powiedział wolno Rand. — Nawet Bel Tine nie podbudowałyby ich po tym wszystkim.

— Masz głowę na karku, kiedy decydujesz się jej używać — rzekł Bran. — Zaprowadzi go pewnego dnia do Rady Wioski, Tam. Zapamiętaj moje słowa. W obecnej chwili na pewno nie zrobiłby więcej złego niż ktoś, kogo mógłbym wymienić.

— Żadna z tych rzeczy nie wyładuje wozu — powiedział energicznie Tam, podając pierwszą beczułkę brandy burmistrzowi. — Mam ochotę na ciepło ogniska, fajkę i kufel twego znakomitego piwa. — Zrzucił drugą beczułkę na ramię.

— Jestem pewien, że Rand będzie ci wdzięczny za pomoc; Matrim. Pamiętajcie, im szybciej wino znajdzie się w piwnicy... — Gdy Tam i Bran zniknęli w gospodzie, Rand popatrzył na przyjaciela.

— Nie musisz nosić. Dav nie utrzyma długo tego borsuka.

— Dlaczego nie? — spytał zrezygnowanym głosem Mat. — Jak twój tato powiedział, im szybciej będzie w piwnicy... — Podtrzymując beczułkę jabłeczniaka oburącz, pośpieszył ku oberży.

— Może Egwene jest gdzieś w pobliżu. Widok ciebie, wpatrującego się w nią jak ogłuszony wół, będzie równie dobry jak borsuk.

Rand przerwał na chwilę pakowanie łuku i kołczanu. Rzeczywiście, udało mu się wyrzucić ją ze swego umysłu. Samo w sobie było to dziwne. Ale ona i tak, prawdopodobnie, znajdowała się gdzieś w okolicy karczmy. Raczej nie miał szansy uniknąć tego spotkania. Oczywiście, upłynęły już tygodnie, odkąd widział ją po raz ostatni.

— No i co? — zawołał Mat. — Nie powiedziałem, że zrobię to sam. Nie jesteś jeszcze w Radzie Wioski.

Rand podniósł beczkę i ruszył za nim. Być może w ogóle jej tu nie będzie. Dziwne, ale ta możliwość nie sprawiła, żeby poczuł się lepiej.

OBCY

Podczas gdy Rand i Mat przynosili pierwsze baryłki przez główną salę gospody, pan al'Vere zdążył już napełnić dwa kufle najlepszym brązowym trunkiem ale własnej roboty, utoczonym z beczulek zawieszonych na ścianie. Na ich szczycie przysiadł, otuliwszy łapy ogonem, Pazur, żółty kocur karczmarza. Tam przystanął przed wielkim kominkiem zbudowanym z rzeźnego kamienia. W rękę trzymał długą fajkę wypełnioną tytoń, który oberżysta przechowywał w eleganckiej puszcze na gładkim gzymisie kominika. Sięgające do ramienia nadproże kominika zajmowało połowę ściany dużego, kwadratowego pomieszczenia. Trzaskający w palenisku ogień skutecznie przeganiał panujący na dworze chłód.

W dniu tak pełnym różnych zajęć, jakim jest wigilia Święta, Rand spodziewał się zastać w sali najwyżej Brana oraz swego ojca, no, może ewentualnie jeszcze kota, jednak na krzesłach z wysokimi oparciami, otoczeni chmurą niebieskiego dymu, siedzieli przy piwie czterej członkowie Rady Wioski. Był z nimi Cenn. Tym razem nikt nie grał w kamienie, a wszystkie książki Brana stały równym rzędem na półce naprzeciw kominika. Nawet nie rozmawiano. Mężczyźni w milczeniu wpatrywali się w trzymane kufle i niecierpliwie ssali fajki, czekając, aż Tam i Bran dołączą do nich.

W te dni zmartwienia były powszechnym udziałem członków Rad Wiosek, tak w Polu Emonda, jak i we Wzgórzu Czcat, czy w Deven Ride. A nawet w Taren Ferry, chociaż tak naprawdę któż mógłby wiedzieć, co właściwie ludzie z Taren Ferry myśleli o jakichkolwiek sprawach?

Oprócz dwu mężczyzn — kowala Harala Luhhana i młynarza Jona Thana — żaden z siedzących przy kominku nie zaszczycił spojrzeniem wchodzących chłopców. Potężnie umięśnione ramiona kowala były tak grube, jak uda większości mężczyzn, wciąż miał na sobie długi skórzany fartuch, jakby przybiegł na spotkanie wprost z kuźni. Obrzucił chłopców przeciągłym spojrzeniem pełnym dezaprobaty, potem w wystudiowany sposób odwrócił się na krzesło, powracając do swej fajki z długim ustnikiem.

Rand, zaintrygowany, zwolnił kroku, chwilę później jednak z trudem powstrzymał okrzyk. To Mat kopnął go w kostkę. Przyjaciel kilkakrotnie kiwnął głową w kierunku

tylnych drzwi sali, a następnie szybko ruszył w ich kierunku. Nieznacznie powłócząc nogami, Rand wolno poszedł za nim.

— O co chodzi tym razem? — domagał się wyjaśnień, gdy tylko znaleźli się w korytarzu wiodącym do kuchni. Omal nie złamałeś mi...

— To stary Luhhan — powiedział Mat, spoglądając ponad ramieniem Randa w kierunku sali. — Pewnie podejrzewa, że to ja...

Przerwał raptownie, gdy w drzwiach kuchni, wiodąc za sobą zapach świeżego chleba, pojawiła się pani al'Vere.

Na tacy niosła pikle, ser i świeżo wypieczony bochenek chleba, jeden z tych, którym słusznie zawdzięczała swoją sławę w okolicach Pola Emonda. Ten widok przypomniał Randowi, że właściwie od czasu, gdy zjadł kromkę pieczywa przed opuszczeniem farmy, nic jeszcze dzisiaj nie miał w ustach. Zaczęło mu żenująco burczeć w brzuchu.

Pani al'Vere, smukła kobieta, z grubym warkoczem siwiejących włosów przerzuconym przez ramię, objęła ich obu macierzyńskim uśmiechem.

— Jest tego więcej w kuchni, gdybyście byli głodni, a przyznam się, że nie spotkałam jeszcze chłopców w waszym wieku, którzy by nie mieli ochoty na jedzenie. Chłopców w jakimkolwiek wieku, jeżeli już o to chodzi. Może jednak będziecie woleli miodowe ciastka? Upiekłam je dziś rano...

Była jedną z niewielu zamężnych kobiet w okolicy, które nie próbowały odgrywać wobec Tama roli swatki. Jej macierzyński stosunek do Randa nigdy nie przekroczył granicy ciepłych uśmiechów i podsuwanych przekąsek, w ten sam sposób zresztą traktowała wszystkich mieszkających w okolicy młodzieńców. Od czasu do czasu patrzyła na niego w taki sposób, jakby chciała zrobić coś więcej, zawsze jednak poprzestawała na samych spojrzaniach i za to Rand był jej głęboko wdzięczny.

Nie czekając na odpowiedź, weszła do sali, a w chwilę później panującą w niej ciszę wypełniły odgłosy odsuwania krzesel, wydawane przez wstających mężczyzn i głośne okrzyki zachwytu, wywołane zapachem chleba. Pani al'Vere była bez wątpienia najlepszą kucharką w Polu Emonda, w promieniu wielu mil nie znalazłoby się mężczyzny, który nie miałby ochoty skwapliwie skorzystać z okazji, aby zasiąść przy jej stole.

— Miodowe ciastka — powiedział Mat, oblizując wargi.

— Potem — stanowczo odrzekł Rand. — W przeciwnym razie nigdy tego nie skończymy.

Dwie lampy, jedna umieszczona tuż za kuchennymi drzwiami, druga zaś dokładnie nad piwnicznymi schodami, zatapiały kamienne mury pomieszczenia w kałuży światła. Tylko w najbardziej odległych kątach czaiła się odrobina mroku. Wzdłuż ścian i w poprzek podłogi, na drewnianych stojakach stały baryłki z brandy i jabłecznikiem oraz większe beczki pełne piwa i wina. Niektóre z nich miały wprawione kurki. Na wielu beczkach z winem, wykonane ręką oberżysty napisy oznaczały rok zakupu, imię han-

dlarza, który je dostarczył oraz miejsce produkcji. Brandy i piwo natomiast pochodziły od rodzimych farmerów z Dwu Rzek albo też stanowiły wyrób samego Brana. Handlarze, a nawet kupcy czasami przywozili ze sobą brandy; ale nigdy jednak nie były one tak dobre, jak produkt rodzimy, a ponadto kosztowały dużo, toteż nikt nie próbował ich więcej niż raz.

— Teraz — rzekł Rand, gdy kładli baryłki na stojakach — powiedz mi, co takiego zrobiłeś, że musisz unikać, pana Luhhana?

Mat wzruszył ramionami.

— Naprawdę nic. Powiedziałem tylko Adanowi al'Caar i jego smarkatym przyjacielom, Ewinowi Finngarowi oraz Dagowi Coplinowi, że kilku farmerów widziało w lesie zionące ogniem upiory psów. Połknęli to bez zmrużenia oka.

— I za to pan Luhhan jest na ciebie wściekły? — zapytał z niedowierzaniem Rand.

— Nie tylko — Mat przerwał i potrząsnął głową. — Widzisz, wysmarowałem mąką dwa jego psy tak, że były zupełnie białe. Potem spuściłem je w pobliżu chaty Daga. Skąd miałem wiedzieć, że pobiegną prosto do domu? To naprawdę nie była moja wina. Gdyby pani Luhhan nie zostawiła drzwi otwartych, nigdy by nie weszły do środka. I wcale nie chciałem zasypywać całego jej domu mąką.

Parsknął śmiechem.

— Słyszałem później, że wszystkich troje, to znaczy psy i starego Luhhana, wygoniła miotłą na zewnątrz.

Rand zmarszczył czoło, lecz nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

— Na twoim miejscu bardziej obawiałbym się Alsbet Luhhan niż kowala. Jest niemalże tak samo silna jak on, za to o wiele bardziej porywcza. Zresztą mniejsza o to. Jeżeli przejdiesz szybko, może cię nie zauważy.

Wyraz twarzy Mata wyraźnie wskazywał, że nie uważa uwagi Randa za śmieszna.

Kiedy jednak wrócili do sali, okazało się, że Mat nie musi się spieszyć. Mężczyźni siedzieli w szóstkę przed kominkiem, ich krzesła były zsunięte razem. Odwrócony plecami do ognia Tam mówił coś przyciszonym głosem, a pozostali słuchali z takim natężeniem uwagi, że przypuszczalnie nie zauważyliby, gdyby ktoś przegnał przez gospodę stado owiec. Rand chciał podejść bliżej, by usłyszeć, o czym rozmawiają, lecz Mat szarpnął go za rękaw i obdarzył umęczonym spojrzeniem. Westchnął więc tylko i poszedł do wozu.

Kiedy na powrót znaleźli się w korytarzu, na szczycie schodów stała taca, a powietrze wypełniał słodki aromat miodowego ciasta. Obok parującego dzbana grzanego cydru stały dwa kufle. Pomimo tego, iż sam się napominał, aby poczekać z jedzeniem, aż skończą pracę, Rand zorientował się nagle, że dwa ostatnie kursy pomiędzy wozem a piwnicą pokonuje usiłując niezdarnie żonglować baryłką i gorącym kawałkiem ciasta.

Ustawił ostatnią baryłkę na stojaku. Mat również uwolnił się od swojego ciężaru, otarł okrusy z ust i powiedział:

— Teraz do bar...

Czyjeś kroki zastukały na schodach. Śpieszący się Ewin Finngar niemal wpadłby do piwnicy. Jego okrągłą twarz rozjaśniało niecierpliwe pragnienie zakomunikowania najnowszych wieści.

— Obcy są w wiosce. — Przerwał na chwilę, by złapać oddech i obrzucił Mata gniewnym spojrzeniem. — Nie widziałem żadnych psów upiorów, ale słyszałem, że ktoś wysmarował mąką psy pana Luhhana. Słyszałem także, że pani Luhhan wie, kogo za to winić.

Różnica wieku pomiędzy Matem i Randem a Ewinem, który miał tylko czternaście lat, zazwyczaj aż nadto wystarczała, by zlekceważyć to, co miał do powiedzenia. Teraz jednak przyjaciele wymienili tylko zaskoczone spojrzenia, a po chwili zaczęli mówić obaj naraz.

— W wiosce? — zapytał Rand. — Nie w lesie?

A Mat natychmiast dodał:

— Miał czarny płaszcz? A widziałeś jego twarz?

Ewin niepewnie popatrywał na ich twarze, dopiero kiedy Mat groźnie postąpił krok w jego kierunku, szybko zaczął mówić:

— Oczywiście, że widziałem jego twarz. A jego płaszcz jest zielony. A może szary. Zmienia się. Jego kolor zlewa się z otoczeniem. Czasami, jeśli się nie porusza, w ogóle nie można go spostrzec. A jej płaszcz jest błękitny, taki jak niebo i dziesięć razy bardziej strojny niż wszystkie świąteczne ubiory, jakie dotąd widziałem. A ona sama jest dziesięć razy ładniejsza niż wszyscy ludzie, których w swoim życiu spotkałem. Na pewno jest szlachetnie urodzoną damą, taką jak w opowieściach. Musi być.

— Ona? — zapytał Rand. — O kim ty mówisz?

Spojrzał na Mata, który chwycił się rękoma za głowę, mocno zaciskając powieki.

— To są ci ludzie, o których miałem ci powiedzieć — wymamrotał Mat — zanim zapędziłeś mnie do...

Przerwał, otworzył oczy i ostro spojrzał na Ewina.

— Przyjechali zeszłego wieczora — podjął po chwili — i zatrzymali się w gospodzie. Widziałem, jak przyjechali. Widziałem ich konie, Rand. Nigdy przedtem nie widziałem koni tak wysokich, o tak lśniącej sierści. Wyglądały, jakby mogły biec bez końca. Myślę, że on dla niej pracuje.

— Służę — wtrącił się Ewin. — W opowieściach nazywają to służbą.

Mat mówił dalej, jakby nic nie słyszał.

— W każdym razie podporządkowuje się jej, robi wszystko, co ona każe. Tylko, że nie wygląda jak służący. Raczej jak żołnierz. Nosi miecz tak, jakby to była część jego ciała, jak ręka czy stopa. Straż kupców wyglądałaby przy nim jak kundle. No i ona, Rand. Nawet w snach nigdy nie wyobrażałem sobie nikogo takiego jak ona. Ona jest jak... jak...

Przerwał i obdarzył Ewina kwaśnym spojrzeniem.

— ... jak szlachetnie urodzona dama — skończył z westchnieniem.

— Ale kim oni są? — zapytał Rand.

Oprócz kupców, przyjeżdżających raz do roku po tytoń i wełnę, oraz handlarzy, obcy nigdy, lub prawie nigdy nie pojawiali się w Dwu Rzekach. Może bywali w Taren Ferry, ale na pewno nie docierali tak daleko na południe. Większość kupców i handlarzy przyjeżdżała tu stale od lat, toteż nie byli tak naprawdę obcy. Ot, po prostu, ludzie z zewnątrz. Dobre pięć lat upłynęło od czasu, gdy ktoś naprawdę obcy pojawił się w Polu Emonda. Człowiek ten uciekał przed jakimiś kłopotami, które miał w Baerlon, a których charakteru nikt w wiosce nie rozumiał. Zresztą i tak nie zabawił długo.

— Czego oni chcą?

— Czego chcą? — wykrzyknął Mat. — Nie dbam o to, czego chcą. Obcy, Rand i to obcy o jakich nigdy nie śniłeś. Pomyśl o tym!

Rand otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale po chwili zrezygnował. Wspomnienie jeźdźca w czarnym płaszczu powodowało, że czuł się jak kot w okolicy pełnej psów. Troje obcych w wiosce, w tym samym czasie — to wyglądało na zupełnie nieprawdopodobny zbieg okoliczności. Troje, oczywiście pod warunkiem, że zmiennokolorowy płaszcz jednego z nich nigdy nie przybierał barwy czarnej.

— Ona nosi imię Moiraine — powiedział Ewin, korzystając z chwili ciszy. — Słyszałem, jak on je wypowiedział. Mówił do niej Moiraine. Lady Moiraine. Wiedząca może jej nie lubić, ale ja się z nią nie zgadzam.

— Dlaczego sądzisz, że Nynaeve jej nie lubi? — zapytał Rand.

— Dzisiejszego poranka pytała Wiedzącą o drogę — odparł Ewin — i nazwała ją „dzieckiem”.

Rand i Mat cicho gwizdnęli przez zęby, a Ewin aż zająknął się, tak niecierpliwie pragnął wszystko wyjaśnić.

— Lady Moiraine nie wiedziała, z kim rozmawia. Zrozumiawszy, później bardzo przepraszała. Naprawdę. Potem zadała jej kilka pytań o różne zioła, o to, kto jest kim w Polu Emonda, a wszystko z szacunkiem takim, jaki okazują kobiety w wiosce, z większym nawet niż niektóre z nich. Przez cały czas zadawała pytania, o to, ile kto ma lat i jak długo mieszka tutaj i ... ojej, nie pamiętam o co jeszcze. W każdym razie Nynaeve odpowiadała, mając taki wyraz twarzy, jakby się najadła zielonych jagód. Później, gdy Lady Moiraine odchodziła, patrzyła za nią takim wzrokiem, jak... cóż, nie było to przyjacielskie, możecie mi wierzyć.

— To wszystko? — zapytał Rand. — Znacie usposobienie Nynaeve. Kiedy w zeszłym roku Cenn Buie nazwał ją dzieckiem, uderzyła go laską w głowę, mimo że jest członkiem Rady Wioski, a ponadto mógłby być jej dziadkiem. Łatwo denerwuje ją byle co, ale nigdy długo nie chowa urazy.

— W tym przypadku, dla mnie to jednak trwa zbyt długo — wymamrotał Ewin.

— Nie dbam o to, kogo Nynaeve bije — zaśmiał się Mat — dopóki to nie jestem ja. Zapowiada się najwspanialsze Bel Tine ze wszystkich, jakie dotąd były. Bard, dama... któż mógłby chcieć więcej? Komu potrzebne są fajerwerki?

— Bard? — zapytał Ewin podnieconym głosem.

— Chodź, Rand — Mat ruszył, zupełnie ignorując pytanie. — Tu już skończyliśmy. Musisz zobaczyć tego człowieka.

Wbiegł po schodach na górę. Ewin gramolił się za nim, wołając:

— Naprawdę jest bard, Mat? To nie jest tak, jak z tymi psami upiorami, nieprawdaż? Albo z żabami?

Rand przystanął na moment, aby zgasić lampę, a potem pospieszył za nimi.

W sali, siedzące przy kominku grono powiększyło się o Rowana Hurna i Same-la Crawe, tak że cała Rada Wioski była w komplecie. Mówił teraz Bran al'Vere — jego normalnie gromki głos był tak ściszony, że poza ścisły krąg krzeseł wydostawało się tylko głucho mamrotanie. Burmistrz podkreślał swoje słowa, uderzając grubym palcem wskazującym w grzbiet drugiej dłoni i wpatrując się w każdego z mężczyzn po kolei. Tamci kiwali głowami, zgadzając się z każdym jego słowem, może tylko Cenn robił to z pewnym ociąganiem.

Widok grupy mężczyzn, skupionych tak ciasno, że niemalże napierających na siebie, posiadał wymowę bardziej jednoznaczną, niż gdyby powiesili sobie nad głowami znak zakazujący wstępu. O czymkolwiek mówili, było to przeznaczone wyłącznie dla Rady Wioski, przynajmniej na jakiś czas. Z pewnością nie podobałoby im się, gdyby Rand próbował słuchać. Ociągając się, powędrował do wyjścia. Jest przecież jeszcze bard. No i ci obcy.

Beli i wozu już nie było, zajął się nimi jeden ze stajennych oberżysty, Hu albo może Tad. Przed wejściem, spoglądając na siebie, stali Mat i Ewin, ich płaszcze łopotały na wietrze.

— Mówię ci po raz ostatni — warknął Mat. — Nie oszukuję cię. Naprawdę przyjechał bard. A teraz idź już sobie. Rand, mógłbyś powiedzieć tej kapuścianej głowie, że mówię prawdę, i żeby zostawił mnie w spokoju?

Rand ściągnął poły płaszcza i ruszył naprzód, by wesprzeć Mata, lecz nagle poczuł delikatne mrowienie w karku i niewypowiedziane słowa zamarły mu na ustach. Był obserwowany, Uczucie, które go opanowało, nie było tak przykre, jak podczas spotkania z zamaskowanym jeźdźcem, lecz mimo to wcale nie było nazbyt przyjemne, zwłaszcza że wciąż miał w pamięci tamto zdarzenie.

Szybki rzut oka na Łąkę ukazał mu tylko to, co już widział przedtem — bawiące się dzieci, ludzi przygotowujących Święto. Nikt nie patrzył w jego kierunku. Wiosenny Słup stał na uboczu, gotowy do ceremonii. Krzątania i dziecięce okrzyki wypełniały boczne uliczki. Wszystko było tak, jak być powinno. Wyjąwszy to, że ktoś go obserwował.

Nagle coś skłoniło go do odwrócenia się i uniesienia wzroku. Na krawędzi krytego dachówką dachu karczmy siedział wielki kruk, chwiejąc się lekko w podmuchach porywistego wiatru wiejącego od gór. Głowę trzymał przekrzywioną w bok, a jedno paciorkowate oko było wpatrzone...

„We mnie” — pomyślał Rand.

Przełknął ślinę, nagle zawrzał w nim gniew.

— Parszywy padlinożerca — zamruczał.

— Męczy mnie już to wgapienie się — warknął Mat, a Rand zdał sobie sprawę, że przyjaciel stoi tuż za nim i z dezaprobatą patrzy na ptaka.

Ich oczy spotkały się i jak jeden mąż sięgnęli po kamienie. Celnie rzucone odłamki skał przecięły powietrze... ale kruk się odsunął, pociski trafiły w pustkę. Ptak raz tylko machnął skrzydłami i ponownie przekrzywił głowę, kierując na nich nieruchome spojrzenie, zupełnie spokojny, jakby nic przed chwilą nie zaszło.

Rand osłupiały wpatrywał się w niego.

— Czy widziałeś kiedykolwiek, żeby kruk się tak zachowywał? — zapytał cicho.

Mat potrząsnął głową, nie spuszczać wzroku z kruka.

— Nigdy. Żaden ptak się tak nie zachowuje.

— Nikczemny ptak — usłyszeli za sobą kobiecy głos, melodyjny pomimo dźwięczącego w nim tonu niesmaku — któremu nie należy ufać nawet w najlepszych czasach.

Z przenikliwym krzykiem kruk poderwał się do lotu. Uczynił to tak gwałtownie, że aż zgubił dwie czarne lotki, które powoli spadły na ziemię.

Mat i Rand odwrócili się zaskoczeni i obserwowali, jak ptak odlatuje ponad Łąką w kierunku tonących w chmurach Gór Mgły, wysoko ponad Zachodnim Lasem, jak wreszcie maleje do rozmiarów kropki i znika na zachodzie.

Rand popatrzył na kobietę. Ona również obserwowała odlot kruka, lecz w tym samym momencie odwróciła się i ich spojrzenia się spotkały. Z pewnością była to Lady Moiraine, albowiem była dokładnie taka, jak ją opisywali Mat oraz Ewin. Taka, a nawet jeszcze wspanialsza. Mógł tylko patrzeć w osłupieniu.

Kiedy usłyszał, że nazwała Nynaeve dzieckiem, wyobrażał sobie, że musi być stara — ale nie była. Ostatecznie nie był w stanie w ogóle określić jej wieku. Początkowo myślał nawet, że jest tak młoda, jak Nynaeve, ale im dłużej patrzył, tym wydawała mu się starsza. W jej ogromnych, ciemnych oczach kryła się dojrzałość, jaka nikomu nie jest dana w młodości. Przez chwilę wydawało mu się, że te oczy są jak głębokie studnie, że się w nich topi. Zrozumiał też, dlaczego Mat i Ewin określili ją jako damę z opowieści barda. W jej postawie była szlachetność, a otaczająca ją atmosfera władzy spowodowała, że Rand poczuł się nagle niezgrabny i niezręczny. Była niska, sięgała mu zaledwie do klatki piersiowej, ale w prezencji miała coś takiego, co kazało wierzyć, że taki wzrost jest właśnie najbardziej właściwy, toteż Rand poczuł się nagle zupełnie, nieodpowiednio duży.

Była całkowicie inna niż wszyscy ludzie, których dotąd spotkał. Szeroki kaptur jej płaszcz ocieniał twarz i miękkie ciemne loki. Nigdy jeszcze nie widział dorosłej kobiety z nie zaplecionymi włosami. W Dwu Rzekach każda dziewczyna z niecierpliwością oczekiwała chwili, gdy Koło Kobiet jej wioski orzeknie, że jest już wystarczająco dorosła, aby nosić warkocz. Ubiór Lady Moiraine był równie dziwny. Płaszcz z błękitnego aksamitu obrzeżony był grubym srebrnym haftem w kształcie liści, kwiatów i pnączy. Ciemniejsza od płaszcz, kremowo nakrapiana niebieska suknia, leciutko połyskiwała. Naszyjnik z ciężkich złotych ogniw wisiał na piersiach. Dużo delikatniejszy łańcuszek spinał jej włosy, rozbłyskując na czole niebieskim kamieniem. Szeroka złota plecionka opinała talię, a na środkowym palcu lewej ręki nosiła złoty pierścień w kształcie węża pożerającego własny ogon. Rand oczywiście nigdy nie widział jeszcze takiego pierścienia, lecz rozpoznał Wielkiego Węża, symbol wieczności, starszy nawet niż Koło Czasu.

„Bardziej zdobne niżli jakikolwiek ubiór świąteczny” powiedział przedtem Ewin i miał rację. Nigdy nikt nie ubierał się tak w Dwu Rzekach. Nigdy.

— Dzień dobry pani... eh, Lady Moiraine — zająknął się Rand, czując jednocześnie, jak się rumieni.

Uśmiechnęła się, a Rand poczuł, że bardzo chciałby coś dla niej zrobić, coś, co usprawiedliwiłoby dalszą jego obecność przy niej. Zdawał sobie sprawę, że ten uśmiech jest przeznaczony dla wszystkich, niemniej czuł się tak, jakby skierowany był wyłącznie do niego. Było naprawdę, jakby w urzeczywistnionej opowieści barda. Na twarzy Mata zastygł głupawy uśmiech.

— Znacie moje imię — powiedziała uradowana.

Jak gdyby nie rozumiała, że jej obecność w wiosce, choćby nie wiadomo jak krótka, miała dostarczyć tematu do rozmów przynajmniej na rok.

— Ale musicie mówić do mnie Moiraine, a nie lady. A jak wy się nazywacie?

Ewin wyrwał się, zanim któryś z przyjaciół był w stanie cokolwiek wykrztusić.

— Nazywam się Ewin Finngar, pani. Ja im powiedziałem, jak masz na imię i stąd wiedzą. Słyszałem, jak wypowiadał je Lan, ale wcale nie podsłuchiwałem. Dotychczas nikt taki jak ty, pani, nigdy nie pojawił się w Polu Emonda. Na Bel Tine przyjechał także bard. I dzisiaj jest Noc Zimowa. Czy przyjdiesz do mego domu? Matka upiekła ciastka z jabłkami.

— Będę musiała się zastanowić — odpowiedziała, kładąc Ewinowi dłoń na ramieniu. W jej oczach błysnęło rozbawienie, lecz wyraz twarzy nie uległ zmianie. — Nie wiem, czy jestem w stanie konkurować z bardem, Ewin. Natomiast wszyscy musicie mówić do mnie Moiraine.

Spojrzała wyczekująco na Randa i Mata.

— Ja nazywam się Matrim Cauthon, La... eh, Moiraine — odrzekł Mat. Wykonał sztywny, niezgrabny ukłon i oblał się rumieńcem.

Rand zastanawiał się, czy też powinien coś takiego zrobić, tak jak o tym słyszał w opowieściach, lecz gdy zobaczył efekt usiłowań Mata, przestał na zwykłym wypowiedzeniu swego imienia. Tym razem udało mu się nie zająknąć.

Moiraine patrzyła na przemian to na niego, to na Mata. Rand pomyślał, że jej uśmiech, samymi kącikami ust, przypominał sposób, w jaki uśmiechała się Egwene, kiedy coś ukrywała.

— Mogę mieć od czasu do czasu kilka drobnych spraw do załatwienia — powiedziała. — Może zechcecie mi towarzyszyć? — Zaśmiała się, widząc, jak niemal podskoczyli z radości. A po chwili dodała: — Bardzo proszę.

Rand zaskoczony poczuł, jak wsuwa mu monetę w dłoń i zaciska ją potem obiema rękoma.

— Nie ma potrzeby — zaczął, lecz uciszyła go gestem, dając monetę Ewinowi, a potem ujmując dłoń Mata w ten sam sposób, w jaki zrobiła z Randem.

— Oczywiście, że jest — powiedziała. — Nie mogę od was wymagać pracy za darmo. Potraktujcie to jako symbol naszej umowy. Będzie wam przypominać, że zgodziliście się przyjść do mnie, kiedy tylko poproszę.

— Ja nigdy nie zapomnę — Ewin wciągnął powietrze.

— Porozmawiamy później — powiedziała — i wtedy wszystko mi o sobie opowiecie.

— Lady... to znaczy, Moiraine? — zapytał niepewnie Rand, gdy już odchodziła.

Zatrzymała się i spojrzała przez ramię. Musiał przełknąć ślinę, zanim mógł ciągnąć dalej.

— Po co przybyłaś do Pola Emonda?

Wyraz jej twarzy się nie zmienił, mimo to, sam nie wiedząc dlaczego, pożałował, że zapytał. I na dodatek jeszcze brnął dalej.

— Nie chciałem być niegrzeczny. Przepraszam. Po prostu do Dwu Rzek nie przyjeżdża nikt oprócz kupców i handlarzy, a nawet oni pojawiają się tylko wtedy, gdy warstwa śniegu jest wystarczająco cienka, aby móc przedostać się z Baerlon. Poza nimi przecież nikt tu nie przyjeżdża. Strażnicy kupców mówią czasami, że jest to ostatnie miejsce na końcu świata i przypuszczam, że dla ludzi z zewnątrz musi to tak wyglądać. Chciałem tylko wiedzieć.

Uśmiech powoli zamierał na jej twarzy, jak gdyby coś sobie przypominała. Przez moment miał wrażenie, że zupełnie go nie dostrzega.

— Studiuję historię — powiedziała wreszcie — zbieram stare opowieści. Miejsce, nazywane przez was Dwie Rzeki, zawsze mnie interesowało. Badam opowieści o tym, co zdarzyło się dawno temu, tutaj albo w innych miejscach.

— Opowieści? — zapytał Rand. — Cóż takiego zdarzyło się w Dwu Rzekach, co mogłoby zainteresować kogoś takiego... to znaczy, coś w ogóle mogłoby się tutaj wydarzyć?

— A jak miałyby się inaczej nazywać Dwie Rzeki? — dodał Mat. — W ten sposób właśnie się zawsze nazywały.

— Wraz z każdym obrotem Koła Czasu — powiedziała na poły do siebie Moiraine, ze wzrokiem skierowanym gdzieś w przestrzeń — miejsca zmieniają nazwy. Ludzie noszą różne imiona, mają różne twarze. Twarz jest inna, ale zawsze jest to ten sam człowiek. Jednak nikt nie zna Wielkiego Wzoru, według którego obraca się Koło, ba... nie znamy nawet Wzoru Wieku. Możemy tylko patrzeć, studiować i mieć nadzieję.

Rand spoglądał na nią niezdolny wypowiedzieć słowa, nawet zapytać o znaczenie tego, co mówiła. Nie był zresztą pewien, czy cokolwiek z tego, co powiedziała, było przeznaczone dla nich. Spostrzegł, że jego towarzysze stoją kompletnie oniemiały. Ewin ze zdziwienia otworzył usta.

Moiraine znów zwróciła na nich swe spojrzenie i wszyscy trzej drgnęli, jakby się budząc.

— Porozmawiamy później — powiedziała.

Nikt jej nie odpowiedział.

— Później.

Poszła w kierunku Mostu Wozów, lekko jakby sunąc nad ziemią. Poły jej płaszcz powiewały z obu stron jak skrzydła.

Wysoki mężczyzna, którego Rand nie dostrzegł dotąd, oderwał się od frontu gospody i ruszył za nią, trzymając dłoń na długiej rękojeści miecza. Jego ubiór był koloru ciemnoszarej zieleni, takiej która z łatwością roztopi się wśród liści, czy cieni; łopoczący na wietrze płaszcz połyskiwał szarością, zielenią i brązem. Czasami ten płaszcz zdawał się znikać, zlewając się z tłem. Długie, posiwiałe na skroniach włosy spinała wąska skórzana opaska. Jego twarz była jak wykuta z kamienia, lecz nie dostrzegłoby się na niej zmarszczek, tylko siwizna na skroniach mogła sugerować wiek. Kiedy szedł, nieodparcie przypominał Randowi wilka.

Przechodząc obok trzech chłopców, obrzucił ich szybkim spojrzeniem. Jego oczy, chłodne i błękitne, były jak zimowy poranek. Wyglądało to tak, jakby szacował ich w myśli, ale jego twarz w najmniejszy nawet sposób nie zdradzała, jaki jest rezultat osądu. Przyspieszył kroku, doganiając Moiraine, potem zwolnił i lekko pochylony szedł przy niej, mówiąc coś. Rand wypuścił powietrze. Nie zdawał sobie sprawy, że cały czas wstrzymywał oddech.

— To był Lan — powiedział ochryple Ewin, jakby on również miał kłopoty z oddychaniem. Taką przynajmniej miał minę. — Założę się, że jest Strażnikiem.

— Nie bądź głupi — roześmiał się Mat, ale był to słaby śmiech. — Strażnicy istnieją tylko w opowieściach. A prócz tego Strażnicy mają złote miecze i broje wysadzone klejnotami. Całe swoje życie spędzają na północy, na Wielkim Ugorze, walcząc ze złem, trollkami i innymi takimi rzeczami.

— To może być Strażnik — upierał się Ewin.

— Widziałeś jakieś złoto lub klejnoty? — drwił Mat. — Czy są jakieś trolloki w Dwu Rzekach? Owce, to są. Zastanawiam się, co mogło się tu wydarzyć, by zainteresowało kogoś takiego jak ona?

— Coś mogło — powoli odpowiedział Rand. — Powiadają, że gospoda stoi tu od tysiąca lat, może nawet dłużej.

— Tysiące lat pasania owiec — odparował Mat.

— Srebrny grosz — wykrzyknął Ewin. — Dała mi cały srebrny grosz. Pomyślcie, co za to kupię, kiedy wreszcie przybędzie handlarz.

Rand otworzył dłoń i spojrział na trzymaną monetę. Zaskoczony, omal jej nie upuścił. Nie rozpoznał wprawdzie grubego, srebrnego krążka oraz wybitej na nim postaci kobiety, trzymającej wyprostowaną ręką pojedynczy płomień, lecz zdarzało mu się czasami przypatrywać, gdy Bran al'Veere szacował monety zwożone przez kupców z różnych stron świata, toteż miał pewne pojęcie o jej wartości. Za taką ilość srebra mógł kupić w Dwu Rzekach dobrego konia i jeszcze wziąć resztę.

Popatrzył na Mata i zobaczył na jego twarzy taki sam wyraz oszołomienia, jaki musiał malować się na jego własnej. Odwrócił dłoń tak, aby przyjaciel mógł widzieć zawartość pozostającą niewidzialną dla Ewina i pytająco uniósł brew. Mat pokiwał potakująco głową i przez chwilę zdumieni wpatrywali się w siebie.

— Jaką pracę ona może mieć dla nas? — w końcu zapytał Rand.

— Nie mam pojęcia — zdecydowanie odparł Mat — i nie interesuje mnie to. — Co więcej, nie wydam tych pieniędzy. Nawet wtedy, gdy przyjedzie handlarz.

Mówiąc to, schował monetę do kieszeni kaftana.

Kiwając głową, Rand powoli zrobił to samo. Nie wiedział dlaczego, ale w jakiś sposób Mat miał rację. Tej monety nie wolno wydawać. Pochodziła przecież od niej. Nie był w stanie sobie wyobrazić, do czego jeszcze nadaje się srebro, lecz...

— Myślicie, że ja swoją też powinienem zatrzymać — grymas niezdecydowania odmalował się na twarzy Ewina.

— Tylko wtedy, jeżeli rzeczywiście chcesz — poradził mu Mat.

— Myślę, że tobie ją dała po to, abyś wydał — dodał Rand.

Ewin spojrział na monetę, potem potrząsnął głową i wsunął srebrny grosz do kieszeni.

— Też ją zatrzymam — powiedział żałośnie.

— Wciąż jeszcze pozostaje bard — powiedział Rand i twarz chłopca rozjaśniła się.

— Jeżeli kiedykolwiek się obudzi — dodał Mat.

— Rand, czy bard tu jest? — zapytał Ewin.

— Sam zobaczysz — zaśmiał się Rand w odpowiedzi.

Jasne było, że Ewin nie uwierzy, dopóki nie zobaczy barda.

— Wcześniej czy później musi zejść na dół.

Na Moście Wozów rozbrzmiewały jakieś okrzyki, a kiedy Rand spojrział w tamtą stronę, jego śmiech stał się naprawdę szczery. Gęsty tłum mieszkańców wioski, od posiwiałych starców do malców ledwie potrafiących chodzić, otaczał wysoki wóz ciągniony przez ósemkę koni. Najróżniejsze tobołki i pakunki zwieszały się z jego płóciennego dachu jak winne grona. Handlarz w końcu przybył. Obcy, bard, fajerwerki i handlarz! Zapowiadało się najwspanialsze Bel Tine ze wszystkich, jakie dotąd były.

HANDLARZ

Rondle trzaskały i pobrzękiwały, gdy wóz handlarza turkotał na solidnych belkach mostu. Otoczony wciąż chmarą mieszkańców wioski i przybyłych na święto farmerów, handlarz zatrzymał wreszcie konie przed gospodą. Ze wszystkich stron nieustannie nadchodzili nowi ludzie, powiększając tłum zgromadzony wokół wielkiego wozu, o kołach rozmiarem przekraczających wzrost dorosłego mężczyzny. Wszyscy, zadzierając głowy, wpatrywali się w siedzącego na kozle handlarza.

Padan Fain był bladym, ponurym człowiekiem o szczupłych ramionach i wielkim haczykowatym nosie. Zawsze roześmiany, jak gdyby znał jakiś żart, którego poza nim nie znał nikt. Wraz ze swoim wozem pojawiał się w Polu Emonda każdej wiosny, odkąd tylko Rand pamiętał.

W momencie, w którym z brzękiem uprzęży zaprzęg stanął, drzwi gospody otworzyły się, ukazując całą Radę Wioski z panem al'Vere i Tamem na czele. Kroczyli powoli, pomiędzy ludźmi, którzy wyrażali pełne podniecenia prośby o igły, koronki, książki i dziesiątki innych rzeczy. Tłum niechętnie rozstępował się, aby ich przepuścić, by natychmiast po ich przejściu znowu się ścieśnić. Gwar nie przycichał nawet na chwilę. Przede wszystkim domagano się informacji.

W oczach mieszkańców wioski igły, herbata oraz inne tego typu towary stanowiły tylko połowę ładunku znajdującego się na wozie. Równie ważnym towarem było słowo z daleka, wieści ze świata leżącego poza krainą Dwu Rzek. Niektórzy handlarze po prostu mówili wszystko, co wiedzieli, wyrzucając to z siebie jednym strumieniem, jak stos śmieci, o które nie warto się troszczyć. Inni chcieli, aby wszystko z nich wyciągać, mówili niechętnie, jakby z łaski. Fain jednak mówił dużo, przędąc opowieść, jakby sam był bardem. Pozostawanie w centrum uwagi sprawiało mu przyjemność, skupiwszy na sobie dziesiątki oczu, stąpał dumnie jak mały kogut. Randowi przyszło na myśl, że handlarz może być niezbyt zadowolony, gdy dowie się o obecności w Polu Emonda prawdziwego barda.

Handlarz poświęcał członkom Rady Wioski oraz jej mieszkańcom mniej więcej tyle samo uwagi, ile kosztowało go zawiązanie lejców, to znaczy po prostu wcale się nimi nie

przejmował. Kiwał głową, lecz te skinienia nie były skierowane do nikogo w szczególności. Uśmiechał się milcząco i machał leniwie ręką do osób, z którymi się przyjaźnił, choć gest ten wyrażał w tym przypadku uczucie człowieka o dosyć chłodnej naturze, sprowadzające się do wzajemnego poklepywania po plecach, bez nawiązywania żadnych ściślejszych więzi.

Coraz silniej odzywały się głosy domagające się informacji, lecz Fain, zajmując się jakimiś drobnostkami przy koźle, czekał, tłum osiągnie zadowolające go rozmiary. Członkowie Rady Wioski stali w milczeniu. Za wszelką cenę starali się zachować swoją godność i tylko gęstniejące nad ich głowami chmury tytoniowego dymu wskazywały, ile ich to musi kosztować.

Rand i Mat przepychali się przez tłum, starając się dotrzeć do wozu najbliżej jak było można. Rand skapitulowałby już w połowie drogi, Mat jednak prześlizgiwał się w jakiś sposób między ludźmi, ciągnąc go za sobą, aż nie stanęli bezpośrednio za Radą Wioski.

— Obawiałem się, że przez całe święto pozostaniesz na farmie. — To Perrin Aybara krzyczał do Randa przez zgiełk. Pół głowy niższy od niego, kędzierzawy uczeń kowala był tak mocno zbudowany, że wyglądał prawie jak półtora człowieka; grubością barków i ramion mógł rywalizować z samym panem Luhhanem. Z łatwością przedarłby się przez tłum, ale nie potrafił zachowywać się w ten sposób. Zamiast tego poruszał się ostrożnie, przepraszając grzecznie ludzi, którzy i tak niewiele poza handlarzem byli w stanie dostrzec. W ten sposób, uważając, by nikogo nie potrącić, dotarł wreszcie do miejsca, w którym stali Rand i Mat.

— Wyobraźcie sobie — powiedział, kiedy stanął obok — Bel Tine i handlarz, razem. Założę się, że na pewno przywiózł fajerwerki.

— Nie wie nawet ćwierci o tym, co się dzieje — zaśmiał się Mat.

Perrin spojrzał na niego podejrzliwie, potem przeniósł pytający wzrok na Randa.

— To prawda — wykrzyknął Rand, a potem wskazał na rosnący tłum, w którym wszyscy przekrzykiwali się nawzajem. — Później, wszystko ci wyjaśnię później. Później, powiedziałem!

W tej samej chwili Padan Fain stanął na koźle, a tłum uspokoił się natychmiast. Słowa Randa eksplodowały w nagle zapadłej ciszy, zaskakując handlarza w dramatycznej pozie, z jednym ramieniem wysuniętym do przodu i do połowy otwartymi ustami. Wszystkie oczy zwróciły się na Randa. Mały, kościsty mężczyzna na wozie, spodziewając się, że wszyscy z zapartym tchem wyczekują jego pierwszych słów, obdarzył go ostrym, badawczym spojrzeniem.

Twarz Randa poczerwieniała, żałował, że nie jest wzrostu Ewina i nie może się schować. Jego przyjaciele również poruszyli się niespokojnie. Dopiero rok temu Fain po raz pierwszy zwrócił na nich uwagę, traktując ich jak dorosłych mężczyzn. Zazwyczaj nie poświęcał czasu nikomu zbyt młodemu, po to by zachęcić do kupna towarów znajdu-

jących się, w wozie. Rand obawiał się, że znów może zostać relegowany przez handlarza do grupy dzieci.

Z głośnym pomrukiem dezaprobaty Fain szarpnął poły swego grubego płaszcza.

— Nie, bynajmniej nie później — zadeklamował, na powrót przybierając dumną pozę — będę mówił teraz.

Mówiąc, wykonywał szerokie gesty, jakby rozrzucał słowa nad tłumem.

— Myślicie, że macie kłopoty w Dwu Rzekach, czyż nie jest tak? Cóż, cały świat obecnie pogrąża się w nieszczęściu, od północy po południe, od zachodu na wschód, od Wielkiego Ugoru aż po Morze Sztormów, od Oceanu Aryth do Pustkowi Aiel. A nawet dalej. Mówicie, że zima była sroższa niż kiedykolwiek przedtem, że krew gęstniała w żyłach i pękały kości? Zima była mroźna i sroga wszędzie. Na Ziemiach Granicznych waszą zimę nazwano by wiosną. Ale wiosna nie przyszła, powiadacie? Wilki pozagryzały wasze owce? Wilki atakowały ludzi? Nie tak się rzeczy miały? Cóż, powiem wam. Wiosna opóźnia się wszędzie. Wszędzie grasują wilki, spragnione czegoś, w czym mogłyby zatopić swe kły, czy będzie to owca, krowa, czy człowiek. Lecz były tej zimy rzeczy gorsze niż wilki. Są tacy, którzy chcieliby mieć tak niewielkie kłopoty, jakie wy macie — przerwał i popatrzył wyczekująco.

— Co może być gorszego od wilków, zabijających owce i ludzi? — domagał się odpowiedzi Cenn Buie.

Wokół rozległy się aprobujące szmery.

— Ludzie, zabijający ludzi! — Złowieszcze tony, pobrzmiwające w odpowiedzi handlarza, wywołały w tłumie wzmagający się szmer zaskoczonych pomruków. — Myślę, że to jest wojna. Wojna opanowała Ghealdan, wojna i szaleństwo. Śniegi Lasu Dhallin są czerwone od ludzkiej krwi. Powietrze pełne jest kruków i ich wrzasku. Armie maszerują do Ghealdan. Narody, arystokracja i wszyscy wielcy wysyłają swych żołnierzy w bój.

— Wojna — usta pana al'Vere z trudem sformułowały niecodzienne słowo. Nikt w Dwu Rzekach nie miał nigdy nic wspólnego z wojną. — Po co oni toczą wojnę?

Grymas wypełził na twarz Faina i Rand miał wrażenie, że kpi on z izolacji wieśniaków, wyśmiewa ich ignorancję. Handlarz pochylił się do przodu, jakby chciał powierzyć burmistrzowi sekret, ale jego szept był tak głośny, że słyszeli go wszyscy.

— Podniesiono na powrót sztandar Smoka. I ludzie gromadzą się, by z nim walczyć. Albo go wesprzeć.

Tłum westchnął, a Rand zatrzęsł się mimowolnie.

— Smok — zajęczał ktoś. — Sam Czarny jest w Ghealdan!

— Nie sam Czarny — zamruczał Haral Luhhan. — Smok nie jest Czarnym. A ten i tak jest fałszywym Smokiem.

— Posłuchajmy, co pan Fain ma do powiedzenia — burmistrz bezskutecznie próbował uciszyć tłum.

Wszyscy wrzeszczeli przekrzykując się nawzajem.

— Równie źle, gdyby to był sam Czarny!

— Smok sprowadził Pęknięcie Świata, czyż nie?

— Rozpoczął je. Wywołał Czas Szaleństwa!

— Wspomnijcie prorocтва. Kiedy odrodzi się Smok, najgorsze koszmary będą się wydawać słodkimi snami!

— To jest po prostu kolejny fałszywy Smok. Nie może być inaczej!

— Co za różnica? Wspomnij ostatniego fałszywego Smoka. Również rozpoczął wojnę. Tysiące umarło, zgadza się, Fain? Oblegał Illian.

— Nadchodzą złe czasy. Od dwudziestu lat nikt nie obwoływał się Smokiem Odrodzonym, a teraz w ciągu ostatnich pięciu lat aż trzech. Złe czasy. Spójrzcie na pogodę.

Rand spojrział na przyjaciół. Twarz Mata płonęła z podniecenia, natomiast oblicze Perrina wykrzywił grymas zmartwienia. Rand pamiętał wszystkie zasłyszane opowieści, opowieści o ludziach, którzy mienili się być Smokiem Odrodzonym, lecz wkrótce okazywali się fałszywymi Smokami, bowiem umierali lub znikali, nie wypełniwszy żadnego z prorocत्व, a to co po sobie zostawiali, było wystarczająco złe. Całe narody rozszarpały się w bitwach, a miasta i wsie płonęły jak pochodnie. Ciała zaścielały ziemię jak jesienne liście, na drogach uciekinierzy tłoczyli się niczym owce w zagrodzie. Tak opowiadali kupcy i handlarze, a nikt w Dwu Rzekach nie miał powodu, aby im nie wierzyć. Niektórzy mówili, że gdy odrodzi się Smok, nastąpi koniec świata.

— Dosyć! — krzyczał burmistrz. — Cisz! Przestańcie wreszcie tłuc tę pianę waszej wyobraźni. Pozwólmy panu Fain opowiedzieć o tym fałszywym Smoku.

Ludzie zaczęli powoli się uspokajać. Wszyscy, z wyjątkiem Cenna Buie.

— Czy rzeczywiście jest to fałszywy Smok? — zapytał z przekąsem strzecharz.

Pan al'Vere zamrugął zaskoczony, potem warknął:

— Nie zachowuj się jak stary głupiec, Cenn!

Ale pytanie na nowo wzburzyło tłum.

— To nie może być Smok Odrodzony! Światłości, tylko nie to!

— Buie, ty stary głupcze! Ty chcesz, żeby tak było, nieprawdaż?

— Następnym razem wezwij imię samego Czarnego! Ciebie chyba Smok nawiedził, Cennie Buie! Chcesz sprowadzić na nas wszystkich nieszczęście!

Cenn wyzywająco rozglądał się wkoło, usiłując rzucić groźne spojrzenia.

— Nie słyszałem, aby Fain mówił, że jest to fałszywy Smok. A wy? Zaczniacie wreszcie używać swych oczu! Gdzie są plony, które powinny już sięgać nam do kolan lub wyżej nawet? Dlaczego wciąż jeszcze trwa zima, mimo iż już od miesiąca powinna być wiosna?

Wokoło rozległy się głosy domagające się, by trzymał język za zębami.

— Nie będę cicho! Mnie też nie podoba się to, co mówię, ale nie mam zamiaru chować głowy w piasek i czekać, aż ludzie z Taren Ferry przyjdą, żeby poderżnąć mi gardło. Dobrze, nie mam zamiaru dostarczać Fainowi przyjemności, nie tym razem. Mów jasno handlarzu. Co słyszałeś, no? Czy ten człowiek jest fałszywym Smokiem?

Jeżeli nawet Fain czuł się nieswój na skutek wieści, które przywoził, albo przez zamieszanie, które wywołał, to niczego nie dał po sobie poznać.

— Jeśli o to chodzi, to któż może wiedzieć, zanim wszystko się nie skończy?

Przerwał, przybierając jedną ze swoich min i powiódł oczyma po tłumie, jakby dostarczało mu dużo zabawy przewidywanie ich reakcji.

— Wiem tyle — powiedział z wystudiowaną obojętnością — że panuje nad Jedyną Mocą. Inni przed nim tego nie potrafili. A on tak. Ziemia otwiera się pod stopami jego wrogów, a jego krzyk powoduje, że drżą grube mury. Umie sprowadzać błyskawice, które uderzają tam, gdzie im każe. Tyle słyszałem od ludzi godnych zaufania.

Zapadła głucha cisza. Rand ponownie spojrzął na przyjaciół. Perrin wyglądał, jakby patrzył na rzeczy, które wcale mu się nie podobają, lecz Mat wciąż wydawał się podniecony.

Wyraz twarzy Tama był tylko odrobinę mniej spokojny niż zazwyczaj. Przesunął się do przodu, chcąc przemówić, ale Ewin Finngar odezwał się pierwszy.

— Oszaleje i umrze! W opowieściach, mężczyźni przenoszący Moc zawsze muszą oszaleć, zmarnieć i umrzeć. Tylko kobiety mogą jej dotykać. Czy on tego nie wie? — aż przykucnął, gdy dosięgnął go szturchaniec pana Buie.

— Wystarczy już chłopcze — Cenn potrząsnął sękatą pięścią przed twarzą Ewina. — Okaż należyty szacunek i zostaw tę sprawę starszym. Zabieraj się stąd!

— Spokojnie, Cenn — warknął Tam. — Chłopak jest po prostu ciekawy. Nie ma powodu, żeby go tak traktować.

— Zachowuj się stosownie do swego wieku — dodał Bran. — I pamiętaj, że jesteś członkiem Rady Wioski.

Pomarszczona twarz Cenna stawała się coraz ciemniejsza, by w końcu przybrać barwę purpury.

— Wiecie, o jakich kobietach on mówił. Przestań się na mnie bocyć, Luhhan i ty też, Crawe. To jest przyzwoita wioska i mieszkają tu porządni ludzie. Już jest i tak wystarczająco źle bez Faina, opowiadającego tutaj o fałszywym Smoku władającym Mocą, i bez tego młodego głupca wciągającego w to Aes Sedai. O niektórych rzeczach po prostu nie wolno mówić i nie biorę za nic odpowiedzialności, jeżeli pozwolicie temu szalonemu bardowi opowiadać jego niestworzone historie. To nie jest słuszne ani przyzwoite.

— Nigdy nie słyszałem o rzeczach, o których nie wolno by było mówić — zaczął Tam, lecz Fain wszedł mu w słowo.

— Aes Sedai już są zamieszane w tę sprawę — mówił handlarz. — Ich oddział wyjechał z Tar Valon na południe. Ponieważ panuje nad Mocą, tylko one są w stanie go pokonać, ewentualnie zająć się nim, kiedy już zostanie pokonany. O ile rzeczywiście zostanie pokonany.

Ktoś w tłumie jęknął głośno, a nawet Tam i Bran wymienili niespokojne spojrzenia. Ludzie stłoczyli się bardziej, niektórzy ściślej owinęli płaszcze, mimo iż wiatr właśnie osłabł.

— Oczywiście, że może być pokonany — wykrzyknął ktoś.

— Zawsze w końcu pokonują wszystkich fałszywych Smoków:

— Musi zostać pokonany, czyż nie?

— A co, jeżeli jest inaczej?

Tam w końcu mógł powiedzieć coś do ucha Brana. Ten słuchał cierpliwie, kiwając od czasu do czasu głową i ignorując otaczający zgiełk. Kiedy wreszcie wrzawa ucichła, sam podniósł głos.

— Słuchajcie wszyscy. Bądźcie cicho i słuchajcie! — Krzyki ścichły, zmieniając się w głuchy pomruk. — To, co usłyszeliśmy, wykracza poza zwykłe wieści ze świata. Musimy najpierw wszystko przedyskutować na posiedzeniu Rady Wioski: Panie Fain, czy dołączy pan do nas w gospodzie? Mamy kilka pytań.

— Garniec dobrze zaprawionego korzeniami, grzanego wina nie byłby czymś najgorszym w obecnej sytuacji — odpowiedział handlarz i zaśmiał się. Zeskoczył z wozu, otrzepał ręce z kurzu i poprawił płaszcz. — Zajmijcie się moimi końmi, proszę.

— Ja też chcę usłyszeć, co on ma do powiedzenia — zaprotestowało kilka głosów.

— Nie możecie go zabrać! Żona kazała mi kupić szpilki! — Wit Congar stropił się trochę pod spojrzeniami, jakimi go obrzucono, dalej jednak hardo patrzył na handlarza.

— Też mamy prawo zadawać pytania — krzyknął ktoś z tyłu. — Ja...

— Cisza — krzyknął burmistrz, powodując, że ludzie się trochę uspokoiili. — Kiedy Rada dowie się wszystkiego, będziecie mogli sami zadać swoje pytania. A także kupić swoje garnki i szpilki. Hu! Tad! Odprowadźcie konie pana Faina do stajni.

Tam i Bran szli po obu stronach handlarza, reszta Rady podążała za nimi. W ten sposób weszli do gospody, bezwzględnie zamykając przed nosem drzwi tym, którzy chcieli wślizgnąć się do środka. Dobijający się do drzwi usłyszeli tylko krzyk burmistrza.

— Idźcie do domów.

Ludzie kręcili się wokół gospody, rozmyślając nad tym, co powiedział handlarz, co to właściwie oznacza, jakie pytania zada mu Rada i dlaczego im nie pozwolono słuchać oraz zadawać pytań na własną rękę. Niektórzy podglądali przez frontowe okna gospody, inni nawet usiłowali się czegoś dowiedzieć od Hu i Tada, chociaż doprawdy nie wiadomo co oni mieliby wiedzieć. Dwaj flegmatyczni stajenni chrząkali tytko w odpowie-

dzi i metodycznie rozpinali uprząż. Potem po kolei odprowadzili konie do stajni i nie pokazali się już więcej.

Rand nie zwracał uwagi na tłum. Usiadł na skraju starego fundamentu, owinął się dokładnie płaszczem i zapatrzył na drzwi gospody. Ghealdan. Tar Valon. Same nazwy były dziwne i ekscytujące. Oznaczały miejsca, które pojawiały się tylko w przekazach handlarzy i w opowieściach kupieckich strażników. Aes Sedai, wojny, fałszywe smoki — stawali się materia opowieści, jakie słyszało się później przy płonącym ogniu, gdy świeca rzucała osobliwe cienie na ściany a wiatr wył w okiennicach. W sumie, sądził raczej, że woli mieć do czynienia ze śnieżycami i wilkami. Jednak świat musi być inny niż w Dwu Rzekach, taki jaki żyje w opowieści barda. Przygoda. Całe życie jak jedna długa przygoda.

Powoli tłum wieśniaków się rozpraszał, rozchodzili się mruczając i potrząsając głowami. Wit Congar zatrzymał się i patrzył na opuszczony wóz tak, jakby spodziewał się znaleźć wewnątrz jakiegoś innego, ukrytego handlarza. W końcu zostało tylko kilku młodzieńców. Mat i Perrin powoli zbliżyli się do miejsca, w którym siedział Rand.

— Nie wyobrażam sobie cóż bard mógłby zaproponować bardziej interesującego — zaczął podniecony Mat. — Ciekawe, czy uda nam się zobaczyć tego fałszywego Smoka?

Perrin potrząsnął kędzierzawą głową.

— Ja nie mam na to ochoty. Może gdzieś indziej, ale nie w Dwu Rzekach. Nie, o ile oznacza to wojnę.

— Ani wtedy, gdyby miało oznaczać to obecność Aes Sedai — dodał Rand. — Przypomnijcie sobie, kto spowodował Pęknięcie. Smok je rozpoczął, ale to w rzeczywistości Aes Sedai przełamały świat.

— Słyszałem kiedyś opowieść — powiedział wolno Mat. — od strażnika kupca wełny. Mówił, że Smok odrodzi się wtedy, gdy ludzkość będzie tego najbardziej potrzebować i uratuje nas wszystkich.

— Cóż, był głupcem, jeżeli w to wierzył. — Głos Perrina brzmiał twardo. — A ty byłeś głupcem, ponieważ go słuchałeś.

Perrin był człowiekiem niezwykle spokojnym, trudno było go wyprowadzić z równowagi. Czasami jednak szczególnie dzikie pomysły Mata wywoływały u niego irytację, jej ślad dawał się teraz odnaleźć w tonie głosu.

— Przypuszczam, że jemu się wydaje, iż żyjemy obecnie w nowym Wieku Legend.

— Nie powiedziałem, że wierzę w tę opowieść — bronił się Mat. — Słyszałem ją tylko. Nynaeve słyszała ją również i miałem wrażenie, że ma ochotę obu nas, strażnika i mnie, obedrzeć ze skóry. Powiedział, ten strażnik, jeszcze, że wielu wierzy, tylko boją się powiedzieć, boją się Aes Sedai i Synów Światłości. A gdy Nynaeve nas przyłapała, nie chciał powiedzieć już nic więcej. Poskarżyła się kupcowi i ten oznajmił, że wyrzuci strażnika z pracy.

— I dobrze zrobił — powiedział Perrin. — Smok ma nas uratować? Brzmi to jak rozmowa z Coplinem.

— W jakiej potrzebie musielibyśmy się znajdować, żeby pragnąć pomocy od Smoka? — zadumał się Rand. — To tak, jakby prosić o pomoc samego Czarnego.

— On czegoś takiego nie powiedział — Matowi zrobiło się nieprzyjemnie. — Nie mówił też nic o nowym Wieku Legend. Powiedział tylko, że świat zostanie rozdarty przez przyjście Smoka.

— I to nas na pewno uratuje — sucho dodał Perrin — następne Pęknięcie.

— Niech szczenę — wymruczał Mat. — Przekazuję wam tylko to, co powiedział strażnik.

Perrin potrząsnął głową.

— Ja chciałbym jedynie, aby ten fałszywy Smok i Aes Sedai zostały tam, gdzie są. Tylko w ten sposób można uratować Dwie Rzeki.

— Myślisz, że one rzeczywiście należą do Sprzymierzeńców Ciemności? — Mat zmarszczył brwi w namyśle.

— Kto? — zapytał Rand.

— Aes Sedai.

Rand spojrział na Perrina, który wzruszył ramionami.

— Opowieści — zaczął powoli, lecz Mat przerwał mu natychmiast.

— Nie we wszystkich opowieściach nazywano je sługami Czarnego, Rand.

— Mat, w imię Światłości — odrzekł Rand — spowodowały Pęknięcie. Czegoż jeszcze ci trzeba?

— Pewnie masz rację — westchnął Mat, lecz po chwili uśmiech znowu pojawił się na jego twarzy. — Stary Bili Congar mówi, że oni nie istnieją. Aes Sedai. Sprzymierzeńcy Ciemności. Uważa, że historie o nich to bajki. Mówi, że nie wierzy nawet w samego Czarnego.

Perrin sapnął.

— Coplin przekazuje słowa Congara. Czego jeszcze można się po tym spodziewać.

— Stary Bili wezwał Czarnego pełnym imieniem. Założę się, że tego nie wiecie.

— Światłości — z piersi Randa wydarło się westchnienie.

Uśmiech Mata stał się szerszy.

— To było zeszłej wiosny, tuż przed tym, zanim na jego pole, tylko na jego, spadła plaga gąsienic. Tuż przed tym, zanim wszyscy w jego domu zapadli na żółtą gorączkę. Słyszałem, jak to mówił. A kiedy wciąż twierdził, że nie wierzy, prosiłem, aby zrobił to jeszcze raz, a wtedy rzucił we mnie czymś ciężkim.

— Jesteś wystarczająco głupi, żeby to zrobić, nieprawdaż Matrimie Cauthon?

Nynaeve al'Meara podeszła do nich, jej przewieszony przez ramię czarny warkocz niemalże najeżył się gniewem. Rand poderwał się na nogi. Wiedząca była szczupła i du-

żo niższa od nich, ledwie sięgała Matowi do ramienia, teraz jednak wydawała się nad nimi górować, nieważne było, że jest młoda i piękna.

— Podejrzałam wtedy Bila Congara o coś takiego, myślałam jednak, że masz wystarczająco dużo rozsądku, aby się z niego nie wyśmiewać. Jesteś już wystarczająco stary, Matrimie Cauthon, aby się ożenić, a wygląda na to, że powinieneś dalej trzymać się matczynej spódnicy. Następną rzeczą, jakiej spróbujesz, będzie wezwanie imienia Czarnego.

— Nie, Wiedząca — protestował Mat, którego wygląd mówił, że najchętniej zapadłby się pod ziemię. — To był stary Bili... to znaczy pan Congar, nie ja! Psiakrew, ja...

— Uważaj na to, co mówisz, Matrim!

Rand wyprostował się trochę, nie zwracała teraz na niego uwagi. Perrin wydawał się równie zmieszany. Później każdy z nich będzie narzekał, że dał się zbesztać dziewczynie niewiele starszej od siebie, w tej chwili jednak różnica wieku między nimi zdawała się większa. Wielu tak potem postępowało, niektórzy nawet sarkali w obecności Nynaeve. Nie należało to do rzeczy zbyt bezpiecznych, zwłaszcza wtedy, gdy była wściekła. Laska, którą nosiła, była grubsza na jednym końcu, na drugim zaś wyposażona była w poręczny uchwyt. Każdego, kto próbował się z niej naśmiewać, potrafiła bez wahania uderzyć jak cepem, po głowie, po nogach, po rękach — nie bacząc na jego wiek czy pozycję.

Wiedząca do tego stopnia skupiła na sobie jego uwagę, że nie zauważył, iż nie jest sama. Kiedy zrozumiał swoją pomyłkę, rzeczywiście nabrał ochoty, aby się oddalić, niezależnie od tego, co Nynaeve miałyby powiedzieć lub zrobić później.

Kilka kroków za Wiedzącą stała Egwene, uważnie przypatrując się całej scenie. Wzrostem równa Nynaeve, jak ona ubrana w ciemne kolory, mogła być w tej chwili odbiciem jej nastroju. Ręce splotła na piersiach, zaciśnięte usta wyrażały dezaprobatę. Kaptur szarego płaszcza ocieniał jej twarz, w ciemnych oczach nie było śladu rozbawienia.

„Powinno być tak — pomyślał Rand — by dwuletnia różnica wieku dawała mi przewagę.”

Ale nie było na to sposobu. Przeważnie nie miał żadnych problemów, rozmawiając z którąkolwiek z wiejskich dziewczyn, zupełnie inaczej niż Perrin, lecz kiedykolwiek Egwene wpatrzyła się w niego głęboko, z oczyma rozwartymi tak szeroko, jakby poświęcała mu całą swoją uwagę, po prostu nie był w stanie sklecić najprostszego zdania. Być może będzie mógł odejść, gdy Nynaeve skończy. Lecz wiedział, że tak się nie stanie, mimo iż nie rozumiał dlaczego.

— Jeżeli wreszcie przestaniesz wyglądać jak owca wpatrująca się w księżyc, Rand al'Thor — powiedziała Nynaeve — to może wreszcie mi wytłumaczysz, dlaczego rozmawiasz o rzeczach, o których nawet takie trzy byczki jak wy powinny wiedzieć, że należy je przemilczać.

Rand zadrżał i spuścił wzrok. Kiedy Nynaeve zaczęła mówić, na jego twarz wypełził niepewny uśmiech. Głos Wiedzącej był cierpki, lecz ona również zaczynała się uśmiechać, dopóki nie roześmiał się Mat. Uśmiech wtedy zamarł na jej twarzy, a spojrzenie, jakim obdarzyła Mata, spowodowało, że z jego gardła wydobył się tylko dziwny skrzek.

— No więc, Rand? — spytała.

Kątem oka dostrzegł, że Egwene wciąż się śmieje. „Co jej się wydaje takie śmieszne?” — pomyślał.

— To naturalne, że mówiliśmy o takich sprawach, Wiedząca — powiedział szybko. — Handlarz, Padan Fain... to jest... pan Fain, przywiózł wiadomości o pojawieniu się fałszywego Smoka w Ghealdan, o wojnie i o Aes Sedai. Rada uznała te wieści za wystarczająco ważne, aby je z nim przedyskutować. O czym mielibyśmy mówić w takiej sytuacji?

Nynaeve potrząsnęła głową.

— A więc to dlatego wóz handlarza stoi pusty! Słyszałam, jak ludzie spieszyli go powitać, ale nie mogłam zostawić pani Ayellin, dopóki nie spadła jej gorączka. A członkowie Rady dyskutują z nim o tym, co się wydarzyło w Ghealdan. Znam ich, zadają same niewłaściwe pytania i ani jednego dobrego. Trzeba będzie uciec się do pomocy Koła Kobiet, aby dowiedzieć się czegoś ważnego.

Otuliła szczelnie płaszczem ramiona i zniknęła we wnętrzu gospody.

Egwene nie poszła za nią. Gdy drzwi gospody zamknęły się za Nynaeve, podeszła do Randa, stając naprzeciw niego. Grymas zniknął z jej twarzy, ale spojrzenie szeroko otwartych oczu sprawiło, że poczuł się nieswojo. Spojrzał na przyjaciół, jakby oczekiwał od nich pomocy, oni jednak oddalili się, z szerokimi uśmiechami na twarzach.

— Nie powinienes dawać się wciągać Matowi w takie głupstwa — powiedziała, równie poważnie jak przedtem Wiedząca; potem nagle zachichotała. — Nie widziałam cię takim od czasu, gdy Cenn Buie złapał Mata i ciebie na swoich jabłoniach, gdy mieliście po dziesięć lat.

Niezdarnie przestąpił z nogi na nogę i spojrzał w kierunku przyjaciół. Stali tak blisko. Mat mówił coś, gestykułując w podnieceniu.

— Zatańczysz ze mną jutro?

To wcale nie było to, co chciał powiedzieć. Chciał oczywiście z nią zatańczyć, lecz jednocześnie niczego tak nie pragnął, jak uniknięcia tego nieprzyjemnego stanu w jaki popadał, gdy był blisko niej. Stanu, w którym się właśnie znajdował.

Kąciki ust Egwene uniosły się w lekkim uśmiechu.

— Po południu — powiedziała. — Rano będę zajęta.

Nagle dobiegł ich okrzyk Perrina.

— Bard!

Egwene odwróciła się, ale Rand położył jej rękę na ramieniu.

— Zajęta? Czym?

Pomimo chłodu odrzuciła kaptur płaszcz. Kiedy ją ostatnio widział, jej włosy spływały ciemnymi falami, przewiązane tylko przepaską, powstrzymującą je przed zsuwaniem się na twarz; teraz starannie zapleciony długi warkocz zwisał przerzucony przez ramię.

Patrzył na warkocz, jakby to była żmija. Potem rzucił ukradkowe spojrzenie na Wiosenny Słup, stojący samotnie pośrodku Łąki, gotowy do jutrzejszej ceremonii. Rankiem niezamężne kobiety będą wokół niego tańczyć. Westchnął ciężko. Jakoś nigdy nie przyszło mu do głowy, że w tym samym czasie osiągną wiek stosowny do małżeństwa.

— Tylko dlatego, że ktoś jest wystarczająco dorosły na to, by wyjść za mąż — wymamrotał — nie znaczy jeszcze, że musi to robić. Nie od razu.

— Oczywiście, że nie. Nie musi robić tego nigdy, jeśli już o to chodzi.

Rand zamrugał.

— Nigdy?

— Wiedzące prawie nigdy nie wychodzą za mąż. Jestem uczennicą Nynaeve, wiesz przecież. Mówi, że mam talent, że jestem w stanie nauczyć się słuchać wiatru. A zgodnie z tym, co mi powiedziała, nie wszystkie Wiedzące to potrafią, nawet jeśli utrzymują, że jest inaczej.

— Wiedząca — aż zagwizdał. Nie dostrzegł jednak groźnego błysku w jej oku. — Nynaeve będzie Wiedzącą w wiosce przez co najmniej najbliższe pięćdziesiąt lat. Masz zamiar spędzić resztę swego życia jako jej uczennica?

— Są inne wioski — odpowiedziała gwałtownie. — Nynaeve mówi, że ludzie z wioski na północ od Taren zawsze wybierają sobie obcą na Wiedzącą. To ma powodować, że nie będzie wyróżniać nikogo spośród mieszkańców.

Jego rozbawienie zniknęło równie szybko, jak się pojawiło.

— Poza Dwoma Rzekami? Nigdy cię już nie zobaczę.

— A nie podobałoby ci się to? Nigdy nie dałeś w żaden sposób do zrozumienia, że mam dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie.

— Nikt nie opuszcza Dwu Rzek — ciągnął dalej. — Może tylko ludzie z Taren Ferry, ale oni i tak są w jakiś sposób obcy. Trudno ich uważać w ogóle za ludzi stąd.

Egwene gniewnie westchnęła.

— Cóż, być może ja też jestem obca. Może chciałabym zobaczyć, któreś z tych miejsc, o których słyszałam w opowieściach. Czy pomyślałeś kiedyś o tym?

— Oczywiście, że tak. Ja też mam przecież marzenia, ale nigdy nie myślę ich z rzeczywistością.

— A ja tak? — powiedziała gniewnie, gwałtownie odwracając głowę.

— Nie to miałem na myśli. Mówiłem o sobie. Egwene?

Owinęła szczelnie płaszcz, jakby stawiając ścianę między nimi, potem przeszła sztywno kilka kroków. W zmartwieniu potarł czoło. Jak to wyjaśnić? Nie pierwszy raz wyczytała z jego słów znaczenia, których jego zdaniem wcale w nich nie było. W jej obecnym nastroju każda niezręczność z jego strony pogorszyłaby sprawę, a był całkowicie pewny, że wszystko co by zrobił, byłoby niezręczne.

Mat i Perrin wrócili. Egwene zignorowała ich. Wahając się, patrzyli na nią przez moment, potem podeszli bliżej do Randa.

— Moiraine również dała Perrinowi monetę — powiedział Mat. — Taką samą jak nam.

Przerwał na chwilę i dodał:

— On widział jeźdźca.

— Gdzie? — dopytywał się Rand. — Kiedy? Czy widział go ktoś jeszcze? Czy powiedziałeś komuś?

Perrin podniósł szerokie ręce w uspokajającym geście.

— Po kolei. Widziałem go na skraju wioski, jak obserwował kuźnię, wczoraj wieczorem. Tak, na jego widok przeszły mnie dreszcze. Powiedziałem panu Luhhanowi, ale kiedy wyszedł sprawdzić, nikogo już nie było. Stwierdził, że musiałem widzieć cienie. Lecz potem, gdy dołożyliśmy do ognia i wykuwaliśmy narzędzia, cały czas trzymał pod ręką swój największy młot. Nigdy przedtem tak nie postępował.

— Tak więc musiał ci uwierzyć — powiedział Rand, ale Perrin wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Zapytałem, po co ten młotek, jeśli widziałem tylko cienie, a on powiedział coś o wilkach na tyle śmiałych, by wtargnąć do wioski. Może myślał, że właśnie je widziałem, ale powinien wiedzieć, że potrafię odróżnić wilka od jeźdźca na koniu, nawet w ciemnościach. Widziałem, co widziałem i nikt nie spowoduje, żebym zmienił zdanie.

— Ja ci wierzę — powiedział Rand. — Pamiętaj, że również go widziałem.

Perrin wydał pełne zadowolenia mruknięcie, jak gdyby nie był tego pewien.

— O czym wy rozmawiacie? — nagle zapytała Egwene. Rand pożałował, że nie mówił ciszej. Na pewno by tak zrobił, gdyby wiedział, że ona słucha. Mat i Perrin, śmiejąc się jak głupcy, przechodzili samych siebie, opowiadając jej o jeźdźcu w czarnym płaszczu, ale Rand zachował milczenie. Był pewien, że wie, co powie, kiedy skończą.

— Nynaeve ma rację — powiedziała w przestrzeń, gdy dwaj chłopcy wreszcie zamilkli. — Nie dorośliście jeszcze na tyle, by samodzielnie odejść od spódnicy matki. Ludzie jeżdżą na koniach, to jest oczywiste. To nie robi z nich potworów występujących w opowieściach bardów.

Rand pokiwał głową, to było to, czego się spodziewał. Potem odwróciła się do niego.

— A ty rozpowszechniasz te opowieści. Czasami jesteś zupełnie pozbawiony rozsądku, Randzie al’Thor. Zima była wystarczająco przerażająca, nie musisz teraz chodzić wszędzie i straszyć dzieci.

Rand skrzywił się kwaśno.

— Niczego nie rozpowszechniam, Egwene. Ale widziałem, co widziałem i pewien jestem, że nie był to żaden farmer poszukujący zaginionej krowy.

Egwene wciągnęła powietrze i otworzyła usta, ale cokolwiek miała powiedzieć, nie powiedziała już tego nigdy, drzwi gospody otworzyły się bowiem gwałtownie i wypadł z nich siwowłosy mężczyzna, spiesząc, jakby go coś goniło.

BARD

Drzwi gospody zatrzasnęły się za mężczyzną, a on potrząsnął tylko grzywą siwych włosów i wpatrzył się w nie z furią. Można by go było nazwać wysokim, gdyby się tak nie garbił. Wiekowi, który należałoby mu przypisać, przeczył żwawy sposób poruszania. Płaszcz wydawał się masą łąt, we wszystkich możliwych kolorach i kształtach. Teraz łopotał wraz z każdym podmuchem wiatru. Wbrew temu co sugerował pan al'Ve-re, łąt nie naszyto wyłącznie dla ozdoby, dzięki nim płaszcz był grubszy, lepiej chronił przed zimmem.

— Bard — wyszeptała w podnieceniu Egwene.

Białowłosa mężczyzna okręcił się dookoła, płaszcz zamigotał. Osobliwy ubiór wyposażony był w długie, workowate rękawy i wielkie kieszenie. Grube wąsy, śnieżnobiałe, tak jak włosy, zakręcały się wokół ust. Twarz była pomarszczona jak kora drzewa rosnącego na pustkowiu, gdzie szaleją wichry. Ręką, w której trzymał ozdobnie rzeźbioną fajkę o długim ustniku, wykonał rozkazujący gest w stronę Randa i jego przyjaciół. Z fajki wydobywała się smużka dymu. Niebieskie oczy patrzyły przenikliwie spod krzaczystych, siwych brwi.

Randowi oczy mężczyzny wydały się równie zadziwiające, jak reszta jego postaci. Wszyscy w Dwu Rzekach mieli ciemne oczy, podobnie kupcy, ich straż i w ogóle wszyscy, których dotąd w życiu widział. Congarowie i Coplinowie śmiali się z jego szarych oczu, aż do dnia kiedy rozbił nos Ewalowi Coplinowi. Wiedząca miała do niego potem o to pretensje. Teraz Rand zastanawiał się, czy może istnieć miejsce, gdzie nikt nie ma ciemnych oczu.

„Może Lan również pochodzi stamtąd?” — pomyślał.

— Co to jest za miejsce? — zapytał bard niskim głosem, który w jakiś sposób wydawał się silniejszy niżli głos zwykłych ludzi. Słuchając go, nawet na otwartym powietrzu miało się wrażenie, jakby wypełniał pomieszczenie i rezonował o ściany. — Te kmiotki we wsi na wzgórzu powiedziały mi, że dotrę tutaj przed zmierzchem, zapominając dodać, że stanie się tak, jeśli wyruszę przed południem. Kiedy wreszcie przyjechałem, przemarznięty do szpiku kości i marząc o ciepłym łóżku, karczmarz potraktował mnie

tak, jakby wasza Rada Wioski nie zaprosiła mnie, bym grał na święcie, jakbym po prostu był wędrownym świniopasem. Nie powiedział mi nawet, że jest burmistrzem.

Przerwał na moment, by zaczerpnąć oddechu, objął ich gniewnym spojrzeniem i natychmiast podjął znowu:

— A kiedy zszedłem na dół, aby zapalić fajkę i wypić kufel piwa, każdy z tych mężczyzn, siedzących we wspólnej sali, patrzył na mnie, jakbym był jego najmniej lubianym szwagrem, usiłującym pożyczyć od niego pieniądze. Jeden dziadek natychmiast zaczął mi wyznaczać, jakie pieśni mogę śpiewać, a jakich nie, potem jakaś młódka zaczęła krzyżeć na mnie, abym się wynosił i pogroziła mi wielką pałką, kiedy poruszałem się nie dość szybko. Kto kiedy słyszał, aby tak traktować barda?

Twarz Egwene mogła stanowić studium sprzecznych namiętności, wpatrywała się wytrzeszczonymi z rozbawienia oczami barda, jednak radość na jej obliczu mąciła chęć obrony Nynaeve.

— Prosimy o wybaczenie, panie bardzie — powiedział Rand. Zdawał sobie sprawę, że się niezbyt mądrze uśmiecha. — To była nasza Wiedząca, a ...

— To piękne dziewczątko? — wykrzyknął bard. — Wasza Wiedząca? Czy w tym wieku nie powinna raczej flirtować z chłopcami, niż przepowiadać pogodę i leczyć choroby?

Rand niespokojnie przestąpił z nogi na nogę. Miał nadzieję, że Nynaeve nie pozna opinii barda na swój temat. Przynajmniej nie przed występem. Perrin, słysząc słowa barda, drgnął lekko, a Mat bezgłośnie zagwizdał, jakby obaj podzielali obawy Randa.

— Ci ludzie stanowią Radę Wioski — ciągnął dalej Rand. — Jestem pewien, że nie chcieli być niegrzeczni. Po prostu dowiedzieliśmy się ostatnio o wojnie w Ghealdan i o człowieku, który mieni się być Odrodzonym Smokiem. O fałszywym Smoku. O Aes Sedai dążących tu z Tar Valon. Rada obraduje nad ewentualnym zagrożeniem.

— To wszystko stare wieści, nawet w Baerlon są już nieaktualne — powiedział pogardliwie bard — a to jest miejsce, w którym zawsze dowiadują się wszystkiego na samym końcu.

Przerwał na chwilę, rozejrzał się dookoła i dodał sucho:

— No, może jako drudzy od końca.

Potem jego wzrok padł na stojący samotnie przed gospodą wóz.

— Tak, myślę że wiem, czyja to sprawka.

Głos wciąż brzmiał głęboko, ale obecny w nim pogłos gdzieś zniknął, jego miejsce zajęła pogarda.

— Padan Fain jest zawsze prędki do roznoszenia złych wieści, im gorsze, tym szybciej je roznosi. Bardziej podobny jest do kruka niż do człowieka.

— Pan Fain często przyjeżdżał do Pola Emonda, panie bardzie — powiedziała Egwene, przez jej rozbawienie przebiła się ostatecznie iskierka dezaprobaty. — Jest człowiekiem pełnym radości i zawsze przywozi więcej dobrych wiadomości niż złych.

Bard patrzył na nią przez moment, potem uśmiechnął się szeroko.

— Jesteś taka piękna. Powinnaś nosić róże we włosach. Niestety nie potrafię wyczarowywać róż z powietrza, nie w tym roku, lecz co byś powiedziała na to, aby mi jutro asystować podczas występu? Trzymać mój flet i inne instrumenty. Zawsze wybieram najładniejszą dziewczynę.

Perrin zdławił śmiech, a Mat, który powstrzymywał go już od dawna, nie wytrzymał i głośno parsknął. Rand zamrugnął zaskoczony. Egwene popatrzyła na niego, ale on nawet się nie uśmiechnął. Wreszcie wyprostowała się i powiedziała głosem niemalże na- zbyt spokojnym.

— Dziękuję, panie bardzo. Z przyjemnością będę panu asystowała.

— Thom Merrilin — powiedział bard. Wytrzeszczyli na jego oczy. — Nazywam się Thom Merrilin, a nie Pan Bard.

Odrzucił wielokolorowy płaszcz na ramiona i nagle jego głos znowu rozbrzmiał, jak- by odbijając się echem po ścianach wielkiej sali.

— Ongiś nadworny poeta, dzisiaj w miejsce tego podniesiony do zaiste imponującej rangi Pana Barda, ale na imię mam zwyczajnie Thom Merrilin, a bard to po prostu naj- zwykleszy tytuł, którym się szcycę.

I wykonał tak wykwinny ukłon, wymachując przy tym połą płaszcz, że Mat aż kla- snął, a Egwene zamruczała z podziwu.

— Panie... a... panie Merrilin — zapytał Mat, nadal nie pewny jaką wybrać formę zwracania się do barda. — Co się dzieje w Ghealdan? Czy wie pan coś o tym fałszywym Smoku? Albo o Aes Sedai?

— Czy ja wyglądam jak handlarz, chłopcze? — odburknął bard, wystukując fajkę wewnętrzną stroną dłoni. Potem schował ją w rękawie albo w kieszeni płaszcz, Rand jednak nie dostrzegł ani gdzie, ani jak to się stało. — Jestem bardem, a nie plotkarzem. I mam taką zasadę, aby nigdy niczego nie wiedzieć o Aes Sedai. Tak jest o wiele bez- pieczniej.

— Ale przecież wojna... — zaczął gorączkowo Mat, lecz bard natychmiast wszedł mu w słowo.

— Na wojnie, chłopcze, głupcy zabijają innych głupców z głupich powodów. To jest wszystko, co należy wiedzieć o wojnie. Ja jestem tutaj, aby uprawiać sztukę.

Nagle wskazał palcem Randa.

— Ty chłopcze. Jesteś wysoki. Mimo iż jeszcze nie osiągnąłeś pełni wzrostu, przy- puszczam, że w całym okręgu nie ma nikogo tak dużego jak ty. Niewielu ma również oczy twojego koloru. Założę się. Jesteś szeroki w ramionach jak byk i wysoki jak jeden z ludzi Aiel. Jak masz na imię chłopcze?

Rand wahając się powiedział swoje imię, niepewny czy bard nie żartuje sobie z nie- go, ale ten tymczasem już zainteresował się Perrinem.

— Jesteś prawie tak zbudowany jak Ogir. Prawie. Jak cię zwać?

— Nie jestem, musiałbym chyba stanąć na głowie — zaśmiał się Perrin. — Obawiam się, że Rand i ja jesteśmy tylko zwyczajnymi ludźmi, a nie wymyślonymi postaciami z pańskich opowieści, panie Merrilin. Nazywam się Perrin Aybara.

Thom Merrilin szarpnął wąsa.

— Cóż, dobrze. Wymyślone postacie z moich opowieści. Wymyślone powiadasz... Wy chłopcy naoglądaliście się więc dużo świata pewnie?

Rand nie odzywał się, pewien że bard żartuje sobie z nich, ale Perrin postanowił mówić:

— Wszyscy byliśmy aż we Wzgórzu Czat i w Deven Ride. Niewielu mieszkańców naszej wioski dotarło aż tak daleko.

Perrin nie chciał się chwalić, rzadko to czynił. Po prostu mówił prawdę.

— Widzieliśmy także Mire — dodał Mat, ale w jego głosie najwyraźniej rozbrzmiewała duma. — To bagna w najdalszym końcu Lasu Rzeki. Nikt tam w ogóle nie chodzi, są pełne niebezpieczeństw. Tylko my tam dotarliśmy. Nikt też nie chodzi w Góry Mgły, a myśmy tam również kiedyś byli. To znaczy u ich podnóża.

— Aż tak daleko? — wymruczał bard, wciąż mierzwiąc wąsy.

Rand zrozumiał, że skrywa uśmiech. Zobaczył, jak Perrin marszczy brwi.

— Zapuszczanie się w te góry prowadzi do nieszczęścia — powiedział Mat, jakby usprawiedliwiając się, że nie poszli dalej. — Każdy to wie.

— To wszystko głupoty, Matrimie Cauthon — Egwene ucięła gniewnie. — Nynaeve mówi...

Przerwała raptownie, rumieniec wypełził na jej policzki. Spojrzenie, jakim obdarzyła Thoma Merrilina nie było już tak przyjazne jak przedtem.

— To jest nie w porządku... to nie jest...

Jej twarz poczerwieniała jeszcze bardziej i umilkła. Mat zamrugał, jakby wreszcie zaczęło docierać do niego, co się dzieje.

— Masz rację dziecko — powiedział ze skruchą bard. — Uniżenie przepraszam. Jestem tutaj po to, żeby was zabawić. Mój język zawsze wpędza mnie w kłopoty.

— Być może nie podróżowaliśmy tyle, ile pan — powiedział Perrin bezbarwnym tonem — ale dlaczego wzrost Randa miałby być ważny?

— O to właśnie chodzi. Później pozwolę tobie i twojemu wysokiemu przyjacielowi, Randowi... tak? spróbować podnieść mnie. Zaręczam, że wam się nie uda. Ani tobie, ani jemu, ani nikomu innemu. I co ty na to?

Perrin zaśmiał się.

— Myślę, że mogę cię podnieść już teraz.

Lecz kiedy postąpił naprzód, Thom Merrilin powstrzymał go gestem.

— Później, chłopcze, później. Kiedy zbierze się więcej ludzi. Artyście potrzebna jest publiczność.

Od momentu gdy bard opuścił oberżę, ludzie powoli gromadzili się na Łące. Młodzi mężczyźni, dziewczęta, wreszcie zupełnie małe dzieci, które szeroko otwartymi oczami i w pełnym milczeniu patrzyły zza pleców starszych widzów. Wszyscy wyglądali tak, jakby oczekiwali na cud. Siwowłosa mężczyzna rozejrzał się — sprawiał w tym momencie wrażenie, że liczy widzów — po czym lekko skinął głową i westchnął.

— Myślę, że najlepiej będzie, jak dam małą próbkę. Tak więc idźcie zawołać pozostałych. Mały przedsmak tego, co zobaczycie jutro podczas święta.

Cofnął się o krok i nagle wyskoczył w górę. Wykonał salto, lądując pewnie na starych fundamentach. W jego rękach nagle zatańczyły trzy kolorowe kule — czerwona, biała i czarna.

Widzowie westchnęli. Częściowo ze zdziwienia, częściowo z zachwyty. Nawet Rand zapomniał o swej irytacji. Uśmiechnął się do Egwene, a ona odpowiedziała uśmiechem. Potem oboje odwrócili się i skoncentrowali na przedstawieniu.

— Chcecie opowieści? — zadeklamował Thom Merrill, — Znam opowieści i ofiaruję je wam. Sprawię, że ożyją prze waszymi oczyma.

Do wirujących kul dołączyła niebieska, potem zielona i w końcu żółta.

— Legendy o wielkich wojnach i wielkich bohaterach, dla mężczyzn i chłopców. Dla kobiet i dziewcząt cały *Cykl Aptarigine*. Opowieści o Arturze Paendragu Tanreallu, Arturze Hawkingu, Arturze Wielkim Królu, który kiedyś panował nad ziemiami rozciągającymi się od Pustkowi Aiel po Ocean Aryth, a nawet dalej. Cudowne opowieści o niezwykłych ludziach i dziwnych krainach, o Zielonym Człowieku, o Strażnikach i trolloch, o Ogirze i Aiel. *Tysiąc Opowieści o Anli, Mądrej Doradczyni. Jaem Zabójca Gigan-tów. Jak Susa Poskromił Jain Farstrider. Mara i Trzech Głupich Królów.*

— Opowiedz nam o Lennie — powiedziała Egwene. — Jak poleciał na księżyc w brzuchu ognistego ptaka. O jego córce, która spaceruje wśród gwiazd.

Rand spojrzął kątem oka, ale zapatrzona w barda, nie zwróciła na niego uwagi. Nigdy nie lubiła opowieści o przygodach i dalekich podróżach. Przepadała za historiami humorystycznymi, opowiadającymi o kobietach, którym udało się przechytryć najsprytniejszych ludzi. Był pewien, że poprosiła o tę opowieść, aby wzmocnić decyzję tkwiącą w jej sercu. I tak przekona się, że świat nie jest miejscem dla ludzi z Dwu Rzek. Opowieści o przygodach, nawet marzenia o nich to jedna sprawa, czymś zupełnie innym jest branie w nich osobiście udziału.

— A więc stare opowieści — Thom Merrill żonglował, teraz sześcioma kulami, trzema każdą ręką. — Opowieści z Wieków poprzedzającego Wiek Legend, jak głoszą niektórzy. Być może nawet jeszcze starsze. Ale ja, wierzcie mi, znam wszystkie historie, z Wieków, które były i z tych, które dopiero będą. O Wiekach, gdy ludzie rządzi-li niebem i gwiazdami oraz o tych, gdy wędrowali po ziemi jak stada zwierząt. O Wiekach cudów i Wiekach przerażenia. O Wiekach kończących się ogniem płynącym z nie-

bios i o Wiekach, których przeznaczeniem były śnieg i lód, pokrywające morza i ziemie. Znam wszystkie historie i opowiem je wam. Opowieści o *Mosku Gigancie i jego Ogni-stej Włóczni*, przed którą nic się na całym świecie nie mogło ukryć, oraz o jego wojnach z Alsbet, Królową Wszystkiego. *Opowieści o Materese Uzdrowicielce, Matce Cudownego Ind.*

Kule znowu zatańczyły w dłoniach barda, tym razem w dwóch przecinających się kręgach. Jego głos brzmiał jak pieśń, mówiąc odwracał się powoli, jakby sprawdzając efekt swoich słów.

— Opowiem wam o końcu Wieku Legend, o Smoku i jego próbie uwolnienia Czar-nego i wypuszczenia go na świat ludzi. Opowiem o Czasie Szaleństwa, gdy Aes Sedai rozszarpały Świat, o Wojnach z Trollokami, gdy ludzie walczyli z trollokami o władzę nad światem, o Wojnie Stu Lat, gdy ludzie walczyli z ludźmi i tworzyły się dzisiejsze na-rody. Opowiem o przygodach mężczyzn i kobiet, bogatych i biednych, wielkich i ma-łych, dumnych i uniżonych. *Oblężenie Filarów Nieba. Jak Dobra Żona Karil Wyleczyła Swego Męża z Chrapania. Król Darith i Zagłada Domu...*

Nagle strumień słów przestał płynąć, ręce barda zatrzymały się. Thom po prostu zdjął kule z powietrza, a słowa zamarły mu na ustach. Moiraine, nie zauważona przez Randa, dołączyła do tłumu słuchaczy. Towarzyszył jej Lan, choć trzeba było się uważnie wpatrzeć, żeby go zobaczyć. Przez chwilę, stojąc zupełnie nieruchomo, bard patrzył na nią z ukosa. Potem jego ręce wykonały nieznaczny gest i kule zniknęły w szerokim rę-kawie. Potem skłonił się jej, szerokim gestem odchylając połę płaszcza.

— Pani wybaczy, ale pani chyba nie jest stąd?

— Lady! — zasyczał gwałtownie Ewin. — Lady Moiraine.

Thom zamrugał, po czym ukłonił się ponownie, tym razem jeszcze głębiej niż po-przednio.

— Jeszcze raz proszę o wybaczenie... Lady. Nie chciałem cię obrazić.

Moiraine wykonała nieznaczny gest, jakby się przed czymś opędzała.

— Nic mi nie uczyniłeś Mistrzu Poezji. A na imię mam po prostu Moiraine. Rzeczy-wiście jestem tu obca, podobnie jak ty podróżuję, daleko i samotnie. Świat może być niebezpiecznym miejscem dla obcych.

— Lady Moiraine zbiera opowieści — wtrącił Ewin. — Opowieści o rzeczach, któ-re wydarzyły się w Dwu Rzekach. Chociaż ja nie wyobrażam sobie, cóż mogło się tutaj zdarzyć, aby stać się tematem opowieści.

— Wierzę, że moje opowieści spodobają ci się również... Moiraine.

Thom spoglądał na nią z wyraźną rezerwą. Widać było, że nie jest zadowolony ze spotkania. Nagle Rand spróbował wyobrazić sobie, jakie rozrywki może znaleźć taka kobieta, jak ona w miastach w rodzaju Baerlon lub Caemlyn. Nie przyszło mu do głowy nic lepszego, niż występ barda.

— To już jest sprawa smaku, Mistrzu Poezji — odpowiedziała. — Pewne opowieści lubię, innych nie.

Thom ponownie uklonił się najgłębiej jak potrafił, jego korpus znalazł się w linii poziomej.

— Tuszę, że żadna z moich opowieści nie napełni cię niesmakiem. Wszyscy na pewno będą zadowoleni i szczęśliwi. Jeżeli zechcesz przyjść, uczynisz mi wielki honor. Jestem tylko prostym bardem, nikiem więcej.

Moiraine odpowiedziała na jego ukłon wdzięcznym skinieniem głowy. Przez tę chwilę jeszcze bardziej wyglądała tak, jak widział ją Ewin, jak dama łaskawie przyjmującą hołd od jednego ze swych poddanych. Potem odwróciła się, a Lan poszedł za nią, jak wilk za płynącym łabędziem. Thom patrzył za nimi marszcząc brwi i szarpiąc wąsa.

„W ogóle nie jest zadowolony” — pomyślał Rand.

— Będziesz jeszcze żonglował? — dopytywał się Ewin.

— Połknij ogień — krzyknął Mat. — Chciałbym zobaczyć, jak połykasz ogień.

— Harfa... — krzyknął ktoś z tłumu. — Zagraj na harfie. — Ktoś inny domagał się fletu.

W tym momencie drzwi gospody otworzyły się i wyszli z niej członkowie Rady Wioski, towarzyszyła im Nynaeve. Rand zauważył, że nie było z nimi Padana Faina — handlarz najprawdopodobniej wolał pozostać w ciepłe, przy swoim korzennym winie.

Mrucząc coś o „mocnej brandy” Thom Merrillin szybko zeskoczył z kamieni. Nie zwracając uwagi na krzyki tych, którzy przyszli na niego popatrzeć, próbował przechnąć się przez drzwi gospody, jeszcze zanim członkowie Rady Wioski zdążyli ją opuścić.

— Czy on sądzi, że jest bardem, czy królem? — zapytał Cenn Buie podrażnionym tonem. — Strata dobrych pieniędzy, jeżeli o mnie chodzi.

Bran al’Vere popatrzył za bardem i pokiwał głową.

— Ten człowiek może przysporzyć więcej kłopotów, niż jest wart.

Zajęta otulaniem się w płaszcz, Nynaeve głośno prychnęła.

— Martw się o barda, jeśli chcesz, Brandwelynne al’Vere. Ostatecznie on znajduje się w Polu Emonda, czego nie można powiedzieć o tym fałszywym Smoku. Dopóki jednak w ogóle chce ci się jeszcze przejmować, pamiętaj o tym, że są w wiosce tacy, którymi rzeczywiście powinieneś się martwić.

— Jeżeli pozwolisz, Wiedząca — powiedział sztywno Bran — racz zostawić mnie samemu wybór przedmiotów moich zmartwień. Pani Moiraine i pan Lan są gośćmi w mojej gospodzie i, jak uważam, bardzo przyzwoitymi, godnymi szacunku ludźmi. Żadne z nich nie nazwało mnie głupcem przed całą Radą. Żadne z nich nie zarzucało członkom Rady braku wszystkich klepek w głowie.

— Sądzę, że moja ocena była i tak o połowę za wysoka — odparowała Nynaeve.

Odeszła, nie oglądając się nawet, a Bran stał osłupiały, nie potrafiąc znaleźć odpowiedniej riposty.

Egwene popatrzyła na Randa, jakby chciała coś powiedzieć, ale zmieniła zamiar i poszła za Wiedzącą. Rand wiedział, że musi być jakiś sposób powstrzymania jej przed opuszczeniem Dwu Rzek, lecz jedyna rzecz jaka mu w tej chwili przychodziła do głowy, wymagała od niego powzięcia decyzji, do której nie czuł się przygotowany. Nawet gdyby ona chciała. Ale z tego, co dotąd mówiła, wcale tak nie wynikało. Zamieszanie myśli sprawiło, iż poczuł się jeszcze gorzej.

— Ta młoda kobieta potrzebuje męża — wymruczał Cenn Buie, lekko kołysząc się na nogach.

Jego twarz była purpurowa i czerwieniała coraz bardziej.

— Zupełnie straciła wszelki szacunek. Jesteśmy Radą Wioski, a nie chłopcami, którzy się za nią uganiają i ...

Burmistrz westchnął ciężko przez nos i zniechęcony zaatakował starego strzecharza.

— Bądź cicho Cenn! Przestań zachowywać się jak Aiel w czarnej masce!

Chudy mężczyzna aż zamarł ze zdziwienia. Burmistrz nigdy nie dawał ponieść się emocjom. Tymczasem Bran szalał.

— Niech szczenę, ale mamy ważniejsze rzeczy do roboty, niż zajmować się tymi głupstwami. Czy może masz zamiar, przyznać słuszność Nynaeve?

Mówiąc to, odwrócił się gwałtownie, wszedł do gospody i zatrzasnął za sobą drzwi. Członkowie Rady popatrzyli na Cenna, potem rozeszli się, każdy w swoim kierunku. Wszyscy prócz Harala Luhhana, który pozostał na miejscu i uspokajająco mówił coś do skamieniałego strzecharza. Kowal był jedynym człowiekiem, który potrafił i cokolwiek wytłumaczyć Cennowi.

Rand poszedł na spotkanie ojca, jego przyjaciele podążyli za nim.

— Nigdy nie widziałem pana al'Vere w takim stanie.

To była pierwsza rzecz, jaką powiedział. Mat rzucił mu spojrzenie pełne niesmaku.

— Burmistrz i Wiedząca rzadko zgadzają się ze sobą — powiedział Tam — a dzisiaj zgadzali się jeszcze mniej. To wszystko. Tak samo jest w każdej wiosce.

— A co z tym fałszywym Smokiem? — zapytał Mat.

Perrin wsparł jego pytanie jakimś niewyraźnym pomrukiem:

— Co z Aes Sedai?

Tam powoli potrząsnął głową.

— Pan Fain nie wiedział wiele więcej nad to, co zdążył już powiedzieć. Pozostałe rzeczy nie mają dla nas większego znaczenia. Bitwy przegrywa się i wygrywa. Miasta padają i są odbijane. Wszystko to jednak, Światłości dzięki, dzieje się w Ghealdan. Wojna nie rozszerza się, przynajmniej na tyle, na ile wiedział Fain.

— Mnie interesują bitwy — powiedział Mat.

— Co o nich mówił? — dopytywał się Perrin.

— Ale mnie nie interesują, Matrim — odpowiedział Tam. — Niemniej jestem pewien, że z chęcią opowie wam o nich później. Tym, co mnie interesuje, jest fakt, że nie musimy tutaj niczego się obawiać, przynajmniej na tyle, na ile jesteśmy w stanie to stwierdzić. Nie widzimy powodu, dla którego Aes Sedai miałyby dotrzeć do Dwu Rzek, skoro kierują się na południe. A jeśli chodzi o drogę powrotną, przypuszczam, że nie będą miały ochoty przeprowadzać się przez Las Cieni i Białą Rzekę.

Chłopcy zaśmiali się. Istniały trzy powody, dla których nikt przyjeżdżał do Dwu Rzek inną drogą niż z północy, przez Taren Ferry. Na północy Góry Mgły, a na wschodzie bagna Mire skutecznie blokowały drogę. Na wschodzie płynęła Biała Rzek, zawdzięczająca swoją nazwę licznym skałom i kamieniom, które ubijały jej szybki nurt na pianę. Poza rzeką rozciągał się Las Cieni. Jedynie kilku ludzi z Dwu Rzek przeprowadziło się przez Białą Rzekę, jeszcze mniej wróciło. Powszechnie uważano, że Las Cieni rozciąga się setki mil na południe, że nie ma w nim żadnej drogi ani wsi, za to pełen jest wilków i niedźwiedzi.

— Tak, że dla nas to już koniec — powiedział Mat. W jego głosie brzmiało rozczarowanie.

— Nie całkiem — zauważył Tam. — Pojutrze wyślemy ludzi do Deven Ride, do Wzgórza Czat i do Taren Ferry, aby zorganizować strażę pilnującą okolicy. Rozstawimy jeźdźców wzdłuż Białej Rzeki i Rzeki Taren, a pomiędzy nimi patrole. Powinno być to zrobione już dzisiaj, lecz tylko burmistrz mnie poparł. Reszta nawet nie chciała próbować prosić kogoś o spędzenie Bel Tine poza wioską.

— Mówił pan, że nie ma powodów do obaw — powiedział Perrin.

Tam potrząsnął głową i rzekł:

— Mówiłem, że nie powinno być, a nie, że nie ma. Widywałem ludzi, którzy ginęli dlatego, iż sądzili, że to co nie powinno się zdarzyć, się nie zdarzy. Ponadto walka wznieca ruch wśród ludzi. Większość oczywiście poszukuje schronienia, ale są też tacy, którzy pragną wyciągnąć dla siebie jakieś korzyści z zamieszania. Tym pierwszym powinniśmy podać pomocną dłoń, lecz pozostałych musimy odesłać tam, skąd przychodzą.

Nagle Mat odezwał się:

— Czy my możemy też wziąć w tym udział? W każdym razie ja bardzo bym chciał. Wie pan, że potrafię jeździć na koniu równie dobrze, jak ktokolwiek we wsi.

— Pragniesz kilku tygodni zimna, nudy i niedosypiania? — zaśmiał się Tam. — Przypuszczalnie do tego się to wszystko sprowadzi. Przynajmniej mam taką nadzieję. Lepiej będzie schodzić z drogi nawet uchodźcom. Jeżeli jednak jesteś zdecydowany, musisz pomówić z panem al'Vere. Rand! Czas wracać na farmę.

Rand zamrugnął zaskoczony i rzekł:

— Myślałem, że zostaniemy na Zimową Noc?

— Trzeba dopatrzeć kilku rzeczy na farmie i chciałbym, abys był ze mną.

— Jeżeli nawet, to możemy zostać przecież jeszcze kilka godzin. Poza tym ja też chciałbym wziąć udział w patrolowaniu.

— Wyruszamy od razu — powiedział ojciec tonem nie dopuszczającym sprzeciwu. Potem dodał trochę łagodniej: — Jutro będziemy z powrotem i wystarczy ci czasu, aby porozmawiać z panem al'Vere. A także wziąć udział w święcie. Teraz masz pięć minut, potem spotykamy się w stajni.

— A ty masz zamiar patrolować razem ze mną i Randem? — zapytał Mat Perrina, gdy Tam się oddalił. — Założę się, że nic takiego dotąd nie zdarzyło się w Dwu Rzekach. Jeżeli zostaniemy skierowani do Taren, możemy nawet zobaczyć żołnierzy i kto wie co jeszcze. Nawet Druciarzy.

— Myślę, że tak zrobię — powiedział wolno Perrin — to znaczy, jeżeli pan Luhhan nie będzie mnie potrzebował.

— Wojna toczy się w Ghealdan — powiedział gwałtownie Rand. Potem z wysiłkiem obniżył głos. — Wojna jest w Ghealdan, a Aes Sedai są, jedna Światłość wie gdzie, ale w każdym razie na pewno nie tutaj. Natomiast człowiek w czarnym płaszczu jest gdzieś w okolicy, chyba, że już o nim zapomnieliście.

Tamci wymienili pełne niepokoju spojrzenia.

— Przepraszam, Rand — wymamrotał Mat — ale szansa na coś oprócz codziennego dojenia krów nie pojawia się często. — Wyprostował się pod ich zaskoczonymi spojrzeniami.

— Tak, muszę je doić, i to codziennie.

— Czarny jeździec — przypomniał im Rand. — Co będzie, jeśli kogoś zrani?

— Może to uciekinier z wojennej zawieruchy — powiedział Perrin powątpiewającym głosem.

— Kimkolwiek jest — dodał Mat — patrole go znajdą.

— Może — odpowiedział Rand. — Ale wygląda na to, że potrafi zniknąć wtedy, kiedy chce. Byłoby lepiej, gdyby wiedzieli, że mają go szukać.

— Powiemy panu al'Vere, kiedy zgłosimy się na patrol zaproponował Mat. — On powie o tym Radzie, a oni powiadomią strażników.

— Rada! — w głosie Perrina brzmiało niedowierzanie. — Będziemy mieli szczęście, jeżeli burmistrz nas nie wyśmieje. Pan Luhhan i ojciec Randa już myślą, że dopatrujemy się niesamowitych rzeczy w każdym cieniu.

Rand westchnął:

— Jeżeli mamy zamiar powiedzieć, to możemy to zrobić teraz. Dzisiaj nie będą śmiać się głośniejsz niż jutro.

— Może — Perrin spojrział z ukosa na Mata — powinniśmy poszukać kogoś, kto jeszcze go widział. Popytamy dzisiaj wieczorem w wiosce.

Wyraz niezadowolenia na twarzy Mata pogłębił się. Wszyscy rozumieli, że Perrin ma na myśli znalezienie świadków bardziej wiarygodnych niż Mat.

— Jutro nie będą śmiać się głośniejsze niż dziś — dodał Perrin, widząc wahanie Randa. — Lepiej byłoby gdybyśmy mieli jeszcze kogoś ze sobą, kiedy do niego pójdziemy. Najlepiej, żeby to było pół wioski.

Rand powoli pokiwał głową. Już słyszał śmiech pana al'Vere. Więcej świadków na pewno nie zaszkodzi. Jeżeli oni trzech widzieli tego człowieka, inni powinni widzieć go również. Musieli go widzieć.

— Wobec tego jutro. Wy spróbujecie znaleźć kogo się da dzisiaj wieczorem, a jutro pójdziemy do burmistrza. Potem...

Patrzyli na niego w ciszy, nikt nie odważył się zadać pytania, co będzie, kiedy nie znajdą nikogo, kto widział człowieka w czarnym płaszczu. To pytanie było wyraźnie widoczne w ich oczach, a Rand nie potrafił na nie odpowiedzieć. Westchnął ciężko i powiedział:

— Lepiej już pójść. Ojciec pomyśli, że coś mi się stało.

Żegnany przez nich poszedł w kierunku stajni, gdzie wóz o wysokich kołach stał oparty na podpórkach.

Stajnia była długim wąskim budynkiem, przykrytym wysoką strzechą. Wyścielone słomą boksy zajmowały obie ściany mrocznego wnętrza. Jedyne światło wpadało przez dwoje otwartych drzwi, znajdujących się na końcach budynku. Konie z zaprzęgu handlarza chrupały siano w ośmiu boksach, a masywne dhuranv karczmarza, które wypożyczał ludziom z wioski, gdy chcieli się udać dalej niż było to możliwe dla ich koni, zajmowały dalszych sześć. Poza tym tylko w trzech boksach stały konie. Rand pomyślał, że bez trudu jest w stanie przypisać każdego konia właścicielowi. Wysoki, czarny ogier o szerokiej piersi, który gwałtownie podrywał głowę, musi być własnością Lana. Lśniącą białą klacz o wygiętej szyi, przestępująca z nogi na nogę z gracją tańczącej dziewczyny, mogła należeć tylko do Moiraine. A ten trzeci obcy koń, długonogi wałach o płaskich bokach i zakurzonej brązowej sierści idealnie pasował do Thoma Merrilina.

Tam stał w drugim końcu stajni i trzymając Belę za uzdę, mówił coś cicho do Tada i Hu. Zanim Rand zdążył wejść do stajni, jego ojciec skinął głową stajennym i wyprowadził Belę na zewnątrz, po drodze zabierając również Randa.

Nie padło ani jedno słowo, podczas gdy zaprzęgali kudłatą klacz. Tam zdawał się być głęboko pogrążony w myślach, toteż Rand również trzymał język za zębami. Nie zastanawiał się, w jaki sposób zdołają przekonać ojca i burmistrza o istnieniu człowieka w czarnym płaszczu. Jutro będzie na to dość czasu, kiedy Mat i Perrin znajdą innych, którzy go widzieli. Jeżeli im się uda.

Kiedy wóz ruszył, Rand wziął łuk i, prawie biegnąc, niezgrabnie przypasał kołczan. Gdy dotarli do ostatniego szeregu domów, wyciągnął strzałę, nasadził na cięciwę i lek-

ko naciągnął. Dookoła nie było nic, oprócz pozbawionych liści drzew, lecz w mięśniach ramion czuł napięcie. Czarny jeździec może na nich napaść, zanim którykolwiek się zorientuje. Może nie wystarczyć czasu na naciągnięcie łuku.

Zdawał sobie sprawę, że długo nie będzie w stanie utrzymać napiętej cięciwy. Sam zrobił ten łuk i prócz Tama niewielu ludzi w okolicy potrafiłoby naciągnąć go do końca. Rozejrzał się dookoła, aby znaleźć coś, na czym mógłby skupić uwagę i przestać wreszcie myśleć o czarnym jeźdźcu. Nie było to łatwe, gdy szli tak, otoczeni przez las, a ich płaszcze łopotały na wietrze.

W końcu jednak postanowił się odezwać:

— Ojczy, nie rozumiem dlaczego Rada przepytowała Padana Faina na osobności.
— Z wysiłkiem oderwał wzrok od lasu i spojrzął ponad grzbietem Beli. — Wydaje mi się, że decyzję, do której doszliśmy, można było podjąć na miejscu. Burmistrz tylko śmiertelnie przestraszył wszystkich, mówiąc o Aes Sedai, fałszywym Smoku i ich obecności w Dwu Rzekach.

— Ludzie są śmieszni, Rand. Większość z nich. Weź choćby Harala Luhhana. Jest silnym mężczyzną i bardzo odważnym, ale nie może patrzeć na zabijanie zwierząt. Robi się wtedy błądy jak płótno.

— A co to ma do rzeczy? Wszyscy wiedzą, że pan Luhhan nie może znieść widoku krwi, a nikt oprócz Coplinów i Congarów nie wyciąga stąd żadnych wniosków.

— O to właśnie chodzi, chłopcze. Ludzie nie zawsze zachowują się, czy myślą w sposób, w jaki mógłbyś zakładać, że powinni. Tamci ludzie... niech śnieżycy zmieni ich pło-ny w błoto, niech wiatr zerwie wszystkie dachy w okolicy, niech wilki pozabijają wszelki żywy inwentarz, a oni zakaszą rękawy i zaczną od samego początku. Będą narzekać, ale nie zmarnują ani chwili czasu. Lecz wystarczy, że wymienisz przy nich nazwę Aes Sedai lub powiesz, że w Ghealdan jest fałszywy Smok, a już zaczną myśleć, że Ghealdan nie leży wcale tak daleko od przeciwległej strony Lasu Cieni, i że prosta droga z Tar Valon prowadzi niezbyt daleko stąd. Jak gdyby Aes Sedai nie wybrały drogi poprzez Camlyn i Lugard, zamiast jechać na przełaj. Jutro rano cała wieś byłaby przekonana, że wojna wkrótce ma spaść na nas. Po całych tygodniach dopiero plotki by ucichły. Mieli- byśmy naprawdę piękne Bel Tine. Dlatego właśnie Brand podsunął im ten pomysł, za- nim sami na niego wpadli. Zobaczyli, że Rada rozważyła ten problem i teraz posłucha- ją tego, co postanowiliśmy. Wybrali nas do Rady Wioski, dlatego że wierzą, iż potrafimy osądzić wszystko w sposób, który będzie najlepiej odpowiadał każdemu. Wierzą w na- sze sądy. Nawet w opinie Cenna, co jak sądzę jest dostatecznym dowodem wiarygod- ności całej reszty. W każdym razie usłyszą, że nie ma się czego obawiać i uwierzą nam. I to nie dlatego, że sami ostatecznie nie są w stanie dojść do identycznych wniosków lub do nich nie dojdą, lecz po prostu dlatego, że nie chcą, aby nie udało się święto, a poza tym któż ma ochotę spędzić całe tygodnie martwiąc się o coś, co się najprawdopodob-

niej nie zdarzy. A jeżeli jednak, mimo wszelkiego prawdopodobieństwa... cóż, patrol ostrzeżę nas wystarczająco wcześnie, abyśmy mogli zrobić wszystko, co będziemy mogli. Ja jednak naprawdę myślę, że do niczego nie dojdzie.

Rand wydał policzki. Bycie członkiem Rady Wioski było najwyraźniej dużo bardziej skomplikowane, niż mu się wydawało. Wóz turkotał po Drodze Kamieniołomu.

— Czy ktoś oprócz Perrina widział tego dziwnego jeźdźca? — zapytał Tam.

— Mat też, ale... — Rand zamrugnął i spojrzał na ojca. — Wierzysz mi? Muszę wrócić. Muszę im powiedzieć.

Krzyk Tama zatrzymał go, gdy już się odwracał, aby biec do wioski.

— Spokojnie chłopcze, spokojnie. Myślisz, że czekałem tak długo bez powodu?

Rand niechętnie zajął swoje miejsce przy wozie, który skrzypiąc i trzeszcząc posuwał się za cierpliwą Belą.

— Co spowodowało, że zmieniłeś zdanie? Dlaczego mam im nie mówić?

— Wkrótce się dowiedzą. Przynajmniej Perrin. Co do Mata, to nie jestem pewien. Trzeba roznieść wiadomości po farmach, lecz gdy dowie się o tym Mat, to w ciągu godziny nie będzie w Polu Emonda nikogo powyżej lat szesnastu, kto nie będzie wiedział, że w okolicy czai się obcy i to taki, którego na pewno nikt nie zaprosiłby na święto. Zima była wystarczająco ciężka, żeby teraz jeszcze straszyć młodzież.

— Święto? — powiedział Rand. — Gdybyś go widział, nie życzyłbyś sobie jego obecności w promieniu najbliższych dziesięciu mil. Najpewniej nawet stu.

— Być może — odrzekł uspokajająco Tam. — To może być po prostu ktoś, kto ucieka przed kłopotami w Ghealdan albo bardziej prawdopodobne, złodziej, który myśli, że tutaj będzie mu łatwiej niż w Baerlon lub Taren Ferry. Gdyby nawet, to i tak nikt w okolicy nie ma wystarczająco dużo, aby można mu było cokolwiek ukraść. Jeżeli zaś jest to ktoś, kto ucieka przed wojną... cóż, nie jest to żadne usprawiedliwienie dla straszenia ludzi. Kiedy wreszcie rozstawimy strażę, to albo go znajdą, albo przepłoszą stąd.

— Mam nadzieję, że go przepędzą. Ale dlaczego teraz mi wierzysz, a nie uwierzyłeś rano?

— Muszę ufać swoim oczom chłopcze, a ja niczego nie widziałem. — Tam potrząsnął siwiejącą czupryną. — Wygląda na to, że tylko młodzi ludzie widzieli tego człowieka, Kiedy Haral Luhhan wspomniał, jak Perrin przestraszył się cienia, wtedy wszystko wyszło na jaw. Widział go najstarszy syn Jona Thana, a także chłopak Samela Crawe'a, Bandry. Cóż, kiedy czterech z was mówi, że widziało coś, a wszyscy to solidni chłopcy, wtedy myślimy, że coś w tym jest, niezależnie od tego czy widzieliśmy coś sami, czy nie. Oczywiście, wszyscy prócz Cenna. Niemniej, dlatego właśnie wracamy do domu. Pod naszą nieobecność ten obcy mógłby narobić jakichś szkód. Gdyby nie święto, jutro nie pojechałbym do wioski. Ale przecież nie możemy zostać więźniami we własnym domu tylko dlatego, że ktoś czai się w okolicy.

— Nic nie wiem o Banie czy Lemie — powiedział Rand. — Ale chcemy iść jutro do burmistrza, boimy się tylko, że nam nie uwierzy.

— Siwe włosy nie znaczą, że rozmiękły nam mózgi — powiedział Tam sucho. — Tak więc patrz uważnie. Może mnie też uda się go zobaczyć, jeśli znowu się pokaże.

Rand zrobił, jak mu kazano. Z zaskoczeniem stwierdził, że jego krok stał się lżejszy. Zniknęło gdzieś napięcie gniotące ramiona. Był wciąż przestraszony, ale już nie tak jak poprzednio. Podobnie jak rankiem, byli sami na drodze, czuł się jednak tak, jakby cała wieś była z nimi. To, że inni wiedzieli i wierzyli, stanowiło istotną różnicę. Czarny jeździec nie mógł zrobić nic takiego, z czym nie poradziłiby sobie ludzie z Pola Emonda.

ZIMOWA NOC

Zanim wóz dojechał do farmy, słońce zdążyło już pokonać połowę drogi między zenitem a horyzontem. Ich dom nie był duży, wielkością nawet nie zbliżony do obszernych domostw farmerów ze wschodu, rozbudowywanych przez lata tak, by zdolne były pomieścić liczne rodziny. W Dwu Rzekach często bywało, iż pod jednym dachem zamieszkiwały trzy, a nawet cztery pokolenia, łącznie ze wszystkimi ciotkami, wujami, kuzynami i siostrzeńcami. Tam i Rand, samotni, we dwóch tylko prowadzący gospodarkę, uważani byli w Westwood za przypadek dość osobliwy.

Dom, wysoki zaledwie na jedno piętro, zbudowany był na planie zgrabnego prostokąta, pozbawionego dodatkowych skrzydeł czy przybudówek. Na stromym poddaszu, krytym strzechą, mieściły się dwa dodatkowe pokoje sypialne oraz spiżarnia. Chociaż nie pomalowali jeszcze zewnętrznych ścian, z których podczas zimowych burz zeszło całe wapno, widać było, że silna, drewniana konstrukcja domu jest utrzymywana w należyтым stanie, strzecha starannie naprawiana, a okiennice szczelne i równo zawieszane.

Dom, stodoła i kamienna owczarnia wyznaczały wierzchołki trójkąta tworzącego podwórko, na którym obecnie kilka odważnych kurcząt grzebało w zmarzniętej ziemi. Obok owczarni znajdowała się, otwarta teraz na oścież, strzyżarnia owiec oraz kamienne koryto na wodę. Pola dzielące farmę od lasu przesłaniał częściowo wysoki szczyt solidnie zbudowanej suszarni. Niewielu farmerów w Dwu Rzekach potrafiłoby związać koniec z końcem, gdyby wędrowni kupcy nie kupowali od nich wełny i tytoniu.

Gdy Rand zajrzał do kamiennej owczarni, napotkał tylko spojrzenie ogromnego barana, rozłożysto-rogiego przewodnika stada, pozostałe owce niewzruszenie wylegiwały się na słomie, albo nurzały swe czarne pyski w korycie z paszą. Urosły im gęste, poskręcane futra, ale wciąż było za zimno, by je strzyc.

— Moim zdaniem człowiek w czarnym płaszczu nie dotarł tutaj — zawołał Rand do ojca, który z włącznią w ręku obchodził powoli dom, przyglądając się uważnie śladom na ziemi. — Owce nie byłyby takie spokojne, gdyby się gdzieś tu kręcił.

Tam skinął głową, ale nie zatrzymał się. Obszedł dom, potem stodołę i owczarnię, ani na moment nie przestając patrzeć uważnie pod nogi. Sprawdził nawet wędzarnię i suszarnię. Zacerpnął z wiadra świeżo nabranej wody, powąchał ją i ostrożnie posmakował czubkiem języka. Po chwili wybuchnął śmiechem i jednym haustem wypił wszystko do końca.

— Chyba masz rację — odezwał się wreszcie do Randa. — Przez tych ludzi i konie, których nie widać, ani nie słyszać, zrobiłem się strasznie podejrzliwy.

Napił się jeszcze i ruszył w stronę domu, z wiadrem w jednej dłoni i włócznią w drugiej.

— Na kolację ugotuję gulasz. Ale najpierw musimy nadgonić robotę.

Rand skrzywił się, żałując Zimowej Nocy w Polu Emonda. Ale Tam miał rację. Praca na farmie nigdy nie ustaje, kończy się jedną rzeczą i zaraz trzeba zaczynać dwie nowe. Zastanawiając się, co teraz robić, wciąż trzymał łuk i kołczan na podorędziu. Jeżeli ten czarny jeździec rzeczywiście miałby się pojawić, to przecież nie będzie z nim walczył motyką.

Najpierw trzeba było zaprowadzić do stajni Belę. Gdy już zdjął z niej uprzęż i wprowadził do zagrody, w której trzymali także krowę, ściągnął swój płaszcz i wytarł jej boki wiechciem słomy, a potem wycesał zgrzeblem. Wspiął się po drabinie na stryszek i zrzucił na dół wiązkę siana. Dorzucił cały kubel owsa, mimo że w korycie zostało jeszcze trochę z poprzedniego dnia, a nie wiadomo było, czy starczy go do końca zimy. Krowa, którą wydoili o pierwszym brzasku, dała zaledwie ćwierć normalnej porcji mleka; wraz z przedłużającą się zimą jej wymiona niemalże zupełnie wyschły.

Wiedział, że paszy dla owiec wystarczy już tylko na dwa dni. Zwierzęta powinny zostać wyprowadzone na pastwisko, niestety żaden skrawek terenu, nawet przy maksimum dobrej woli, nie mógł zostać określony tym mianem. Dolał im jednak przynajmniej wody. Potem trzeba było zebrać jajka, o ile kury w ogóle cokolwiek zniosły. Znalazł tylko trzy, resztę pewnie ptaki złożyły w jakichś dziwnych miejscach, ostatnimi czasy postępowały tak coraz częściej i coraz sprytniej.

Szedł właśnie z motyką do warzywnika, gdy wyszedł z domu Tam, usiadł na ławce i wziął się za naprawianie uprzęży. Widząc, że postawił obok włócznię, Rand przestał mieć do siebie pretensje z powodu łuku leżącego w zasięgu ręki, na płaszczu.

Ponad powierzchnię zmarzniętej ziemi wybiło się kilka pojedynczych chwastów, ale oprócz nich w ogrodzie rosło niewiele więcej. Skarłowaciała kapusta, jakieś liche pędy fasoli albo groszku, buraki nawet nie dały znaku życia. Naturalnie nie zasiali jeszcze wszystkiego, tylko część warzyw, w nadziei, że chłody wreszcie ustąpią i zdążą coś posadzić, zanim piwnica opustoszeje do cna. Kopanie nie sprawiało Randowi trudności — w minionych latach aż nadto często parał się tym zajęciem — pracując, zastanawiał się nad tym, co zrobią, jeżeli nie zbiorą żadnych plonów w tym roku. Niezbyt przyjemna myśl. A tu jeszcze trzeba było porąbać drewno.

Rand niemalże zatęsknił do czasów, kiedy nie rąbało się drewna, nie było bo wiem co rąbać. Ale narzekaniem nie ogrzeje się domu, więc położył łuk i kołczan w pobliżu kloca, chwycił topór i zabrał się do pracy. Sosna dająca żywe, gorące płomienie, płonący długo i wolno dąb. Wkrótce był tak zgrzany, że musiał zdjąć kaftan. Gdy sterta porąbanych szczap urosła już wystarczająco, przeniósł ją pod dom i ułożył obok zgromadzonych tam wcześniej stosów. Większość sięgała do samego okapu.

Zazwyczaj o tej porze roku sągi drewna były niewielkie, ta zima dyktowała jednak własne prawa. Zamach toporem i na stos, zamach i na stos: Rand pograżył się całkowicie w jednostajnym rytmie uderzeń, sterta powoli rosła. Zdziwiony aż zamrugał, gdy dotyk dłoni Tama wytrącił go z hipnotyzującej monotonii.

Zapadał już zmierzch, szybko gęstniejący wraz z nadchodzącą nocą. Nad czubkami drzew pojawił się księżyc w pełni, połyskujący blado, wybrzuszony — wyglądał tak, jakby zaraz miał na nich spaść.

— Chodź, chłopcze. Czas się myć i pomyśleć o kolacji, Już naniósłem wody na gorącą kąpiel.

— Chętnie spotkam się ze wszystkim, co gorące — powiedział Rand, chwytając kaftan i zarzucając go sobie na ramiona. Koszulę miał mokrą od potu, a wiatr, na który zupełnie nie zwracał uwagi podczas intensywnego wymachiwania toporem, obecnie zdawał się przenikać go lodowatym tchnieniem. Tłumił ziewanie i dygocząc zbierał resztę rzeczy.

— Marzę o śnie. Mógłbym przespać całe święto.

— A założysz się ze mną, że nie mógłbyś? — Tam uśmiechnął się i Rand nie miał innego wyjścia, tylko odwzajemnić uśmiech. Musiałby nie spać chyba cały tydzień, żeby nie wstać podczas Bel Tine. Nikt nie był w stanie opuścić tego święta.

Tam rozrzutnie oświetlił dom mnóstwem świec, a na wielkim, kamiennym kominku płonął już z trzaskiem ogień. W głównej izbie zapanował ciepły, radosny nastrój. Oprócz kominka w pokoju znajdował się dębowy stół, tak długi, że mógł przy nim zasiąść co najmniej tuzin osób, ale od śmierci matki Randa mało kto go używał. Pod ścianami stało kilka komód i szafek, w większości, całkiem udatnie, wykonanych własnoręcznie przez Tama, a wokół stołu ustawione były krzesła z wysokimi oparciami. Tuż przy kominku stało jeszcze jedno, wyściełane, na którym ojciec lubił zasiadać z książką. Natomiast Rand, czytając, lubił się wyciągnąć na dywaniku leżącym przed samym paleniskiem. Półka na książki, wisząca obok drzwi, nie była tak długa jak półka w obeerzy „Winna Jagoda”, ale wszak niełatwo dostawało się książki. Rzadko który domokrażca miał przy sobie choć kilka, zaś chętnych do ich kupienia było zawsze wielu.

Mimo pewnego nieładu — stojak na fajki Tama i *Podróże Jain Farstrider* na stole, na wyściełanym krześle jeszcze jedna oprawiona w drewno książka, na ławie uprząż przy-szykowana do naprawy, a na innym krześle stos koszul do cerowania — pokój był pra-

wie tak idealnie wysprzątany, jak dom, w których mieszkają kobiety. Nawet jeśli nie odznaczał się nieskazitelną czystością i porządkiem, to obecne w nim życie sprawiało, że był ciepły i przytulny niczym ogień płonący na kominku. Tutaj zapominało się o chłdzie panującym na zewnątrz. Nie było żadnego fałszywego Smoka. Żadnych wojen, ani Aes Sedai. Żadnych ludzi w czarnych płaszczach. A teraz dodatkowo całe wnętrze wypełniał smakowity aromat mięsa, dobywający się z garnka zawieszzonego nad paleniskiem. Rand poczuł, że umiera z głodu.

Ojciec zamieszał w garnku drewnianą łyżką z długim trzonkiem i spróbował potrawy.

— Jeszcze chwila.

Na szafce obok drzwi stała miska z dzbanem. Rand umył twarz i dłonie. Miał wielką ochotę na gorącą kąpiel, która zmyłaby pot i wypędziła dokuczliwy chłód z ciała, ale musiał na nią poczekać, do czasu aż nadejdzie pora, by w pokoju na tyłach domu za-grzać wielki kocioł z wodą.

Tam poszperał w jednej z komód i wyciągnął z niej długi klucz. Przekręcił go w wielkim żelaznym zamku.

— Lepiej zachować ostrożność. Może się wygłupiam albo to ta pogoda tak na mnie wpływa, ale...

Westchnął i podrzucił klucz w dłoń.

— Sprawdzę tylne drzwi — powiedział i zniknął w głębi domu.

Rand nie pamiętał, by kiedykolwiek zamykali drzwi na zamek. Nikt tego nie robił w Dwu Rzekach, bo po prostu nie było po co. Przynajmniej dotychczas.

W jego sypialni na górze rozległo się szuranie, jakby jakiś przedmiot wleczono po podłodze. Rand zdziwił się. Ojciec raczej nie mógł wpaść na pomysł przemeblowywania teraz pokoju, więc najprawdopodobniej wyciągał spod łóżka starą skrzynię, Rand nie pamiętał, by kiedykolwiek przedtem to robił.

Nalał wody do czajnika, zawiesił go na haku nad paleniskiem, a potem poukładał na stole własnoręcznie wyrzeźbione miseczki i łyżki. Frontowe okiennice nie zostały jeszcze zamknięte, więc od czasu do czasu wyglądał na zewnątrz, nie widział jednak nic prócz cieni rzucanych przez księżyc. Starannie odpędził od siebie podejrzenie, że mogłyby łatwo ukrywać czarnego jeźdźca.

Wrócił Tam i Rand zapatrzył się na niego w zdziwieniu. Ojciec przypasał miecz. Czarną pochwę i długi jelec ozdabiały wygrawerowane w brązie wizerunki czapli. Podobne miecze Rand widział tylko u kupieckich strażników. I naturalnie u Lana. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że ojciec również może posiadać prawdziwą broń, różniącą się od miecza tamtego jedynie ornamentem.

— Skąd go wzięłeś? — zapytał Ran. — Kupiłeś u jakiegoś domokrażcy? Ile kosztował?

Tam powoli wyciągnął miecz z pochwy, klinga zamigotała odbitym blaskiem ognia. Ta broń całkowicie różniła się od prostych, tępych ostrzy, które Rand widział w rękach strażników. Nie zdobiona ani klejnotami, ani złotem, posiadała jednak jakąś wspaniałość. W stali jednostronnego ostrza, nieznacznie zakrzywionego, była wytrawiona jeszcze jedna czapla. Z obu stron rękojeści wystawało coś na kształt splecionych warkoczy. Miecz wydawał się nieomal kruchy w porównaniu z tymi w które uzbrojeni byli strażnicy. Tamte, obosieczne i grube, wyglądały jakby z łatwością można było nimi rąbać drewno.

— Kupiłem go dawno temu — powiedział Tam — daleko stąd. I bardzo też przepłaciłem, co najmniej dwa razy tyle, ile wynosi rzeczywista wartość. Twoja matka nie pochwałała tego nabytku, ale ona zawsze miała więcej rozsądku niż ja. Nalegała, bym się go pozbył, i nieraz myślałem, że ma rację, że powinienem go zwyczajnie komuś podarować.

Blask ognia pełgał po ostrzu tak, że miecz wydawał się płonąć. Rand obruszył się. Często marzył o posiadaniu miecza.

— Dać go komuś? Jak można zrezygnować z posiadania takiego miecza?

Tam parsknął śmiechem.

— Hodowcy owiec raczej nie jest przydatny, prawda? Nie można nim ani orać, ani kosić.

Przypatrywał się mieczowi przez dłuższą chwilę, zupełnie jakby się zastanawiał, do czego go wykorzystać. Wreszcie westchnął głęboko.

— Ale jeśli to wszystko nie jest wyłącznie wymysłem mojej fantazji, jeśli szczęście rzeczywiście odwróciło się od nas, wówczas za kilka dni być może będziemy się cieszyć, że go trzymałem na dnie starej skrzyni.

Schował miecz z powrotem do pochwy i krzywiąc się, wytarł dłoń o koszulę.

— Gulasz jest już pewnie gotów. Nałożę go na talerze, a ty tymczasem zrób herbatę.

Rand skinął głową i sięgnął po puszkę z herbatą, ale wciąż zżerała go ciekawość. W jakim celu Tam kupił ten miecz? Do głowy nie przychodziła mu żadna odpowiedź. I dokąd musiał pojechać, aby go zdobyć? Jak daleko? Nikt nigdy nie wyjeżdżał z Dwu Rzek, no najwyżej kilku ludzi. Zawsze niejasno podejrzewał, że ojciec gdzieś kiedyś podróżował — ostatecznie ożenił się z kobietą nie pochodzącą z tych stron — ale taki miecz...? Gdy wreszcie zasiedli do kolacji, w głowie roiło mu się mrowie pytań.

Woda wrzała tak gwałtownie, że musiał owinąć uchwyt czajnika szmatką, by móc go zdjąć z haka. Natychmiast poczuł, jak ogarnia go błogie ciepło. Wyprostował się i w tym momencie usłyszał szcęk zamka, spowodowany gwałtownym łomotaniem do drzwi. Natychmiast zapomniał o mieczu i gorącym czajniku trzymanym w dłoni.

— To jakiś sąsiad — powiedział niepewnym głosem. — Pan Dautry chce pewnie zobaczyć...

Ale z farmy Dautry'ego, ich najbliższego sąsiada, nawet za dnia jechało się do nich całą godzinę, zresztą Oren Dautry, wiecznie coś od nich bezwstydnie pożyczający, niechętnie opuszczał swój dom po zapadnięciu zmroku.

Tam spokojnie postawił miski z dymiącym gulaszem, a potem powoli odszedł od stołu, ujmując obiema rękoma rękojeść miecza.

— Nie sędzę... — urwał w chwili, gdy drzwi otworzyły się z impetem, a szczątki żelaznego zamka posypały się po podłodze.

W przedsionku pojawił się człowiek roślejszy niż wszyscy których Rand kiedykolwiek spotkał, odziany w czarną kolczugę sięgającą aż do kolan, z kolcami przy nadgarstkach, łokciach i ramionach. W jednej dłoni trzymał ciężki, sierpowaty miecz, drugą przyłożył do oczu, jakby chcąc je osłonić przed światłem.

Rand poczuł coś na kształt ulgi. Niezależnie od wszystkiego, nie był to czarny jeździec. Ale w tym samym niemal momencie zauważył zwinięte baranie rogi, sięgające aż po sufit i owłosiony pysk w miejscu ust i nosa. Ogarnął wszystko w czasie, który normalnie wystarczał do zaczerpnięcia głębokiego oddechu i niewiele myśląc z okrzykiem przerażenia cisnął gorącym czajnikiem w łeb potwora.

Oblaną wrzątkiem bestia zawyła głosem, w którym pobrzmiwał zarówno ból zranionego człowieka, jak i zwierzęca wściekłość. W tej samej chwili, gdy Rand rzucił czajnikiem błysnęło ostrze miecza Tama. Ryk przeszedł w raptowne rżenie, ogromny kształt zatoczył się w tył, lecz nim upadł na ziemię, już następny stwór wdzierał się do środka. Zanim ojciec ponownie zadał cios, Rand dostrzegł następną, identyczną, jakby kaleką głowę zwieńczoną spiczastymi rogami, a potem drzwi zablokowały jeszcze dwa potwory. Wtedy usłyszał, jak ojciec do niego krzyczy.

— Uciekaj, chłopcze! Ukryj się w lesie!

Stwory usiłowały sforsować przedsionek, lecz drogę zagradzały im targane drgawkami ciała towarzyszy. Ojciec podłożył ramię pod masywny stół, z głośnym sapnięciem przewrócił go na kłębowisko ciał.

— Nie damy im rady! Wyjdź tyłem! Uciekaj! Uciekaj! Ja biegnę za tobą!

Rand odwrócił się, by pobiec, ale natychmiast poczuł wstyd, że tak skwapliwie usłuchał rozkazu. Chciał zostać i pomóc ojcu, chociaż nie bardzo wyobrażał sobie, w jaki sposób miałby to zrobić. Strach chwycił go już za gardło, a nogi poruszały się jakby niezależnie od woli. Poruszając się szybciej niż kiedykolwiek w życiu, wybiegł z pokoju i dopadł do tylnych drzwi. Ścigał go łomot i krzyki.

Już chwycił sztabę blokującą drzwi, gdy jego wzrok padł na zamknięty, po raz pierwszy tej nocy, żelazny zamek. Zostawił sztabę, doskoczył do bocznego okna, otworzył je i rozsunał okiennice. Na zewnątrz panował już całkowity mrok. Cętkowane cienie podwórka zdawały się kłębić w świetle pełni księżyca, po którym pędziły stada chmur.

To są tylko cienie — uspokajał sam siebie.

Usłyszał łomotanie do tylnych drzwi, jakby ktoś albo coś próbowało je wyważyć. Zaszło mu w ustach. Nagle drzwi z łoskotem wyleciały z zawiasów, i to wystarczyło, niczym zając dał susa z parapetu okna i przywarł do ściany domu. Z wnętrza dobiegał trzask rozłupywanego drewna. Przyczajony przy ścianie, bojaźliwie zerknął do wnętrza domu, wystawiając jedno oko tuż ponad dolną krawędź okna. Przez wyrwane z zawiasów drzwi do pokoju wkradały się ciemne sylwetki, wydając z siebie głębokie, gardłowe głosy. Rand niczego nie rozumiał — dziwny, zgrzytliwy język, nie przystosowany do ludzkiego gardła. Księżyc świecił mętnym blaskiem w ostrzach toporów, włóczni i budyganów. Słysząc było szuranie wysokich butów oraz rytmiczny łomot, przypominający stukot kopyt.

Najgłośniej, jak mu pozwalał głęboki, urywany oddech, wykrzyknął przez zupełnie wyschłe gardło:

— Wchodzą od tyłu! — Słowa zabrzmiały skrzekliwie, ale przecież chwilę wcześniej sądził, że w ogóle nie wydobędzie z siebie głosu. — Jestem na zewnątrz! Uciekaj, ojczel!

Przy ostatnim słowie ruszył pędem przed siebie.

W pokoju na tyłach domu rozwrzeszczały się chrapliwe głosy, wymawiające obce, dziwne słowa. Wśród donośnego, ostrego brzęku tłuczonego szkła, na ziemię, tuż za nim, zważyło się coś ciężkiego. Domyślił się, że któryś ze stworów rozbił szybę, zamiast przeciskać się przez wąski otwór, ale nie odwrócił się, by sprawdzić, czy rzeczywiście tak było. Jak lis uciekający przed sforą psów pomknął do najbliższej grupy cieni, udając, że biegnie w stronę lasu. Po chwili jednak padł na brzuch i poczołgał się w kierunku gęstszego mroku, spowijającego zagrodę. Gdy nagle coś upadło mu na ramiona, nie był pewien, czy ma walczyć, czy uciekać, ale było to po prostu na nowe stylisko do motyki, wyciosane przed paroma dniami przez Tama.

„Idiota!” — pomyślał o sobie.

Przez chwilę leżał spokojnie, usiłując uspokoić oddech. Wreszcie przepełził na tył zagrody, wlokąc stylisko ze sobą. Nie stanowiło szczególnie groźnej broni, ale lepsze to niż nic. Ostrożnie wyjrzał zza rogu.

Nigdzie nie widział stwora, który wyskoczył za nim przez okno. Mógł być wszędzie, może nawet w tej chwili skradał się wprost na niego.

Z owczarni dobiegało go pobekiwanie przerażonych owiec, które tłukły się o ściany, jakby szukały drogi ucieczki. W oświetlonych oknach z przodu domu przemykały się ciemne kształty, stal uderzała o stal. Nagle wśród gradu okruchów szkła i odprysków drewna z okna wyskoczył Tam. Wylądował na równych nogach, ale zamiast uciekać, pobiegł na tył domu, lekceważąc bestie, które już przechodziły w ślad za nim przez wybite okiennice i drzwi.

Rand przypatrywał się tej scenie z niedowierzaniem. Dlaczego ojciec nie ucieka? A potem nagle przypomniał sobie, że Tam po raz ostatni usłyszał jego głos dochodzący właśnie stamtąd.

— Ojcze! — zawołał. — Jestem tutaj!

Tam zawrócił w pół kroku, nie pobiegł jednak w stronę Randa, lecz zaczął okrążyć go szerokim łukiem.

— Biegnij, chłopcze! — krzyknął, wymachując mieczem, jakby bronił się przed atakiem. — Ukryj się!

Powietrze aż dygotało od chrapliwych okrzyków i przenikliwego wycia ogromnych bestii, nacierających na niego od tyłu.

Rand podczołgał się ku ceniom oblegającym zagrodę, które mogły uczynić go niewidocznym dla oczu obserwujących z okien domu. Był bezpieczny, przynajmniej na chwilę, w odróżnieniu od Tama, który próbował odciągnąć od niego uwagę potworów. Schwycił mocniej stylisko i w tym momencie zacisnął zęby, by nie wybuchnąć głośnym śmiechem. Stylisko motyki. Istniała spora różnica między walką z tymi stworzeniami przy pomocy motyki, a walką na kije z Perrinem. Nie mógł jednak pozwolić, by Tam samotnie stawiał czoła napastnikom.

— Jeżeli będę się poruszał tak, jakbym podchodził królika — szepnął do siebie — to ani mnie nie usłyszą, ani nie zobaczą.

Z trudem przełknął ślinę, słysząc echo upiornego wycia przeszywające ciemności.

„Jeszcze gorzej niż stado wygłodniałych wilków” — pomyślał.

Wyczołgał się spod zagrody najciszej jak potrafił i poszedł w stronę lasu. Kurczowo ścisnął stylisko, aż do bólu palców.

Otoczenie drzew uspokoiło go na chwilę. Tu mógł znaleźć schronienie przed wzrokiem przedziwnych stworów, które zaatakowały farmę. Jednak gdy dalej wchodził w las, ruchome nocne cienie natchnęły go grozą. Czuł się tak, jakby wraz z nimi leśny mrok zmieniał się i przemieszczał. Mające w górze drzewa budziły lęk, konary wiły się ku niemu, jakby chciały, go schwytać w swe macki. Tylko czy to w ogóle są drzewa i konary? Słyszał nieomal warkotliwy, przytłumiony chichot, dobywający się z ich gardedł — coraz głębiej wchodził w pułapkę zaczajonego drapieży. Wycie prześladowców Tama ustało wprawdzie, ale w jego miejsce zapanowała taka cisza, że Rand drżał za każdym razem, gdy słyszał szmer gałęzi poruszanych przez wiatr. Szedł coraz szybciej, z każdym krokiem coraz bardziej skulony. Ledwie odważył się oddychać, z obawy że ktoś może usłyszeć jego głośne dyszenie.

Nagle czyjaś dłoń zakryła mu usta, nadgarstek otoczył żelazny uścisk. Jak oszalały usiłował schwycić napastnika wolną dłonią.

— Tylko nie złam mi karku, chłopcze — usłyszał chrapliwy szept Tama.

Zalała go fala ulgi, poczuł, jak wiotczeją napięte mięśnie. Gdy ojciec puścił uchwyt, osunął się na ziemię i dyszał ciężko jak po kilkumilowym biegu. Tam położył się obok niego i wsparł na łokciu.

— Normalnie nawet bym nie próbował, bardzo przecież wyrosłeś podczas ostatnich kilku lat — powiedział miękko Tam. Jego wzrok wędrował gdzieś bezustannie, wciąż przepatrując mrok. — Ale nie mogłem pozwolić, żebyś krzyknął. Niektóre trolloki słyszą tak dobrze jak psy, może nawet lepiej.

— Ale trolloki to przecież tylko... — Rand urwał.

— Ta noc to nie żadna bajka. Te stwory naprawdę mogły być trollokami. Może nawet towarzyszył im sam Czarny.

— Jesteś pewien? — wyszeptał — że to... trolloki?

— Nie mam żadnych wątpliwości. Nie rozumiem tylko, co je sprowadziło do Dwu Rzek... ja sam zetknąłem się z nimi dziś po raz pierwszy, ale znam ludzi, którzy widzieli je na własne oczy i dlatego wiem trochę na ten temat. Ta wiedza może nas uratować, więc posłuchaj mnie uważnie. Trollok widzi w ciemności lepiej niż człowiek, ale bardzo jasne światło go oślepia, przynajmniej na jakiś czas. Chyba właśnie dzięki temu uciekliśmy tak licznemu stadu. Niektóre potrafią tropić ludzi po zapachu lub dźwiękach, ale podobno są leniwe. Jeżeli dostatecznie długo będziemy im się wymykać, to prawdopodobnie zrezygnują z pogoni.

Po tych słowach Rand poczuł się odrobinę lepiej.

— Baśnie mówią, że one nienawidzą ludzi i służą Czarnemu.

— Jeżeli Pasterz Nocy rzeczywiście ma jakieś stada, chłopcze, są to właśnie stada trolloków. Stwory te, jak mi mówiono, zabijają dla samej przyjemności zabijania. Ale na tym moja wiedza się kończy, słyszałem jeszcze, że można im ufać tylko wtedy, gdy się ciebie boją i to też nie całkowicie.

Rand zadrżał. Ciekawe, kim jest ten ktoś, kto potrafi przerazić trolloka.

— Czy myślisz, że one jeszcze na nas polują?

— Może tak, może nie. Raczej nie są zbyt sprytnie. Bez trudu je zwiodłem, gdy dobiegłem do lasu. Szukają nas teraz po górach. — Tam obmacał prawy bok, a potem przyłożył dłoń do twarzy. — Ale lepiej ich nie lekceważyć.

— Jesteś ranny.

— Mów ciszej. To tylko zadrapanie, a zresztą, nic z tym na razie nie można zrobić. Za to wyraźnie się ociepliło. Westchnął ciężko i położył się na wznak. — Może noc poza domem nie będzie taka straszna.

Jednakże w głębi umysłu Randa kołatała się tęskna myśl o zimowym kaftanie i ku-braku. Drzewa dawały wprawdzie jakąś ochronę przed wiatrem, on jednak wdzierał się między nie, niczym lodowaty nóż tnący wszystko swym powiewem. Z wahaniem dotknął twarzy Tama i skrzywił się.

— Masz gorączkę. Muszę cię zawieźć do Nynaeeve.

— Za chwilę, chłopcze.

— Nie mamy czasu do stracenia. W tych ciemnościach to będzie długa droga.

Zerwał się na nogi i usiłował podźwignąć ojca, ale słysząc zduszony jęk, dobywający się zza zaciśniętych zębów, czym prędzej ułożył go z powrotem.

— Pozwól mi chwilę odpocząć. Jestem zmęczony.

Rand walnął się pięścią w udo. W domu, gdzie są koce, ogień, woda i kora brzoźowa, mógłby spokojnie poczekać do nadejścia świtu, osiedlać Belę i odwiedzić Tama do wsi. Tu natomiast nie było ognia, wozu, kocy, ani konia. Wszystko znajdowało się w ich domu. Nie mógł tam zanieść ojca, ale może coś z tych rzeczy uda się przynieść tutaj. O ile trolloki opuściły już farmę. Przecież prędzej czy później będą musiały odejść.

Spojrzał na stylisko, które wciąż ścisnął w dłoni i odrzucił je na bok. Zamiast niego ujął miecz Tama. W bladym świetle księżycy jego ostrze zaśniło przyćmionym blaskiem. Dziwnie się czuł z długą rękojeścią w dłoni, niezwykle były i ciężar, i pochwa. Zrobił kilka szerokich zamachów w powietrzu i westchnął. Łatwo jest ciąć pustkę, ale gdy będzie musiał zaatakować trolloka, na pewno ucieknie albo zamrze sparalizowany strachem, a trollok zamachnie się na niego swoim dziwnym mieczem i...

„Przestań! To nie prowadzi do nikąd!”

Gdy zaczął wstawać, Tam schwycił go za ramię.

— Dokąd idziesz?

— Potrzebujemy wozu — wyjaśnił spokojnie. — I kocy.

Zaszokowała go łatwość, z jaką oderwał dłoń ojca od swego rękawa.

— Odpoczywaj, ja zaraz wrócę.

— Bądź ostrożny — wydyszał Tam.

W słabym świetle księżycy nie widział twarzy ojca, ale czuł na sobie jego wzrok.

— Postaram się.

„Będę tak ostrożny, jak mysz penetrująca gniazdo jastrzębia” — pomyślał.

Wsunął się w mrok bezszelestnie, jakby był tylko zwykłym cieniem. Przypomniał sobie czasy, gdy bawił się w tym lesie w podchody razem z innymi chłopcami — trzeba było się podkraść jak najciszej do drugiego uczestnika zabawy i położyć mu dłoń na ramieniu. Teraz jednak te sytuacje jakoś nie wydawały mu się podobne.

Pełzł powoli od drzewa do drzewa i usiłował opracować jakiś plan, ale nim dotarł do skraju lasu, ułożył ich i odrzucił co najmniej dziesięć. Wszystko zależało od tego, czy trolloki są jeszcze na farmie. Jeśli już ich nie ma, wejdzie po prostu do domu i weźmie to, co mu potrzebne. A jeśli tam jeszcze są... W takim przypadku nic nie wyjdzie z jego przedsięwzięcia i wróci do lasu z pustymi rękami. Była to niezbyt radosna perspektywa, ale przecież nie pomoże w żaden sposób Tamowi, jeśli da się zabić.

Podniósł głowę i zerknął ostrożnie w stronę zabudowań farmy. Na tle poświaty księżycy zagroda i owczarnia wyglądały jak zwykłe cienie. Jednakże z frontowych okien i drzwi domu wylewało się jasne światło.

„Czy to tylko świece, które zapalił ojciec, czy tam nadal czają się trolloki?”

Zerwał się na nogi, przestraszony nagłym, piskliwym krzykiem kozodoja i roztrzęsiony przywarł do drzewa. Stanie w miejscu nie doprowadzi do nikąd. Położył się i zaczął niezdarnie pełznąć, miecz trzymał wyciągnięty przed siebie. Przez całą drogę do owczarni szorował brodą po ziemi.

Przycupnął pod kamiennym murem i nasłuchiwał — żaden dźwięk nie zakłócał ciszy nocnej. Wyprostował się ostrożnie, by wyrzeć zza rogu. Nie dostrzegł żadnego ruchu na podwórku farmy, nie widział też cieni przemykających w oświetlonych oknach domu.

„Najpierw Bela i wóz, a potem koce i inne rzeczy.”

To światło zadecydowało za niego. W zagrodzie było ciemno. Tylko na własnej skórze mógł się przekonać, czy coś się czai w środku. Stamtąd przynajmniej będzie mógł zobaczyć, jaka jest sytuacja w domu.

Skulony ruszył przed siebie, ale zamarł nagle w pół kroku. Nie słysząc żadnego dźwięku! O tej porze owce już układają się do snu, ale zawsze znajdzie się wśród nich parę takich, które nie śpią, szeleszczą w słomie i pobekują od czasu do czasu. Z trudem wypatrzył ciemne pagórki leżących owiec. Jeden znajdował się o krok od niego.

Starając się robić jak najmniej hałasu, podnosił się powoli, przytulony do ściany, aż wreszcie mógł wyciągnąć rękę i dotknąć ciemnego kształtu. Jego palce napotkały skreconą sierść, a potem wilgoć, owca nawet nie drgnęła. Ze ściśniętym gardłem, w pośpiechu wypadł z owczarni. Przewracając się omal nie wypuścił miecza z rąk. „Zabijają dla przyjemności.”

Jak oszalały usiłował zetrzeć krew z palców.

Uporczywie wmawiał sobie, że nic się nie zmieniło. Trolloki dokonały rzezi i odeszły. Uparcie obstając przy tej myśli czołgał się przez podwórko i rozglądał bacznie na wszystkie strony. Gdy płasko przywarł do ziemi, uświadomił sobie, iż nigdy nie przyszło mu do głowy, że może kiedyś zazdrościć dżdżownicom.

Dotarł do domu, przycisnął się do ściany, tuż pod wybitym oknem, i nasłuchiwał. Najgłośniejszym dźwiękiem był monotony łomot krwi w uszach. Wyprostował się powoli i zajrzał do środka.

W popiołach paleniska leżał przewrócony do góry dnem garnek z gulaszem. Cały pokój zaśmiecały kawałki połupanego na drzazgi drewna, trolloki połamały wszystkie meble. Nawet stół został przewrócony na bok, zamiast nóg miał już tylko sterczące kikuty. Powyciągały i roztrzaskały wszystkie szuflady, pootwierały szafki i komody. W wielu z nich drzwiczki wisiały tylko na jednym zawiasie. Zawartość leżała porozrzucana i pokryta białym proszkiem, mąką i solą, sądząc po rozerwanych torbach ciśniętych obok kominka. Wśród szczątków mebli leżały bezładnie cztery skrecone ciała. Trolloki.

Rand rozpoznał jednego z nich po baranich rogach, choć pozostałe niewiele się od niego różniły — ich głowy stanowiły obrzydliwy melanz ludzkich rysów, zwierzęcych

pysków, rogów, piór i futra. Obraz uzupełniały spotworniałe dłonie, bardzo podobne do ludzkich. Dwa trolloki miały na nogach wysokie buty, pozostałe jedynie gołe kopyta. Rand wpatrywał się w trolloki tak długo, że aż zapiekły go oczy. Żaden się nie ruszał. Na pewno były martwe. A poza tym, czekał na niego Tam.

Wbiegł do środka domu i zatrzymał się, gdy w nozdrza uderzył go potworny, dławiący straszliwie smród, przypominający zapach nawozu ze stajni nie sprzątej od wielu miesięcy. Całe ściany były pokryte jakimiś ohydnyimi plamami. Starając się oddychać przez usta, Rand zaczął pośpiesznie grzebać w śmietniku zalegającym podłogi. W jednym z kredensów znajdował się kiedyś bukłak.

Usłyszawszy za sobą jakieś drapanie, poczuł ciarki na plecach: Odwrócił się tak gwałtownie, żeomalże nie upadł na szczątki rozbitego stołu. Utrzymał jakoś równowagę i powstrzymując szcęknięcie zębów, zacisnął szczęki do bólu.

Jeden z trolloków ożył i właśnie wstawał z podłogi. Nad wilczym pyskiem jarzyły się zapadnięte oczy: płaskie, pozbawione wyrazu, a jednak całkiem ludzkie. Stwór miał owłosione, spiczaste uszy, którymi bezustannie strzygł. Przeształ przez ciało jednego z martwych towarzyszy, tupiąc kozimi kopytami. Tak jak pozostali, ubrany był w czarną kolczugę, wetkniętą w skórzane spodnie, a u boku miał przypasany sierpowaty miecz.

Zaszwargotał coś gardłowo, a potem wybełkotał:

— Inni odejść. Narg zostać. Narg mądry.

Trudno było zrozumieć zniekształcone słowa padające z ust niestosownych dla ludzkiej mowy. Chociaż wyraźnie starał się uspokoić Randa, chłopiec nie potrafił pominąć wzrokiem długich, poźółkłych i ostrych zębów, które połyskiwały przy każdym słowie.

— Narg wie, niektórzy zaraz wrócić. Narg czekać. Ty nie potrzebować miecz. Ty schować miecz.

Dopóki trollok tego nie powiedział, Rand nie zdawał sobie sprawy, iż cały czas wymachuje trzymany oburącz mieczem, ostrze kierując prosto w stwora. Siegał trolloko- wi zaledwie do piersi, nawet pan Luhhan wyglądałby przy nim jak karzeł.

— Narg nie zrobić krzywdy. — Trollok gestykulując zrobił krok do przodu. — Schować miecz.

Ciemne włosy porastające jego ręce były gęste jak futro.

— Nie zbliżaj się — wykrzyknął Rand, żałując, że nie potrafi przemawiać bardziej stanowczym tonem. — Dlaczego to zrobiliście? Dlaczego?

— *Vlja daeg roghda!*

Grymas szybko przeszedł w uśmiech demonstrujący wszystkie zęby.

— Schować miecz. Narg nie zrobić krzywdy. Myrddraal chcieć rozmawiać.

Szpetną twarz przeszył nagle błysk emocji. Wyraźnie był to strach.

— Inni wrócić, ty rozmawiać z Myrddraal.

Zrobił następny krok, kładąc dłoń na rękojeści miecza.

— Schować miecz.

Rand zwilżył wargi językiem. Myrddraal! Dzisiejszego wieczora najstraszniejsze opowieści stają się rzeczywistością. Jeśli istotnie miał tu przybyć Pomor, to spotkanie z jednym trollokiem wydawało się błahostką. Trzeba uciekać, bo kiedy ten stwór wyciągnie swoją broń, nie będzie miał żadnej szansy. Zmusił wargi do niepewnego uśmiechu.

— W porządku. — Odruchowo raz jeszcze zacisnął dłoń na rękojeści miecza, a potem opuścił ręce do boków. — Będę rozmawiał.

Wilczy uśmiech zmienił się na powrót w grymas i trollok niespodziewanie zaatakował. Rand nigdy nie sądził, że to wielkie stworzenie potrafi się poruszać z taką szybkością. Desperackim ruchem próbował jeszcze unieść miecz, ale monstrualne cielsko wpadło wprost na niego i przygniotło do ściany. Runęli razem na podłogę, wstrząs spowodował, że całe powietrze uciekło mu z płuc. Jak oszalały usiłował się wyslizgnąć spod miażdżącego go ciężaru, wymknąć sięgającym po niego grubym dłońmi i kłapiącym szczękom.

I nagle poczuł, jak ciałem trolloka wstrząsają spazmatyczne drgawki. W chwilę później znieruchomiało. Podrapany, posiniaczony, na pół uduszony przez przygniatającą go górę mięsa, leżał przez chwilę nieruchomo, ledwie dowierzając własnemu szczęściu. Oprzytomniał jednak szybko i zaczął wypełzać spod martwego ciała. Nie było to łatwe. Zobaczył zakrwawione ostrze sterczące z samego środka grzbietu jego prześladowcy, jednak zdążył w porę wyciągnąć miecz. Krew powalała mu całe dłonie i ciemną plamą rozlała się na przodzie koszuli. Kotłowało mu się w żołądku, z trudem powstrzymywał wymioty. Dygotał w spazmie potwornego strachu, przepełniała go jednak ulga, świadomość tego, że wciąż jeszcze żyje.

Trollok twierdził, że stworzy mają zamiar tu wrócić. Na farmę wrócą inne trolloki, a z nimi Myrddraal, Pomor. Powiadano, że Pomory mają dwadzieścia stóp wzrostu, gorejące oczy i zamiast koni dosiadają cieni. Kiedy taki demon chciał uciec, wjeżdżał po prostu w ścianę i żaden mur nie był mu przeszkodą. Przychodził, spełniał swoje zadanie i natychmiast znikał.

Rand sapiąc z wysiłku przekręcił ciało trolloka, by móc wyciągnąć swój miecz i omal nie uciekł, gdy spojrzał w otwarte oczy. Dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że pokrywa je szklista powłoka śmierci.

Otarł dłonie w szmatę, która jeszcze tego rana służyła Tamowi za koszulę, wyswobodził miecz. Otarł go i z niechęcią odrzucił szmatę na podłogę.

„Nie ma czasu na dbanie o porządek” — pomyślał i zacisnął zęby, aby się nie roześmiać.

Dom nawet po gruntownym sprzątnięciu nie nadawał się już do zamieszkania. Potworny smród najprawdopodobniej przeniknął wszystko do gołych desek. Nie było jednak czasu na rozmyślanie o takich sprawach.

„Nie ma czasu na dbanie o porządek. Może nie ma już czasu na nic.”

Był przekonany, że zapomniał zabrać całe mnóstwo niezbędnych rzeczy, ale przecież Tam czekał na niego, a trolloki mogły wrócić w każdej chwili. Pozbierał więc tylko to, co w pośpiechu przychodziło mu do głowy. Koce z sypialni na górze, czyste szmatki do obandażowania ran Tama. Płaszcz i kaftany. Bukłak, który zawsze zabierał ze sobą, gdy wyprowadzał owce na pastwisko. Czystą koszulę. Nie wiedział, kiedy będzie miał czas się przebrać, ale pragnął przy najbliższej okazji pozbyć się zakrwawionego ubrania. Małe torebki z korą wierzby i inne lekarstwa utonęły niestety pod zwałami czegoś, co wyglądem przypominało błoto. Do grzebania w nim nie potrafił się zmusić.

Obok kominka stało wiadro z wodą przyniesioną jeszcze przez ojca, jakimś cudem nikt nie przewrócił go, ani nie zanieczyścił zawartości. Napełnił bukłak, resztą wody obmył ręce. Rozejrzał się po raz ostatni, sprawdzając, czy czegoś jednak nie zapomniał. Wśród śmieci znalazł swój łuk, przełamany na pół w najgrubszym miejscu. Drgnął nerwowo, gdy broń rozleciała mu się w rękach na kawałki. Te przedmioty, które dotychczas zgromadził, będą jakoś musiały im wystarczyć. Pośpiesznie wyniósł wszystko przed dom.

Na koniec wygrzebał jeszcze z rumowiska na podłodze potrzaskaną lampę, nadal pełną oliwy. Odpalił ją od świecy, potem przymknął okiennice — częściowo po to, by osłonić dom przed wiatrem, ale przede wszystkim, by nie przyciągały uwagi — i pośpiesznie wyszedł na zewnątrz, trzymając w jednej dłoni lampę, a w drugiej miecz. Nie był pewien, co go czeka w zagrodzie, widok zastany w owczarni odebrał mu właściwie wszelką nadzieję. Potrzebował jednak wozu, by zawieźć Tama do Pola Emonda, a wóz musiała przecież ciągnąć Bela. W takiej sytuacji nadzieja była koniecznością.

Wrota zagrody były otwarte na oścież. Jedno ze skrzydeł, poruszane przez wiatr, kołysało się na jednym tylko zawiasie. Na pierwszy rzut oka we wnętrzu budynku wszystko było bez zmian. Po chwili jego wzrok padł na puste przegrody i powyrywane barierki. Koń i krowa zniknęły. Wóz leżał przewrócony na bok, połowa szprych w jego kołach została wyłamana, po jednym z dyszli pozostał tylko krótki kikut.

Ogarnęła go rozpacz, którą do tej pory jakoś w sobie tłumił. Nie wiedział, czy zdoła donieść ojca na własnych barkach do odległej wsi, a zresztą trudno było przewidzieć, czy Tam przetrzyma taką drogę. Ból mógł go zabić o wiele szybciej niż gorączka. Niemniej jednak zawsze zostawała jakaś szansa. Nie miał tu już czego szukać, zrobił wszystko, co mógł. Kiedy się odwrócił, by odejść, zauważył wyłamany dyszel, leżący na zasłanej sianem podłodze.

Pośpiesznie odłożył lampę, miecz i zaczął mocować się z wozem. Nie zważając na trzask pękających szprych, usiłował postawić go na kołach, potem podłożył pod niego ramię i przerzucić na drugą burtę. Zyskał dzięki temu dostęp do nienaruszonego dyszla. Chwycił miecz i uderzył nim w stare, jesionowe drewno. Zdziwił się przyjemnie, gdy

pod wpływem jego ciosów poleciały w bok wióry, a po krótkiej chwili cały dyszel odpadł. Efekt był taki jakby użył mocnego topora.

Gdy skończył, obejrzał ze zdziwieniem ostrze miecza. Nawet najlepiej zaostrzony topór dawno by się stępił przy rąbaniu stwardniałego ze starości drewna, a tymczasem miecz błyszczał tak samo jak przedtem. Przeciągnął kciukiem wzdłuż ostrza i zaraz musiał go włożyć do ust — cięło jak brzytwa.

Ale nie miał czasu na jałowe zdziwienia. Zgasił lampę jeszcze pożaru brakowało na domiar tego wszystkiego — podniósł dyszle i podbiegł do stosu wyniesionych z domu rzeczy.

Wszystko razem tworzyło niezgorszy balast: niezbyt ciężki, ale niezmiernie trudny do niesienia. Kiedy brnął chwiejnie przez zaorane pole, dyszle nieprzerwanie wysuwały mu się z rąk, w lesie zrobiło się jeszcze gorzej, ponieważ zahaczały o drzewa, omal go przy tym nie zwalając z nóg. Mógł je co prawda wlec za sobą, ale w ten sposób zostawiłby wyraźny ślad, postanowił więc nie robić tego tak długo, dopóki się da.

Ojciec leżał dokładnie w tym samym miejscu, w którym go zostawił. Na pierwszy rzut oka wyglądał na pogrążonego we śnie, taką przynajmniej Rand miał nadzieję. Zdjęty nagłym lękiem upuścił swoje ciężary i przyłożył dłoń do twarzy Tama. Ranny nadal oddychał, jednak gorączka jeszcze wzrosła.

Ojciec obudził się, czując dotyk jego dłoni, był jednak ledwie przytomny.

— Czy to ty, chłopcze? — wydyszał. — Martwiłem się o ciebie. Śniłem o dawnych czasach. Same koszmary.

Mrucząc cicho coś jeszcze, ponownie zapadł w sen.

— Nie martw się — szepnął Rand. Okrył Tama płaszczem i kaftanem, by go osłonić przed wiatrem. — Zawiozę cię do Nynaeve najszybciej, jak będę potrafił.

Przemawiał tak jeszcze chwilę, pragnąc uspokoić nie tylko ojca, ale i samego siebie, a tymczasem zdjął zakrwawioną koszulę. Tak bardzo chciał się jej pozbyć, że ledwie zwrócił uwagę na przenikliwie zimno. Szybko włożył świeże ubranie. Po wyrzuceniu koszuli poczuł się tak, jakby dopiero co wziął kąpiel.

— Zaraz dotrzemy do wsi i Wiedząca już wszystko załatwi. Zobaczysz. Wszystko będzie dobrze.

Ta myśl mu przyświecała, kiedy zakładał kaftan i pochylał nad ranami ojca. W wiosce będą już bezpieczni i Nynaeve uleczy Tama. Trzeba tylko tam dotrzeć.

ZACHODNI LAS

W bladym świetle księżycy Rand nie najlepiej widział, co robi, ale na pierwszy rzut oka rana ojca wydawała się być tylko płytkim nacięciem na żebrach, nie dłuższym od dłoni. Potrząsnął głową z niedowierzaniem. Już gorsze skaleczenia widywał u Tama, a wówczas ten przerywał pracę tylko na chwilę, aby się obmyć. Pośpiesznie zbadał jego ciało, szukając jakiejś innej rany, która rzeczywiście mogła powodować tak wysoką gorączkę, ale nic więcej nie znalazł.

Okazało się jednak, że nacięcie jest groźne, skóra na jego obrzeżach była bardzo gorąca, o wiele gorętsza niż reszta ciała. Rand aż zacisnął szczęki, kiedy to stwierdził, domyślił się bowiem, że ktoś, kogo opanuje taka gorączka, jest stracony, a nawet jeśli ją przeżyje, pozostanie z niego strzęp człowieka. Nasączył gałganek wodą i przyłożył Tamowi do czoła.

Jak najdelikatniej starał się obmyć i zabandażować ranę, ale głuchy pomruk, nieustannie wydobywający się z ust ojca, co jakiś czas przerywały ciche pojękiwania. Ponad ich głowami nagie gałęzie kołysały się groźnie na wietrze. Kiedy trolloki wrócą na farmę i nikogo tam nie znajdą, na pewno odejdą. Wmawiał to sobie uparcie, ale widok bezsensownych spustoszeń, jaki zastał w gospodarstwie, nie dawał mocnych podstaw do takiej wiary. Przekonanie, że te bestie zrezygnują z zamiaru zabijania wszystkiego, co im wejdzie w drogę, mogło okazać się zgubne. Nie mógł sobie pozwolić na taką naiwność.

„Trolloki. Trolloki, o Światłości! Stwory z opowieści bardów, nagle wyłaniające się z mroku, by staranować drzwi naszego domu. I Pomor. O Światłości, zaświeć nade mną, Pomor!”

Nagle uświadomił sobie, że w znieruchomiałych dłoniach trzyma końce bandaży, które przecież powinien zawiązać.

„Sparaliżowany jak królik na widok cienia jastrzębia”, pomyślał z goryczą.

Rozzłoszczony na samego siebie, potrząsnął głową i dokończył opatrywania piersi Tama. Chociaż wiedział, jak postępować i nawet nieźle sobie z tym radził, nie przestawał się jednak bać. Kiedy trolloki powrócą, z całą pewnością zaczną penetrować las ro-

snący wokół farmy, szukając śladów ludzi, którzy im uciekli. Znajdą ciało zabitego i domyślą się, że zbiegowie są gdzieś w pobliżu. Kto wie, co Pomor wówczas zrobi, albo co może zrobić? Na domiar wszystkiego w myślach rozbrzmiewało mu ostrzeżenie ojca — tak wyraźnie, jakby je dopiero co usłyszał — przed nadzwyczajnym słuchem trolloków. Omal nie zakrył ust Tamowi, by uciszyć jego jęki i mamrotania.

„Niektóre tropią po zapachu. Jak temu przeciwdziałać? Nijak.”

Szkoda czasu na zamartwianie się problemami, z którymi nic nie można zrobić.

— Musisz być cicho — szepnął Tamowi do ucha. Trolloki tu wróca.

Z ust ojca wyrwał się właśnie przyciszony, ochryply głos.

— Jesteś wciąż piękna, Kari. Piękna jak młoda dziewczyna.

Rand skrzywił się. Jego matka umarła piętnaście lat temu. Jeżeli Tam uważa, że ona żyje, to znaczy, że ma większą gorączkę niż się początkowo wydawało. Jak mu przeszkodzić w mówieniu, teraz, gdy ich życie może zależeć od bezwzględного zachowania cizy.

— Matka prosi, byś umilkł — wyszeptał Rand. Urwał, by chrząknąć, czując nagły ścisk w gardle. Miała delikatne dłonie, tyle tylko pamiętał. — Kari prosi, byś był cicho. Masz, pij.

Tam chciwie pił wodę z bukłaka, ale po paru łykach odwrócił głowę w bok i znowu zaczął mamrotać, zbyt cicho, by Rand cokolwiek rozumiał. Miał nadzieję, że nie słyszą tego również polujące na nich trolloki.

Pośpiesznie zabrał się za realizację kolejnej, naglącej czynności. Owinał dyszle trzema kocami, tworząc w ten sposób prowizoryczne nosze. Poniesie je tylko za jeden koniec, drugi będzie się wlec po ziemi, ale to musi wystarczyć. Z czwartego koca wyciął długi pas i przywiązał jego końce do dyszli.

Najdelikatniej jak potrafił, ułożył Tama na noszach, krzywiąc się przy każdym jego jęku. Ojciec zawsze wydawał się taki niezniszczalny. Nic go nie mogło zranić ani powstrzymać, Jego obecny stan odbierał Randowi resztki odwagi, jakie do tej pory udało mu się zachować. Musiał jednak jakoś to wszystko wytrzymać. To nie ulegało kwestii, tylko dlatego jeszcze coś robił. Nie miał innego wyjścia.

Gdy Tam leżał już wreszcie na noszach, Rand zawahał się, a potem odpiął mu pas. Dziwnie się poczuł, opinając go wokół bioder. Pas, pochwa i miecz ważyły w sumie za ledwie kilka funtów, ale po schowaniu miecza, zdawało mu się, że do ziemi ciągnie go jakieś ogromne brzemie.

Zbeształ samego siebie. Nie była to ani pora, ani miejsce na jakieś głupie fantazjowanie. To tylko wielki nóż. Ileż to razy marzył o posiadaniu miecza i przeżywaniu różnych przygód? Skoro mógł tą bronią zabić jednego trolloka, to na pewno z jej pomocą pokona również pozostałe. Z drugiej strony wiedział jednak aż za dobrze, że to, co się stało na farmie, zawdzięcza zwykłemu szczęściu. W jego przygodach z marzeń nigdy nie było

miejsca na szczękanie zębami czy bieganie po nocy dla ratowania życia sobie i ojcu stojącemu u wrót śmierci.

Pośpiesznie okrył Tama ostatnim kocem i ułożył u jego boku bukłak oraz pozostałe rzeczy. Odetchnął głęboko, ukląkł między dyszlami i przełożył wycięty z koca pas przez głowę, oplatając nim ramiona i pachy. Kiedy schwycił dyszle i stanął wyprostowany, główny ciężar spoczął na jego ramionach. Na razie nie odczuwał tego zbyt dotkliwie. Ruszył w stronę Pola Emonda, starając się iść równym krokiem. Nosze sunęły za nim.

Już wcześniej postanowił, że przedrze się przez las do tak zwanej Drogi Kamieniołomu, i po niej dotrze do wsi. Co prawda narażał tym ojca i siebie na większe ryzyko, na pewno jednak nie pomoże Tamowi, jeżeli zgubi się pośród ciemnych lasów.

Mrok był tak gęsty, że nawet nie zauważył, gdy dotarli do Drogi Kamieniołomu. Serce podeszło mu do gardła, gdy zdał sobie z tego sprawę. Pośpiesznie obrócił nosze i zaciągnął je z powrotem do lasu, a potem przystanął na chwilę, by złapać oddech i uspokoić łomoczące serce. Wciąż ciężko sapiąc, skręcił na wschód, w kierunku Pola Emonda.

Przedzieranie się między drzewami było niezwykle trudne, a noc z pewnością nie stwarzała dodatkowego ułatwienia, niemniej wyjście na otwartą drogę byłoby czystym szaleństwem. Musiał dotrzeć do wsi, nie spotykając przy okazji trolloków. Wolał ich nie widzieć nawet z daleka, o ile w ogóle mógł wyrazić takie życzenie. Istniała możliwość, że trolloki ciągle ich ścigają i prędzej czy później domyślą się, że obydwaj z ojcem wyruszyli w kierunku wsi. Tylko tam bowiem mogli się udać, a najbardziej prawdopodobną trasą była Droga Kamieniołomu. Kiedy się nad tym zastanowił, doszedł do wniosku, że i tak idzie o wiele za blisko drogi. Noc i cienie pod drzewami wydawały się nie zapewniać żadnej ochrony przed czymś ewentualnym, bystrym wzrokiem.

Promienie księżycy przesączające się między nagimi gałęziami rozlewały mętne światło, bezustannie mamiące oczy. Każdy krok groził potknięciem o niewidoczne korzenie, stare jeżyny czepiały się nóg i wiele razy omal nie upadł, bo widział coś, co wyglądało jak wykrot albo pagórek, a tymczasem zamiast na spodziewany, twardy grunt, nogi trafiały w pustkę. Czasami palce stóp zahaczały się, wbijając w ziemię, podczas gdy nogi szły dalej do przodu i wtedy się potykał. Mamrotanie Tama przechodziło w przeciągły jęk, gdy któryś z dyszli uderzał zbyt gwałtownie o korzeń lub kamień.

Nękany uczuciem stałej niepewności, boleśnie wytężył wzrok i słuch, jak jeszcze nigdy w życiu. Wystarczyło, że gałąź otarła się o gałąź, albo że coś zaszeleściło w sosnowych igłach, a natychmiast przystawał i nadstawiał uszu, tłumiąc oddech z obawy, że albo przegapi jakiś ostrzegawczy dźwięk, albo przeciwnie, że usłyszy coś przerażającego. Ruszał dalej dopiero wtedy, gdy się upewnił, że otacza go tylko świst wiatru.

Od bezustannej walki z wiatrem, który targał jego płaszczem i kaftanem, zaczynał już odczuwać potworne zmęczenie w rękach i nogach. Ciężar noszy, tak lekkich na początku, zdawał się teraz przygniatać go do ziemi. Potykał się już nie tylko o zwykłe prze-

szkody. Rozpaczliwe staranie, by nie upaść, wyczerpywało go równie mocno, jak wleczenie za sobą noszy. Przecież tego dnia wstał bardzo wcześnie i pomijając nawet wyprawę do Pola Emonda, miał za sobą zwykły dzień pracy. Każdego normalnego wieczora siedziałby teraz przed kominkiem i czytał do snu jakąś książkę z biblioteki Tama. Dokuczliwy ziąb przenikał ciało do kości, żołądek przypominał, że nic nie jadł od czasu, kiedy pani al'Veve poczęstowała go miodowymi ciasteczkami.

Był zły na siebie, że nie zabrał z farmy jakiegoś jedzenia. Nic by się nie stało, gdyby został tam kilka minut dłużej. Tych kilka minut, wystarczających do znalezienia odrobiny chleba i sera. Trolloki nie pojawiłyby się tak szybko. Albo choćby tylko odrobinę chleba. Ale przecież, kiedy dotrą już do oberży, pani al'Veve na pewno się uprze, żeby postawić przed nim gorącą strawę. Będzie to prawdopodobnie talerz z parującym gulaszem z jagnięcia. I do tego chleb pieczony przez nią. I mnóstwo gorącej herbaty.

— Przetoczyli się po Dragonwall jak powódź — odezwał się nagle Tam donośnym, pełnym nienawiści głosem — i zalali kraj krwią. Ilu umarło za grzechy Lamana?

Rand omal się nie przewrócił ze zdziwienia. Zupełnie wykończony, postawił nosze na ziemi i obejrzał piekącą bruzdę, jaką wyrył mu na ramionach pas z koca. Zdjął go z siebie, ukląkł obok Tama. Szukał po omacku bukłaka i jednocześnie spoglądał między drzewa, daremnie usiłując obserwować obydwie strony drogi na odległość przynajmniej dwudziestu kroków. Nie było nic prócz cieni. Naprawdę nic prócz cieni.

— Nie grozi nam żaden potop trolloków, ojcie. W każdym razie nie teraz. Wkrótce dotrzemy bezpiecznie do Pola Emonda. Napij się wody.

Tam odepchnął bukłak, wydawało się, jakby jego ręka odzyskała dawną siłę. Chwytał Randa za kołnierz i przyciągnął do siebie tak blisko, że chłopiec poczuł na policzku bijący z jego ciała żar.

— Nazywali ich barbarzyńcami — mówił dalej Tam natarczywym tonem. — Ci głupcy twierdzili, że można ich wymiatać jak śmieci. Ile trzeba było przegrać bitew, ile miast spalić, żeby pojęli, jaka jest prawda? Zanim całe narody sprzymierzyły się przeciwko nim? — Zwolnił uścisk, a w jego głosie rozbrzmiewał teraz smutek. — Całe pole bitwy pod Marath było usłane trupami, człowiek nie słyszał nic oprócz krakania wron i brzęczenia much. Pozbawione szczytów wieże Cairhien płonęły pośrodku nocy niczym pochodnie. Przez całą drogę do Błyszczących Murów nie przestawali palić i wyrzynać wszystkich, dopóki ich nie zatrzymano. Całą drogę do...

Rand przycisnął dłoń do ust ojca. Nie mylił się, dźwięk rozległ się ponownie — rytmiczny łomot, pochodzący z niewiadomego kierunku, skądś spośród drzew, który na przemian to zamierał, to narastał, przebijając się przez porywy wiatru. Zdenerwowany obrócił powoli głowę, starając się zlokalizować źródło dźwięku. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch i natychmiast przywarł do ciała Tama. W zaciśniętej dłoni poczuł nagle rękojeść miecza, całą uwagę skoncentrował na drodze tak, jakby tylko ona na całym świecie istniała.

Migotliwe cienie nadciągające ze wschodu powoli splotły się w postać jeźdźca na koniu, za nim dreptały wysokie, zwaliste sylwetki, usiłujące dotrzymać kroku zwierzęciu. W trzymanyh przez nie włóczniach i toporach odbijało się blade światło księżyca. Rand nawet przez moment nie łudził się myślą, że mogą to być wieśniacy przybywający im z pomocą, pojął od razu, kto kryje się za gęstwą cieni. Czuł to przez skórę, niczym piach skrobiący mu kości, zanim jeszcze zbliżyli się na taką odległość, by mógł dostrzec w świetle księżyca pelerynę z kapturem okrywającą jeźdźca, zupełnie nieruchomą pomimo szarpiącego wiatru. W mroku wszystkie ciemne kształty zlewały się, a kopyta wydawały taki sam odgłos, jakiego spodziewać się można po zwykłych koniach, Rand jednak nie pomyliłby tego zwierzęcia z żadnym innym.

W ślad za ciemnym jeźdźcem podążały koszarne stwory obdarzone rogami, pyskami i dziobami — podwójny szereg trolloków. Wysokie buty i podkowy wybijały rytm tak równy, jakby kierowała nimi jedna wola. Kiedy maszerowali obok niego, Rand doliczył się dwudziestu. Jaki śmiałek rzuciłby wyzwanie tyłu trollokom. Jaki odważny stawiłby czoła choć jednemu?

Kolumna maszerujących zwawo stworzeń zniknęła już na zachodzie, łomot ich kroków ucichł, ale Rand wciąż trwał na swoim miejscu, nie ruszając ani jednym mięśnieniem, nieledwie nie odważając się oddychać. Coś nakazywało mu zdobyć pewność, pewność absolutną, że istotnie odeszli — dopiero wówczas będzie mógł zmienić pozycję. Wreszcie odetchnął głęboko i zaczął się powoli prostować.

Tym razem koń pojawił się zupełnie bezgłośnie. Ciemny jeździec powracał w niesamowitej ciszy, cień jego wierzchowca przystawał co kilka kroków w miarę powolnego pokonywania drogi. Wiatr dał i jęczał w wyższych partiach drzew, ale płaszcz jeźdźca nadal zwisał, nieruchomy jak śmierć. Za każdym razem, gdy koń się zatrzymywał, zakapturzona głowa obracała się w obie strony, najwyraźniej wypatrując czegoś w lesie. W pewnym momencie ciemny kształt przystanął dokładnie naprzeciwko Randa, a ocienione rozcięcie kaptura zwróciło się w kierunku miejsca, w którym się ukryli.

Rand odruchowo zacisnął dłoń na rękojeści miecza. Podobnie jak rano, poczuł na sobie wzrok i znów przeląkł się tej samej nienawiści, pomimo że nie potrafił złapać spojrzenia, które ją niosło. Zakapturzony człowiek nienawidził wszystkich i wszystkiego, wszystkiego, co żyło. Pomimo zimnego wiatru po twarzy Randa spłynęły paciorki potu.

Po chwili koń ruszył dalej, wciąż tym samym rytmem robił kilka bezdźwięcznych kroków i przystawał, aż w końcu Rand widział już tylko ciemną plamę w oddali, ledwie wyróżniającą się na tle nocy. Patrzył i patrzył, aż w końcu stracił pewność, że widzi cokolwiek innego prócz przypadkowej plątaniny cieni, mimo to nawet na sekundę nie spuszczał z nich oka. Bał się, że jeśli zaprzestanie obserwacji, zobaczy czarnego jeźdźca dopiero wtedy, gdy jego cichy koń stanie tuż obok.

Nagle ciemny kształt zawrócił i minął go w bezszelestnym galopie. Wpatrzony wprost przed siebie jeździec mknął przez noc na zachód, w stronę Gór Mgły. W stronę ich farmy. Rand zachwiał się, z trudem złapał oddech i otarł rękawem zimny pot z czoła. Powód, dla którego pojawiły się trolloki, nagle przestał zajmować jego myśli. Gdy już będzie po wszystkim, ta wiedza i tak do niczego nie będzie potrzebna.

Wstał dygocząc i pośpiesznie zbadał Tama. Ojciec nadal coś mamrotał, tak cicho, że Rand nie rozróżniał słów. Usiłował go napoić, ale wywołał jedynie suchy kaszel. Do gardła dostała się tylko niewielka strużka wody, reszta spłynęła po brodzie. Po chwili zaczął znów coś mruczeć, monotonna, jakby nawet na moment nie przestawał.

Rand zwilżył mu jeszcze czoło, ułożył bukłak na noszach i ponownie stanął pomiędzy dyszlami.

Ruszył z miejsca ochotczo, rześko jakby miał za sobą dobrze przespaną noc, ale nowy napływ sił nie starczył na długo. Z początku zmęczenie przykrył strach, ale prędko, choć strach pozostał, jego zdolność motywująca rozwinęła się. Niebawem znów zaczął się potykać, powrócił dokuczliwy głód i ból nieludzko zmęczonych mięśni. Skoncentrował się na uważnym stawianiu stóp, jedna przed drugą, ciągle naprzód, nie liczyło się już nic innego.

Wyobrażał sobie Pole Emonda, otwarte okiennice i domy oświetlone na Zimową Noc, ludzi mijających się w drodze na spotkania z przyjaciółmi i wykrzykujących do siebie pozdrowienia, dźwięki skrzypiec wypełniające ulice melodiami *Zabawy Jaema* czy *Skrzydeł czapli*. Haral Luhhan jak zwykle wypije o jedną brandy za dużo i zacznie śpiewać *Wiatr, co hula w zbożu*, głosem przypominającym żabi rechot, a jego żona będzie go uciszać. Cenn Buie będzie chciał pokazać, że tańczy równie dobrze jak zawsze, a Mat wymyśli coś, aby mu w tym przeszkodzić i wszyscy będą wiedzieli, kto jest winien, ale nikomu nie uda się niczego udowodnić. Niemalże się uśmiechnął, kiedy pomyślał o tym wszystkim.

Po jakimś czasie Tam odezwał się ponownie:

— *Avendesora*. Powiadają, że nie wydaje nasion, ale przywieźli do Cairhien jedno małe drzewko. Królewski cudowny dar dla władcy.

Choć w jego głosie pobrzmiwał gniewny ton, mówił tak cicho, że Rand ledwie zrozumiał cokolwiek. Każdy, kto byłby w stanie go usłyszeć, bez trudu usłyszałby także szuranie noszy po ziemi. Szedł dalej, słuchając tylko jednym uchem.

— Oni nigdy nie żyją w pokoju. Nigdy. Ale przywieźli drzewko, by zaświadczyć o czymś przeciwnym. Rosło sto lat. Sto lat pokoju z tymi, którzy nigdy nie zawierają pokoju. Dlaczego je ściał? Dlaczego? Nagrodą za *Avendesora* była krew. Krew była nagrodą za dumę Lamana.

Głos ojca przycichł, znowu przechodząc w niezrozumiałe mamrotanie.

Rand, do cna wyczerpany, zastanawiał się, jakie to majaki śnią się teraz Tamowi. *Avendesora*. Powiadano, że Drzewo Życia posiada wszelkie cudowne właściwości, ale

nikt nigdy nie wspomniał o jakimś drzewku i jakichś „onych”. Jest przecież tylko jedno Drzewo Życia, a ono należy do Zielonego Człowieka.

Jeszcze tego ranka byłoby mu głupio, gdyby przyłapał się na myśleniu o Zielonym Człowieku i Drzewie Życia. To przecież tylko wymysły bardów.

„Czy na pewno? Jeszcze tego ranka trolloki też żyły wyłącznie w opowieściach bardów.”

Może wszystko to, co opowiadają bardowie i czego się słucha wieczorami przy kominku, jest równie realne jak wieści, które przywożą handlarze i kupcy. Następnym razem może spotkać Zielonego Człowieka, giganta Ogira albo dzikiego, przyobleczonego w czern człowieka Aiel.

Znowu wychwyił w mamrotaniu Tama słowa wypowiedane wystarczająco głośno, by zrozumieć je dokładnie. Ojciec przerywał od czasu do czasu dla zaczerpnięcia oddechu, a potem kontynuował, ciągnąc majaczącą opowieść.

— ...podczas bitew jest zawsze gorąco, nawet jeśli toczą się na śniegu. Gorączka potu. Gorączka krwi. Tylko śmierć jest zimna. Zbocze góry... jedyne miejsce, które nie cuchnie śmiercią. Trzeba było uciekać od tego zapachu... od tego widoku... słychać było płacz dziecka. Czasami kobiety walczyły ramię w ramię z mężczyznami, ale dlaczego jej na to pozwolono, nie rozumiem... rodziła tam w samotności, a potem umarła od ran... nakryła dziecko peleryną, ale zdmuchnął ją wiatr... dziecko zsiniało z zimna. Dziwne, że tam nie umarło... tak płakało. Płakało na śniegu. Nie mogłem go tak zostawić... nie mieliśmy dzieci... zawsze wiedziałem, że chciałaś mieć dzieci. Wiedziałem, że je pokochasz, Kari. Tak, kochana. Rand to dobre imię. Dobre imię.

Rand stracił nagle resztkę sił. Potknął się i upadł na kolana. Tam jęknął, gdy poczuł wstrząs, ale Rand nawet nie czuł, jak chomąto z koca wpiło mu się jeszcze boleśniej w ramiona. Gdyby teraz znienacka wypadł na niego jakiś trollok, najpewniej po prostu stanąłby nieruchomo i tylko się gapił. Spojrzał przez ramię na Tama, ale ten znów podjął swe bezsłowne mamrotanie.

„Majaki” — pomyślał tępo.

Gorączce zawsze towarzyszą majaki, a ta noc nawet bez gorączki stanowiła ciąg koszmarów.

— Jesteś moim ojcem — powiedział głośno, wyciągając dłoń, by dotknąć Tama — a ja jestem...

Gorączka wzrosła. Bardzo.

Z rozpaczą dźwignął się na nogi. Ojciec znowu coś wymamrotał, ale Rand nie chciał już go dłużej słuchać. Włókł za sobą zaimprovizowane nosze i starał się myśleć wyłącznie o następnym ołowianym kroku wiodącym ku bezpieczeństwu Pola Emonda. Nie potrafił jednak zagłuszyć echa rozlegającego się w jego myślach.

„To mój ojciec. To było tylko majaczenie w gorączce. To jest mój ojciec. To tylko majaczenie w gorączce. Światłości, kim jestem?”

WYJŚCIE Z LASU

Rozbłysło już pierwsze szare światło brzasku, ale Rand wciąż jeszcze przedzierał się przez las. Z początku nie zauważył, że noc ma już się ku końcowi, dopiero po chwili ze zdziwieniem zapatrzył się na ustępujący mrok. Niezależnie od tego co mówiły oczy, ledwie wierzył, że mozolna wędrówka do Pola Emonda zabrała mu tyle czasu. Pewnie, że co innego jechać Drogą Kamieniołomu za dnia, a co innego wędrować nocą przez las. Z drugiej jednak strony wydawało mu się, że od tego ranka, kiedy zobaczył czarnego jeźdźca minęło już wiele dni, a od wieczoru, gdy razem z Tamem zasiedli do kolacji, dzieliły go co najmniej tygodnie. Przestał reagować na wrzynający się w plecy pas z koca, był tak odrętwiały, iż właściwie nic już nie czuł. Oddychał z niewysłowionym trudem, piekło go gardło i płuca, skręcony z głodu żołądek bezustannie wywoływał fale mdłości.

Ojciec umilkł jakiś czas wcześniej. Rand nie był pewien, od jak dawna nie słyszy jego mamrotania, nie odważył się jednak przystanąć i zbadać go. Jeśli się teraz zatrzyma, nie będzie w stanie ruszyć dalej. W każdym razie niezależnie od tego co działo się z Tamem i tak nie mógł dla niego już nic więcej zrobić. Jedyłą szansę dawało dotarcie do wsi. Próbował przyspieszyć kroku, ale zdrewniałe ze zmęczenia nogi poruszały się wolno i niechętnie, jakby brodząc w gęstej smole. Zimno i wiatr nie miały już najmniejszego znaczenia.

Po jakimś czasie poczuł zapach dymu. Musieli być już pewnie blisko wsi. Na jego twarz wypełził blady uśmiech, który jednak zaraz przeszedł w grymas. Dym zalegał ciężko w powietrzu, zbyt ciężko. Było tak zimno, że ogień z pewnością płonął na każdym palenisku we wsi, ale ten dym był zbyt gęsty. Oczyma wyobraźni zobaczył na drodze trolloków, nadciągających ze wschodu, wracających właśnie z Pola Emonda. Wyteżył wzrok, usiłując wypatrzeć pierwsze domy, gotów wołać o pomoc do pierwszej napotkanej osoby, nawet gdyby był to Cenn Buie czy któryś z Coplinów. Głos jakiś szepotał w tyle głowy, że wciąż jednak może na kogoś liczyć, że znajdzie się ktoś, kto przyjdzie im z pomocą.

Nagle między nagimi gałęziami dostrzegł dom, tylko dzięki temu był w stanie iść dalej. Z nadzieją przeradzającą się w dojmującą rozpacz skierował kroki do wsi.

Na placach, gdzie dawniej stały domy, zalegały teraz jedynie sterty zwęglonego drewna, a z nich, niczym brudne palce, wystawały okopcone ceglane kominy. Nad ruinami unosiły się wąskie smużki dymu. W popiołach grzebali wieśniacy o ponurych twarzach, niektórzy mieli jeszcze na sobie nocne koszule. To wyciągali ze zgliszczy garnek do gotowania, to po prostu dziabali kijami wśród odpadów. Na ulicach piętrzyły się resztki dobytku uratowane z płomieni: wysokie lustra, wypolerowane kredensy i komody, krzesła i stoły zawalone pościelą, przyborami kuchennymi, skromnymi tobołkami z ubraniem i przedmiotami osobistego użytku.

Zdawało się, że zniszczenia dotknęły wieś w zupełnie przypadkowy sposób. W jednym rzędzie zachowało się aż pięć nietkniętych domów, podczas gdy w innym stał za ledwie jeden.

Po drugiej stronie rzeki Winnej Jagody zaryczały trzy ogromne petardy wystrzelone przez grupkę mężczyzn. Gęste kolumny czarnego dymu, upstrzone beztroskimi iskierkami, pognały wraz z wiatrem na północ. Jeden z rasowych koni pana al'Vere włókł coś w stronę płonącego Mostu Wozów. Rand nie zdołał dostrzec, co to było.

Nie wyszedł jeszcze na dobre z lasu, a już biegł mu naprzeciw Haral Luhhan. Twarz miał poczerniałą od sadzy, w grubych dłoniach ściskał topór drwala. Nocna koszula, zasmarowana popiołem, zwisała mu do kostek, przez rozdarcie na piersi prześwitywała wściekła czerwień oparzeliny. Luhhan ukląkł na jednym kolanie obok noszy. Ojciec Randa miał zamknięte oczy, oddychał wolno i ciężko.

— Trolloki? — spytał zachrypłym od dymu głosem. — Tu też. Tu też. Cóż, mogliśmy mieć więcej szczęścia, o ile ktokolwiek ma do niego prawo, albo na nie zasłuży. Tamowi potrzebna jest Wiedząca. Ale gdzie, na Światłość, ona może być? Egwene!

Egwene z pełnym naręczem prześcieradeł, podartych na bandaże, wyraźnie zapatrzona na coś w oddali, biegła pędem w ich stronę. Ciemne kręgi pod jej oczami zdawały się być jeszcze większe niż zazwyczaj. Zauważyła nagle Randa i przystanęła, z trudem łapiąc oddech.

— Och nie, Rand. To chyba nie twój ojciec? Czy on...? Chodź, zaprowadzę cię do Nynaeve.

Rand był zbyt zmęczony i ogłupiały, by cokolwiek powiedzieć. Przez całą noc Pole Emonda wydawało mu się przystanią, w której on i jego ojciec znajdą schronienie. Teraz był w stanie tylko bezmyślnie wpatrywać się w jej okopconą suknię. Dostrzegał dziwne szczegóły, tak jakby one były właśnie w tej chwili ważne: krzywo zapięte guziki z tyłu sukni i czyste dłonie. Był ciekaw, czemu Egwene ma czyste ręce, skoro jej twarz umazana jest smugami sadzy.

Pan Luhhan wydawał się doskonale wiedzieć o wszystkim, co Rand przeszedł. Kowal położył topór na dyszlach, uniósł tył noszy i pchnął je lekko, nakazując Randowi iść za Egwene. Chłopiec ruszył chwiejnym krokiem, jakby pogrążony we śnie. Przez chwilę zastanawiał się, skąd pan Luhhan wie, że to były trolloki, ale ta myśl zaraz gdzieś się ulotniła. Skoro Tam je rozpoznał, to czemu Haral Luhhan nie miałby umieć tego samego.

— Wszystkie opowieści okazały się prawdziwe — wybełkotał.

— Na to wychodzi, chłopcze — odparł kowal. — Na to wychodzi.

Rand słuchał go tylko jednym uchem, skupiony na smukłej sylwetce Egwene. Tak, wziął się już w garść, nieomal miał pretensje, że dziewczyna nie spieszy się, a przecież w rzeczywistości zwolniła kroku, by obciążeni, mogli za nią nadążyć. Prowadziła ich przez Łakę, w stronę domu Caldera. Okap jego strzechy był zwęglony, pobielone ściany poznały plamy sadzy. Po sąsiadujących z nim domach pozostały jedynie fundamenty, stosy popiołów i spalonego drewna. Jedna z chat należała kiedyś do Berina Thane, brata młynarza, druga do Abella Cauthona, ojca Mata. Nie zostały z nich nawet kominy.

— Poczekaście tutaj — powiedziała Egwene.

Popatrzyła na nich, jakby czekając na odpowiedź. Ponieważ stali tylko, nie mówiąc nic, wymruczała bezgłośnie jakieś słowo i wbiegła do środka.

— Mat — powiedział Rand. — czy on...?

— Żyje — odparł kowal. Postawił na ziemi swój koniec noszy i powoli się wyprostował. — Widziałem go jakąś chwilę temu. To cud, że wszyscy żyjemy. Po sposobie, w jaki potraktowali mój dom i kuźnię, mógłbyś sądzić, że trzymałem tam złoto i klejnoty. Alsbet roztrzaskała jedną czaszkę patelnią. Spojrzała dziś rano na zgliszcza naszego domu, tylko raz, a teraz z największym młotkiem, jaki mogła wykopać z ruin kuźni, poluje po wsi, na wypadek, gdyby jakiś trollok gdzieś się jeszcze ukrywał. Jeżeli któregoś znajdzie, to naprawdę mu współczuję.

Skinął głową w stronę domu Caldera.

— Pani Calder oraz kilku innych przyjęli do siebie rannych i bezdomnych. Kiedy Wiedząca opatrzy Tama, poszukamy dla niego jakiegoś łóżka: Może znajdzie się coś w oberży. Burmistrz już coś zaofiarował, ale Nynaeve powiedziała, że dla rannych lepiej będzie, jeśli nie będą przebywać razem.

Rand osunął się na kolana. Ledwie żywy, zrzucił z siebie prowizoryczną uprząż i poprawił koce okrywające ojca. Tam nie poruszył się i nie odezwał, kiedy Rand szturchnął go swymi Zdrewniałymi dłońmi. Na szczęście wciąż oddychał.

„Mój ojciec. To było tylko majaczenie w gorączce.”

— A jeśli one wrócą? — spytał apatycznym głosem.

— Koło obraca się tak, jak chce — powiedział niezbyt przekonującym głosem pan Luhhan. — Jeżeli powrócą... Cóż, na razie odeszły. Trzeba więc pozbierać wszystko, a to co zostało zniszczone, naprawić.

Westchnął, a jego twarz złagodniała. Podrapał się po plecach. Rand dopiero teraz zauważył, że ten zwalisty mężczyzna jest równie zmęczony, jak on sam, o ile nie bardziej. Kowal rozejrzał się dookoła i pokręcił głową.

— Coś mi się zdaje, że dzisiaj już nie nacieszymy się Bel Tine. Ale jak zwykle, zapewne jakoś sobie poradzimy. Gwałtownym ruchem podniósł topór, rysy jego twarzy stężyły. — Czeka mnie jeszcze praca. Nie martw się, chłopcze. Wiedząca dobrze się nim opiekuje, a Światłość nami wszystkimi. A nawet jeśli Ona nie zechce tego zrobić, to cóż, sami o siebie zadbamy. Pamiętaj, jesteśmy ludźmi z Dwu Rzek.

Kowal zaczął się oddalać, a Rand, nadal klęcząc, popatrzył na wieś, popatrzył jakby po raz pierwszy.

„Pan Luhhan ma rację” — pomyślał i poczuł się zdziwiony tym, że widok właściwie wcale go nie zaskoczył.

Ludzie nadal bezradnie przekopywali ruiny swoich domów, niemniej jednak już w ciągu tego krótkiego czasu, od kiedy Rand przybył do wsi, coraz częściej zdobywali się na bardziej sensowne działania. Czuł nieomal ich narastającą determinację. Coś go jednak zastanawiało. Widzieli trolloków, ale czy widzieli również czarnego jeźdźca? Czy poczuli jego nienawiść?

Zerwał się na nogi, gdy z domu Caldera wyszły Nynaeve i Egwene. Właściwie to tylko próbował to zrobić, gdyż natychmiast zatoczył się, omal nie padając twarzą prosto w pył.

Wiedząca uklękła przy noszach, nie obdarzywszy Randa nawet jednym spojrzeniem. Jej twarz i suknia była jeszcze brudniejsza niż u Egwene, identyczne ciemne kręgi podkręzały jej oczy, biel rąk była równie jasna. Dotknęła twarzy Tama i kciukami podniosła mu powieki. Zmarszczyła czoło, odsunęła koce i odwinęła bandaż skrywający ranę. Zanim Rand zdążył spojrzeć, nasunęła gruby opatrunek z powrotem. Westchnęła i delikatnie nasunęła koc oraz płaszcz aż po brodę Tama, jakby opatulała śpiące dziecko.

— Nie mogę nic z tym zrobić — powiedziała. Musiała położyć ręce na kolanach, aby się wyprostować. — Przykro mi, Rand.

Kiedy zawróciła w stronę domu, stał przez chwilę nic nie rozumiejąc, a potem pobiegł za nią, chwycił za ramiona, obrócił ku sobie i spojrzał prosto w oczy.

— On umiera! — krzyknął.

— Wiem — odparła spokojnie.

Ugięły się pod nim kolana na tak lapidarną odpowiedź.

— Musisz coś zrobić. Musisz. Jesteś Wiedzącą.

Udręka wykrzywiła jej twarz, ale tylko na chwilę, bo zaraz potem w oczach znowu pojawiła się pustka, stanowczy głos był jak zwykle pozbawiony uczuć.

— Tak, to prawda. Wiem, co mogę zrobić za pomocą moich lekarstw i wiem, kiedy jest za późno. Czy sądzisz, że nie zrobiłabym wszystkiego, co bym mogła? Ale nie mogę. Nie mogę, Rand. I są jeszcze inni, którzy mnie potrzebują. Ludzie, którym mogę pomóc.

— Przywiozłem go do ciebie tak szybko, jak się dało — wymamrotał.

Wioska była zrujnowana, ale liczył na pomoc Nynaeve. Ona zawiodła i teraz czuł w sobie tylko pustkę.

— Wiem, że tak było — powiedziała łagodnie. Dotknęła dłonią jego policzka. — To nie twoja wina. Mało kto potrafiłby tyle zdziałać. Przykro mi Rand, ale muszę się zająć innymi. Obawiam się, że to dopiero początek naszych kłopotów.

Patrzył za nią bezmyślnie, dopóki nie weszła do domu i nie zamknęła za sobą drzwi. Potrafił myśleć tylko o tym, że go zawiodła.

Nagle został popchnięty lekko do tyłu przez Egwene, która wpadła na niego i objęła ramieniem. Normalnie taki silny uścisk wywołałby w nim jakąś reakcję, teraz patrzył tylko w milczeniu na drzwi, za którymi pogrzebane zostały wszystkie jego nadzieje.

— Tak mi przykro, Rand — powiedziała, wtulając się w jego pierś. — O Światłości, dlaczego nie mogę nic zrobić?

Zupełnie odrętwiały objął ją.

— Wiem. Ale ja... muszę coś zrobić, Egwene. Nie wiem co, ale nie mogę pozwolić...

Objęła go mocniej, gdy usłyszała drżenie w jego głosie.

— Egwene! — Dziewczyna poruszyła się lekko, słysząc dobiegający z domu głos Nynaeve. — Egwene, jesteś mi potrzebna! Umyj jeszcze raz ręce!

Wyswobodziła się z objęć Randa.

— Ona potrzebuje mojej pomocy, Rand.

— Egwene!

Zdawało mu się, że usłyszał jej szloch, kiedy uciekała od niego i wbiegała do środka. Potem zniknęła, a on stał samotnie obok noszy. Przez chwilę patrzył na Tama, nie czując nic prócz zwykłej bezradności. Nagle jego twarz stwardniała.

— Burmistrz będzie wiedział, co zrobić — powiedział, chwytając ponownie dyszle. — Burmistrz będzie wiedział.

Bran al'Vere zawsze wiedział, co trzeba zrobić. Zdecydowany na wszystko ruszył w stronę oberży „Winna Jagoda”.

Minęły go znowu dhurrany, ciągnące za sobą wielki kształt owinięty w brudny koc. Z koca wystawały i wlekły się po kurzu ręce porośnięte szorstkim włosiem, a z drugiej strony widać było kozi róg. Dwie Rzeki nie były miejscem, w którym legendy mogły się stać tak straszliwie rzeczywiste. Jeżeli trolloki mają jakieś swoje miejsce, to jest to świat zewnętrzny, krainy w których żyją Aes Sedai, fałszywe Smoki i Światłość tylko wie, jakie jeszcze inne istoty z opowieści bardów. Świat Dwu Rzek i Pola Emonda na pewno nie był miejscem dla nich właściwym.

Kiedy przechodził przez Łakę, błądzący wśród ruin swych domostw ludzie wołali coś do niego, pytali, czy mogą pomóc. Do Randa jednak te dźwięki dochodziły jakby z od- dali, nawet jeśli ktoś, kto do niego mówił, towarzyszył mu jakiś czas. Nie zastanawiając się nawet nad swoimi słowami, odpowiadał, że nie potrzebuje pomocy, bo wszystko już zostało załatwione. Ledwie zauważał, że odchodzą od niego zafrasowani i obiecują, że przyślą Nynaeve. Wszystkie myśli skupił teraz na jednym tylko celu. Bran al'Vere potra- fi coś zrobić, aby pomóc Tamowi. Rand nawet nie próbował się zastanowić, co to może być. Ale Burmistrz coś robi, na pewno coś wymyśli.

Oberża nieomal całkowicie uniknęła zniszczeń, jakim uległa połowa wsi. Ogień po- zostawił na jej ścianach tylko nieliczne ślady, a czerwone dachówki jak zawsze połyski- wały w słońcu. Tylko z fury handlarza pozostały jedynie poczerńiałe żelazne obręcze od kół, wsparte o zwęglone resztki całego pojazdu, przycupnięte teraz na ziemi. Wiel- kie pałaki, na których opięte było płótno, powyginały się dziwnie, każdy pod innym kątem.

Thom Merrilin siedział ze skrzyżowanymi nogami na starym kamiennym funda- mencie, starannie przycinając nożyczkami upalone brzegi swego płaszcza. Na widok Randa przerwał pracę i nie pytając nawet, czy potrzebuje pomocy, zeskoczył z kamie- nia i schwycił tył noszy.

— Do środka? Pewnie, pewnie. Nie martw się, chłopcze. Wasza Wiedząca zajmie się nim. Od zeszłej nocy obserwuję ją przy pracy i widzę jej zręczne dotknięcia i dużą wprawę w leczeniu. Mogło być o wiele gorzej. Kilku ludzi umarło zeszłej nocy. Na szczę- ście niewielu, ale to i tak za dużo moim zdaniem. Zniknął natomiast stary Fain i to jest najgorsze. Trolloki potrafią pożreć każdego. Powinieneś dziękować Światłości, że twój ojciec jeszcze żyje i Wiedząca będzie go mogła uzdrowić.

— To jest mój ojciec! — wykrztusił z siebie Rand, głosem zmienionym tak, że brzmiał jak bzykanie muchy. Nie mógł już dłużej znieść współczucia ani kolejnych prób pod- noszenia go na duchu. Nie w tej chwili. Dopóki Bran al'Vere nie powie mu, jak pomóc Tamowi.

Stwierdził nagle, że na drzwiach karczmy jest coś nabazgrane upalonym patykiem — jakaś zakrzywiona linia. Tyle się dotąd wydarzyło, że prawie wcale go nie zdziwił ry- sunek smoczego kła na drzwiach „Winnej Jagody”. Zupełnie go nie interesował powód, dla którego ktoś mógłby oskarżać karczmarza albo jego rodzinę o czynienie zła, albo chcieć na nich sprowadzić zły urok, ale ta noc przekonała go o jednej rzeczy. Wszystko jest możliwe. Absolutnie wszystko.

Ponaglany przez barda uniósł zasuwę i wszedł do środka. W izbie dla gości nie było nikogo prócz Brana al'Vere. Panował tam chłód, ponieważ nikt nie znalazł czasu na rozpalenie ognia. Burmistrz siedział przy jednym ze stołów, maczał pióro w kałamarzu i marszczył w skupieniu twarz, jego siwa głowa pochylała się nad arkuszem pergaminu.

Miał na sobie nocną koszulę, wepchniętą niedbale w spodnie i odstającą na wydatnym brzuchu. W zamyśleniu drapał łydkę jednej nogi palcami drugiej. Miał brudne stopy, jakby często wychodził na zewnątrz, i to bosy, nie zważając na ziąb.

— O co chodzi? — spytał, nie podnosząc głowy. — Tylko mów szybko. Mam mnóstwo rzeczy do zrobienia w tej chwili, a jeszcze więcej powinienem był zrobić godzinę temu. Mam więc niewiele czasu i cierpliwości. No więc jak? Wyduś wreszcie z siebie!

— Panie al'Vere? — powiedział Rand. — Chodzi o mojego ojca.

Burmistrz gwałtownym ruchem podniósł głowę.

— Rand? Tam! — Rzucił pióro i zerwał się na nogi, przewracając przy tym krzesło. — Może jednak Światłość nie opuściła nas wszystkich. Już się bałem, że obydwaj nie żyjecie. Bela dotarła do wsi w godzinę po odejściu trolloków, spieniona i zadyszana, jakby galopowała całą drogę z farmy, więc myślałem... Zresztą nie ma czasu, by o tym gadać. Zaniesiemy go na górę.

Chwycił tył noszy, potrącając stojącego w przejściu barda.

— Przyprowadź tu Wiedzącą, Mistrzu Merrilin. Powiedz jej, że ma się pospieszyć albo będzie miała ze mną do czynienia! Leż spokojnie, Tam. Wkrótce położymy cię w dobrym, wygodnym łóżku. Idź, bardzie, biegnij!

Thom Merrilin zniknął za drzwiami, zanim Rand zdołał coś powiedzieć.

— Nynaeve nic nie zdziała. Powiedziała, że nie może mu już pomóc. Myślałem... miałem nadzieję, że pan coś wymyśli.

Mistrz al'Vere przyjrzał się Tamowi uważniej, a potem potrząsnął głową.

— Zobaczmy, chłopcze. Zobaczmy. — Ale w jego głosie nie słyhać już było tej pewności siebie. — Zanieśmy go do łóżka. Przynajmniej będzie mu się lepiej leżało.

Rand dał się popchnąć w kierunku schodów, znajdujących się na tyłach sali. Z całej siły starał się utrzymać w sobie przekonanie, że ojciec jakoś z tego wyjdzie, ale jego wiara słabła z każdą chwilą, a już zupełnie dobiło go nagłe zwątpienie w głosie burmistrza.

Na piętrze karczmy, od frontu, znajdowało się kilka schludnych, wygodnie urządzonych pokoi, których okna wychodziły na Łąkę. Korzystali z nich głównie handlarze albo ludzie przybywający z Wzgórza Czat i Deven Ride. Kupców, którzy gościli tu przez cały rok, często dziwił widok tak przyjemnych pomieszczeń. Trzy z nich były obecnie zajęte, burmistrz zaprowadził Randa do jednego z pustych.

Pośpiesznie zdjął z szerokiego łóżka narzutę i koce, po czym wspólnie przenieśli Tama na gruby materac i wypchane pierzem poduszki. Podczas tej operacji ojciec oddychał chrapliwie, nie wydawał z siebie żadnych innych odgłosów, nawet nie jęczał. Burmistrz nie pozwolił Randowi tracić czasu na zamartwianie się, tylko kazał rozpalić ogień w kominku. Gdy chłopiec wykonywał niezbędne czynności, on sam rozsunał zasłony w oknie, wpuszczając do środka poranne światło, a potem zaczął delikatnie obmywać twarz Tama. Zanim bard zdążył powrócić, pokój wypełnił się już ciepłem płonącego w palenisku ognia.

— Ona nie przyjdzie — obwieścił Thom Merrillin zaraz po wejściu. Spojrzał na Randa, ścigając mocno swe krzaczaste, siwe brwi. — Nie powiedziałeś mi, że już go widziała. Omal nie urwała mi głowy.

— Myślałem... nie wiem... że może burmistrz coś zrobi, że może ją zmusi... — Rand zacisnął nerwowo pięści, odwrócił się od kominka, by spojrzeć na Brana. — Panie al'Ve-re, co ja mam robić?

Otyły mężczyzna potrząsnął bezsilnie głową. Przykładał świeżo zwilżony gałganek do czoła Tama, unikając wzroku Randa.

— Nie mogę patrzeć spokojnie, jak on umiera, panie al'Ve-re. Muszę coś zrobić.

Bard przestąpił z nogi na nogę, jakby chciał coś powiedzieć. Rand spojrział na niego z nadzieją.

— Czy ma pan jakiś pomysł? Jestem gotów na wszystko.

— Zastanawiałem się tylko — powiedział Thom, postukując kciukiem w swoją długą fajkę — czy burmistrz wie, kto wyrysował smoczy kiel na jego drzwiach.

Zajrzał do miski, potem zerknął na Tama i z westchnieniem włożył nie zapaloną fajkę do ust.

— Ktoś wyraźnie nie lubi albo jego, albo jego gości.

Rand spojrział na niego z niesmakiem i odwrócił się, by popatrzeć na ogień. Jego myśli tańczyły jak płomienie i podobnie jak one, uparczywie trzymały się jednego miejsca. Nie mógł się poddać. Nie mógł tak stać i patrzeć, jak Tam umiera.

„Mój ojciec” — pomyślał zapalczywie. — „Mój ojciec.”

Kiedy opadnie gorączka, ta sprawa jakoś się wyjaśni. Ale najpierw trzeba się uporać z gorączką. Tylko jak?

Bran al'Ve-re zacisnął usta, spojrział na plecy Randa, a wzrok, jakim po chwili obdarzył barda, przyprawiłby o konfuzję nawet niedźwiedzia. Thom jednak sprawiał wrażenie jakby czekał na coś jeszcze, minę miał taką, jak gdyby nic się nie stało.

— To dzieło któregoś Congara albo Coplina — odezwał się wreszcie burmistrz — choć tylko Światłość wie to na pewno. Liczny to ród, a tam gdzie można, albo nawet nie można, powiedzieć o kimś czegoś złego, to oni to zawsze mówią. Przecież zmusili Cenna Buie, żeby zaczął się do nich łąsić.

— To ci, którzy tu przyjechali o świcie? — spytał bard. — Nie dotarło do nich zupełnie, że tu były trolloki i chcieli koniecznie wiedzieć, kiedy zacznie się święto. Zupełnie jakby nie widzieli, że pół wioski zamieniło się w popiół.

Mistrz al'Ve-re skinął ponuro głową.

— To boczna gałąź całej rodziny. Ale prawie się nie różnią między sobą. Ten głupiec Darl Coplin przez połowę nocy domagał się, bym przegonił panią Moiraine i pana Lana z karczmy, a nawet ze wsi, jak gdyby w ogóle istniała tu jakaś wieś.

Rand ledwie przysłuchiwał się ich rozmowie, ale pod wpływem tego ostatniego zdania przemówił.

— Co takiego zrobiło tych dwoje?

— Ona przywołała z czystego nocnego nieba kulisty grom — wyjaśnił pan al'Vere.
— Sprawiała, że pomknął prosto na trolloków. Widziałeś potrzaskane drzewa. Trolloków spotkał podobny los.

— Moiraine? — spytał z niedowierzaniem Rand, a burmistrz skinął głową.

— Pani Moiraine. A pan Lan był jak trąba powietrzna ze swoim mieczem. Z mieczem? Całe ciało tego człowieka jest bronią i to pojawiającą się w dziesięciu miejscach na raz, tak się przynajmniej zdawało. Niech szczenę, ale dalej bym nie wierzył, gdybym tego nie widział na własne oczy... — Potarł dłonią swą łysą czaszkę. — My tu się przygotowujemy do wizyt Zimowej Nocy, ręce pełne prezentów i ciasteczek miodowych, w głowach szumi wino, a tu nagle psy zaczynają warczeć, z oberży wypada tych dwoje i krzyczą coś o trollokach. Myślałem, że za dużo wypili. Skąd tutaj trolloki? A potem, zanim ktokolwiek się zorientował co się dzieje, ci... te stwory już były wśród nas na ulicach, kroili ludzi mieczami, podpalali domy i wyli tak, że człowiekowi zastygała krew w żyłach.

Wydał z siebie dźwięk wyrażający najwyższe obrzydzenie.

— Byliśmy jak te kury w kurniku, do którego wpadł lis, dopóki pan Lan nie dodał nam ducha.

— Nie trzeba się tak obwiniać — powiedział Thom. Robiliście, co można. Nie każdy zabity trollok jest dziełem tamtych dwojga.

— Mhm...ano tak. — Pan al'Vere pokiwał głową. — I tak trudno dać temu wszystkiemu wiarę. Aes Sedai w Polu Emonda. A pan Lan jest Strażnikiem.

— Aes Sedai? — wyszeptał Rand. — To nieprawda. Rozmawiałem z nią. Ona nie jest... ona nie...

— Myślałeś, że one są jakoś oznakowane? — spytał burmistrz z krzywym uśmiechem. — Napis „Aes Sedai” na plecach i może jeszcze „Uwaga, niebezpieczeństwo”?

Uderzył się nagle w czoło.

— Aes Sedai. Jestem już stary i głupi, tracę rozum. Masz jedną szansę, Rand, o ile zechcesz z niej skorzystać. Nie mogę ci kazać tego zrobić i nie wiem, czy na twoim miejscu starczyłoby mi odwagi.

— Szansa? — spytał Rand. — Spróbuję wszystkiego, jeśli to się na coś zda.

— Aes Sedai potrafią uzdrawiać. Niech szczenę, ale chyba słyszałeś, chłopcze, te opowieści. One leczą tych, którym nie pomagają lekarstwa. Bardziej, powinieneś to wiedzieć lepiej niż ja. W opowieściach bardów pełno jest Aes Sedai. Czemu żeś nic nie mówił, tylko pozwalałeś, żebym tak głupiał?

— Jestem tu obcy — powiedział Thom, patrząc tęsknie na swoją wygasłą fajkę — a Goodman Coplin nie jest jedynym, który nie chce mieć nic wspólnego z Aes Sedai. Lepiej, że ten pomysł wyszedł od ciebie.

— Aes Sedai — wyszeptał Rand, usiłując dopasować do zasłyszanych opowieści kobietę, która uśmiechała się do niego.

Powiadano, że pomoc Aes Sedai bywa gorsza niż żadna, podobna do trucizny dodanej do ciasta, a ich podarunki zawsze mają w sobie haczyk, niczym przynęta na ryby. Nagle moneta w kieszeni, moneta, którą dała mu Moiraine, wydała się mu rozżarzoną węglem. Nie potrafił jednak wyciągnąć jej z płaszcza i wyrzucić za okno.

— Nikt nie chce, abyś przestawał z Aes Sedai, chłopcze — tłumaczył burmistrz. — Jednakże jest to chyba jedyna szansa i chociaż to trudne, musisz podjąć decyzję. Ja tego nie mogę zrobić za ciebie, ale ze strony pani Moiraine... czy raczej Moiraine Sedai nie spotkało mnie nic prócz samego dobra. Czasami — tu spojrzął znacząco na Tama — trzeba korzystać z szansy, nawet jeśli jest niewielka.

— A poza tym, w niektórych opowieściach jest sporo przesady — dodał Thom niechętnie, tak jakby wywlekano z niego słowa. — W niektórych. A zresztą, czy masz jakiś wybór, chłopcze?

— Żadnego — westchnął Rand.

Ojciec nie poruszył ani jednym mięśniem, miał zapadnięte policzki, jakby chorował już od co najmniej tygodnia.

— Pójdę... pójdę jej poszukać.

— Szukaj jej po tamtej stronie rzeki — poradził mu bard — tam, gdzie... pozbywają się martwych trolloków. Ale uważaj na siebie. Aes Sedai robią to, co robią, według własnego widzimisię i nie zawsze wiadomo, do czego zmierzają.

To ostatnie, wykrzyzczone już zdanie odprowadziło Randa do drzwi. Podczas biegu musiał przytrzymywać rękojeść miecza, aby nie plątał mu się między nogami, ale nie miał czasu wyjąć broni z pochwy. Z łomotem zbiegł ze schodów i wypadł z karczmy, całkowicie zapominając o zmęczeniu. Nadzieja na uratowanie Tama, nawet niewielka, wystarczała, by pokonać skutki nie przespanej nocy, przynajmniej na jakiś czas. Nie chciał się zastanawiać nad tym, że wszystko zależy od Aes Sedai, ani też jaką mu przyjdzie zapłacić za to cenę. A jeśli chodzi o spotkanie z Aes Sedai... Oddychał głęboko, usiłując jeszcze przyśpieszyć kroku.

W dużej odległości od domów położonych na północnym krańcu wsi, po graniczącej z Zachodnim Lasem stronie drogi do Wzgórza Czat, płonęły ogniska. Wiatr roznosił czarne kolumny dymu, ale i tak powietrze wypełniał mdlący, słodkawy odór, przypominający swąd pieczeni pozostawionej zbyt długo na rożnie. Randowi zebrało się na wymioty, gdy zrozumiał, co jest źródłem tego zapachu. Niezłe przeciwieństwo ognisk Bel Tine. Ludzie pracujący przy ogniu mieli obwiązane nosy i usta, ale grymas na ich twarzach nie pozwalał wątpić, że ocet zwilżający opaski nie wystarcza. Nawet jeśli zabijał zapach, wiedzieli i tak, skąd on pochodzi i co właściwie tutaj palą.

Dwóch ludzi uwalniało zwłoki trolloka przywiązane do uprzęży wielkich koni. Lan pochylił się nad ciałem i odrzucił koc, aby odsłonić barki i koźli pysk. Gdy Rand podszedł do niego, odpinał właśnie od ramienia kolczugi trolloka metalową odznakę — emaliowany krwistoczerwoną barwą trójzęb.

— To Ko'bal — obwieścił. Podrzucił odznakę na dłoni i mruknął coś do siebie bezgłośnie. — Naliczyliśmy dotąd już siedem band.

Moiraine, siedząca nieopodal na skrzyżowanych nogach, pokręciła głową. Przed nią leżała laska, rzeźbiona na całej długości we wzory liści winorośli i kwiatów. Moiraine miała na sobie zmiętą od długiego noszenia suknię.

— Siedem band. Siedem! Nie było czegoś takiego od czasu Wojen z Trollokami. Złe wieści piętrzą się na złych wieściach. Boję się, Lan. Myślałam, że przeszliśmy już pewną granicę, ale mamy chyba jeszcze dalej do niej niż kiedykolwiek.

Rand wpatrywał się w nią, niezdolny cokolwiek wykrztusić. Aes Sedai. Usiłował sobie wmówić, że jej wygląd się wcale nie zmienił, odkąd wie, na kogo... na co właściwie patrzy i ku jego zdziwieniu tak się też stało. Nie wyglądała już co prawda na tak czystą, nie z tymi sterczącymi na wszystkie strony włosami i smugą sadzy na nosie, ale wciąż była taka sama. A przecież musi być w niej coś, co ją wyróżnia jako Aes Sedai. Z drugiej jednak strony, jeżeli wygląd zewnętrzny miałby odzwierciedlać wnętrze człowieka i jeśli opowieści bardów mówiły prawdę, to ona powinna przypominać bardziej trolloka niż przystojną kobietę, której dostojeństwo nie zaznało uszczerbku przez to, że siedziała teraz na ziemi. I na dodatek mogła pomóc Tamowi. Niezależnie od ceny, jaką Rand miałby zapłacić, tylko to się liczyło.

Zrobił głęboki wdech.

— Pani Moiraine... chciałem powiedzieć, Moiraine Sedai. — Obydwoje odwrócili się, by spojrzeć na niego i Rand aż skamieniał, widząc jej oczy. Nie był to ten spokojny, pełen wesołości wzrok, który zapamiętał z Łąki. Miała zmęczoną twarz, ale jej czarne oczy przypominały oczy jastrzębia. Aes Sedai. Niszczycielki świata, traktujące go jak teatr lalek, w którym pociągnięciami za sznurki można zmuszać trony i narody do tańca w takich układach, jakie znały tylko kobiety z Tar Valon.

— Odrobinę światła w ciemności — mruknęła Aes Sedai. Podniosła głos. — Jak tam z twoimi snami, Randzie al'Thor?

Zagapił się na nią.

— Z moimi snami?

— Taka noc jak ta musi sprowadzać na człowieka złe sny, Randzie. Jeżeli śnią ci się koszmary, to powinienes mi o nich opowiedzieć. Czasami umiem im zaradzić.

— Nie mam złych... Chodzi o mojego ojca. Jest ranny. To zwykle zadrapanie, ale trawi go gorączka. Wiedząca mu nie chce pomóc, twierdzi, że nie da rady. Ale powiada- ją...

Przerwał i z trudem przełknął ślinę, gdy podniosła brew. „Światłości, czy jest jakaś opowieść, w której ona nie jest czarnym charakterem?”

Spojrzał na Strażnika, ale Lan wydawał się być bardziej zainteresowany martwym trollokiem niż słowami Randa. Unikając jej wzroku, zaczął mówić dalej.

— Ja... tego... powiadają, że Aes Sedai potrafią uzdrawiać. Jeżeli możesz mu pomóc... jeżeli możesz coś dla niego zrobić... niezależnie od ceny... to znaczy... — Wziął głęboki oddech i pośpiesznie dokończył. — Zapłacę każdą cenę, na jaką mnie będzie stać, jeśli mu pomożesz. Każdą.

— Każdą cenę — zadumała się Moiraine, mówiąc jakby do siebie. — Jeśli w ogóle porozmawiamy o zapłacie, Randzie, to później. Nie mogę składać żadnych obietnic. Wasza Wiedząca zna się na rzeczy. Zrobię, co mogę, ale zatrzymywanie Koła nie leży w mojej mocy.

— Prędzej czy później śmierć przychodzi do każdego — zauważył ponuro Strażnik — o ile nie służy się samemu Czarnemu, a chyba tylko głupcy chcą płacić taką cenę.

Moiraine zaklaskała językiem.

— Nie bądź takim pesymistą, Lanie. Mamy jakiś powód do radości. Mały, ale zawsze powód.

Wsparła się na lasce i wstała.

— Zaprowadź mnie do swego ojca, Randzie. Pomogę mu na tyle, na ile jestem w stanie. Zbyt wielu tutaj odrzuciło moją pomoc. Oni też słuchali opowieści bardów — dodała cierpkim tonem.

— Ojciec leży w karczmie — powiedział Rand. — Trzeba iść tędy. I dziękuję. Naprawdę dziękuję!

Poszli za nim, ale Rand, niemalże biegnąc, błyskawicznie pozostawił ich w tyle. Zwolnił, czekając niecierpliwie, aż go dogonią, ale zaraz znów pomknął do przodu i znów musiał czekać.

— Błagam, pośpieszcie się — poprosił.

Owładnięty pragnieniem zdobycia pomocy dla Tama, nawet nie zauważał, że bezczelnie pogania Aes Sedai.

— Gorączka zupełnie go spala.

Lan spojrzał na niego.

— Nie widzisz, że ona jest zmęczona? Praca, którą wykonywała poprzedniej nocy, przypominała bieganie po wsi z workiem kamieni na plecach. Nie wiem, czy jesteś tego wart, pasterzu, niezależnie od tego, jakie jest jej zdanie o tobie.

Rand zamrugał i ugryzł się w język.

— Spokojnie, przyjacielu — powiedziała Moiraine.

Nie zwalniając kroku podeszła do Strażnika i poklepała go po ramieniu. Pochylił się nad nią opiekuńczo, jakby chciał samą swą bliskością obdarować ją siłą.

— Ty myślisz tylko o opiece nade mną. Dlaczego on nie miałby troszczyć się o swego ojca?

Lan spojrział na nią chmurnym wzrokiem, ale nic nie powiedział.

— Idę tak szybko, jak mogę, Rand, zapewniam cię.

Rand nie wiedział, w co ma wierzyć: czy w żarliwe spojrzenie, czy w spokój w jej władczym głosie, któremu raczej nie można było przypisać delikatności. A może trzeba zaufać i jednemu i drugiemu. Aes Sedai. Już postawił wszystko na jedną kartę. Dostosował swoje tempo do ich kroku i próbował nie myśleć, jaka będzie ta cena, o której mają porozmawiać później.

BEZPIECZNE MIEJSCE

Rand już od samego progu szukał wzrokiem ojca swojego ojca, niezależnie od tego, co ktokolwiek mógł mówić. Tam nawet nie drgnął, miał nadal zamknięte oczy, ciężko łąpał oddech, głucho i chrapliwie. Siwowłosa bard przerwał rozmowę z burmistrzem, który znowu doglądał Tama, pochylony nad jego łóżkiem, i zerknął nerwowo na Moiraine. Aes Sedai zignorowała go. Prawdę powiedziawszy, ignorowała teraz wszystkich z wyjątkiem Tama, na którego patrzyła z napięciem, marszcząc czoło.

Thom wsadził do ust nie zapaloną fajkę, ale zaraz ją wyjął i obejrzał.

— Nawet nie można spokojnie zapalić — mruknął. — Lepiej sprawdzę, czy jakiś farmer nie kradnie mi płaszcz, by móc ogrzać własną krowę. I przynajmniej sobie zapalę.

Pośpiesznie wyszedł z pokoju.

Lan odprowadził go wzrokiem, a jego kanciasta twarz była równie pozbawiona wyrazu co skała.

— Ten człowiek mi się nie podoba. Jest w nim coś, czemu nie ufam. Nigdzie go wczoraj nie było.

— Był na miejscu — zapewnił go Bran, obserwując niespokojnie Moiraine. — Z całą pewnością. Jego płaszcz nie zdążył jeszcze wyschnąć przed kominkiem.

Randa zupełnie nie obchodziło, czy bard ukrywał się tej nocy w stajni.

— Co z ojcem? — spytał błagalnym tonem Moiraine.

Bran otworzył usta, ale zanim coś powiedział, przeszkodziła mu Moiraine:

— Zostaw mnie z nim samą, panie al’Vere. Nie pomożesz mi, a tylko będziesz przeszkadzał.

Bran wahał się minutę, rozdarty między niechęcią do słuchania rozkazów we własnej oberży, a okazaniem nieposłuszeństwa wobec Aes Sedai. Na koniec wyprostował się i poklepał Randa po ramieniu.

— Chodź ze mną, chłopcze. Pozwólmy Moiraine Sedai zrobić... no... Jest mnóstwo rzeczy, w których mi możesz pomóc tam na dole. Zanim się zorientujesz, Tam będzie wołał o fajkę i kufel piwa.

— Czy mogę tu zostać? — spytał Rand Moiraine, chociaż ona zdawała się nie zauważać nikogo prócz Tama.

Bran zacisnął dłoń na jego ramieniu, ale Rand to zlekceważył.

— Mogę? Nie będę ci przeszkadzał. Nawet nie będziesz wiedziała, że tu jestem. On jest moim ojcem — dodał z żarliwością, która go zadziwiła. Nawet burmistrz wytrzeszczył oczy ze zdziwienia. Rand miał nadzieję, że inni złożą to na karb jego zmęczenia albo napięcia powodowanego bliskością Aes Sedai.

— Tak, tak — odparła niecierpliwie Moiraine. Cisnęła płaszcz i laskę na jedyne krzesło w pokoju, a potem podwinęła rękawy, obnażając ręce do łokci. Ani razu nie spuściła oka z Tama, nawet kiedy mówiła do nich.

— Usiądź tam, ty też, Lan.

Nieokreślonym gestem wskazała długą ławę stojącą pod ścianą. Jej wzrok wędrował wolno od stóp Tama do jego głowy, ale Rand miał dojmujące wrażenie, że w jakiś sposób ona widzi go na wylot.

— Możecie rozmawiać, jeśli chcecie — mówiła dalej nieobecnym głosem — tylko cicho. Ale pan niech odejdzie, panie al'Vere. To pokój chorego, a nie sala zgromadzeń. Nie trzeba mi przeszkadzać.

Burmistrz mruknął coś, choć oczywiście nie tak głośno, by zwrócić tym jej uwagę, ścisnął raz jeszcze ramię Randa, a potem posłusznie, acz niechętnie zamknął za sobą drzwi.

Mrucząc coś do siebie bezgłośnie, Aes Sedai uklękła przy łóżku i ułożyła lekko dłonie na piersi Tama. Zamknęła oczy i przez dłuższy czas nie ruszała się, ani nie wydawała żadnych dźwięków.

W opowieściach, cudom czynionym przez Aes Sedai zawsze towarzyszyły błyski, uderzenia piorunów i inne znaki zwiastujące powstawanie potężnych dzieł i działanie wielkich mocy. Moc. Jedyna Moc, czerpana z Prawdziwego Źródła, które napędzało Koło Czasu. Rand raczej nie miał ochoty myśleć o Mocy zaprzęgniętej w celu uzdrowienia ojca, czy o sobie samym, znajdującym się w miejscu, gdzie miała być użyta. Strach go ogarniał już na samą myśl, że wszystko to ma się odbyć w obrębie jego wsi. Na razie wydawało mu się, że Moiraine właśnie zasnęła. Musiała jednak coś robić, bo Tam zaczął oddychać jakby z większą łatwością. Rand obserwował tych dwoje z takim skupieniem, że aż podskoczył, gdy usłyszał cichy głos Lana.

— Masz wspaniały miecz. Czy na jego ostrzu jest może wygrawerowana czapla?

Rand wpatrywał się przez chwilę w Strażnika, nie bardzo rozumiejąc, o czym on mówi. W powodzi wydarzeń całkowicie zapomniał o mieczu ojca, nawet nie czuł już jego ciężaru.

— Tak, jest na nim czapla. Co robi teraz Moiraine?

— Nigdy bym nie pomyślał, że w takim miejscu znajdzie się miecz ze znakiem czapli — powiedział Lan.

— Należy do mojego ojca.

Spojrzał na rękojeść broni Lana, wystającą spod jego płaszcza, obydwa miecze wyglądały nieomal tak samo, tyle że na ostrzu Strażnika nie było emblematu czapli. Ponownie powędrował wzrokiem w stronę łóżka. Ojciec wyraźnie oddychał swobodniej i przestał rzeźnić. Tego Rand był pewien.

— Kupił go dawno temu.

— To dziwne, że pasterz kupił sobie taki miecz.

Rand spojrzał z ukosa na Lana. Takie pytania ze strony obcego to zwykłe wścibstwo. A ze strony Strażnika... Ale i tak czuł, że powinien coś powiedzieć.

— O ile wiem, nigdy nie miał z niego pożytku. Powiedział, że nie był mu potrzebny. W każdym razie do ostatniej nocy. Wcześniej nawet nie wiedziałem, że go ma.

— A zatem nazwał go bezużytecznym, prawda? Ale nie zawsze musiał tak uważać.

Lan jednym palcem dotknął przelotnie miecza przymocowanego do pasa Randa.

— Są takie miejsca, w których czapla jest symbolem mistrzowskiego władania mieczem. To ostrze musiało przebyć dziwną drogę, skoro zawitało w końcu do pasterza w Dwu Rzekach.

Rand zignorował zawarte w tym stwierdzeniu pytanie. Moiraine nadal się nie ruszała. Czy ta Aes Sedai cokolwiek robi? Zadrżał i potarł ramiona, niepewien, czy w ogóle chce wiedzieć, co ona robi. Aes Sedai.

Nagle w jego myślach pojawiło się pytanie, którego nie chciał wypowiadać, ale na które musiał znać odpowiedź.

— Burmistrz... — chrząknął i nabrał oddechu. — Burmistrz powiedział, że ze wsi zostało jeszcze cokolwiek tylko dzięki tobie i niej.

Zmusił się, by spojrzeć na Strażnika.

— Gdybyś usłyszał o człowieku w lesie... człowieku, który budzi strach samym swoim spojrzeniem... czy potraktowałbyś to jako przestrożę? Koń tego człowieka nie wydaje żadnych dźwięków, a wiatr nie porusza jego peleryną. Czy wiedziałbyś, co się wydarzy? Czy ty i Moiraine Sedai moglibyście wszystkiemu zapobiec, gdybyście o nim wiedzieli?

— Nic bym nie zdziałała bez pomocy moich siostr — odparła Moiraine, zaskakując Randa.

Nadal klęczała przy łóżku, ale oderwała dłonie od ciała Tama i zwróciła się częściowo w ich stronę. Ani razu nie podniosła głosu, jej oczy zdawały się przyszpilać Randa do ściany.

— Gdybym wiedziała, kiedy opuszczałam Tar Valon, że napotkam tu trolloki i Myrddraala, sprowadziłabym ich tu kilka, a może kilkanaście, choćbym miała je przywlec za karki. Jeśli chodzi o mnie samą, to byłoby trochę inaczej, gdybym wiedziała o tym miesiąc wcześniej. Może zresztą to też by niczego nie zmieniło. Za dużo pracy dla jednej

osoby, nawet jeśli ta osoba potrafi wezwać Jedyńą Moc. Przecież zeszłej nocy było w tej okolicy co najmniej sto trolloków. Cały taran.

— Ale i tak lepiej byłoby wiedzieć o wszystkim wcześniej — powiedział ostrym tonem Lan, jego gniew skierowany był przeciwko Randowi. — Kiedy i gdzie go dokładnie zobaczyłeś?

— Teraz to już nie ma znaczenia — zauważyła Moiraine. — Nie sędzę, by ten chłopiec musiał się czuć za wszystko winny, bo tak nie jest. Mnie trzeba winić w równym stopniu. Ten przeklęty kruk wczoraj i sposób, w jaki się zachowywał, powinien był mnie ostrzec. I ciebie też, mój stary przyjacielu.

Zacmokała gniewnie językiem.

— Byłam tak pewna siebie, że aż bezczelna, przekonana, że dotyk Czarnego nie sięga teraz tak daleko i tak silnie. Nie miałam co do tego żadnych wątpliwości.

Rand zamrugał.

— Kruk? Nie rozumiem.

— Zalicza się do padlinożerców. — Lan wykrzywił usta z obrzydzeniem. — Słudzy Czarnego często znajdują szpiegów wśród stworzeń, które żywią się umarłymi. Są to głównie kruki i wrony. W miastach szczury.

Rand zadrżał. Kruki i wrony szpiegami Czarnego? Wszędzie dookoła latają teraz te ptaki. Dotyk samego Czarnego, jak powiedziała Moiraine. Czarny jest wszędzie, Rand był o tym przekonany, ale jeśli człowiek starał się podążać ścieżką Światłości, żył sprawiedliwie i nie przyzywał Czarnego, wówczas nie mogło mu się nic stać. W to wierzyli wszyscy, bo taką wiedzę każdy otrzymywał wraz z mlekiem matki. Ale Moiraine zdawała się twierdzić...

Jego spojrzenie padło na Tama i przestał myśleć o innych sprawach. Twarz ojca była wyraźnie mniej rozpalona, a oddech wydawał się prawie normalny. Rand już miał się zerwać ma nogi, gdyby Lan go nie powstrzymał.

— Udało ci się, Moiraine.

Moiraine pokręciła głową i westchnęła.

— Jeszcze nie. Ale mam nadzieję, że mi się uda. Broń trolloków jest wykuwana w kuźniach zbudowanych w dolinie Thakan'dar, na zboczach samego Shayol Ghul. Dlatego metal przekuty w tym miejscu nosi na sobie jego nalot, plamę zła. Te skażone ostrza zadają rany, które nie leczone odpowiednio nie chcą się zagoić albo powodują śmiertelną gorączkę i inne dziwne choroby, na które lekarstwa nie mają wpływu. Uśmierzyłam ból, ale ciało twego ojca nadal ma na sobie ten ślad, plamę. Jeśli ją tak zostawić, rozrośnie się na powrót i pożre go.

— Nie możesz go opuścić.

Rand powiedział to w połowie błagalnie, a w połowie rozkazująco. Był zaszokowany, kiedy uświadomił sobie, jakim tonem rozmawia z Aes Sedai, ale ona zdawała się tego nie zauważać.

— Nie opuszczę go — zgodziła się po prostu. — Jestem bardzo zmęczona, Rand i od ostatniej nocy nie miałam okazji odpocząć. Normalnie nie miałyby to znaczenia, ale w przypadku takiej rany... To — wyjęła ze swego mieszka mały zwój białego jedwabiu — jest *angreal*.

Zauważyła wyraz jego twarzy.

— Wiesz zatem, co to jest *angreal*. To dobrze.

Odruchowo odsunął się od niej i od przedmiotu, który trzymała w ręku. Słyszał o *angrealu*, relikwie Wieku Legend, którego Aes Sedai używały do czynienia swych największych cudów. Zdziwił się, gdy odwinęła z jedwabiu nie dłuższą od jej dłoni, gładką figurkę z kości słoniowej, pociemniałą ze starości na głęboki brąz. Figurka przedstawiała postać kobiety w rozwianej szacie, z długimi włosami spadającymi na ramiona.

— Straciłyśmy już umiejętność wytwarzania *angreali* — powiedziała. — Tyle wiedzy zostało zapomniane, być może bezpowrotnie. *Angreali* zostało już tak niewiele, że zasiadająca na Tronie Amyrlin ledwie pozwoliła mi tego zabrać. Dobrze się stało dla Pola Emonda i twego ojca, że w końcu udzieliła mi zgody. Ale nie możesz żywić zbyt wielkich nadziei. Nawet dzięki *angrealowi*, niewiele więcej mogę zrobić, niż bym mogła wczoraj bez niego. Plama jest duża i miała czas zakrzepnąć.

— Możesz mu pomóc — zapewniał ją gorliwie Rand. — Wiem, że możesz.

Moiraine uśmiechnęła się, ledwie poruszając wargami.

— Zobaczymy.

Potem odwróciła się do Tama. Jedną dłoń położyła mu na czole, a drugą ścisnęła figurkę z kości słoniowej. Zamknęła oczy, a na jej twarzy pojawił się wyraz głębokiego skupienia. Zdawało się, że przestała oddychać.

— Ten jeździec, o którym mówiłeś — odezwał się cicho Lan — ten, który cię przstraszył, to był bez wątpienia Myrddraal.

— Myrddraal! — wykrzyknął Rand. — Przecież Pomory mają dwadzieścia stóp wzrostu i...

Urwał na widok ponurego uśmiechu Strażnika.

— Czasami, pasterzu, ludzie w swych opowieściach wyolbrzymiają pewne rzeczy. Wierz mi, w przypadku Półczłowieka wystarczają gołe fakty. Półczłowiek, Zaczajony, Pomor, Człowiek Cień, różnych nazw się używa w zależności od kraju, w którym się mieszka, ale one wszystkie oznaczają złego Myrddraala. Pomory są pomiotem trollów, u których na powrót ujawniają się pierwotne cechy ludzkie, wykorzystane przez Władców Strachu do stworzenia trollów. Jeśli ludzkie cechy są silniejsze, powoduje to skazę, która odmienia trolla. Półludzie dysponują pewnego rodzaju mocą, którą biorą od samego Czarnego. Tylko najsłabsze Aes Sedai nie potrafią pokonać Pomora w pojedynku, ale uległo im wielu dobrych, prawych ludzi. Od czasu wojen, które zakończyły Wiek Legend, kiedy Przekłęci zostali uwięzieni, oni są mózganymi wydającymi rozkazy

taranom trolloków. W czasach Wojen z Trollokami, Półludzie z rozkazu Władców Strachu dowodzili trollokami w bitwach.

— Przeraził mnie — powiedział głucho Rand. — Spojrzał tylko na mnie i...

Zadrżał.

— Nie musisz się tego wstydzić, pasterzu. Mnie też przerażają. Widziałem, jak waleczni wojownicy zamierali na widok Półczłowieka, niczym ptak przed wężem. Na Ziemiach Granicznych Wielkiego Ugoru znają takie powiedzenie: Spojrzenie Bezokiego oznacza strach.

— Bezoki? — spytał Rand, a Lan przytaknął:

— Myrddraale widzą jak sokoły, w nocy i za dnia, ale nie mają oczu. Niewiele znam rzeczy bardziej niebezpiecznych niż spotkanie Myrddraala. Razem z Moiraine Sedai próbowaliśmy zabić go zeszłej nocy i za każdym razem bez powodzenia. Półludziom sprzyja szczęście Czarnego.

Rand przełknął ślinę.

— Jeden trollok powiedział, że Myrddraal chce ze mną rozmawiać. Nie rozumiem, co to oznacza.

Lan podniósł gwałtownie głowę, a jego oczy zamieniły się w błękitne kamienie.

— Rozmawiałeś z trollokiem?

— Niezupełnie — wyjąkał Rand. Wzrok Strażnika więził go niczym pułapka. — To on do mnie mówił. Obiecał, że mi nic nie zrobi, że Myrddraal chce tylko ze mną rozmawiać, a potem usiłował mnie zabić.

Zwilżył wargi i potarł dłonią skórę, którą była pokryta rękojeść jego miecza. Krótkimi, urywanymi zdaniami opowiedział, jak wrócił na farmę.

— Więc go zabiłem — dokończył. — To był naprawdę przypadek. Skoczył na mnie, a ja akurat trzymałem miecz w ręku.

Twarz Lana lekko złagodniała, oczywiście o ile skała może złagodnieć.

— Nawet wtedy, jest o czym mówić, pasterzu. Do ostatniej nocy niewielu było ludzi żyjących na południe od Ziemi Granicznych, którzy mogli powiedzieć, że widzieli trolloka, a jeszcze mniej takich, którzy zabili choć jednego.

— A jeszcze mniej zabiło trolloka samodzielnie, bez niczyjej pomocy — dodała zmęczonym głosem Moiraine. — Skończyłam, Rand. Lan, pomóż mi się podnieść.

Strażnik doskoczył do niej, ale Rand szybciej dopadł do łóżka. Skóra Tama była chłodna w dotyku, a twarz miała blady i niezdrowy odcień, jakby dawno nie widziała słońca. Ojciec jeszcze nie otwierał oczu, oddychał jednak miarowym oddechem normalnego snu.

— Czy już teraz będzie zdrow? — spytał niespokojnie Rand.

— Tak, tylko musi odpocząć — powiedziała Moiraine. — Kilka tygodni w łóżku i będzie zdrowy jak zwykle.

Szła chwiejnym krokiem, mimo że wspierało ją ramię Lana. Strażnik zgarnął z krzesła jej płaszcz i łaskę, by miała na czym usiąść. Usadowiła się z westchnieniem. Starannie owinęła z powrotem *angreal* i schowała do sakiewki.

Ramiona Randa zatrzęśły się, zagryzł wargi, by powstrzymać się od śmiechu, przetarł dłonią załzawione oczy.

— Dziękuję.

— W Wieku Legend — kontynuowała Moiraine — niektóre Aes Sedai potrafiły rozpaść na nowo życie i zdrowie, nawet jeśli tliła się go tylko mała isierka. Ale te czasy już minęły, być może bezpowrotnie. Tyle zostało zapomniane, nie tylko wytwarzanie *angrealu*. Nawet nie odważamy się marzyć o tym, co można zrobić, o ile w ogóle przychodzi nam cokolwiek jeszcze na myśl. Jest nas teraz o wiele mniej. Niektóre talenty już całkiem zanikły, a te, które pozostały, wydają się słabsze. Teraz potrzeba do nich woli i siły fizycznej, bo inaczej nawet te najsilniejsze z nas nie zrobią nic na drodze Uzdrawiania. Całe szczęście, że twój ojciec jest silny, zarówno ciałem, jak i duchem. Na razie zużył wiele swej tężyzny w walce o życie, może jednak ją jeszcze zregenerować. To potrwa jakiś czas, ale nie ma w nim już skazy.

— Nigdy nie zdołam ci się odwdzińczyć — zapewnił ją Rand, nie odrywając wzroku od ojca — ale zrobię dla ciebie, co tylko będę mógł. Absolutnie wszystko.

Przypomniawszy sobie rozmowę o zapłacie i swoją obietnicę; z której teraz, gdy klęczał obok Tama, jeszcze bardziej pragnął się wywiązać. Wciąż jednak nie było mu łatwo spojrzeć w oczy Moiraine.

— Wszystko. O ile to nie przyniesie szkody wsi albo moim przyjaciołom.

Moiraine zbyła go machnięciem ręki.

— Jeśli uważasz, że to konieczne. Ale tak czy inaczej, chciałabym z tobą porozmawiać. Niewątpliwie wyjedziesz stąd w tym samym czasie, co my, i wtedy odbędziemy dłuższą rozmowę.

— Wyjadę? — wykrzyknął, zrywając się na nogi. — Czy naprawdę jest tu tak źle? Zdawało mi się, że wszyscy są gotowi odbudować wioskę. Jesteśmy mocno przywiązani do Dwu Rzek. Nikt stąd nigdy nie wyjeżdża.

— Rand...

— I gdzie mielibyśmy pojechać? Padan Fain mówił, że gdzie indziej pogoda jest równie zła. On jest... on był... handlarzem. Trolloki...

Rand przełknął ślinę, żałując, że dowiedział się od Thoma Merrilina, co jadają trolloki.

— Uważam, że najlepiej będzie, jak zostaniemy na własnej ziemi, w Dwu Rzekach, i wszystko odbudujemy. Obsialiśmy już pola i niedługo na pewno ociepli się na tyle, byśmy mogli strzyc owce. Nie wiem, kto zaczął to gadanie o wyjeździe... Założę się, że któryś z Coplinów... ale ten ktoś był...

— Pasterzu — przerwał mu Lan — zamiast słuchać, gadasz.

Chłopiec zamrugał. Uświadomił sobie, że trajkocze tak od dłuższego czasu, i że przerwał Moiraine, kiedy próbowała mu coś powiedzieć. Kiedy Aes Sedai próbowała mu coś powiedzieć. Nie wiedział, jak się teraz zachować, jak przeproszać, ale gdy się nad tym namyślał, Moiraine uśmiechnęła się.

— Wiem, co czujesz, Rand — powiedziała, a on odniósł nieprzyjemne wrażenie, że ona naprawdę wie wszystko.

— Nie myśl już o tym.

Zacisnęła usta i potrząsnęła głową.

— Teraz widzę, że źle się do tego zabrałam. Chyba powinnam była najpierw odpocząć. To ty masz wyjechać, Rand. Ty musisz wyjechać, aby uratować wieś.

— Ja?

Chrząknął i jeszcze raz zapytał:

— Ja?

Tym razem zabrzmiało to nieco lepiej.

— Czemu miałbym wyjeżdżać? Nic z tego nie rozumiem. Nie chcę nigdzie jeździć.

Moiraine spojrzała na Lana, Strażnik opuścił skrzyżowane dotąd na piersiach ręce. Popatrzył na Randa spod skórzanej przyłbicy i Rand znowu miał uczucie, że waży się go na niewidzialnych szalach.

— Czy wiesz — powiedział nagle Lan — że niektóre domy nie zostały zaatakowane?

— Połowa wsi zamieniła się w popiół — zaprotestował, ale Strażnik zlekceważył tę uwagę.

— Niektóre domy były podpalane tylko po to, by stworzyć zamieszanie. Trolloki później omijały je i tak samo ich mieszkańców, o ile ci nie znaleźli się na drodze bezpośredniego ataku. Większość ludzi, którzy mieszkają na najbardziej oddalonych farmach, nawet z daleka nie widziała nawet włosa trolloka. Większość w ogóle nie wiedziała, że coś się stało, dopóki nie zobaczyli, w jakim stanie jest wieś.

— Mówiono mi rzeczywiście coś takiego o Darlu Coplinie — powiedział wolno Rand. — Pewnie wieści nie zdążyły się roznieść.

— Zostały zaatakowane dwie farmy — mówił dalej Lan. Wasza i jeszcze jedna. Wszyscy mieszkańcy tej drugiej przyjechali już do wsi na Bel Tine. Wielu ludzi się uratowało, ponieważ Myrddraal nie znał obyczajów panujących w Dwu Rzekach. Nie zdawał sobie sprawy, że święto i Zimowa Noc praktycznie uniemożliwią mu wykonanie zadania.

Rand spojrzał na Moiraine rozpartą na krześle. Nic nie powiedziała, przypatrywała mu się tylko z palcem przyłożonym do ust. — Nasza farma i czyja jeszcze? — zapytał w końcu.

— Farma Aybarów — odparł Lan. — Natomiast tu, w Polu Emonda uderzyli najpierw na kuźnię, dom kowala i dom pana Cauthona.

Randowi nagle zaschło w ustach.

— To niedorzeczne — udało mu się wreszcie wykrztusić, a potem podskoczył na widok prostującej się Moiraine.

— Niezupełnie, Rand — powiedziała. — Celowe. Trolloki nie przybyły do Pola Emonda przypadkiem i nie robiły tego wszystkiego dla samej przyjemności zabijania i podpalania, choć w tym się lubują. Wiedziały o co, czy raczej o kogo, im chodzi. Trolloki przybyły tu, by zabić albo pojmać pewnego młodego człowieka, w pewnym określonym wieku, który mieszka w pobliżu Pola Emonda.

— Czy on jest w moim wieku? — Randowi załamał się głos, ale nie dbał o to. — Światłości! Mat! Co z Perrinem?

— Żyją i mają się dobrze — zapewniła go Moiraine — trochę się tylko ubrudzili sędzą.

— A Ban Crawe i Lem Thane?

— Nic im nawet nie groziło — powiedział Lan. — Przynajmniej nie bardziej niż wszystkim innym.

— Ale oni też widzieli Pomora na koniu i też są moimi rówieśnikami.

— Dom pana Crawe nawet nie został zniszczony — wyjaśniła Moiraine — a młynarz i jego rodzina przespali pół nocy, zanim obudził ich hałas. Ban jest starszy od ciebie o dziesięć miesięcy, a Lem o osiem młodszy.

Uśmiechnęła się krzywo na widok jego zdziwienia.

— Powiedziała ci, że zadawałam pytania. Powiedziała też, że chodziło o młodych ludzi w pewnym określonym wieku. Ty i dwaj twoi przyjaciele urodziliście się w odstępie tygodni. To was trzech poszukiwał Myrddraal i nikogo innego.

Rand poruszył się niespokojnie, pragnąc, by ona zaczęła wreszcie patrzeć na niego inaczej, nie tak, jakby przewiercała wzrokiem jego mózg i czytała wszystko z jego zakamarków.

— Czego mogą od nas chcieć? Jesteśmy tylko farmerami, pasterzami.

— Na to pytanie nie znajdziesz odpowiedzi w Dwu Rzekach — powiedziała cicho Moiraine — ale ta odpowiedź jest ważna. Obecność trolloków w miejscu, w którym nie widziano ich od prawie dwóch tysięcy lat, mówi sama za siebie.

— Dużo słyszałem o napadach trolloków — upierał się Rand. — Po prostu nam się dotąd udawało. Strażnicy walczą z nimi cały czas.

Lan parsknął.

— Chłopcze, walka z trollokami w okolicach Wielkiego Ugoru jest czymś zwyczajnym, ale nie tutaj, prawie sześćset lig na południe. A ten napad ostatniej nocy był równie gwałtowny, jak atak, którego spodziewałbym się w Shienar albo na którejś z Ziemi Pogranicza.

— W którymś z was — powiedziała Moiraine — albo we wszystkich trzech jest coś, czego Czarny się boi.

— To... to jest niemożliwe. — Rand podszedł chwiejnie do okna i wyjrzał na wioskę, na ludzi krzających się wśród ruin. — Nie obchodzi mnie, dlaczego tak się stało, bo to po prostu niemożliwe.

Nagle zauważył na Łące coś, co na moment odwróciło jego uwagę. Przyjrzał się uważniej i zrozumiał, że to upalony kikut Wiosennego Słupa. Nie ma co, świetne Bel Tine, z udziałem handlarza, barda i obcych. Zadrżał i potrząsnął gwałtownie głową.

— Nie. Nie, ja jestem zwykłym pasterzem. Czarny nie może się interesować właśnie mną.

— Sprowadzenie tu tak wielkiej liczby trolloków — tłumaczył ponurym tonem Lan — z tak daleka, nie wywołując przy tym larum od Ziem Pogranicza do Caemlyn i w jeszcze dalszych krainach, musiało kosztować dużo wysiłku. Szkoda, że nie wiem, jak tego dokonali. Czy naprawdę wierzysz, że tyle się trudzili, by spalić tylko kilka domów?

— Oni tu wrócą — dodała Moiraine.

Rand już otwierał usta, aby sprzeczać się z Lanem, ale usłyszane słowa sprawiły, że zrezygnował. Obrócił się w jej stronę. — Wrócą? Czy nie możecie ich powstrzymać? Udało się wam zeszłej nocy, a przecież wtedy zostaliście zaskoczeni: A teraz już wiecie, że oni tu są.

— Być może — odparła Moiraine — mogłabym posłać do Tar Valon po kilka moich siostr, może udałoby im się pokonać tę odległość, zanim okazałyby się potrzebne. Myrddraal wie, że tu jestem i prawdopodobnie nie będzie atakował, w każdym razie nie otwarcie, bo brakuje mu sił, innych Myrddraali i trolloków. Przy dostatecznej liczbie Aes Sedai i Strażników można pokonać trolloków, choć nie umiem określić, ile by się przy tym odbyło bitew.

W głowie Randa zatańczyła wizja całego Pola Emonda leżącego w popiołach. Spalone wszystkie farmy. I Wieża Strażnicza, Deven Ride i Taren Ferry. Wszystko w popiołach i krwi.

— Nie — powiedział i poczuł w sobie drgnienie, jakby nagle stracił oparcie. — Dlatego właśnie muszę wyjechać, prawda? Trolloki nie wrócą, gdy mnie tu nie będzie.

Resztki uporów kazały mu dodać:

— O ile rzeczywiście chodzi im o mnie.

Moiraine uniosła brwi, jakby dziwiąc się, że jeszcze nie dał się przekonać, a Lan oświadczył:

— Czy chcesz ryzykować losem całej wsi, aby to sprawdzić, pasterzu? Całymi Dwoma Rzekami?

Nieustępliwość Randa zniknęła.

— Nie — powiedział i znowu poczuł w sobie pustkę. — Perrin i Mat też muszą odejść, prawda?

Wyjechać z Dwu Rzek. Opuścić dom i ojca. Przynajmniej Tamowi się poprawiło. Przynajmniej będzie mógł mu powiedzieć, że wtedy, na drodze Kamieniołomu, niczego nie zmyślał.

— Moglibyśmy chyba pojechać do Baerlon czy nawet do Caemlyn. Słyszałem, że w Caemlyn mieszka więcej ludzi niż w całych Dwu Rzekach. Tam bylibyśmy bezpieczni. — Próbował się roześmiać, ale zabrzmiało to sztucznie. — Często marzyłem o zobaczeniu Caemlyn, ale nigdy nie myślałem, że dojdzie do tego w taki sposób.

Nastąpiło długie milczenie, po czym odezwał się Lan:

— Nie liczyłbym na to, że w Caemlyn jest bezpiecznie. Jeżeli Myrddraal tak bardzo chce cię dopaść, to znajdzie na to sposób. Mury są kiepską przeszkodą dla Półczłowieka. A ty byłbyś głupcem, gdybyś nie wierzył, że oni chcą cię naprawdę złapać.

Rand myślał, że jego nastrój nie może się już pogorszyć, ale w tej chwili poczuł się beznadziejnie.

— Jest takie jedno bezpieczne miejsce — powiedziała łagodnie Moiraine, a Rand nadstawił uszu. — W Tar Valon Znajdziesz się w otoczeniu Aes Sedai i Strażników. Siły Czarnego bały się atakować Błyszczące Mury nawet podczas Wojen z Trollokami. Spróbowali raz i była to wielka porażka od samego początku do końca. A poza tym w Tar Valon przechowywana jest cała wiedza, jaką my, Aes Sedai gromadziłyśmy od Czasów Szaleństwa. Pewna jej część pochodzi aż z Wieku Legend. Chyba tylko w Tar Valon dowiesz się, do czego jesteś potrzebny Myrddraalowi, dlaczego Ojciec Kłamstw cię szuka. To ci mogę obiecać.

O podróży do samego Tar Valon, miejsca, w którym żyją Aes Sedai, nieomal nie dało się pomyśleć. Moiraine rzeczywiście uzdrowiła Tama — przynajmniej na razie na to wyglądało — ale jeszcze pozostawały opowieści. Już przebywanie w jednym pokoju z taką Aes Sedai było dość nieprzyjemne, a co dopiero w mieście, w którym jest ich mnóstwo... A ona jeszcze nie podała swej ceny. One zawsze żądają zapłaty, wiedział to z opowieści.

— Jak długo mój ojciec będzie spał? — spytał wreszcie Rand. — Muszę... muszę mu powiedzieć. Nie powinien się obudzić i stwierdzić, że po prostu zniknąłem.

Zdawało mu się, że Lan wydał z siebie westchnienie ulgi. Spojrzał z ciekawością na Strażnika, ale jego oblicze było równie kamienne jak zawsze.

— Raczej się nie obudzi przed naszym wyjazdem — powiedziała Moiraine. — Chcę byśmy wyjechali zaraz po zapadnięciu zmroku. Nawet jeden dzień zwłoki może się okazać fatalny w skutkach. Najlepiej będzie, jeśli zostawisz mu list.

— Mamy jechać nocą? — spytał Rand powątpiewająco, a Lan skinął głową.

— Półczłowiek szybko się zorientuje, że nas tu nie ma. Nie należy mu bardziej ułatwiać sprawy, pominąwszy okoliczności, których nie możemy uniknąć.

Rand zajął się kocami okrywającymi ojca. Droga do Tar Valon była bardzo daleka.

— W takim razie... w takim razie, może pójde poszukać Mata i Perrina.

— Ja się tym zajmę.

Moiraine zerwała się żwawo z krzesła i z odzyskanym nagle wigorem narzuciła na siebie płaszcz. Ścisnęła ramię Randa, a on całą siłą woli powstrzymał się, by nie odskoczyć. Nie robiła tego mocno, ale był to żelazny uścisk, tak mocny, jak uchwyt, jakim się przytrzymuje węża za pomocą rozwidlonego kija.

— Najlepiej będzie, jeżeli zachowamy to wszystko dla siebie. Rozumiesz? Ci sami, którzy wyrysowali smoczy kiel na drzwiach, mogliby nam przeszkodzić, gdyby się dowiedzieli.

— Rozumiem.

Odetchnął z ulgą, gdy cofnęła dłoń.

— Każę pani al'Vere przynieść ci coś do zjedzenia — mówiła dalej, jakby nie zauważając jego reakcji. — A potem musisz się przespać. Ta nocna podróż będzie wyczerpująca, nawet jeśli przedtem wypoczniesz.

Drzwi zamknęły się za nimi i Rand stanął obok Tama. Patrzył na ojca, ale nie widział nic. Dopiero teraz uświadomił sobie, że Pole Emonda jest jego częścią takim samym stopniu, w jakim on należy do niego. Zrozumiał to teraz, bo wiedział, że już czuje tęsknotę. Już był daleko od wsi. Szukał go Pasterz Nocy. To wydawało się niemożliwe — jest tylko zwykłym pasterzem — ale trolloki pojawiły się tu naprawdę, a Lan nie mylił się co do jednej rzeczy. Nie ma prawa ryzykować losem całej wsi, jeżeli Moiraine przypadkiem ma rację. Nawet nie mógł tego nikomu opowiedzieć — Coplinowie na pewno narobiliby mnóstwo kłopotów z tego powodu. Musiał zaufać Aes Sedai.

Do pokoju wszedł burmistrz wraz z żoną.

— Nie budź go jeszcze — powiedziała pani al'Vere.

Wniosła tacę nakrytą ściereczką, z której roznosił się smakowity, przyjemny zapach, i ustawiła ją na komodzie pod ścianą, a potem stanowczym ruchem odciągnęła Randa od łóżka.

— Pani Moiraine powiedziała mi, czego mu trzeba — tłumaczyła dobrotliwie — i wcale nie wspominała nic o tym, że masz upaść na niego ze zmęczenia. Przyniosłam ci coś na ząb, nie pozwól, by wszystko wystygło.

— Wolałbym, żebyś nie mówiła do niej w ten sposób — powiedział zrzędlawie Bran. — Właściwa forma to Moiraine Sedai, mogłaś ją bardzo zdenerwować.

Pani al'Vere poklepała go po policzku.

— Pozwól, że ja się tym będę martwić. Odbyłyśmy ze sobą długą rozmowę. I nie mów tak głośno. Jeżeli obudzisz Tama, będziesz musiał się tłumaczyć przede mną i Moiraine Sedai.

Tytuł Moiraine wypowiedziała z takim naciskiem, że zapalczywość Brana wypadła głupio:

— Zejdźcie mi obydwaj z drogi.

Czule uśmiechnąwszy się do męża, odwróciła się do łóżka. Pan al’Vere obdarzył Randa zatroskanym spojrzeniem.

— Jest wśród nas Aes Sedai. Jedna połowa kobiet we wsi zachowuje się tak, jakby Aes Sedai zasiadała w Kręgu Kobiet, a druga, jakby to był trollok. Żadna jednak chyba nie pamięta, że trzeba się obchodzić ostrożnie z Aes Sedai. Mężczyźni patrzą na nią z ukosa, ale przynajmniej nie robią niczego, co mogłoby ją sprowokować.

„Ostrożnie” — pomyślał Rand. — „Jeszcze nie jest za późno na zachowanie ostrożności.”

— Panie al’Vere — powiedział powoli — czy pan wie, ile farm zaatakowano?

— Słyszałem tylko o dwóch, wliczając w to waszą. — Burmistrz umilkł, marszcząc brwi, a potem wzruszył ramionami. — To nie wydaje się wiele w porównaniu z tym, co działo się tutaj. Powinienem się cieszyć, ale... Cóż, prawdopodobnie zanim zakończy się dzień, usłyszymy o jakichś następnych.

Rand westchnął. Nie musiał pytać, które farmy.

— A tutaj we wsi, czy one... to znaczy, czy wiadomo, o co chodziło trollokom?

— Chodziło? Chłopcze! Nie wiem, czy im o coś chodziło, chyba że o zabicie nas wszystkich. Było dokładnie tak, jak mówiłem. Psy szczekały, Moiraine Sedai i Lan biegali po ulicach, a potem ktoś krzyknął, że dom pana Luhhana i kuźnia się palą. Zapalił się też dom Abella Cauthona, co było dziwne, bo stoi prawie w samym środku wsi. W każdym razie zaraz potem było wśród nas pełno trolloków. Nie, nie sądzę, że im o cokolwiek chodziło.

Wybuchnął urywanym śmiechem i umilkł, by spojrzeć z troską na żonę, która nie spuszczała wzroku z Tama.

— Prawdę powiedziawszy — tu zniżył głos — wydawały się równie zdezorientowane, jak my. Wątpię, czy spodziewały się tu zastać Aes Sedai albo Strażnika.

— Pewnie nie — powiedział Rand, krzywiąc się w uśmiechu.

Skoro Moiraine w tej kwestii powiedziała prawdę, to prawdopodobnie nie kłamała również w pozostałych. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zapytać burmistrza o radę, ale pan al’Vere najwyraźniej nie wiedział więcej o Aes Sedai niż reszta mieszkańców wsi. A poza tym nie miał ochoty mówić nawet jemu o tym, co się tu naprawdę dzieje, w myśl wyjaśnień Moiraine. Nie wiedział nawet, czy woli, by go wyśmiano, czy też, by mu nie uwierzono. Potarł kciukiem ręką kciuk miecza Tama. Ojciec jeździł po świecie, na pewno wie więcej o Aes Sedai niż burmistrz. Ale jeśli Tam naprawdę wyjeżdżał z Dwu Rzek, to może to, co powiedział w Zachodnim Lesie... Podrapał się po głowie, aby przepędzić te myśli.

— Powinieneś się przespać, chłopcze — zauważył burmistrz.

— O tak, to prawda — przytaknęła pani al’Vere. — Zupełnie lecisz z nóg.

Rand zamrugał zdziwiony. Nawet nie zauważył, kiedy odeszła od łóżka ojca. Rzeczywiście potrzebował snu, już sama myśl o nim wywołała ziewanie.

— Możesz się położyć w pokoju obok — powiedział burmistrz. — Już rozpałem ogień.

Rand spojrzął na ojca. Tam był nadal pogrążony we śnie, na ten widok zaczął znowu ziewać.

— Wolałbym zostać tutaj, jeśli to wam nie przeszkadza. Może się przecież obudzić.

Sprawy chorych były domeną pani al'Veere i burmistrz jej zostawił to pod rozwagę. Wahała się krótko, a potem skinęła głową.

— Ale pozwól mu się obudzić samemu. Jeśli zakłócisz jego sen...

Próbował powiedzieć, że zrobi wszystko, co mu się każe, ale jego słowa przerwało kolejne ziewnięcie. Pokręciła głową z uśmiechem.

— Nawet się nie zorientujesz, kiedy zaśniesz. Jeśli już koniecznie musisz tu zostać, to połóż się przy kominku. A przedtem napij się jeszcze bulionu.

— Zrobię to — obiecał Rand. Zgodziłby się na wszystko, żeby tylko móc zostać w pokoju. — I nie będę go budził.

— No, mam nadzieję — powiedziała pani al'Veere stanowczym, choć przyjaznym tonem. — Przyniosę ci poduszkę i jakieś koce.

Gdy drzwi zamknęły się wreszcie za nimi, Rand przystawił sobie krzesło do łóżka i usiadł tak, by móc patrzeć na Tama. Pani al'Veere miała rację, gdy mówiła, że powinien się przespać — szczęki mu trzaskały od tłumionego ziewania — ale nie mógł jeszcze zasnąć. Ojciec może się obudzić w każdym momencie, może odzyskać świadomość tylko na krótką chwilę. Musi poczekać na ten moment.

Krzywił się i wiercił na krześle, bezmyślnie drapiąc ręką po żebrach. Nadal miał zamiar nie powtarzać nikomu tego, co powiedziała Moiraine, ale to w końcu był jego ojciec.

„To jest...” — Nieświadomie zacisnął z całej siły zęby. „Mój ojciec. Mojemu ojcu mogę powiedzieć wszystko.” Powiercił się jeszcze trochę na krześle i położył głowę na oparciu. Tam jest jego ojcem i nikt mu nie będzie rozkazywał; co ma mówić, a czego nie mówić swemu ojcu. Nie może tylko zasnąć, dopóki Tam się nie obudzi. Nie może tylko...

NAKAZY KOŁA

Rand biegł, łomotało mu serce, wpatrywał się z przerażeniem w otaczające go nagie wzgórza. Nie było to zwykle miejsce, do którego wiosna zawitała z opóźnieniem, wiosny nie było tu nigdy i nigdy przyjsć nie miała. Z zamarzniętej ziemi, która chrzęściła pod jego stopami, nic nie wyrastało, jedynie jakieś niskie porosty. Przedzierał się między ogromnymi głazami, dwukrotnie wyższymi od niego. Pokryte były pyłem, jakby nigdy nie obmywał ich deszcz. Słońce wyglądało jak nabrzmiała, krwistoczerwona kula, bardziej płomieniste niż w najgorętszy dzień lata i tak jaskrawe, że zdawało się przepalać mu oczy. Stało nieruchomo na tle ołowianego kotła nieba, na którym, po obu stronach nad horyzontem, gotowały się gwałtownie czarne i srebrzyste chmury. Jednak mimo skłębionych chmur, krainy tej nie omiatał nawet najlżejszy podmuch wiatru, i mimo posępnego słońca powietrze buchało mrozem jak w samym środku zimy.

Podczas biegu Rand przez cały czas oglądał się za siebie, ale nie widział swych prześladowców, jedynie wymarłe wzgórza i czarne góry o poszarpanych krawędziach, nad którymi unosiły się wysokie pióropusze ciemnego dymu, mieszającego się z wirującymi chmurami. Chociaż nie widział tych, którzy go gonili słyszał jednak ich gardłowe głosy wykrzykujące swój zachwyt pogonią, wycie wyrażające radość oczekiwania na krew. Trolloki. Były coraz bliżej, a jego siły wyczerpały się.

Z rozpaczliwym pośpiechem wdrapał się na szczyt ostrej grani i tam padł z jękiem na kolana. Pod nim rozciągała się gładka, kamienna ściana: zbocze liczące jakieś tysiąc stóp wysokości, wyrastające ze środka przepastnego kanionu. Dno kanionu pokrywała parująca mgła, której gęsta, szara maź przetaczała się gniewnymi falami i rozbijała o zbocze, wolniej jednak niż fale jakiegokolwiek oceanu. W pewnej chwili strzępy mgły rozjarzyły się na krótko czerwienią, jakby pod nimi rozbłyły nagle wielkie ogniska, a zaraz potem zgasły. W otchłani zahuczał piorun, błyskawica z trzaskiem rozdarła szarość sięgającą w niektórych miejscach do samego nieba.

Nie tylko widok kanionu wysysał z niego wszystkie siły i wypełniał powstałą pustkę poczuciem beznadziejności. Pośrodku rozszalałych oparów wznosił się szczyt, wyższy od wszystkich szczytów jakie widział w Górach Mgły, szczyt tak czarny jak utrata

wszelkiej nadziei. To ta iglica z wyblakłego kamienia, ten sztylet kaleczący niebo stanowił źródło jego samotności. Rand nigdy go przedtem nie widział, a jednak poznawał. Wspomnienie zamigotało jak rtęć, kiedy próbował je pochwycić. Wspomnienie. Wiedział, że należy do tego właśnie miejsca.

Dotykały go jakieś niewidzialne palce, ciągnęły za ręce i nogi, usiłowały zawlec do tej góry. Ciało naprężyło się, gotowe do posłuszeństwa. Ręce i nogi zesztyniały, jakby myślał, że jest w stanie zaryć się palcami w kamień. Serce owijały upiorne struny, ciągnąc go i wzywając na spiczasty wierzchołek. Przywarł do ziemi, po twarzy spływały mu łzy. Czuł, że cała wola ucieka z niego, niczym woda z dziurawego wiadra. Jeszcze chwila, a pójdzie tam, gdzie go wzywają. Musi być posłuszny i zrobić to, co mu się każe. Lecz nagle odkrył w sobie inne uczucie: gniew. Pchają go, ciągną, a przecież nie jest owcą, którą można zapędzić do zagrody. Gniew zasupłał się w ścisły węzeł, więc uczeplił się go jak tratwy podczas powodzi.

„Musisz mi służyć” — wyszeptał jakiś głos w jego znieruchomiałym umyśle.

Znajomy głos. Gdyby się w niego lepiej wsłuchał, na pewno by go poznał.

„Musisz mi służyć!”

Potrząsnął głową, jakby chciał się go pozbyć.

„Musisz mi służyć!”

Rand pogroził pięścią czarnej górze.

— Niech Światłość cię pochłonie, Shai'tanie!

Nagle otaczający go zapach śmierci zgęstniał, a nad nim zamajaczyła jakaś postać odziana w płaszcz koloru zaschłej krwi, postać z twarzą... Nie chciał widzieć twarzy, która się nad nim pochylała. Nie chciał myśleć o tej twarzy. Myśl o niej bolała, zamieniała umysł w żar. Zobaczył zbliżającą się ku niemu dłoń. Nie dbając o to, że może spaść z krawędzi, rzucił się całym ciałem w tył. Musiał uciekać. Jak najdalej. Spadał, młóćąc ramionami w powietrzu, pragnął krzyżeć, ale do krzyku zabrakło mu oddechu. Oddechu brakowało mu do wszystkiego.

Nagle już nie był w tej wymarłej krainie, już nie spadał. Rozgniatą swymi butami zbrazowiałą po zimie trawę, która przypominała kwiaty. Omal się nie roześmiał, gdy zobaczył bezlistne krzewy i drzewa, porastające z rzadka otaczający go lekko pofałdowany teren. W oddali wznosiła się samotna góra o przełamanym i rozwidlonym wierzchołku, ale nie wywoływała w nim strachu czy rozpacz. To była zwykła góra, choć dziwne, że stała tak samotnie, nie otoczona żadnymi innymi szczytami.

Obok góry płynęła rzeka, a na wyspie pośrodku jej koryta znajdowało się miasto, podobne do miast opisywanych przez bardów w ich opowieściach, miasto otoczone wysokimi murami, połyskującymi bielą i srebrem w ciepłym słońcu. Z mieszanym uczuciem ulgi i radości ruszył w stronę tych murów, łaknąc bezpieczeństwa i spokoju, które z jakichś powodów spodziewał się za nimi znaleźć.

Podszedł bliżej i dostrzegł niebotyczne wieże, niektóre połączone przedziwnymi pomostami, wijącymi się nad otwartą przestrzenią. Obydwa brzegi rzeki łączyły z miastem wysokie, łukowate mosty. Nawet z oddali widział koronkową strukturę przeseł, pozornie tak delikatną, że mógł ją zmieścić wartki nurt płynącej pod nimi wody. Za tymi mostami czekało nań bezpieczeństwo. Azyl.

Nagle poczuł mróz ogarniający jego kręgosłup, skóra stała się lodowata i lepka, powietrze cuchnące i wilgotne. Ruszył, nie oglądając się za siebie, biegł, uciekając przed prześladowcą, którego mroźne palce ocierały się o jego plecy i ciągnęły za płaszcz. Uciekał przed pożerającą światło postacią, której twarz... Nie pamiętał tej twarzy, tylko śmiertelny strach. Nie chciał pamiętać tej twarzy. Biegł, a grunt przemykał pod stopami, falujące wzgórza i płaska równina... aż zapragnął wyc niczym oszalały pies. Miasto cofało się przed nim. Im szybciej biegł, tym dalej odpływały i błyszczące mury, i skryte za nimi bezpieczeństwo. Wszystko stawało się coraz to mniejsze, aż w końcu na horyzoncie została tylko jasna plamka. Zimna dłoń prześladowcy schwyciła go za kołnierz. Wiedział, że oszaleje, jeśli poczuje dotyk tych zimnych palców. Albo będzie z nim jeszcze gorzej. O wiele gorzej. Kiedy już to zrozumiał, potknął się i upadł...

— Neeee! — wrzasnął... i zakrztusił się, gdy upadek na kamienie brukowe odebrał mu na moment oddech. Jakimś cudem pozbierał się jednak i zorientował, że stoi u wejścia na jeden z tych cudownych mostów. Mijali go uśmiechnięci ludzie. Ubrani w niezliczoną rozmaitość barw, jawili mu się jak kwiecista łąka. Niektórzy coś mówili do niego, ale nie rozumiał, choć brzmienie słów nie było zupełnie obce. Mieli przyjazne twarze i gestami zachęcali, by przeszedł przez ten most o skomplikowanej strukturze, w stronę błyszczących, przetykanych srebrem murów i wież. W stronę, oczekującego go tam bezpieczeństwa.

Przeszedł razem z tłumem przez most i wszedł do miasta przez masywne wrota, osadzone w wysokim, jasnym murze. Dalej znajdowała się kraina cudów, wśród których najpośledniejsza budowla wydawała się pałacem. Miasto wyglądało tak; jakby jego budowniczym nakazano wziąć kamienie, cegły i dachówki i stworzyć piękno, które miało zapierać dech w piersiach śmiertelników. Nie było tam budynku czy pomnika, na który nie musiał się zapatrzyć wytrzeszczonymi oczyma. Ulice tętniły muzyką, setką różnych melodii, ale wszystkie one mieszały się z odgłosem kroków tłumu w jedno wspaniałe, pełne radości harmonijne brzmienie. W powietrzu wirowały zapachy słodkich perfum i ostrych przypraw, smakowitego jedzenia i niezwykłych kwiatów, tak jakby zebrały się tu wszystkie najwspanialsze wonie świata.

Ulica, którą szedł, szeroka, wybrukowana gładkim szarym kamieniem, zaprowadziła go prosto do środka miasta. Na samym jej końcu stała wieża, szersza i wyższa niż wszystkie inne, tak biała, jak świeżo spadły śnieg. W tej wieży mógł znaleźć bezpieczeństwo i upragnioną wiedzę. Ale nigdy nawet nie śnił, że zobaczy takie miasto. Przecież

to chyba nie będzie miało znaczenia, jeśli odrobinę opóźni swe dojście do wieży? Skręcił w jakąś węższą uliczkę, po której, wśród straganów z dziwnymi owocami, przechadzali się kuglarze.

W oddali zobaczył śnieżnobiałą wieża. Tę samą wieżę.

„Jeszcze chwilę” — pomyślał i skręcił za następnym rogiem.

Przy końcu tej ulicy również stała biała wieża. Uparcie skręcił za róg, i jeszcze za następny, i za każdym razem jego wzrok padał na alabastrową wieżę. Poderwał się do biegu, pragnąc przed nią uciec... i zatrzymał się z poślizgiem. Przed nim stała biała wieża. Bał się obejrzeć przez ramię, w obawie, że wtedy ją również zobaczy.

Otoczające go twarze były nadal przyjazne, ale wyrażały teraz poczucie straconej nadziei, nadziei, którą on zaprzepaścił. Nadal zachęcali go gestami, wręcz błagali, by szedł naprzód. W stronę wieży. W ich wzroku połyskiwało rozpaczliwe pragnienie ratunku, pragnienie, które on tylko mógł spełnić,

„Znakomicie” — pomyślał. W końcu chciał iść właśnie do wieży.

Już kiedy zrobił pierwszy krok, rozczarowanie zniknęło z otaczających go twarzy, uśmiechających się teraz szeroko. Szli razem z nim, a małe dzieci zasypywały jego drogę płatkami kwiatów. Zmieszany obejrzał się przez ramię zastanawiając się, po co te kwiaty, ale za nim szli tylko machający do niego ludzie.

„Chyba są przeznaczone dla mnie” — pomyślał i zdziwił się, dlaczego to nagle przestało wydawać się takie niezwykle. Ale zdziwienie trwało tylko krótką chwilę, wszystko odbywało się tak, jak powinno.

Jakiś człowiek zaczął śpiewać, potem po kolei dołączali do niego inni, aż wszystkie głosy rozbrzmiały monumentalnym hymnem. Nie rozumiał słów pieśni, ale kilkanaście przeplatających się z sobą tonów wyrażało radość i ulgę bliskiego zbawienia. Wśród sunącego tłumu płasali muzycy, wspomagając hymn fletami, harfami i bębnami. Nagle wszystkie dotychczas słyszane melodie zlały się w jedną, pozbawioną nawet jednej fałszywej nuty. Tańczyły wokół niego dziewczęta, oplatały mu na ramionach i szyi girlandy ze słodko pachnącego kwiecica. Uśmiechały się do niego, coraz bardziej zachwycone każdym jego krokiem. Nie potrafił nie odwzajemniać uśmiechu. W nogach poczuł chęć do tańca i w chwili, w której o tym pomyślał, już tańczył i to tak zgrabnie, jakby umiał to robić od dziecka. Zaśmiał się odrzuciwszy głowę do tyłu, jego stopy wydawały się lżejsze niż kiedykolwiek, a tańczył z... Nie pamiętał tego imienia, ale to nie wydawało się istotne.

To twoje przeznaczenie, zaszepotało mu coś w głowie, a szept był wątkiem peanu.

Tłum, unoszący go niczym fala gałązkę, wlał się na ogromny plac pośrodku miasta i po raz pierwszy zobaczył, że biała wieża wyrasta ze środka wielkiego pałacu, wyrzeźbionego raczej, niżli pobudowanego, w jasnym marmurze. Jego ukośne ściany, nabrzmiałe kopuły i cienkie iglice sięgały nieba. Zobaczywszy to wszystko, aż jęknął z po-

dziwu. Z placu prowadziły do budowli szerokie schody z jasnego kamienia i u ich stóp ludzie zatrzymali się, lecz ich pieśń rozbrzmiała jeszcze głośniejsze, a głosy zdawały się go unosić.

Nie zatrzymał się, choć przestał tańczyć. Wspiął się na schody bez wahania. Do tego miejsca należał.

Drzwi na szczycie schodów zdobiła ślimacznica, wyrzeźbiona tak misternie i delikatnie, że nie potrafił sobie wyobrazić, jak cienkie musiało być dłuto, które ją wykonało. Gdy drzwi otworzyły się przed nim na oścież, wszedł do środka. Zamknęły się z trzaskiem, którego echo zabrzmiało jak huk pioruna.

— Czekaliśmy na ciebie — wysyczał Myrddraal.

Rand poderwał się rozdygotany. Z trudem łapał oddech i przez chwilę toczył dookoła oszołomionym wzrokiem. Ojciec nadal spał. Na kominku dopalały się kłody drewna, przywalone sporą ilością węgla usypanego wokół żelaznych prętów paleniska. Kiedy spał, ktoś przyszedł i dorzucił do ognia. Na jego stopach leżał koc, który musiał zsunąć się z kolan w momencie gwałtownego przebudzenia. Zniknęły również nosze, a płaszcze, jego i ojca, wisiały na haczykach wbitych w drzwi.

Drżącą dłonią otarł zimny pot z twarzy i zastanowił się, czy nazwanie Czarnego po imieniu podczas snu mogło ściągnąć jego uwagę w taki sam sposób, jak przywołanie go na głos.

Za oknem panował mrok, księżyc już wzeszedł na dobre, okrągły i tłusty, a nad Górą Mgły iskrzyły się wieczorne gwiazdy. Przespał cały dzień. Potarł obolały bok, najwyraźniej cały czas spał z rękojeścią miecza na żebrach. To wszystko wina pustego żołądka i wydarzeń ostatniej nocy — nic dziwnego, że śniły mu się koszmary.

Zaburczało mu w brzuchu, więc stanął na zesztywniałych nogach i podszedł do stołu, na którym pani al’Vere zostawiła tacę. Zdjął białą ściereczkę. Mimo że spał tak długo, bulion i chrupiący chleb były nadal ciepłe. Pani al’Vere miała czujne oko i po prostu zamieniła tace. Jak już raz postanowiła, że Rand zje ciepły posiłek, to nie ustąpi, dopóki ten nie znajdzie się w jego żołądku.

Przełknął z trudem odrobinę bulionu, dopiero wtedy mógł wpełznąć do ust dwa kawałki chleba z serem i mięsem. Wrócił do łóżka, pochłaniając duże kęsy.

Pani al’Vere najwyraźniej doglądała również Tama. Rozebrała go i nasunęła mu koc pod brodę, a jego ubranie, czyste, leżało porządnie złożone na stoliku obok łóżka. Rand dotknął jego czoła i Tam otworzył oczy.

— Tu jesteś, chłopcze. Marin mówiła, że tu jesteś, ale nawet nie dałem rady podnieść głowy, aby cię zobaczyć. Powiedziała, że nie trzeba cię budzić, bo taki jesteś zmęczony. Nawet Bran nie jest w stanie jej niczego wytłumaczyć, gdy sobie coś postanowi.

Tam mówił słabym głosem, ale jego spojrzenie było czyste i stanowcze.

„Aes Sedai miała rację — pomyślał Rand — kiedy wypocznie, będzie zdrow jak zawsze.”

— Czy mogę dać ci coś do zjedzenia? Pani al’Vere zostawiła tu tacę.

— Już mnie nakarmiła... jeśli tak to można określić. Nie pozwoliła mi zjeść nic więcej prócz bulionu. Jak można uniknąć złych snów, jeśli w żołądku nie ma się nic prócz...

Tam wyplątał dłoń spod koca i dotknął miecza, który Rand nosił zawieszony u pasa.

— A zatem to nie był sen. Kiedy Marin powiedziała mi, że jestem chory, pomyślałem, że to... Ale tobie nic się nie stało. Tylko to jest ważne. Co z farmą?

Rand odetchnął głęboko.

— Trolloki pozabijały owce, chyba zabrały krowę, a dom wymaga gruntownych porządków. — Zdobył się na słaby uśmiech. — Mieliśmy więcej szczęścia niż inni. Spalili pół wsi.

Opowiedział Tamowi o wszystkich wydarzeniach albo przynajmniej o większości. Ojciec słuchał uważnie i zadawał tak podchwytliwe pytania, że w końcu musiał mu opowiedzieć o tym, jak wrócił do domu z lasu i jak zabił trolloka. Musiał mu też powiedzieć, że zdaniem Nynaeve miał umrzeć i dlatego zajęła się nim Aes Sedai, a nie Wiedząca. Tam wytrzeszczył oczy na wieść, że w Polu Emonda przebywa jakaś Aes Sedai. Ale Rand nie widział potrzeby wdawania się w szczegóły ich ucieczki z farmy, opowiadania o swoim lęku albo o spotkaniu Myrddraala na drodze. A już na pewno nie mógł wspomnieć o koszmarach, jakie mu się przyśniły, gdy czuwał przy łóżku, ani też o mająkach owładniętego gorączką Tama. Jeszcze nie przyszedł na to czas. Musiał jednak mu przekazać słowa Moiraine, tego nie dało się uniknąć.

— Oto opowieść, która przyniosłaby chwałę bardowi — mruknął na koniec Tam.

— Czego trolloki mogą od was chcieć? Albo Czarny? Czy Światłość nas wesprze?

— Myślisz, że kłamała? Pan al’Vere potwierdził, że tylko dwie farmy zostały zaatakowane, to samo mówił o domach pana Luhhana i pana Cauthona.

Tam nie odzywał się przez chwilę, po czym powiedział:

— Powtórz mi, czego się od niej dowiedziałeś. Tylko dokładnie jej słowami.

Z tym Rand miał trudności. Kto kiedykolwiek pamięta dokładnie czyjeś słowa? Zagryzł wargę, podrapał się po głowie i kawałek po kawałku odtwarzał wszystko, najlepiej jak potrafił.

— Nic więcej nie pamiętam — zakończył. — Nie jestem pewien, czy czegoś nie powiedziała trochę inaczej, ale w każdym razie mniej więcej tak to brzmiało.

— Ale to wystarczy, bo musi, nieprawdaż? Widzisz, chłopcze, Aes Sedai potrafią zwozдить. Nie kłamią otwarcie, ale ich prawda nie zawsze jest tym, czym się wydaje. Musisz się jej strzec.

— Słyszałem opowieści o Aes Sedai — odparował Rand. — Nie jestem dzieckiem.

— To prawda, nie jesteś. — Tam westchnął ciężko, a potem zatrząsł się ze złości.
— Powiniennem jechać z tobą. Świat poza Dwoma Rzekami w niczym nie przypomina Pola Emonda.

Była to okazja, by wypytać Tama o jego podróże i młodość, ale Rand z niej nie skorzystał. Zamiast tego zapytał:

— Tylko tyle? Myślałem, że będziesz się starał wybić mi to wszystko z głowy. Myślałem, że znajdziesz sto powodów, dla których miałbym tego nie robić.

Pojął nagle, że miał nadzieję, iż Tam znajdzie dla niego sto takich powodów i to dobrych.

— Może nie sto — oświadczył Tam — ale parę rzeczywiście przyszło mi na myśl. Tyle, że one się nie liczą. Jeżeli trolloki naprawdę cię szukają, wówczas w Tar Valon będziesz bezpieczniejszy niż kiedykolwiek tutaj. Tylko pamiętaj: bądź czujny. Aes Sedai często robią różne rzeczy dla własnych celów, a są to cele, które mogą się mijać z twoimi.

— Bard też mówił coś takiego — powiedział wolno Rand.

— Bo on wie, co mówi. Słuchaj uważnie, myśl dużo i strzeż swego języka. To dobra rada dla wyjeżdżającego z Dwu Rzek, szczególnie jeśli ma przebywać w towarzystwie Aes Sedai i Strażnika. Jeżeli powiesz coś Lanowi, to tak, jakbyś to powiedział Moiraine. Jeśli on jest Strażnikiem, to jest z nią związany taką mocą, jaka każe słońcu wschodzić każdego ranka i nie ma przed nią żadnych sekretów.

Rand niewiele wiedział o związkach łączących Aes Sedai ze Strażnikami, choć odgrywały one niemałą rolę w każdej opowieści o Strażnikach. Może wiązało się to jakoś z Mocą, jaką obdarzeni byli Strażnicy, albo może stanowiło rodzaj jakiejś umowy. Zgodnie z opowieściami Strażnicy posiadali najrozmaitsze przywileje. Zdrowieli szybciej niż zwykli ludzie i dłużej mogli obywać się bez jedzenia, wody lub snu. Przypuszczalnie potrafili wyczuwać z bliższej odległości trolloki oraz inne stwory Czarne, co wyjaśniało fakt, że Lan i Moiraine starali się ostrzec wieś przed atakiem. Nie wiadomo było, jakie stąd korzyści czerpały Aes Sedai, ale Rand nie sądził, by w ogóle nie istniały.

— Będę ostrożny — obiecał Rand. — Chciałbym tylko wiedzieć, dlaczego to się wszystko dzieje? Nie widzę w tym żadnego sensu. Dlaczego ja? Dlaczego my?

— Ja też chciałbym to wiedzieć, chłopcze. Krew i popioły, zupełnie nic nie wiem. — Ojciec westchnął ciężko. — Cóż, chyba nie czas rozpaczać z powodu głupstw, jakie się zrobiło. Kiedy masz jechać? Za jakiś dzień lub dwa wstanę na nogi i możemy się zastanowić nad założeniem nowego stada. Oren Dautry ma kilka pięknych sztuk, którymi może zechce się podzielić, skoro i tak brakuje pastwisk. Jon Thane też może pomóc.

— Moiraine... Aes Sedai powiedziała, że musisz leżeć przez kilka tygodni. — Tam otworzył usta, ale Rand mówił dalej. — Rozmawiała o tym z panią al'Vere.

— Ach tak? Może uda mi się przekonać Marin. — Jednakże w głosie Tama nie porzmiewała prawdziwa nadzieja, Spojrzał uważnie na Randa. — Uchyliłeś się od odpowiedzi, co oznacza, że musisz wyjechać wkrótce. Jutro? Dzisiaj?

— Dzisiaj — powiedział cicho Rand, a Tam smutno pokiwał głową.

— Cóż, jeśli tak ma być, to lepiej tego nie opóźniać. Ale jeszcze się okaże, jak to będzie z tymi tygodniami w łóżku.

Poprawił swój koc, z irytacją raczej niż z siłą.

— Może i tak do was dołączę za kilka dni. Zobaczymy, czy Marin uda się zatrzymać mnie w łóżku, jeśli zechcę wstać. Rozległo się stukanie do drzwi i do pokoju zajrzał Lan.

— Pożegnaj się szybko, pasterzu, i chodź. Mogą być kłopoty.

— Kłopoty? — zapytał Rand, a Strażnik ofuknął go tylko niecierpliwie.

— Nie gadaj, tylko się śpiesz!

Rand pośpiesznie schwycił swój płaszcz. Zaczął odpinać pas z mieczem, ale ojciec przeszkodził mu w tym.

— Weź go sobie. Będziesz go prawdopodobnie potrzebował znacznie bardziej niż ja, choć może z woli Światłości żaden z nas go nie będzie potrzebował. Uważaj na siebie, chłopcze. Będziesz pamiętał?

Ignorując stałe powarkiwania Lana, Rand pochylił się, aby uściskać ojca.

— Wrócę. Przyrzekam ci to.

— Jasne, że wrócisz.

Tam uśmiechnął się. Odwzajemnił słabo uścisk i poklepał Randa po plecach.

— Jestem o tym przekonany. A kiedy wrócisz, będziesz musiał się zająć dwa razy większą liczbą owiec. A teraz idź, bo inaczej ten człowiek coś sobie zrobi.

Rand próbował zwlekać, usiłując ubrać w słowa pytanie, którego nie chciał zadawać, ale Lan wszedł do pokoju, chwycił go za ramię i wyciągnął na korytarz. Strażnik miał na sobie szarozieloną tunikę, składającą się metalowych łusek. Jego głos aż zgrzytał z rozdrażnienia.

— Musimy się śpieszyć. Czy ty nie rozumiesz słowa „kłopot”?

Na korytarzu czekał Mat, ubrany w kaftan i płaszcz. Miał przy sobie łuk, a do pasa przymocowany kołczan. Kołysał się niespokojnie na piętach i stale rzucał w kierunku schodów spojrzenia wyrażające zarówno zniecierpliwienie, jak i strach.

— Tak się nie dzieje w opowieściach, mam rację, Rand? — powiedział ochryplym głosem.

— Jakie to kłopoty? — dopytywał się Rand, ale Strażnik miast odpowiedzieć, wyprzedził go czym prędzej i zbiegł ze schodów.

Mat również rzucił się do biegu, gestem nakazując Randowi, by ruszył za nimi.

Nakładając w drodze płaszcz, dopadł ich na dole. Ogólna sala była ledwie oświetlona, wypaliła się połowa świec, a reszta dopalała się z trzaskiem. Oprócz ich trzech nikogo

tam nie było. Mat stanął przy jednym z frontowych okien i wyglądał przez nie ostrożnie, jakby nie chciał, aby go zauważono. Lan wyjrzał na dziedziniec przed karczmą, spoglądając przez szczelinę w drzwiach.

Rand podszedł do nich zastanawiając się, czego oni tak wypatrują. Strażnik mruknął, że ma uważać, ale otworzył drzwi nieco szerzej, by Rand również mógł wyjrzeć.

Z początku nie był pewien, co dokładnie widzi. Koło kadłuba spalonej furmanki kramarza zgromadził się tłum mieszkańców wsi. Było ich z trzydziestu, niektórzy rozświetlali mrok za pomocą pochodni. Przed nimi stała Moiraine, odwrócona plecami do karczmy, wsparta z wyzywającą swobodą na lasce. Z tłumu wystąpił naprzód Hari Coplin wraz ze swym bratem, Dartem i Bilim Congarem. Był tam również Cenn Buie, na jego twarzy malowało się zakłopotanie. Rand zdziwił się, gdy zobaczył, że Hari wygraża Moiraine pięścią.

— Opuść Pole Emonda! — krzyknął farmer, krzywiąc twarz.

To samo powtórzyło kilka osób z tłumu, ale z wyraźnym wahaniem i żadna z nich nie odważyła się wystąpić naprzód. Może chcieli przeciwstawić się Aes Sedai, ale tylko w otoczeniu tłumu, w którym nie można było ich rozpoznać. W każdym razie nie Aes Sedai, która miała wszelkie powody, aby się bronić.

— To ty sprowadziłaś te potwory! — ryknął Darl. Zamachał pochodnią nad jej głową, i dały się słyszeć okrzyki: „Ty je sprowadziłaś!” i „To twoja wina!”, w których prym wodził jego kuzyn Bili.

Hari szturchnął łokciem Cenna Buie, stary strzecharz ściągnął wargi i spojrzał na niego z ukosa.

— Te stwory... trolloki pojawiły się dopiero po twoim przyjeździe — bąknął Cenn tak cicho, że ledwie słyszalnie. Uparcie obracał głowę na wszystkie strony, jakby wolał być gdzie indziej i teraz szukał drogi wyjścia. — Jesteś Aes Sedai. Nie chcemy takich jak ty w Dwu Rzekach. Aes Sedai wloką za sobą kłopoty. Jeśli tu zostaniesz, będziemy mieć ich jeszcze więcej.

Jego przemówienie nie wywołało żadnej reakcji wśród pozostałych wieśniaków. Rozwścieczony Hari obdarzył ich gniewnym spojrzeniem. Nagle wyrwał z rąk Darla pochodnię i potrząsnął nią w stronę Moiraine.

— Wynoś się! — krzyknął. — Albo wykurzymy cię stąd przy pomocy ognia!

Zapadło głucho milczenie, słychać było tylko szuranie nóg wycofujących się mężczyzn. Ludzie z Dwu Rzek potrafili się bronić, jeśli ich zaatakowano, ale przemoc i wygrażanie innym nie leżały w ich naturze. Czasem tylko zdobywali się na potrząśnięcie kogoś pięścią przed nosem. Cenn Buie, Bili Congar i Coplinowie stali osamotnieni, przy czym Bili miał taką minę, jakby też chciał się wycofać.

Pozbawiony poparcia, Hari wybełkotał coś niezrozumiale, szybko jednak odzyskał panowanie nad głosem.

— Wynoś się! — krzyknął znowu.

Darl i Bili, ten drugi zupełnie już cicho, powtórzyli jego słowa. Hari rozejrzał się po twarzach innych. Większość stojących w tłumie unikała jego wzroku.

Nagle z cieni wyłonili się Bran al'Vere i Haral Luhhan, nie podeszli jednak ani do tłumy, ani do Aes Sedai. Burmistrz trzymał w dłoni wielki, drewniany młot, który służył mu do ubijania szpuntów w beczki.

— Czy ktoś tu mówił o podpalaniu mojej karczmy? — Spytał spokojnie.

Obydwaj Coplinowie cofnęli się o krok, Cenn Buie wymknął się chyłkiem, natomiast Bili Congar wtopił się w tłum.

— To nie tak — zapewnił go szybko Darl. — Niczego takiego nie mówiliśmy, Branie... burmistrzu. — Bran skinął głową.

— To może groziliście, że zrobicie coś mym gościom?

— To Aes Sedai — zaczął gniewnie Hari, ale przerwał mu Haral Luhhan.

Kował wyprostował się tylko, napiął swe potężne ramiona i zacisnął ogromne pięści z taką siłą, że wszyscy usłyszeli trzask w kłykciach. Hari patrzył na krępego mężczyznę w taki sposób, jakby jedną z tych pięści potrząsnęto mu pod samym nosem.

— Przepraszam, Hari. Nie chciałem ci przerywać. Co takiego mówiłeś?

Hari, który kulił się teraz, jakby pragnął skurczyć się i zniknąć, wydawał się jednak nie mieć już nic do dodania.

— Dziwię się wam, ludzie — zagrzmiał Bran. — Al'Car, twój chłopiec złamał wczoraj nogę, ale widziałem go, jak normalnie dzisiaj chodził i to właśnie dzięki niej. Edwar-dzie Candwin, leżałeś z rozplątanym grzbietem, jak ryba czekająca na oskrobanie, dopóki ona nie położyła na tobie dłoni. Teraz wydaje się, że tę ranę zadano ci przed miesiącem i pewnie zostanie ci po niej tylko mała blizna. A ty, Cenn...

Strzecharz zaczął wtapiać się w tłum, ale pod wpływem wzroku Brana zatrzymał się, do cna już zakłopotany.

— Szokuje mnie widok wszystkich tych ludzi gromadzących się tutaj, ale twój przede wszystkim, Cenn. Gdyby nie ona, twoje ramię nadal by wisiało bezużytecznie u boku, pełne oparzelin i zadrapań. Czy ty nie czujesz żadnej wdzięczności, żadnego wstydu?

Cenn uniósł prawą rękę, a potem ze złością odwrócił od niej wzrok.

— Nie mogę zaprzeczać temu, co zrobiła — wymruczał z wyraźnym wstydem. — Pomogła mi i innym — ciągnął przeproszającym tonem — ale to przecież Aes Sedai, Branie. Jeśli trolloki nie przysły tu z jej powodu, to z jakiego innego? Nie chcemy Aes Sedai w Dwu Rzekach. Niech one trzymają swoje kłopoty z dala od nas.

Kilku mężczyzn, ukrytych bezpiecznie w tłumie, podniosło krzyk:

— Nie chcemy Aes Sedai i ich kłopotów! Odesłać ją! Przegonić! Jeśli nie z jej powodu nas zaatakowano, to z jakiego?

W oczach Brana pojawił się gniew, ale zanim zdążył coś powiedzieć, Moiraine nagle uniosła do góry swą rzeźbioną laskę i zakręciła ją obiema rękami. Rand jęknął głośno tak samo jak reszta wieśniaków, na każdym końcu laski zabłysnął bowiem syczący biały płomień, pomimo obrotów wystający nieruchomo jak ostrze włóczni. Cofnęli się nawet Bran i Haral. Po chwili wyprostowała ręce przed sobą, tak że laska zawisa równoległe do ziemi, ale białe płomienie nadal z niej tryskały, jaśniejsze niż pochodnie. Ludzie rozstępowali się na bok i przykładali dłonie do oczu, obolałych od jasności.

— Czy to tak się zmieniła krew Aemona? — Głos Aes Sedai nie brzmiał donośnie, ale zagłuszał wszystkie inne dźwięki. — Mały ludek, bełkoczący coś o swym prawie do chowania się przed wszystkim jak króliki? Zapomnieliście, kim jesteście, zapomnieliście, czym jesteście, ale żywiłam nadzieję, że coś w was jeszcze zostało, jakieś wspomnienie krwi i kości. Jakież strzępy zbroi na nadchodzącą, długą noc.

Nikt się nie odezwał. Obydwaj Coplinowie wyglądali tak, jakby już nigdy nie chcieli otwierać ust.

W końcu przemówił Bran:

— Zapomnieliśmy, kim jesteśmy? Jesteśmy tymi, co zawsze. Uczciwymi farmerami, pasterzami i rzemieślnikami. Ludźmi z Dwu Rzek.

— Na południe stąd — powiedziała Moiraine — płynie rzeka, którą wy nazywacie Białą, ale na wschodzie żyją ludzie, którzy nazywają ją wciąż jej właściwym imieniem. Manetherendrelle. W Dawnej Mowie oznacza to Wody Górskiego Domu. Roziskrzzone wody, które niegdyś płynęły przez kraj pełen odwagi i piękna. Dwa tysiące lat temu Manetherendrelle opływała mury miasta wybudowanego na górze, które było tak piękne, że nawet kamieniarze Ogirów przybywali tam, aby się w nie wpatrywać z podziwem. Pełno było w tej okolicy farm i wsi, również tam, gdzie rośnie teraz Las Cieni, jak go nazywacie, a także i dalej za nim. Ale wszyscy ci ludzie uważali siebie za mieszkańców Górskiego Domu, za lud Manetheren.

Panował nad nimi król Aemon al Caar al Thorin, Aemon syn Caara syna Thorina, a ich królową była Eldrene ay Ellan ay Carlan. Aemon był człowiekiem tak nieustraszoną, że największym dla kogoś komplementem, nawet ze strony wroga, było usłyszeć, że ma serce Aemona. Eldrene zaś była podobno tak piękna, że kwiaty kwitły, aby przywołać uśmiech na jej oblicze. Odwaga, piękno, mądrość i miłość, której nawet śmierć nie mogła rozłączyć. Płaczcie, jeśli macie serca, po ich utracie, nawet po utracie ich pamięci. Płaczcie po utracie ich krwi.

Zamilkła, lecz nikt się nie odzywał. Rand podobnie jak inni uległ czarowi, który na nich rzuciła. Kiedy przemówiła ponownie, zatopił się w jej słowach, podobnie jak reszta słuchaczy.

— Przez blisko dwa stulecia, wszędzie, jak cały świat długi i szeroki, szalały Wojny z Trollokami i tam gdzie toczyły się bitwy, na przednich liniach frontu, zawsze powie-

wał sztandar Manetheren z wizerunkiem Czerwonego Orła. Ludzie z Manetheren byli cierniem w stopie samego Czarnego, kolcem w jego dłoni. Śpiewajcie na chwałę Manetheren, które nigdy nie klękało przed Cieniem. Śpiewajcie na chwałę Manetheren o mieczu, którego nigdy nie złamano.

Razu pewnego ludzie z Manetheren przebywali daleko od domu, na Polu Bekkar, zwanym Polem Krwi, kiedy dowiedzieli się, że armia trolloków ruszyła na ich ojczyznę. Zbyt daleko, by zrobić coś więcej niż tylko czekać na wieść o śmierci ich kraju, albowiem siły Czarnego postanowiły go zniszczyć.

Zabić potężny dąb przez podcięcie jego korzeni. Byli za daleko, by mogli uczynić coś więcej niż tylko pograć się w żałobie. Byli jednak mieszkańcami Górskiego Domu.

Bez wahania, nie myśląc o odległości, jaką muszą przebyć, wymaszerowali z pola zwycięskiej dla nich bitwy, wciąż okryci pyłem, potem i krwią. Maszerowali dzień i noc, widzieli bowiem potworności, jakie zostawiała za sobą armia trolloków i nikt z nich nie mógł zasnąć, dopóki takie niebezpieczeństwo wisiało nad Manetheren. Parli naprzód, jakby mieli skrzydła u stóp, maszerowali szybciej, niż ich przyjaciele mogli sobie tego życzyć, a wrogowie obawiać. W każdym innym czasie sam taki marsz mógł być natchnieniem do pieśni. I kiedy armie Czarnego sfruwały na ziemię Manetheren, ludzie z Górskiego Domu już przed nim stali, tyłem do Tarendrelle.

Jakiś wieśniak cicho zawiwatował, ale Moiraine mówiła dalej, jakby tego nie słyszała.

— Horda, z jaką zetknęli się ludzie Manetheren, była tak wielka, że na jej widok mogło podupaść najmężniejsze serce. Całe niebo pociemniało od kruków, ziemia zaś poczerniała od trolloków i ich ludzkich sojuszników. Dziesiątki dziesiątek tysięcy trolloków i Sprzymierzeńców Ciemności, a wszystkimi dowodzili Władcy Strachu. Nocą ich ogniska przewyższały swą liczbą gwiazdy, a o brzasku nad ich głowami załopotał sztandar Ba'alzemon. Ba'alzemon, Serca Ciemności. Takie jest starożytne imię Ojca Kłamstw. Czarny nie mógł się uwolnić ze swego więzienia w Shayol Ghul, gdyby tak się bowiem stało, nawet wszystkie siły ludzkości, zebrane pospołu, nie dałyby mu rady się oprzeć, ale i tak była to wielka potęga. Władcy Strachu i zło, które wykonało ten niszczący Światłość sztandar, wydawały się wystarczać i przepełniały chłodem dusze ludzi, którzy na niego spojrzeli.

Manethereńczycy wiedzieli jednak, co muszą zrobić. Ich ojczyzna została pobudowana na rzece. Musieli uchronić Górski Dom przed tą hordą i jej mocą. Aemon rozesłał posłańców. Obiecano im pomoc, jeżeli utrzymają się trzy dni nad brzegami Tarendrelle. Utrzymają przez trzy dni przeciwko masom, które powinny były ich pokonać w przeciągu godziny. Ale jakimś cudem, broniąc się rozpaczliwie przed krwawymi atakami, wytrzymali jedną godzinę, potem drugą i jeszcze trzecią. Walczyli przez trzy dni i choć ich kraj przypominał już podwórzec rzeźni, nie pozwolili, by wroga horda przekroczy-

ła Tarendrille. Trzeciej nocy jednak nie nadeszła ani pomoc, ani nawet posłańcy, więc walczyli dalej samotnie. Przez sześć dni. Przez dziewięć. A dziesiątego dnia Aemon poznał już gorzki smak zdrady. Żadna pomoc nie miała nadejść, a oni nie mogli już dłużej utrzymać przejść na rzece.

— I co zrobili? — wyrwało się Hariemu.

Pochodnie migotały na mroźnym nocnym wietrze, ale nikt nawet nie drgnął, by otulić się szczelniej płaszczem.

— Aemon przeszedł na drugi brzeg Tarendrelle — wyjaśniła Moiraine — niszcząc za sobą mosty. I rozesłał po całym kraju wieść, że wszyscy mają uciekać, znał bowiem moce, za sprawą których hordy trolloków mogły przeprowić się przez rzekę. Gdy trolloki rozpoczęły już swoją przeprawę, wojownicy Manetheren walczyli nadal, chcąc swym życiem kupić te bezcenne godziny, podczas których ludzie mogliby uciec. Sama Eldrene organizowała ucieczkę swego ludu do najgłębszych lasów i górskich ustroni.

Niektórzy jednak nie uciekali. Najpierw strumykiem, potem rzeką, a w końcu całą powodzią ludzie uchodzili, ale nie po to, by szukać schronienia, lecz po to, by przyłączyć się do armii broniącej ich ziemi. Pasterze z łukami, farmerzy z widłami i drwale z toporami. Szły też z nimi kobiety, które zarzucały na ramię wszelką broń, jaką potrafiły sobie wyszukać i maszerowały u boku swych mężczyzn. Nikt nie planował tej wyprawy, z której nie mieli powrócić. Ale to był ich kraj. Należał do ich ojców i miał należeć do ich dzieci, więc szli okupić go własnym życiem. Ani jedna pięćdziesiątka ziemi nie została poddana, dopóki nie przesiąkła krwią, ale w końcu armia Manetheren została przepędzona, aż tutaj, do tego miejsca, które wy nazywacie Polem Emonda. I tutaj otoczyły ją hordy trolloków.

W jej chłodnym głosie zabrzmiał teraz szloch.

— Martwe trolloki i ciała ludzkich odszczepieńców piętrzyły się na stosach, ale następni pokonywali te ogromne kostnice falami śmierci, która nie miała końca. Mógł być tylko jeden kres tego wszystkiego. Kiedy zapadła noc, nie było już wśród żywych ani jednego mężczyzny i ani jednej kobiety, którzy jeszcze tego ranka stanęli pod sztandarem Czerwonego Orła. Miecz, którego nie można było złamać, został potrzaskany.

W Górach Mgły, samotna w opustoszałym Manetheren, Eldrene poczuła, że Aemon umiera i jej serce umarło wraz z nim. A w miejscu, gdzie przedtem żyło jej serce, zostało jedynie pragnienie zemsty, zemsty za utraconą miłość, zemsty za śmierć jej ludu i jej kraju. Wiedziona smutkiem sięgnęła do Źródła Prawdy i cisnęła Jedyńą Mocą w armię trolloków. I oto Władcy Strachu umarli tam, gdzie się właśnie znajdowali, czy to na tajnych radach, czy to na odprawach swych żołnierzy. Wydawszy ostatnie tchnienie Władcy Strachu i generałowie hord Czarnego stawali w płomieniach. Ogień trawił ich ciała, a ich zwycięską armię pożerał paniczny strach.

Jęli teraz biegać niczym bestie w płonącym lesie, myśląc wyłącznie o ucieczce. Uciekali na północ i południe. Tysiące utonęło podczas przeprawy przez Tarendrelle, kiedy zabrakło im pomocy Władców Strachu, a gdy już byli w Manetherendrelle, niszczyli mosty ze strachu przed tym, co mogło podążać za nimi. Zabijali i palili wszystkich napotkanych ludzi, ale nadal kierowali się pragnieniem uciezki. Aż wreszcie nie pozostał ani jeden z nich na ziemiach Manetheren. Rozproszyli się jak kurz zmieciony przez trąbę powietrzną. Ostateczna zemsta nadchodziła powoli, wraz z tym, jak dopadali ich inni ludzie i inne wojska na innych ziemiach. Nikt nie został żywy spośród tych, którzy dokonali mordu na Polu Aemona.

Ale Manetheren zapłaciło zbyt wysoką cenę. Eldrene wzięła na siebie więcej Jedynej Mocy niż jakikolwiek śmiertelnik mógł samodzielnie udźwignąć. Umarła tak, jak umarli generałowie wroga, a ogień, który ją pochłoniął, pochłoniął puste Manetheren, nawet jego kamienie, aż do żywej górskiej skały. Lud jednak zdołał się uratować.

Nic nie zostało z ich farm, wiosek czy wielkiego miasta. Ktoś mógłby powiedzieć, że zupełnie nic dla nich nie zostało i dlatego powinni uciec do innych krajów, gdzie będą mogli zacząć wszystko od nowa. Ale nikt z nich tego nie zrobił. Okupili swój kraj tak wielką ceną krwi i nadziei, że teraz byli doń przywiązani więzami silniejszymi niż stal. W latach późniejszych niszczyły ich jeszcze kolejne wojny, aż wreszcie zapomniano o tym zakątku świata, a oni zapomnieli o wojnach i sztuce wojennej. Manetheren nigdy się nie odrodziło. Podniebne iglice i pluskające fontanny stały się marzeniem, które szybko zanikało w umysłach jego ludu. Jednakże i oni, ich dzieci, a potem dzieci ich dzieci nie dały już sobie odebrać własnej ziemi. Bronili jej, choć przez długie stulecia pamięć, dlaczego tak być musi, blakła. Bronili jej aż do dzisiaj, czyli do waszych czasów. Opłakujcie Manetheren. Opłakujcie to, co zostało stracone na zawsze.

Ogniki w lasce Moiraine zamrugały i zgasły, Aes Sedai opuściła ją z takim trudem, jakby ważyła sto funtów. Przez chwilę słychać było tylko jęk wiatru. Potem Paet al'Caar przepchnął się obok Coplinów.

— Nie znałem tej opowieści — powiedział farmer o wydatnej szczęce. — Nie jestem cierniem w stopie Czarnego, co do tego, nie mam żadnych złudzeń. Ale mój Will chodzi dzięki tobie i przez to wstyd mi, że się tu znalazłem. Nie wiem, czy możesz mi wybaczyć, ale niezależnie od tego, ja stąd odchodzę. I moim zdaniem możesz zostać w Polu Emonda tak długo, jak zechcesz.

Skłonił szybko głowę, nieledwie się kłaniając i przepchał się z powrotem przez tłum. Inni zaczęli coś pomrukiwać, widać było skruchę i zawstydzenie na ich twarzach, a potem również zaczęli się wymykać jeden po drugim. Coplinowie, z kwaśnymi minami, popatrzyli gniewnie na otaczających ich ludzi i zniknęli w mroku, nie wypowiedziawszy ani słowa. Bili Congar zapodział się gdzieś jeszcze wcześniej niż jego kuzyni.

Lan odciągnął Randa od drzwi i zamknął je.

— Chodźmy, chłopcze. — Strażnik ruszył w stronę tylnego wyjścia oberży. — Chodźcie ze mną obydwaj. Szybko!

Rand zawahał się, wymieniając zdziwione spojrzenia z Matem. W trakcie opowieści Moiraine, nawet dhurrany pana al’Vere nie dałyby go rady stamtąd odciągnąć, ale teraz coś innego przykuwało go do tego miejsca. To był prawdziwy początek, wyjazd z karczmy i pójście w mrok w ślad za Strażnikiem. Otrząsnął się i próbował umocnić swoje postanowienie. Musiał odejść, bo nie miał innego wyboru, ale miał zamiar powrócić do Pola Emonda, niezależnie od tego jak daleka i długa czekała go wyprawa.

— Na co czekasz? — zapytał go Strażnik, który już stał w drzwiach.

Mat poderwał się i pośpiesznie dołączył do niego. Usiłując przekonać samego siebie, że to początek wielkiej przygody, Rand minął wraz z nimi ciemną kuchnię i wyszedł na płac przed stajniami.

POŻEGNANIE

Pojedyncza latarnia, wisząca na gwoździu wbitym w ściankę stajni, rzucała mętne światło. Większość przegród dla koni była pogrążona w głębokim cieniu. Gdy Rand wszedł do środka, drepcząc po piętach Mata i Strażnika, z siana zgromadzonego tuż przy drzwiach stajni wyskoczył Perrin, opatulony w gruby płaszcz.

Lan przystanął na chwilę, by zapytać:

— Czy sprawdziłeś wszystko, tak jak ci kazałem, kowalu?

— Sprawdziłem — odparł Perrin. — Nikogo tu nie ma oprócz nas. Czemu ktoś miałby się tu ukrywać?

— Rozwaga i długie życie zawsze idą z sobą w parze, kowalu.

Strażnik szybkim spojrzeniem omiótł pociemniałą stajnię i głębszy mrok zalegający stryszek z sianem, a potem potrząsnął głową.

— Mamy mało czasu — mruknął, głównie do siebie. — Kazała się śpieszyć.

Jakby na poparcie tych słów podszedł prędko do oświetlonej części stajni, w której stało pięć okiełznanych i osiodłanych koni. Były wśród nich dwa czarne ogiery i biała klacz, którą Rand widział już wcześniej. Pozostałe dwa, choć nie tak duże i wysmukłe, zostały wyraźnie wybrane spośród najlepszych wierzchowców w okolicy. Pośpieszenie lecz starannie Lan zaczął badać popręgi i odchodzące od nich paski, a także rzemyki podtrzymujące siodła, bukłaki i zrolowane koce.

Rand uśmiechnął się niepewnie do swoich przyjaciół, starając się sprawiać wrażenie, że bardzo chce już ruszyć w drogę. Mat dopiero teraz zauważył jego miecz i wskazał go palcem.

— Zostałeś strażnikiem? — Zaśmiał się, a potem zamilkł, rzuciwszy ukradkowe spojrzenie w stronę Lana. Strażnik wyraźnie nic nie zauważył. — Albo strażnikiem jakiegoś kupca — mówił dalej z uśmiechem, który zdawał się być tylko trochę wymuszony. Uniósł swój łuk. — Broń uczciwych ludzi już mu nie wystarcza.

Rand pomyślał, że mógłby wyciągnąć i pokazać swój miecz, ale powstrzymała go przed tym obecność Lana. Strażnik nawet nie patrzył w jego kierunku, ale na pewno wiedział o wszystkim, co się działo wokół niego. Powiedział więc tylko z przesadną obojętnością:

— Może się przydać — jakby noszenie przy sobie miecza było rzeczą najzupełniej normalną.

Perrin poruszył się, próbując coś ukryć pod płaszczem. Rand dostrzegł na brzuchu czeladnika kowalskiego szeroki skórzany pas, a przy nim pętlę, za którą zatknięta była rękojeść topora.

— Co ty tam masz? — zapytał.

— Prawdziwy strażnik kupiecki — przygadywał mu Mat. Potargany młodzieniec obdarzył Mata ponurym spojrzeniem, w którym kryło się stwierdzenie, że już dość ma tych żartów, potem westchnął ciężko i rozchylił płaszcz, aby pokazać topór. Nie było to zwykłe drwalowskie narzędzie. Szerokie ostrze miało kształt półksiężyca, a z drugiej strony rękojeści przechodziło w ostry szpikulec. W Dwu Rzekach takie narzędzie było czymś równie niezwykłym, jak miecz Randa. Jednakże dłoń Perrina wspierała się na nim z wyraźną zażyłością.

— Pan Luhhan zrobił go na zamówienie strażnika kupca wełny jakieś dwa lata temu. Kiedy przyszło co do czego, ten człowiek nie chciał zapłacić tyle, ile było umówione, a pan Luhhan nie chciał wziąć mniej. No więc mi dał ten topór. — Tu chrząknął i obdarzył Randa tym samym gniewnym spojrzeniem co Mata.

— Kiedyś zauważył, że ćwiczę się we władaniu nim. Powiedział, że mogę go sobie wziąć, skoro i tak jemu się na nic nie przyda.

— Ćwiczenia — parsknął Mat, ale pojednawczo machnął ręką, kiedy Perrin uniósł głowę. — Niech tak będzie. Przynajmniej jeden z nas wie, jak się obchodzić z prawdziwą bronią.

— Twój łuk to też prawdziwa broń — powiedział nagle Lan. Przyglądał im się z powagą, wsparty ramieniem o siodło swego czarnego wierzchowca. — Tak samo jak proce, z którymi was widziałem. Nie ma znaczenia, że dotąd używaliście ich tylko do polowań na króliki albo odganiania ptaków. Wszystko może być bronią, o ile mężczyzna lub kobieta, którzy jej używają, mają w sobie wystarczająco dużo odwagi. Mamy na karku trolloki i jeśli chcecie dotrzeć do Tar Valon żywi, lepiej abyście to jasno zrozumieli, zanim wyruszymy z Dwu Rzek, zanim opuścimy Pole Emonda.

Jego twarz i głos, zimne jak śmierć i twarde jak grubo ciosany nagrobek, zgasiły ich uśmiechy i sparaliżowały języki. Perrin skrzywił się i okrył płaszczem swój topór. Mat wbił wzrok w podłogę i grzebał stopą w pokrywającym ją sianie. Strażnik mruknął i nadal coś sprawdzał. Milczenie przedłużało się.

— Niczego takiego nie było w opowieściach bardów — powiedział wreszcie Mat.

— No, nie wiem — kwaśnym tonem zauważył Perrin. — Trolloki, Strażnik, Aes Sedai. Czego jeszcze chcesz?

— Aes Sedai — wyszeptał Mat takim głosem, jakby nagle ogarnął go chłód.

— Czy ty jej ufasz, Rand? — spytał Perrin. — Czego mogą chcieć od nas trolloki?

Wszyscy jak jeden mąż spojrzeli na Strażnika. Lan wydawał się całkowicie zaabsorbowany popręgiem siodła białej klaczy, ale jakby na komendę cofnęli się do wrót stajni, aby być dalej od niego. Tam, zbici w gromadkę, mówili ściszonymi głosami.

Rand pokręcił głową.

— Nie wiem, co powiedzieć, ale ona rzeczywiście nie myliła się twierdząc, że tylko nasze farmy zostały zaatakowane. Tu, we wsi, zaatakowały najpierw dom pana Luhhana i kuźnię. Pytałem o to burmistrza. Naprawdę łatwo uwierzyć, że istotnie chodziło im o nas.

Nagle zauważył, że obydwaj wpatrują się w niego z napięciem.

— Wypytywałaś burmistrza? — spytał Mat z niedowierzaniem. — Rozkazała nikomu o niczym nie mówić.

— Nie powiedziałem mu, dlaczego pytam — zaprotestował Rand. — A wy zupełnie z nikim nie rozmawialiście? Nikogo nie powiadomiliście, że wyjeżdżacie?

Perrin obojętnie wzruszył ramionami.

— Moiraine Sedai zabroniła o tym mówić.

— Zostawiliśmy listy do naszych rodzin — wyjaśnił Mat. — Znajdą je rankiem. Rand, moja matka uważa, że Tar Valon jest położone tuż obok Shayol Ghul.

Zaśmiał się, by udowodnić, że on sam nie podziela jej mniemania, ale nie brzmiało to zbyt przekonująco.

— Pewnie próbowałyby mnie zamknąć w piwnicy, gdyby wiedziały, że mam tam zamiar jechać.

— Pan Luhhan jest uparty jak kamień — dodał Perrin — a z panią Luhhan jest jeszcze gorzej. Gdybyście ją widzieli, jak grzebała w tym, co zostało z ich domu i mówiła, że życzy tym trollokom, aby nie wracały, bo jak wpadną w jej ręce...

— Niech szczenę, Rand — powiedział Mat — wiem, że to Aes Sedai i tak dalej, ale trolloki naprawdę tu były. Zabroniła mówić komukolwiek. Jeżeli nawet Aes Sedai nie wie, co zrobić z czymś takim, to kto to może wiedzieć?

— Nie wiem.

Rand potarł czoło. Bolała go głowa, wciąż nie potrafił zapomnieć swego snu.

— Mój ojciec jej wierzy. A przynajmniej zgodził się, że powinniśmy jechać.

Nagle w drzwiach stanęła Moiraine.

— Rozmawiałeś z ojcem o naszej wyprawie?

Była od stóp do głów opatulona w ciemnoszarą pelerynę spódnicę miała upiętą do jazdy na oklep, a zdobił ją teraz jedynie pierścień w kształcie węża.

Rand dostrzegł laskę, pomimo tamtych płomieni nie było na niej śladu zwęglenia czy chociaż sadzy.

— Nie mógłbym wyjechać bez jego wiedzy. Przypatrywała mu się chwilę z zaciśniętymi ustami, zanim odwróciła się do innych.

— A czy wy również stwierdziliście, że list nie wystarczy?

Mat i Perrin zaczęli mówić jeden przez drugiego, zapewniając ją, że tylko zostawi-li listy, tak jak im nakazała. Skinęła głową i gestem ręki nakazała im zamilknąć, patrząc gniewnie na Randa.

— To co się stało, jest już wplecione we Wzór. Lan?

— Konie są gotowe — powiedział Strażnik — i mamy dostateczną ilość zapasów, aby dotrzeć do Baerlon bez zatrzymywania się. Możemy wyjechać w każdej chwili, najlepiej zaraz.

— Musicie zabrać mnie z sobą.

Do stajni wślizgnęła się Egwene, w ramionach trzymała owinięte szalem zawiniątko. Rand omal się nie przewrócił na jej widok.

Lan wysunął miecz do połowy, lecz kiedy zobaczył, kto przyszedł, schował ostrze z powrotem, a jego wzrok nagle zubożał. Perrin i Mat zaczęli bełkotliwie przekony-wać Moiraine, że nie mówili Egwene o wyjeździe. Aes Sedai zignorowała ich, patrzyła zwyczajnie na Egwene, w zamyśleniu dotykając palcem ust.

Egwene nasunęła kaptur ciemnobrązowej peleryny na głowę, ale nie mogła ukryć wyzywającego spojrzenia.

— Mam tu wszystko, co mi potrzebne, łącznie z jedzeniem. Nie uda wam się odje-chać beze mnie. Prawdopodobnie nigdy nie będę miała szansy zobaczyć świata poza granicami Dwu Rzek.

— To nie jest wyprawa na piknik w Waterfood, Egwene — ofuknął ją Mat. Cofnął się o krok, kiedy spojrzała na niego Spod nachmurzonych brwi.

— Dziękuję ci Mat za to wyjaśnienie. Czy myślicie, że wy trzej jesteście jedynymi, którzy chcą zobaczyć, jak jest gdzie indziej? Marzyłam o tym równie długo jak wy i nie mam zamiaru zmarnować szansy.

— Skąd się dowiedziałaś, że wyjeżdżamy? — dopytywał się Rand. — Zresztą i tak nie możesz jechać z nami. Nie jedziemy dla zabawy. Nas ścigają trolloki.

Zaczerwienił się i znieruchomiał z oburzenia, gdy obdarzyła go wyrozumiałym spoj-rzeniem.

— Najpierw — wyjaśniała mu cierpliwie — zauważyłam skradającego się Mata, któ-ry bardzo się starał, aby go nie zauważono. Potem zauważyłam Perrina, który usiłował ukryć ten absurdalnie wielki topór pod swoim płaszczem. Wiedziałam, że Lan kupił ko-nia i nagle zaczęłam się zastanawiać, po co mu drugi. A skoro kupił jednego, to mógł jeszcze kupować inne. Gdy to połączyłam z widokiem Mata i Perrina przekradających się jak cielęta, które udają lisy... cóż, nie mogło być innego wyjaśnienia. Nie wiem, czy dziwi mnie twój widok tutaj, Rand, po tym, co opowiadałeś o swoich marzeniach. Sko-ro jest w to zamieszany Mat i Perrin, to chyba powinnam się była domyślić, że ty się też dołączysz do tej wyprawy.

— Ja muszę jechać, Egwene — powiedział Rand. — Wszyscy musimy, bo inaczej trolloki wrócą.

— Trolloki! — Egwene zaśmiała się z niedowierzaniem. — Rand, to mądre i chwalebne, jeśli postanowiłeś. zobaczyć trochę świata, ale oszczędź mi tych bzdur.

— To prawda — zawołali Perrin i Mat jednocześnie — trolloki...

— Dosyc — powiedziała cicho Moiraine, urywając im słowa ostro jak nożem. — Czy jeszcze ktoś to wszystko zauważył?

Mówiła spokojnym głosem, ale Egwene przełknęła ślinę i zastanowiła się chwilę nad odpowiedzią.

— Po ostatniej nocy wszyscy myślą tylko o odbudowie wsi i o tym, co zrobić, jeśli coś takiego znowu się przydarzy. Nie widzą niczego, chyba że im to podetkać pod nos. A ja nikomu nie opowiedziałam o moich podejrzeniach. Nikomu.

— Bardzo dobrze — stwierdziła po chwili Moiraine. — Możesz jechać z nami.

Po twarzy Lana przemknął wyraz zdziwienia, który natychmiast niemal zniknął, pozostawiając zwykły spokój. Zaprotestował jednak gniewnie:

— Nie, Moiraine!

— To już część Wzoru, Lan.

— To niedorzeczne! — odparował. — Nie mamy powodu, by brać ją z nami, i ona też nie ma powodu, by z nami jechać.

— Jest jeden powód — powiedziała spokojnie Moiraine. — Część Wzoru, Lan.

Twarz Strażnika nie wyrażała niczego, ale powoli skinął głową.

— Ależ Egwene — wtrącił się Rand — będą nas ścigać trolloki. Nie będziemy bezpieczni, dopóki nie dotrzemy do Tar Valon.

— Nie próbuj mnie odstraszyć — powiedziała. — Jadę z wami.

Rand znał ten ton głosu. Nie słyszał go od czasów, kiedy twierdziła, że tylko dzieci wspinają się na najwyższe drzewa, ale dobrze go sobie zapamiętał.

— Jeśli myślisz, że uciekanie przed trollokami jest zabawne — zaczął, ale przerwała mu Moiraine:

— Szkoda czasu. Do rana musimy przebyć tyle drogi, ile się da. Jeżeli ją zostawimy, Rand, to zanim ujedziemy milę, ona postawi na nogi wieś, a to z pewnością ostrzeże Myrddraala.

— Nie zrobiłabym czegoś takiego — zaprotestowała Egwene.

— Może jechać na koniu barda — powiedział Strażnik. — Zostawię mu pieniądze, by mógł sobie kupić drugiego.

— To nie będzie możliwe.

Od strony stryszku na siano rozbrzmiał dźwięczny głos Thoma Merrilina. Tym razem Lan wyciągnął cały miecz z pochwy i nie schował go, wpatrując się w barda.

Thom cisnął w dół zwinięty koc, a potem zsunął z pleców futerały z fletem i harfą, a z ramion pękate sakwy podróżne.

— Ta wieś już mnie nie potrzebuje, a poza tym nigdy nie dawałem przedstawień w Tar Valon. I chociaż zazwyczaj podróżuję samotnie, po ostatniej nocy nie będzie mi przeszkadzało czyjeś towarzystwo.

Strażnik popatrzył surowo na Perrina, który poruszył się z zażenowaniem.

— Nie pomyślałem, by zajrzeć na strych — wymamrotał.

Gdy długonogi bard schodził po drabinie ze stryszku, Lan zapytał beznamiętnym, uprzejmym głosem:

— Czy to też część Wzoru, Moiraine Sedai?

— Wszystko jest częścią Wzoru, mój stary przyjacielu — odparła łagodnie Moiraine.

— Nie możemy przebierać i wybrzydzać. Będziemy natomiast obserwować.

Thom postawił nogę na podłodze stajni i zszedł z drabiny, otrząsając siano ze swego pstrokatego płaszcza.

— Tak po prawdzie — powiedział bardziej normalnym tonem — to moglibyście rzec, że uparłem się, by podróżować w towarzystwie. Spędziłem wiele godzin nad wieloma kufkami piwa dumając o tym, jak dokonam swego żywota i w żadnej z mych myśli nie było miejsca na garnek trolloków.

Spojrzał krzywo na miecz Strażnika.

— To niepotrzebne. Nie jestem serem, który trzeba pociąć na plastry.

— Panie Merrillin — powiedziała Moiraine — musimy szybko wyjechać i prawie na pewno grozi nam wielkie niebezpieczeństwo. Trolloki są nadal w okolicy, więc będziemy jechać nocą. Czy jest pan pewien, że chce podróżować z nami?

Thom przypatrywał się całej ich gromadce z zagadkowym uśmiechem.

— Jeśli to nie jest zbyt niebezpieczne dla dziewczyny, to nie będzie też i dla mnie. A poza tym, jaki to bard nie chciałby stawić czoła niewielkim niebezpieczeństwom, aby móc dać przedstawienia w Tar Valon?

Moiraine pokiwała głową, a Lan schował miecz do pochwy. Rand zaczął się nagle zastanawiać, co by się stało, gdyby Thom zmienił zamiar, albo Moiraine nie skinęła głową. Bard siedział swego konia, jakby podobne myśli ani razu nie przyszły mu do głowy, ale Rand zauważył, że kilkakrotnie spoglądał ukradkiem na miecz Lana.

— A co z koniem dla Egwene? — spytała Moiraine.

— Konie domokrażcy są równie złe jak dhurrany — odparł szorstko Strażnik. — Silne, ale powolne, nadają się tylko do pracy na polu.

— Bela — przypomniał sobie Rand żałując, że się w ogóle odezwał, gdy pochwycił spojrzenie Lana. Wiedział jednak, że nie odwiedzie Egwene od jej zamiaru, więc nie pozostawało nic innego, jak jej pomóc. — Bela nie jest może tak szybka jak pozostałe konie, ale za to silna. Czasami na niej jeździłem. Jest w stanie wytrzymać taką jazdę.

Lan zajrzał do przegrody Beli, mrużąc coś do siebie.

— Może będzie lepsza niż inne — powiedział wreszcie — chyba i tak nie mamy innego wyboru.

— No to będzie musiała wystarczyć — stwierdziła Moiraine. — Rand, znajdź siodło dla Beli. Tylko się pośpiesz! Już za długo zwlekamy!

Rand pośpiesznie wyszukał siodło i koc, po czym wyprowadził Belę. Kiedy ją siodłał, klacz obejrzała się na niego z sennym zdziwieniem. Dotychczas jeździł na niej na oklep i nie była przyzwyczajona do siodła. Zaciągał rzemienie popręgów, uspokajając ją swym głosem i w końcu zaakceptowała to dziwactwo, kilkakrotnie tylko potrząsnąwszy grzywą.

Odebrał od Egwene tobołek i przymocował go z tyłu siodła. Dziewczyna dosiadła klaczy i podciągnęła spódnicę, nieodpowiednią do konnej jazdy. Widać było aż do kolan jej wełniane pończochy. Miała też buty z miękkiej skóry, takie same jak nosiły wszystkie wieśniaczki. Zupełnie nie nadawały się do jazdy nawet do Wzgórza Czat, a jeszcze mniej do Tar Valon.

— Uważam, że nie powinnaś jechać — powiedział. — Ja nic nie zmyśliłem, gdy mówiłem o trollokach. Ale obiecuję, że zadbam o ciebie.

— Może to raczej ja będę dbała o ciebie — odparła beztroskim tonem. Widząc jego rozdrażnienie, uśmiechnęła się i pochyliła, aby pogłodzić go po włosach. — Wiem, że będziesz o mnie dbał, Rand. Oboje będziemy opiekować się sobą nawzajem. Ale teraz lepiej dosiądź swojego konia.

Dopiero teraz zauważył, że wszyscy pozostali siedzą na swych wierzchowcach i czekają już tylko na niego. Jedynym koniem bez jeźdźca był Obłok, wysoki, siwy ogier z czarną grzywą i ogonem, który należał, albo może już nie należał, do Jona Thane'a. Dosiadł go nie bez trudności, ponieważ siwek podrzucał głową i wierzgnął niespokojnie, gdy Rand włożył stopę w strzemię, a jego miecz zaplątał się między końskie nogi. Nie przypadkiem jego przyjaciele nie wybrali Obłoka. Pan Thane często ścigał się z końmi kupców na swym rączym siwku i na ile Rand się orientował, ani razu nie przegrał. Wiedział jednak aż za dobrze, że przejażdżka na Obłoku nigdy nie należała do spokojnych. Lan musiał dać młynarzowi ogromne pieniądze, skoro zgodził się go sprzedać. Kiedy już usadowił się w siodle, koń zaczął wierzgać jeszcze mocniej, jakby pragnął ruszyć galopem. Rand chwycił mocno wodze i próbował sobie wmówić, że nie będzie miał żadnych kłopotów. Być może, jeśli przekona sam siebie, to siwek również da się przekonać.

W mroku zahukała sowa i wieśniacy aż podskoczyli, zanim uświadomili sobie, co to był za dźwięk. Zaśmiali się nerwowo i wymienili zawstydzone spojrzenia.

— Następnym razem schowamy się pewnie za drzewem na widok polnej myszy — powiedziała Egwene, chichocząc niespokojnie.

Lan potrząsnął głową.

— Lepiej się chowajcie przed wilkami.

— Wilki! — krzyknął Perrin, a Strażnik spiorunował go wzrokiem.

— Wilki nie lubią trolloków, kowalu, a trolloki nie lubią wilków, a także psów. Słyszając wycie wilków, będę pewien, że w okolicy nie czają się trolloki.

Poprowadził powoli swego czarnego konia w sam środek księżycowej nocy.

Moiraine ruszyła za nim bez chwili wahania, a Egwene twardo trzymała się jej boku. W następnej kolejności jechali Mat i Perrin, a za nimi, na samym końcu, Rand oraz bard.

Na tyłach oberży było ciemno i cicho, podwórzec stajni wypełniały cętki cieni rzuconych przez księżyc. Miękki stukot kopyt szybko zamierał, wchłaniany przez mrok. W ciemności, otulony płaszczem Strażnik, również wyglądał jak cień. Tylko dlatego, że musiał prowadzić cały szereg, pozostali jeźdźcy nie mogli zbić się wokół niego w gromadę. Wydostanie się niepostrzeżenie ze wsi nie będzie łatwym zadaniem, stwierdził Rand, gdy już się zbliżali do bram. Przynajmniej nie należy dać się zauważyć mieszkańcom. Wiele okien we wsi promieniowało bladożółtym światłem i chociaż dawało ono na tle nocy słaby poblask, było widać poruszające się sylwetki ludzi czekających na to, co noc miała ze sobą przynieść. Tym razem nikt nie chciał dać się zaskoczyć.

Kiedy mijali głębokie cienie spowijające oberżę, tuż przy wyjeździe z dziedzińca, Lan zatrzymał się nagle, stanowczym ruchem ręki nakazując milczenie.

Na Moście Wozów słychać było stukot butów, tu i ówdzie światło księżycy odbijało się od metalu. Odgłos kroków zadudnił na moście, zachrzęścił w żwirze i dał się słyszeć w pobliżu oberży. Natychmiast w ich okrytej cieniem gromadzie zapanowała głucha cisza. Rand podejrzewał, że jego przyjaciele, podobnie jak on sam, są zbyt przerażeni, by wydać choć najcichszy dźwięk.

Kroki zatrzymały się przed oberżą, w szarości rozciągającej się tuż poza obszarem oświetlanym przez mętne światło dobiegające z jej wnętrza. Rand poznał, kim są ci ludzie, dopiero wtedy gdy na ich czoło wysunął się Jon Thane, trzymający na silnym ramieniu włócznię, ubrany w stary kaftan naszywany stalowymi kółkami. Resztę oddziału stanowiło parunastu mieszkańców wsi i okolicznych farm, niektórzy ubrani w hełmy i części zbroi, które od pokoleń leżały pokryte kurzem na ich strychach, wszyscy uzbrojeni — we włócznie, topory lub zardzewiałe halabardy.

Młynarz zjrzał do okna ogólnej sali, a potem odwrócił się i rzucił lakonicznie:

— Najlepiej tędy.

Pozostali uformowali się za nim w dwa nierówne szeregi i cały oddział pomaszerował w środek nocy, idąc jakby do rytmu nadawanego przez trzy różne bębny.

— Wystarczają dwóm trollokom Dha'vol na śniadanie — mruknął Lan, kiedy odgłos butów zamarł w oddali — ale w końcu mają oczy i uszy.

Zawrócił swego czarnego rumaka i rozkazał:

— Ruszamy!

Strażnik powoli i prawie bezgłośnie przeprowadził ich z powrotem przez dziedzi-
niec, potem między wierzbami nad brzegiem rzeki, w końcu wkroczyli do Winnej Jago-
dy, której chłodne, szybkie wody, wirujące srebrzyście wokół końskich nóg, były tak głę-
bokie, że jeźdźcy musieli chcąc nie chcąc zamoczyć w nich stopy.

Na drugim brzegu rozwinęli się w szereg, zgodnie z celnymi wskazówkami Strażni-
ka, uważając, by jechać w należytej odległości od domów. Choć nikt z nich nic nie sły-
szał i nie widział, Lan zatrzymywał się od czasu do czasu, nakazując im wszystkim mil-
czenie. Jednakże za każdym razem, gdy tak się działo, zaraz potem mijał ich kolejny od-
dział złożony z wieśniaków i farmerów. Posuwali się powoli w kierunku północnego
skraju wsi.

Rand wytężając wzrok w ciemności, spoglądał na wysokie dachy domostw, pragnął
zachować w pamięci ich obraz.

„Ale ze mnie udany poszukiwacz przygód” — pomyślał.

Jeszcze nie wyjechał ze wsi, a już tęsknił za domem. Nie mógł jednak przestać pa-
trzeć.

Minęli ostatnie zabudowania na obrzeżach wsi i wjechali między pola położone
wzdłuż Drogi Północnej, prowadzącej do Taren Ferry. Rand pomyślał, że z całą pewno-
ścią żadne niebo nie jest równie piękne nocą, jak niebo nad Dwoma Rzekami. Czysta
czerni wydawała się bezdenne, a miriady gwiazd błyszcząły niczym iskry światła rozsie-
wanego przez kryształ. Księżyc, któremu jedynie skrawka brakowało do pełni, wydawał
się tak bliski, że nieomal wystarczyło wyciągnąć rękę, aby go dotknąć.

Po srebrnej kuli księżyca przeleciał powoli jakiś czarny kształt. Rand zatrzymał siw-
ka, odruchowo ściągawszy wodze. To był nietoperz, usiłował sobie wmówić, ale wie-
dział, że to nieprawda. Nietoperze widuje się często wieczorem, kiedy o zmierzchu uga-
niają się za muchami i maleńkimi kłaczami, Skrzydła tego stworzenia miały może taki
sam kształt, ale ich ruchy były powolne i potężne, jak zamachy drapieżnego ptaka. Isto-
ta polowała. Można to było bez żadnej wątpliwości stwierdzić po sposobie, w jaki wy-
konywała długie łuki, to w przód, to w tył. Rand poczuł się jeszcze gorzej, gdy uzmy-
słowił sobie rozmiary stworzenia. Nietoperz, który wydawał się duży w porównaniu
z księżycem, musiałby być długi na wyciągnięte ramię. Rand próbował ocenić, jak dale-
ko stworzenie może się znajdować i jakie jest naprawdę duże. Musiało mieć ciało wiel-
kości człowieka, a skrzydła... Znowu przeleciało po tarczy księżyca i nagle poszybowa-
ło w dół, pochłonięte przez ciemność.

Nawet nie zauważył, że Lan zawrócił w jego stronę, zorientował się dopiero, kiedy
Strażnik złapał go za ramię.

— Czemu tak stoisz i w co się tak wgapiasz, chłopcze? Nie możemy się zatrzymy-
wać.

Inni czekali z tyłu.

Spodziewając się częściowo usłyszeć, że strach przed trollokami odebrał mu rozum, Rand powiedział mu, co zobaczył. Bardzo pragnął, by Lan stwierdził, że to był nietoperz albo że jego oczy splątały mu figła.

Lan wypluł z siebie słowo, które zabrzmiało tak, jakby zostawiało po sobie przykry smak w ustach.

— Draghkar.

Egwene i pozostali dwaj chłopcy rozejrzeli się nerwowo po niebie, natomiast bard jęknął tylko cicho.

— Tak — powiedziała Moiraine. — Niestety nie możemy liczyć, że było to coś innego. A jeśli Myrddraal ma draghkara pod swoim dowództwem, to wkrótce będzie wiedział, gdzie jesteśmy, o ile już tego nie wie. Musimy jechać szybciej niż dotąd. Może jeszcze uda nam się dotrzeć do Taren Ferry przed Myrddraalem, bo on i trolloki nie przeprawia się tak szybko przez rzekę.

— Draghkar? — powtórzyła Egwene. — A co to takiego?

Odpowiedział jej, nagle ochryplym głosem, Thom Merrilin.

— Podczas wojny, która zakończyła Wiek Legend, stworzono coś jeszcze gorszego od trolloków i Półudzi.

Kiedy się odezwał, Moiraine gwałtownym ruchem zwróciła ku niemu głowę. Nawet ciemność nie potraciła skryć jej przenikliwego spojrzenia.

Zanim ktokolwiek zdążył spytać barda o dalsze wyjaśnienia, Lan podał im dalsze rozkazy.

— Teraz skręcimy w stronę Drogi Północnej. Jeżeli chcecie ujść z życiem, trzymajcie się mnie, zachowujcie tempo i nie rozjeżdżajcie się.

Zawrócił konia, a wszyscy bez słowa pogalopowali za nim.

DROGA DO TAREN FERRY

Po ubitej nawierzchni Drogi Północnej koniom biegło się lżej, ich grzywy i ogony powiewały w świetle księżyca, a podkowy dźwięczały stałym rytmem. Otulony w czarną pelerynę Lan jechał na czele; on i czarny wierzchowiec zupełnie niewidoczni w chłodnym mroku. Biała klacz Moiraine, znakomicie dotrzymująca kroku ogierowi Strażnika, przypominała jasny punkt pomykający przez ciemność. Reszta jeźdźców jechała za nimi zwartym szeregiem, jakby byli przywiązani do niewidzialnej liny ciągniętej przez Strażnika.

Rand galopował na samym końcu, wyprzedzał go Thom Merrilin, a przed nimi jechała reszta grupy. Bard ani razu nie odwrócił głowy, zainteresowany kierunkiem, w którym podążali, a nie miejscem, z którego uciekli. Gdyby za ich plecami pojawiły się trolloki, Pomor na swym cichym koniu albo tamta latająca bestia, draghkar, wszczęcie alarmu zależało wyłącznie od Randa.

Jechał uczepony grzywy i wodzy Obłoka, co kilka minut musiał wyciągać szyję, by obejrzeć się za siebie. Draghkar... Thom powiedział, że jest czymś jeszcze gorszym od trolloków i Pomorów. Niebo jednak było puste, a jego wzrok badający grunt pod końskimi kopytami napotykał jedynie mrok i cienie. Cienie, w których skrywać się mogła cała armia. Siwek, któremu wreszcie pozwolono galopować swobodnie, mknął przez noc niczym duch, bez trudu dotrzymując tempa nadawanego przez ogiera Lana. A zresztą, gdyby mógł, pędziłby jeszcze szybciej, gnany pragnieniem dogonienia czarnego konia. Rand musiał cały czas silnie ściągać jego wodze, aby do tego nie dopuścić. Obłok nie dawał się okiełznać, jakby uważając, że bierze udział w wyścigu, próbował wyrwać się spod władzy jeźdźcy. Rand przywierał do siodła i wodzy, naprężając wszystkie mięśnie. Żarliwie pragnął, by wierzchowiec nie wyczuł jego niepewności. Gdyby tak się stało, straciłby jedyną ostoję, jaka mu pozostała, nawet jeśli była ona tak niepewna. Prawie leżąc na karku Obłoka, nie spuszczał wzroku z Beli i jej jeźdźcy. Kiedy twierdził, że kudłata klacz dotrzyma kroku pozostałym koniom, nie brał pod uwagę, że zostanie zmuszona do takiego biegu, choć i tak był zdziwiony, że jednak daje sobie radę. Lan nie chciał, by Egwene jechała razem z nimi. Czy zwolni specjalnie dla niej, jeśli Bela

osłabnie? A może będzie się starał zostawić ją na drodze? Z jakiegoś powodu Aes Sedai i Strażnik uważali Randa i jego kolegów za ważnych, ale mimo słów Moiraine o Wzorze, nie przypuszczał, że tak samo będą traktowali Egwene.

Jeżeli Bela padnie, to on też nie pojedzie dalej, cokolwiek Moiraine i Lan by o tym nie mówili. Zostanie tam, gdzie są trolloki i Pomor. Tam gdzie krąży draghkar. Wkładając w to całe swe serce i rozpacz, bezgłośnie nakazywał Beli pędzić tak szybko jak wiatr, próbując dodać jej sił.

„Biegnij!”

Dostał gęsiej skórki i miał wrażenie, że jego kości są przemarznięte do samego szpiku, gotowe zaraz popękać.

„Światłości, pomóż jej, niech biegnie!”

I Bela biegła.

Mknęli coraz to dalej i dalej na północ, przez mrok, czas upływał jednostajnym rytmem. Miejscami rozbłyskiwały obok nich światła farm, aby zaraz zniknąć, jakby były jedynie tworamami imaginacji. Ostre ujadanie psów błyskawicznie cichło w oddali za nimi albo urywało się gwałtownie, jakby psy rozumiały, że trwa tu ucieczka przed pościgiem. Pędzili przez ciemność, kierując się jedynie wodnistobladym światłem księżyca, przez ciemność, z której drzewa wyłaniały się nagle, aby zaraz zniknąć. Dookoła widać było tylko mrok, a miarowy stukot kopyt zakłócały jedynie pojedyncze okrzyki nocnych ptaków, samotne, wróżące żalobę.

W pewnej chwili Lan nagle zwolnił, a potem nakazał przystanąć reszcie. Rand nie wiedział, jak długo trwa ta jazda, ale od ściskania końskiego grzbietu czuł już lekki ból w nogach. Przed nimi roziskrzyły się światła, jakby w jednym miejscu wśród drzew skupiła się wielka chmara światełek.

Rand wpatrywał się w te światelka z konsternacją, a po chwili aż jęknął ze zdumienia. Te światełki to były okna, okna domów pobudowanych na zboczach i szczytach jakiegoś wzgórza. Dotarli do Wzgórza Czat. Ledwie wierzył, że przebyli już tak długą drogę, prawdopodobnie pokonując ją szybciej niż ktokolwiek przed nimi. Idąc za przykładem Lana, Rand i Thom Merrillin zsiadli z koni. Obłok stał spokojnie, ze zwieszonym łbem, a jego boki falowały. Kark siwka pokrywała piana, prawie niedostrzegalna na tle jego umaszczenia. Rand pomyślał, że Obłok nie da rady dalej biec tej nocy.

— Cieszę się, że mam już wszystkie te wsie za sobą — obwieścił Thom — i uważam, że kilkugodzinny odpoczynek nie byłby teraz od rzeczy. Chyba osiągnęliśmy już taką przewagę, że możemy sobie na to pozwolić?

Rand rozprostowywał kości, kołysząc biodrami.

— Jeżeli mamy się zatrzymać na resztę nocy we Wzgórzu Czat, to możemy jeszcze podjechać do tej góry.

Zabłąkany powiew wiatru przyniósł im fragment melodii śpiewanej we wsi i zapach potraw, od którego poczuł napływ śliny w ustach. We Wzgórzu Czat nadal świętowano Bel Tine, którego nie przerwały im żadne trolloki. Spojrzał na Egwene. Dziewczyna opierała się o grzbiet Beli, słaniając się ze zmęczenia. Pozostali również zsiadali z koni, wzdychając i rozprostowując obolałe mięśnie. Jedyne Strażnik i Aes Sedai nie pokazywali oznak zmęczenia.

— Chętnie bym sobie pośpiewał — wtrącił Mat skonanym głosem — i pojadł gorącego placka z baraniną w „Białym Niedźwiedziu”.

Urwał, po czym dodał:

— Nigdy nie zajechałem dalej niż do Wzgórza Czat. Ale „Biały Niedźwiedź” nawet się nie równa „Winnej Jagodzie”.

— W „Białym Niedźwiedziu” jest całkiem niezłe — powiedział Perrin. — Też bym zjadł placka i napił się herbaty dla rozgrzania kości.

— Nie możemy się zatrzymać, dopóki nie przekroczymy Taren — rzucił ostro Lan. — Będziemy odpoczywać tylko kilka minut.

— A co z końmi — zaprotestował Rand. — Zajeździmy je na śmierć, jeśli będziemy tak pędzić. Moiraine Sedai, ty z pewnością...

Kątem oka dostrzegł, że robiła coś wśród koni, ale ledwie zwrócił na to uwagę. Teraz przeszła obok, ocierając się prawie o niego, aby położyć dłonie na karku Obłoka. Rand umilkł, a koń nagle odrzucił łeb, cicho zarżał i omal nie wyszarpnął wodzy z jego rąk. Po chwili tanecznie uskoczył w bok, najwyraźniej tak pełen wigoru, jakby spędził cały tydzień w stajni. Moiraine bez słowa podeszła do Beli.

— Nie wiedziałem, że ona potrafi robić takie rzeczy — powiedział cicho Rand do Lana, czując jak się czerwieni.

— Ze wszystkich ludzi nie kto inny jak właśnie ty powinienes się tego spodziewać — odparł Strażnik. — Widziałeś, co zrobiła z twoim ojcem. Ona wygna całe zmęczenie. Najpierw z koni, a potem z was.

— Z nas. A z ciebie nie?

— Mnie to niepotrzebne, pasterzu, przynajmniej na razie. Jej również nie. Ale ona nie może pomóc samej sobie tak, jak innym. Tylko jedna osoba spośród nas zmęczy się tą jazdą. Należy żywić nadzieję, że nie zmęczy się za bardzo, zanim dojedziemy do Tar Valon.

— Za bardzo zmęczy... czym? — spytał Rand.

— Nie myliłeś się co do Beli, Rand — powiedziała stojąca obok klaczy Moiraine. — Ma silne serce i tyle uporcu, co wy wszyscy z Dwu Rzek. Chociaż to wydaje się dziwne, ale jest chyba najmniej zmęczona ze wszystkich koni.

Nagle ciemność przeszył wrzask, przypominający krzyk człowieka zabijanego ostrzem, i na całą ich gromadę sfrunęły ogromne skrzydła, spowijając ich w jeszcze

głębszy mrok. Konie, rżąc w panice, jęły dziko wierzgać. Czując podmuch wiatru wytworzonego przez skrzydła draghkara, Rand odniósł wrażenie, że dotyka szlamu, jakby babrał się w lepkim mroku nocnego koszmaru. Nawet nie zdążył poczuć strachu, bo Obłok stanął dęba, rżąc i miotając się rozpaczliwie — jakby usiłował strząsnąć z siebie coś, co się w niego wczepiło. Rand zawisł na wodzach, po czym ścięty z nóg, wleczony był po ziemi, a Obłok nadal rżał przenikliwie, jakby w jego pęciny wgryzały się zęby wilków.

Jakimś cudem Randowi udało się nie wypuścić wodzy i stanąć na nogach. Dalej biegł, skacząc i potykając się, usiłując nie upaść znowu. Dyszał rozpaczliwie, ale nie przestawał trzymać wodzy. Rzucił się jak oszalały do cugli, jakoś je schwycił i wierzgający Obłok uniósł go w powietrze. Rand wisiał na nim bezradnie, bez żadnej nadziei, czekając, aż koń się uspokoi.

Upadek był tak silny, że poczuł, jak zgrzytają mu zęby, ale siwek nagle znieruchomiał. Miał rozdęte chrapy i toczył wściekle oczami, a jego zeszywniałe nogi drżały. Rand również cały się trząsnął, ale nadal trzymał cugle.

„Takie uderzenie musiało też wstrząsnąć koniem” — pomyślał.

Zrobił kilka głębokich wdechów i dopiero wtedy mógł się rozejrzeć, aby zobaczyć, co się stało z pozostałymi.

Całą grupę ogarnął chaos. Ściągali wodze przy szarpiących się łbach, z niewielkim powodzeniem starając się uspokoić wierzgające konie, które kłębiły się teraz w jednej masie. Tylko dwie osoby wyraźnie nie miały żadnych kłopotów ze swoimi wierzchowcami. Moiraine siedziała wyprostowana w siodle, a jej biała klacz odstępowała delikatnie od całego zamieszania, jakby nie stało się nic niezwykłego. Stojący na ziemi Lan badał wzrokiem niebo, w jednej ręce trzymając miecz, a w drugiej wodze, jego wysmukły, czarny rumak stał spokojnie obok.

Z Wzgórza Czat nie dochodziły ich już odgłosy zabawy — mieszkańcy wsi musieli również usłyszeć tamten krzyk. Rand wiedział, że będą nasłuchiwali przez jakiś czas i może szukali jego przyczyny, potem jednak powrócą do uciech. Wkrótce zapomną o całym incydencie, topiąc jego wspomnienie w piosence, jedzeniu, tańcu i śmiechu. Być może, gdy usłyszą wieści o wydarzeniach w Polu Emonda, niektórzy przypomną go sobie i zastanowią się. Zresztą, jak było do przewidzenia, już odezwały się skrzypce, zaraz potem dołączył do nich flet. Wieś powracała do obchodów święta.

— Na koń! — rozkazał krótko Lan. Schował miecz do pochwy i dosiadł rumaka. — Draghkar nie pokazałby się tutaj, gdyby już zdążył donieść Myrddraalowi, gdzie jesteśmy.

Z bardzo wysoka dobiegł ich jeszcze jeden przenikliwy krzyk, znacznie cichszy, ale nie mniej groźny. Muzyka we Wzgórzu Czat urwała się raz jeszcze.

— Teraz nas śledzi i zapamiętuje naszą trasę dla Pólczłowieka. Będzie cały czas krążył w pobliżu.

Konie, choć nadal przeżywały swój strach, zupełnie już wypoczęte cofały się, płasząc przed usiłującymi je dosiąść jeźdźcami. W siodle jako pierwszy usiadł ciskający przekleństwa Thom Merrillin, ale innym również w końcu udało się tego dokonać. Wszystkim prócz jednego.

— Pośpiesz się Rand! — krzyknęła Egwene.

Draghkar wydał z siebie jeszcze jeden ostry wrzask i Bela przebiegła kawałek, zanim dziewczyna zdążyła ściągnąć cugle.

— Pośpiesz się!

Rand wzdrygnął się i zorientował, że zamiast dosiąść Obłoka, stał tylko i wpatrywał się w niebo, próżno starając się znaleźć źródło tych złowieszczych wrzasków. Zupełnie nieświadomy tego, co robi, wyciągnął miecz Tama, jakby chciał walczyć ze skrzydlatą bestią.

Był zadowolony, że noc kryje rumieniec na jego twarzy. Ponieważ jedną dłonią musiał przytrzymać wodze, niezgrabnym ruchem schował miecz, cały czas nerwowo oglądając się na pozostałych. Moiraine, Lan i Egwene patrzyli na niego, choć nie był pewien, ile widzą w blasku księżyca. Reszta była zbyt zaabsorbowana zdobyciem panowania nad końmi, by zwracać na niego jakąkolwiek uwagę. Położył dłoń na łąku i jednym skokiem usiadł w siodle, jakby przez całe życie nie robił nic innego. Jeżeli któreś z przyjaciół widziało, że wyciągnął miecz, to na pewno usłyszy o tym później. Wtedy będzie pora, aby się przejmować.

W momencie gdy siedział już na koniu, wszyscy znów poderwali wierzchowce do galopu, wybierając drogę, która omijała kopułowe wzgórze. We wsi rozszczękały się psy, ich obecność nie została do końca niezauważona.

„A może psy wywęszyły trolloki” — pomyślał Rand.

Wkrótce szczekanie oraz światła wsi pozostały za nimi w tyle i zamarły.

Galopowali nazbyt blisko i konie bezustannie wchodziły sobie w drogę. Lan nakazał im ponownie rozwinąć szereg, ale żadne nie chciało być osamotnione tej nocy. Z góry dobiegł ich znowu krzyk. Strażnik dał za wygraną i pozwolił im jechać obok siebie.

Rand znalazł się tuż za Moiraine i Lanem, siwek usiłował wbić się między czarnego konia Strażnika i śnieżnobiałą klacz Aes Sedai. Z boku miał Egwene i barda, jego koledy jechali tuż za nimi. Obłok, gnany okrzykami draghkara, pędził tak szybko, że Rand, mimo swych starań, nie potrafił zwolnić jego biegu, chociaż siwek i tak nie dałby rady przegonić pierwszych dwóch koni.

Mrok bezustannie przesywały wyzywające wrzaski draghkara.

Przysadzista Bela biegła z wyciągniętym do przodu łbem, rozwianym w pędzie ogonem i grzywą, cały czas dotrzymując kroku większym koniom. Aes Sedai musiała zrobić coś więcej, niż zwykle uzupełnienie jej sił.

W świetle księżycy widział roześmianą w błogim uniesieniu twarz Egwene. Warkocz dziewczyny powiewał jak końska grzywa, a blask w jej oczach z pewnością nie był tylko odbiciem księżycowych promieni. Rand otworzył usta w zdziwieniu, dopóki połknięta mucha nie wywołała gwałtownego ataku kaszlu.

Lan musiał zadać jakieś pytanie, ponieważ Moiraine nagle odpowiedziała mu, przerykując szum wiatru i stukot kopyt,

— Nie mogę! A już na pewno nie z grzbietu galopującego konia. Bardzo trudno je zabić, nawet jeśli są dobrze widoczne. Musimy pędzić naprzód i nie tracić nadziei.

Wpadli w kłęb mgły, rzadkiej i nie sięgającej wyżej niż do końskich kolan. Obłok pokonał ją dwoma skokami i Rand zamrugał, zastanawiając się, czy przypadkiem jej sobie nie wyobraził — noc była zbyt chłodna, by mogła powstać mgła. Po chwili otarli się o kolejny tuman szarzynny, większy niż tamten pierwszy, narastający powoli, jakby tryskający spod ziemi. Krążący nad nimi draghkar wrzasnął znowu gniewnie. Mgła na krótką chwilę otuliła jeźdźców, po czym zniknęła, pojawiła się ponownie i za chwilę już jej nie było. Pozostawiła jednak lodowatą wilgoć na twarzy i dłoniach Randa. Po jakimś czasie wyłoniła się przed nimi raz jeszcze, tym razem w postaci wysokiej, bladoszarej ściany i opatuliła ich od stóp do głów. Była tak gęsta, że tłumiała odgłos kopyt i ledwie przepuszczała wrzaski dobiegające ich z nieba. Rand ledwie wyróżniał sylwetki jadących z jego obu stron, Egwene i Thoma Merrilina. Lan nie zwolnił tempa.

— Możemy jechać tylko do jednego miejsca — zawołał, a jego głos zabrzmiał głucho i jakby znikąd.

— Myrddraale są przebiegłe — odparła Moiraine. — Wykorzystam tę ich przebiegłość przeciwko nim.

Dalej galopowali już w milczeniu.

Ciemnoszara mgła przesłaniała zarówno niebo, jak i ziemię. Jeźdźcy, przemienieni teraz w cienie, wydawali się płynąć wśród nocnych chmur. Było tak, jakby ich konie nie miały nóg.

Rand wiercił się niespokojnie w siodle, wzdragając przed lodowatym zimnem mgły. Ale chociaż wiedział, że Moiraine potrafiła robić różne rzeczy, a nawet sam był tego świadkiem znowu zadziwiło go, że mgła pozostawia wilgotny osad. Zauważył również, że bezsensownie wstrzymuje oddech i zwymyślał samego siebie od skończonych osłów. Nie dojedzie do Taren Ferry, jeśli nie będzie oddychał. Wykorzystała Jedyną Moc, aby uzdrowić Tama i najwyraźniej to jej się udało. Musiał jednak się zmuszać do wchłaniania i wydychania tego powietrza, które było ciężkie i zimne, ale tak czy inaczej nie różniło się niczym od powietrza każdej innej zimowej nocy. Powtarzał to sobie cały czas, nie był jednak pewien, czy do końca wierzy.

Strażnik nakazał im teraz trzymać się blisko siebie, aby wśród wilgotnej, mroźnej szarości każdy widział sylwetkę drugiego. Nie zwolnił jednak morderczego pędu. Oby-

dwoje, Lan i Moiraine, zdawali się pokonywać tę mgłę z taką łatwością, jakby doskonale widzieli, co jest przed nimi. Reszta mogła im tylko zaufać i jechać w ślad. I nie tracić nadziei.

Ścigające ich przenikliwe krzyki powoli zamierały, aż wreszcie ucichły, ale nie stanowiło to zbyt wielkiej pociechy. Las, farmy, księżyc i drogę jednakowo skrywała mgła. Nadal szczekały psy, głucho i daleko w szarych oparach, ale oprócz nich i monotonnego dudnienia końskich kopyt nie słychać było żadnych innych dźwięków. Nic nie zmieniło się w spopielałym od mgły otoczeniu. Przemijanie czasu oznaczał narastający w udach i plecach ból.

Rand był pewien, że jadą już od wielu godzin. Ścisnął wodze tak mocno, aż w końcu nabrał przekonania, że nigdy nie rozprostuje dłoni, nie wiedział też, czy kiedykolwiek będzie w stanie normalnie chodzić. Obejrzał się za siebie tylko raz. Ściagały go cienie otulone we mgłę, ale nawet nie potrafił określić ich liczby, ani też tego, czy to na pewno są jego koledzy. Wydawało mu się, że chłód i wilgoć przesiąkły jego płaszcz, kaftan i koszulę, docierając aż do kości. Jedynie pęd powietrza owiewający twarz oraz napinające się mięśnie konia stanowiły dowód, że w ogóle się jeszcze porusza. Na pewno minęło już wiele godzin.

— Zwolnijcie — zawołał nagle Lan. — Ściągnijcie wodze.

Rand został tak zaskoczony tym rozkazem, że pozwolił Obłokowi wepchnąć się pomiędzy Lana oraz Moiraine i gnać jeszcze przed siebie kilkanaście kroków, nim wreszcie udało się go zatrzymać.

Z obu stron, we mgle, majaczyły jakieś domy, dziwiące swą wysokością nienawykłe oko Randa. Nigdy dotąd nie widział tego miejsca, ale wiele razy słyszał jego opisy. Budynki zawdzięczały swoją wysokość potężnym fundamentom z czerwonego kamienia, które były konieczne wiosną, gdy z Gór Mgły spływał topniejący śnieg i powodował, że Taren występowała ze swoich brzegów. Dotarli do Taren Ferry.

Zbliżył się do niego Lan na swym czarnym koniu.

— Nie bądź taki szybki, pasterzu.

Bez słowa wyjaśnienia, zupełnie zmieszany Rand wrócił na swoje miejsce i razem z resztą grupy wjechał do wsi. Znowu się zaczerwienił, w tym momencie mgła okazała się zbawienna.

Na ich widok zaczął ujadać jakiś samotny pies, niewidzialny z powodu mgły, zaraz zresztą uciekł. Tu i ówdzie zapalały się światła w oknach jakichś rannych ptaszków. Oprócz szczekania psa i głuchych odgłosów kopyt żaden dźwięk nie zakłócał ostatniej godziny nocy.

Rand spotkał już kiedyś paru ludzi z Taren Ferry, teraz próbował sobie przypomnieć swoją skąpą wiedzę na ich temat. Rzadko zapuszczali się do wsi, które ich zdaniem były „gorsze” i marszczyli w nich nosy, jakby czuli jakiś nieprzyjemny zapach. Ci, których

poznał, nosili dziwaczne imiona takie jak Hilltop i Stoneboat, a wszyscy co do jednego członkowie Ludu Taren cieszyli się reputacją szalbierzy i oszustów. Mawiano, że jeśli się poda rękę komuś z Taren Ferry, to trzeba potem przeliczyć sobie palce.

Lan i Moiraine zatrzymali się przed jakimś wysokim, pociemniałym domem, który nie różnił się od pozostałych zabudowań wsi. Mgła niczym dym wirowała wokół sylwetki Strażnika, kiedy zeskakiwał z siodła i szedł po schodach do frontowych drzwi, znajdujących się na wysokości ich głów. Stał przed nimi i załomotał pięścią.

— Myślałem, że mieliśmy się zachowywać cicho — mruknął Mat.

Lan nie przestawał walić do drzwi. W oknie sąsiedniego domu pojawiło się światło, ktoś krzyknął coś gniewnie, ale Strażnik nie przestawał hałasować. Drzwi otworzyły się nagle z rozmachem i stanął w nich mężczyzna ubrany w nocną koszulę sięgającą mu do nagich kostek. Trzymał w jednej dłoni lampkę oliwną, która oświetlała jego wąską twarz obdarzoną spiczastym nosem. Wyglądał, jakby już miał wyrazić swoje oburzenie, ale jego usta pozostały niemo otwarte, a tylko wytrzeszczone oczy wbił w mgłę.

— O co chodzi? — zapytał w końcu. — O co chodzi?

Gdy w korytarzu zakłębiły się pasma mgły, pośpiesznie cofnął się przed nimi.

— Panie Hightower — powiedział Lan. — Jest pan potrzebny. Chcemy się przeprawić przez rzekę promem.

Człowiek o ostrych rysach twarzy uniósł wyżej lampę i przyglądał się im podejrzliwie. Po chwili odpowiedział zręczliwym tonem:

— Prom kursuje tylko za dnia. W żadnym przypadku nocą. I nie w takiej mgle. Wróćcie tutaj, gdy wszędzie słońce, a mgła opadnie.

Zaczął się wycofywać, ale Lan schwycił go za nadgarstek. Przewoźnik otworzył usta z wyraźnym oburzeniem, ale wtedy w świetle lampy błysnęły złote monety, które Strażnik przeliczając, wrzucał do jego dłoni. Hightower oblizywał wargi, słysząc ich brzęk, a jego głowa nachylała się coraz to bliżej do dłoni, jakby nie wierzył własnym oczom.

— I dostanie pan jeszcze raz tyle — powiedział Lan — kiedy będziemy już bezpieczni na drugim brzegu. Ale musimy odpłynąć zaraz.

— Zaraz? — Przystępując z nogi na nogę przewoźnik zagryzał dolną wargę i przewiercał swym chytrym spojrzeniem mglisty mrok, po chwili skinął usłużnie głową. — Jak zaraz to zaraz. Tylko puście mój nadgarstek, panie. Muszę obudzić pomocników. Chyba nie myślicie, że sam ciągnę swój prom, prawda?

— Będę czekał przy promie, ale bardzo krótko — odparł spokojnie Lan i puścił przewoźnika.

Hightower skinął głową na zgodę, wrzucił garść monet do swojej sakiewki i pośpiesznie zamknął za sobą drzwi.

PRZEPRAWA PRZEZ TAREN

Lan zszedł ze schodów, nakazał wszystkim zsiąść z koni i poprowadzić je w ślad za nim przez mgłę. Znowu musieli uwierzyć, że Strażnik wie, dokąd idzie. Mgła wirowała Randowi wokół kolan tak, że nie widział ani swoich stóp, ani w ogóle niczego w odległości jarda. Nie była co prawda tak gęsta jak za miastem, ale ledwie wyróżniał na jej tle sylwetki swych towarzyszy.

W dalszym ciągu nie pojawił się w mroku żaden człowiek oprócz nich. Coraz więcej świateł zapalało się w oknach, ale we mgle pobłyskiwały jedynie mętną luną. Ledwie widoczne zarysy pojedynczych domów zdawały się dryfować w morzu chmur, albo wystawały nagle z oparów, podczas gdy sąsiadujące z nimi zabudowania pozostawały ukryte, jakby były oddalone o wiele mil.

Rand szedł zupełnie zeszytywniały od długiej jazdy i zastanawiał się, czy nie ma jakiegoś sposobu, by resztę drogi do Tar Valon przejść pieszo. Naturalnie nie dlatego, że w danej chwili marsz wydawał mu się znacznie lepszy od końskiego grzbietu, ale jego stopy były chyba jedyną nie obolałą częścią ciała. A poza tym był przyzwyczajony do chodzenia pieszo.

Tylko raz ktoś odezwał się na tyle głośno, by Rand mógł go usłyszeć wyraźnie.

— Musisz się tym zająć — odpowiedziała Moiraine na jakieś niesłyszalne pytanie Lana. — Będzie pamiętał za dużo i nie ma na to rady. Jeżeli wejdę do jego umysłu...

Owładnięty złym humorem Rand wygładził swój doszczętnie przemoczony płaszcz i zbliżył się do reszty. Mat i Perrin mruczeili coś do siebie gderliwie, co jakiś czas tłumiąc gniewny okrzyk, gdy któryś z nich potykał się o jakąś nie zauważoną przeszkodę. Thom Merrillin również zrzędził: Randa dobiegły słowa typu „gorąca strawa”, „ogień” i „grzane wino”, ale ani Strażnik, ani Aes Sedai nie zwracali na to żadnej uwagi. Egwene maszerowała przed siebie bez słowa, wyprostowana i z podniesioną głową, ale równie nie przyzwyczajona do konnej jazdy, jak pozostali, zataczała się tak samo, jak oni.

„No i ma swoją przygodę” myślał pośepnie Rand, ale wątpił, czy Egwene w ogóle uważa takie drobiazgi jak mgła, wilgoć czy chłód.

Przyszło mu na myśl, że widocznie istnieje różnica w postrzeganiu świata, zależna od tego, czy się chce brać udział w przygodach, czy też jest się do tego zmuszonym. W opowieściach bardów takie galopowanie w zimnej mgle, z draghkarem, i Światłość wie z czym jeszcze na karku, brzmiałoby podniecająco. Egwene czuje może taki dreszcz podniecenia, on zaś jedynie zimno, chłód i zadowolenie, że znowu znalazł się wśród zabudowań, nawet mimo tego, że należały do Taren Ferry.

Nagle zderzył się z czymś dużym i ciepłym: był to ogier Lana. Strażnik i Moiraine zatrzymali się, za nimi stali pozostali, poklepując swe wierzchowce, aby uspokoić nie tylko je, ale i siebie samych. Mgła była tu rzadsza, dzięki czemu widzieli się odrobinę wyraźniej niż dotychczas, poza tym jednak ich otoczenie w dalszym ciągu pozostawało prawie zupełnie skryte: Nogi nadal okrywał zalegający nisko opar, podobny do szarej wody. Domów wciąż nie było widać, jakby je coś połknęło.

Rand ostrożnie podprowadził Obłoka do wąskiego przejścia i ze zdziwieniem usłyszał zgrzytanie własnych butów po drewnianych deszczułkach. Pomost promu. Wycofał się lękliwie, ciągnąc za sobą siwka. Słyszał kiedyś, że podest prowadzący do promu na rzece Taren jest jak most, który nie prowadzi donikąd prócz promu. Sama rzeka miała być szeroka i głęboka, pełna zdradzieckich wirów, które wciągały najsilniejszych pływaków. Przypuszczał, że była jeszcze rozleglejsza niż Winna Jagoda. A jeśli dodać do tego wszystkiego mgłę... Z ulgą poczuł znów pod stopami ziemię.

Nagle usłyszał ostre, ostrzegawcze psyknięcie Lana. Strażnik pokazywał mu jakieś gesty, a potem dopadł Perrina i odchylił poły płaszcza zwalistego młodzieńca, eksponując jego wielki topór. Posłusznie, choć nic nie rozumiejąc, Rand rozchylił swój płaszcz, ukazując miecz. Gdy Lan pośpiesznie wrócił do swego konia, we mgle pojawiły się rozkołysane światełka, dał się słyszeć stłumiony odgłos kroków.

W ślad za Hightowerem szło sześciu zgrzebnie ubranych mężczyzn o kamiennych twarzach. Nieśli ze sobą pochodnie, które zupełnie przepalały otaczającą ich chmurę mgły. Kiedy się zatrzymali, cała grupa z Pola Emonda była teraz jasno oświetlona, choć otaczał ją szary mur, zbyt gęsty, zdawało się, aby przeniknęły go światła. Przewoźnik przypatrywał się im wszystkim z pochyloną głową, marszcząc nos niczym łasica węsząca pułapkę. Lan dosiadł konia pozornie normalnie, ale jedną dłoń oparł wyzywającym gestem na długiej rękojeści miecza. Swym zachowaniem przypominał metalową sprężynę, która ściśnięta czeka by, zaraz odskoczyć.

Rand pośpiesznie przybrał podobną pozę jak Strażnik, kładąc również dłoń na swym mieczu, choć nie uważał, że uda mu się wyglądać równie groźnie.

„Pewnie by się śmiali, gdybym choć spróbował.”

Perrin wyciągnął swój topór z za skórzaną pętlę i stanął w rozkroku. Mat chwycił łuk, choć wątpliwe było, w jakim stanie mogła być jego cięciwa, namoknięta w wyniku długiego przebywania we mgle. Thom śmiało wystąpił do przodu, podniósł do góry dłoń

i obrócił ją wolno. Nagle zatrzepotał palcami i pomiędzy nimi wyłonił się sztylet. Złapał silnie rękojeść i z ostentacyjną nonszalancją jął sobie czyścić paznokcie.

Zachwycona Moiraine zaśmiała się gardłowo, a Egwene zaklaskała w dłonie, jakby była widzkiem świątecznego przedstawienia, zaraz jednak umilkła i spojrzała zawstydzonym wzrokiem, ściągając rozciągnięte w uśmiechu usta.

Hightower natomiast nie wydawał się wcale rozbawiony. Wpatrywał się w Thoma, a potem chrząknął głośno.

— Mówiono, że za przeprawę mamy dostać jeszcze więcej złota. — Obdarzył ich znowu ponurym, chytrym spojrzeniem. — To, co już od was dostałem, leży teraz w bezpiecznym miejscu, rozumiecie? Tam, gdzie moglibyście się do niego dostać, już nic nie ma.

— Reszta złota — powiedział Lan — trafi do waszych rąk, gdy już będziemy na drugim brzegu. — Potrząsnął lekko, zwisającą mu u pasa sakiewką, aby Hightower usłyszał brzęk monet.

Oczy przewoźnika stały się na chwilę rozbiegane, ale w końcu skinął głową.

— Niech więc tak będzie — mruknął i podszedł do pomostu, a za nim jego sześciu pomocników.

Idąc wypalali mgłę, której szare wici splatały się za ich plecami, aby szybko wypełnić pozostawioną przez nich przestrzeń. Rand wraz z pozostałymi ruszył pośpiesznie w stronę promu.

Sam prom miał kształt barki o wysokich burtach, od których odchodziły ruchome trapy. Po obu jego bokach biegły grube jak pięść liny, przymocowane do masywnych pachołków na pomoście i ginące gdzieś w mroku po drugiej stronie rzeki. Pomocnicy przewoźnika wetknęli swoje pochodnie w żelazne zaczepy w bokach promu, poczekali aż wszyscy wprowadzą na pokład konie, po czym podnieśli trap. Pokład zatrzeszczał pod końskimi kopytami i butami ludzi, a cały kadłub promu ugiął się pod ciężarem.

Hightower mruczał coś pod nosem, warkliwie nakazując uspokoić konie i stanąć na samym środku, aby nie przeszkadzać holującym. Ponaglał krzykiem swych pomocników, którzy przygotowywali prom do przeprawy, ale oni słuchali go z wyraźną niechęcią. Zresztą on sam nie był zbyt stanowczy, często urywał krzyk w połowie, aby podnieść wysoko pochodnię i z natężeniem wypatrywać czegoś we mgle. W końcu zupełnie zamilkł, przeszedł na przód promu i stamtąd obserwował rzekę. Ani drgnął, dopóki jeden z pomocników nie złapał go za ramię, podskoczył wówczas jak oparzony i spojrzał nań nieprzytomnie.

— Co? Aha. Mówisz, że gotowe? W samą porę. No dobra, człowieku, na co jeszcze czekasz? — Zamachał ramionami, nie zważając na trzymaną pochodnię i wierzgające konie. Odbijamy! Odsunąć się! Do roboty!

Mężczyzna odszedł ociężałym krokiem, a Hightower znowu zaczął wyteżać wzrok we mgle, wolną prawą dłonią gładził niespokojnie przód swego okrycia.

Odcumowany prom ruszył z szarpnięciem, dał się pochwycić silnemu nurtowi, po czym znowu drgnął, gdy zahamowały go silne liny holownicze. Pomocnicy, po trzech z każdej burty, schwycili liny i jęli z mozołem iść z nimi w tył, stękając z wysiłku, gdy wychylali się ponad szarą wodę.

Pomost zniknął, a między migoczące pochodnie na pokładzie wpełzły pasma mgły. Prąd rzeki łagodnie zakołysał barką, oprócz bezustannego dreptania pomocników ciągnących liny, nie było innych oznak życia. Nikt się nie odzywał. Wieśniacy usiłovali trzymać się środka promu. Słyszeli, że Taren jest o wiele szersza niż strumienie, do których byli przyzwyczajeni, a w wyobraźni mgła jeszcze bardziej rozciągała jej koryto.

Po jakiejś chwili Rand podszedł do Lana. Rzeki, których nie można przejść w bród, przepłynąć ani nawet ogarnąć wzrokiem, wywołują duże zdenerwowanie u kogoś, kto nigdy nie widział czegoś szerszego i głębszego niż staw w Wodnym Lesie.

— Czy oni naprawdę mogliby chcieć nas obrabować? — zapytał cicho. — Zachowywał się, jakby się bał, że to my go obrabujemy.

Strażnik przypatrzył się uważnie przewoźnikowi i jego pomocnikom, żaden z nich jednak nie podsłuchiwał. Potem spokojnym tonem odpowiedział:

— Mgła by ich kryła... cóż, w ukryciu ludzie często postępują z obcymi zupełnie inaczej, niżby się zachowali w obecności innych. A temu, który jest najbardziej skory do uczynienia zła obcemu, najszybciej przychodzi do głowy, że może się stać odwrotnie. Ten człowiek... uważam, że sprzedałby trollokom własną matkę na gulasz, gdyby zapłata była odpowiednio duża. Trochę się dziwię, że pytasz. Słyszałem, co ludzie z Pola Emonda mówią o mieszkańcach Taren Ferry.

— Tak, ale... No bo wszyscy mówią, że oni... Ale nigdy nie sądziłem, że mogliby...

Rand stwierdził, że najlepiej powinien pozbyć się przekonania, iż wie cokolwiek o ludziach spoza jego własnej wioski.

— Ale przecież on może powiedzieć Pomorowi, że przeprawialiśmy się tym promem — dodał na koniec — i w ten sposób ściągnąć na nas trolloki.

Lan zaśmiał się ochryple.

— Obrabowanie obcego to jedno, a zawieranie paktu z Półczłowiekiem to drugie. Czy uważasz, że przy takiej mgle odważyłby się przewieźć trolloki, niezależnie od tego, ile złota by mu dawały? Albo że rozmawiałby z Myrddraalem, gdyby miał jakieś inne wyjście? Od samej takiej myśli uciekałby przez miesiąc. Uważam, że nie mamy co się przejmować za bardzo Sprzymierzeńcami Ciemności w Taren Ferry. Nie tutaj. Nic nam nie grozi... przynajmniej przez jakiś czas. W każdym razie nie ze strony tej bandy. Ale bądź czujny.

Hightower przestał wpatrywać się we mgłę. Podniósł wysoko pochodnię i zwrócił swą chytrą twarz w stronę Lana i Randa, jakby po raz pierwszy wyraźnie ich zobaczył. Deski pokładu trzeszczały pod stopami holujących, z rzadka zastukało kopyto. Prze-

woźnik skrzywił się nagle, gdy zauważył, że wiedzą, iż im się przypatruje. Obrócił się szybko i znowu wbił wzrok w przeciwny brzeg, wypatrując czegoś we mgle.

— Nie mów już o tym — powiedział Lan tak cicho, że Rand ledwie go zrozumiał. — Nie trzeba mówić o trollkach, Sprzymierzeńcach Ciemności czy Ojcu Kłamstw, gdy słuchają cię obce uszy. Takie gadanie przynosi więcej zła niż smoczy kiel wyrysowany na drzwiach.

Rand nie miał ochoty dalej wypytywać. Owładnął nim nastrój jeszcze czarniejszy niż dotychczas. Sprzymierzeńcy Ciemności! Jakby nie dość było Pomorów i trollków. Trolloka przynajmniej można było odróżnić na pierwszy rzut oka.

Nagle z mgły wyłoniły się przed nimi ciemne pale. Prom uderzył z łomotem o brzeg i zaraz potem pomocnicy pośpieszyli, by zacumować liny i opuścić z hukiem trap. Mat i Perrin obwieścili głośno, że Taren nie jest ani w połowie tak szeroka, jak słyszeli. Lan sprowadził swego ogiera na ląd, za nim po trapie przeszła Moiraine i pozostali. Kiedy Rand, jako ostatni, wyprowadził z promu Obłoka, pan Hightower zawołał gniewnie:

— Hej, wy tam! A gdzie moje złoto?

— Będzie ci wypłacone.

Głos Moiraine dochodził gdzieś z mgły. Buty Randa załomotały, gdy przechodził z trapu na pomost.

— I po srebrnej marce dla każdego z twych ludzi — dodała Aes Sedai — za to, że tak szybko się uwinęli.

Przewoźnik zawahał się, podając twarz do przodu, jakby wyczuwał niebezpieczeństwo, ale wzmianka o srebrze podnieciła jego pomocników. Część z nich zatrzymała się, aby schwycić pochodnie, ale wszyscy zdążyli zbiec z trapu, zanim Hightower otworzył usta. Przewoźnik, krzywiąc się ponuro, zszedł w ślad za swoją załogą.

Kopyta Obłoka załomotały głucho, gdy Rand przeprowadzał go przez pomost. Szara mgła była tu równie gęsta, jak na rzece. U stóp pomostu, oświetlony pochodniami przewoźnika i jego kompanów, Strażnik rozdawał monety. Wszyscy pozostali, z wyjątkiem Moiraine, zbici w gromadkę oczekiwali z niepokojem końca tej operacji. Aes Sedai patrzyła na rzekę, choć Rand zasłaniał jej widok. Otulił szczelnie przemoczonym płaszczem swe dygoczące ciało. Zrozumiał, że teraz już wyjechał z Dwu Rzek na dobre i zdało mu się, iż dzieli go od rodzinnej okolicy odległość większa niż szerokość rzeki.

— Koniec — powiedział Lan, wręczając ostatnią monetę Hightowerowi. — Tak jak było umówione.

Nie schował jeszcze swej sakiewki, przewoźnik wpatrywał się w nią chciwym okiem.

Pomost zadrżał i głośno zaskrzypiał. Hightower podskoczył w miejscu i odwrócił głowę w stronę spowitego we mgłę promu. Widać było mętne i zamazane światła dwóch pochodni pozostawionych na pokładzie. Deski w podeście zastękały, po czym

dał się słyszeć trzask pękającego drewna, a bliźniacze łuny pochyliły się i zaczęły obracać. Egwene wydała z siebie niezrozumiały okrzyk, a Thom cisnął przekleństwo.

— Urwał się! — krzyknął Hightower. Schwycił ramiona dwóch pomocników i pchnął ich w stronę końca pomostu. — Prom się urwał, głupcy! Łapcie go! Łapcie go!

Poganiani przez przewoźnika mężczyźni przebiegli z rozpędu kilka kroków, po czym zatrzymali się. Białe światła na promie obracały się bardzo szybko, a po chwili przyspieszyły jeszcze. Zalegająca nad nimi mgła wirowała, tworząc kształt spirali. Pomost zadrżał, powietrze wypełnił trzask i łomot rozpadającego się promu.

— Trąba powietrzna! — wykrzyknął jeden z pomocników przerażonym głosem.

— Nie ma żadnych trąb powietrznych nad Taren. — Głos Hightowera brzmiał teraz głucho. — Nigdy tu nie było trąby powietrznej...

— Niefortunny wypadek.

Głos Moiraine tłumiała mgła, jej sylwetka wyglądała jak zwykły cień na tle rzeki.

— Rzeczywiście niefortunny — zgodził się beznamiętnie Lan. — Chyba przez jakiś czas nie będziecie mogli przewozić nikogo przez rzekę. Niedobrze, że straciliście prom, kiedyście nam usługiwali.

Sięgnął znowu do naszykowanej sakiewki.

— To powinno wynagrodzić panu stratę.

Hightower wpatrywał się przez chwilę w złoto połyskujące w świetle pochodni na dłoni Lana, a potem zgarbił się i omiół wzrokiem pozostałych pasażerów. Ledwo widoczni w tej mgle mieszkańcy Pola Emonda stali w milczeniu. Wydawszy przerażony, nieartykułowany okrzyk przewoźnik wyrwał Lanowi monety, obrócił się błyskawicznie i pobiegł przed siebie. Jego pomocnicy uciekli tuż za nim, światło ich pochodni szybko znikło.

— Nic nas tu więcej nie trzyma — powiedziała Aes Sedai, jakby nic niezwykłego się nie wydarzyło.

Prowadząc za uzdę białą klacz, ruszyła brzegiem rzeki.

Rand stał i wpatrywał się w niewidzialną rzekę. To mógł być przypadek.

„Tamten człowiek twierdził, że tu nie ma żadnych trąb powietrznych, ale przecież...”

Uświadomił sobie nagle, że wszyscy już dawno poszli. Pośpiesznie wdrapał się na łagodne zbocze brzegu.

Gdy uszedł trzy kroki, zawieszona mgła zniknęła jak nożem uciała. Rand znieruchomiał i obejrzał za siebie. Po jednej stronie niewidzialnej linii biegnącej wzdłuż nabrzeża zalegała gęsta szarość, po drugiej zaś błyszczało wyraźne nocne niebo, nadal pociemniałe, choć ostre krawędzie księżyca wskazywały, że świt jest już niedaleko.

W niewielkiej odległości od miejsca, w którym mgła się urywała, stał Strażnik rozprawiający o czymś z Aes Sedai. Pozostali tłoczyli się nie opodal w gromadzie, mimo ciemności bez trudu można było wyczuć ich zdenerwowanie. Wszystkie oczy wpatry-

wały się w Lana i Moiraine, wszyscy prócz Egwene niezdecydowanie dreptali w miejscu, jakby bojąc się zgubić tamtych dwoje i jednocześnie nie chcąc podejść do nich zbyt blisko. Rand podbiegł do Egwene, która uśmiechnęła się do niego. Wydawało mu się, że blask w jej oczach jest zbyt jasny, by mógł być zwykłym odbiciem księżyca.

— Ciągnie się wzdłuż rzeki tak równo, jak wyrysowana piórem — stwierdziła Moiraine z satysfakcją w głosie. — W całym Tar Valon nie ma nawet dziesięciu takich, które potrafią to zrobić samodzielnie i to na dodatek z grzbietu galopującego konia.

— Nie chcę się skarżyć, Moiraine Sedai — powiedział Thom z dziwnym, jak na niego, brakiem śmiałości — ale czy nie byłoby lepiej, gdyby nas kryła jeszcze jakiś czas? Powiedzmy do Baerlon? Jeżeli draghkar przeleci na tę stronę rzeki, to stracimy całą przeprawę.

— Draghkary nie są takie sprytne, panie Merrilin — skwitowała to oschle Aes Sedai. — Są przerażające i śmiertelnie niebezpieczne, mają też znakomity wzrok, ale za to niewiele inteligencji. Ten powie Myrddraalowi, że ta strona rzeki jest czysta, bo cała rzeka jest zasnuta mgłą na odległości wielu mil. Myrddraal będzie wiedział, że to mnie kosztowało dodatkowy wysiłek i założy, że uciekamy w dół rzeki, co z kolei opóźni jego pogon. Będzie musiał rozdzielić swoje oddziały. Mgła utrzyma się tak długo, że nie będzie wiedział, czy nie pokonujemy łodzią przynajmniej części drogi. Mogłam rozciągnąć tę mgłę aż do Baerlon, ale wtedy draghkar przeszuka rzekę w ciągu kilku godzin i Myrddraal będzie wiedział dokładnie, którędy podążamy.

Thom westchnął głośno i pokręcił głową.

— Przepraszam, Aes Sedai. Mam nadzieję, że cię nie obraziłem.

— Ach, Moi... ach, Aes Sedai. — Mat urwał, by przełknąć ślinę. — Prom... mhm... czyś ty... to znaczy... nie rozumiem, jak...

Głos mu zamarł i nastąpiła cisza tak głęboka, że własny oddech wydawał się Randowi najgłośniejszym dźwiękiem. Moiraine przemówiła wreszcie, wypełniając głuchą ciszę swym dobitnym głosem.

— Domagacie się wyjaśnień, ale gdybym wam tłumaczyła wszystko, co robię, nie miałabym czasu na cokolwiek innego. — W świetle księżyca Aes Sedai wydawała się jakby wyższa, prawie górowała nad nimi. — Przyjmijcie do wiadomości, że mam zamiar dowieźć was bezpiecznie do Tar Valon. Tylko to musicie wiedzieć.

— A jeśli będziemy tak tu dalej stali — wtrącił Lan — to draghkar nie będzie musiał przeszukiwać brzegów rzeki. O ile dobrze pamiętam...

Poprowadził swego konia w górę brzegu.

Rand odetchnął głęboko, jakby ruch Strażnika odblokował coś w jego piersi. Słyszał, że inni, nawet Thom, robią to samo i przypomniał sobie stare porzekadło: Lepiej napluć wilkowi w oczy, niż sprzeciwić się Aes Sedai. W każdym razie napięcie opadło, a Moiraine już nie dominowała nad wszystkimi, wszak Randowi ledwie sięgała do piersi.

— To pewnie nie możemy teraz odpocząć — powiedział Perrin z nadzieją w głosie i ziewnął.

Egwene, oparta o bok Beli, westchnęła ze zmęczenia.

Był to pierwszy odgłos, choć trochę przypominający skargę, jaki Rand usłyszał z jej strony.

„Może już zrozumiała, że to wcale nie jest taka wspaniała przygoda.”

Potem jednak zawstydził się, przypomniawszy sobie, że w odróżnieniu od niego, dziewczyna nie przespała całego dnia.

— Naprawdę potrzebujemy odpoczynku, Moiraine Sedai — powiedział. — W końcu jechaliśmy całą noc.

— No, to proponuję obejrzeć, co Lan dla nas szykuje — odparła Moiraine. — Chodźcie.

Poprowadziła ich w górę zbocza, do rosnącego tam lasu. Dzięki nagim gałęziom cienie były tam jeszcze gęstsze. Przeszedłszy dobre sto pięćdziesiąt od Taren, dotarli do czarnego kopca wznoszącego się obok polany. Dawno temu powódź podmyła i powywracała dużą grupę drzew, zbijając je w jedną wielką, zwartą masę pni. Moiraine zatrzymała się i nagle tuż nad ziemią zabłysnęło światło, dobywające się spod sterty drewna.

Spod kopca wypełził i zaraz stanął na nogi Lan trzymający w dłoni pochodnię.

— Żadnych nieproszonych gości — zapewnił. — Drewno, które tu zostawiłem, jest suche, więc rozpałałem małe ognisko. Odpocznijmy w cieple.

— Wiedzieliście, że się tu zatrzymamy? — spytała zaskoczona Egwene.

— To niezłe miejsce na postój — odparł Lan. — Lubię być przygotowany na wszelki wypadek.

Moiraine wzięła od niego latarnię.

— Czy możesz zająć się końmi? Kiedy skończysz, zrobię, co będę mogła z naszym zmęczeniem. A teraz chciałabym porozmawiać z Egwene. Egwene?

Rand obserwował obydwie kobiety, które pochyliły się i zniknęły pod wielką stertą pni. Był w niej niewielki otwór, na tyle duży, by można było wpełznąć do środka. Światło pochodni zniknęło.

Lan zabrał zapasy jedzenia i trochę owsa, ale powstrzymał ich od rozsiodływania koni. Wyciągnął natomiast postronki.

— Powinny wypoczywać bez siodła, ale gdybyśmy musieli szybko wyruszyć, nie będzie czasu na ich ponowne siodłanie.

— Zdaje się, że nie potrzebują odpoczynku — powiedział Perrin, który próbował ściągnąć torbę z jedzeniem ponad pyskiem swego konia.

Zwierzę potrząsnęło kilkakrotnie głową, zanim pozwoliło nasunąć sobie z powrotem rzemienie. Rand miał podobne kłopoty z Obłokiem, zanim udało mu się ściągnąć z niego płócienny worek.

— Niestety potrzebują — powiedział Lan. Skończył pętać swego konia i wyprostował się. — Jasne, że potrafią dalej tak pędzić, nawet jeszcze szybciej, gdyby im pozwolić, aż do chwili, w której padną martwe z wyczerpania, nawet tego nie czując. To, co robiła z nimi Moiraine było konieczne, ale wolałbym, żeby nie musiała tego robić.

Poklepał swego ogiera po karku i koń łagodnie zakołysał łbem, jakby odpowiadając na dotyk Strażnika.

— Przez kilka następnych dni musimy im pozwolić jechać wolniej, dopóki zupełnie nie odzyskają sił. Wolniej, niż bym sobie życzył. Ale przy odrobinie szczęścia to powinno wystarczyć.

— Czy to...? — Mat głośno przełknął ślinę. — Czy to samo chce zrobić z naszym zmęczeniem?

Rand poklepał Obłoka po karku i zapatrzył się w coś nie widzącym wzrokiem. Mimo tego co Moiraine zrobiła dla Tama, nie miał ochoty, żeby wykorzystywała Moc w jego przypadku: Światłości, przecież ona przyznała się do zatopienia promu.

— Mniej więcej coś takiego. — Lan zaśmiał się ochryple. — Ale wy nie musicie się przejmować, że zabiegacie się na śmierć. No chyba, że sytuacja stanie się o wiele gorsza niż teraz. Pomyślcie o tym raczej jak o dodatkowej, przespanej nocy.

Nagle od strony osłoniętej przez mgłę rzeki odezwało się echo przenikliwego wrzasku draghkara. Nawet konie zastygły z przerażenia. Po chwili powtórzyło się, znacznie bliżej, i jeszcze raz, przewiercając się przez czaszkę Randa niczym igła. Po chwili okrzyki zaczęły zamierać, aż ucichły zupełnie.

— Udało się — odetchnął Lan. — Szuka nas na rzece.

Wzruszył ramionami i nagle jego głos na powrót przybrał ton zwykłej rzeczowości.

— Wejdzmy do środka. Chętnie napiję się gorącej herbaty, coś bym też przegryzł.

Rand jako pierwszy wpełzł na czworakach przez otwór w płataninie gałęzi, za którym ciągnął się krótki tunel. Przeszedłszy go, zatrzymał się, nadal skulony. Widział przed sobą przestrzeń ograniczoną nierównymi ścianami, drewnianą jaskinię wystarczająco dużą, aby pomieścić ich wszystkich. Dach, utworzony z pni i gałęzi był tak niski, że mogły pod nim stanąć jedynie kobiety. Dym, dobywający się z paleniska utworzonego z kamieni rzecznych, unosił się w górę. Ciąg powietrza wystarczał, by cała przestrzeń była niezadymiona, lecz dach był spleciony tak gęsto, że nie przedostawał się tamtędy najmniejszy nawet poblask płomieni. Moiraine i Egwene zdjęły peleryny i teraz siedziały ze skrzyżowanymi nogami po przeciwnych stronach ogniska.

— Jedyna Moc — mówiła właśnie Moiraine — pochodzi z Prawdziwego Źródła, siły napędowej Stworzenia, siły, którą spłodził Stwórca, aby obrócić Koło Czasu.

Złożyła dłonie i wyciągnęła je przed sobą, po czym znowu rozdzieliła.

— *Saidin*, męska połowa Prawdziwego Źródła, i *saidar*, jego żeńska część, pracują wbrew sobie i jednocześnie razem, aby dostarczać tej siły. *Saidin* jest zanieczyszczony

dotykaniem Czarnego, niczym woda, po której powierzchni pływa cienka warstwa zjeł-
czalej oliwy. Woda jest nadal czysta, ale nie można jej dotknąć nie brudząc się. Bezpiecz-
nie można używać tylko *Saidara*.

Egwene siedziała plecami do Randa. Nie widział jej twarzy, pochylała się do przodu,
słuchając z uwagą.

Mat pchnął Randa od tyłu i mruknął coś, więc wszedł głębiej do jaskini. Moiraine
i Egwene zignorowały jego obecność. Mężczyźni weszli więc tłumnie do środka, pością-
gali z siebie przemoczone okrycia i rozsiedli się wokół ognia, aby ogrzać przemarznię-
te dłonie. Lan, który pojawił się ostatni, zdjął z haka w ścianie bukłaki z wodą i skórza-
ne sakwy, znalazł gdzieś czajnik i zabrał się do przygotowania herbaty. Nie zwracał uwa-
gi na to, co mówią kobiety, ale przyjaciele Randa wnet zaczęli się na nie gapić, gdy tylko
przestali ogrzewać sobie dłonie. Thom udawał, że interesuje się wyłącznie nabijaniem
bogato rzeźbionej fajki, zdradził się jednak sposobem, w jaki nachylał się ku kobietom.
Natomiast Moiraine i Egwene zachowywały się tak, jakby były same.

— Nie — odpowiedziała Moiraine na jakieś pytanie, które Rand przeoczył. — Praw-
dziwe Źródło jest niewyczerpalne, bardziej jeszcze niż rzeka, która musi napędzać
młyńskie koło. Źródło jest rzeką, Aes Sedai kołem.

— I naprawdę uważasz, że mogłabym się tego nauczyć? — spytała Egwene. Jej oży-
wiona twarz błyszczała pragnieniem. Rand nigdy nie widział jej tak pięknej, ani tak ob-
cej. — Czy ja mogę naprawdę zostać Aes Sedai?

Rand aż podskoczył, uderzając głową o niski sufit zbudowany z bali. Thom Merrillin
schwycił go za ramię i ściągnął w dół.

— Nie bądź głupcem — zgaśnił go bard. Popatrzył na obie kobiety, żadna nie zdawa-
ła się tego zauważyć, i obdarzył Randa współczującym spojrzeniem. — To już za tobą,
chłopcze.

— Dziecko — powiedziała łagodnie Moiraine. — Tylko nieliczne potrafią się na-
uczyć dotykania Prawdziwego Źródła i używania Jedynej Mocy. Niektóre potrafią ro-
bić to lepiej, inne gorzej. Ty należysz do najmniejszej grupy tych, które w ogóle nie mu-
szą się uczyć. Sama pojmiesz, jak dotykać Źródła, czy tego chcesz, czy nie chcesz. Jed-
nakże bez nauk, jakie otrzymasz w Tar Valon, nigdy nie dowiesz się, jak z niego w peł-
ni korzystać, możesz też nie przeżyć samego kontaktu. Mężczyźni, którzy się rodzą ze
zdolnością do dotykania *saidina*, umierają oczywiście, jeśli Czerwona Ajah ich nie znaj-
dzie i nie uspokoi...

Thom burknął coś z głębi gardła, a Rand poruszył się niespokojnie. Mężczyźni, o ja-
kich mówiła Aes Sedai, należeli do wyjątków — przez całe swoje życie słyszał tylko o ta-
kich trzech, i dzięki Światłości nie pochodzili z Dwu Rzek — ale zło, jakie czynili, za-
nim Aes Sedai zdążyły ich znaleźć, było zawsze tak ogromne, że wieść o nich krążyła
jak wieści o wojnie, trzęsieniu ziemi albo zrujnowanych miastach. Nigdy do końca nie

pojął, co takiego właściwie robiły Ajah. Miały rzekomo stanowić społeczności tworzące się wśród Aes Sedai, które bodajże strasznie między sobą spiskowały i waśniły, ale jedno było z całą pewnością jasne. Czerwone Ajah za swój główny obowiązek uważały zapobieganie kolejnemu Pęknięciu Świata i ścigali każdego mężczyznę, który chociażby zamarzył o władaniu Jediną Mocą. Mat i Perrin mieli takie miny, jakby nagle zapragnęli wrócić do domów i swoich łóżek.

— ...ale niektóre kobiety również umierają. Trudno zdobywać wiedzę bez przewodnika. Te, których nie udaje nam się znaleźć, często stają się... cóż, w tej części świata mogą się stawać Wiedzącymi w rodzinnych wsiach. — Aes Sedai z namysłem dobierała kolejność słów. — Dawna krew jest silna w Polu Emonda, a dawna krew śpiewa. Wiedziałam, kim jesteś, od pierwszego wejrzenia. Żadna Aes Sedai nie może stanąć w obecności kobiety, która potrafi czerpać z Prawdziwego Źródła, albo która jest bliska przemiany, i nie poczuć tego.

Włożyła dłoń do sakiewki przy pasku i wyciągnęła mały niebieski kamyczek na złotym łańcuchu, który wcześniej nosiła we włosach.

— Ty jesteś bardzo bliska przemiany, twego pierwszego dotknięcia. Będzie lepiej, jeśli cię przez to przeprowadzę. W ten sposób unikniesz... nieprzyjemnych skutków, z jakimi zmagają się te, które robią to na własną rękę.

Oczy Egwene rozszerzyły się, kiedy patrzyła na klejnot i kilkakrotnie zwilżyła wargi.

— Czy... czy w tym jest zawarta Moc?

— Oczywiście, że nie — zachnęła się Moiraine. — Rzeczy nie posiadają Mocy, dziecko. Nawet *angreal* jest tylko narzędziem. To tylko piękny niebieski kamyczek. Ale potrafi świecić. Weź go.

Ręce Egwene zadrżały, kiedy Moiraine położyła kamyczek na czubkach jej palców. Zaczęła się wzdragać, ale Aes Sedai złapała jedną dłonią jej obydwie ręce, a drugą delikatnie dotknęła jej skroni.

— Spójrz na kamień — powiedziała łagodnie Aes Sedai. Tak jest lepiej, niż majstrować przy tym samodzielnie. Oczyść swój umysł z wszystkiego, z wyjątkiem kamienia. Oczyść swój umysł i rozpuść się. Istnieje tylko ten kamień i pustka. Ja to rozpocznę. Rozpuść się i pozwól mi siebie prowadzić. Nie myśl o niczym. Rozpuść się.

Rand wbił palce w kolana, tak zaciskał szczęki, że aż go zabolowały.

„Nie może się jej udać. Nie może.”

W kamieniu rozkwitło światło, tylko jeden niebieski błysk, który zaraz znikł. Choć nie był jaśniejszy od świetlika, Rand odskoczył, jakby został oślepiony. Egwene i Moiraine wpatrywały się w kamyczek z twarzami pozbawionymi wszelkiego wyrazu. Nastąpił kolejny błysk, potem jeszcze jeden, aż w końcu lazururowe światło zaczęło pulsować niczym bicie serca.

„To dzieło Aes Sedai” — wmawiał sobie rozpaczliwie. „To robi Moiraine, nie Egwene.”

Jeden ostatni blady błysk i kamień na powrót stał się zwykłą szklaną kulką. Rand wstrzymał oddech.

Egwene przez chwilę jeszcze nie odrywała wzroku od małego kamyka, a potem spojrzała na Moiraine.

— Ja... chyba czułam... coś, ale... Może się mylisz. Przykro mi, że zmarnowałam twój czas.

— Nic nie zmarnowałaś, dziecko. — Na ustach Moiraine zakwitł uśmiech zadowolenia. — To ostatnie światło było wyłącznie twoim dziełem.

— Naprawdę? — krzyknęła Egwene, a potem na powrót spochmurniała. — Ale prawie go nie było widać.

— Teraz się zachowujesz jak głupiutka wieśniaczka. Większość tych, które przybywają do Tar Valon, musi się uczyć wiele miesięcy, zanim dokonają tego, co ty przed chwilą. Możesz daleko zająć. Może nawet zasiądziesz któregoś dnia na Tronie Amyrlin, jeśli będziesz się dużo uczyć i ciężko pracować.

— Chcesz powiedzieć...? — Egwene objęła ramionami Aes Sedai krzycząc z uniesienia — Och jakże ci dziękuję! Rand, słyszałeś? Będę Aes Sedai!

WYBORY

Zanim poszli spać, Moiraine klękała przy wszystkich po kolei i kładła im ręce na głowach. Lan burknął, że nie powinna marnować swych sił dla niego, bo to niepotrzebne, ale nawet nie próbował jej powstrzymać. Egwene cała się paliła do tego doświadczenia, Mat i Perrin wyraźnie się go bali, ale bali się też odmówić wzięcia w nim udziału. Thom wrywał się z rąk Aes Sedai, ale skarciła go spojrzeniem za tę dziecinadę i bard przeszedł przez operację z pochmurną miną. Uśmiechnęła się do niego z politowaniem. Kiedy już odjęła dłonie od jego głowy, mars na czole Thoma pogłębił się, ale rzeczywiście wyglądał na wypoczętego. Wszyscy tak wyglądali.

Rand schował się w niszy pod ścianą, gdzie miał nadzieję pozostać nie zauważony. Oczy same mu się zamykały, gdy tylko się oparł o plecionkę z gałęzi, ale zmuszał się, by patrzeć. Przycisnął do ust pięść, aby stłumić ziewanie. Odrobina snu, godzinka lub dwie, i będzie jak nowo narodzony. Moiraine jednak nie zapomniała o nim.

Drgnął, gdy poczuł chłodny dotyk jej palców na swoim czole i powiedział:

— Ja nie...

Wytrzeszczył oczy ze zdziwienia. Zmęczenie wyciekło z niego, niczym woda spływająca po zboczu, po bólu i otarciach pozostało jedynie mgliste wspomnienie, które zresztą również zniknęło. Wpatrywał się w nią z otwartymi ustami. Moiraine uśmiechnęła się tylko i cofnęła ręce.

— Już po wszystkim — powiedziała.

Kiedy wyprostowała się i wydała znużone westchnienie, przypomniało mu się, że sobie samej pomóc nie może. W istocie, wypijała tylko trochę herbaty, ale nie chciała jeść chleba, ani sera, choć Lan próbował ją namówić. Zwinęła się obok ognia i natychmiast zasnęła.

Wszyscy pozostali, z wyjątkiem Lana, ułożyli się w takich miejscach, w których mogli się swobodnie wyciągnąć i natychmiast również zapadli w sen. Rand nie rozumiał, jak to się mogło stać, bo sam czuł się jak po całej nocy spędzonej w wygodnym łóżku. Jednak gdy tylko oparł się o ścianę, osunął się w objęcia snu. Kiedy Lan obudził go jakąś godzinę później, miał wrażenie, że spał trzy dni.

Strażnik pobudził wszystkich z wyjątkiem Moiraine i stanowczo uciszał wszelkie odgłosy, które mogły ją zbudzić. Pozwolił im zresztą zostać tylko chwilę w zacisznej jaskini z drzew. Zanim słońce zdążyło przewędrować dwa dłuższe odcinki nad horyzontem, wszystkie ślady tego, że ktokolwiek się tu zatrzymywał, zostały uprzątnięte, a oni siedzieli już na koniach i jechali na północ w stronę Baerlon. Aes Sedai miała ciemne obwódki pod oczami, ale siedziała w siodle prosto i pewnie.

Gęsta mgła w postaci szarej ściany nadal wisiała nad rzeką. Przesłaniając widok na Dwie Rzeki, opierała się wszelkim wysiłkom bladego słońca, które chciało ją przepalić na wylot. Dopóki zamglony brzeg nie zniknął zupełnie z pola widzenia, Rand oglądał się stale przez ramię, mając nadzieję, że dojrzy po raz ostatni choćby i Taren Ferry.

— Nigdy nie myślałem, że odjadę tak daleko od domu — powiedział, gdy drzewa skryły wreszcie mgłę i rzekę. — Pamiętacie czasy, gdy droga do Wzgórza Czat wydawała nam się taka długa?

„To znaczy dwa dni temu, a wydaje się, że minęły już całe wieki.”

— Wrócimy za miesiąc lub dwa — stwierdził nienaturalnie swobodnym tonem Perrin. — Pomyślcie, ile będzie do opowiadania.

— Nawet trolloki nie mogą nas ścigać całą wieczność — pocieszał się Mat. — Niech szczenę, nie mogą.

Wyprostował się z ciężkim westchnieniem i znowu skulił w swym siodle, jakby nie uwierzył w żadne ze słów, które padło przed chwilą.

— Mężczyźni! — parsknęła Egwene. — Macie tę przygodę, o której zawsze trajkotali i co? Już rozmawiacie o domu.

Podniosła dumnie głowę, ale teraz, kiedy już zupełnie nie było widać Dwu Rzek, Rand posłyszał drżenie w jej głosie.

Ani Moiraine, ani Lan, nie starali się dodać im otuchy, nie padło z ich strony ani jedno słowo, zapewniające, że oczywiście wrócą do domu. Rand starał się nie myśleć, co z tego mogło wynikać. Pomimo odpoczynku miał wystarczająco dużo wątpliwości, aby dopraszać się następnych. Skuliwszy się w siodle, zaczął śnić na jawie o tym, że razem z Tamem wypasają owce na bujnej trawie pastwiska, że towarzyszą im poranne, rozśpiewane skowronki. I o wycieczce do Pola Emonda i Bel Tine takim, jakie zawsze bywało. Tańczył na Łące, nie zważając, że może mylić kroki. Udało mu się na dłuższy czas pogrążyć we wspomnieniach.

Podróż do Baerlon zabrała im prawie tydzień. Lan mruczał coś o opieszalej jeździe, ale to on narzucał tempo i zmuszał resztę do dotrzymywania kroku. Sam nie oszczędzał ani siebie, ani swego ogiera, Mandarba. Jak wyjaśnił, w Dawnej Mowie oznaczało to „Ostrze”. Strażnik pokonywał dwa razy taką odległość jak pozostali, to galopując z wyprzedzeniem w swym rozwianym, na wietrze mieniącym się płaszczu, aby dokonać zwiadu, to zostając w tyle, by sprawdzić szlak za nimi. Gdy jednak ktoś z pozosta-

łych próbował nieco przyspieszyć kroku, słyszał ostre słowa, że ma dbać o swego konia, bo ciekawe, jak da sobie radę pieszo w razie pojawienia się trolloków. Nawet Moiraine nie dyskutowała z nim i nie usiłowała go dogonić na swej białej klaczy. Klacz zwała się Aldieb, co w Dawnej Mowie oznaczało „Zachodni Wiatr”, czyli ten, który sprowadzał wiosenne deszcze.

Podczas zwiadów Strażnik ani razu nie wykrył oznak pogoni, ani zasadzki. Mówił jedynie Moiraine, co zobaczył i to tak cicho, że nie można było go podsłuchać, a Aes Sedai informowała pozostałych tylko o tym, co jej zdaniem powinni byli wiedzieć. Na początku Rand wielokrotnie oglądał się za siebie i nie on jeden był tak ostrożny. Perrin często dotykał swego topora, Mat miał przygotowaną strzałę. Ale w okolicy nie było ani śladu trolloków, ni czarnych jeźdźców, po niebie nie fruwały draghkary. Rand powoli dochodził do przekonania, że chyba udało im się uciec.

Nawet w najgęstszych partiach lasu roślinność nie była zbyt bujna. Wiatr wiejący na północ od Taren był równie silny jak w Dwu Rzekach. Gdzieś tam szary i nagi las urozmaicały kępy sosen, świerków, drzew skórzanych, osków albo wawrzynów. Jednakże nawet na najstarszych okazach nie było widać śladu liści. Jedynie na ubitych przez zimowe śniegi zbrązowiałych łąkach z rzadka wybijały się młode pędy, były to jednak głównie parzące pokrzywy, kłujące osty i cuchnące zielsko. W niektórych miejscach na nagiej ziemi lasu jeszcze leżał śnieg, tworząc szare łąchy i zaspy pod niskimi gałęziami drzew iglastych. Wszyscy jechali szczelnie opatuleni w swoje okrycia, rzadkie promienie słoneczne nie dawały bowiem żadnego ciepła, a nocny chłód przeszywał ich na wylot. Nie latały tu żadne ptaki, nawet kruki, jak w Dwu Rzekach.

Powolna jazda bez żadnego odpoczynku. Północna Droga Rand nadal tak ją nazywał, choć jak podejrzewał, od Taren mogła już zmienić nazwę — nadal biegła na północ, ale na życzenie Lana często z niej zbaczała. Całymi milami okrążali wsie, farmy, wszelkie ślady ludzkiej cywilizacji, choć było ich przecież bardzo niewiele. Przez cały pierwszy dzień Rand nie widział przy drodze żadnych oznak ludzkiej obecności w tych lasach. Miał wrażenie, że nawet kiedy doszedł do podnóża Gór Mgły, nie był tak daleko od wszelkich osiedli, jak tamtego dnia.

Widok pierwszej farmy — potężnego drewnianego domu i wysokiej zagrody dla bydła, krytych spadzistymi strzechami — był dla niego zaskoczeniem.

— Nasza wieś wygląda podobnie — stwierdził Perrin, Wyteżając wzrok w stronę oddległych zabudowań, ledwie widocznych wśród drzew. Na dziedzińcu farmy poruszali się jacyś ludzie, nie zauważając jak dotąd podróżników.

— Na pewno inaczej — sprzeciwił się Mat. — Tylko jesteśmy za daleko, aby to zobaczyć.

— Mówię ci, że jest taka sama — upierał się Perrin.

— Na pewno nie. W końcu jesteśmy na północ od Taren.

— Uciszcie się obydwaj — warknął na nich Lan. — Nie chcemy, by nas zauważono, zrozumiane? Tędy.

Skręcił między drzewami na zachód, aby okrążyć farmę.

Oglądając się za siebie, Rand pomyślał, że Perrin miał rację. Farma wyglądała tak samo, jak farmy w Polu Emonda. Widać było małego chłopca nabierającego wodę ze studni i starszego, który wyprowadzał owcę za ogrodzenie pastwiska. Stała tam nawet szopa na tytoń. Ale Mat również się nie mylił.

„Jesteśmy na północ od Taren. Tu musi być inaczej.”

Zawsze zatrzymywali się jeszcze przed zapadnięciem zmroku, aby znaleźć jakieś suche miejsce, osłonięte przed wiatrem, który ani na chwilę nie przestawał wiać, a tylko czasem zmieniał kierunek. Rozpalali w ukryciu małe ognisko i gdy herbata była gotowa, natychmiast gasili płomień, pozostawiając jedynie żar.

Podczas pierwszego takiego odpoczynku, tuż przed zachodem słońca, Lan zaczął uczyć chłopców, jak się posługiwać bronią, którą ze sobą wieźli. Na początku pokazał im, jak strzelać z łuku. Kiedy Matowi udało się z odległości stu kroków trzy razy pod rząd trafić strzałą w zgrubienie wielkości ludzkiej głowy na pękniętym pniu drzewa skórzanego, kazał pozostałym zrobić to samo. Perrin powtórzył wyczyn Mata, a Rand, wezwawszy na pomoc płomień i pustkę, skoncentrował się tak mocno, że łuk stał się jakby częścią niego — albo odwrotnie, on częścią łuku — i wbił swoje trzy strzały niemal w jedno miejsce. Mat poklepał go z uznaniem po ramieniu.

— Gdybyście wszyscy mieli łuki — rzucił oschle Strażnik, kiedy zaczęli promienieć samozadowoleniem — a trolloki podeszły tak blisko, że nie moglibyście ich użyć...

Uśmiech na ich twarzach zamarł raptownie.

— Pozwólcie, że spróbuję nauczyć was, co wtedy zrobić.

Pokazał Perrinowi, jak używać topora. Zamierzanie się takim ostrzem na kogoś lub coś, co również posiadało broń, nie przypominało wcale rąbania drewna czy wymachiwania nim dla zrobienia wrażenia. Wyznaczywszy czeladnikowi kowalskiemu serię ćwiczeń blokowania, parowania i atakowania, pokazał Randowi, jak posługiwać się mieczem. Nie chodziło o dzikie wymachiwania i cięcia, o jakich myślał Rand, lecz o gładkie ruchy, przechodzące jeden w drugi, jak w tańcu.

— Samo poruszanie ostrzem nie wystarcza — powiedział Lan — choć niektórzy tak uważają. Bardzo ważna, być może najważniejsza, jest przy tym myśl. Oczyść swój umysł, pasterzu. Pozbądź się wszelkiej nienawiści, czy strachu. Spal te uczucia. A wy dwaj też posłuchajcie. Przyda się to wam także we władaniu toporem, łukiem, włócznią, maczugą czy nawet gołymi dłońmi.

Rand wpatrywał się w niego.

— Płomień i pustka — powiedział ze zdziwieniem. — O to ci właśnie chodzi, prawda? Mój ojciec mnie tego uczył.

Strażnik obdarzył go zupełnie nieczytelnym spojrzeniem.

— Trzymaj swój miecz tak, jak ci pokazałem, pasterzu. W ciągu godziny nie mogę zrobić z brudnonogiego wieśniaka szermierza, ale może cię uchronię przed rozplątaniami sobie nogi.

Rand westchnął i wycelował przed sobą trzymany oburącz miecz. Moiraine obserwowała go z obojętną twarzą, ale następnego wieczoru kazała Lanowi kontynuować lekcje.

Wieczorny posiłek był zawsze taki sam jak obiad i śniadanie: chleb, ser i suszone mięso, tyle że wieczorem popijali go herbatą, a nie zwykłą wodą. Po kolacji Thom starał się ich zabawić. Lan nie pozwalał bardowi grać na harfie lub flecie bo — jak wyjaśniał Strażnik — lepiej było nie wywoływać poruszenia w okolicy, ale bard żonglował i opowiadał legendy „Marę i Trzech Głupich Króli”, albo którąś z setek opowieści o Anli Mądrym Doradcy, czy też coś pełnego bohaterskich wyczynów, jak „Wielkie Polowanie na Róg”, wszystkie jednak zawsze kończyły się radosnym powrotem do domu.

Mimo że wszędzie dookoła panował spokój, że wśród drzew nie pojawiały się trolloki a na niebie draghkary, Randowi zdawało się, iż cały czas sami utrzymują napięcie, a szczególnie wtedy, gdy groziło im obsunięcie się w zapomnienie.

Stało się to tego ranka, gdy Egwene przebudziła się i zaczęła rozplatać swój warkocz. Rand związał właśnie koc i obserwował ją kątem oka. Każdej nocy, po zgaszeniu ogniska, wszyscy kładli się pod kocami z wyjątkiem Egwene i Aes Sedai. Obydwie kobiety zawsze odchodziły gdzieś na bok i rozmawiały ze sobą godzinę lub dwie, a wracały, gdy już wszyscy spali. Egwene rozczesywała włosy — policzył, że pociągnęła po nich grzebieniem sto razy — podczas gdy on siodłał Obłoka i troczył torby oraz koc do jego grzbietu. Po chwili schowała grzebień, rozpuściła luźno włosy na ramionach i naciągnęła na głowę kaptur.

— Co ty robisz? — zapytał zaskoczony.

Spojrzała na niego z ukosa i nie odpowiedziała. Uświadomił sobie, że odzywa się do niej po raz pierwszy od dwóch dni, od tamtej nocy w jaskini na brzegu Taren, ale mimo to mówił dalej.

— Całe życie czekałaś, żebyś móc zaplatać włosy w warkocz, a teraz rezygnujesz z tego? Dlaczego? Bo ona swoich nie zaplata?

— Aes Sedai nie zaplatają włosów — odpowiedziała zwięźle. — Chyba, że tego sobie życzą.

— Nie jesteś Aes Sedai. Jesteś Egwene al’Vere z Pola Emonda, a kobiety z Kręgu nie-żle by się uśmieły, gdyby cię teraz zobaczyły.

— Niech cię nie obchodzą sprawy Kręgu Kobiet, Randzie al’Thor. A ja będę Aes Sedai. Jak tylko dojadę do Tar Valon.

Parsknął.

— Jak tylko dotrzesz do Tar Valon. Po co? Wyjaśnij mi to, na Światłość. Nie jesteś Sprzymierzeńcem Ciemności.

— Ty sądzisz, że Moiraine Sedai jest Sprzymierzeńcem Ciemności? Naprawdę?
— Obeszła go i stanęła naprzeciwko z zaciśniętymi pięściami, jakby chciała go uderzyć.

— Po tym, jak uratowała naszą wieś? Po tym, jak uratowała twego ojca?

— Nie wiem, kim ona jest, ale kimkolwiek by była, nie ma to nic wspólnego z pozostałymi Aes Sedai. W legendach...

— Wydorosłej wreszcie, Rand! Zapomnij o bajkach i otwórz, oczy.

— Moje oczy wdziały, jak zatapiała prom! Może temu zaprzeczysz? Jak już sobie coś wbijesz do głowy, to się tego nie pozbędziesz, nawet jak ci ktoś powie, że próbujesz stanąć na wodzie. Gdybyś nie była taką oślepioną Światłością idiotką, to byś zobaczyła...!

— Ja jestem idiotką? To pozwól, że ci coś powiem, Randzie al'Thor! To ty jesteś najdurniejszym, najbardziej...

— Czy chcecie obudzić wszystkich w promieniu dziesięciu mil? — zapytał Strażnik.

Stojąc tak z otwartymi ustami i starając się znaleźć jakieś obraźliwe słowo, Rand uświadomił sobie, że krzyczał. Oboje zresztą krzyczeli.

Egwene zaczerwieniła się aż po szyję i odwróciła się na pięcie, mruknawszy tylko:

— Mężczyźni! — co wydawało się przeznaczone również dla uszu Strażnika.

Rand ukradkiem rozejrzał się po całym obozowisku. Wszyscy patrzyli na niego, nie tylko Strażnik. Mat i Perrin mieli pobladłe twarze, Thom był tak napięty, jakby się gotował do walki. Na twarzy Aes Sedai nie było widać żadnego wyrazu, ale oczami zdawała się przewiercać mu głowę. Desperacko usiłował sobie przypomnieć, co takiego powiedział na temat Aes Sedai i Sprzymierzeńców Ciemności.

— Czas ruszać — powiedziała Moiraine.

Podeszła do swej klaczy, a Rand drżał, jakby go właśnie wypuszczono z pułapki. Zastanawiał się, czy tak przypadkiem nie było. Dwie noce później, przy płonącym słabo ognisku, Mat zlizywał właśnie okruchy sera z palców i powiedział:

— Wiecie co, wydaje mi się, że ich zgubiliśmy na dobre.

Lana przy nich nie było, po raz ostatni tego wieczora sprawdzał okolicę. Moiraine i Egwene odeszły na bok, aby odbyć kolejną rozmowę. Thom drzemał nad swoją fajką, więc chłopcy mieli całe ognisko dla siebie.

Perrin, bezmyślnie grzebiąc kijem w żarze, zauważył:

— Skoro ich zgubiliśmy, to czemu Lan ciągle chodzi na zwiady?

Prawie zasypiając Rand obrócił się plecami do ognia.

— Zgubiliśmy ich w Taren Ferry. — Mat ułożył się na plecach z palcami rozcapierzonymi nad głową i wpatrywał się w rozgwieżdżone niebo. — O ile w ogóle chodziło im o nas.

— Myślisz, że draghkar nas ścigał, bo mu się spodobaliśmy? — zapytał Perrin.

— Powiadam, że trzeba się przestać przejmować trollokami i im podobnymi — upierał się Mat, jakby Perrin nic nie powiedział — a zacząć myśleć o zwiedzaniu świata. Tu, gdzie jesteśmy, rodzą się opowieści. Jak myślisz, jak wygląda prawdziwe miasto?

— Jedziemy do Baerlon — wtrącił sennie Rand.

— Baerlon brzmi nieźle — zachnął się Mat — ale ja oglądałem starą mapę pana al'Vere. Jeżeli skręcimy na południe, gdy już dotrzemy do Caemlyn, droga nas zawieździe do Illian i jeszcze dalej.

— A co jest takiego w tym Illian? — spytał ziewając Perrin.

— W Illian przede wszystkim — odparł Mat — nie ma żadnych Aes Se...

Zapadła cisza, Rand ocknął się raptownie. Moiraine musiała im się przysłuchiwać od dłuższej chwili. Była z nią Egwene, ale uwagę przyciągała głównie Aes Sedai, stojąca na skraju łuny bijącej od ogniska. Mat leżał nadal na plecach, rozdziawiwszy usta i wpatrywał się w nią. Oczy Moiraine odbijały światło niczym ciemne, wypolerowane kamienie. Rand zaczął się nagle zastanawiać, od jak dawna tam stała.

— Chłopcy tylko... — zaczął Thom, ale Moiraine mu przerwała.

— Kilka dni wytchnienia, a wy już się chcecie poddać. — Jej opanowany, beznamiętny głos mocno kontrastował ze spojrzeniem. — Kilka spokojnych dni, a już zapominacie o wydarzeniach Zimowej Nocy.

— Nie zapomnieliśmy — zaprotestował Perrin. — To tylko...

Nadal nie podnosząc głosu, Aes Sedai zlekceważyła go tak samo jak barda.

— Tak się właśnie czujecie? Już chcecie uciekać do Illian i zapomnieć o trollokach, Półludziach i draghkarach? — Ogarnęła ich spojrzeniem. Kamienny błysk jej oczu kontrastujący ze zwykłym tonem głosu sprawiał, że Rand czuł się bardzo nieswojo, ale nie dała im szansy powiedzieć cokolwiek. — Ściga was sam Czarny, wszystkich trzech albo tylko jednego i jeśli pozwolę wam odejść, dokąd tylko zechcecie, wówczas was dopadnie. Sprzeciwiam się wszystkiemu, czego pragnie Czarny, więc słuchajcie mnie i wierzcie mym słowom. Zanim pozwolę wam wpaść w ręce Czarnego, zniszczę was osobiście.

Rand dał się przekonać właśnie tej rzeczowości. Aes Sedai gotowa była zrobić dokładnie to, co mówiła, gdyby uważała, że to konieczne. Trudno mu było zasnąć tej nocy, tak samo zresztą jak i pozostałym. Nawet bard zaczął chrapać dopiero po zagaszeniu żaru ogniska. Po raz pierwszy Moiraine nie przysłała im z pomocą.

Nocne rozmowy Egwene i Aes Sedai drażniły Randa. Kiedy znikwały w ciemności, szukając ustronnego miejsca, zastanawiał się, o czym mówią i co robią. Co Aes Sedai robiła z Egwene?

Którejś nocy poczekał, aż wszyscy mężczyźni ułożyli się do snu, a chrapanie Thoma rozbrzmiało tak głośno, że przypominało piłowanie dębowego pniaka. Wstał wtedy ostrożnie i owinał się kocem. Korzystając z umiejętności, jakich nabył podczas polo-

wań na króliki, przekradł się wśród cieni rzucanych przez księżyc i przykucnął pod potężnym drzewem skórzanym, porośniętym twardymi, szerokimi liśćmi. Był wystarczająco blisko, by słyszeć Moiraine i Egwene, które siedziały na powalonym pniu przy małej lampce.

— Pytaj — mówiła Moiraine — i jeśli będę ci mogła teraz odpowiedzieć, zrobię to. Zrozum, nie jesteś jeszcze gotowa do wielu rzeczy, których nauczyć się nie możesz, dopóki nie poznasz innych rzeczy, które z kolei wymagają nauczania się przed nimi jeszcze innych. Ale pytaj o co chcesz.

— Pięć Mocy — powiedziała powoli Egwene. — Ziemia, Wiatr, Ogień, Woda i Duch. To chyba nie jest sprawiedliwe, że mężczyźni najsprawniej władają Ziemią i Ogniem. Dlaczego przypadły im w udziale najpotężniejsze z Mocy?

Moiraine roześmiała się.

— Tak właśnie myślisz, dziecko? Czy istnieje skała tak silna, że wiatr i woda nie mogą jej zniszczyć, ogień tak silny, że woda nie może go ugasić, czy wiatr zdmuchnąć?

Egwene milczała przez jakiś czas i dłubała palcem w leśnym poszyciu.

— To... byli ci, którzy... którzy próbowali uwolnić Czarnego i Przeklętych, prawda? Mężczyźni Aes Sedai? — Zrobiła głęboki wdech i zaczęła mówić szybciej. — Kobiety nie są takie. To mężczyźni postradali rozum i rozbili świat.

— Ty się boisz — stwierdziła ponuro Moiraine. — Gdybyś nie wyjeżdżała z Pola Emonda, po jakimś czasie zostałabyś Wiedzącą. Taki był plan Nynaeve, prawda? Albo zasiadałabyś w Kręgu Kobiet i kierowałabyś wszystkimi sprawami Pola Emonda, mimo że członkom Rady Wioski wydawałoby się, że oni to robią. Ale zrobiłaś coś niewiarygodnego. Wyjechałaś z Pola Emonda, opuściłaś Dwie Rzeki w poszukiwaniu przygód. Chciałaś to zrobić i jednocześnie się boisz. I uparcie się nie zgadzasz, aby twój strach wyprowadził cię w pole. W przeciwnym razie nie pytałabyś mnie, jak zostać Aes Sedai. A w każdym razie nie wyrzekłabyś się tak łatwo obyczajów i konwencji.

— Nie — zaprotestowała Egwene. — Ja się nie boję. Naprawdę chcę zostać Aes Sedai.

— Dla ciebie lepiej jeśli się boisz, ale mam nadzieję, że nie pozbędziesz się swego przekonania. Niewiele kobiet w dzisiejszych czasach ma wystarczające zdolności, aby stać się nowicjuszkami, a jeszcze mniej ma na to ochotę. — Głos Moiraine brzmiał tak, jakby snuła te rozważania dla samej siebie. — A z pewnością nigdy nie było dwóch takich w jednej wsi. Dawna krew jest ciągle silna w Dwu Rzekach.

Ukryty w cieniach Rand poruszył się, pod jego stopą trzasnęła gałązka. Zastygł momentalnie i zlany potem wstrzymał oddech, ale żadna z kobiet nie obejrzała się za siebie.

— Dwie? — krzyknęła Egwene. — Kto jeszcze? Kari? Kari Thane? Lara Ayellan? Rozdrażniona Moiraine cmoknęła językiem, a potem odpowiedziała uroczyście:

— Musisz zapomnieć, że to powiedziałam. Obawiam się, że jej ścieżka biegnie inaczej. Zastanów się raczej nad swoją sytuacją. Nie wybrałaś łatwej drogi.

— Nie zawrócę z niej — zapewniła Egwene.

— Niech tak będzie. Ale nadal chcesz utwierdzenia, a ja nie mogę ci go dać, nie w taki sposób, jak ty chcesz.

— Nie rozumiem.

— Ty chcesz uważać, że Aes Sedai są dobre i czyste, że to ci źli mężczyźni z opowieści spowodowali Pęknięcie Świata, a nie kobiety. Cóż, rzeczywiście mężczyźni są za to odpowiedzialni, ale oni nie byli gorsi od reszty ludzi. Nie postradali zmysłów, nie byli z gruntu źli. Aes Sedai, które poznasz w Tar Valon, są również ludźmi, nie różnią się niczym od innych kobiet, z wyjątkiem pewnych darów. Są i odważne, i tchórzliwe, silne i słabe, łagodne i okrutne, uczuciowe i zimne. Przemiana w Aes Sedai nie zmieni twojej natury.

Egwene odetchnęła głęboko.

— Ja chyba bałam się właśnie tego, że Moc może mnie zmienić. Tego i trolloków. I Pomora. I... Moiraine Sedai, w imię Światłości, dlaczego trolloki napadły na Pole Emonda?

Aes Sedai obróciła głowę i spojrzała prosto w stronę kryjówki Randa. Oddech uwiązł mu w gardle, jej wzrok był teraz tak samo twardy, jak wtedy, gdy im groziła. Miał wrażenie, że potrafi nim przeniknąć bujne gałęzie skórzanego drzewa.

„Światłości, co ona robi, jeśli wykryje, że je podsłuchiwałem?”

Próbował stopić się z najgłębszymi cieniami. Nie spuszczać wzroku z kobiet, zaczepił nogą o jakąś gałąź i omal nie przewrócił się w uschły krzak, zdradzając swą obecność trzaskiem łamanych gałązek. Dysząc, stanął na czworakach, cudem chyba nie robiąc więcej hałasu. Bał się, że zdradzić go może nawet ciężki łomot serca.

„Idiota! Podsłuchiwać Aes Sedai!”

Udało mu się jakoś wślizgnąć między pozostałych śpiących. W trakcie gdy się układał pod kocem, Lan się poruszył, ale tylko po to, by się przewrócić na bok i westchnąć coś przez sen. Rand odetchnął przeciągle i bezgłośnie.

Chwilę później z mroku wyłoniła się Moiraine. Przystanęła, aby się przyjrzeć sylwetkom śpiących. Otaczała ją aureola promieni księżyca. Rand zamknął oczy i oddychał miarowo, cały czas nasłuchując, czy nie podchodzi do niego. Tak się jednak nie stało, a kiedy otworzył oczy, Aes Sedai zniknęła.

Sen, który go wreszcie zmorzył, był nierówny i pełen wywołujących pot koszmarów, w których wszyscy mężczyźni z Pola Emonda twierdzili, że są Odrodzonymi Smokami, a wszystkie kobiety nosiły we włosach niebieskie kamyki, tak jak Moiraine. Nigdy potem nie próbował już podsłuchiwać Moiraine i Egwene.

Powolna podróż trwała już szósty dzień. Nie dające ciepła słońce przesuwало się leniwie w kierunku wierzchołków drzew, a garstka rzadkich chmur, zawieszonych wysoko

na niebie, płynęła na północ. Przez chwilę wiatr wiał mocniej i Rand narzucił na ramiona pelerynę, coś do siebie mrużąc. Zastanawiał się; czy kiedykolwiek dojadą do Baerlon. Odległość, którą przebyli od rzeki, już była znacznie większa niż między Taren Ferry a Białą Rzeką, ale pytany o to Lan cały czas powtarzał, że to krótka podróż, ledwie zasługująca na miano podróży. Rand czuł się zupełnie zdezorientowany.

Z lasu przed nimi wyłonił się Lan, wracał właśnie z jednego ze swoich wypadów. Ściągnął wodze, podjechał do Moiraine i, pochyliwszy głowę, coś jej cicho tłumaczył. Rand skrzywił się, ale nie zadawał żadnych pytań. Lan po prostu udawał, że nie słyszy kierowanych do niego pytań. Spośród wszystkich jedynie Egwene wydawała się zauważyć powrót Lana, ale ona również przywykła do tego rytuału i trzymała się z dala od niego. Pod wpływem Aes Sedai Egwene zaczęła się tak zachowywać, jakby dowodziła pozostałymi mieszkańcami Pola Emonda, nie miała jednak nic do powiedzenia, gdy Strażnik składał swoje raporty. Pograżeni w milczeniu, które ogarniało ich coraz częściej, oddalali się coraz bardziej od Dwu Rzek. Mat oddał swój łuk Perrinowi i korzystając z powolnego chodu koni, żonglował trzema kamykami pod czujnym spojrzeniem Thoma Merrilina. Bard uczył ich tego każdego wieczora, w lekcjach uczestniczył również Lan.

Lan skończył opowiadać coś Moiraine, która odwróciła się, aby ogarnąć wzrokiem pozostałych. Rand próbował zachowywać się normalnie i nie sztywnieć pod jej spojrzeniem, choć miał wrażenie, że na nim spoczywało ono dłużej niż na innych, podejrzewał bowiem, że Aes Sedai wiedziała, kto ją podsłuchiwał tamtej nocy.

— Hej, Rand! — zawołał Mat. — Umiem już żonglować czterema!

Rand machnął ręką w odpowiedzi, nie oglądając się za siebie.

— Mówiłem ci, że dojdę do czterech jeszcze przed tobą. Patrz!

Wspięli się na niskie wzgórze i stamtąd, w odległości mili, wśród nagich drzew oraz wydłużających się wieczornych cieni zobaczyli Baerlon. Rand westchnął głośno, próbując się uśmiechać i patrzeć jednocześnie.

Miasto było otoczone murem z bali, wysokości prawie dwudziestu stóp i drewnianymi wieżami obserwacyjnymi. Kryte dachówką dachy zabudowań miejskich połyskiwały w zachodzącym słońcu, a z kominów unosił się dym. Kominów było całe setki, za to nie widać było żadnych strzech. Na wschód i zachód od miasta biegły szerokie drogi, a po każdej, w stronę palisady, toczyło się co najmniej kilkanaście fur i dwa razy tyle ciągnionych przez woły wozów. Wokół miasta rozsiane były farmy, najgęściej na północy, a najrzadziej na południu, gdzie rósł gęsty las.

„Jest większe niż Pole Emonda, Wzgórze Czat i Deven Ride razem wzięte! — pomyślał Rand. — Nawet gdyby dodać Taren Ferry.”

— Więc tak wygląda miasto — powiedział z podziwem Mat, wsparłszy się na karku swego konia, aby lepiej widzieć.

Perrin kręcił głową.

— Jak to może być, że tylu ludzi mieszka w jednym miejscu?

Egwene patrzyła tylko, nic nie mówiąc.

Thom Merrillin spojrział na Mata, potem przewrócił oczami i wydał usta.

— Ładne mi miasto! — parsknął.

— A ty, Rand? — zapytała Moiraine. — Co masz do powiedzenia o Baerlon?

— Myślę, że to daleko od domu. — powiedział powoli, słysząc ostry śmiech Mata.

— Będziecie musieli pojechać jeszcze dalej — powiedziała Moiraine. — Znacznie dalej. Ale nie ma innego wyjścia, chyba że chcecie uciekać i kryć się przez resztę życia. A byłoby to krótkie życie. Musicie o tym pamiętać nawet wtedy, gdy ta podróż stanie się trudna. Nie macie innego wyboru.

Rand zamienił spojrzenia z Matem i Perrinem. Sądząc po ich minach, myśleli o tym samym, co on. Jak mogła mówić o jakiejś możliwości wyboru po tym wszystkim, co im powiedziała wcześniej? „Aes Sedai wybiera za nas.”

Aes Sedai mówiła dalej, jakby ją nie dość jasno zrozumieli.

— Tutaj znowu zaczyna się niebezpieczeństwo. Uważajcie na to, co powiecie w tych murach, a przede wszystkim nie wspominajcie nic o trollokach, Półludziach i im podobnych. O samym Czarnym nawet nie wolno wam myśleć. Niektórzy ludzie w Baerlon kochają Aes Sedai jeszcze mniej niż w Polu Emonda, można tu spotkać Sprzymierzeńców Ciemności.

Egwene ze zgrozy zapało dech, a Perrin mruknął coś niesłyszalnie. Twarz Mata pobladła, ale Moiraine ciągnęła dalej spokojnie:

— Musimy przyciągać jak najmniej uwagi.

Lan zmienił swój połyskujący, szarozielony płaszcz na ciemnobrązowy, bardziej zwyczajny, choć również znakomicie skrojony i uszyty.

— Będziemy tu występować pod innymi imionami — kontynuowała Moiraine.

— Mnie będziecie nazywać Alys, a Lana panem Andra. Dobrze to sobie zapamiętajcie. Wjedźmy do tych murów, zanim złapie nas noc. Bramy Baerlon są zamknięte od zmierzchu do świtu.

Lan prowadził drogą w dół wzgórza i przez las w kierunku muru z bali. Minęli kilka oddalonych od siebie farm, nie zauważeni przez ich mieszkańców zajętych codziennymi obowiązkami i stanęli przed ciężką, drewnianą bramą zamkniętą na szeroką sztabę z czarnego żelaza. Wrota były zawarte, mimo iż słońce jeszcze nie zaszło.

Lan podjechał bliżej do palisady i pociągnął za postrzępioną linę wiszącą obok bramy. Po drugiej stronie zadźwięczał dzwonek, a zza krawędzi, wyższego od nich o dobre trzy pięćdi muru, wyłoniła się jakaś pomarszczona twarz, przesłonięta wymiętą czapką z sukna.

— Co tam znowu? O tej porze dnia już nie otwieram bramy. Za późno, powiadam. Jedźcie do bramy Waterbridge, jeśli chcecie...

Klacz Moiraine weszła w zasięg wzroku człowieka przemawiającego do nich z góry. Nagle jego zmarszczki pogłębiły się od szczerbatego uśmiechu, wyraźnie wahał się, co teraz powiedzieć.

— Nie wiedziałem, że to pani. Czekaście, już schodzę. Czekaście chwilkę. Idę, już idę.

Głowa zniknęła, ale Rand nadal słyszał stłumione okrzyki, nakazujące im poczekać tam, gdzie stoją, bo on już idzie. Prawa strona starej bramy zaczęła się powoli otwierać ze zgrzytem i znieruchomiała, gdy powstały otwór był już wystarczająco duży, aby można było przeprowadzić przezeń konia. Dozorca bramy wystawił głowę na zewnątrz, błysnął swymi dziurawymi ustami w uśmiechu i zaraz zszedł im z drogi. Moiraine wjechała tuż za Lanem, za nią Egwene.

Obłok potruchtął w ślad za Belą i Rand znalazł się na wąskiej uliczce zabudowanej wysokimi, drewnianymi ogrodzeniami i wysokimi, pozbawionymi okien spichrzami. Ich szerokie odrzwia były szczelnie pozamykane. Moiraine oraz Lan już stali na ziemi i rozmawiali ze starym dozorcą, więc Rand również zsiadł z konia.

Niski mężczyzna, ubrany w mocno połatany płaszcz i kaftan, miętosił w dłoniach czapkę i pochylał głowę, gdy mówił. Przyjrzał się pozostałym członkom gromady, którzy właśnie zsiadali z koni, i potrząsnął głową.

— Ludzie z zapadłej wsi. — Znów wyszczerzył się w uśmiechu. — Czemuż to, pani Alys, zbieracie za sobą ludzi z sianem we włosach?

Po chwili jego wzrok ogarnął również Thoma Merrilina.

— A wy nie jesteście pasterzem. Pamiętam, jak was wpuszczałem kilka dni temu. Nie lubili waszych sztuczek na wsi, prawda bardziej?

— Mam nadzieję, że zapomnicie, żeście nas tu wpuścili, panie Avin — powiedział Lan, wciskając mu do ręki monetę. — I tak samo, nas wypuścicie.

— To niepotrzebne, panie Andra. Niepotrzebne. Już żeście mi dali dużo, jakeście wtedy wyjeżdżali. Bardzo dużo. — Niemniej jednak moneta zniknęła tak zręcznie, jakby Avin sam był kuglarzem.

— Nie powiedziałem wtedy nikomu, to i teraz nie powiem. A już na pewno nie Białym Płaszczom — dokończył i zachmurzył się. Zacisnął usta, chcąc splunąć, ale pohamował się, gdy spojrzał na Moiraine.

Rand zamrugał oczami, ale nie odzywał się. Pozostali również, choć Matowi przychodziło to z trudem.

„Synowie Światłości” zdziwił się Rand.

To, co o Synach opowiadali domokrażcy, kupcy i ich strażnicy, zawierało wszelkie odcienie uczuć, od podziwu do nienawiści, ale wszyscy zgodnie twierdzili, że Synowie nienawidzili Aes Sedai równie silnie jak Sprzymierzeńców Ciemności. Zastanowił się, czy oznacza to nowe kłopoty.

— Czy Synowie są teraz w Baerlon?

— Na pewno są. — Dozorca pokiwał głową. — O ile pamiętam, przyjechali tego samego dnia, co wyście wyjechali. Nikt ich tu nie lubi. Ale większość tego nie pokazuje.

— Czy wiadomo, dlaczego tu są? — spytała Moiraine z napięciem w głosie.

— Dlaczego są tutaj? — Avin był tak zdumiony, że zapomniał pochylić głowę. — Pewnie, że wiadomo, ale zapomniałem. Byliście na wsi i pewnikiem słyszeliście tylko pobekiwanie owiec. Mówią, że tu przyjechali przez to, co się stało w Ghealdan. Smok, no wiecie, ten co tak na siebie mówi. Mówią, że on budzi zło, ja też w to wierzę, i oni chcą go zabić, tylko że on jest w Ghealdan, a nie tutaj. To tylko wymówka, aby się mieszać do cudzych spraw, tak sobie umyśliłem. Już na wielu drzwiach pojawiły się smocze kły.

Tym razem rzeczywiście splunął.

— Więc już sprawili dużo kłopotu, czy tak? — spytał Lan.

Avin potrząsnął energicznie głową i rzekł.

— Nie, żeby nie chcieli, tylko że gubernator nie ufa im już, tak samo jak ja. Nie wpuszcza ich do miasta więcej, jak po dziesięciu naraz, i to ich już tak nie złości. Jak sły-
szałem, reszta ma obóz gdzieś na północy. Ale farmerzy się na nich oglądają. Ci, którym się tu udaje wejść, skradają się w tych swoich białych płaszczach, wtykając nos do spraw uczciwych ludzi. Każą chodzić w Światłości i to jest rozkaz. Nieraz już omal nie doszło do bójki z furmanami, górnikami i hutnikami, a nawet strażnikami, ale Gubernator nie chce tu żadnych wojen, i dlatego tak jest. Jeśli oni polują na zło, to pytam, czemu nie są w Saldaei? Tam są jakieś kłopoty, jak sły-
szałem. Albo w Ghealdan? Powiadają, że tam się toczy wielka bitwa.

Moiraine cicho wciągnęła powietrze.

— Słyszałam, że Aes Sedai ciągną do Ghealdan.

— A jakże, pewnie, że jadą. — Avin znowu zaczął kiwać głową. — One pojechały do Ghealdan i od tego się zaczęła bitwa. Ludzie mówią, że te Aes Sedai zginęły. Może nawet wszystkie. Ja wiem, że niektórzy ludzie nie lubią Aes Sedai, ale pytam, kto inny może powstrzymać fałszywego Smoka? Co? I ci przekłęci durnie, którzy myślą, że mogą być męskimi Aes Sedai, czy jakoś tak. A co z nimi? Pewnie, są tacy, co mówią, znaczą się nie Białe Płaszcz, nie ja, ale inni, że może ten człowiek jest rzeczywiście Odrodzonym Smokiem. Jak sły-
szałem, potrafi co nieco robić. Używa Jedynej Mocy. Idą za nim całe tysiące.

— Nie gadajcie tak głupio — zachnął się Lan, a Avin poczuł się wyraźnie urażony.

— Ja tylko powtarzam, co sły-
szałem, nie? Tylko to, com sły-
szał, panie Andra. Powia-
dają, niektórzy, że prowadzi swoją armię na wschód i południe, w kierunku Łzy.

Jego głos nabrzmiał znaczeniem.

— Powiadają, że on ich nazywa Ludem Smoka.

— Nazwy niewiele znaczą — powiedziała spokojnie Moiraine. Jeżeli cokolwiek, co usłyszała, zaniepokoiło ją, to nie dała tego po sobie poznać. — Gdybyście zechcieli, moglibyście nazwać swego muła Ludem Smoka.

— Oj, chyba nie — Avin zachichotał. — Na pewno nie, jak te Białe Płaszczce się tu kręcą. Ale też nie myślę, że ktoś by dobrze patrzył na takie imię. Wiem, o co pani się rozchodzi, ale... nie, pani, nie mojego muła.

— Bez wątpienia roztropna decyzja — powiedziała Moiraine. — Musimy już ruszać.

— I nie martwcie się, pani — powiedział Avin głęboko skłaniając głowę. — Nikogo żem nie widział. Pomknął do bramy i parokrotnie szarpiąc jej skrzydłami zamknął ją. — Nikogo i niczego nie widziałem. Brama zamknęła się z głuchym łomotem, a Avin ściągnął kratę, pociągając za linę. — Prawdę powiedziawszy, ta brama nie była otwierana od wielu dni.

— Niech Światłość cię oświeca, Avin — powiedziała Moiraine.

Zaraz potem ruszyli w ślad za nią. Gdy Rand obejrzał się za siebie, Avin stał nadal pod bramą. Polerował monetę brzegiem płaszcza i chichotał.

Podążali wyludnionymi ulicami, tak wąskimi, że mogły się na nich zmieścić obok siebie tylko dwie fury. Otaczały je składy, a z rzadka wysokie, drewniane ogrodzenia. Rand jakiś czas jechał obok barda.

— Thom, o co tu chodzi z Łzą i Ludem Smoka? Łza to miasto nad Morzem Burz, prawda?

— Krąg Karaethon — wyjaśnił zwięźle Thom.

Rand zamrugał oczami. „Proroctwa Smoka.”

— Nikt nie opowiadał takich... historii w Dwu Rzekach. W każdym razie nie w Polu Emonda. Gdyby ktoś to spróbował zrobić, Wiedząca obdarłaby go żywcem ze skóry.

— Domyślam się, że mogłaby coś takiego zrobić — powiedział oschle Thom. Spojrzał na Moiraine idącą w przedzie obok Lana, upewnił się, że go nie słyszy i mówił dalej. — Łza jest największym portem nad Morzem Burz, a Kamień Łzy to nazwa strzegącej go forticy. Mówi się, że Kamień był pierwszą twierdzą zbudowaną po Pęknięciu Świata i przez cały ten czas nigdy się nie rozpadł w gruzy, choć niejedna armia usiłowała do tego doprowadzić. Zgodnie z jednym z Proroctw Kamień Łzy nie rozpadnie się, dopóki nie dojdzie do niego Lud Smoka. Inne z kolei twierdzi, że Kamień nigdy się nie rozpadnie, dopóki Smok nie schwyci swą dłonią Miecza Którego Nie Można Dotknąć.

Thom wykrzywił twarz.

— Upadek Kamienia będzie jednym z głównych dowodów na to, że Smok narodził się na nowo. Oby Kamień stał, póki ja nie zamienię się w proch.

— Miecz, którego nie można dotknąć?

— Tak się to nazywa. Nie wiem nawet, czy to naprawdę jest miecz. Ale cokolwiek by to było, spoczywa w Sercu Kamienia, głównej cytadeli forticy. Nikt prócz Wielkich Władców Kamienia nie może tam wchodzić, a oni nigdy nie mówią, co jest w środku. A w każdym razie nie bardom.

Rand zmarszczył brew.

— Kamień nie upadnie, dopóki Smok nie zawładnie mieczem, ale jak mógłby tego dokonać? Czyżby Smok miał być Wielkim Władcą Kamienia?

— Nie ma na to większej szansy — wyjaśnił mu z poważną miną bard. — W Łzie nienawidzi się wszystkiego, co jest Związane z Mocą, jeszcze bardziej niż w Amador, a Amador to twierdza Synów Światłości.

— No to jak może się spełnić Proroctwo? — spytał Rand. — Sam bym wolał, aby Smok nigdy się nie narodził na nowo, ale nie widzę sensu w przepowiedni, która nie może się spełnić. Wydaje się, że to opowieść, która zmusi ludzi, by myśleli, że Smok nigdy się powtórnie nie narodzi. Czy nie jest tak?

— Zadajesz mnóstwo pytań, chłopcze — powiedział Thom. — Proroctwo, które spełnia się bez trudu, nie byłoby wiele warte, prawda? — Nagle jego głos złagodniał. — Ale co tam, dojechalśmy, gdziekolwiek byśmy byli.

Lan zatrzymał się przy drewnianym ogrodzeniu, które nie różniło się niczym od tych, jakie mijali po drodze i wepchnął ostrze swego sztyletu między dwie deski. Nagle wydał pomruk satysfakcji, pociągnął i cały kawał ogrodzenia odsunął się jak brama. Zresztą, jak się zaraz okazało, istotnie była to brama, choć taka, która otwierała się tylko z jednej strony. Tak przynajmniej należało sądzić, gdy Lan odsunął sztyletem metalową zasuwę.

Moiraine natychmiast weszła przez nią, prowadząc za sobą klacz. Lan nakazał innym pójść w jej ślady, sam wszedł ostatni i zamknął za sobą bramę.

Płot krył podwórzec oberży. Rand usłyszał krzątanie i szcęk naczyń w kuchni, najbardziej jednak zadziwiła go wielkość budynku: zajmował dwa razy tyle powierzchni, co oberża „Winna Jagoda” i miał cztery piętra więcej. Ponieważ zapadał już zmierzch, co najmniej połowa okien była oświetlona. Nie mógł się nadziwić, że do jednego miasta przybywa aż tyle ludzi z zewnątrz.

Gdy tylko pojawili się na dziedzińcu, w ogromnych, łukowatych wrotach stajni stanęło trzech mężczyzn w brudnych fartuchach. Jeden z nich, żyłasty, jedyny, który nie trzymał wideł w rękach, wyszedł do nich, machając ramionami.

— Ej, wy tam! Tędy nie wolno wchodzić! Musicie wejść od frontu!

Dłoń Lana powędrowała znów do sakiewki, ale w tym samym momencie z oberży wybiegł jeszcze jeden człowiek, swą tuszą mocno przypominający pana al’Vere. Nad uszami sterczały mu kępy włosów, a śnieżnobiały fartuch obwieszczał wyraźnie, że jest to właściciel oberży.

— Wszystko w porządku, Mutch — powiedział. — Wszystko w porządku. Spodziewałem się tych gości. Zajmij się zaraz ich końmi. I to dobrze.

Mutch posępnie potarł czoło, a potem skinął w stronę swych towarzyszy. Rand oraz pozostali pośpiesznie zdjęli sakwy i koce z grzbietów koni. Oberżysta zwrócił się tymczasem do Moiraine. Złożył głęboki ukłon i przemówił do niej z szerokim uśmiechem.

— Witajcie, pani Alys. Witajcie. Cieszę się, że was widzę, panią i pana Andra. Naprawdę bardzo się cieszę. Tęskniliśmy do prześwietnych rozmów z wami. To szczerza prawda. Muszę powiedzieć, że bardzo się martwiłem, żeście pojechali na wieś. To znaczy, chciałem rzec, że pogoda zupełnie powariowała, tej nocy wilki wyły pod samym murem. — Nagle klepnął się dłońmi po okrągłym brzuchu i potrząsnął głową. — Ja tu tak gadam, zamiast zabrać was do środka. Chodźcie, chodźcie. Na pewno jesteście spragnieni ciepłej stawy i wygodnego posłania. A tutaj są one najlepsze w całym Baerlon.

— Możemy też wziąć gorącą kąpiel, prawda, panie Fitch? — spytała Moiraine.

Egwene wsparła jej słowa żarliwym — „O, tak!”

— Kąpiel? — powiedział oberżysta. — A jakże, najlepsza i najgorętsza w całym Baerlon. Chodźcie. Witajcie w „Jeleniu i Lwie”. Witajcie w Baerlon.

„JELEŃ I LEW”

Tak jak to zapowiadały dźwięki rozlegające się na dziedzińcu karczmy, w jej wnętrzu panował ogromny hałas. Podróżnicy z Pola Emonda weszli za panem Fitchem bocznymi drzwiami i od razu mieszały się z przemieszczającym w obie strony sznurem mężczyzn i kobiet ubranych w długie fartuchy, niosących w górze tace z jedzeniem i pićm. Posługacze rzucali na odczepne jakieś krótkie przeprosiny, ale żaden ani na chwilę nie zwolnił kroku. Jeden z nich przyjął pośpieszne rozkazy pana Fitcha i natychmiast gdzieś pobiegł.

— Obawiam się, że oberża jest przepełniona po same krokwie — powiedział oberżysta. — We wszystkich oberżach w mieście jest tak samo. Wraz z zimą mieliśmy... cóż, odciek się ociepliło na tyle, że ludzie mogli zejść z gór, jesteśmy zupełnie zalani, tak, to właściwe słowo, zalani przez ludzi z kopalń i hut, a wszyscy opowiadają jakieś straszne historie. O wilkach i jeszcze gorsze. Takie rzeczy, które ludzie opowiadają, kiedy przez całą zimę są odcięci od świata. Mamy tylu gości, że już chyba nikogo nie przyjmujemy. Ale wy się nie bójcie. Może tu trochę tłoczno, ale zrobię co mogę dla pani i pana Andra. I, oczywiście, dla waszych przyjaciół.

Przyjrzał się z ciekawością Randowi i pozostałym, wyjąwszy Thoma, ich ubrania zdradzały, że są wieśniakami, a z kolei Thom w swym płaszczu barda również wydawał się dziwnym towarzyszem podróży pani Alys i pana Andra.

— Zrobię, co będę mógł, na pewno dobrze tu wypoczniecie.

Rand wpatrywał się w otaczający ich rejwach i próbował nie dać się podeptać, choć posługaczom jakoś udawało się nie wpadać na niego. Myślał o panu al'Vere i jego żonie, którzy potrafili sami dać sobie radę z obsługą w oberży „Winna Jagoda”, czasem tylko prosząc o niewielką pomoc swe córki.

Mat i Perrin z zainteresowaniem wodzili wzrokiem po sali, z której dochodziły ich fale śmiechu, śpiewów i jowialnych okrzyków powitalnych, rozbrzmiewających za każdym razem, gdy otwierały się drzwi wejściowe. Strażnik mruknął, że spróbuje się czegoś wywiedzieć i z ponurym wyrazem twarzy zniknął za wahadłowymi drzwiami, wchłonięty przez falę rozbawienia.

Rand pragnął pójść za nim, ale jeszcze bardziej tęsknił za kąpielą. Chętnie by pogadał i pośmiał się z tamtymi ludźmi, rozumiał jednak, że bardziej docenią jego obecność, gdy będzie czysty. Mat i Perrin najwyraźniej dzielali te odczucia, ten pierwszy nawet drapał się ukradkiem.

— Panie Fitch — powiedziała Moiraine. — Wiem, że w Baerlon są Synowie Światła. Czy możemy spodziewać się kłopotów?

— Ależ proszę się nie martwić, pani Alys. Oni tylko znowu dokazują po swojemu, twierdzą, że w mieście jest jakaś Aes Sedai.

Moiraine uniosła brew, a oberżysta rozłożył tłuste ramiona.

— Nie martwcie się, już kiedyś tak było. W Baerlon nie ma żadnej Aes Sedai i gubernator o tym wie. Białe Płaszcz uważają, że kiedy pokażą jakąś kobietę, która ich zdaniem jest Aes Sedai, to ludzie ich wpuszczą do miasta. Cóż, myślę, że niektórzy tak by zrobili. Niektórzy tak. Ale większość wie, o co chodzi Białym Płaszczom i popiera gubernatora. Nikt nie chce krzywdy jakiejś nieszkodliwej staruszki, by Synowie mieli wymówkę do narobienia wrzawy.

— Miło mi to słyszeć — stwierdziła sucho Moiraine. Położyła dłoń na ramieniu oberżysty. — Czy Min jeszcze tu jest? Bo jeśli tak, to chciałabym z nią rozmawiać.

Rand nie usłyszał odpowiedzi pana Fitcha, zagłuszonej wejściem służących, którzy zaraz zaprowadzili ich do łaźni. Moiraine i Egwene zniknęły za uśmiechającą się usłużnie, obładowaną ręcznikami, zażywną kobietą. Bard, Rand i pozostali dwaj chłopcy poszli za szczupłym, ciemnowłosym posługaczem imieniem Ara.

Rand próbował wypytać Arę o Baerlon, ale ten, z wyjątkiem stwierdzenia, że Rand mówi z zabawnym akcentem, ledwie mu raczył odpowiadać. Potem, na widok łaźni, wszystkie myśli o rozmowie wywietrzały mu z głowy. Na wyłożonej płytkami podłodze stał krąg wysokich, miedzianych wanien, pomiędzy którymi, w samym środku pomieszczenia, znajdował się otwór ściekowy. Na stołkach obok każdej wanny leżały porządnie złożone grube ręczniki i duże kostki żółtego mydła, a na długim palenisku pod jedną ze ścian stały wielkie żelazne kotły z wodą. Przy przeciwległej ścianie znajdował się kominek, płonące w nim bierwiona dodawały ciepła.

— Prawie tak dobrze, jak w oberży „Winna Jagoda” — zauważył lojalnie, choć nieco rozmijając się z prawdą, Perrin.

Thom wybuchnął śmiechem, a Mat zakpił:

— I może jeszcze przywieźliśmy ze sobą jakiegoś Coplina, tylko że o tym nie wiemy.

Rand zrzucił z siebie płaszcz i resztę rzeczy, a Ara w tym czasie napełniał wodą cztery miedziane wanny. Kiedy ich ubrania leżały już na stołkach, posługacz postawił jeszcze przy każdym wiadro gorącej wody i warząchwie. Zrobiwszy to, usiadł przy drzwiach, oparł się o ścianę i skrzyżował ręce na piersiach, najwyraźniej zamierzając pograć się we własnych myślach.

Gdy namydlali się i spłukiwali całotygodniowy brud warzączwiami pełnymi wrzątku, rozmowa zupełnie się nie kleiła. Potem powoli, pomrukując z zachwytu, zanurzali się w wannach. Ciepłe powietrze w łaźni stało się mgliste i gorące. Przez dłuższy czas nie było słycać innych odgłosów prócz przeciągłych westchnień ulgi, które wydawali, kiedy ich napięte mięśnie rozluźniały się, a z kości uchodziło zimno, o którym przyzwyczajali się myśleć, jako o czymś niezmiennym.

— Czy potrzebujecie czegoś jeszcze? — spytał nagle Ara, który nie miał żadnego prawa mówić cokolwiek o akcencie innych ludzi, bo obydwaj z panem Fitchem mówili tak, jakby w ustach mieli pełno kaszy. — Może świeże ręczniki, albo dolać gorącej wody?

— Nic już nie trzeba — dźwięcznie odpowiedział Thom. Zamknął oczy i leniwie machnął ręką. — Idź się zabawić. Później osobiście dopatrzę, abyś dostał sowitą zapłatę za swoje usługi.

Zanurzył się głębiej w wannie, aż woda zakryła go po same oczy i nos.

Wzrok Ary powędrował w stronę stołków, na których leżały ich ubrania i pozostały dobytek. Chwilę patrzył na łuk, znacznie dłużej na miecz Randa i topór Perrina.

— Czy na wsi też są jakieś kłopoty? — zapytał nagle. — W Rzekach, czy jak wy tam zwiecie swoją okolicę?

— W Dwu Rzekach — powiedział Mat, wymawiając wyraźnie każde słowo z osobna. — Pochodzimy z Dwu Rzek. A te kłopoty, dlaczego...

— Co to znaczy też? — przerwał mu Rand. — Czy tutaj są jakieś kłopoty?

Rozkoszujący się kąpielą Perrin mruknął:

— Ale mi dobrze!

Thom uniósł się odrobinę i otworzył oczy.

— Tutaj? — zachnął się Ara. — Kłopoty? Górnicy, którzy biją się nad ranem, nie sprawiają żadnych kłopotów. Albo... — Urwał i przyglądał im się przez chwilę. — Kłopoty mają w Ghealdan — powiedział wreszcie. — Nie, pewnie nie. Nic się nie dzieje w pasterskich wioskach, co? Nikt ich nie napada. Chciałem powiedzieć, że tam jest jeszcze spokój. Ale i tak to była dziwna zima. Dziwne rzeczy się działy w górach. Słyszałem, że któregoś dnia w Saldaei pojawiły się trolloki. Ale to na Ziemiach Granicznych, prawda?

Skończył mówić, ale usta miał nadal otwarte, zamknął je po chwili, wyraźnie zdziwiony, że powiedział tak dużo.

Na dźwięk słowa trolloki Rand poczuł napięcie i próbował to ukryć, wykręcając swoją myjkę nad głową. Odprężył się, gdy Ara nadal mówił, nie wszyscy jednak trzymali usta na kłódkę.

— Trolloki? — zarechotał Mat. Rand prysnął w niego wodą, ale ten otarł ją tylko z twarzy. — Nie wiesz nawet, ile ja ci potrafię opowiedzieć o trollokach.

Thom odezwał się po raz pierwszy, odkąd wszedł do wanny.

— A może jednak nie? Już mam dosyć słuchania własnych opowieści z twoich ust.
— Thom jest bardem — wyjaśnił Perrin i Ara spojrzał na niego spode łba.
— Widziałem twój płaszcz. Będziesz tu dawał przedstawienia?
— Czekać chwilę — zaprotestował Mat. — Twierdzicie, że ja niby powtarzam opowieści Thoma? Czy wy wszyscy...?

— Po prostu nie opowiadasz ich tak dobrze jak...

Thom przerwał mu pośpiesznie Rand, a Perrin pośpieszył z pomocą:

— Stale coś zmieniasz, aby brzmiały lepiej, ale zupełnie ci to nie wychodzi.

— A poza tym wszystko ci się myli — dodał Rand. — Lepiej zostaw to Thomowi.

Wszyscy mówili tak szybko, że Ara aż rozdziawił usta. Mat też zagapił się na nich, jakby myślał, że powariowali. Rand zastanawiał się, czy nie skoczyć na niego, aby wreszcie zamilknął.

Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem i wszedł Lan z przewieszonym przez ramię brązowym płaszczem. Wniósł ze sobą powiew chłodnego powietrza, od którego para wodna przeredziła się na chwilę.

— No właśnie — powiedział Strażnik zacierając dłonie — już nie mogłem się tego doczekać.

Ara podniósł wiadro, ale Lan odprawił go gestem dłoni.

— Dziękuję, sam sobie poradzę. — Rzuciwszy płaszcz na jeden ze stołków, wypchnął posługacza z pomieszczenia, nie zważając na jego protesty i zamknął za nim drzwi. Po stał przy nich przez chwilę, nasłuchując z przekrzywioną głową, a gdy odwrócił się wreszcie w ich stronę, jego głos brzmiał twardo, a stalowy wzrok zdawał się godzić prosto w Mata. — Wróciłem w samą porę, chłopcze z farmy. Czy ty nigdy nie słuchasz tego, co się do ciebie mówi?

— Nic nie zrobiłem — wykręcał się Mat. — Chciałem mu tylko opowiedzieć o trollokach, a nie o...

Urwał i spuścił wzrok.

— Nie wolno ci opowiadać o trollokach — skarcił go Lan. — Nie wolno ci nawet o nich myśleć. — Mrucząc coś jeszcze ze złością, zaczął napełniać sobie wannę. — Na krew i popioły, lepiej zapamiętaj sobie, że Czarny ma oczy i uszy tam, gdzie się tego najmniej spodziewasz. A jeśli Synowie Światła dowiedzą się, że trolloki was ścigają, będą się aż palić, aby was dostać w swoje ręce. Dla nich to oznacza to samo, co nazwać was Sprzymierzeńcem Ciemności. Może nie jesteś do tego przyzwyczajony, ale dopóki nie dojedziemy do celu, staraj się nie decydować za siebie, chyba, że pani Alys albo ja powiemy, że masz postępować inaczej.

Mat drgnął, usłyszawszy przybrane imię Moiraine.

— Jest coś, o czym ten człowiek nie chciał nam powiedzieć — rzekł Rand. — Coś, czego się bał, ale nie chciał nic wyjaśnić.

— Prawdopodobnie chodziło mu o Synów — stwierdził Lan, dolewając sobie wody. — Większość ludzi uważa, że oni sprowadzają kłopoty. Niektórzy jednak mają odmienne zdanie, a on nie znał was na tyle, aby ryzykować. Moglibyście donieść na niego Białym Płaszczom.

Rand pokręcił głową, to miasto zdawało się być jeszcze gorsze od Taren Ferry.

— Powiedział jednak, że w... Saldaei, tak się chyba to nazywało, są trolloki — odezwał się Perrin.

Lan cisnął z hałasem puste wiadro na podłogę.

— A wy będziecie o tym stale gadać, czy tak? Na Ziemiach Granicznych zawsze są trolloki, kowalu. Zapamiętaj więc sobie łaskawie, że nie chcemy ściągać na siebie uwagi bardziej niż polne myszy. Zapamiętaj to sobie. Moiraine chce, abyście wszyscy dojechali do Tar Valon żywi i ja jej będę w tym pomagał, na ile się da, ale jeśli z waszej winy stanie się jej jakaś krzywda...

Dokończyli kąpeli, a potem ubierali się, w całkowitym milczeniu.

Kiedy wyszli z łaźni, napotkali Moiraine stojącą w końcu korytarza obok szczupłej dziewczyny, odrobinę od niej wyższej. To znaczy, Rand podejrzewał, że to jest dziewczyna, choć miała przycięte krótko włosy, a ubrana była w męską koszulę i spodnie. Moiraine powiedziała coś, dziewczyna obdarzyła mężczyzn przenikliwym spojrzeniem, potem pożegnała ją skinieniem głowy i pośpiesznie odeszła.

— Cóż, znakomicie — powiedziała Moiraine, kiedy się do niej zbliżyli — jestem pewna, że kąpiel pobudziła wasz apetyt. Pan Fitch wyznaczył dla nas oddzielną salę jadalną.

Prowadziła ich za sobą i mówiła dalej bez związku, o ich pokojach, tłoku w mieście, o tym, że oberżysta prosił, by Thom zabawił jego gości jakimiś pieśniami i opowieściami. O dziewczynie nie wspomniała ani słowem, jakby jej tam wcale nie było.

W sali jadalnej stał wypolerowany dębowy stół, otoczony kilkunastoma krzesłami, na podłodze leżał dywan. Gdy weszli do środka, zastali tam Egwene, która właśnie kończyła ogrzewać dłonie nad ogniem trzaskającym w kominku. Jej rozpuszczone na ramionach włosy błyszczały po umyciu. Rand miał mnóstwo czasu na przemyślenie różnych spraw podczas długiego milczenia w łaźni. Nasłuchawszy się przestrogi Lana, że nie mają nikomu ufać, doszedł do wniosku, że są bardzo samotni, wskazywał na to choćby fakt, iż Ara bał się im zaufać. Wydawało się, że nie mogą już polegać na nikim, prócz siebie samych, a wciąż nie był pewien, czy powinien powierzać swój los w ręce Moiraine czy Lana. Mógł wierzyć tylko swym przyjaciółom. Ale Egwene była wciąż tą samą Egwene. Moiraine twierdziła, że cała ta sprawa z dotykaniem Prawdziwego Źródła przydarzyłaby się jej i tak. Dziewczyna nie miała nad tym żadnej kontroli, a to oznaczało, że była niewinna. Tak więc była wciąż tą samą Egwene.

Otworzył usta, aby ją za wszystko przeprosić, ale Egwene zeszywniała i odwróciła się od niego, zanim zdążył coś wykrztusić. Spochmurniały wpatrywał się w jej plecy i w końcu nic nie powiedział.

„Niech tak będzie. Jeśli ona chce, żeby tak było, to ja już nic nie mogę zrobić.”

W tym samym momencie do sali wtargnął z hałasem pan Fitch, któremu towarzyszyły cztery kobiety w białych fartuchach, jedna niosła półmisek z czterema upieczonymi kurczętami, pozostałe srebra, porcelanę i przykryte miseczki. Natychmiast rozstawiły wszystko na stole, a oberżysta skłonił się przed Moiraine.

— Proszę przyjąć moje ubolewania, pani Alys, że musieliście czekać tak długo, ale przy tłoku w karczmie, aż dziw bierze, że ktokolwiek zostaje obsłużony. Obawiam się również, że jedzenie może nie być takie, jak powinno. Tylko kurczęta, odrobina rzepy, groszku i sera. Nie, tak zupełnie nie powinno być. Najmocniej przepraszam.

— Prawdziwa uczta — uśmiechnęła się Moiraine. — W takich trudnych czasach to doprawdy uczta, panie Fitch.

Oberżysta skłonił się ponownie. Jego ukłony wypadały komicznie z powodu sterczących we wszystkie strony, wiecznie rozczochranych włosów, ale uśmiechał się tak miło, że każdy, kto się teraz roześmiał, śmiał się wraz z nim, a nie z niego.

— Wielkie dzięki, pani Alys, wielkie dzięki. — Wyprostował się, zmarszczył brew i wytarł rąbkiem fartucha jakiś wymaginowany pyłek ze stołu.

— Rok temu na pewno nie podałyby wam czegoś takiego. Nie ma mowy. To wszystko przez tę zimę. Tak, tak. Moje piwnice już pustoszeją, a na rynku nic nie ma. Ale czy można winić farmerów? Przecież nie wiadomo, kiedy znów zbiorą plony. Zupełnie nie wiadomo. A wilki napełniają sobie brzuchy jagnięciną i wołowiną, które powinny trafić na ludzkie stoły, i...

Nagle uświadomił sobie, że przez jego gadanie goście nie mogą zasiąść do stołu.

— Alem się zapędził, zupełnie jak wicher. Mari, Cinda, pozwólcie tym dobrym ludziom zjeść w spokoju.

Gestem przegnał kobiety z pokoju i na koniec raz jeszcze skłonił się Moiraine.

— Mam nadzieję, że posiłek będzie wam smakował, pani Alys. Jeśli będziecie jeszcze czegoś potrzebowali, to tylko powiedzcie, a ja już wszystko załatwię. Tylko powiedzcie. To przyjemność obsługiwać panią i pana Andra. Prawdziwa przyjemność.

Raz jeszcze złożył głęboki ukłon i zamknął za sobą drzwi. Przez cały ten czas Lan opierał się o ścianę, jakby na poły śpiąc. Tuż po wyjściu oberżysty zerwał się i dwoma długimi krokami podszedł do drzwi. Przycisnął ucho do desek, słuchał z napięciem, licząc powoli do trzydziestu, po czym otworzył drzwi i wytknął głowę na korytarz.

— Nie ma nikogo — powiedział wreszcie, zamykając za sobą drzwi. — Możemy swobodnie rozmawiać.

— Wiem, że nie kazałeś ufać nikomu — odezwała się Egwene — ale jeśli podejrzewacie nawet oberżystę, to kto jeszcze pozostaje?

— Nie podejrzewam go bardziej, niż kogokolwiek innego — odparł Lan. — Ale nie ufam nikomu napotkanemu po drodze do Tar Valon, a tam podejrzewam jedynie polowę mieszkańców.

Rand zaczął się śmiać, myśląc, że Strażnik zażartował, ale zaraz zauważył zupełny brak rozbawienia na jego twarzy. Podejrzewał nawet ludzi z Tar Valon. Gdzie zatem jest bezpiecznie?

— Przesadza — uspokoiła ich Moiraine. — Pan Fitch to dobry, uczciwy i godny zaufania człowiek. Ale niestety ma zwyczaj dużo gadać, a przez to, choćby się nie wiem jak starał, może coś zdradzić jakimś złym uszom. Ja sama nigdy jeszcze nie byłam w takiej oberży, w której pokojówki nie podsłuchują pod drzwiami i nie spędzają większości czasu na plotkach zamiast na ścieleniu łóżek. Może usiądźmy, zanim wszystko nam wystygnie.

Zajęli miejsca przy stole, przy czym Moiraine usiadła na jego szczycie, a Lan naprzeciwko niej i przez jakiś czas wszyscy byli zbyt zajęci nakładaniem sobie na talerze, żeby cokolwiek mówić. Może rzeczywiście nie była to ucztą, ale po całym tygodniu jedzenia wyłącznie placków i suszonego mięsa, taką ów posiłek się wydawał.

Po jakimś czasie odezwała się Moiraine:

— Czego się dowiedziałeś we wspólnej sali?

Wszystkie noże i widelce zastygły w powietrzu, a oczy zwróciły się w stronę Strażnika.

— Niewiele dobrego — odparł Strażnik. — Avin miał rację, usłyszałem tu to samo, co on mówił. Pod Ghaeldan była bitwa i zwyciężył Logain. Krąży tu jeszcze kilkanaście innych historii, ale co do tej wszyscy się zgadzają.

Logain? To pewnie był fałszywy Smok. Rand po raz pierwszy usłyszał imię tego człowieka, a Lan mówił o nim takim tonem, jakby go znał.

— A Aes Sedai? — spytała cicho Moiraine.

— Nic nie wiem — rzekł Lan i potrząsnął głową. — Jedni twierdzą, że wszystkie zostały zabite, a drudzy, że żadna nie zginęła. — Skrzywił się z niesmakiem. — Są nawet tacy, co mówią, że przeszły na stronę Logaina. Na niczych słowach nie można polegać, a zresztą uważałem, żeby nie ujawniać zbyt dużego zainteresowania.

— To prawda — powiedziała Moiraine, — niewiele dobrego.

Westchnęła głęboko i z powrotem zajęła się jedzeniem.

— A jaka jest nasza sytuacja?

— Tutaj już jest lepiej. Żadnych dziwnych wydarzeń, żadnych obcych, którzy mogliby być Myrddraalem, a już na pewno nie było tu trolloków. A Białe Płaszczki uwijają się wokół gubernatora Adana, ponieważ chcą mu narobić trudności za odmowę współpracy. Nawet nas nie zauważą, chyba że będziemy głośno krzyczeć.

— To dobrze — powiedziała Moiraine. — To zgadza się z tym, co powiedziała pokojówka w łaźni. Plotki naprawdę czasem się przydają. — Zwróciła się teraz do reszty towarzystwa, mówiąc:

— A teraz posłuchajcie, czeka nas długa podróż, ale ostatni tydzień też nie należał do łatwych, więc proponuję, żebyśmy zostali tu przez dzisiejszą i jutrzejszą noc. Wyjedziemy pojutrze, wczesnym rankiem.

Wszyscy młodzi wyszczerzyli zęby w uśmiechu, byli w mieście po raz pierwszy. Moiraine uśmiechnęła się również, ale zapytała:

— A co na to pan Andra?

Lan wpatrywał się niewzruszenie w roześmiane twarze.

— Może tak być, o ile zapamiętają to, co im przykazałem.

Thom skrzywił się pod wąsem.

— Ci wieśniacy, puszczeni luzem w takim... mieście. — Skrzywił się znowu i pokręcił głową.

Z powodu tłoku w oberży znalazły się dla nich tylko trzy wolne pokoje, jeden dla Egwene i Moiraine, a pozostałe dwa dla mężczyzn. Rand dzielił swój z Lanem i Thomem, a był to pokój na czwartym piętrze, tuż pod zwisającym okapem. Zapadła już noc i dzięki światłu padającemu z okien oberży, przez okienko doskonale było widać podwórzec przed stajnią. W małej izdebce mieli dla siebie niewiele miejsca, choć wszystkie trzy łóżka były bardzo wąskie. I twarde, jak stwierdził Rand rzuciwszy się na jedno z nich. Zdecydowanie nie był to najlepszy z pokoi.

Thom zatrzymał się w nim tylko na chwilę, aby wyjąć z futerałów flet i harfę, i wyszedł, już po drodze ćwicząc teatralne pozy. Lan poszedł z nim.

To dziwne, pomyślał Rand, przewracając się na niewygodnym łóżku. Jeszcze tydzień temu niczym kamień szybko sturlałby się z tych schodów, aby tylko móc posłuchać barda, choćby dla samej wrzawy, jaka mu towarzyszyła. Ale już od tygodnia słuchał co wieczór opowieści Thoma i na pewno tak samo będzie jutro i pojutrze. Poza tym gorąca kąpiel rozluźniła skurcze w jego mięśniach, choć myślał, że będą go dręczyć już zawsze, a pierwszy od tygodnia gorący posiłek napełnił go uczuciem senności. Prawie zasypiając, zastanawiał się, czy Lan rzeczywiście znał fałszywego Smoka, Logaina. Mimo iż z dołu dobiegły go stłumione okrzyki ludzi witających Thoma, zasnął niemalże natychmiast.

W pełnym cieni kamiennym korytarzu panował półmrok, prócz Randa nikogo w nim nie było. Nie potrafił określić, skąd dochodzi mętne światło. Na szarych murach nie zawieszono żadnych świec, ani lamp, niczego, co mogłoby stanowić źródło bladej łuny. Wydawało się, że po prostu jest. Powietrze było nieruchome i stęchłe, a gdzieś z od dali dobiegało rytmiczne, głuche kapanie wody. Mógł być wszędzie, tylko nie w oberży.

Marszcząc się ze zdziwienia, potarł czoło. Oberża? Bolała go głowa, trudno było skupić myśli. Czy coś go wiązało z tą... oberżą? W każdym razie nie była to żadna oberża.

Zwilżył wargi językiem i zapragnął się czegoś napić. Był potwornie spragniony, wyschnięty jak pył. Dlatego gdy posłyszał odgłos kapiącej wody, postanowił coś zrobić. Nie miał przed sobą żadnego celu prócz zaspokojenia pragnienia, ruszył więc tam, skąd dobiegał monotony plusk.

Korytarz ciągnął się bardzo długo, nie krzyżując z żadnym innym, jego wystrój pozostawał niezmienny. Monotonie przerywały tylko pary zwykłych drzwi, osadzonych naprzeciwko siebie w równych odstępach. Wszystkie z obłazącego drewna, zupełnie wyschłego pomimo wilgotnego powietrza. Cienie cofały się przed Randem, ani razu nie zmieniając swych kształtów, kapanie wody cały czas słychać było z takiej samej odległości. Po dłuższej chwili postanowił nacisnąć klamkę u którychś z drzwi. Otworzyły się bez trudu, mógł wejść do ponurej, kamiennej komnaty.

W jednej ze ścian wykuty był sklepiony seria łuków otwór, wychodzący na balkon z szarego kamienia, a za nim rozciągał się widok nieba, jakiego Rand nigdy dotąd nie widział. Płynęły po nim wartko, jakby napędzane przez burzowe wiatry, czarno-, szaro-, czerwono- i pomarańczowo-pręgowane chmury, bezustannie zlewające się ze sobą. Nikt nigdy nie mógł widzieć takiego nieba, po prostu nie mogło istnieć.

Przestał wyglądać z balkonu, ale widok komnaty nie przedstawiał się lepiej. Dziwaczne łuki i kąty, kolumny, które zdawały się wyrastać z samej podłogi, jakby ten pokój sam się zupełnie przypadkowo wytopił ze skały. Jak u kowala w kuźni huczał ogień na palenisku, ale nie dawał ciepła. Kominek był zbudowany z dziwnych owalnych kamieni, kiedy patrzył na nie wprost, wydawały się normalnymi kamieniami, nie wiedzieć czemu mokrymi pomimo ognia, ale gdy spoglądał na nie kątem oka, przypominały twarze, twarze mężczyzn i kobiet wijących się w śmiertelnym bólu i krzyczących coś bezgłośnie. Krzesła z wysokimi oparciami i wypolerowany stół pośrodku pomieszczenia były zwyczajne, ale to tylko podkreślało niesamowitość całego otoczenia. Na ścianie wisiało lustro, znowuż zupełnie niezwykle. Kiedy w nie spojrział, zobaczył jedynie zamazaną plamę, w miejscu gdzie powinien znaleźć swoje odbicie, natomiast cała reszta pokoju odbijała się tak, jak powinna.

Przed kominkiem stał jakiś człowiek, Rand z początku go nie zauważył. Gdyby nie wiedział, że to niemożliwe, powiedziałaby, że człowieka nie było dopóty, dopóki na niego nie spojrział. Mężczyzna był ubrany w ciemne, znakomicie skrojone ubranie, wyraźnie wkraczał właśnie w wiek dojrzały. Rand przypuszczał, że kobiety uważałyby go za przystojnego.

— Znowu spotykamy się twarzą w twarz — powiedział mężczyzna, w tej samej chwili jego oczy i usta przekształciły się w wejścia do bezdennych jaskiń pełnych ognia.

Rand z krzykiem rzucił się do ucieczki, tak gwałtownie, że potknął się na korytarzu i wpadł na przeciwległe drzwi, otwierając je własnym ciałem. Aby nie upaść, przytrzymał się klamki i oto znowu rozglądał się wytrzeszczonymi oczyma po kamiennej komnacie, z kominkiem, z widokiem z balkonu na takie samo niesamowite niebo...

— Nie uciekniesz przede mną tak łatwo — powiedział mężczyzna.

Rand obrócił się błyskawicznie, wypadł z pokoju, tym razem starając się nie potknąć, aby nie stracić tempa. Ale nie było już wyjścia na korytarz. Zastygł w pobliżu stołu z błyszczącym blatem i patrzył na człowieka stojącego obok kominka. To i tak było lepsze niż widok kamieni w kominku, czy nieba.

— To sen — powiedział i wyprostował się. Za sobą usłyszał szcęk zamykanych drzwi. — To jakiś koszmar. Zamknął oczy, z całych sił pragnąc się obudzić. Kiedy był dzieckiem, Wiedząca mu powiedziała, że tak należy zrobić, gdy śni się koszmar.

„Jaka Wiedząca?”

Żeby choć myśli przestały mu tak umykać. Gdyby tylko głowa przestała go boleć, mógłby pomyśleć rozsądnie. Otworzył ponownie oczy. Jak przedtem był w tym samym pokoju z balkonem i niebem. A przy kominku stał ten sam mężczyzna.

— Sen, czy nie sen — przemówił mężczyzna — jakie to ma znaczenie?

Raz jeszcze, na krótką chwilę jego usta i oczy stały się otworami piekielnego ognia, rozciągającego po nieskończoność. Nie zmienił się natomiast jego głos. On sam zdawał się zupełnie nie zauważać zachodzących w nim przemian.

Rand znowu się poderwał, ale udało mu się stłumić okrzyk. „To na pewno sen.”

Znowu wycofał się w stronę drzwi, nie odrywając wzroku od człowieka przy kominku i nacisnął klamkę. Ani drgnęła, drzwi były zamknięte na klucz.

— Zdaje się, że jesteś spragniony — powiedział mężczyzna. — Napij się.

Na stole stał błyszczący złotem puchar, ozdobiony rubinami i ametystami. Stał tu już wcześniej. Rand usiłował powstrzymać dygotanie. To był tylko sen. Miał wrażenie, że usta ma pełne piachu.

— Trochę — odparł i podniósł puchar.

Mężczyzna pochylił się w jego stronę, wspierając na oparciu krzesła i przypatrywał z napięciem. Zapach korzennego wina uświadomił Randowi, jak bardzo jest spragniony, jakby nie pił nic od wielu dni.

„Czy rzeczywiście?”

Uniósł już puchar do ust, ale zatrzymał się. Spomiędzy palców mężczyzny unosiły się smugi dymu. W patrzących ostro oczach migotały płomienie.

Rand obliznął wargi i odstawił wino na stół nie kosztując go.

— Nie jestem tak spragniony, jak mi się wydawało.

Mężczyzna wyprostował się gwałtownym ruchem; na jego twarzy nie zagościł żaden grymas. Jego rozczarowanie nie mogło jednak być bardziej widoczne, niż gdyby za-

klął. Rand zastanawiał się, co było w tym winie. Ale to naturalnie było głupie pytanie. To wszystko jest snem.

„No więc dlaczego się jeszcze nie skończyło?”

— Czego chcesz? — zapytał. — Kim jesteś?

Z oczu i ust mężczyzny znowu wybuchły płomienie, Rand miał wrażenie, że słyszy wręcz ich ryk.

— Niektórzy zwaą mnie Ba'alzamon.

Rand znowu dopadł do drzwi i szarpał jak oszalały klamkę. Wszystkie myśli o snach zniknęły. Sam Czarny. Klamka nie ustępowała, ale on ją nadal naciskał.

— Czy to na pewno ty? — zapytał nagle Ba'alzamon. — Nie możesz tego wiecznie przede mną ukrywać. Nie możesz się przede mną ukryć ani na najwyższej górze, ani w najgłębszej jaskini. Znajdę każdy twój włos.

Rand obrócił się do niego twarzą, do człowieka, który twierdził, że jest Ba'alzamonem. Z trudem przełknął ślinę. Koszmar. Ostatni raz schylił się, by szarpnąć klamkę, a potem wyprostował się.

— Oczekujesz chwały? — spytał Ba'alzamon. — Władzy? Czy oni ci obiecali, że Oko Świata będzie ci służyć? Jaka to chwała czy moc należy się lalce? Sznurki, które poruszają tobą, istniały od stuleci. Twój ojciec został wybrany przez Białą Wieżę, związany jak ogier i wprowadzony na swój urząd. Twoja matka nie była niczym innym w planach jak klaczą rozplodową. A plany te prowadzą do twojej śmierci.

Rand zacisnął pięści.

— Mój ojciec jest przyzwoitym człowiekiem, a matka była dobrą kobietą. Nie waż się tak o nich mówić!

Płomienie zaśmiały się.

— Więc jednak jest w tobie trochę ducha. Może to jednak ty nim jesteś. Niewiele ci to przysporzy dobrego. Tron Amyrlin będzie cię wykorzystywać do czasu, aż pożre doszczętnie, tak jak Daviana, Yuiriana Stonebow, Guiare Amalasila i Raolina Darksbane. Tak jak wykorzystują teraz Logaina. Wykorzystają, dopóki nic z ciebie nie zostanie.

— Nie rozumiem...

Rand pokręcił głową. Tamta chwila jasnego myślenia, zrodzonego z gniewu, minęła. Gdy usiłował ponownie odwołać się do niego, nie mógł sobie przypomnieć, jak tego wcześniej dokonał. Teraz myśli wirowały. Uczepił się jednej z nich niczym tratwy podczas powodzi. Wydusił z siebie jakieś słowa, w miarę gdy mówił, jego głos stawał się silniejszy.

— Jesteś... uwięziony... w Shayol Ghul. Ty i wszyscy Przekłęci... uwięzieni przez Stwórcę aż po kres czasu.

— Kres czasu? — zadrwił Ba'alzamon. — Żyjesz jak żuk pod skałą i myślisz, że twoja szczelina jest całym wszechświatem. Śmierć czasu da mi taką moc, o jakiej ty nigdy nie mógłbyś marzyć, robaku.

— Jesteś uwięziony...

— Głupcze, nigdy mnie nie uwięziono!

Ognie w oczach rozjarzyły się tak wściekle, że Rand musiał się cofnąć i osłonić rękoma twarz. Pot ściekający z jego palców wysychał od gorąca.

— Stałem za ramieniem Lewsa Therina, Zabójcy Rodu, kiedy popełniał czyn, od którego pochodzi jego imię. To ja mu kazałem zabić własną żonę, dzieci i całą jego rodzinę, a także wszystkich, którzy go kochali, wszystkich, których sam kochał. To ja dałem mu chwilę przytomności umysłu, aby wiedział, co uczynił. Czy słyszałeś kiedykolwiek człowieka zakrzykującego swą duszę na śmierć, robaku? Wtedy mógł mnie zaatakować. Nie mógł ze mną wygrać, ale mógł spróbować. Zamiast tego wezwał tę swoją drogocenną Jedyną Moc przeciwko sobie samemu, aż ziemia otworzyła się i zrodziła Smoczą Górę, by stała się jego grobem.

Tysiąc lat później kazałem trollokom napaść na południowe ziemie i przez trzy stulecia niszczyły świat. Ci ślepi głupcy w Tar Valon twierdzili, że w końcu pobito mnie, ale Drugie Przymierze, Przymierze Dziesięciu Narodów, zostało rozbite i nigdy nie zawiązano go na nowo. Kto zatem został, aby mi się oprzeć? Szepnąłem słowo do ucha Artura Hawkwinga i jak cały kraj długi i szeroki wszystkie Aes Sedai wyginęły. Szepnąłem znowu i Wysoki Król wysłał swe wojska za ocean Aryth, za Morze Świata i przypieczętował dwa losy. Los marzenia o jednym kraju i jednym narodzie, a także jego przyszły los. Byłem przy jego łożu śmierci, kiedy doradcy powiedzieli, że tylko Aes Sedai mogą mu uratować życie. Przemówiłem do niego i skazał swych doradców na stos. Przemówiłem raz jeszcze i ostatnimi słowami Wysokiego Króla był krzyk, że trzeba zniszczyć Tar Valon.

Skoro tacy ludzie nie mogą mi się oprzeć, to jaką ty masz szansę, ty, który przypominasz ropuchę, przycupniętą obok kałuży w lesie. Musisz mi służyć, bo inaczej będziesz aż do śmierci tańczył na sznurkach Aes Sedai. A wtedy już na pewno będziesz mój. Martwi należą do mnie!

— Nie — wymamrotał Rand — to sen. To musi być sen.

— Czy myślisz, że we śnie jesteś bezpieczny? Patrz! — rozkazał Ba'alzamon i głowa Randa wbrew woli, obróciła się zgodnie z ruchem jego dłoni.

Kielich zniknął ze stołu, na jego miejscu przycupnął teraz duży szczur. Oślepiiony światłem mrugał i wahał ostrożnie powietrze. Ba'alzamon zakrzywił palec i szczur z piskiem wygiął grzbiet w łuk, wierzgnął przednimi łapami w powietrzu i chwiejnie stanął na tylnych. Palec zakrzywił się jeszcze bardziej i szczur przewrócił się na grzbiet, jak oszalały przebierał łapkami w powietrzu, piszczał przenikliwie, a jego grzbiet wyginał się coraz mocniej. W końcu coś w nim chrupnęło głośno, niczym trzask gałązki, zwierzę zadrżało gwałtownie i znieruchomiało, przełamane niemalże na pół.

Rand omal się nie udławił.

— We śnie wszystko się może wydarzyć — wymamrotał. Nie patrząc na to, co robi, uderzył pięścią w drzwi. Zaboląła go ręka, ale nie obudził się.

— No to idź do Aes Sedai! Idź do Białej Wieży i powiedz im! Opowiedz przy Tronie Amyrlin o tym... śnie. — Mężczyzna zaśmiał się. Rand poczuł ciepło płomieni na twarzy. — To jest sposób, aby od nich uciec. Wówczas cię nie wykorzystają. Nie, nie wtedy, gdy będą wiedziały, że ja wiem. Ale czy pozwolą ci żyć, rozpowszechnić prawdę o ich czynach? Czy jesteś aż takim głupcem, aby uwierzyć, że to zrobią? Popioły wielu takich jak ty zalegają stoki Smoczej Góry.

— To jest sen — powiedział Rand dysząc ciężko. — To sen i zaraz się obudzę.

— Na pewno?

Kątem oka dostrzegł, że palec mężczyzny porusza się, celując prosto w niego.

— Czy na pewno się obudzisz?

Palec zgiął się i Rand wrzasnął, gdy jego ciało wygięło się w łuk, a każdy mięsień kurczył się coraz mocniej.

— Czy kiedykolwiek się jeszcze obudzisz?

Rand leżał w ciemności, targany drgawkami, zaciskając dłonie na brzegach koca. Przez pojedyncze okno do pokoju wpadało blade światło księżyca. Na pozostałych łóżkach spoczywały cienie dwóch postaci. Jedną z nich był Thom Merrilin słychać było chrapanie przypominające darcie płótna. Wśród popiołów na palenisku jarzyło się jeszcze kilka węgla.

A więc to jednak był sen, taki sam jak tamten koszmar w oberży „Winna Jagoda”, w dzień Bel Tine. Wszystko, co kiedykolwiek usłyszał lub zrobił, zlało się ze starymi opowieściami i bzdurami, które nie wiadomo skąd znał. Naciągnął wyżej koc, choć to nie chłód wywoływał dreszcze. Bolała go głowa. Może Moiraine będzie umiała coś zrobić, aby już więcej nie miał takich snów.

„Powiedziała, że potrafi zaradzić czemuś takiemu.” Zachnął się i przewrócił na bok. Czy te sny są naprawdę takie straszne, żeby aż wołać na pomoc Aes Sedai? A z drugiej strony, czy mógł zrobić coś jeszcze gorszego, niż robił teraz? Wyjechał z Dwu Rzek u boku Aes Sedai. Ale naturalnie nie miał innego wyjścia. Czy teraz mógł jej zaufać? Zawierzyć Aes Sedai? Myśl o tym wydawała mu się równie straszna jak sny. Skulił się pod kocem i tak, jak go uczył Tam usiłował odnaleźć spokój w pustce, sen jednak długo nie nadchodził.

OBCY I PRZYJACIELE

Promienie słoneczne zlewające się na łóżko Randa obudziły go wreszcie z głębokiego, choć niespokojnego snu. Nakrył głowę poduszką, ale światło wciąż go raziło, zresztą nie chciał już dłużej spać. Po tym pierwszym śnie opadły go jeszcze inne, mimo iż nie zapamiętał ich, miał już dosyć dręczących wizji.

Z westchnieniem odrzucił poduszkę na bok, przeciągnął się i usiadł. Na powrót poczuł ból we wszystkich mięśniach, choć przedtem sądził, że kąpiel go wypędziła. Bolała go również głowa. Nic dziwnego, po takim śnie każdy by miał migrenę. Wspomnienie pozostałych koszmarów rozwiało się, natrętna pamięć wciąż podsuwała obrazy spotkania z Shai'tanem.

Pozostałe łóżka były puste. Światło ukośnie wlewało się przez okno, słońce stało już wysoko na horyzoncie. O tej porze na farmie, już dawno byłby po śniadaniu, krzątając się przy codziennych obowiązkach. Wygramolił się z łóżka, mruczając coś do siebie ze złością. Trzeba było zwiedzić miasto, a oni go nawet nie obudzili. Chociaż tyle, że ktoś dopilnował, by znalazła się dla niego woda w dzbanie, nawet jeszcze ciepła.

Umył się i ubrał pośpiesznie, wahając chwilę, czy przypasać miecz Tama. Lan i Thom zostawili swoje sakwy i koce w pokoju, ale broni Strażnika nigdzie nie było widać. W Polu Emonda Lan zawsze nosił ją przy sobie, nawet jeśli nie miał po temu żadnych widocznych powodów. Rand pomyślał, że nie zaszkodzi naśladować tamtego i, wmawiając sobie, że nie powodują nim dawne marzenia o paradowaniu po ulicach prawdziwego miasta z mieczem, przypasał go sobie, a płaszcz przerzucił przez ramię.

Przeskakując po dwa stopnie, zbiegł do kuchni. Uznał, że stanowi ona z pewnością najzupełniej odpowiednie miejsce, w którym można naprędce coś przegryźć. Na pobyt w Baerlon przeznaczyli wszak tylko jeden dzień, a czas uciekał.

„Krew i popioły, naprawdę mogli mnie obudzić.”

W kuchni zastał pana Fitch, który właśnie kłócił się z zażywną kobietą o rękach ubielonych mąką po łokcie. Najwyraźniej była to kucharka i właściwie to ona kłóciła się z oberżystą i wygrażała mu palcem przed samym nosem. Pokojówki, pomywaczki, bufetowi i chłopcy pomagający przy różnie uwijali się przy swoich obowiązkach, starannie unikając szalejącej obok nich burzy.

— ...mój Cirri to dobry kot — dowodziła ostrym tonem kucharka — i nie chcę sły-
szyć na jego temat nic złego, zrozumieliście? Moim zdaniem, wam się nie podoba, że on
wykonuje swą pracę aż za dobrze.

— Miałem skargi — wtrącił się w ten potok słów pan Fitch. — Skargi, paniusiu. Po-
łowa gości...

— Nie będę tego słuchać. Nie będę i już. Jeśli oni chcą się skarżyć na mojego kota, to
niech sami sobie gotują. Moja biedna, stara kocina, kto będzie tu za ciebie pracował, ty
i ja, dwa biedactwa, odejdziemy stąd tam, gdzie nas lepiej docenia, a wtedy zobaczycie.

Rozwiązała fartuch i zaczęła go zdejmować przez głowę.

— Nie! — wrzasnął Fitch i skoczył, aby ją powstrzymać. Oboje zaczęli kręcić się
w kółko — kucharka usiłowała zdjąć fartuch, a on próbował jej w tym przeszkodzić.

— Nie, Saro — wydyszał. — Nie trzeba. Powiadam, nie trzeba! Co ja bym bez ciebie
zrobił? Cirri to świetny kot. Znakomity kot. To najlepszy kot w całym Baerlon. Jeśli ktoś
jeszcze się poskarży, to rozkażę mu, by podziękował kotu za jego pracę. Tak właśnie, po-
dziękować. Nie wolno ci odejść. Saro? Saro!

Kucharka przestała biegać w kółko, udało się jej wyrwać fartuch z rąk oberżysty.

— No już dobrze. Dobrze.

Ścisnęła fartuch, ale jeszcze go nie zawiązała.

— Ale jeśli chcecie, aby coś dzisiaj było na obiad, to lepiej się stąd wynieście, żebym
coś mogła uszykować. Chyba, że sami zabierzecie się za gotowanie?

Udała, że wręcza mu fartuch. Pan Fitch cofnął się, rozkładając szeroko ręce. Otwo-
rzył usta, a potem zatrzymał się i rozejrzał po swym otoczeniu, jakby widział je po raz
pierwszy. Pozostałe kobiety nadal ignorowały kucharkę i oberżystę, a Rand zaczął in-
tensywnie przeszukiwać kieszenie płaszcza. Z wyjątkiem monety, którą dostał od Mo-
iraine, znalazł tylko parę miedziaków i garść śmieci: nóż, kamyk do ostrzenia, dwie za-
pasowe ścięwy do łuku oraz kawałek sznurka, z rodzaju tych, które zawsze mogą się do
czegoś przydać.

— Jestem pewien, Saro — zaryzykował Fitch — że wszystko pójdzie po twojej my-
śli.

Powiedziawszy to jeszcze raz spojrzął podejrzliwie na posługaczki, a potem wyszedł
z największym dostojeństwem, na jakie go było w tej sytuacji stać.

Sara czekała, aż wyjdzie, po czym szybko zawiązała tasiemki przy fartuchu, potem jej
wzrok padł na Randa.

— Pewnie chcesz coś zjeść, co? No wejdź tutaj. — Uśmiechnęła się do niego przelot-
nie. — Przecież ja nie gryzę, wbrew temu co mogłeś widzieć przed chwilą. Ciel, przy-
nieś temu chłopcu chleba, sera i mleka. To wszystko, co mam teraz pod ręką. Siądź sobie
gdzieś, chłopcze. Twój przyjaciele już wszyscy wyszli, z wyjątkiem jednego, który chyba
nie czuje się dobrze. Ty pewnie też chciałbyś pójść do miasta.

Jedna ze służących przyniosła tacę, Rand usiadł przy stole. Jadł i słuchał kucharki, która wróciła do zagniatania ciasta na chleb, nie przerywając potoku wymowy:

— Nie zważaj na to, co widziałeś. Pan Fitch to dobry człowiek, tyle że uległy. Ludzie się skarżą, on się denerwuje, a czy są powody do skarg? Czy lepiej znajdować żywe szczury zamiast martwych? Chociaż ja nie wierzę, że to Cirri zostawił swoje łupy. I to kilka sztuk od razu? Cirri nie wpuściłby ich do oberży, na pewno nie. To porządny lokal, a nie jakaś spelunka. A jeszcze... wszystkie miały połamane grzbiety.

Pokręciła głową ze zdziwieniem.

Zamiast smaku chleba i sera Rand poczuł w ustach popiół.

— Miały połamane grzbiety?

Kucharka machnęła umączoną dłonią.

— Lepiej myśleć o weselszych rzeczach, takie jest moje zdanie. W ogólnej sali występuje właśnie bard. Ale ty przecież z nim przyjechałeś, prawda? Należysz do grupy pani Alys? Tak myślałam. Sama chyba nie będę miała okazji, żeby popatrzeć na tego barda, bo oberża jest pełna, sama hołota z kopalń. — Uderzyła w ciasto ze szczególnie głośnym łomotem. — Normalnie takich tu nie wpuszczamy, pełno ich w całym mieście. Ale i tak są lepsi od niektórych. Nie widziałam żadnego barda od zeszłej zimy i...

Rand jadł mechanicznie, nie czując żadnego smaku i nie słuchając kucharki. Martwe szczury, wszystkie z połamanymi grzbietami. Pośpiesznie skończył śniadanie, wyjąkał jakieś podziękowania i wypadł z kuchni. Musiał z kimś porozmawiać.

Ogólna sala w „Jeleniu i Lwie”, poza swym przeznaczeniem, miała niewiele wspólnego z salą w oberży „Winna Jagoda”. Była dwa razy szersza i trzy razy dłuższa, jej ściany ozdabiały malunki przedstawiające bogato ozdobione budowle otoczone wysokimi drzewami i kolorowymi kwiatami. Zamiast jednego ogromnego kominka, pod każdą ścianą znajdowało się palenisko, stołów było kilkanaście, prawie każde krzesło, ława czy stołek zostały już zajęte.

Wszyscy goście z fajkami w zębach i kuflami w dłoniach siedzieli pochyleni do przodu, zafascynowani przedstawieniem pośrodku sali na stole stał Thom, a na krześle obok leżał ciśnięty niedbale jego wielobarwny płaszcz. Nawet pan Fitch znieruchomiał z zamkniętym, srebrnym kuflem w jednej dłoni i szmatką do polerowania w drugiej.

— ...cwał, srebrne podkowy i dumne, wygięte w łuk karki — recytował Thom, wyraźnie naśladując nie tylko samą jazdę na koniu, lecz przynależność do całej procesji jeźdźców. — Trzepoczą jedwabiste grzywy rozkołysanych łbów. Tysiące rozwianych sztandarów biczuje tęcze na bezkresnym niebie. W powietrzu drży dźwięk mosiężnych trąb, a bębny łomoczą niczym grom. Słyszać fale wiwatów tysięcy widzów, ich okrzyk przetacza się po dachach i wieżach Illian, by paść i rozbić się, nie docierając do uszu tysięcy jeźdźców, których oczy i serca rozświecila święta misja. Oto zaczyna się Wielkie Polowanie na Róg, poszukiwanie Rogu Valere, który wezwie z grobów bohaterów Wieków, aby walczyli o Światłość...

Podczas wieczorów, które spędzali przy ogniskach, bard nazywał to prostą recytacją. Twierdził, że opowieści można wygłaszać trzema stylami: wzniosłym, prostym i potocznym, ten ostatni określał sposób, w jaki można było opowiedzieć sąsiadowi o swoich zbiorach. Thom opowiadał im swoje opowieści używając recytacji potocznej, nie taił jednak przy tym pogardy.

Rand zamknął drzwi, nie wchodząc do środka. Oparł się o ścianę. Thom nic mu nie będzie umiał poradzić. Moiraine co ona by zrobiła, gdyby wiedziała?

Zauważył nagle, że mijający go ludzie przypatrują mu się dziwnie i pojął, że musiał mówić na głos. Poprawił płaszcz i wyprostował się. Musi z kimś porozmawiać. Kucharka powiedziała, że ktoś z ich grupy pozostał w oberży. Z trudem się powstrzymał, aby nie pobiec.

Kiedy zastukał do drzwi pokoju zajmowanego przez pozostałych dwóch chłopców, a następnie wsunął do niego głowę, zobaczył Perrina, który jeszcze nie wstał. Leżąc, odwrócił głowę, spojrzał na Randa, a potem znów zamknął oczy. W kącie stał łuk i kołczan Mata.

— Słyszałem, że się źle czujesz — powiedział Rand. Wszedł do środka i usiadł na wolnym łóżku. — Chciałem tylko porozmawiać. Ja...

Zrozumiał, że nie wie nawet, jak zacząć, więc zaczął się podnosić.

— Jeżeli jesteś chory, to może powinieneś spać. Mogę sobie pójść.

— Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek zasnę — westchnął Perrin. — Miałem zły sen, jeśli chcesz wiedzieć, potem nie mogłem już zasnąć. Mat ci to opowie lepiej. Śmiał się rano, kiedy mu wyjaśniłem, dlaczego nie mogę z nim wyjść, ale jemu też śnił się koszmar. Przez pół nocy słuchałem, jak się przewraca na łóżku i coś mamrocze. — Zakrył oczy swym potężnym ramieniem. — Światłości, ależ ja jestem zmęczony. Może jeśli tu jeszcze poleżę jakąś godzinę, to nabiorę ochoty do wstania. Mat nigdy mi nie daruje, jeśli z powodu złego snu nie zwiedzę Baerlon.

Rand powoli usiadł z powrotem na łóżku. Obliznął wargi, a potem zapytał szybko:

— Czy on zabił szczura?

Perrin opuścił ramię i zagapił się na niego.

— Ty też? — przemówił dopiero po chwili.

Kiedy Rand skinął głową, dodał:

— Wolałbym teraz wrócić do domu. On mi powiedział... on mi powiedział... I co teraz zrobimy? Czy mówiłeś o tym Moiraine?

— Nie. Jeszcze nie. Może jej wcale nie powiem. Nie wiem. A ty?

— Powiedział... Krew i popioły, Rand, ja nie wiem. — Perrin gwałtownym ruchem wsparł się na łokciu. — Czy myślisz, że Mat miał taki sam sen? Śmiał się, ale z wyraźnym przymusem i miał dziwną minę, kiedy powiedziałem, że ten sen nie pozwolił mi już zasnąć.

— Może śniło mu się to samo — stwierdził Rand. Poczuł, nie pozbawioną poczucia winy ulgę, iż nie jest osamotniony.

— Chciałem spytać Thoma o radę. On jest bywały w świecie. Nie... nie sądzisz chyba, że powinniśmy opowiedzieć o wszystkim Moiraine, prawda?

Perrin opadł z powrotem na poduszkę.

— Słyszałeś te historie o Aes Sedai. Myślisz, że możemy zaufać Thomowi? Nie wiem, czy możemy zaufać komukolwiek. Rand, jeśli wyjdziemy z tego żywi, jeśli kiedykolwiek wrócimy do domu i jeśli usłyszysz, że mówię coś o wyjeździe z Pola Emonda, choćby tylko do Wzgórza Czat, to mnie kopnij. Rozumiemy się?

— Tak nie można mówić — zaprotestował Rand, Zmusił się do możliwie jak najszerszego uśmiechu. — Jasne, że wrócimy do domu. No chodź, wstawaj. Jesteśmy w mieście i mamy cały dzień, aby je obejrzeć. Gdzie są twoje rzeczy?

— Idź sam. Ja jeszcze poleżę. — Perrin znowu zakrył oczy rękoma. — Idź. Dogonię cię za jakąś godzinę.

— Szkoda — powiedział Rand i wstał. — Zastanów się, co tracisz. — Zatrzymał się jeszcze raz przy drzwiach. — Baerlon. Ile to razy obiecywaliśmy sobie, że któregoś dnia zobaczymy Baerlon?

Perrin leżał wciąż z zakrytymi oczyma i nic nie mówił. Odczekawszy chwilę, Rand wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Oparł się o ścianę w korytarzu, uśmiech zamarł mu na twarzy. Głowa bolała go coraz mocniej. Zupełnie nie czuł entuzjazmu na myśl o zwiedzaniu Baerlon. Żadna rzecz nie była w stanie wzbudzić w nim entuzjazmu.

Pokojówka, przechodząca obok z naręczem prześcieradeł, przyjrzała mu się z troską. Zanim zdążyła coś powiedzieć, ruszył przed siebie, nakładając po drodze płaszcz. Thom będzie występował jeszcze wiele godzin. Więc może spróbuje coś jednak zobaczyć. Może znajdzie Mata i dowie się, czy on też śnił o Ba'alzamonie. Masował sobie skronie i, wolnym tym razem krokiem, schodził na dół.

Schody prowadziły do kuchni, więc wybrał tylne wyjście. W przelocie ukłonił się Sarze, ale widząc, że ma ochotę dalej z nim rozmawiać, przyspieszył kroku. Na dziedzińcu nie zobaczył nikogo prócz Mutcha stojącego na progu stajni i jednego ze stajennych, który niósł jakiś worek. Rand ukłonił się również Mutchowi, ten jednak obdarzył go tylko zaczepnym spojrzeniem i cofnął się do środka. Miał nadzieję, że miasto bardziej przypomina Sarę niż Mutcha. Zdecydowany zwiedzić Baerlon, ruszył przed siebie.

Przystanął w otwartej bramie i wyrzał na zewnątrz. Ludzie tłoczyli się na ulicach niczym owce w zagrodzie. Opatuleni po uszy w płaszcze i kaftany, w ponaciąganych na głowy kapeluszach przemykali obok siebie szybko, jakby popychał ich wiejący ponad dachami wiatr. Tręcali się łokciami, bez słowa przeprosin.

„Wszystko i wszyscy są tu obcy — pomyślał. — Nikt tu nikogo nie zna.”

W nosie wierciły go obce zapachy, jedna wielka mieszanina ostrych, kwaśnych i słodkich woni. Nawet podczas Bel Tine nie widział połowy z takiej masy ludzi stłoczonych w jednym miejscu. A to była tylko jedna ulica. Pan Fitch i kucharka twierdzili, że miasto jest przepełnione. Czyżby tak miało być wszędzie?

Powoli wycofał się w głąb bramy. To nieładnie tak odejść i zostawić chorego Perrina. A może Thom skończył już swoje przedstawienie? Może bard też zechce się przejść? Rand musiał z kimś porozmawiać. Lepiej, jak jeszcze chwilę zaczeka w oberży. Westchnął z ulgą, gdy za plecami ścichł gwar ulicy.

Nie miał jednakże większej ochoty wracać do oberży z takim bólem głowy. Usiadł na pustej beczce, w nadziei, że chłodne powietrze uśmierzy tę dolegliwość.

Mutch co jakiś czas stawał w drzwiach stajni, Rand nawet z tej odległości widział jego chmurne spojrzenia. Czyżby ten człowiek nie lubił ludzi ze wsi? A może było mu głupio, że pan Fitch powitał ich wszystkich tak serdecznie, po tym jak on usiłował przepędzić ich z dziedzińca?

„A może jest Sprzymierzeńcem Ciemności” — pomyślał Rand, i próbował się zaśmiać, lecz to wcale nie była zabawna myśl.

Potaął dłonią rękojeść miecza Tama. Nic już nie wydawało się zabawne w tym świecie.

— Pasterz z mieczem oznakowanym wizerunkiem czapli, usłyszał cichy głos jakiejś kobiety. — Chyba odtąd będę musiała wierzyć we wszystko. Co cię tak trapi, wiejski chłopcze?

Zaskoczony Rand zerwał się na nogi. To dziewczyna z przystrzyżonymi krótko włosami, z którą rozmawiała z Moiraine na korytarzu. Nadal była ubrana w męski płaszcz i spodnie. Stwierdził, że musi być odrobinę tylko starsza od niego, zauważył dziwne napięcie w ciemnych oczach, większych nawet od oczu Egwene.

— Masz na imię Rand, prawda? — ciągnęła. — Ja nazywam się Min.

— Nie mam żadnych zmartwień — odparł. Nie wiedział, co Moiraine mogła jej powiedzieć, ale pamiętał przykazanie Lana, aby nie ściągać na siebie uwagi. — Niby dlaczego miałbym się czymś martwić? Dwie Rzeki to spokojne miejsce, a my jesteśmy spokojnymi ludźmi. Nie ma tam miejsca na kłopoty, chyba że z owcami, albo w czasie żniw.

— Spokojne? — powtórzyła Min z bladym uśmiechem. — Słyszałam, co gadają o was, ludziach z Dwu Rzek. Ci, którzy byli w waszej okolicy, opowiadali dowcipy o drewnianogłowych pasterzach.

— Drewnianogłowych? — obruszył się Rand. — Co to za dowcipy?

— Ci, co was poznali — ciągnęła — jakby nigdy nic twierdzą, że wasze wieczne uśmiechnięte twarze i uprzejmość przypominają miękkie masło. Ale tak jest tylko na powierzchni. Powiadają, że pod spodem jesteście tak twardzi, jak korzenie starego

dębu. Pogrzeb jeszcze głębiej, mówią, a dokopiesz się do kamienia. Ale w tobie i w twoich przyjaciółach ten kamień nie leży ukryty głęboko, tak jakby burza rozwiała całe poszycie. Moiraine nic mi nie powiedziała, ale ja umiem patrzeć.

Korzenie starego dębu? Kamień? Takie rzeczy mówią kupcy albo ich ludzie. Nagle dotarło do niego znaczenie ostatniego zdania.

Obejrzał się szybko dookoła, dziedziniec był pusty, a najbliższe okna pozamykane.

— Nie znam nikogo o takim imieniu, możesz je powtórzyć?

— Pani Alys, jeśli wolisz — powiedziała Min z wyrazem rozbawienia, na widok którego zarumienił się. — Nie ma tu nikogo, kto by nas mógł słyszeć.

— Dlaczego uważasz, że pani Alys ma jakieś inne imię?

— Bo mi je wyznała — powiedziała Min tak spokojnie, że znowu się zaczerwienił. — Chyba nie miała wyboru. Od razu zauważyłam, że jest... inna. To było wtedy, gdy się tu zatrzymała po drodze do wsi. Wiedziała o mnie. Nieraz już rozmawiałam z takimi... jak ona.

— Widziałaś? — spytał Rand.

— Cóż, nie pobiegiesz chyba zaraz do Synów Światłości. Nie, zważywszy na towarzystwo, w jakim podróżujesz. Białym Płaszczom nie podobało by się to, co robię, tak samo zresztą jak i jej.

— Nie rozumiem.

— Ona twierdzi, że ja widzę fragmenty Wzoru. — Min roześmiała się i potrząsnęła głową. — Moim zdaniem to przesada. Ja po prostu widzę różne rzeczy, gdy spojrzę na ludzi, czasami znam ich myśli. Spojrzę na mężczyznę i kobietę, którzy się wcale nie znają i wiem, że wezmą ślub. Tak się to odbywa. Chciała, żebym popatrzyła na was. Na wszystkich.

Rand zadrżał.

— I co zobaczyłaś?

— Kiedy jesteście razem? Wokół was wirują tysiące iskier i wielki cień, ciemniejszy od zmierzchu. Jest tak wyraźny, że aż się zastanawiam, dlaczego nikt inny go nie widzi. Iskierki usiłują wypełnić ten cień, a on próbuje je połknąć. — Wzruszyła ramionami. — Jesteście ze sobą związani czymś niebezpiecznym, nic więcej nie wiem.

— My wszyscy? — zapytał Rand. — I Egwene też? Ale jej nie ścigały... to jest, chciałem powiedzieć...

Min zdawała się nie zauważyć przejęzyczenia.

— Ta dziewczyna? Też należy do tego. Bard tak samo. Wszyscy. A ty jesteś w niej zakochany.

Rand wytrzeszczył oczy.

— To umiem powiedzieć nawet bez pomocy wizji. Ona też cię kocha, ale nie jest przeznaczona tobie, ani ty jej. Nie tak, jak byście chcieli.

— Co to niby ma oznaczać?

— Kiedy patrzę na nią, widzę to samo, co wtedy, gdy patrzę na... panią Alys. Widzę też inne rzeczy, których nie rozumiem, ale o tej akurat wiem, co oznacza. A ona się tego nie zapiera.

— To wszystko głupoty — powiedział zdenerwowany Rand. Ból głowy przechodził w odrętwienie, jakby głowę miał wypchaną wełną. Pragnął uciec od tej dziewczyny i jej wizji. Tylko że...

— Co widzisz, kiedy patrzysz na... pozostałych?

— Najróżniejsze rzeczy — powiedziała Min uśmiechając się, jakby się domyślała, o co pyta. — Straż... och... pan Andra ma w głowie siedem zrujnowanych wież, dziecko w kolebce trzymające miecz i... — Pokręciła głową. — Ludzie tacy jak on, rozumiesz..., zawsze mają całe mnóstwo obrazów w głowie. Najsilniejszy obraz otaczający barda przedstawia człowieka, ale to nie jest ten, który żongluje ogniem, i jakąś Białą Wieżę, co zupełnie nie ma sensu w jego przypadku. U tego dużego chłopca z kręconymi włosami widzę wilka, złamaną koronę i kwitnące drzewa. U tego drugiego, czerwonego orła, oko na szali, sztylet z rubinem, róg i czyjaś roześmianą twarz. Są jeszcze inne rzeczy, ale już chyba rozumiesz, o czym mówię. Sama nie mogę tego wszystkiego połączyć.

Odczekała chwilę, nadal się uśmiechając, aż w końcu chrząknął i zapytał:

— A co ze mną?

Teraz otwarcie wybuchnęła śmiechem.

— To samo, co z resztą. Miecz, który nie jest mieczem, złota korona z laurowych liści, laska żebracza, ty, wylewający wodę na piasek, zakrwawiona dłoń i żelazo rozpalone do białości, ty, leżący na marach i trzy kobiety obok ciebie, czarna skała mokra od krwi...

— Wystarczy — przerwał jej niespokojnie. — Nie musisz wymieniać wszystkiego.

— Przede wszystkim jednak widzę wokół ciebie błyskawicę, która równocześnie uderza w ciebie i bije z twego ciała. Nie mam pojęcia, co to oznacza, ale wiem jedno. Ty i ja spotkamy się jeszcze kiedyś.

Zadumała się, jakby sama nie wiedziała, co o tym wszystkim sądzić.

— Dlaczego miałyby tak nie być? — zapytał. — Będę tędy wracał do domu.

— Na tej podstawie myślę tak samo. — Jej uśmiech powrócił nagle, krzywy i tajemniczy. Poklepała go po policzku. — Ale gdybym miała ci opowiedzieć wszystko, co widzę, to włosy by ci się tak samo skręciły, jak twemu barczystemu przyjacielowi.

Jak oparzony cofnął się przed dotykiem dłoni.

— Co ty teraz mówisz? Czy widziałas może szczury? Albo coś związanego ze snami?

— Szczury! Nie, nie widziałam żadnych szczurów. A jeśli chodzi o sny, to pamiętaj, że ty o nich mówiłeś, nie ja. — Zastanawiał się, czy ta dziewczyna nie jest przypadkiem szalona, że się tak głupio uśmiecha.

— Muszę już iść — powiedział, obchodząc ją szerokim łukiem. — Jestem... umówiony z przyjaciółmi.

— No to idź. Ale i tak mi nie uciekniesz.

Niby nie uciekał, ale każdy jego kolejny krok był coraz to szybszy.

— Biegnij, jeśli chcesz — zawołała za nim. — Nie możesz przede mną uciec.

Gnany jej śmiechem przebiegł pędem dziedziniec i wypadł na ulicę pomiędzy ludzką ciżbą. Jej ostatnie słowa zbyt przypominały to, co powiedział Ba'alzamon. Wpadał na ludzi, narażając się na ostre spojrzenia i ostre słowa, ale nie zwolnił biegu, dopóki kilka ulic nie dzieliło go od oberży.

Po jakimś czasie zaczął znowu zwracać uwagę na otoczenie. Miał wrażenie, że miejsce głowy zajmuje mu próżny balon, wszystkiemu jednak przypatrywał się z zadowoleniem. Baerlon wydawało mu się miejscem zupełnie niezwykłym, prawie takim jak miasto z opowieści Thoma. Wędrował szerokimi, w większości wyłożonymi kamieniem ulicami i wąskimi, krętymi zaułkami, wybierając je przypadkowo, albo podążając w ślad za tłumem. W nocy padał deszcz i nie brukowane ulice pokrywało błoto, ale to nie była dla niego nowość. Żadna z ulic w Polu Emonda nie była brukowana.

Nie widział żadnych pałaców i tylko kilka budowli przewyższało domy jego rodzinnej okolicy, wszystkie jednak kryła dachówka, którą widział dotąd jedynie na dachu oberży „Winna Jagoda”. Przypuszczał, że jeden czy dwa pałace zobaczy dopiero w Camlyn. Doliczył się natomiast dziewięciu oberży, z których żadna nie była mniejsza od „Winnej Jagody”, a większość równie okazała jak „Jeleń i Lew”. Na każdej ulicy mijał sklepy, w ich odsłoniętych oknach wystawowych stały stoły zastawiane towarami wszelkiego rodzaju, począwszy od materiałów i książek, a skończywszy na garnkach i butach. Wyglądało to tak, jakby jednocześnie stu handlarzy rozłożyło zawartość swych fur. Gapił się na to wszystko tak długo, że niejednokrotnie musiał uciekać przed podejrzliwymi spojrzeniami właścicieli. Na początku nawet nie rozumiał, czego od niego chcą i trochę się rozeźlił, ale potem przypomniał sobie, że jest tu obcy. A zresztą i tak nie mógł nic kupić. Wzdychał, gdy widział, ile miedziaków wymieniano za tuzin bezbarwnych jabłek albo kilka wyschniętych rzep, jakimi w Dwu Rzekach karmiono wyłącznie konie. Ludzie jednak najwyraźniej chętnie płacili.

Zgodnie z jego szacunkami było tu zdecydowanie za dużo ludzi. Z początku czuł się przytłoczony samą ich liczbą. Niektórzy nosili rzeczy tak dobrze skrojone, jakich nigdy nie widywał w Dwu Rzekach, prawie tak piękne jak ubrania Moiraine, wielu z nich miało na sobie długie, podbite futrem płaszcze, które powiewały im wokół łydek. Górniczy, o których wszyscy mówili w oberży, mieli zgarbione sylwetki typowe dla pracujących pod ziemią. Jednakże wbrew jego przewidywaniom większość przechodniów wcale nie różniła się od ludzi, w otoczeniu których wyrastał, ani ubraniem, ani rysami twarzy. Co więcej, niektórzy mieli w swym zewnętrznym wyglądzie coś tak bliskiego, że

prawie mógł ich brać za członków rodzin znanych mu z Pola Emonda. Bezzębny, siwo-
włosy mężczyzna, o uszach jak ucha dzbana, który siedział na ławce przed jakąś obe-
rzą i zaglądał osowiałym wzrokiem do pustego kufła, z łatwością mógł być bliskim ku-
zynem Bili'ego Congara. Obdarzony wydatną szczęką krawiec, szyjący coś przed swo-
im warsztatem, mógł być bratem Jona Thane'a, miał nawet taką samą łysinę na czubku
głowy. Gdy Rand po raz kolejny skręcił za którymś rogiem, potrącił go człowiek — ist-
ny Samel Crawe, jego lustrzane odbicie.

Nie wierząc własnym oczom wgapił się w kościstego, małego człowieczka, obdarzo-
nego długimi rękoma i wydatnym nosem. Przepychał się przez tłum, jego ubranie przy-
pominało stos łachmanów. Mężczyzna miał podkrążone oczy i wyblakłą twarz, jakby
nie jadł lub nie spał od wielu dni, ale Rand mógłby przysiąc... Nagle obdartus zauważył
go i zastygł w pół kroku, nie zważając na ludzi, którzy wpadali wprost na niego. Z umy-
słu Randa zniknęły wszelkie wątpliwości.

— Panie Fain! — krzyknął. — Wszyscy myśleliśmy, że... — Przechodzień w mgnie-
niu oka zerwał się do ucieczki, ale Rand ruszył za nim w pogoń, wykrzykując prze-
prosiny w stronę ludzi, na których wpadał. Zdołał dostrzec, że Fain skręca w jakąś ale-
ję, więc biegł dalej w tym kierunku. Przebiegłszy kilka kroków, przechodzień przysta-
nął jak wryty, drogę zagroził mu bowiem wysoki płot. Na widok zatrzymującego się
przed nim Randa, Fain kuląc zaczął go okrążyć, wyraźnie chcąc znowu uciec. Gestami
brudnych rąk dawał mu znaki, aby się do niego nie zbliżał. Jego poprzecierany, wyblakły
płaszcz był rozdarty w wielu miejscach, jakby noszono go znacznie dłużej niż należało.

— Panie Fain? — spytał z wahaniem Rand. — O co chodzi? To ja, Rand al'Thor z Po-
la Emonda. Wszyscy myśleliśmy, że trolloki pana porwały.

Fain zamachał gwałtownie rękami i nadal skulony przebiegł nieporadnie kilka kro-
ków w stronę otwartego końca alei. Nie próbował minąć Randa, czy nawet się do nie-
go zbliżyć.

— Nie podchodź! — wyrzęził. Bezustannie kręcił głową, jakby usiłował dostrzec na
ulicy wszystko z wyjątkiem Randa. — Nic nawet nie mów — tu obrócił głowę i rzucił
ukradkiem podejrzliwe spojrzenie w stronę Randa, a jego głos przeszedł w chrapliwy
szepet — o nich. W mieście są Białe Płaszcze.

— Nie mają powodu, aby się nami interesować — powiedział Rand. — Niech pan
wraca ze mną do „Jelenia i Lwa”. Jestem tam z przyjaciółmi. Zna pan większość z nich.
Ucieszą się, jak pana zobaczą. Wszyscy myśleliśmy, że pan zginął.

— Zginąłem? — Handlarz oburzył się. — Nie Padan Fain. Padan Fain wie, gdzie
podskoczyć, a gdzie zeskoczyć.

Przyglądał swoje łachmany, jakby to było ubranie świąteczne.

— Zawsze tak było i zawsze tak będzie. Jeszcze długo pożyję. Dłużej niż... — Na-
gle jego twarz się skurczyła, a dłonie obłapały kurczowo przód płaszcza. — Spalili mój

wóz i wszystkie towary. Nie mieli żadnego powodu, aby to robić, prawda? Nie mogłem się dostać do koni. To moje konie, a ten tłusty oberżysta zamknął je w stajni. Musiałem szybko uciekać, aby mi nie poderżnęli gardła, i co mi z tego przyszło? Zostałem tylko z tym, co miałem wtedy na sobie. No i czy to jest sprawiedliwe? Pytam, jest czy nie?

— Konie są bezpieczne w stajni pana al'Vere. Może je pan zabrać w każdej chwili. Jeśli pójdzie pan ze mną do oberży, to jestem pewien, że Moiraine pomoże panu wrócić do Dwu Rzek.

— Aaaaah! Ona jest... ona jest Aes Sedai, prawda? — Na twarzy Faina pojawiło się czujne spojrzenie. — Może, jednak... — Urwał, oblizał nerwowo wargi. — Jak długo będziecie w tym, jak mówiłeś? Jak to się nazywa? „Jeleń i Lew”?

— Wyjeżdżamy jutro — powiedział Rand. — Ale co to ma wspólnego z...?

— Nie wiesz, jak to jest — załkał Fain. — Ty masz pełny brzuch i wysypiasz się w miękkim łóżku. A ja ledwie zmrużyłem oko od tamtej nocy. Zupełnie zdarłem buty, bo tyle biegałem, a jeśli chodzi o jedzenie... — Skrzywił się. — Nie zbliżyłbym się do Aes Sedai ani na milę — warknął — nawet na dziesięć mil, ale nie mam wyboru, prawda? Jak sobie pomyślę, że ona na mnie spojrzy, że w ogóle będzie wiedziała, gdzie ja jestem... — Sięgnął ręką, jakby chciał złapać Randa za płaszcz, ale zawahał się, machnął dłonią i cofnął się o krok. — Obiecuj, że nic nie powiesz. Ja się jej boję. Nie ma potrzeby jej mówić, że w ogóle żyję. Musisz mi to obiecać. Musisz!

— Obiecuję — uspokoił go Rand. — Ale nie ma powodu bać się jej. Proszę iść ze mną. Przynajmniej zje pan coś gorącego.

— Może. Może. — Fain w zamyśleniu pocierał podbródek. — Jutro, powiadasz? O tej porze... Nie zapomnisz, co obiecałeś? Nie pozwolisz jej...?

— Nie dam pana skrzywdzić — powiedział Rand, zastanawiając się, czy jest w stanie powstrzymać Aes Sedai przed czymkolwiek.

— Ona mi nic nie robi — odgrażał się Fain. — Nie robi. Nie dopuszczę do tego.

Nagle przemknął obok Randa jak strzała i zmieszał się z tłumem.

— Panie Fain! — zawołał Rand. — Niech pan poczeka! Wybiegł w porę z alei, aby dojrzeć sylwetkę w postrzępionym płaszczu, znikającą za następnym rogiem. Nie przestając wołać, pobiegł w tamtym kierunku. Zdążył jeszcze zobaczyć plecy jakiegoś przechodnia, ale to go nie uchroniło przed zderzeniem, razem upadli w błoto.

— Mógłbyś uważać, jak idziesz? — dobiegł go stłumiony pomruk.

Rand podnosił się ze zdziwieniem.

— Mat?

Mat rzucił nieszczęśliwe spojrzenie i zaczął zdrapywać błoto ze swego płaszcza.

— Ty się chyba naprawdę zamieniasz w człowieka z miasta, Cały ranek śpisz, a potem wpadasz na ludzi. — Podniósł się z ziemi, spojrzał na swoje ubłocone dłonie, mruknął coś i otarł je o płaszcz. — Słuchaj, nigdy nie zgadniesz kogo właśnie widziałem.

— Padana Faina — powiedział Rand.

— Skąd wiedziałeś?

— Rozmawiałem z nim, ale potem uciekł ode mnie.

— A więc tro... — Mat urwał, aby czujnie rozejrzeć się dookoła, ale tłum mijał ich obojętnie. Rand ucieszył się, że przyjaciel nauczył się choć trochę uważać. — Więc jednak go nie dopadły. Zastanawiam się więc, dlaczego tak bez słowa opuścił Pole Emonda? Pewnie jak zaczął biec, to nie mógł się zatrzymać, dopóki nie dotarł aż tutaj. Ale czemu dalej ucieka?

Rand kręcił głową.

— Wiem tylko, że boi się M... to jest pani Alys. — Niełatwo było się cały czas pilnować. — Nie chce, żeby wiedziała, że on tu jest. Kazał mi obiecać, że jej nic nie powiem.

— Cóż, ja też nie zdradzę tej tajemnicy — powiedział Mat. — Sam bym wolał, żeby nie wiedziała, gdzie ja jestem.

— Mat? — Przechodnie nadal nie zwracali na nich uwagi, ale Rand zniżył na wszelki wypadek głos i przysunął się do niego bliżej. — Mat, czy tobie tej nocy śnił się jakiś koszmar? O człowieku, który zabił szczura?

Mat zapatrzył się na niego szeroko rozwartymi oczami.

— Więc ty też? — spytał wreszcie. — Perrinowi też się chyba to śniło. Wybadałem go rankiem, ale... Na pewno tak. Krew i popioły! Teraz ktoś nas zmusza, żebyśmy śnili o takich rzeczach! Rand, wolałbym, aby nikt nie wiedział, gdzie jestem.

— W oberży znaleźli dziś mnóstwo martwych szczurów. — Gdy to mówił, nie bał się już tak, jak przedtem. Właściwie nic już nie czuł. — Miały poprzetręcane grzbiety.

W uszach dźwięczał mu własny głos. Jeśli jest chory, to będzie musiał iść do Moiraine. Nawet się nie przejął na myśl, że może być leczony Jedyną Mocą i to go zdziwiło.

Mat odetchnął głęboko, zdjął płaszcz i rozejrzał się zastanawiając, w którą stronę mogą pójść.

— Co się z nami dzieje, Rand? Co to jest?

— Nie wiem. Chcę poprosić Thoma o radę. Czy powiedzieć o tym... komuś innemu.

— Nie! Tylko nie jej. Może jemu tak, ale nie jej.

Rand zdziwił się, słysząc jego zawziętość.

— Więc mu uwierzyłeś?

Nie musiał mówić, o kogo mu chodzi, grymas na twarzy Mata potwierdził, że przyjaciel go zrozumiał.

— Nie — powiedział wolno Mat. — To wszystko jest ryzykowne. Jeżeli jej powiemy, a on kłamał, to może nic się nie stanie. Może. Ale może on sam w naszych snach wystarcza... nie wiem... — Urwał, by przełknąć ślinę. — Jeśli jej nie powiemy, to może nam się znowu coś przyśnić. Szczury, nie szczury, sny są lepsze od... Pamiętasz, co stało się z promem? Ja twierdzę, że powinniśmy trzymać język za zębami.

— Zgoda. — Rand przypomniał sobie prom i groźby Moiraine, ale wszystko to wydawało mu się bardzo odległe. — Niech tak będzie.

— Perrin nic nie powie, prawda? — utwierdzał się Mat, przestępując z nogi na nogę. — Musimy do niego wrócić. Jeśli on jej coś powie, to ona się domysli reszty. Mogę się o to założyć. Chodźmy.

Żwawo zmieszał się z tłumem. Rand stał bez ruchu, odprowadzając go wzrokiem, dopóki Mat nie zawrócił i nie schwycił go. Poczawszy dotyk, zamrugał, potem poszedł posłusznie za nim.

— Co z tobą? — spytał Mat. — Masz zamiar znowu spać?

— Chyba się zaziębiłem — wyjaśnił Rand. Głowę miał prawie tak ciężką i tak pustą jak bęben.

— Może dostaniesz rosołu, kiedy wrócimy do oberży — powiedział Mat.

Nie przestawał mówić, podczas gdy przedzierali się przez zatłoczone ulice, a Rand usiłował słuchać i nawet co jakiś czas wtrącał słowa i odpowiadał, przychodziło mu to jednak z trudem. Nie był zmęczony i nie chciał spać. Odnosił wrażenie, że cały czas płynie. Przyłapał się w pewnej chwili, że opowiada Matowi o Min.

— Sztylet z rubinem, co? — powiedział Mat. — To mi się podoba. Ale nie rozumiem tego oka. Jesteś pewien, że ona nie zmyślała? Mnie się wydaje, że skoro ona jest jasnowidzem, to powinna wiedzieć, co to wszystko oznacza.

— Nie powiedziała, że jest jasnowidzem — poprawił go Rand. — Ja wierzę, że ona widzi różne rzeczy. Pamiętasz, jak wyszliśmy z łaźni, to widzieliśmy ją rozmawiającą z Moiraine. I ona wie, kim jest Moiraine.

Mat skrzywił się.

— Myślałem, że mamy nie wypowiadać tego imienia.

— To prawda — Rand ze wstydem przyznał mu rację.

Potaął czoło obydwiema dłońmi. Trudno mu się było skupić na czymkolwiek.

— Ty chyba jesteś naprawdę chory — stwierdził Mat, nadal się krzywiąc. Nagle szarpnął Randa za rękaw, aby się zatrzymał. — Popatrz na tamtych.

W stronę Randa i Mata nadchodziło ulicą trzech mężczyzn w napierśnikach i stożkowatych hełmach wypolerowanych do srebrnego połysku. Ich śnieżnobiałe płaszcze z wyhaftowanym na lewej piersi złocistym słońcem były tak długie, że zmiatali nimi błoto i kałuże. Dłonie spoczywały na rękojeściach mieczy, patrzyli na chłopców jak na coś, co właśnie wypełzło spod przegniłej kłody. Nikt jednak nie oglądał się za nimi. Nikt nawet nie zdawał się ich zauważać. Nie musieli przedzierać się przez tłum, bo ludzie, jakby przypadkiem ustępowali im z drogi, pozostawiając pustą przestrzeń.

— Sądzisz, że to Synowie Światłości? — spytał głośno Mat.

Jakiś przechodzień spojrzał na niego ostro i przyspieszył kroku.

Rand skinął głową. Synowie Światłości. Białe Płaszcze. Ci, którzy nienawidzili Aes Sedai. Ci, którzy nakazywali innym, jak mają żyć i przysparzali kłopotów tym, którzy oka-

zywali się nieposłuszni. O ile spalone farmy i jeszcze gorsze rzeczy można było nazwać tak łagodnym słowem jak kłopot.

„Powiniennem się bać — pomyślał. — Albo zaciekawić.”

W każdym razie coś poczuć. Ale tylko przypatrywał im się obojętnie.

— Mnie nie wydają się tacy groźni — stwierdził Mat. — Strasznie są w sobie zdufani, prawda?

— Oni się nie liczą — powiedział Rand. — Chodźmy, musimy porozmawiać z Perrinem.

— Jak Eward Congar. On też zawsze zadzierał nosa.

Nagle Mat uśmiechnął się szeroko i mrugnął okiem.

— Pamiętasz, jak spadł z Mostu Wozów i musiał wrócić do domu cały mokry? Spuścił z tonu na cały miesiąc.

— Co to ma wspólnego z Perrinem?

— Widzisz tam? — Mat wskazał wóz wsparty na dyszlach w alei, w kierunku której podążali Synowie. Leżał na nim stos beczek podparty pojedynczym kołkiem. — Popatrz tylko.

Śmiejąc się, pomknął w stronę sklepu z nożami, znajdującego się po lewej stronie ulicy.

Rand patrzył za nim, wiedząc, że powinien coś przedsięwziąć. Taki wyraz oczu Mata zawsze zapowiadał, że coś zmałuje. Ale, o dziwo, czekał z niecierpliwością na to, co Mat miał zamiar zrobić. Coś mu podpowiadało, że to pragnienie jest niewłaściwe, wręcz niebezpieczne, ale mimo to uśmiechał się radośnie.

Po chwili Mat wychylił się z okna poddasza nad sklepem. W dłoni trzymał wycelowaną procę. Wzrok Randa powędrował z powrotem do wozu. Prawie natychmiast dał się słyszeć ostry trzask i kołek podtrzymujący beczki pękł w tym samym momencie, w którym Synowie wkroczyli w aleję. Ludzie uskoczyli z drogi, gdy beczki sturlały się po dyszlach na ulicę, rozbryzgując na wszystkie strony błoto i kałuże. Synowie uskakiwali nie wolniej niż pozostali przechodnie, w ich pełnych wyższości spojrzeniach odmalował się wyraz zaskoczenia. Kilku przechodniów przewróciło się, tamci trzej jednak poruszali się zręcznie, bez trudu wymijając beczki. Nie mogli jednak uchronić się przed bryzgami błota padającymi na ich białe płaszcze.

Z alei wybiegł pośpiesznie brodaty mężczyzna w długim fartuchu, wymachiwał rękoma i krzyczał coś ze złością, ale gdy tytko dostrzegł trzech rycerzy, bezskutecznie usiłujących oczyścić się z błota, zniknął jeszcze szybciej, niż się pojawił. Rand spojrzął na dach sklepu, Mata już tam nie było. Dla chłopca z Dwu Rzek był to z pewnością łatwy strzał, ale trudno było sobie wymarzyć lepszy efekt. Nie mógł powstrzymać śmiechu, widział wszystko jakby za mgłą, ale i tak czuł rozbawienie. Kiedy znów spojrzął na ulicę, Synowie Światłości wpatrywali się prosto w niego.

— Zdaje się, że coś cię tu śmieszy?

Ten, który to powiedział, wystąpił naprzód. Jego wzrok był pełen kamiennej arogancji, za nią jednak czaił się błysk. Jakby wiedział coś, czego nikt inny nie wiedział.

Randowi śmiech uwiązał w gardle. Na ulicy pozostały tylko dzieci, błoto, beczki i on. Ludzie, którzy ich dotychczas tłumnie otaczali, znaleźli natychmiast jakieś pilne sprawy do załatwienia.

— Czy strach przed Światłością związał ci język?

Gniew sprawił, że rysy twarzy Białego Płaszczu wydały się jeszcze ostrzejsze. Natrętnie przypatrywał się rękojeści miecza wystającej Randowi spod płaszcza.

— A może to ty jesteś za to wszystko odpowiedzialny? — W odróżnieniu od innych, jego wyhaftowane na płaszczu słońce miało doszyty węzeł.

Rand poruszył się, chcąc zakryć miecz, ale niechcący rozchylił płaszcz jeszcze bardziej. Gdzieś w głowie huczało mu zdziwienie wobec własnych poczynań, ale to była odległa myśl.

— Wypadki zdarzają się nawet Synom Światłości — powiedział.

Człowiek o wąskiej twarzy uniósł brew.

— Taki jesteś zadziorny, chłopaczku?

Nie był o wiele starszy od Randa.

— Znak czapli, lordzie Bornhald — ostrzegł go jeden z pozostałych.

Mężczyzna ponownie spojrział na rękojeść miecza Randa — mosiężna czapla była znakomicie widoczna, na moment wytrzeszczył oczy. Potem przeniósł wzrok na twarz Randa i lekceważąco pociągnął nosem.

— Jest za młody. Nie jesteś stąd, prawda? — powiedział zimnym tonem. — Skąd pochodzisz?

— Właśnie przybyłem do Baerlon. — Poczul dreszcz przebiegający po ramionach i nogach. Potem falę gorąca. — Pewnie nie znacie żadnej dobrej oberży?

— Wykręcasz się od odpowiedzi na moje pytania — zdenerwował się Bornhald. — Co ty skrywasz, że nie chcesz odpowiadać?

Jego towarzysze zbliżyli się do niego, stanęli po obu stronach. Ich twarze były zimne i pozbawione wyrazu. Pomimo plam błota na płaszczach nie było w nich już nic zabawnego.

Rand czuł mrowienie w całym ciele, ciepło przeradzało się w gorączkę. Czuł się wspaniale, miał ochotę się śmiać. Jakiś cichy głos podszeptował mu, że dzieje się coś złego, ale myślał tylko o rozsadzającej go energii. Uśmiechnięty kołysał się na piętach i czekał na rozwój wydarzeń.

Twarc dowódcy pociemniała. Jeden z jego towarzyszy wyciągnął miecz na cał z pochwy i przemówił drżącym z gniewu głosem.

— Kiedy Synowie Światłości zadają pytania, ty szarooka dynio, to albo będzie odpowiedź, albo...

Urwał, gdy mężczyzna o wąskiej twarzy położył mu dłoń na ramieniu. Bornhald gwałtownym ruchem głowy spojrział w głąb ulicy.

Nadchodziła Straż Miejska, kilkunoosobowa grupa mężczyzn w okrągłych stalowych hełmach i kaftanach nabijanych ćwiekami. Nieśli w rękach drągi, w taki sposób, jakby demonstrowali, że potrafią się z nimi znakomicie obchodzić. Zatrzymali się w odległości jakichś dziesięciu kroków i teraz obserwowali milcząc całą scenę.

— To miasto jest stracone dla Światłości — warknął ten, który wyciągnął miecz, po czym podniósł głos, aby krzyknąć w stronę strażników:

— Baerlon kryje się w cieniu Czarnego!

Na gest Bornhalda schował miecz z powrotem.

Ten odwrócił się ponownie w stronę Randa. W jego oczach płonęło światło zrozumienia.

— Sprzymierzeńcy Ciemności nie uciekną przed nami, chłopaczku, nawet w mieście, które kryje się w Cieniu. Jeszcze się spotkamy, bądź tego pewien!

Obrócił się na pięcie i pomaszerował przed siebie, a jego towarzysze ruszyli w ślad za nim, jakby Rand przestał nagle istnieć. Przynajmniej na chwilę. Kiedy dotarli do zatłoczonej części ulicy, otworzyła się przed nimi ta sama, jakby przypadkowa, przestrzeń. Strażnicy wahali się, popatrzyli na Randa, a potem oparli drągi na ramionach i poszli za trójką w białych płaszczach. Musieli przepychać się przez tłum i krzyczeć:

— Droga dla Straży!

Mało kto chętnie im ustępował.

Rand nadal kołysał się na piętach i czekał. Mrowienie było tak silne, że prawie drżał, miał wrażenie, że cały płonie.

Mat wyszedł ze sklepu i przyjrzał mu się.

— Ty nie jesteś chory — powiedział. — Ty jesteś szalony!

Rand odetchnął głęboko i nagle poczuł się jak przekłuty balon, jakby z niego uszło całe powietrze. Zachwiał się, gdy zrozumiał, co właśnie zrobił. Zwilżył wargi językiem i napotkał wzrok Mata.

— Lepiej wracajmy do oberży — powiedział niepewnie.

— Tak — stwierdził Mat — chyba tak będzie najlepiej.

Ulica zaczęła się znowu zapełniać, niejeden człowiek przystawał, przypatrywał się obydwu chłopcom i coś mruczał do innego przechodnia. Rand był pewien, że ta historia się rozejdzie. Jakiś szaleniec próbował wszcząć bójkę z trzema Synami Światłości. Było o czym opowiadać.

„Może to te sny doprowadzają mnie do szaleństwa.”

Kilkakrotnie gubili drogę w labiryncie ulic, ale po jakimś czasie wpadli na Thoma Merrilina, który włókł za sobą całą procesję. Bard twierdził, że wyszedł rozprostować kości i zaczerpnąć świeżego powietrza, ale gdy tylko ktoś zaczął uważniej przyglądać się jego kolorowemu płaszczowi, obwieszczał donośnie:

— Zatrzymałem się w „Jeleniu i Lwie”! Tylko jeden wieczór!

Mat zaczął nieskładnie opowiadać Thomowi o ich śnie i o zmartwieniu, czy powie-
dziec o nim Moiraine, czy nie, ale Rand wszedł mu w słowo, ponieważ ich wspomnienia
nieco się różniły. „Albo nie wszyscy śniliśmy dokładnie to samo” pomyślał.

Zasadnicza treść ich snów była jednak taka sama.

Thom przysłuchiwał im się uważnie. Kiedy Rand wspomniał imię Ba'alzamona, bard
złapał każdego z nich za ramię, zmuszając, by przestali mówić, uniósł się na palcach po-
nad tłum i pośpiesznie zagnał do jakiejś alejki, w której nie było nic prócz krat i żółte-
go wychudłego psa, chroniącego się tu przed zimnem.

Thom obserwował, czy ktoś z tłumu nie zatrzymuje się, aby ich podsłuchiwać, zanim
znów zwrócił uwagę na Randa i Mata. Jego niebieskie oczy przewiercały ich na wskroś,
co jakiś czas niespokojnie zerkał w kierunku wylotu alei.

— Nigdy nie wymawiajcie tego imienia tam, gdzie mogą was słyszeć obcy. — Mó-
wił spokojnym, ale stanowczym głosem. — Nawet tam, gdzie prawie nikt nie słucha. To
bardzo niebezpieczne imię, nawet jeśli ulicami nie przechadzają się synowie Światło-
ści.

Mat prychnął.

— Już ty miałbyś coś o nich do powiedzenia — wycodził, patrząc krzywo na Randa.

Thom zignorował go.

— Gdyby tylko jeden z was miał ten sen... — rzekł i zaczął wściekle miętosić wąsa.

— Opowiedzcie mi wszystko, co pamiętacie. Każdy szczegół.

Słuchał, nie przestając rzucać czujnych spojrzeń w stronę ulicy.

— ...wymienił ludzi, którzy według niego zostali wykorzystani — powiedział wresz-
cie Rand. Uważał, że to już koniec opowieści. — Guaire Amalasan. Raolin Darksbane.

— Davian — wtrącił Mat — I Yurian Stonebow.

— I Logain — skończył Rand.

— Niebezpieczne imiona — mruknął Thom. Jego oczy zdawały się ich przewiercać
z jeszcze większą mocą niż przedtem. — Tak, czy siak, prawie tak niebezpieczne, jak to
pierwsze. Wszyscy już nie żyją, z wyjątkiem Logaina. Niektórzy już od dawna. Raolin
Darksbane prawie dwa tysiące lat temu. Ale równie niebezpiecznie jest o nim mówić.
Najlepiej nie wymieniajcie tych imion głośno nawet wtedy, gdy będziecie sami. Więk-
szość ludzi nie słyszała o nich, ale jeśli posłyszycie je nie ten, co trzeba...

— Ale kim oni byli?

— Ludźmi — wymamrotał Thom. — Ludźmi, którzy strzaskali filary nieba i wstrzą-
snęli podstawami ziemi. — Pokręcił głową. — To nie ma znaczenia. Zapomnijcie
o nich. Są już tylko prochem.

— Czy oni,.. zostali wykorzystani, tak jak on powiedział? — spytał Mat. — I potem
zabici?

— Można by powiedzieć, że zabiła ich Biała Wieża. Na pewno tak. — Thom zacisnął na moment usta, a potem znowu pokręcił głową. — Ale wykorzystani...? Nie, tak bym tego nie nazwał. Światłość wie, że Tron Amyrlin zawiązuje wiele spisków, ale tak bym tego nie nazwał.

Mat zadrżał.

— Powiedział tyle różnych rzeczy. Zupełne szaleństwa. Ta historia o Lewsie Therinie Zabójcy Rodu i Arturze Hawkwingu. I o Oku Świata. Co to jest, na Światłość?

— To legenda — wyjaśniał cierpliwie bard. — Może. Tak sławna, jak legenda o Rogu Valere, przynajmniej na Ziemiach Granicznych. Tam młodzi ludzie polują na Oko Świata, tak jak młodzi w Illian polują na Róg. Może to tylko legenda.

— Co mamy robić, Thom? — zapytał Rand. — Czy mamy jej powiedzieć? Nie chcę już takich snów. Może ona mogłaby coś zrobić.

— To, co by zrobiła, mogłoby się nam nie spodobać — warknął Mat.

Thom przypatrywał się im i gładził kłykiem swoje wąsy.

— Ja twierdzę, że powinniście zachować spokój — powiedział wreszcie. — Nikomu nic nie mówcie, przynajmniej na razie. Zawsze możecie zmienić zamiar, ale gdy już o tym powiecie, to będzie po wszystkim i zwiążecie się z nią jeszcze mocniej.

Nagle wyprostował się tak, że jego garb nieomal zniknął.

— Tamten chłopiec! Mówicie, że też miał taki sen? Czy ma w sobie tyle rozsądku, żeby trzymać język za zębami?

— Tak mi się wydaje — powiedział Rand w tym samym momencie, gdy Mat stwierdził:

— Szliśmy właśnie do oberży, aby go ostrzec.

— Niechaj Światłość sprawi, abyśmy nie przyszli, za późno! — Thom ruszył bezwzględnie do przodu, płaszcz owinął się wokół jego łydek, a łatki zatrzepotały na wietrze. Obejrzał się przez ramię, bez zatrzymywania się. — No co tam? Nogi wam wzrosły w ziemię?

Rand i Mat pośpieszyli za nim, ale nie czekał, aż go dogonią. Nie zatrzymywał się nawet, gdy ktoś patrzył na jego płaszcz albo pozdrawiał barda. Pędził przez rojne ulice, jakby były puste. Rand i Mat musieli nieomal biec, aby dotrzymać mu kroku. Dotarli do „Jelenia i Lwa” w znacznie krótszym czasie, niż Rand się spodziewał.

W wejściu natychmiast wpadli na Perrina, który właśnie stamtąd wybiegał, narzucając po drodze płaszcz. Omal się nie przewrócił, gdy usiłował ich ominąć.

— Szedłem właśnie was szukać — wysapał, gdy już odzyskał równowagę.

Rand schwycił go za ramię.

— Czy mówiłeś komukolwiek o śnie?

— Powiedz, że nie — zażądał Mat.

— To bardzo ważne — dorzucił Thom.

Perrin patrzył na nich zupełnie zdezorientowany.

— Nie, nie mówiłem. Wstałem z łóżka dopiero godzinę temu. — Zgarbił się. — Aż mnie rozbolała głowa, tak się starałem o tym nie myśleć, a jeszcze bardziej nie mówi... Dlaczego mu powiedzieliście? — Skinął w stronę barda.

— Musieliśmy z kimś porozmawiać, bo inaczej byśmy poszaleli — burknął Rand.

— Wszystko ci później wyjaśnię — dodał Thom, patrząc znacząco na ludzi wchodzących i wychodzących z obozu.

— W porządku — wolno odpowiedział Perrin, nadal wyglądając na zdezorientowanego. Nagle uderzył się w czoło. — Omal nie zapomniałem, dlaczego was szukam. Przyjechała Nynaeve.

— Krew i popioły! — zaklął Mat. — Jak ona się tu dostała? Moiraine... Prom...

Perrin prychnął.

— Czy myślisz, że taki drobiazg jak prom mógł ją zatrzymać? Wygrzebała spod ziemi Hightowera. Nie wiem, jak on przepłynął rzekę, ale Wiedząca twierdzi, że ukrywał się we własnej sypialni i nie chciał nawet się zbliżyć do wody. W każdym razie omamiła go tak, że znalazł łódź, która pomieściła ją i konia, a potem przewiózł na drugi brzeg. Osobiście. Dała mu tylko odrobinę czasu, by znalazł drugiego człowieka do wiosł.

— Na Światłość! — wydyszał Mat.

— Co ona tu robi? — dopytywał się Rand.

Mat i Perrin spojrzeli na niego spode łba.

— Przyjechała nas zabrać — powiedział Perrin. — Teraz rozmawia z ... panią Alys i atmosfera jest tak chłodna, że zaraz pewnie zaczną padać śnieg.

— Czy nie moglibyśmy gdzieś sobie na razie pójść — spytał Mat. — Mój tata zawsze powtarza, że tylko idiota pcha rękę do gniazda szerszeni bez powodu.

Rand wszedł mu w słowo.

— Ona nie może nas zmusić do powrotu. Zimowa Noc powinna jej być wystarczyc, aby to zrozumieć. Jeśli nie, to my jej wytłumaczymy.

Mat unosił brwi przy każdym słowie, a kiedy Rand skończył, zagwizdał cicho.

— Czy kiedykolwiek próbowałeś zmusić Nynaeve, żeby zrozumiała coś, czego nie chciała zrozumieć? Bo ja tak. Powiadam, poczekajmy na zewnątrz dopóki się nie ściemni i potem się jakoś prześlizgniemy.

— Na podstawie moich obserwacji tej młodej kobiety — powiedział Thom — nie sądzę, by coś ją powstrzymało przed postawieniem na swoim. Jeśli się jej nie da tego zrobić od razu, to dotąd będzie się upierała, aż zwróci na nas uwagę, czego wcale nie chcemy.

Tym ich ściągnął na ziemię. Wymienili spojrzenia, odetchnęli głęboko i wmaszerowali do środka, jakby idąc na spotkanie trollaków.

WIEDZĄCA

Na czele szedł Perrin. Rand był tak pochłonięty obmyślaniami tego, co powie Nynaeve, że nie zauważył Min, która schwyciła go za rękę i odciągnęła na bok. Pozostali zdążyli ująć jeszcze kilka kroków korytarzem, zanim to zauważyli. Przystanęli więc również, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę, bo jednocześnie pragnęli iść dalej i nie mieli na to chęci.

— Nie mamy czasu, chłopcze — ofuknął go Thom.

Min obdarzyła barda ostrym spojrzeniem.

— Idź sobie czymś poźonglować — warknęła, odciągając Randa jeszcze dalej od pozostałych.

— Naprawdę nie mam czasu — tłumaczył jej Rand. A na pewno nie na tę głupią gadaninę o ucieczce i tak dalej.

Próbował uwolnić rękę, ale nie puszczała.

— Ja też nie mam czasu na twoje głupstwa. Stań wreszcie spokojnie!

Omiotła pozostałych szybkim spojrzeniem, po czym przysunęła się i zniżyła głos.

— Jakiś czas temu przyjechała tu kobieta, niższa ode mnie, młoda, ma ciemne oczy i ciemne włosy splecione w warkocz sięgający do pasa. Ona też jest częścią tego, co otacza was wszystkich.

Przez chwilę Rand wpatrywał się w nią bez słowa.

„Nynaeve? Jakim cudem może być w to wmieszana? Światłość, a jak ja mogę być w to wmieszany?”

— To niemożliwe.

— Znasz ją? — szepnęła Min.

— Tak, ale ona nie ma związku z ... czymkolwiek, co ty...

— Iskierki, Rand. Wchodząc tu spotkała panią Alys i widać było dwie samotne iskierki. Wczoraj nie widziałam żadnych iskiei, jeśli nie było was razem, przynajmniej trojga lub czworga, a dzisiaj świecą znacznie wyraźniej i gwałtowniej.

Spojrzała na czekających cierpliwie przyjaciół Randa i zadrżała, nim odwróciła się na powrót w jego stronę.

— To prawie cud, że oberża nie stanęła jeszcze w ogniu. Grozi ci jeszcze większe niebezpieczeństwo niż wczoraj. Od czasu jej przyjazdu.

Rand obejrzał się na przyjaciół. Thom zmarszczył swe krzaczaste brwi i wyraźnie miał zamiar go jakoś ponaglić.

— Ona nie zrobi nam żadnej krzywdy — zapewnił Min. — Ale teraz już muszę iść.

Tym razem udało mu się wyzwolić rękę. Ignorując jej protesty, dołączył do pozostałych i ruszyli znowu przed siebie. Rand obejrzał się raz: Min wygrażała mu pięścią i tupała nogami.

— Co ona ci powiedziała? — spytał Mat.

— Że Nynaeve też należy do tego wszystkiego — powiedział niewiele myśląc Rand i dostrzegł, jak Mat otworzył usta ze zdziwienia. Po chwili na twarzy przyjaciela powoli ukazało się zrozumienie.

— Do czego należy? — spytał cicho Thom. — Czy ta dziewczyna coś wie?

Rand zastanawiał się, co odpowiedzieć, ale Mat odezwał się za niego.

— Oczywiście, że ona do tego należy — powiedział ponuro. — Jest częścią tego samego pecha, który nas gnębi od Zimowej Nocy. Może przyjazd Nynaeve nie jest dla ciebie czymś ważnym, ale niedługo zobaczymy tu Białe Płaszcze.

— Ona była świadkiem przyjazdu Nynaeve — dodał Rand. — Widziała, jak rozmawiała z panią Alys i myślała, że ona ma coś z nami wspólnego.

Thom spojrział na niego z ukosa i parsknąwszy, zmierzwił sobie wąsy, ale pozostali wydawali się akceptować wyjaśnienia Randa. Nie podobało mu się, że musi coś ukrywać przed przyjaciółmi, niemniej tajemnica Min mogła być tak samo niebezpieczna dla niej, jak ich tajemnice dla nich.

Perrin zatrzymał się nagle przed jakimiś drzwiami. Jego onieśmielenie wydawało się doprawdy niezwykle u człowieka takiej postury. Zrobił głęboki wdech, spojrział na swych towarzyszy, znowu zrobił wdech, powoli otworzył drzwi i wszedł do środka. Pozostali wchodzili za nim gęsiego. Rand, jako ostatni, z najwyższą niechęcią zamknął drzwi.

Był to ten sam pokój, w którym poprzedniego wieczora jedli wieczerzę. W kominku płonął ogień, a na stole stała taca z połyskującym srebrnym dzbanem i filiżankami. Moiraine i Nynaeve siedziały przy przeciwległych krańcach stołu, nie spuszczać z siebie wzroku, pozostałe krzesła były wolne. Ręce Moiraine opierały się na stole, równie nieruchome jak jej twarz. Nynaeve przerzuciła warkocz przez ramię i ścisnęła w dłoni jego koniec. Bezustannie szarpała go, tak samo jak wtedy, gdy upierała się przy czymś podczas posiedzeń Rady Wioski.

„Perrin miał rację.”

Pomimo ognia na kominku, wydawało się, że obydwie kobiety emanują mrozem.

Lan, oparty o komodę, wpatrywał się w palenisko i rozcierał zgrabiące dłonie. Podpierająca plecami ścianę Egwene nasunęła na głowę kaptur płaszcz. Thom, Mat i Perrin zatrzymali się niezdecydowanie na progu.

Wzdrygnawszy się niespokojnie, Rand podszedł do stołu.

„Czasami trzeba schwyć wilka za uszy” — przypomniał sobie stare porzekadło. Ale pamiętał również inne. — „Kiedy już złapiesz wilka za uszy, równie trudno go puścić, jak przytrzymać.”

Pod wpływem wzroku Moiraine i Nynaeve poczuł, że oblewa go gorąco, ale mimo to usiadł w równej odległości między obydwoma.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza jak makiem zasiał, po czym Egwene, Perrin, a na końcu Mat, ruszyli niechętnie w stronę stołu i zajęli miejsca. Wszyscy starali się usiąść gdzieś pośrodku, w pobliżu Randa. Egwene naciągnęła jeszcze mocniej kaptur, tak że krył teraz połowę jej twarzy. Unikali nawzajem swoich spojrzeń.

— Znakomicie — parsknął Thom ze swego stanowiska przy drzwiach — przynajmniej to już mamy za sobą.

— Ponieważ wszyscy już się zeszli — powiedział Lan, odchodząc od kominka i napełniając srebrne pucharki winem — może wreszcie to przyjmiesz.

Podał pucharek Nynaeve, która spojrzała na niego podejrzliwie.

— Nie masz się czego obawiać — tłumaczył cierpliwie. — Widziałas, że to wino przyniósł oberżysta i żadne z nas nie miało okazji, aby coś do niego dodać. Jest absolutnie nieszkodliwe.

Wiedząca gniewnie zacisnęła usta przy słowie „obawiać”, ale przyjęła pucharek i burknęła:

— Dziękuję.

— Chciałbym wiedzieć, jak nas tu znalazłaś — powiedział Lan.

— Ja też. — Wyraźnie spięta Moiraine pochyliła się do przodu. — Może teraz zechcesz coś powiedzieć, skoro Egwene i chłopcy zostali już przyprowadzeni?

Nynaeve upiła łyk wina, potem zwróciła się do Aes Sedai.

— Mogliście pojechać tylko do Baerlon. Na wszelki wypadek jednak trzymałam się waszych śladów. Z pewnością musieliście kluczyć i jak podejrzewałam, unikaliście spotkań z uczciwymi ludźmi.

— Tropiłaś nasze ślady? — spytał Lan, a Rand po raz pierwszy widział u niego szczerze zdumienie. — Pewnie staję się nieuważny.

— Zostawialiście bardzo mało śladów, ale ja potrafię tropić nie gorzej, niż wszyscy mężczyźni w Dwu Rzekach, z wyjątkiem może Tama al'Thora. — Zawahała się, po czym dodała: — Mój ojciec, zanim umarł, często mnie brał na polowania i uczył tego, czego uczyłby swych synów, gdyby ich miał.

Spojrzała wyzywająco na Lana, ale on jedynie skinął głową z uznaniem.

— Twój nauczyciel był znakomity, skoro udało ci się odnaleźć ślady, które ja starałem się zatrzeć. Nawet na Ziemiach Granicznych niewielu jest takich, którzy potrafią to zrobić.

Nagle Nynaeve skryła swą twarz za pucharkiem. Rand wytrzeszczył oczy, gdy dostrzegł, że się zaczerwieniła. Nynaeve nigdy nie okazywała ani śladu zawstydzienia. Gniew owszem, często rozdrażnienie, ale nigdy zmieszanie. W tej chwili z całą pewnością miała na twarzy rumieńce i pijąc wino próbowała je ukryć.

— Może teraz — przemówiła cicho Moiraine — zechcesz odpowiedzieć na kilka moich pytań. Ja odpowiadałam na twoje wystarczająco chętnie.

— Posługując się przy tym całym workiem opowieści bardów — odparowała Nynaeve. — Dla mnie faktem jest, że czworo młodych ludzi zostało uprowadzonych przez Aes Sedai i Światłość tylko wie, z jakiego powodu.

— Powiedziano ci to, co tutaj jest tajemnicą — skarcił ją Lan. — Musisz nauczyć się poskramiać swój język.

— A to niby dlaczego? — odcięła się Nynaeve. — Niby dlaczego miałabym pomagać wam się ukryć? Przyjechałam tu, by zabrać Egwene i chłopców z powrotem do Pola Emonda, a nie żeby wam pomóc w ich ukrywaniu.

W to wszystko wtrącił się ponurym głosem Thom.

— Jeśli chcesz, by znowu ujrzeli swą wioskę, i ty sama również, to lepiej bądź ostrożniejsza. Są w Baerlon tacy, którzy zabiliby ją — wskazał głową Moiraine — za to, kim jest. I jego tak samo.

Wskazał Lana, po czym gwałtownie podszedł do stołu, aby oprzeć na nim pięści. Górował nad Nynaeve, jego długie wąsy, i gęste brwi nadały mu nagle groźnego wyglądu. Otworzyła szeroko oczy i uchyliła się jakby w strachu, po czym zastygła w buntowniczej pozie. Thom zdawał się nic nie zauważać, mówił nadal złowieszczo cichym tonem. — Gdy usłyszą choć jedną plotkę, nawet jeśli powiedziana zostanie szeptem, zaroją się w tej oberży jak drapieżne mrówki. Tak silna jest ich nienawiść i pragnienie, by zabić lub pojmać takich, jak ci dwoje. A co z dziewczyną? Z chłopcami? Z tobą? Jesteś z nimi wszystkimi związana, przynajmniej w mniemaniu Białych Płaszcy. Nie spodobałby ci się ich sposób zadawania pytań, szczególnie jeśli działałoby się to w Białej Wieży. Śledczy Białych Płaszcy zakładają, że człowiek jest winny, jeszcze zanim go o coś zapytają, za taką winę w ich mniemaniu należy się tylko jedna kara. Wymuszają zeznania gorącym żelazem i szczypcami. Lepiej będzie, jak sobie zapamiętasz, że niektóre tajemnice są zbyt groźne, aby je głośno wypowiadać, nawet przed kimś, kogo niby znasz. — Wyprostował się i dodał jeszcze: — Zdaje się, że często mówię to ludziom za późno.

— Dobrze powiedziane, bardziej — pochwalił go Lan. W oczach Strażnika pojawiło się znowu to wnikliwe spojrzenie. — Twoja troska aż mnie samego zdziwiła.

Thom wzruszył ramionami.

— Wszyscy wiedzą, że ja też przybyłem tu z wami. Nie uśmiecha mi się myśl o śledczym, który za pomocą gorącego żelaza mógłby mi kazać odpokutować za grzechy, a później iść w Światłość.

— To jest kolejny powód — wtrąciła ostrym tonem Nynaeve — dla którego oni muszą wrócić ze mną do domu. Jutro rano albo jeszcze dzisiaj. Im szybciej was pożegnamy, tym lepiej.

— Nie możemy tego zrobić — powiedział Rand. Ucieszył się, że przyjaciele też zabrali głos. Dzięki temu Nynaeve nie mogła skupić wzroku na nikim z osobna. On jednak odezwał się jako pierwszy, więc pozostali umilkli, wpatrzeni w niego. Nawet Moiraine oparła się w krzesło i obserwowała go zza splecionych palców. Zmusił się, by spojrzeć Wiedzącej w oczy. — Jeśli wrócimy do Pola Emonda, to trolloki też tam wrócą. One... polują na nas. Nie wiem dlaczego, ale tak jest. Może właśnie w Tar Valon znajdziemy wytłumaczenie. Może dowiemy się, jak temu zaradzić. To jedyny sposób.

Nynaeve rozłożyła gwałtownie ręce.

— Mówisz zupełnie jak Tam. Kazał się zanieść na spotkanie mieszkańców Pola Emonda i usiłował tam wszystkich przekonywać. Próbował już to zrobić nawet z Radą Wioski. Światłość tylko wie, jak tej waszej... pani Alys — włożyła w wymówienie tego imienia taką dozę pogardy, na jaką ją było stać — udało się mu to wmówić, bo zazwyczaj ma w sobie więcej rozsądku niż inni mężczyźni. Na szczęście jednak, mimo że w Radzie na ogół zasiadają sami głupcy, w tym przypadku nie byli aż tak głupi, tak zresztą jak i reszta wsi. Wszyscy zgodzili się, że trzeba was odszukać. Potem jeszcze Tam chciał koniecznie osobiście was szukać, chociaż nie może nawet stanąć o własnych siłach. Głupota musiała zarazić całą waszą rodzinę.

Mat chrząknął i wymamrotał:

— A co z moim tatą? Co on powiedział?

— Boi się, że wśród obcych będziesz uprawiał swoje figle i oberwiesz po głowie. Zdaje się, że bał się tego jeszcze bardziej niż tej tutaj... pani Alys. Ale i tak nie okazał się większym orłem niż ty.

Mat robił wrażenie, jakby nie wiedział, jak przyjąć jej słowa, albo jak i czy w ogóle odpowiedzieć.

— Spodziewam się — zaczął z wahaniem Perrin — chciałem powiedzieć, że pan Luhhan też nie był pewnie zadowolony, że wyjechałem.

— A myślałeś, że będzie inaczej? — Nynaeve pokręciła głową z odrazą i spojrzała na Egwene. — Może nie powinnam się dziwić objawami zidiocenia ze strony was trzech, ale po innych spodziewałam się więcej rozsądku.

Egwene siedziała tak, że zasłaniał ją Perrin.

— Zostawiłam list — powiedziała cicho. Naciągnęła znowu kaptur płaszcza, jakby bojąc się pokazać, że ma rozpuszczone włosy. — Wszystko wyjaśniłam.

Twarz Nynaeve pociemniała.

Rand westchnął. Wiedząca mogła za chwilę popuścić cugli swojego języka i wyglądało na to, że odbędzie się to w jeszcze gorszy sposób niż zazwyczaj. Jeżeli zapala gniewem i uprze się, że niezależnie od tego, co inni mają do powiedzenia, zabiera ich do Pola Emonda, to prawie niemożliwością będzie ją powstrzymać. Otworzył usta.

— List! — wybuchnęła Nynaeve w tym samym momencie, w którym Moiraine rzekła:

— Musimy jeszcze ze sobą porozmawiać, Nynaeve.

Gdyby Rand potrafił się powstrzymać, to by to zrobił, ale słowa wylały się z niego, jakby zamiast ust otworzył zaporę na rzece.

— Masz rację, ale nie zmienisz tym niczego. Nie możemy wrócić, musimy jechać dalej.

Pod koniec mówił wolniej, a jego głos cichł tak, że przeszedł w szept. Zarówno Wiedząca jak i Aes Sedai wpatrywały się w niego, takie same spojrzenia napotkałby, gdyby pojawił się na spotkanie Koła Kobiet albo wszedł tam, gdzie go nie proszono. Opadł na krzesło, nagle zapragnął znaleźć się zupełnie gdzie indziej.

— Nynaeve — powiedziała Moiraine — musisz uwierzyć, że ze mną oni są bezpieczniejsi niż w Dwu Rzekach.

— Bezpieczniejsi! — Wiedząca pokiwała lekceważąco głową. — To ty ich sprowadziłaś do miejsca, w którym są Białe Płaszcz. Te same Białe Płaszcz, które, jeśli bard mówi prawdę, mogą ich skrzywdzić z twojego powodu. Powiedz mi, Aes Sedai, jak niby mogą być bezpieczniejsi?

— Jest wiele niebezpieczeństw, przed którymi obronić ich nie mogę — zgodziła się Moiraine — tak samo, jak ty ich nie uchronisz przed piorunem w drodze powrotnej do domu. Ale oni nie muszą się obawiać ani piorunów, ani Białych Płaszcz. Muszą się bać Czarnego i jego sług, a przed tym mogę ich obronić. Jak każdej Aes Sedai, taką ochronę zapewnia mi dotykane Prawdziwego Źródła, dotykane *saidina*. — Nynaeve zacisnęła usta. Moiraine gniewnie zacisnęła swoje, ale mówiła nadal, z trudem zachowując cierpliwość. — Nawet ci biedni mężczyźni, którzy przez krótki czas władają Mocą, potrafią tyle, choć czasami dotykane *saidina* chroni, a czasami skaza czyni ich bardziej podatnymi na rany, Ale ja i każda Aes Sedai potrafimy rozciągać tarczę ochronną na tych, którzy są z nami. Żaden Pomor nic im nie robi, jeśli są tak blisko mnie, jak ci teraz. Żaden trollok nie zbliży się do nas na ćwierć mili bez wiedzy Lana, który wyczuje jego zło. Czy możesz im ofiarować choć połowę tego, gdy wrócą z tobą do Pola Emonda?

— Manipulujesz kukielkami — powiedziała Nynaeve. — Mamy takie porzekadło w Dwu Rzekach: Czy niedźwiedź zwycięża wilka, czy wilk niedźwiedzia, królik zawsze traci. Walcz sobie gdzie indziej i zostaw ludzi z Pola Emonda w spokoju.

— Egwene — powiedziała Moiraine po chwili namysłu — wyprowadź stąd wszystkich, chcę zastać na chwilę sama z Nynaeve.

Jej twarz zubożyła, natomiast Nynaeve zgarbiła się nad stołem, jakby gotując do walki wręcz.

Egwene zerwała się na nogi, jej pragnienie by być wyróżnioną, wyraźnie kłóciło się z chęcią uniknięcia starcia z Wiedzącą w kwestii rozplecionych włosów. Jednakże wystarczyło tylko jedno jej spojrzenie, a wszyscy wstali. Mat i Perrin pośpiesznie odsunęli krzesła, pomrukując coś uprzejmie i jednocześnie starając się uciec natychmiast. Nawet Lan ruszył do wyjścia na znak Moiraine i pociągnął za sobą Thoma.

Rand też poszedł. Strażnik zamknął za nimi drzwi. Pozostali, pod wpływem jego wzroku, rozeszli się na miejsca, z których nie mieli najmniejszej szansy niczego podsłuchać. Kiedy oddalili się na zadowalającą go odległość, Lan oparł się o ścianę. Stał tak nieruchomo, iż nawet bez zmiennokolorowego płaszcza trudno go było zauważyć. Trzeba by było chyba wpaść wprost na niego.

Bard mruknął, że ma ciekawsze rzeczy do roboty i opuścił ich, na odchodnym rzucając przez ramię w stronę chłopców:

— Pamiętajcie, co powiedziałem.

Nikt poza nim nie miał zamiaru odchodzić.

— O czym on mówił? — spytała z roztargnieniem Egwene, nie spuszczać wzroku z drzwi, za którymi znajdowały się Moiraine i Nynaeve. Wciąż było widać, że nie wie, czy ukrywać rozpuszczone włosy, czy zdjąć kaptur.

— Udzielił nam pewnej rady — powiedział Mat.

Perrin skarcił go wzrokiem.

— Powiedział, że mamy nic nie mówić, dopóki nie będziemy pewni, co mówić.

— To brzmi jak dobra rada — powiedziała Egwene, wyraźnie nie zainteresowana.

Rand zatopił się we własnych myślach. Jakim cudem Nynaeve mogła być wpłątana w to wszystko? Jak ktokolwiek z nich mógł być związany z trollokami, Pomorami i Ba'alzamonem, pojawiającym się w snach? To było czyste szaleństwo. Zastanawiał się, czy Min powiedziała Moiraine o Nynaeve.

„O czym one tam rozmawiają?”

Gdy drzwi wreszcie otworzyły się, nie potrafił określić, jak długo tak stał na korytarzu. Na zewnątrz wyszła Nynaeve i drgnęła na widok Lana. Gdy Strażnik mruknął coś, dumnie potrząsnęła głową. Minęli się w drzwiach.

Ruszyła w stronę Randa, który dopiero teraz spostrzegł, że pozostali gdzieś się po cichu wymknęli. Nie miał ochoty samotnie stawiać czoło Wiedzącej, ale kiedy już napotkał wzrok Nynaeve, nie mógł uciec.

„Szczególnie przenikliwy wzrok” — pomyślał ze zdziwieniem. — „O czym one rozmawiały?”

Wyprostował się, gdy już do niego podeszła.

Przyjrzała się mieczowi Tama.

— Już chyba do ciebie pasuje, choć wolałabym, żeby tak nie było. Wydorosłaś, Rand.

— W ciągu jednego tygodnia? — roześmiał się z wyraźnym przymusem, a ona pokręciła głową, jakby jej nie zrozumiał. — Czy ona cię przekonała? — zapytał. — To naprawdę jedyne wyjście... — urwał, myśląc o iskierkach, o których mówiła Min. — Czy jedziesz z nami?

Nynaeve otworzyła szeroko oczy.

— Jechać z wami! A to niby po co? Z Deven Ride przyjechała Mavra Mallen, aby wszystkiego doglądać, dopóki ja nie wrócę, ale na pewno chciałyby jak najszybciej być u siebie. Ciągle mam nadzieję, że odzyskacie rozsądek i wróćcie ze mną.

— Nie możemy.

Wydało mu się, że widzi jakiś ruch w półotwartych drzwiach, ale korytarz był pusty.

— Ty mi to powiedziałeś i ona też. — Nynaeve skrzywiła się. — Jeśli ona nie była w to wszystko zamieszana... nie należy ufać Aes Sedai, Randzie.

— Chyba jednak już nam wierzysz — powiedział wolno. — Co się stało na zebraniu wsi?

Nynaeve spojrzała na tamte drzwi, zanim odpowiedziała, nie było w nich teraz żadnego ruchu.

— To była jedna wielka awantura, ale ona nie powinna myśleć, że nie dajemy sobie rady z naszymi kłopotami. A ja wiem jedno: jak długo będziecie z nią, grozi wam niebezpieczeństwo.

— Czy coś się stało? — nalegał. — Dlaczego chcesz, byśmy wracali, skoro wiesz, że być może mamy rację? I dlaczego właśnie ty? Dlaczego burmistrz przysłał tu ciebie?

— Jesteś już dorosły. — Uśmiechnęła się, a on poruszył się niespokojnie na widok jej chwilowego rozbawienia. — Pamiętam czasy, kiedy nie pytałeś mnie, dlaczego ja gdzieś idę, albo coś robię, cokolwiek by to było. Jeszcze tydzień temu.

Chrząknął i uparcie obstawał przy swoim.

— To wszystko nie ma sensu. Dlaczego tak naprawdę, jesteś tutaj?

Zerknęła w stronę nadal otwartych drzwi i ujęła go pod ramię:

— Może się przejdziemy.

Pozwolił się prowadzić, a kiedy odeszli wystarczająco daleko od tamtych drzwi, odezwała się ponownie.

— Tak, jak już mówiłam, spotkanie zakończyło się awanturą. Wszyscy się zgadzali, że trzeba kogoś po was wysłać, ale wieś podzieliła się na dwie grupy. Jedni chcieli was ratować, choć zażarcie się kłócili, jak tego dokonać, zważywszy, że przebywacie w... jej towarzystwie.

Był zadowolony, że Nynaeve panuje nad tym, co mówi.

— Więc pozostali uwierzyli Tamowi? — spytał.

— Niezupełnie, bo uważali, że nie powinniście przebywać wśród obcych, szczególnie nie w towarzystwie takich, jak ona. W każdym razie, wszyscy mężczyźni chcieli się znaleźć w tej grupie. Tam, Bran al'Vere, z insygniami swego urzędu na szyi, i Haral Luhhan, zanim Alsbet nie przytrzymała go. Nawet Cenn Buie. Światłości, chroń mnie przed mężczyznami, którzy myślą tylko włosami na piersiach. Chociaż nie wiem, czy są gdziekolwiek jacyś inni.

Westchnęła głęboko i spojrzała na niego z wyrzutem.

— W każdym razie zrozumiałam, że podjęcie decyzji zabierze im co najmniej jeszcze jeden dzień i jakimś sposobem wiedziałam, że nie możemy czekać tak długo. Zwołałam więc Krąg Kobiet i wyjaśniłam, co trzeba zrobić. Nie mogę powiedzieć, żeby im się to spodobało, ale rozumiały konieczność. I jestem tu właśnie dlatego, że mężczyźni z Pola Emonda to uparte osły. Prawdopodobnie nadal się spierają, kogo wysłać, choć zostawiłam im wiadomość, że ja się wszystkim zajmę.

Opowieść Nynaeve wyjaśniała jej obecność w Baerlon, ale nie poczuł się uspokojony. Wiedząca nadal była zdecydowana zabrać ich ze sobą.

— Co ona ci powiedziała? — zapytał.

Moiraine z pewnością przytoczyła każdy argument, ale jeśli któryś przeoczyła, to on to zrobi za nią.

— Mniej więcej to samo — odparła Nynaeve. — Wypytywała mnie też o was, chłopców. Chciała sprawdzić, czy dowie się czegoś, co by wyjaśniało, dlaczego tak przyciągacie uwagę... tak powiedziała.

Umilkła i obserwowała go kątem oka.

— Starła się to ukryć, ale przede wszystkim chciała wiedzieć, czy któryś z was urodził się poza Dwoma Rzekami.

Twarz Randa stała się nagle tak napięta jak skóra na bębnie. Zaśmiał się ochryple.

— Ona stale wymyśla jakieś dziwne rzeczy. Chyba ją zapewniłaś, że wszyscy urodziliśmy się w Polu Emonda.

— Oczywiście — odparła.

Zawahała się tylko na czas jednego uderzenia serca, zanim przemówiła, tak że gdyby jej nie obserwował, nawet by tego nie zauważył.

Zastanawiał się, co powiedzieć, ale miał wrażenie, że jego język jest z gumy.

„Ona wie.”

Była w końcu Wiedząca, a Wiedząca powinna znać prawdę o wszystkich.

„Jeżeli ona wie, to znaczy, że tamto nie było zwykłym bredzeniem w gorączce. Och, Światłości, dopomóż mi, mój ojciec!”

— Czy ty się dobrze czujesz? — spytała Nynaeve.

— On mi powiedział... powiedział, że ja... nie jestem jego synem. Kiedy majaczył w gorączce. Powiedział, że mnie znalazł. Myślałem, że to tylko...

Poczuł w gardle pieczenie i umilkł.

— Och, Rand! — Zatrzymała się i ujęła jego twarz w dłonie. Musiała stanąć na palcach, aby to zrobić. — W gorączce ludzie mówią różne rzeczy. Zupełnie pokrętne. Rzeczy nieprawdziwe lub nierealne. Posłuchaj mnie. Tam al'Thor uciekł ze wsi w poszukiwaniu przygód, kiedy był w twoim wieku. Pamiętam, wrócił do Pola Emonda już jako dojrzały mężczyzna z rudowłosą, cudzoziemską żoną i dzieckiem w powijakach. Pamiętam Kari al'Thor tulącą to dziecko do siebie z taką samą miłością i zachwytem, jakimi każda matka obdarza swoje dziecko. To byłeś ty, Rand. A teraz uspokój się i przestań pleść głupstwa.

— Oczywiście — powiedział.

„Nie urodziłem się w Dwu Rzekach.”

— Oczywiście. Może Tam tylko coś bredził w gorączce, a może znalazł jakieś dziecko po bitwie. Dlaczego jej o tym nie powiedziałaś?

— To nie są sprawy dla obcych.

— Czy jeszcze ktoś nie urodził się w Dwu Rzekach? — Zadawszy to pytanie, potrząsnął głową. — Nie, nie odpowiadaj. To też nie jest moja sprawa.

Ale dobrze byłoby wiedzieć, czy Moiraine przypadkiem nie interesuje się nim bardziej niż pozostałymi.

„Czy na pewno dobrze?”

— Tak, to nie jest twoja sprawa — zgodziła się Nynaeve. — To zresztą może nie być wcale istotne. Może ona na ślepo szuka jakiegoś powodu, jakiegokolwiek powodu, dla którego te stwory was ścigają. Was wszystkich.

Rand zdobył się na uśmiech.

— Zatem uwierzyłaś w to wszystko. — Nynaeve potrząsnęła głową.

— Odkąd ją poznałeś, nauczyłeś się przekręcać słowa.

— Co masz zamiar zrobić? — zapytał.

Przyglądała mu się badawczo, bezustannie napotykał jej wzrok.

— Dzisiaj chciałabym wziąć kąpiel. A co do reszty, to zobaczymy, nieprawdaż?

OBSERWATORZY I MYŚLIWI

Po odejściu Nynaeve, Rand poszedł do głównej sali oberży. Chciał usłyszeć śmiech innych ludzi, zapomnieć o słowach Nynaeve i kłopotach, jakich jeszcze mogła przysporzyć.

W izbie panował niesamowity tłok, ale nikt się nie śmiał. Zajęte były wszystkie krzesła i ławy, ludzie stali nawet pod ścianami. Trwało właśnie przedstawienie Thoma, który stał na stole pod przeciwległą ścianą, a swą imponującą gestykulacją wydawał się wypełniać całą salę. Było to znowu Wielkie Polowanie na Róg, ale nikt oczywiście nie narzekał. O każdym z Myśliwych było tyle do opowiadania i każdy z nich miał tyle do powiedzenia, że nie było dwóch takich samych epizodów, a przedstawienie całej tej długiej opowieści zabrałoby tydzień albo i więcej. Jedynym dźwiękiem, który współzawodniczył z głosem i harfą barda, był trzask ognia w paleniskach.

— ...Myśliwi dojechali do ośmiu kątów świata, do ośmiu filarów niebios, kędy wieją wichry czasu, a los jednako chwyta za włosy i potężnych i maluczkich. Najpotężniejszym z Myśliwych jest teraz Rogosh z Talmour, Rogosh Sokole Oko, którego imię wysławiane jest na dworze Wysokiego Króla i budzi strach na zboczach Shayol Ghul...

Wszyscy bez wyjątku Myśliwi zawsze byli sławnymi bohaterami. Rand wypatrzył swoich dwóch kolegów i precyzyjnie się w stronę ławy, na której Perrin zrobił dla niego miejsce. Kuchenne zapachy unoszące się w powietrzu przypomniały mu, że jest głodny, ale nawet ci ludzie, przed którymi stało jedzenie, nie zwracali na niego uwagi. Kobiety, które powinny były obsługiwać gości, stały jak zaczarowane, ścisnęły tylko swe fartuchy, zapatrzone nieprzytomnie w barda i nikomu to nie zdawało się przeszkadzać. Słuchanie było o wiele ciekawsze od jedzenia, niezależnie od tego jakie by było smakowite.

— ...od dnia narodzin Czarny naznaczył Blaes jako swoją własną, ale nie miejcie jej, Blaes z Matuchin, za Sprzymierzeńca Ciemności! Wyrosła silna jak jesion, giętka jak gałązka wierzby, piękna jak róża. Złotowłosa Blaes. Gotowa umrzeć bez słowa. Ale słuchajcie uważnie! Oto z wież miasta niesie się echo wielkich, mosiężnych trąb. Heroldzi Blaes ogłaszają przybycie bohatera na jej dwór. Grzmią bębny i śpiewają cymbały! Oto przybywa Rogosh Sokole Oko, aby złożyć hołd...

Targ Rogosha Sokole Oko dobiegł końca, ale Thom przerwał tylko na chwilę, aby zwilżyć gardło kuflem piwa i rozpoczął *Obronę Liana*. Po tej opowieści nastąpiły *Upadek Aleth-Loriela*, *Miecz Gaidala Caina* i *Ostatnia jazda Buada z Albhain*. W miarę, jak upływał wieczór, przerwy stawały się coraz dłuższe, a kiedy Thom zamienił swą harfę na flet, wszyscy wiedzieli, że to już koniec opowieści. Do stojącego wciąż na stole barda przyłączyło się dwóch mężczyzn z bębniem i cymbałami.

Trzech młodych ludzi z Pola Emonda zaczęło klaskać w dłonie, gdy usłyszeli pierwsze nuty *Wiatru, który kołysze wierzba*, nie byli w tym jednak osamotnieni. Pieśń ta była lubiana nie tylko w Dwu Rzekach, ale najwyraźniej również w Baerlon. Tu i tam niektórzy podchwytywali słowa, nie fałszując nawet zbytnio, nie trzeba więc było ich uciszać.

*Moja miłość zniknęła, uniesiona
przez wiatr, który kołysze wierzba
I jęczy kraj, owiany przez wiatr,
który kołysze wierzba.
Lecz ja ją zachowam w myślach swych,
w najdroższych mych wspomnieniach,
duszę uzbroję jej siłą,
ogrzeję serca struny i zagram znów
tę samą miłości melodię
choć zimny wiatr kołysze wierzba.*

Druga pieśń nie była już tak smutna. Można by nawet powiedzieć, że *Tylko jedno wiadro wody* zabrzmiało tym razem jeszcze weselej niż zazwyczaj, prawdopodobnie zgodnie z zamysłem barda. Ludzie pośpiesznie wynieśli stoły, aby zrobić miejsce do tańca i zaczęli przytupywać tak, że ściany się zatrzęsły od rytmu i wirowania. Po pierwszej melodii tancerze odeszli na bok, ich miejsca zajęli kolejni chętni do zabawy,

Thom zagrał pierwsze takty *Dzikich gęsi w locie*, po czym przerwał, by ludzie mogli połączyć się w krąg.

— Chyba też spróbuję — powiedział Rand i wstał.

Perrin zerwał się z miejsca zaraz po nim. Mat również chciał do nich dołączyć, ale okazało się, że musi pilnować płaszczy, miecza Randa i topora Perrina.

— Pamiętajcie, że ja też mam ochotę na jeden taniec — zawołał za nimi Mat.

Tancerze uformowali dwa długie szeregi, w jednym mężczyźni, a w drugim kobiety. Rozpoczął bęben, potem odezwały się cymbały i wszyscy tancerze ugięli równocześnie kolana. Dziewczyna naprzeciwko Randa, której długie ciemne warkocze przypominały mu dom, uśmiechnęła się do niego nieśmiało, a potem całkiem odważnie mrugnęła. Do melodii przyłączył się flet Thoma i Rand ruszył na spotkanie ciemnowłosej dziewczyny,

która odrzuciła głowę w tył i śmiała się, gdy obchodził ją dookoła i oddawał mężczyźnie tańczącemu obok.

Gdy tańczył z kolejną partnerką, jedną z pokojówek ubraną w trzepoczący fartuszek, Rand zauważył, że wszyscy w izbie się śmieją. Nie śmiał się tylko człowiek siedzący przy kominku, całą jego twarz, od skroni po szczękę, przecinała blizna, wykrzywająca nosa i wyginająca kącik ust. Mężczyzna napotkał jego wzrok, Rand odwrócił się zmieszany, widząc grymas na jego twarzy. Może ten człowiek nie mógł się uśmiechać z powodu blizny.

Złapał kolejną partnerkę i puścił ją w wir, potem przeszedł do następnej. Tańczył jeszcze z trzema kobietami w takt coraz to szybszej muzyki, aby wreszcie w ostatnim pochodzie, podczas którego szeregi zupełnie się przemieszały, by powrócić do tej pierwszej, ciemnowłosej dziewczyny. Dziewczyna nie przestawała się śmiać i znowu mrugnęła do niego.

Mężczyzna z blizną patrzył na niego spode łba. Rand pomylił krok i poczuł, że się rumieni. Nie chciał zawstydząć tego człowieka, naprawdę nie chciał się w niego wgapiać. Odwrócił się do następnej partnerki i zapomniał o nim. A następną kobietą, jaką znalazła się w jego ramionach, okazała się Nynaeve.

Natychmiast pomylił krok i potknął o własne nogi, omal jej nie depcząc. Wiedząca tańczyła z gracją, nadrabiała tym jego niezręczność i przez cały czas się uśmiechała.

— Myślałam, że jesteś lepszym tancerzem — zaśmiała się, kiedy zmienili partnerów.

Ledwie zdążył się opanować, a już tańczył z kim innym, tym razem spotkał Moiraine. Jeżeli niezgrabnie tańczył z Wiedzącą, to było to niczym w porównaniu z tym, co odczuwał w obecności Aes Sedai. Moiraine gładko sunęła po podłodze, wirując fałdami sukni, natomiast on dwukrotnie omal się nie przewrócił. Uśmiechnęła się do niego współczująco, co było jeszcze gorsze niż ewentualna pomoc. Z ulgą przeszedł do następnej partnerki, mimo iż była to Egwene.

Dopiero teraz odzyskał równowagę. W końcu tańczył z nią od wielu lat. Nadal miała rozpuszczone włosy, ale związała je z tyłu czerwoną wstążką.

„Pewnie nie może zdecydować, czy zadowolić Moiraine, czy Nynaeve” — pomyślał z przekąsem.

Rozchyliła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie zrobiła tego, a on nie chciał być pierwszym, który się odezwie. Nie po tym, jak uniemożliwiła mu wcześniejsze próby w pokoju jadalnym. Wpatrywali się w siebie dość ponuro i rozłączyli bez słowa.

Kiedy taniec wreszcie się skończył, chętnie usiadł z powrotem na ławce. Mat pośpiesznie włączył się w następny, Perrin zaś osunął na ławkę obok Randa.

— Widziałeś ją? — zaczął natychmiast go pytać. — Widziałeś?

— Którą? — spytał Rand. — Wiedzącą czy panią Alys? Tańczyłem z obydwoma.

— Z Aes... z panią Alys też? — krzyknął Perrin. — Ja tańczyłem z Nynaeve. Nawet nie wiedziałem, że ona to potrafi. U nas nigdy tego nie robiła.

— Ciekawe, co by powiedział Krąg Kobiet na widok tańczącej Wiedzącej? — zadumał się Rand. — Może ich się boi.

Po jakimś czasie muzyka, oklaski i śpiewy stały się zbyt głośne, aby można było rozmawiać. Kiedy tancerze okrążali izbę, Rand i Perrin klaskali wraz z innymi. Rand zauważył, że mężczyzna z blizną nadal wpatruje się w niego. Miał prawo być drażliwy z powodu takiej blizny, ale chłopiec zupełnie nie wiedział, co może teraz zrobić, aby jeszcze nie pogorszyć sprawy. Skupił się na muzyce i unikał patrzenia w jego stronę.

Tańce i śpiewy przeciągnęły się do późnej nocy. Posługaczki przypomniały sobie wreszcie o swych obowiązkach, Rand z radością wchłonął odrobinę gorącego gulaszu i chleba. Wszyscy jedli tam, gdzie akurat siedzieli lub stali. Rand zatańczył jeszcze trzykrotnie, a gdy trafiał na Nynaeve czy Moiraine, jego kroki były już znacznie pewniejsze. Tym razem pochwałyły go za dobry taniec, co spowodowało, że zaczął się dla odmiany jąkać. Tańczył również z Egwene. Patrzyła na niego ciemnymi oczami, przez cały czas wyraźnie miała ochotę coś powiedzieć, ale nie wymówiła ani słowa. On również milczał, z pewnością jednak nie patrzył na nią spode łba, o czym zapewnił go Mat, gdy usiadł znowu na ławie.

Mniej więcej o północy Moiraine wyszła z izby. Egwene, rzuciwszy jedno spłoszone spojrzenie w stronę Nynaeve, pośpieszyła za nią. Wiedząca obserwowała je obydwie z nieodgadnionym wyrazem twarzy, a potem zatańczyła raz jeszcze, zanim również wyszła. Odnosiło się wrażenie, że zdobyła punkt przeciwko Aes Sedai.

Wkrótce Thom schował swój flet do futerału i wdał się w dobroduszną sprzeczkę z tymi, którzy chcieli, by został dłużej. Lan przyszedł zabrać Randa i pozostałych.

— Musimy wcześniej wyruszyć — powiedział Strażnik, przysuwając się, aby go usłyszeli w tym hałasie — i potrzebujemy jak najdłuższego odpoczynku.

— Jeden człowiek cały czas się we mnie wgapia — powiedział Mat. — Ten z blizną na twarzy. Czy nie sądzisz, że to może być... jeden z przyjaciół, przed którymi nas ostrzegałeś?

— Z taką? — spytał Rand, pociągając palcem linię od swego nosa do kącika ust. — Na mnie też się patrzył.

Rozejrzał się po izbie. Ludzie wychodzili tłumnie, a ci, którzy jeszcze zostali, tłoczyli się wokół Thoma.

— Już go tu nie ma.

— Widziałem tego człowieka — powiedział Lan. — Zdaniem pana Fitcha to szpieg Białych Płaszczy. Nie mamy co się nim przejmować.

Może i tak było, ale Rand widział, że coś niepokoi Strażnika.

Zerknął na Mata, którego znieruchomiała twarz wskazywała jak zawsze, że coś ukrywa.

„Szpieg Białych Płaszczy. Czyżby Bornhald zawziął się na nas tak bardzo?”

— Jak wcześnie wyjeżdżamy? — zapytał.

Może uda im się zniknąć, nim coś się wydarzy.

— O pierwszym brzasku — odparł Strażnik.

Kiedy wyszli z głównej sali, Mat podśpiewywał sobie fragmenty piosenek, a Perrin co jakiś czas zatrzymywał się, aby przećwiczyć kroki, których dopiero co się nauczył. Dogonił ich wkrótce Thom, był w wyjątkowo dobrym nastroju. Twarz Lana natomiast nie wyrażała niczego, kiedy milcząc szedł w stronę schodów.

— Gdzie śpi Nynaeve? — spytał Mat. — Pan Fitch twierdził, że dostaliśmy ostatnie wolne pokoje.

— Ma łóżko — odparł sucho Thom — w pokoju pani Alys i Egwene.

Perrin gwizdnał przez zęby, a Mat mruknął:

— Krew i popioły! Nie chciałbym być w skórze Egwene za całe złoto Caemlyn!

Rand nie po raz pierwszy zapragnął, by Mat zastanawiał się dłużej. Poczul, że uwierają go buty.

— Mam ochotę napić się mleka — powiedział. Może to mu pomoże zasnąć.

„Może tej nocy nie będę miał snów.”

Lan spojrzał na niego surowo.

— Coś tu się dzieje złego. Nie włącz się nie wiadomo gdzie. I pamiętaj, wyjeżdżamy niezależnie od tego, czy się obudzisz, by samodzielnie usiąść w siodle, czy też będzie cię trzeba do niego przywiązać.

Strażnik wszedł na schody, za nim pozostali. Ich rozbawienie nieco przygasło. Rand został sam na korytarzu. Spędziwszy tyle czasu wśród ludzi, poczul się teraz naprawdę samotnie.

Pośpieszył do kuchni, gdzie jeszcze pracowała pomywaczka. Nalała mu do kubka mleka z wielkiej kamiennej stągwi.

Gdy wyszedł z kuchni, pijąc po drodze mleko, z drugiego końca korytarza ruszyła na jego spotkanie odziana na czarno postać. Dopadłszy go uniosła blade palce, by odrzucić ciemny kaptur, który osłaniał jej twarz. Pomimo ruchu płaszcz wisiał na niej nieruchomo, a twarz... Biała jak ciasto, przypominająca ślimaka pod skałą, twarz pozbawiona oczu. Od smoliście czarnych włosów aż po podpuchnięte policzki była gładka niczym skorupa jajka. Rand zakrztusił się i wylał mleko.

— Jesteś jednym z nich, chłopcze — powiedział Pomor chrapliwym szeptem przypominającym skrobanie kości.

Rand upuścił kubek i cofnął się. Chciał biec, ale zmusił stopy jedynie do stawiania pojedynczych, wolnych kroków. Nie mógł się wyrwać spod władzy tej pozbawionej oczu twarzy, nie mógł oderwać od niej wzroku, czuł kotłowanie w żołądku. Chciał wołać o pomoc, wręcz wrzeszczeć, ale jego gardło zdawało się wykute z kamienia. Każdy urywany oddech sprawiał ból.

Pomor sunął bez pośpiechu w jego stronę. Poruszał się z falistą, śmiertelną gracją, jak żmija, podobieństwo podkreślały czarne, zachodzące na siebie płytki zbroi na piersi. Wąskie, bezkrwiste wargi rozchylił okrutny uśmiech, przedziwnie wyglądający na tle gładkiej, białej skóry. Przy jego głosie, ton wypowiedzi Bornhalda wydawał się serdeczny i pełen ciepła.

— Gdzie są pozostali? Wiem, że tu są. Mów chłopcze, a puszcę cię żywego.

Rand uderzył plecami o drewno, w ścianę lub drzwi, ale nie był w stanie się obejrzeć. Odkąd nogi zesztyniały mu, nie mógł wykonać najmniejszego ruchu. Drżał i obserwował Myrddraala, który przysuwał się coraz bliżej.

— Mów, chłopcze, albo...

Z góry dobiegł stukot szybkich kroków, ktoś schodził po schodach. Myrddraal odskoczył okręcając się, fałdy jego płaszcza ani drgnęły. Przez chwilę przekrzywił głowę, jakby pomimo braku oczu potrafił wzrokiem przewiercić na wylot drewnianą ścianę. W śmiertelnie bladej dłoni błysnęło ostrze miecza czarne jak płaszcz. Światło na korytarzu pociemniało. Tupot kroków był coraz głośniejszy, Pomor odwrócił się błyskawicznie w stronę Randa, tak płynnie, jakby nie posiadał kości. Czarne ostrze rosnęło, wąskie wargi rozchylił ohydny grymas.

Trzęsąc się Rand zrozumiał, że zaraz umrze. Ostrze nocy runęło na jego głowę... i zatrzymało się.

— Jesteś własnością Wielkiego Władcy Ciemności. — Chrapliwe skrzypienie tego głosu brzmiało jak skrobanie paznokciem po dachówce. — Należysz do niego.

Wykonawszy gwałtowny obrót, Pomor pomknął w głąb korytarza, zastawiając Randa samego. Cienie na przeciwległym krańcu pomknęły mu naprzeciw i wchłonęły go, w tym momencie zniknęły.

Z ostatniego stopnia zeskoczył z hałasem Lan, w dłoni trzymał obnażony miecz.

Rand usiłował dobyć głosu.

— Pomor — wyszeptał. — To był... — Nagle przypomniał sobie, że ma miecz. Zapomniał o nim, gdy stał twarzą w twarz z Myrddraalem. Niezręcznie wyszarpnął ostrze ze znakiem czapli, nie zważając, że już jest za późno. — Uciekł tędy!

Lan skinął w zamyśleniu głową, wydawał się nasłuchiwać czegoś innego.

— Tak. On tak odchodzi, zamiera. Nie ma teraz czasu, aby go ścigać. Wyjeżdżamy, pasterzu.

Znowu na schodach zatupotały czyjeś kroki, Mat, Perrin i Thom, wszyscy objuczeni kocami i sakwami. Mat związał po drodze swój koc, w czym mocno przeszkadzał mu wsadzony pod pachę łuk.

— Wyjeżdżamy? — spytał Rand. Schował miecz i odebrał swoje rzeczy z rąk Thoma. — Teraz? Po nocy?

— Chcesz czekać na powrót Półczłowieka, pasterzu? — powiedział niecierpliwie Strażnik. — A może na cały oddział? Już teraz wie, gdzie jesteśmy.

— Pojadę dalej z wami — oświadczył Thom Strażnikowi — jeśli wam nie przeszkadzam. Zbyt wielu ludzi pamięta, że przyjechaliśmy razem. Obawiam się, że jutro lepiej będzie uniknąć sławy waszego przyjaciela.

— Możesz jechać z nami albo prosto do Shayol Ghul, bardzo.

Pochwa Lana aż zaszczękała od siły, z jaką wsunął w nią miecz.

Minął ich pędem stajenny, który wypadł z tylnych drzwi oberży, potem wyłoniła się z nich Moiraine z panem Fitchem, za nimi Egwene, tuląca swój tobołek. A potem Nynaeve. Wydawało się, że Egwene jest tak przestraszona, że zaraz się rozplacze, twarz Wiedzącej skrzepla w maskę chłodnego gniewu.

— Musi pan potraktować poważnie to, co mówię — tłumaczyła Moiraine oberżyście. — Rano będziecie tu mieli z pewnością kłopoty. Może ze Sprzymierzeńcami Ciemności, może z czymś jeszcze gorszym. Kiedy do tego dojdzie, prędko wyjaśnijcie, że nas już nie ma. Nie stawiajcie oporu. Powiadomcie tylko ich, ktokolwiek to będzie, że wyjechaliśmy w nocy i wtedy powinni was pozostawić w spokoju. To nas właśnie ścigają.

— Nie martwcie się o nic — odparł jowialnym tonem pan Fitch. — Ani trochę. Jeśli ktoś przyjdzie do mojej oberży, aby narobić jakichś kłopotów gościom... to, cóż, ja i moi chłopcy rozprawimy się z nim. I to krótko. A oni nie usłyszą ani słoweczka o tym, dokąd albo kiedyście odjechali, ani w ogóle, że tu byliście. Nie zwykłem gadać takich rzeczy. Nie powiem nic, żeście tu kiedykolwiek byli. Ani słowa!

— Ale...

— Pani Alys, doprawdy muszę doglądać waszych koni, jeśli chcecie wyjechać w jak najlepszym porządku.

Wyrwał się z uścisku jej dłoni i potruchtał w stronę stajni.

Moiraine westchnęła z irytacją.

— Strasznie uparty człowiek. Nie chce mnie słuchać.

— Myślisz, że trolloki mogą nas tu szukać? — spytał Mat.

— Trolloki! — zachnęła się Moiraine. — Jasne że nie! Trzeba się bać czegoś innego, przede wszystkim sposobu, w jaki nas tu odnaleziono.

Ignorując przerażenie Mata mówiła dalej:

— Pomor nie uwierzy, że zostaliśmy, po tym jak już się wydało, że nas znalazł, ale pan Fitch traktuje Sprzymierzeńców Ciemności zbyt lekko. Myśli, że to jakieś ohydne stworzy ukrywające się w cieniach, ale tak naprawdę to można ich spotkać w sklepach i na ulicach każdego miasta, zasiadają nawet w najwyższych władzach. Myrddraal może ich przysłać, aby się czegoś dowiedzieli o naszych planach.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła z miejsca, Lan szedł zaraz za nią.

Kiedy wędrowali przez podwórzec, Randowi przypadło towarzystwo Nynaeve. Też miała przy sobie swoje koce i sakwy.

— Więc jednak jedziesz z nami — powiedział.

Min miała rację.

— Czy tam na dole coś zaszło? — spytała cichym głosem. — Ona powiedziała, że to był...

Przystanęła nagle i spojrzała na niego.

— To był Pomor — odparł. Spokój, z jakim to powiedział, zadziwił nawet jego samego. — Był tam ze mną na korytarzu, dopóki nie pojawił się Lan.

Gdy wyszli z oberży, Nynaeve otuliła się płaszczem.

— Może coś rzeczywiście chce was dopaść. Ale ja przyjechałam, żeby odwieźć wszystkich bezpiecznie do Pola Emonda i nie opuszczę was, dopóki mi się to nie uda. Nie pozostawię was samych z kimś takim, jak ona.

W stajniach, gdzie siodłano ich konie, zapaliły się światła.

— Mutch! — krzyknął oberżysta, stając w drzwiach stajni obok Moiraine. — Rusz tyłek!

Odwrócił się z powrotem do niej, starał się ją uspokajać, zamiast dokładnie słuchać tego, co mówiła. Nieprzerwanie okazywał jej przy tym szacunek, swoje rozkazy wykrzykiwane w stronę stajennych bezustannie przeplatał ukłonami.

Stajenni wyprowadzili konie, pomrukując coś o pośpiechu i późnej porze. Rand przytrzymał tobolek Egwene i podał go jej, gdy już siedziała na grzbiecie Beli. Spojrzała na niego wielkimi, pełnymi strachu oczami.

„Przynajmniej już nie wyobraża sobie, że to wszystko jest przygodą.”

Zaraz jak o tym pomyślał, zawstydził się. Tak samo, jak jemu i pozostałym, groziło jej niebezpieczeństwo. Nawet gdyby wracała samotnie do Pola Emonda byłaby bezpieczniejsza.

— Egwene, ja...

Słowa uwięzły mu w gardle. Była tak zawzięta, że odwróciła się tylko tyłem do niego, nawet nie mówiąc, że jedzie z nimi aż do Tar Valon. Co ta Min widziała? Że ona do tego należy. Światłość, do czego?

— Egwene — powiedział. — Przepraszam cię. Już nie jestem tak pewien siebie.

Pochyliła się, aby go mocno schwycić za rękę. W świetle padającym ze stajni widział wyraźnie jej twarz. Nie wyglądała na tak przerażoną, jak przedtem.

Kiedy wszyscy siedzieli na koniach, pan Fitch uparł się, że odprowadzi ich do bram, stajenny miał oświetlać drogę. Brzuchaty oberżysta cały czas kłaniał się zapewniając, że dochowa ich tajemnicy i zapraszał, by znowu go odwiedzili. Mutch natomiast żegnał ich z równie kwaśnym spojrzeniem, jakim ich powitał.

Rand pomyślał, że ten człowiek na pewno nie będzie rozprawiał się krótko z kimkolwiek, lecz powie pierwszej osobie, która go o to zapyta, dokąd pojechali i wszystko, co sobie o nich pomyślał. Przejechawszy kawałek ulicy, obejrzał się: odprowadzała ich wzrokiem jedna postać z uniesioną do góry lampą. Rand nie musiał zobaczyć twarzy, by wiedzieć, że to Mutch.

O tej porze ulice Baerlon były opustoszałe, tylko gdzieś z dala słychać było szczekanie psa, ale oprócz stukotu kopyt i świstu wiatru wśród dachów, żadne inne dźwięki nie zakłócały nocnej ciszy. Jeźdźcy zachowywali głębokie milczenie, opatuleni w płaszcze, zatopieni we własnych myślach. Na czele szeregu jechał Strażnik, tuż za nim Moiraine i Egwene. Nynaeve trzymała się blisko dziewczyny, a pozostali tworzyli w tyle ciasno zbitą gromadkę. Wszystkie konie rażno jechały stępa, zgodnie z tempem nadawanym im przez Lana.

Rand bacznie obserwował mijane ulice, zauważył, że przyjaciele robią to samo. Ruchome cienie rzucane przez księżyc przypominały mu tamte cienie w końcu korytarza, które wchłonęły Pomora. Gdy w oddali rozległ się jakiś hałas, jakby turlanie beczki albo szczekanie psa, wszyscy nerwowo podnieśli głowy. Powoli, w miarę jak posuwali się przez miasto, gromadzili się coraz ciasniej wokół czarnego ogiera Lana i białej klaczy Moiraine.

Przy Bramie Caemlyn Lan zsiadł z konia i załomotał pięścią do drzwi małego, kamiennego budynku stykającego się z murem. Po chwili wyłonił się z niego zmęczony dozorca, sennie przecierając twarz. Na dźwięk słów Lana jego senność zniknęła, dokładnie obejrzał wszystkich, którzy towarzyszyli Strażnikowi.

— Chcecie wyjechać? — krzyknął. — Teraz? Po nocy? Chyba jesteście szaleni!

— Przecież nie ma żadnego rozkazu gubernatora, który by tego zabraniał — powiedziała Moiraine.

Zsiadła z konia, ale nie podchodziła do oświetlonych drzwi.

— Pewnie, że nie. — Strażnik zmarszczył brwi, starając się rozpoznać jej twarz. — Ale bramy pozostają zamknięte od zmierzchu do świtu. Do miasta można wjechać tylko za dnia, taki jest rozkaz. A poza tym na zewnątrz są wilki. W zeszłym tygodniu zagryzły kilkanaście krów. Człowieka dopadną z równą łatwością.

— Nikt nie może wjechać, ale nie ma tu mowy o wyjeżdżaniu — stwierdziła Moiraine, jakby wszystko już zostało przesądzone. — Rozumiecie? Nie żądamy od was, abyście okazali się nieposłuszni względem gubernatora.

Lan wcisnął coś do ręki dozorca.

— To za fatygę — mruknął.

— No myślę — wycedził dozorca.

Obejrzał zawartość swej dłoni, złoto błysnęło, zanim zdążył je wsunąć do kieszeni.

— Chyba rzeczywiście nic w tym rozkazie nie było o wyjeżdżaniu. Poczekajcie chwilę.

Cofnął się do środka.

— Arin! Dar! Chodźcie mi pomóc otworzyć bramę! Tu paru ludzi chce wyjechać. No już, bez gadania.

Z domku wyszło dwóch zaspanych dozorców, stanęli jak wryci na widok ośmioosobowej grupy. Ponaglani przez szefa poczępali w stronę wielkiego koła, przy pomocy którego podnieśli wielką kratę, następnie z wysiłkiem otworzyli całą bramę na oścież. Korba i koło zapadkowe zaszczękały głośno, ale dobrze naoliwione zawiasy bramy obróciły się bezgłośnie. Zanim jednak dozorczy otworzyli w niej choćby szczelinę, z mroku przemówił do nich zimny głos.

— Co to ma znaczyć? Czy nie ma rozkazu, że bramy mają być zamknięte aż do wschodu słońca?

Spod cienia skrywającego domek dozorców wyłoniło się pięciu ubranych w białe płaszcze mężczyzn. Na głowy mieli nasunięte kaptury, dłonie wsparli na rękojeściach mieczy, złote słońca wyhaftowane na lewej piersi wyraźnie obwieszczały, kim byli. Mat wyszeptał coś niezrozumiale. Dozorcy przestali kręcić korba i wymienili niespokojne spojrzenia.

— To nie jest wasza sprawa — powiedział zaczepnym tonem pierwszy dozorca.

Pięć białych kapturów obróciło się w jego stronę, więc skończył nieco uległej.

— Synowie nie mają tu władzy. Gubernator...

— Synowie Światłości — upomniał go łagodnie ten, który odezwał się jako pierwszy — dzierzą władzę tylko tam, gdzie ludzie podążają ku Światłości. Tam natomiast, gdzie panuje Cień Czarnego, tego prawa im się odmawia, czy tak?

Obrócił się w stronę Lana i uważnie przyjrzał Strażnikowi.

Ten nie poruszył się nawet, był zupełnie opanowany. Niewielu ludzi potrafiło patrzeć na Synów tak lekceważąco. Takim kamiennym spojrzeniem Lan mógł równie dobrze obdarzać pucybuta. W głosie dowódcy oddziału Białych Płaszczy zabrzmiała nuta podejrzliwości.

— A cóż to za ludzie, którzy opuszczają miejskie mury w nocy i to w takich czasach? Przecież zakradają się tu wilki, widziano nad miastem fruwały pomiot Czarnego. — Przypatrywał się opasce z plecionych rzemieni na czole Lana. — Jesteście z północy, zgadza się?

Rand zgarbił się w siodle. Draghkar. To musiał być on, chyba, że ten człowiek właśnie powiedział o czymś, co wcale nie było dziełem Czarnego. Po pojawieniu się Pomora w „Jeleniu i Lwie” można się było tego spodziewać. Na razie jednak przestał się nad tym zastanawiać. Zdało mu się natomiast, że rozpoznaje głos dowódcy.

— Jesteśmy podróżnikami — spokojnie wyjaśnił Lan. — Nie powinniśmy was interesować.

— Synowie Światłości powinni interesować się wszystkim.

Lan lekko potrząsnął głową.

— Czy naprawdę chcecie kolejnych sporów z gubernatorem? Ograniczył już liczebność waszych szeregów w mieście, kazał nawet was przegnać. Ciekawe, co zrobi, jeśli się

downie, że nękanie uczciwych obywateli u jego bram? — Odwrócił się teraz w stronę dozorców. — Czemu nic nie robicie? Otwierać!

Zawahali się, ale schwycili korbę. Nie zakręcili nią jednak ponieważ znowu przemówił Biały Płaszcz.

— Gubernator nie wie, co się dzieje za jego plecami. Nie widzi, ani nie czuje zła. Ale widzą je Synowie Światłości. Dozorcy spoglądali po sobie, otwierali i zaciskali dłonie, jakby żałując, że nie mają przy sobie włóczni.

— Synowie Światłości wyczuwają zło.

Biały Płaszcz omiół wzrokiem jeźdźców.

— Wyczuwamy je i wyrrywamy z korzeniami. Gdziekolwiek by się znajdowało.

Rand próbował się jeszcze bardziej skulić, ale swym ruchem zwrócił uwagę mężczyzny.

— A kogo my tu widzimy! Czyżby kogoś, kto nie chce, by go zauważono? Co to...? Aha! — Mężczyzna odrzucił kaptur z głowy i Rand zobaczył twarz, którą spodziewał się zobaczyć. Bornhald pokiwał głową z wyraźną satysfakcją. — No, panie dozorczo, uratowałem was przed wielkim nieszczęściem. To Sprzymierzeńcy Ciemności, którym właśnie zamierzaliście pomóc w ucieczce przed Światłością. Powinniście odpowiadać dyscyplinarnie przed gubernatorem, może oddamy was śledczym, aby wykryli, jakie intencje kierowały wami tej nocy. — Urwał, obserwując przerażenie dozorczy, które jednak w żaden sposób nie wywierało na nim wrażenia. — Nie mielibyście na to ochoty, co? Zamiast ciebie, zabiorę tych łotrów do naszego obozu, aby można ich było wy badać w obliczu Światłości, zgoda?

— Zabierzesz mnie do waszego obozu, Biały Płaszczu? — Głos Moiraine dobiegł ich nagle ze wszystkich stron jednocześnie. Przedtem, na widok zbliżających się do ich grupy Synów, skryła się w cieniu. — Wy będziecie mnie przesłuchiwać? — Kiedy zrobiła krok do przodu, spowił ją mrok, dzięki czemu wydawała się wyższa. — Odważycie się zagrozić mi drogę?

Jeszcze jeden krok i Rand głośno wciągnął powietrze. Była naprawdę wyższa, jej głowa znajdowała się na poziomie jego oczu, mimo iż siedział na grzbiecie konia. Cienie przywarły do jej twarzy niczym chmury burzowe.

— Aes Sedai! — wrzasnął Bornhald, a z pochew wysunęło się pięć mieczy. — Giń!

Pozostali czterej zawahali się, lecz tamten uderzył.

Rand aż krzyknął, gdy laska Moiraine urosła, by odparować cios, na pozór takie delikatne rzeźbione drewno nie mogło przeciwstawić się twardej stali. Miecz uderzył i trysnęła fontanna iskier, w ich syku ciało Bornhalda poleciało pomiędzy jego towarzyszy. Wszyscy runęli na ziemię. Miecz Bornhalda dymił, klinga wygięła się pod kątem prostym, w miejscu gdzie omal nie została przepołowiona.

— Ośmielasz się mnie atakować!

Głos Moiraine huczał teraz jak wiatr. Cień, który do niej przywarł, udrapował się wokół ciała na kształt peleryny z kapturem, sama sięgała już wysokości miejskiego muru. Spoglądała w dół jak olbrzym patrzący na robactwo.

— Ruszamy! — krzyknął Lan. — Z szybkością błyskawicy chwycił wodze klaczy Moiraine i wskoczył na siodło własnego konia. — Teraz! — rozkazał.

Ramionami otarł się niemal o skrzydła bram, kiedy jego ogier rzucił się w wąski otwór niczym ciśnięty kamień.

Przez chwilę Rand tkwił w miejscu jak sparaliżowany. Głowa i ramiona Moiraine wystawały już ponad murem. Zgromadzeni przed wartownią dozorczy i Synowie skulili się ze strachu. Twarz Aes Sedai ginęła w mroku, lecz jej oczy, wielkie jak księżyc w pełni, błyszczały irytacją i gniewem. Rand przełknął ślinę, uderzył piętami boki swego wierzchowca i pogalopował za pozostałymi.

Pięćdziesiąt kroków za murem, gdzie Strażnik zebrał ich wszystkich wokół siebie, Rand obejrzał się. Ciemny kształt Moiraine górował wysoko ponad umocnieniami, jej głowa i ramiona ginęły gdzieś w głębokich ciemnościach nocnego nieba, otoczone srebrną poświatą niewidocznego księżyca. Kiedy tak z otwartymi ustami wgapiał się w ten widok, Aes Sedai przestąpiła przez mur. Ktoś w szaleńczym pośpiechu zamknął bramy od wewnątrz. Gdy tylko znalazła się poza murami, natychmiast wróciła do swych normalnych rozmiarów.

— Nie zamykać bram! — dobiegł ich czyjś niepewny okrzyk. Rand pomyślał, że to pewnie głos Bornhald. — Musimy ich ścigać i pojmać!

Dozorczy jednak nie zwolnili tempa. Bramy zatrzasnęły się z hukiem i chwilę później krata zjechała na swoje miejsce.

„Może pozostali Synowie nie mają aż takiej ochoty stawiać czoła Aes Sedai, jak Bornhald.”

Moiraine podbiegła do swej klaczy i pogładziła jej chrapy, potem wetknęła laskę pod rzemyk popręgu. Tym razem Rand bez sprawdzania wiedział, że na lasce nie ma ani jednej rysy.

— Byłaś wyższa niż jakiś olbrzym — powiedziała bez tchu Egwene, obracając się na grzbiecie Beli.

Nikt inny się nie odezwał, ale Mat i Perrin starali się nie zbliżać do Aes Sedai.

— Czyżby? — spytała roztargnionym głosem Moiraine, sadowiąc się z powrotem w siodle.

— Sama widziałam — zaprotestowała Egwene.

— Twój umysł płata ci figle najgłębszą nocą, oko widzi to, co nie istnieje.

— To nie pora na żarty — zaczęła gniewnie Nynaeve, lecz Moiraine przerwała jej.

— Rzeczywiście nie pora to na żarty — rzekła. — Być może utraciliśmy przewagę, którą zyskaliśmy w „Jeleniu i Lwie”. Obejrzała się w stronę bramy i pokręciła głową.

— Gdybym tylko wiedziała, czy draghkar rzeczywiście się tu pojawił. — Prychnąwszy pogardliwie dodała: — I żeby tylko Myrddraal był naprawdę ślepy. Ale wówczas musiałabym żądać niemożliwego. Zresztą nieważne. Wiedzą, którędy musieliśmy uciekać, ale przy odrobinie szczęścia może uda nam się wymknąć. Lan!

Strażnik ruszył Drogą Caemlyn prowadzącą na wschód, a reszta, jak zwykle, jechała tuż za nim. Towarzyszył im rytmiczny stukot kopyt po ubitym trakcie.

Starali się utrzymać miarowe tempo i taką szybkość, by konie wytrzymały wielogodzinny kłus bez pomocy magii Aes Sedai. Jednakże nie upłynęła jeszcze godzina jazdy, gdy Mat coś krzyknął, wskazując za siebie.

— Patrzcie tam!

Wszyscy ściągnęli wodze i obejrzeni się.

Nocne niebo nad Baerlonem rozświetlały płomienie, jakby ktoś rozpałił ognisko wielkości dużego domu. Poszycie chmur zabarwiło się na czerwono, iskry ulatywały wraz z wiatrem w górę.

— Ostrzegałam go — powiedziała Moiraine — ale nie chciał potraktować tego poważnie. Jej klacz zaczęła wierzgać, jakby podkreślając strapienie Aes Sedai. — Nie chciał potraktować tego poważnie.

— To oberża? — spytał Perrin. — Czy to „Jeleń i Lew”? Skąd wiesz?

— Nie widzisz zbiegu okoliczności? — ofuknął go Thom. — To przecież nie jest ani dom gubernatora, ani jakiś magazyn, czyjs piec wreszcie albo kopa siana twojej babci.

— Może Światłość nam przyświeca dzisiejszej nocy powiedział Lan, a Egwene okrążyła go i spojrzała gniewnie. — Jak możesz tak mówić? Pali się oberża biednego pana Fitcha! Jacyś ludzie mogą przy tym zginąć!

— Jeśli zaatakowali oberżę — powiedziała Moiraine — to może nasza ucieczka z miasta i mój... pokaz pozostały nie zauważone.

— Chyba, że Myrddraal chce, byśmy tak myśleli — dodał Lan.

Moiraine skinęła głową.

— Może. W każdym razie musimy jechać dalej. Niewiele odpoczniemy dzisiejszej nocy.

— Mówisz to tak lekko, Moiraine — krzyknęła Nynaeve. — A co z tymi ludźmi w oberży? Na pewno są ranni, a oberżysta stracił z twojego powodu cały dobytek! Za całą tę swoją gadaninę o ścieżce w Światłości jesteście gotowi jechać przed siebie, nawet o tym nie pomyślawszy. To z twojej winy znalazł się w biedzie!

— Z winy tych trzech chłopców — rzucił ze złością Lan. Ogień, ranni, jazda: wszystkim winni są ci trzej. Sam fakt, że trzeba za to zapłacić, jest dowodem, że płacić warto. Czarny chce ich dopaść, a nie można mu pozwolić, by miał cokolwiek, czego tak mocno pragnie. Chyba że chcesz, by Pomor ich pojmał?

— Uspokój się, Lan — wtrąciła Moiraine. — Uspokój się! Nynaeve, uważasz, że mogłabym pomóc panu Fitchowi i ludziom z jego oberży? Cóż, niestety masz rację. — Nynaeve zaczęła coś mówić, lecz Moiraine zbyła ją machnięciem ręki i kontynuowała: — Mogłabym zawrócić i udzielić im pomocy, niezbyt wielkiej, oczywiście. A to ściągnęłoby uwagę na tych, którym dotychczas pomagałam, za co raczej nie mogliby mi podziękować, szczególnie że w mieście są Synowie Światłości. I wówczas zostałyby tylko Lan, aby was wszystkich chronić. Jest w tym znakomity, ale sam nie dałby rady stawić czoła Myrddraalowi i trollokom. Naturalnie, wszyscy możemy wrócić, choć wątpię, czy dostalibyśmy się do Baerlon nie zauważeni. A wówczas ci, którzy podłożyli ten ogień, mieliby nas na widoku, nie wspominając już Białych Płaszczy. Które byś wybrała wyście, Nynaeve, gdybyś była na moim miejscu?

— Coś bym na pewno zrobiła — mruknęła niechętnie Nynaeve.

— I najprawdopodobniej pozwoliła Czarnemu zwyciężyć — odparła Moiraine. — Przypomnij sobie, czego, czy raczej kogo, on chce. Prowadzimy wojnę, tak samo jak tamci w Ghealdan, mimo że tam walczą tysiące, a nas jest tylko ośmioro. Prześlę panu Fitchowi wystarczającą ilość złota, aby mógł odbudować „Jelenia i Lwa”. Będzie to złoto, którego ślad nie doprowadzi nikogo do Tar Valon. Prześlę też pomoc dla rannych. Każde inne rozwiązanie będzie dla nich tylko zagrożeniem. Zrozum, że to wszystko nie jest takie proste. Lan.

Strażnik zawrócił konia i ruszyli dalej.

Rand oglądał się kilkakrotnie za siebie. Po jakimś czasie widział już tylko łunę wśród chmur, a potem nawet ona zniknęła w mroku. Miał nadzieję, że Min nic się nie stało.

Gdy Strażnik zboczył wreszcie z ubitego traktu i zsiadł z konia, wokół nich panowały ciemności choć oko wykol. Zdaniem Randa do świtu brakowało zaledwie paru godzin. Spętali konie, nie zdejmując z nich siodła i urządzili obozowisko pod gołym niebem.

— Godzina — uprzedził ich Strażnik, gdy wszyscy zaczęli otulać się w koce. On miał czuwać, gdy będą spali. — Jedna godzina i zaraz ruszamy. — Nikt więcej się nie odezwał.

Po paru minutach Mat przemówił do Randa ledwie słyszalnym szeptem.

— Zastanawiam się, co Dav zrobił z tym borsukiem. — Rand milcząco pokręcił głową, a Mat zawahał się, aż wreszcie powiedział: — Wiesz, Rand, myślałem, że już jesteśmy bezpieczni. Nic się nie działo, odkąd przeprawiliśmy się przez Taren, a poza tym znaleźliśmy się w mieście, otoczeni murami. Myślałem, że nic już się nam nie stanie. A potem ten sen. I Pomor. Czy kiedykolwiek będziemy bezpieczni?

— Nigdy, dopóki nie dotrzemy do Tar Valon — powiedział Rand. — Tak ona twierdzi.

— A tam? — spytał cicho Perrin i wszyscy trzej popatrzyli na ciemny kształt leżącej Aes Sedai.

Lan wtopił się w mrok, praktycznie mógł teraz być wszędzie. Rand ziewnął nagle. Pozostali wiercili się niespokojnie na ziemi.

— Chyba lepiej przespać się trochę — zasugerował. I tak na razie nie znajdziemy żadnej odpowiedzi.

— Myślę, że jednak powinna była coś zrobić — wyszeptał Perrin.

Nikt mu nie odpowiedział.

Rand przewrócił się na bok, bo uwierał go korzeń, spróbował położyć się na wznak, poczuł kamień, więc przekręcił się na brzuch, ale znowu przeszkadzał mu korzeń. Obowisko nie zostało najlepiej ulokowane, nie przypominało tamtych miejsc, które wybierał dla nich Strażnik po drodze z Taren. Zasypiając zastanawiał się, czy korzenie wbijające się w żebra sprawią, że znowu przyśni mu się tamten sen, ale po chwili obudził go dotyk ręki Lana. Miał obolałe żebra, czuł jednak ulgę, że nawet jeśli coś mu się śniło, to nic nie pamięta.

Wśród resztek mroku przed świtem, zwinęli koce i przywiązali je do siodeł. Lan nakazał im znowu jechać na wschód. Tuż po wzejściu słońca zjedli w drodze śniadanie składające się z chleba, sera i wody. Mrugali przekrwionymi z niewyspania oczami i owijali płaszczami, chroniąc się przed wiatrem. Wszyscy, z wyjątkiem Lana. Jadł, ale nie miał ani przekrwionych oczu, ani się nie kulił. Przebrał się znowu w swój mieniący płaszcz, który trzepotał migocząc szarościami i zieleniami, dbał tylko o to, by ramię władające mieczem pozostawało swobodne. Jego twarz była nadal pozbawiona wszelkiego wyrazu, ale wzrok błędził gdzieś bezustannie, jakby w każdej chwili spodziewał się zasadzki.

DROGA DO CAEMLYN

Droga do Caemlyn niewiele różniła się od Drogi Północnej, przebiegającej przez Dwie Rzeki. Była oczywiście znacznie szersza i bardziej zniszczona, ale nadal wyznaczał ją ubity trakt, po obu stronach porośnięty drzewami, które z pewnością nie byłyby czymś niezwykłym w Dwu Rzekach, szczególnie, że ich igły pozostawały zielone nawet zimą.

Sama okolica natomiast była inna, około południa napotkali już pierwsze niskie wzgórza, które miały im towarzyszyć przez następne dwa dni — droga niejednokrotnie je przecinała jeżeli były zbyt szerokie, aby je okrążyć i nie tak duże, aby wykopanie w nich tunelu stanowiło nadmierny wysiłek. Na podstawie zmieniającego się codziennie kąta, pod którym padały promienie słoneczne, łatwo było stwierdzić, że droga powoli skręcała na południowy wschód. Rand, tak jak pozostali chłopcy z Pola Emonda, zawsze marzył o posiadaniu starej mapy pana al'Vere. Teraz przypomniał sobie, że ta droga obiega jakieś wzgórze Absher, a potem dociera do Białego Mostu.

Co jakiś czas, na znak dany przez Lana, zsiadali z koni na szczycie jakiegoś wzgórza, skąd roztaczał się dobry widok na drogę i otaczający ich krajobraz. Strażnik rozglądał się uważnie dookoła, a pozostali rozprostowywali nogi, albo siadali pod jakimś drzewem, aby się posilić.

— Dotąd zawsze lubiłam ten ser — powiedziała Egwene trzeciego dnia po opuszczeniu Baerlon. Oparta plecami o pień drzewa, krzywiła się nad obiadem, który był taki sam jak śniadanie i kolacja. — Najmniejszej szansy na herbatę. Pyszną, gorącą herbatę.

Otuliła się szczelniej płaszczem i przesuwała bezskutecznie wokół drzewa, szukając osłony przed przenikliwym wiatrem.

— Herbata z płaskością i korzeń delija — wyjaśniła Moiraine Nynaeve — są najlepsze na zmęczenie. Oczyszczają myśli i tłumią ból zmęczonych mięśni.

— Niewątpliwie pomagają — mruknęła Aes Sedai, obdarzając Nynaeve kosym spojrzeniem.

Nynaeve zacisnęła usta, ale ciągnęła dalej tym samym tonem.

— A skoro trzeba jechać bez snu...

— Żadnej herbaty! — powiedział ostro Lan do Egwene. — Żadnego ogniska! Jeszcze ich nie widać, ale jeden lub dwa Pomory i trolloki są gdzieś za nami i wiedzą, że podążamy tą drogą. Nie należy im wskazywać miejsca naszego pobytu.

— Ja o nic nie prosiłam — odburknęła Egwene. — Tylko narzekałam.

— Jeżeli oni wiedzą, że jedziemy tą drogą — spytał Perrin — to dlaczego nie pojedziemy na przełaj do Białego Mostu?

— Nawet Lan nie potrafi jechać tak szybko na przełaj, jak po drodze — wyjaśniła Moiraine, wchodząc w słowo Nynaeve — a już szczególnie nie przez wzgórza Absher.

Wiedząca westchnęła z rozdrażnieniem. Rand zastanawiał się, do czego ona zmierza, ignorowała Aes Sedai przez cały pierwszy dzień, a ostatnie dwa usiłowała z nią rozmawiać o ziołach. Moiraine oddaliła się od Nynaeve i mówiła dalej:

— Czy uważacie, że zbacząc z drogi umknęlibyście im? Przecież i tak musielibyśmy w końcu wrócić na trakt. Mogło by się wtedy tak zdarzyć, że wyprzedziliby nas, zamiast iść po naszych śladach.

Twarz Randa wyrażała wątpliwości, a Mat wymruczał coś o „długim objeździe”.

— Czy widzieliście dziś jakąkolwiek farmę — spytał Lan. — Albo choć dym z kominna? Nie widzieliście, bo między Baerlon i Białym Mostem są tylko pustkowia. W Białym Moście musimy się przeprawić przez Arinelle. Tam jest jedyny most przecinający Arinelle, na południe od Maradon, które leży w Saldei.

Thom prychnął i dmuchnął przez wąsy.

— A jeśli mają już kogoś albo coś przygotowane w Białym Moście?

Z zachodu dobiegł ich przenikliwy lament rogu. Lan natychmiast rozejrzał się dookoła, a Rand poczuł, jak przenika go dreszcz. Potrafił jednak zdobyć się na spokój, aby ocenić, że ów dźwięk dobiega ich z odległości co najmniej dziesięciu mil.

— Nie można się przed tym uchronić, bardzie — powiedział Strażnik. — Musimy zaufać Światłości i szczęściu. Na razie wiemy z całą pewnością, że trolloki są tuż za nami.

Moiraine otrzepała rękę.

— Czas ruszać — powiedziała i dosiadła białej klaczy. Pozostali również ruszyli do koni, poganiani następnym rykiem rogu. Tym razem odpowiedziały mu inne, a ich brzmienie dolatywało z zachodu, niczym pogrzebowa pieśń. Rand i pozostali chwycili wodze, gotowi natychmiast ruszyć do galopu. Wszyscy z wyjątkiem Lana i Moiraine. Strażnik i Aes Sedai wymienili przeciągłe spojrzenia.

— Prowadź ich, Moiraine Sedai — powiedział wreszcie Lan. — Powrócę, jak tylko będę mógł. Będiesz wiedziała, jeśli mi się nie powiedzie.

Położywszy dłoń na siodle Mandarba, wskoczył na grzbiet czarnego rumaka i pogalopował w dół wzgórza. Kierował się na zachód. Głos rogów zabrzmiał ponownie.

— Niech Światłość będzie z tobą, ostatni Władco Siedmiu Wież — szepnęła ledwie słyszalnie Moiraine.

Wziąwszy głęboki oddech, zawróciła swą klacz na wschód.

— Musimy jechać — powiedziała i ruszyła wolnym, równym kłusem.

Pozostali, zwartą grupą, jechali tuż za nią.

Ran obrócił się raz, aby spojrzeć na Lana, ale Strażnik już zniknął pośród niskich wzgórz i bezlistnych drzew. Ostatni Władca Siedmiu Wież, tak go nazwała. Zastanawiał się, co to oznacza. Wydawało mu się, że nikt inny tego nie usłyszał, ale Thom żuł końce wąsów i marszczył w zamyśleniu twarz. Bard najwyraźniej wiedział wiele rzeczy.

Rozległy się rogi, po chwili dołączyły do nich następne. Rand poruszył się niespokojnie w siodle. Był pewien, że słyszy je już znacznie bliżej. Osiem mil. Może siedem. Mat i Egwene oglądali się przez ramię, a Perrin skulił się, jakby w obawie, że coś go zaatakuje od tyłu. Nynaeve podjechała do Moiraine, aby z nią porozmawiać.

— Czy nie możemy jechać szybciej? — spytała. — Te rogi są coraz bliżej.

Aes Sedai potrząsnęła głową.

— A dlaczego chcą, abyśmy wiedzieli, że tu są? Bo pogalopowalibyśmy do przodu nie zastanawiając się, co nas tam może czekać.

Utrzymywali stałe tempo. Dźwięki rogów rozlegały się w stałych odstępach czasu, za każdym razem coraz bliżej. Rand już miał przestać liczyć, ile bliżej, ale myśl o tym powracała za każdym razem, gdy słyszał mosiężny dźwięk. Pięć mil, pomyślał z niepokojem, kiedy nagle zza wzgórza wypadł galopujący Lan. Zrównał się z Moiraine, ściągając wodze swego wierzchowca.

— Co najmniej trzy tarany trolloków, każdym dowodzi Półczłowiek. Może nawet pięć.

— Jeżeli byłeś tak blisko nich — zaniepokoiła się Egwene — to mogli cię zobaczyć. Pewnie już nam depczą po piętach.

— Nie widzieli go — rzekła spłoszona Nynaeve i wszyscy skierowali na nią wzrok. — Przypomnijcie sobie, że ja jechałam po jego śladach.

— Cisza — zarządziła Moiraine. — Lan twierdzi, że za nami jest około pięciuset trolloków.

Wszyscy umilkli zaskoczeni, potem znowu odezwał się Lan.

— Okrążają nas. Będą przed nami za niecałą godzinę.

— Skoro było ich tak wiele, to czemu ich nie wykorzystali w Polu Emonda? — mruknięła Moiraine, na poły do siebie. — A jeśli nie, to skąd się tu wzięły teraz?

— Rozpraszają się, aby zajechać nam drogę — ciągnął Lan — przy czym wszystkie oddziały wysłały już zwiadowców.

— Dokąd chcą nas zapędzić? — zadumała się Moiraine. Jakby w odpowiedzi na jej pytanie z zachodu dobiegł ich przeciągły jęk rogu, któremu odpowiedziały inne, tym razem wszystkie były przed nimi. Moiraine zatrzymała Aldieb, reszta poszła jej śladem. Thom oraz wszyscy pozostali rozglądali się przerażeni dookoła. Rogi rozlegały się teraz jednocześnie z tyłu i z przodu. Rand pomyślał, że słyszać w nich nutę triumfu.

— Co teraz zrobimy? — zapytała gniewnym tonem Nynaeve. — W którą stronę pojedziemy?

— Została nam tylko północ albo południe — powiedziała Moiraine, bardziej myśląc na głos niż odpowiadając Nynaeve. — Na południu rozciągają się wzgórza Absher, nagie i martwe, oraz rzeka Taren, przez którą nie ma jak się przepawić. Jadąc na północ, możemy dotrzeć do Arinelle przed zapadnięciem zmroku, tam może napotkamy łódź jakichś handlarzy. O ile w Mradon rozkuli lód.

— Jest jedno miejsce, do którego trolloki nie pojedą — powiedział Lan, lecz Moiraine wykonała gwałtowny ruch głową.

— Nie! — zawołała.

Ruszyła w stronę Strażnika, który pochylił ku niej głowę, aby pozostali nie słyszeli, o czym mówią. Znowu zagrzmiały rogi i spłoszony koń Randa zaczął wierzgać.

— Próbują nas nastraszyć — warknął Thom, usiłując uspokoić swego wierzchowca. W jego głosie brzmiał gniew, a jednocześnie jakby przekonanie, że trolloki już zwyciężyły. — Próbują nas nastraszyć, abyśmy popadli w panikę i rzucili się do ucieczki. Wtedy nas dopadną.

Egwene nerwowo obracała głową po każdym głosie rogu, patrząc najpierw przed siebie, potem za siebie, jakby wypatrywała pierwszych trolloków. Rand miał ochotę robić to samo, ale starał się jednak opanować. Podjechał bliżej do niej.

— Jedziemy na północ — zarządziła Moiraine.

Rogi zawyły przenikliwie, kiedy zbczyli z drogi i wjechali między okoliczne wzgórza.

Na niskich wzniesieniach droga cały czas podnosiła się i opadała, teren ani razu nie był płaski. Biegła po martwym poszyciu, pod nagimi gałęziami drzew. Konie wspinały się mozolnie na jedno zbocze, aby zaraz zejść z następnego.

Gałęzie chłostały Randa po twarzy i piersiach. Uschłe pnącza i winorośle czepiały się rąk, czasami oplatały nogi i strzemiona. Lament rogów rozbrzmiewał coraz głośniejsze i częściej.

Mimo iż Lan ostro parł do przodu, wcale nie posuwali się szybciej. Pokonywanie zbczy oznaczało każdorazowo spory wysiłek. A rogi były coraz bliżej.

„Dwie mile — pomyślał. — Może nawet mniej.”

Po jakimś czasie Lan zaczął badać wzrokiem kolejne odcinki drogi, a na jego twarzy po raz pierwszy zagościł niepokój. Raz nawet Strażnik stanął w strzemionach, aby obejrzeć się za siebie. Rand widział jedynie drzewa. Lan usadowił się z powrotem w siodle i odruchowo odrzucił płaszcz, uwalniając miecz, po czym podjął na nowo ostrożną obserwację lasu.

Rand spojrzał pytająco na Mata, ale ten tylko zrobił grymas w kierunku Strażnika i wzruszył ramionami.

— Tu gdzieś są trolloki — rzekł nagle Lan.

Pokonali kolejne wzgórze.

— To prawdopodobnie część zwiadu, idąca na czele większych sił. Jeżeli się na nich natkniemy, macie za wszelką cenę trzymać się mnie i robić to samo, co ja. Nie możemy zbaczać z drogi.

— Krew i popioły! — zaklął Thom.

Nynaeve podjechała bliżej do Egwene.

Jedyną kryjówkę mogli znaleźć wśród rzadkich zagajników iglastych drzew. Rand starał się patrzeć we wszystkich kierunkach jednocześnie, w jego wyobraźni szare pnie drzew, postrzegane kątem oka, zamieniały się w zaczajone trolloki. Rogi było już słychać coraz bliżej. Tuż za plecami, tego był pewien. Tuż za nimi i wciąż bliżej.

Wjechali na kolejne wzgórze.

Z przeciwnej strony wspinały się trolloki, niosąc w łapach tyki zakończone wielkimi zwojami lin albo długimi hakami. Było ich bardzo wiele. Szereg ginał poza zasięgiem wzroku, pośrodku, dokładnie naprzeciwko Lana, jechał Pomor.

Myrddraal zawahał się przez chwilę, kiedy na szczycie wzniesienia dostrzegł ludzi, ale zaraz potem wyciągnął miecz z czarnym ostrzem — na jego widok Rand poczuł mdłości i wykonał zamach nad głową. Szereg trolloków ruszył naprzód.

Lan trzymał miecz w ręku, jeszcze zanim Myrddraal zdążył się poruszyć.

— Trzymajcie się mnie! — krzyknął. Mandarb pogalopował w dół zbocza, w stronę trolloków. — Za Siedem Wież! — zawołał.

Rand poczuł ścisk w gardle, ale pognął swego siwka do przodu, wszyscy pozostali ruszyli w ślad za Strażnikiem. Ze zdziwieniem odkrył, że ściska w ręku miecz Tama. Porwany okrzykiem Lana, zdobył się na własny:

— Manetheren! Manetheren!

— Manetheren! Manetheren! — podjął jego zawołanie Perrin.

Mat natomiast krzyczał:

— *Carai an Caldazar! Carai an Ellisande! Al Ellisande!*

Pomor wpatrywał się w szarżujących jeźdźców. Czarne ostrze zastygło nad jego głową, a otwór w kapturze rozchylił się.

Lan dopadł Myrddraala, pozostali rzucili się na trolloki. Miecz Strażnika uderzył w czarną stal wykutą w kuźniach Thakan'daru, rozległ się donośny szczęk przypominający brzmienie dzwonu. Jego echo przetoczyło się po całej kotlinie, a blask niebieskiego światła wypełnił powietrze niczym błyskawica.

Pół-człowiecze bestie o zwierzęcych pyskach zakotłowały się wokół ludzi, wywijając swymi chwytakami i arkanami. Omijały jedynie Lana i Myrddraala, którzy walczyli w pustym kręgu, ich czarne konie krokiem odpowiadały na krok, a miecze parowały cios za ciosem. Powietrze wypełnił błysk i huk.

Obłok wywracał oczami, rżał przenikliwie i wierzgał kopytami na widok warczących, szczerzących ostre zęby paszczy. Ciężkie ciała tłoczyły się przy nim zwartą masą, ale Rand bezlitośnie bił go piętami, nie pozwalając na ucieczkę. Równocześnie wymachiwał mieczem i z ową odrobiną wprawy, którą zawdzięczał Lanowi, ciął, jakby rąbiąc drewno. Egwene! Desperacko zaczął jej szukać, zmuszając siwka do jazdy naprzód, wyrąbywał drogę w murze włochatych ciał, jak kosiarz wśród łąków trawy.

Biała klacz to rzucała się do przodu, to uskakiwała, posłuszna rozkazom delikatnych dłoni Aes Sedai, ściskających jej wodze. Moiraine wywijała swą laską z równą zaciętością, jaką można było dostrzec na twarzy Lana. Trolloki ogarnął płomień, który po chwili wybuchł z rykiem, aby pozostawić po sobie na ziemi okaleczone, znieruchomiałe kształty. Nynaeve i Egwene uparcie trzymały się Aes Sedai, obydwie obnażyły zęby, ich twarze wyrażały nieomal taką samą zajadłość, z jaką walczyły trolloki. W dłoniach trzymały noże, których krótkie ostrza mogły się przecieżyć w bliskim starciu okazać zupełnie nieprzydatne. Rand próbował skierować w ich stronę Obłoka, ale siwek zbuntował się. Rżąc i wierzgając ponosił, pomimo ściągniętych z całej siły wodzy.

Wokół trzech kobiet tworzyła się pusta przestrzeń, w miarę jak trolloki usiłowały uciec przed laską Moiraine. Doganiała je po kolei. Stwory wyły z gniewu i furii, padając łupem płomieni. Ponad hukiem ognia i wyciem górował szcęk mieczy Lana i Myrddraala, powietrze wokół nich co jakiś czas przesywały niebieskie błyski.

Głowę Randa uchwyciła przyczepiona do żerdzi pętla. Niezgrabnym ruchem przerażał drąg na pół, potem ciął przez kozią twarz, trzymającego go trolloka. Zaraz potem poczuł, że leci na ziemię, ściągany przez wbity w ramię hak. Owładnięty paniką, omal nie wypuścił miecza. Musiał przytrzymać się lęku, aby nie spaść z siodła. Obłok nadal wierzgał i rżał. Rand, desperacko trzymając się wodzy i siodła, czuł, jak ciągniony przez hak, cał po calu, zsuwa się z grzbietu konia. Obłok odwrócił się, Rand na moment dojrzał Perrina, który wychylony niebezpiecznie z siodła usiłował wyrwać topór z rąk trzech trolloków. Trzymali już go za jedno ramię i obydwie nogi. Obłok skoczył do przodu, Rand widział teraz jedynie trolloki.

Któryś ze stworów doskoczył do jego nogi i schwycił ją, wrywając ze strzemiona. Dysząc ciężko Rand wychylił się z siodła, aby go odkopnąć, ale hak ściągnął go natychmiast w tył i przed upadkiem uratował go jedynie silny uchwyt wodzy. W tym samym momencie hak przestał ciągnąć, a trollok puścił jego nogę i wrzasnął. Krzyk podniósł się również wśród wszystkich trolloków, brzmiało to tak, jakby wszystkie psy na świecie poszalały i wyły teraz jednocześnie.

Bestie padały, wiły się na ziemi, wydzierały włosy i drapały twarze. Gryzły ziemię, chwyciły rozpaczliwie powietrze. I wyły nieprzerwanie.

Wtedy Rand zobaczył Myrddraala. Nadal siedział wyprostowany na grzbiecie swego wściekle wierzgającego ogiera, nadal wymachiwał czarnym mieczem... ale już nie miał głowy.

— Umrze dopiero po zapadnięciu zmroku. — Thom musiał to wykrzyczeć, aby zagłuszyć niesłabnący wrzask. — Ale też nie do końca. Przynajmniej tak słyszałem — dodał ciężko dysząc.

— Jazda! — krzyknął gniewnie Lan. Pociągnął za sobą Moiraine i pozostałe dwie kobiety, dojechali do połowy zbocza następnego wzniesienia.

— To jeszcze nie wszyscy!

Rzeczywiście, znowu usłyszeli rogi, głośniejsze od skrzeku pobitych trolloków. Ich dźwięk dobiegał ze wschodu, zachodu i południa.

O dziwo, jedynie Mata spotkał upadek z konia. Rand ruszył w jego stronę, ale Mat strząsnął pętlę, podniósł łuk i wdrapał się o własnych siłach na siodło, rozcierając sobie szyję.

Rogi ujadły jak ogary, gdy wyczują jelenia. Pierścień obławy zamykał się. Lan przyspieszył galop i konie wspinały się teraz na wzgórze jeszcze bystrzej niż dotychczas, a potem niemalże rzuciły w dół zbocza. Jednak dźwięki rogów zbliżały się coraz bardziej, aż zaczęli już słyszeć w przerwach między nimi gardłowe okrzyki ścigających. Gdy w pewnym momencie osiągnęli szczyt kolejnego wzgórza, na pobliskim wierzchołku znowu pojawiły się trolloki. Całe wzniesienie aż poczerniało, widać było wykrzywione pyski, słyszeć wycie. Dowodzili nimi trzej Myrddraale. Obydwie grupy dzieliła odległość zaledwie stu piędzi.

Serce Randa skurczyło się jak zeschnięte winogrono. Trzej Myrddraale!

W jednej chwili Półludzie unieśli czarne miecze, trolloki zakotłowały się na zboczu, wydając niskie okrzyki triumfu. W biegu wymachiwały żerdziami.

Moiraine zsiadła z grzbietu Aldieb. Spokojnym ruchem sięgnęła do swej sakiewki, z zawiniątka błysnęła kość słoniowa. Angreal. Z figurką w jednej dłoni i laską w drugiej, Aes Sedai stanęła przodem do nacierających na nich trolloków i Pomorów, podniosła wysoko laskę i wbiła ją z całej siły w ziemię.

Rozległo się dudnienie przypominające uderzenie drewnianego młota w żelazny kościół. Głuchy brzęk cichł stopniowo, aż końcu zamarł. Przez moment panowała cisza. Cała okolica jakby zastygła, nie było słyszeć nawet szumu wiatru. Ucichły także okrzyki trolloków, biegiły coraz wolniej, aż w końcu stanęły. Wszyscy zamarli na chwilę trwającą tyle, co jedno uderzenie serca. Wtedy powoli zaczął znów powracać tamten głuchy brzęk, przemieniający się w przytłumiony łoskot, który narastał, aż nagle ziemia jęknęła głośno.

Grunt pod kopytami Obłoka zaczął się trząść. O takich właśnie dziełach Aes Sedai mówiły opowieści. Rand nagle zapragnął znaleźć się co najmniej sto mil stąd. Drżenie przeszło w gwałtowne wstrząsy, które poruszyły wszystkimi drzewami rosnącymi dookoła. Siwek Randa potknął się i omal nie upadł. Nawet Mandarb i pozbawiona jeźdźca Aldieb zachwiały się jak pijane, pozostali musieli przytrzymać się wodzy, grzyw lub czegokolwiek, aby nie pospadać z końskich grzbietów.

Aes Sedai stała w tym samym miejscu co przedtem, z *angrealem* w dłoni, obok swej białej w ziemię laski. Ani ona, ani jej broń nie poruszyły się nawet odrobinę, choć wszystkim wokół targały wstrząsy. Nagle ziemia zmarszczyła się i wytrysnęła spod laski, po czym potoczyła w stronę trolloków, niczym mnożące się fale na stawie. Przewracając wielkie krzewy i wzbijając uschnięte liście w powietrze, fale ziemi rosły i parły w kierunku trolloków. Drzewa rosnące w kotlinie pękały niczym wierzbowe witki w dłoniach małych chłopców. Trolloki na przeciwległym wzgórzu padały jak podcięte i spadały turlając się wprost w rozwścieczoną ziemię.

Myrddraale jednak, nie bacząc, że ziemia wokół nich stawała dęba, ruszyli szeregiem do przodu, ich czarne konie ani razu nie zgubiły kroku, stawiając kopyta zgodnym rytmem. Trolloki spadały ze zbocza pod nogi czarnych rumaków, wyjąc i drapiąc falującą ziemię, ale Myrddraale powoli jechali do przodu.

Moiraine uniosła laskę i ziemia znieruchomiła, lecz jej dzieło nie dobiegło jeszcze końca. Wycelowała różdżkę w stronę kotliny pomiędzy wzgórzami i wtedy wytrysnęła tam fontanna ognia, wysokości dwudziestu stóp. Rozłożyła ramiona i ogień pomknął wszędzie tam, gdzie sięgał jej wzrok, tworząc ścianę, która oddzieliła ludzi od trolloków. Zapanował żar tak nieznośny, że Rand musiał osłonić rękoma twarz. Czarne wierzchowce Myrddraali, choć obdarzone nie wiadomo jak niezwykłymi mocami, zarżały na widok płomieni, stanęły dęba i jęły się zmagać ze swymi jeźdźcami, którzy biciem usiłowali je zmusić do pokonania płonącej przeszkody.

— Krew i popioły — powiedział słabym głosem Mat.

Rand tylko pokiwał głową w odrętwieniu.

Nagle Moiraine zachwiała się i byłaby upadła, gdyby Lan nie zeskoczył z konia, aby ją podtrzymać.

— Jedźcie dalej! — nakazał pozostałym. Ostry ton jego głosu kłócił się z delikatnością, z jaką posadził Aes Sedai na grzbiecie klaczy. — Ten ogień nie będzie przecież płonął wiecznie. Śpieszcie! Liczy się każda minuta.

Mur ognia huczał, jakby miał płonąć bez końca, ale Rand nie sprzeciwiał się. Pogalopowali na północ tak szybko, jak tylko potrafili zmusić konie. Rogi zabrzmiały w oddali jakby z rozczarowaniem, jakby już wiedziały, co zaszło. Potem ucichły.

Lan i Moiraine wkrótce dołączyli do reszty grupy, chociaż Lan musiał trzymać wodze Aldieb, bowiem Aes Sedai słaśniała się i przytrzymywała obiema rękami łęku.

— Zaraz poczuję się lepiej — powiedziała, widząc pełne troski spojrzenia. — Jednakże, oprócz zmęczenia, w jej głosie słyszało się pewność siebie. — Praca z Ziemią i Ogniem trochę mnie wyczerpuje, ale to drobiazg.

Po chwili obydwójce znaleźli się znów na czele galopującej grupy. Rand pomyślał, że Moiraine nie wytrzyma tak szybkiego tempa. Nynaeve podjechała do Aes Sedai i zatrzymała ją gestem ręki. Przez jakiś czas, gdy pokonywali wzgórze, obydwie kobiety

szeptaly coś do siebie, po czym Wiedząca sięgnęła do swego płaszcza i wręczyła Moiraine małą paczuszkę. Aes Sedai rozwinęła ją i połknęła zawartość. Nynaeve powiedziała coś jeszcze, po czym powróciła do pozostałych, lekceważąc ich pytające spojrzenia. Randowi wydało się, że pomimo okoliczności jej twarz wyrażała satysfakcję.

Właściwie to nie obchodziło go, do czego zmierza Wiedząca. Pocierał stale ręką swoje miecza, a gdy zdał sobie z tego sprawę, popatrzył na nią ze zdziwieniem.

„Więc tak wygląda bitwa.”

Niewiele już z niej pamiętał, przy czym żadnego momentu dokładnie. Wszystko w jego myślach zlało się w jedną masę włochatych twarzy i strachu. Strachu i upału. Bitwa została stoczona w takim upale, jakby to było popołudnie w samym środku lata. Nie potrafił sobie tego wytłumaczyć. Lodowaty wiatr próbował teraz zamrozić pacior-ki potu na jego twarzy i ciele.

Obejrzał się na swoich przyjaciół: Mat ocierał pot z twarzy ręką płaszcza. Perrin natomiast, wpatrzony w oddali w coś, co mu się wyraźnie nie podobało, zdawał się nie zauważać kropel błyszczących na jego czole.

Wzgórza były coraz niższe, cały teren zamieniał się powoli w równinę, niemniej Lan, zamiast pędzić dalej, zatrzymał się. Nynaeve ruszyła jakby z zamiarem przyłączenia się do Moiraine, ale wzrok Strażnika powstrzymał ją. Razem z Aes Sedai oddalili się nieco od reszty, pochylili ku sobie głowy, z ruchów Moiraine było jasne, że się sprzeczą. Nynaeve i Thom przypatrywali się obojgu, Wiedząca z wyraźną troską, bard zaś mruczał coś do siebie i co jakiś czas oglądał przez ramię. Pozostali unikali patrzenia na nich. Kto wie, jaki może być efekt kłótni Aes Sedai ze Strażnikiem?

Po kilku minutach Egwene odezwała się cicho do Randa, rzucając niespokojne spojrzenia na wciąż sprzeczącą się parę.

— Te słowa, które krzyczałeś w stronę trolloków... — urwała, jakby nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć.

— Bo co? — spytał Rand.

Było mu trochę głupio, okrzyki wojenne pasowały znakomicie do Strażników, ludzie z Dwu Rzek nigdy tak się nie zachowywali, cokolwiek Moiraine mówiła na ten temat, ale jeśli Egwene miała się z niego teraz śmiać...

— Mat musiał opowiedzieć tę historię z dziesięć razy.

— I to źle — wtrącił Thom, a Mat wydał pomruk protestu.

— Jakby tego nie opowiadał — powiedział Rand — wszyscy ją i tak słyszeliśmy wiele razy. A poza tym musieliśmy coś krzyknąć. No bo w takiej chwili, właśnie tak należy postąpić. Słyszałaś Lana.

— Mieliśmy przecież takie prawo — dodał roztropnie Perrin. — Moiraine twierdzi, że wszyscy jesteśmy potomkami ludu Manetheren. Oni walczyli z Czarnym i my też walczyliśmy z Czarnym. To nam daje do tego prawo.

Egwene prychnęła pogardliwie, jakby chcąc pokazać, co ona o tym myśli.

— Nie o tym mówiłam. A co ty krzyczałeś, Mat?

Mat nerwowo wzruszył ramionami.

— Nie pamiętam. — Patrzył na nich zaczepnie. — No naprawdę. Wszystko pamiętam jak za mgłą. Nie wiem, co to było, skąd mi się wzięło, ani co oznaczało. — Zaśmiał się lekceważąco. — Nie sądzę, że to miało oznaczać cokolwiek.

— A ja myślę, że jednak tak — powiedziała powoli Egwene. — Kiedy krzyknąłeś, pomyślałam, właśnie wtedy, że cię rozumiem. Ale to minęło. — Westchnęła i potrząsnęła głową. — Może masz rację. Człowiek wyobraża sobie dziwne rzeczy w takich chwilach, nieprawdaż?

— *Carai an Caldazar* — powiedziała Moiraine. Wszyscy odwrócili się gwałtownie, by na nią spojrzeć. — *Carai an Ellisande. A1 Ellisande. Za honor Czerwonego Orła. Za honor Róży Słońca.*

Róża Słońca. Starożytny okrzyk wojenny Manethereńczyków i okrzyk wojenny ich ostatniego króla. Różą Słońca nazywano Eldrene.

Moiraine rozbroiła Egwene i Mata swym uśmiechem, chociaż jej wzrok dłużej zatrzymał się na nim, niż na niej.

— Krew linii Arada jest nadal silna w Dwu Rzekach. Stara Krew wciąż śpiewa.

Mat i Egwene spojrzeli na siebie, skupiając jednocześnie wzrok pozostałych. Oczy Egwene były rozszerzone, a jej usta bezustannie próbowały się uśmiechnąć, chociaż je zagryzała, nie wiedząc, jak przyjąć te słowa o starej krwi. Mat natomiast wiedział, co dało się zauważyć z chmurnego wyrazu jego twarzy.

Randowi wydawało się, że zna myśli Mata, sam myślał podobnie. Jeżeli Mat jest potomkiem dawnych władców Manetheren, to może trolloki chcą tak naprawdę dopaść tylko jego, a nie wszystkich trzech. Po chwili zawstydził się tej myśli. Policzki mu poróżnowały i gdy dostrzegł poczucie winy malujące się na twarzy Perrina, domyślił się, że jemu przyszło do głowy to samo.

— Nie umiem stwierdzić, czy już kiedyś coś takiego słyszałem — powiedział po chwili Thom. Otrząsnął się z otępienia i nagle przemówił obcesowo. — Innym razem mógłbym nawet ułożyć o tym jakąś opowieść, ale w tym momencie... Czy zatrzymamy się tutaj na resztę dnia, Aes Sedai?

— Nie — odparła Moiraine i chwyciła wodze.

Z południa rozległ się odgłos rogu trolloków, jakby na potwierdzenie jej odpowiedzi. Ze wschodu i zachodu rozległy się następne. Konie zarżały i zadreptały nerwowo.

— Przeszli przez ogień — powiedział spokojnie Lan, a zwracając się do Moiraine dodał: — Nie masz jeszcze siły do przeprowadzenia swoich planów. Musisz najpierw odpocząć. Ani Myrddraal, ani trollok nie pójda tam.

Moiraine podniosła rękę, jakby chciała go odprawić, po czym westchnęła i opuściła ją.

— No dobrze — powiedziała z irytacją. — Pewnie masz rację, ale wolałabym inne rozwiązanie. — Wyjęła swą laskę z uchwytu przy siodle. — Zbierzcie się wszyscy wokół mnie. Najbliżej jak możecie. Jeszcze bliżej.

Rand podjechał na Obłoku do klaczy Aes Sedai. Stosując się do uporczywych ponagleń Moiraine, otaczali ją zwartym kołem dopóty, dopóki wszystkie konie nie zetknęły się kłębami albo zadami. Dopiero wtedy Aes Sedai była zadowolona. Potem, nic nie mówiąc, stanęła w strzemionach i zrobiła krąg swoją laską ponad ich głowami.

Rand dygotał i czuł mrowienie za każdym razem, gdy laska przechodziła ponad nim. Mógł podążać za jej ruchem, nie widząc jej, tylko obserwując drżenie przechodzące po kolei przez wszystkich ludzi w kręgu. Nie zdziwił się widząc, że na Lana zupełnie to nie działało.

Nagle Moiraine gwałtownym ruchem wycelowała laskę w stronę zachodu. W powietrzu zawirowały uschłe liście, a gałęzie zakolysały się, jakby wir powietrzny przebiegł po wskazanej przez nią linii. Kiedy niewidzialny wir powietrza zniknął, z westchnieniem opadła z powrotem na siodło.

— To dla trolloków — wyjaśniła. — Ta linia będzie zawierała jakby nasze zapachy i nasze ślady. Myrddraal po jakimś czasie się zorientuje, ale wtedy...

— Wtedy — dopowiedział Lan — my zdążymy już się zgubić.

— Twoja laska ma wielką siłę — powiedziała Egwene, narażając się na prychnięcie Nynaeve.

Moiraine cmoknęła wargami.

— Powiedziałam ci, dziecko, że rzeczy nie zawierają w sobie mocy. Jedyna Moc pochodzi z Prawdziwego Źródła i tylko żywy umysł może nią władać. Nawet *angreal* stanowi jedynie pomoc w koncentracji. — Znużonym ruchem wsunęła laskę z powrotem do uchwytu przy siodle. — Lan?

— Jedźcie za mną — powiedział Strażnik — i zachowajcie milczenie. Wszystko pójdzie na marne, jeśli trolloki nas usłyszą.

Poprowadził ich znowu na północ, choć nie z tą samą zawrotną prędkością jak przedtem, ale tak szybko, jak podróżowali Drogą Caemlyn. Teren stawał się nadal coraz bardziej płaski, choć las nie rzedniał.

Nie jechali już prostym szlakiem, ponieważ Lan wybierał trasę, która omijała twarde grunty i występy skalne, nie zmuszał ich też do przedzierania się przez gęste krzaki. Co jakiś czas udawał się na tył szeregu i uważnie czegoś nasłuchiwał. Każdy, kto odważył się choćby zakasnąć, narażał się na niemiły pomruk z jego strony.

Nynaeve jechała obok Aes Sedai, a na jej twarzy niepokój walczył z niechęcią. Było w tym spojrzeniu coś jeszcze, jakby Wiedząca dostrzegła przed sobą cel. Moiraine zgarbiła ramiona i przytrzymała się oburącz wodzy oraz siodła, słaniając się przy każdym kroku Aldieb. Było oczywiste, że utworzenie fałszywego szlaku, co mogło się wydawać niczym w porównaniu z trzęsieniem ziemi czy ścianą ognia, zabrało jej resztki sił.

Rand żałował prawie, że nie słyszy już rogów, dzięki nim mógł przynajmniej ocenić odległość, jaka dzieliła ich od trolloków i Pomorów.

Stale oglądał się za siebie i dlatego też nie on pierwszy dostrzegł rozciągający się przed nimi widok. Po chwili jednak wlepił weń zdumiony wzrok. Wielka, nieregularna masa, w wielu miejscach równie wysoka, jak wyrastające z niej drzewa i jeszcze wyższe iglice. Wszystko porastały bezlistne winorośle oraz jakieś inne pnącza. Czy to jest klif? Po pnączach łatwo się wspinać, ale konie nigdy przez to nie przejdą.

Gdy podjechali bliżej, zauważył wieżę. Była to z całą pewnością wieża, a nie jakaś skalna formacja zakończona dziwaczną, spiczastą kopułą.

— To miasto! — krzyknął.

Po chwili zauważył również miejskie mury, iglice okazały się wieżami strażniczymi. Otworzył usta ze zdziwienia. To miasto musiało być dziesięć razy większe od Baerlon. Pięćdziesiąt razy większe.

Mat przytaknął.

— To miasto — zgodził się. — Ale skąd się wzięło miasto pośród lasów?

— I na dodatek wyludnione — dodał Perrin. Kiedy spojrzeli na niego, wskazał mury. — Jaki człowiek by dopuścił, aby winorośl tak wszystko obrosła? Wiecie, że pnącza potrafią rozsadzać ściany. Patrzcie, jakie to wszystko zrujnowane.

Rand musiał na nowo przemyśleć to, co zobaczył. Było tak, jak mówił Perrin. Prawie pod każdym niższym fragmentem muru znajdowały się porośnięte chwastami pagórki: gruz. Nie było dwu wież jednakowej wysokości.

— Ciekawe, co to było za miasto — zadumała się Egwene — i co się z nim stało. Na mapie ojca nie ma tu żadnego miasta.

— Nazywało się Aridhol — wyjaśniła Moiraine. — W czasach Wojen z Trollokami należało do sojuszników Manetheren. Wpatrywała się w potężne mury, jakby niepomma obecności innych, nawet Nynaeve, która podpierała ją ramieniem. — Później Aridhol zostało pokonane i to miejsce otrzymało inną nazwę.

— Jaką? — spytał Mat, ale nie otrzymał odpowiedzi.

— Tutaj — odezwał się Lan. Zatrzymał Mandarba przed resztkami bramy, wystarczająco szerokiej, by mógł przez nią przemaszerować rząd pięćdziesięciu ludzi. Po samych bramach nie zostało zresztą nic oprócz przełamanych i porośniętych dzikim winem strażnic. — Wjedziemy tędy. — W oddali zabrzmiały rogi trolloków. Lan spojrział w kierunku, z którego dobiegł dźwięk, potem na słońce znajdujące się już w połowie drogi do wierzchołków drzew rosnących na zachodzie. — Już się zorientowali, że to fałszywy szlak. Chodźcie, musimy przed zmierzchem znaleźć jakąś kryjówkę.

— Jak nazwano potem to miasto? — dopytywał się Mat.

Moiraine udzieliła mu odpowiedzi dopiero, gdy już wjeżdżali do miasta.

— Shadar Logoth — powiedziała.

OCZEKIWANIE CIENIA

Rozkruszone kamienie brukowe chrzęściły pod kopytami koni, kiedy wjeżdżali w ślad za Lanem do miasta. Rand zdołał zauważyć, że wszystko jest pograżone w ruinie i, jak słusznie stwierdził Perrin, wymarłe. Ponad nim fruwały jedynie gołębie, a ze szczelin w murach i chodnikach wyrastały uschłe chwasty. W większości budynków sufity zapadły się, z murów na ulice pospadały odłamki cegieł i kamieni. Ponad tym wszystkim sterczały wieże o ostrych, nierównych iglicach, przypominające połamane patyki. Różnej wielkości zwały gruzu, na zboczach których rosły karłowate drzewa, mogły stanowić pozostałości po pałacach albo nawet całych dzielnicach.

Ale i tak to co zostało, zapierało Randowi dech w piersiach. Największy dom z Baerlon mógł skryć się w cieniu prawie każdej budowli Shadar Logoth. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, stały pałace z jasnego marmuru zwieńczone ogromnymi kopułami. Wszystkie zresztą domy miały takie kopuły, niektóre nawet cztery lub pięć, każda o innym kształcie. Wieże, które zdawały się sięgać nieba, pomimo dzielących ich odległości, były między sobą połączone napowietrznymi przejściami otoczonymi szeregami kolumn. Na każdym skrzyżowaniu ulic stała mosiężna fontanna, alabastrowa iglica lub jakiś pomnik. Choć fontanny wyschły, większość iglic się poprzewracała, a wiele pomników leżało w gruzach, nadal było co podziwiać.

„A ja myślałem, że Baerlon to miasto! Niech szczenę, Thom pewnie śmiał się w kulał. Tak samo jak Moiraine i Lan.”

Rand był tak pochłonięty wgapianiem się we wszystko, że nie zauważył, gdy Lan zatrzymał się nagle przed białym, kamiennym budynkiem, dwa razy wyższym od „Jelenia i Lwa”. Nie można było stwierdzić, do czego służył ten dom za czasów świetności miasta, ale równie dobrze mogła to być karczma. Z górnych pięter pozostała jedynie pusta skorupa — przez wybite otwory okienne, z których zniknęło wszelkie szkło i drewno, widać było popołudniowe niebo — ale parter wydawał się nienaruszony.

Moiraine, nadal przytrzymując się lęku, obejrzała uważnie budynek, zanim skinęła głową.

— Ten nam wystarczy.

Lan zeskoczył z siodła i ściągnął Moiraine z grzbietu klaczy.

— Wprowadźcie konie do środka — zarządził. — Znajdźcie jakiś pokój na tyłach domu, który się nada na stajnię. No ruszać się, farmerzy. Nie jesteście na łące.

Wziął Aes Sedai na ręce i zniknął z nią we wnętrzu domu.

Nynaeve zsiadła z konia i pobiegła za nimi, ściskając torbę, w której trzymała zioła i maści. Egwene poszła w ślad za nią. Pozostawiły chłopcom swe konie.

— Wprowadźcie konie do środka — burknął Thom i wydał policzki. Cały zeszywniały powoli zsiadł z wierzchowca, wygiął plecy, przeciągle westchnął, po czym ujął wodze Aldieb. — No, co jest? — zapytał unosząc brwi w stronę Randa i jego kolegów.

Pośpiesznie stanęli na ziemi i poprowadzili pozostałe konie. Pozostały po drzwiach otwór był tak duży, że dałoby się przez niego przeprowadzić nawet dwa konie równocześnie.

Za drzwiami znajdowała się ogromna komnata, szeroka jak cały budynek, podłogę pokrywały brudne płytki, na ścianach wisiało kilka podartych gobelinów, wypłowiałych do matowego brązu. Wyglądały, jakby mogły się rozpaść pod dotknięciem. Poza tym pomieszczenie było puste. Lan zrobił w najbliższym rogu posłanie dla Moiraine, kładąc tam ich płaszcze. Nynaeve, mruczając coś o kurzu, uklękła przy Aes Sedai i zaczęła grzebać w swej torbie, którą usłużnie podsunęła jej Egwene.

— To prawda, że mogę jej nie lubić — mówiła właśnie Nynaeve do Strażnika, gdy Rand wszedł z Belą i Obłokiem do środka — ale pomagam każdemu, kto potrzebuje pomocy, niezależnie od tego czy go lubię, czy nie.

— Ja cię o nic nie oskarżam, Wiedząca. Powiedziałem tylko, że masz uważać z tymi swoimi ziołami.

Spojrzała na niego kątem oka.

— Faktem jest, że ona potrzebuje moich ziół, ty zresztą także. — Jej głos z początku cierpki, w miarę mówienia stawał się wręcz opryskliwy. — Faktem jest, że nawet posiadając Jedyną Moc, ona na razie nie może już zrobić nic więcej. Jest faktem wreszcie, że nie może jej pomóc twój miecz, Władco Siedmiu Wież, natomiast moje zioła tak.

Moiraine położyła dłoń na ramieniu Lana.

— Uspokój się, Lan. Ona nie ma zamiaru zrobić mi nic złego. Ona po prostu nie wie.

Strażnik skrzywił się ironicznie.

Nynaeve przestała grzebać w torbie i spojrzała na niego, marszcząc czoło, ale odezwała się do Moiraine.

— Nie wiem mnóstwa rzeczy. O którą w tej chwili chodzi?

— Po pierwsze — odparła Moiraine — tak naprawdę to potrzebuję wyłącznie odpoczynku. Po drugie, zgadzam się z tobą. Twoje umiejętności i wiedza przydadzą się bardziej, niż myślałam. Czy masz może coś, co pomoże mi przespać się godzinę i nie chodzić potem jak pijana?

— Słaba herbata z wyczyńca, żylistka i...

Rand nie usłyszał już ostatniego słowa, gdyż wszedł za Thomem do następnego pokoju, który był równie wielki i jeszcze bardziej pusty. Pokrywała go gruba warstwa kurzu, której do czasu ich przybycia nikt nigdy nie naruszył. Na podłodze nie było nawet śladów ptaków, ani zwierząt.

Rand rozsiodłał Belę i Obłoka, Thom Aldieba i wałacha, a Perrin swojego wierzchowca i Mandarba. Nie robił nic tylko Mat, który upuścił wodze na podłogę. W pokoju, oprócz drzwi którymi weszli, były jeszcze dwa wyjścia.

— Aleja — obwieścił Mat, wycofując głowę z pierwszych drzwi. Pozostali trzej również mogli tyle zobaczyć, nie ruszając się z miejsca. Mat przeszedł powoli przez czarny prostokąt drugich drzwi, znajdujących się w tylnej ścianie, i cofnął się o wiele szybciej, energicznie otrzepując pajęczyny z włosów. — Nic tam nie ma — powiedział i znowu wyjrzał na aleję.

— Czy ty się wreszcie zajmiesz koniem? — spytał Perrin. Zakończył już oporządzać swojego wierzchowca i teraz zdejmował siodło z grzbietu Mandarba. O dziwo, płomiennooki rumak nie sprawiał mu żadnych kłopotów, chociaż bacznie Perrina obserwował. — Nikt nie ma zamiaru robić tego za ciebie.

Mat spojrział na aleję po raz ostatni i wzdychając smutno, podszedł do swego konia.

Gdy Rand kładł siodło Beli na podłodze, zauważył, że Mat sposepniał. Robił wszystko bezmyślnie, a jego wzrok zdawał się tonąć w czymś odległym o tysiące mil.

— Czy dobrze się czujesz, Mat? — spytał. Mat rozsiodłał konia i nagle znieruchomiał. — Mat? Mat!

Mat wzdrygnął się i omal nie upuścił siodła.

— Co? Ach. Nie, tylko tak się zamyśliłem.

— Zamyśliłeś się? — zagrzemiał Perrin, który zamieniał wędzidło Mandarba na postronek. — Ty spałeś.

Mat spojrział na niego spode łba.

— Myślałem o wszystkim, co tutaj zaszło. O tych słowach, które... — Wszyscy razem spojrzeli na niego, więc niespokojnie przestąpił z nogi na nogę. — No, słyszeliście, co powiedziała Moiraine. Jest tak, jakby martwi przemawiali przez moje usta. Nie podoba mi się to.

Spochmurniał jeszcze bardziej, gdy Perrin zachichotał.

— Okrzyk wojenny Aemona, tak powiedziała, zgadza się? Może ty jesteś wcieleniem Aemona, który powrócił. Tyle mówiłeś o nudzie w Polu Emonda, że bycie królem i odrodzonym bohaterem powinno ci się podobać.

— Nie mów tak!

Thom zrobił głęboki wdech, wszyscy spojrzeli teraz na niego.

— To niebezpieczne i głupie gadanie. Martwi mogą zmartwychwstawać albo wchodzić w ciała żyjących i nie należy o tym mówić tak beztropko. — Dla uspokojenia znowu zaczerpnął oddech, zanim powiedział coś jeszcze. — Moiraine mówiła o dawnej

krwi, a krew to nie martwy człowiek. Słyszałem, że czasem coś takiego się zdarza. Słyszałem, choć do końca w to nie wierzyłem... To wasze korzenie, chłopcze. Linia, która biegnie od ciebie przez twojego ojca do twojego dziadka i cofa się do samego Manetheren i może jeszcze dalej. Teraz już wiesz, jak stara jest twoja rodzina. Powinieneś przywyknąć do tej myśli i cieszyć się nią. Większość ludzi nie wie nic ponad to, kim był ich ojciec.

„Niektórzy z nas nawet tego nie mogą być pewni — pomyślał z goryczą Rand. — Może Wiedząca miała rację. Światłości, spraw, żeby tak było.”

Mat skinął głową, wysłuchawszy barda.

— Chyba masz rację. Ale czy myślisz, że to ma coś wspólnego z tym, co się stało z nami? Chodzi mi o trolloki i tak dalej. To znaczy... ach, i tak nie wiem, o co mi chodzi.

— Myślę, że powinieneś o tym zapomnieć i skupić się nad tym, jak wszystko przeżyć.

— Thom wyciągnął fajkę z długim cybuchem. — A ja chyba sobie zapalę.

Machnąwszy fajką w ich kierunku, zniknął w pokoju frontowym.

— Wszyscy w tym tkwimy, nie tylko jeden z nas — powiedział Rand Matowi.

Mat zatrzęsł się i zaśmiał urywanie.

— Racja. No to skoro rozmawiamy o byciu razem i skoro już uporaliśmy się z końmi, to może by tak zwiedzić trochę miasto? Prawdziwe miasto, w którym nie ma tłumów trącających człowieka łokciami i kuksających pod żebra. Nikt tu nie będzie zadzierał przed nami nosa. Została jeszcze co najmniej godzina do zmierzchu.

— A nie zapomniałeś o trollokach? — spytał Perrin.

Mat lekceważąco potrząsnął głową.

— Lan powiedział, że one tu nie wejdą, pamiętasz? Trzeba słuchać, co mówią inni ludzie.

— Pamiętam — powiedział Perrin — i zawsze słucham. To miasto... Aridhol?... było sprzymierzeńcem Manetheren. Widzisz? Słucham.

— Aridhol było pewnie największym miastem w czasach Wojen z Trollokami — powiedział Rand — bo trolloki nadal się go boją. Nie bały się przyjść do Dwu Rzek, a Moiraine powiedziała, że Manetheren, jak ona to ujęła... było cierniem w stopie Czarnego.

Perrin podniósł rękę.

— Nie wspominaj Pasterza Nocy. Dobrze?

— Co ty nie powiesz? — zaśmiał się Mat. — Chodźmy.

— Powinniśmy zapytać Moiraine o zgodę — powiedział Perrin. Mat podniósł rękę.

— Zapytać Moiraine? Myślisz, że ona zechce spuścić nas z oczu? A co z Nynaeve? Krew i popioły, Perrin, a może by tak zapytać panią Luhhan, jeśli już tak ci zależy. — Perrin z niechęcią skinął głową, a Mat uśmiechnął się szeroko do Randa. — A co ty o tym myślisz? Prawdziwe miasto? Z pałacami! — Zaśmiał się chytrze. — I żadne Białe Płaszczki nie będą nas obserwować.

Rand spojrział na niego złym okiem, ale wahał się tylko chwilę. Te pałace były jak z opowieści barda.

— Zgoda.

Skradając się, aby nie usłyszano ich w komnacie od frontu, wyszli boczną alejką, okrążyli budynek i trafili na ulicę po jego drugiej stronie. Szli teraz szybko. Kiedy osiągnęli następną przecznicę, Mat nagle puścił się w jakiś oszalały taniec.

— Wolność. — Roześmiał się. — Wolność! — Powoli przestawał podskakiwać i krążył tylko wkoło, wpatrując się we wszystko i wciąż się śmiejąc. Cienie późnego popołudnia wydłużały się i załamywały, a zachodzące słońce oświetlało miasto złotym blaskiem. — Czy kiedykolwiek śniło wam się, że zobaczycie takie miejsce?

Perrin również się roześmiał, ale Rand wzruszył tylko ramionami. To było nic, w porównaniu z miastem z jego pierwszego snu, ale jednak...

— Jeśli mamy zamiar zobaczyć cokolwiek — powiedział — to lepiej się pośpieszmy. Zostało już niewiele czasu do zmierzchu.

Mat chciał chyba obejrzyć wszystko, z entuzjazmem ciągnął za sobą Randa i Perrina. Wspinali się na zakurzone fontanny, z basenami tak dużymi, że pomieściłyby wszystkich mieszkańców Pola Emonda, zwiedzali przypadkowo wybrane budowle, ale zawsze większe od poprzednio widzianych. Przeznaczenia jednych budowli domyślali się, lecz innych nie zawsze. Pałac był na pewno pałacem, ale do czego mógł służyć ogromny budynek, który składał się z jednej białej kopuły wielkiej jak góra i tylko jednego pomieszczenia? Albo czemu służył otoczony murem plac, tak wielki, że mógł pomieścić całe Pole Emonda, wypełniony rzędami kamiennych ławek?

Mat denerwował się, że znajdują jedynie kurz, gruz albo na ścianach bezbarwne szmaty, które rozłaziły się pod palcami. W pewnym miejscu znaleźli kilka drewnianych krzeseł opartych o ścianę, ale kiedy Perrin próbował podnieść jedno z nich, rozpadło się na kawałki.

Pałace wraz z ich ogromnymi pustymi komnatami, które mogły pomieścić całą oberżę „Winna Jagoda” z okładem, skłoniły Randa do rozmyślań o ludziach, którzy je kiedyś zamieszkiwali. Doliczył się, że pod okrągłą kopułą mogli stanąć wszyscy mieszkańcy Dwu Rzek, a jeśli chodzi o tamto miejsce z kamiennymi ławkami... Wyobrażał sobie ludzi stojących pośród cieni i patrzących z dezaprobatą na trzech intruzów, którzy zakłócili im spokój.

W końcu wspaniałością miasta zmęczył się nawet Mat, który przypomniał sobie, że poprzedniej nocy spał tylko godzinę. O tym samym pomyśleli również pozostali. Ziewając, usiedli na stopniach wysokiej budowli obramowanej rzędem wysokich kamiennych kolumn i zaczęli się sprzeczać, co robić dalej.

— Wracamy — zarządził Rand. — Trzeba się trochę przespać. — Przyłożył dłoń do ust. — Jediną rzeczą, jakiej teraz pragnę, jest sen — powiedział, gdy już przestał ziewać.

— Spać możesz zawsze — stwierdził Mat. — Popatrz, gdzie jesteśmy. W zrujnowanym mieście. Tu muszą być skarby.

— Skarby? — Perrinowi od ziewania aż trzasnęło coś w szczęce. — Tu nie ma żadnych skarbów. Tu nie ma nic prócz kurzu.

Rand osłonił oczy przed słońcem, które wyglądało teraz jak czerwona piłka spoczywająca na dachach domów.

— Robi się późno, Mat. Zaraz zapadnie zmrok.

— Tu mogą być skarby — upierał się Mat. — A zresztą chciałbym się jeszcze wspiąć na którąś z tych wież. Popatrzcie na tamtą, najwyraźniej nie jest zrujnowana. Założę się, że z niej rozciąga się widok na kilkanaście mil. Co wy na to?

— Te wieże są niebezpieczne — odezwał się jakiś męski głos z tyłu za nimi.

Rand poderwał się na nogi i obrócił, ściskając rękojeść miecza, pozostali zareagowali z równą szybkością.

W cieniach pod kolumnami, na szczycie schodów, stał jakiś mężczyzna. Zrobił pół kroku do przodu, podniósł dłoń, aby osłonić oczy i cofnął się znowu.

— Wybaczcie — powiedział z prostotą. — Od dawna przebywałem w tych ciemnościach. Moje oczy nie nawykły jeszcze do światła.

— Kim pan jest? — Rand pomyślał, że mężczyzna nie pochodzi chyba z Baerlon, bo tak dziwnie brzmiał jego akcent, trudno było nawet zrozumieć niektóre ze słów. — Co pan tu robi? Myśleliśmy, że w mieście nie ma nikogo.

— Nazywam się Mordeth. — Urwał, jakby spodziewając się, że będą znali jego imię. Kiedy żaden z nich nie pokazał tego po sobie, wymruczał coś bezgłośnie, a potem ciągnął dalej. — Mógłbym wam zadać to samo pytanie. W Aridhol od dawna nikogo nie było. Od bardzo, bardzo dawna. Nigdy bym nie pomyślał, że napotkam trzech młodych ludzi wędrujących po jego ulicach.

— Jedziemy do Caemlyn — wyjaśnił Rand. — Zatrzymaliśmy się tu na noc.

— Caemlyn — powtórzył wolno Mordeth, obracając tę nazwę na języku, po czym pokręcił głową. — Na noc, powiadacie? To może przyłączycie się do mnie.

— Nadal pan nie powiedział, co pan tu robi — zauważył Perrin.

— Cóż, jestem poszukiwaczem skarbów, oczywiście.

— I znalazł pan coś? — zapytał podniecony Mat.

Randowi wydało się, że Mordeth się uśmiecha, ale nie był tego pewien, bo zasłaniały go cienie.

— Tak — odparł mężczyzna. — Więcej niż się spodziewałem. Znacznie więcej. Więcej, niż mogę unieść. Nigdy nie przypuszczałem, że spotkam tu trzech silnych i zdrowych młodzieńców. Jeśli pomożecie mi zanieść to do koni, to będziecie mogli się podzielić resztą tego, co zostanie. Weźmiecie teraz tylko tyle, ile zdołacie unieść. Cokolwiek tu pozostawię, zniknie, zabrane przez innego poszukiwacza skarbów, zanim powrócę.

— A nie mówiłem wam, że w takim miejscu muszą być skarby? — wykrzyknął Mat. — Biegiem wpadł na schody. — Pomożemy panu to zanieść. Proszę nas tylko zaprowadzić.

Razem z Mordethem weszli głębiej w cienie pod kolumnami. Rand wbił wzrok w Perrina.

— Nie możemy go tak zostawić.

Perrin spojrział na zachodzące słońce i skinął głową. Ostrożnie weszli na schody, kowal wysunął odrobinę swój topór z pętli u pasa, a Rand schwycił rękojeść miecza. Mat i Mordeth czekali na nich pod kolumnami. Mordeth miał skrzyżowane na piersiach ręce, a Mat zaglądał niecierpliwie do wnętrza.

— Chodźcie — powiedział Mordeth. — Pokażę wam skarb. Wsunął się do środka budynku, a zaraz za nim Mat. Reszcie nie pozostawało nic innego, jak również pójść.

W wewnętrznym holu panował mrok, ale Mordeth niezwłocznie skręcił w bok i wszedł na wąskie schody skręcające w dół ku jeszcze głębszym ciemnościom, aż w końcu, w kompletnej czerni, musieli znajdować drogę po omacku. Rand przesunął jedną dłoń po ścianie, niepewny, czy jego stopa natrafi na kolejny stopień. Nawet Mat czuł się teraz dziwnie, co było słychać w jego głosie, gdy powiedział:

— Tu jest okropnie ciemno.

— Tak, tak — zgodził się Mordeth. — Mężczyzna zdawał się nie mieć żadnych trudności z poruszaniem się w ciemnościach. — Na dole są światła. Chodźcie.

Rzeczywiście, kręte schody nagle spotkały się z korytarzem słabo oświetlonym przez nieliczne dymiące pochodnie, osadzone w żelaznych uchwytych w murach. Dzięki ich migoczącym płomieniom Rand mógł po raz pierwszy lepiej przyjrzeć się Mordethowi, który nie zatrzymując się parł do przodu i gestem dłoni nakazywał iść za nim.

Było w nim coś dziwnego, lecz Rand nie był w stanie określić, co. Mordeth był ugrzecznionym, nieco tęgawym mężczyzną, a jego opadające powieki sprawiały wrażenie, że wypatruje czegoś z ukrycia. Niski i zupełnie łysy, w marszu jednak wydawał się jakby wyższy od nich. Rand nigdy dotąd nie widział takich ubrań, jakie tamten miał na sobie. Obcisłe czarne bryczesy i buty z miękkiej czerwonej skóry z wywiniętymi cholewami. Długa, czerwona kamizelka gęsto haftowana złotem i śnieżnobiała koszula z szerokimi rękawami, końce jej mankietów zwisały prawie do kolan. Z pewnością nie było to ubranie, w którym można było poszukiwać skarbów w zrujnowanym mieście. Ale również nie był to jedyny powód dziwnego wrażenia, jakie sprawiał.

Korytarz nagle zakończył się wyłożoną płytkami komnatą i tam Rand zapomniał o wyglądzie Mordetha. Krzyknął z zachwyty, podobnie jak jego koledzy. Światło padające z kilku pochodni dymiących w sufit i przydające każdemu z nich więcej niż jeden cień, odbijało się po tysiackroć od drogocennych kamieni i złota, spiętrzonych na posadzce w postaci kopców monet i biżuterii, połączanych pucharów, talerzy i półmi-

sków, inkrustowanych klejnotami mieczy i sztyletów. Wszystko to leżało niedbale zwalone w stosy.

Mat z okrzykiem wybiegł do przodu i ukląkł przed jednym ze stosów.

— Sakwy — wydyszał, grzebiąc w złocie. — Będą nam potrzebne sakwy, aby to wszystko zabrać.

— Wszystkiego zabrać nie możemy — zauważył Rand. Rozglądał się dookoła z poczuciem bezradności, całe złoto, jakie przywozili kupcy w ciągu roku do Pola Emonda, nie równało się nawet choć tysięcznej części zawartości jednego takiego kopca.

— Nie teraz. Jest już prawie ciemno.

Perrin wyciągnął skądś topór i bezmyślnie przebierał w oplatających go złotych łańcuchach. Na wypolerowanym czarnym trzonku zaśniły klejnoty, podwójne ostrze pokrywały delikatne złote rytę.

— W takim razie jutro — powiedział, podnosząc z uśmiechem topór. — Moiraine i Lan zrozumieją nas, kiedy im to pokażemy.

— Nie jesteście sami? — spytał Mordeth. Wpuścił ich przodem do komnaty ze skarbem, ale teraz podszedł bliżej. — Kto jeszcze jest z wami?

Mat, z ręką zanurzoną głęboko w bogactwie, odpowiedział mechanicznie.

— Moiraine, Lan, Nynaeve, Egewne i Thom, który jest bardem. Jedziemy do Tar Valon.

Rand wstrzymał oddech. Po chwili milczenia Mordetha, coś kazało mu spojrzeć na niego. Twarz mężczyzny wykrzywiały wściekłość i strach. Otwarte usta ukazywały wyszczerzone zęby.

— Tar Valon! — Potrząsnął w ich stronę pięścią. — Tar Valon! Mówiliście, że jedziecie do Caemlyn! Okłamaliście mnie!

— Jeżeli jeszcze pan chce — powiedział do niego Perrin — przyjdziemy tu jutro i pomożemy. Ostrożnie odłożył topór na stos inkrustowanych klejnotami kielichów i biżuterii. — Jeśli pan chce...

— Nie. To znaczy... — Dysząc ciężko, Mordeth kręcił głową, jakby nie mógł się zdecydować. — Bierzcie, co chcecie. Tylko nie... tylko nie...

Nagle Rand zrozumiał, co go tak niepokoiło w tym człowieku. Nieliczne pochodnie w korytarzu nadawały każdemu krąg cienia, tak samo jak światło w komnacie ze skarbem. Tylko... Był tak zaszokowany, że wypowiedział to na głos.

— Pan nie ma cienia.

Puchar, który właśnie trzymał Mat, poleciał z trzaskiem na podłogę.

Mordeth skinął głową i po raz pierwszy otworzył do końca opadające powieki. Jego gładka twarz nagle wydała się ostra i drapieżna.

— A więc — wyprostował się, stając się jakby wyższy — zdecydowało się.

Nagle wszelkie pozory zniknęły. Niczym balon Mordeth zaczął rosnać i pęcznieć, aż głową dotknął sufitu, a ramionami ściany, wypełniając ogromną część komnaty i odcinając im drogę ucieczki. Jego policzki zapadły się, a zęby obnażyły w drapieźnym uśmiechu, wyciągnął ku nim dłonie tak wielkie, że mógł nimi obłapić ludzką głowę.

Rand z krzykiem odskoczył w tył. Zaplątał się w jakiś złoty łańcuch i upadł na podłogę. Upadek spowodował, że zabrakło mu tchu w płucach. Oddychając z trudem, niezdarne usiłował schwycić miecz, całkowicie zaplątany w fałdach płaszcza. Komnatę wypełniały wrzaski jego przyjaciół oraz szczełk złotych półmisków i kielichów. Nagle uszy Randa przeszył okrzyk śmiertelnego bólu.

Prawie łkając ze strachu odzyskał wreszcie zdolność oddychania i jednocześnie wyciągnął miecz z pochwy. Wstał ostrożnie, zastanawiając się, który z jego przyjaciół tak krzyczał. Spod przeciwległej ściany patrzył na niego wytrzeszczonymi oczami Perrin, skulony ścisnął swój topór, jakby miał właśnie zamiar rąbać drewno. Zza stosu skarbów wзираł Mat, dzierząc porwany skądś sztylet.

Wszyscy podskoczyli, gdy w najgłębszych cieniach coś się poruszyło. Mordeth przyciskał kolana do piersi i kulił się w najdalszym kącie.

— Oszukuje nas — wydyszał Mat. — To była jakaś sztuczka.

Mordeth zawył z głową odchylną do tyłu, a z drżących ścian posypał się kurz.

— Wszyscy jesteście martwi! — krzyknął. — Wszyscy martwi! — I z tymi słowami zerwał się, dając susa przez całą komnatę. Rand rozdziawił usta i omal nie wypuścił miecza. Mordeth, szybując w powietrzu, wyciągał się i chudł jak smuga dymu. Cienki jak palec wybił szczelinę w ścianie i wniknął do niej. Po jego zniknięciu w komnacie rozbrzmiewał jeszcze ostatni okrzyk, ucichł dopiero po chwili. — Wszyscy jesteście martwi!

— Wynośmy się stąd — powiedział słabym głosem Perrin, chwytając mocniej swój topór i rozglądając się dookoła.

Nie zauważył nawet, że depcze złote ozdoby i klejnoty.

— A co ze skarbem? — zaprotestował Mat. — Nie możemy go tak zostawić.

— Ja nic z tego nie chcę — oświadczył Perrin, nadal obracając się we wszystkie strony. Podniósł głos i krzyknął w stronę murów. — To twój skarb, słyszysz? Niczego nie zabieramy!

Rand wpatrywał się gniewnie w Mata.

— Chcesz, żeby on nas ścigał? Będiesz napychał sobie kieszenie i spokojnie czekał, aż on tu wróci z całą bandą jemu podobnych?

Mat tylko gestykulował w stronę złota i kamieni. Zanim coś jednak zdążył powiedzieć, Rand i Perrin schwycili go za ramiona. Wywlekali z komnaty. Mat wyrывał się, coś tam jeszcze krzycząc o skarbie.

Zanim zdążyli ująć dziesięć kroków, mętne światło zaczęło przygasać, pochodnie dopalały się. Mat przestał krzyczeć. Przyspieszyli kroku. Zamrugła pierwsza pochodnia na korytarzu, potem następna. Zanim dotarli do krętych schodów, nie musieli już go ciągnąć. Zaczęli biec, a ciemność zamykała się za nimi. Wahali się tylko chwilę, gdy dotarli do czerni panującej na schodach, a potem pomknęli do góry, krzycząc co sił w płucach. Krzyczeli, by odstraszyć wszystko, co mogło tam na nich czekać, krzyczeli, by przypomnieć sobie, że wciąż jeszcze żyją.

Wpadli do górnego holu. Ślizgając się i przewracając na zakurzony marmur, z trudem znajdowali drogę między kolumnami, aby wreszcie stoczyć się ze schodów i wylądować na ulicy.

Rand wyplątał się pierwszy z kłębowiska ciał i podniósłszy z chodnika miecz Tama rozejrzał się niespokojnie dookoła. Już tylko połowa tarczy słonecznej była widoczna ponad dachami. Cienie wydłużały się jak dłonie, czerniejąc w ostatnich promieniach światła, niemalże zapełniając ulicę. Zadygotał. Cienie wyglądały jak olbrzymiejący Mor-deth.

— Przynajmniej udało nam się wydostać. — Mat pozbierał się i otrzepał, niepewnie naśladowując swój zwykły sposób bycia. — A ja przynajmniej...

— Na pewno? — spytał Perrin.

Rand zrozumiał, że tym razem to nie jest dzieło jego wyobraźni. Włosy zjeżyły mu się na głowie, coś ich obserwowało z ciemności pod kolumnami. Odwrócił się, by spojrzeć na domy po przeciwległej stronie ulicy. Tam też wyczuwał wpatrzony w nich oczy. Ścisnął mocniej swój miecz, choć nie za bardzo wiedział, czy na cokolwiek mu się przyda. Obserwujące ich oczy zdawały się być wszędzie. Pozostali również rozglądali się czujnie, wiedział, że dzielają jego odczucia.

— Trzymajmy się środka ulicy — zachrypiał. Napotkał ich wzrok, wyglądali na równie przerażonych. Z trudem przełknął ślinę. — Chodźmy szybko środkiem ulicy, starając się nie zbliżać do cieni.

— Idźmy jak najszybciej — zgodził się Mat. Obserwujący wyraźnie im towarzyszyli, albo było ich bardzo wielu, te oczy wзираły z każdego budynku. Rand z całej siły wytężał wzrok, ale nie dostrzegał żadnego ruchu, tylko cały czas czuł obecność oczu, spragnionych i głodnych. Nie wiedział, co może być gorsze. Tysiące oczu, czy tylko kilka idących w ślad za nimi.

W miejscach, gdzie jeszcze docierało słońce, zwalniali odrobinę, zerkając ukradkiem w stronę ciemności, która zawsze zdawała się rozpościerać przed nimi. Żaden z nich nie miał ochoty wejść w cień, żaden nie był pewien, czy coś tam na nich nie czyha. Tam, gdzie cienie rozciągały się w poprzek ulicy, zagrządzając im drogę, wyczuwali nieomal obecność obserwujących. Przez takie ciemne miejsca biegli z krzykiem. Randowi zdawało się, że słyszy suchy, skrzypiący śmiech.

Wraz z zapadnięciem ciemności w zasięgu ich wzroku pojawił się wreszcie biały budynek, z którego, jak im się zdawało; wyszli wiele dni temu. I nagle obserwujące ich oczy zrezygnowały. Zniknęły błyskawicznie, pomiędzy jednym krokiem a drugim. Rand i jego koledzy bez słowa przyspieszyli kroku, potem rzucili się do biegu i zatrzymali dopiero, gdy sforsowali drzwi i padli za nimi, ciężko dysząc.

Na środku posadzki płonęło niewielkie ognisko, a dobywający się z niego dym znikał w otworze na suficie. Randowi nieprzyjemnie przypomniało to jaskinię Mordetha. Wszyscy, z wyjątkiem Lana, siedzieli wokół ogniska, a ich reakcje okazały się mocno zróżnicowane. Egwene, ogrzewająca sobie dłonie nad ogniskiem, zerwała się, gdy wpadli do pokoju i chwyciła za gardło. Gdy zobaczyła ich, westchnęła z ulgą, i oczywiście nie mogła już zmiążyć ich spojrzeniem, jak uprzednio planowała. Thom mruknął tylko coś do siebie, ale Rand posłyszał słowo „głupcy”, zanim bard powrócił do grzebania patykami w ognisku.

— Durne barany! — wybuchnęła Wiedząca. Była zupełnie zjeżona, jej oczy błyszcząły, a policzki płonęły z gniewu. — Czemu na Światłość tak biegacie? Co was napadło? Czy zupełnie nie macie rozumu? Lan poszedł was szukać, a wy będziecie mieli więcej szczęścia niż zasługujecie, jeśli po swoim powrocie nie wbije wam rozumu do głowy.

Twarz Aes Sedai nie zdradzała żadnego podniecenia, ale na ich widok przestała ścisnąć zbielełymi dłońmi fałdę sukni. Środek, który dała jej Nynaeve musiał pomóc, wstała bowiem już z posłania.

— Nie powinniście byli tego robić — powiedziała głosem tak czystym i jasnym, jak woda w stawach Wodnego Lasu. Później o tym porozmawiamy. Coś się musiało stać, bo inaczej nie wpadlibyście tu jak burza. Chcę o tym posłuchać.

— Mówiłaś, że tu jest bezpiecznie — poskarżył się Mat, wstając z podłogi. — Powiedziałeś, że Aridhol było sojusznikiem Manetheren, że trolloki nie wejdą do tego miasta i...

Moiraine ruszyła do przodu tak gwałtownie, że Mat umilkł z otwartymi ustami, a Rand i Perrin, którzy właśnie wstawali, zamarli w pozycji klęczącej.

— Trolloki? Widzieliście trolloki w tych murach?

Rand przełknął ślinę.

— To nie były trolloki — powiedział i wszyscy trzej zaczęli z podnieceniem opowiadać jednocześnie.

Każdy z nich zaczął od innego miejsca. Mat opowiedział o znalezieniu skarbu tak, jakby go znalazł sam, natomiast Perrin zaczął się tłumaczyć, dlaczego wyszli, nie powiadając o tym nikogo. Rand przeskoczył do najważniejszego jego zdaniem momentu, czyli do spotkania obcego pod kolumnami. Wszyscy trzej byli jednak tak zdenerwowani, że nikt nie pojął, w jakim porządku wszystko to się działo. Przypominali sobie coś i natychmiast starali się o tym opowiedzieć, nie zważając na to, co było przed-

tem lub potem, albo do kogo to mówią. Obserwatorzy. Wszyscy trzej trajkotali o obserwatorach.

Mimo iż cała ich historia prawie nie dawała się zrozumieć, to jednak pozostałym udzielił się strach. Egwene zaczęła niespokojnie zerkać w stronę pustych okien wychodzących na ulicę. Na zewnątrz blakły ostatnie światła zmierzchu, ognisko wydawało się małe i blade. Thom wyjął z ust fajkę, przysłuchiwał się wszystkiemu z pochyloną głową i marsem na czole. Oczy Moiraine wyrażały niepokój, choć nie przesadny. Aż...

Nagle Aes Sedai syknęła i silnie schwyciła Randa za łokieć.

— Mordeth! Jesteś pewien, że tak się nazywał? Wszyscy się zastanówcie. Mordeth? — Chórem wymamrotali: „Tak”, zaskoczeni napięciem Aes Sedai. — Czy on was dotykał? — zapytała. — Czy podał wam cokolwiek, albo czy coś z nim zrobiliście? Muszę to wiedzieć.

— Nie — odparł Rand. — Żaden z nas nic takiego nie zrobił.

Perrin poparł go skinieniem głowy i dodał:

— On nas tylko próbował zabić. Czy to nie wystarczy? Napęczał tak, że wypełnił sobą połowę komnaty, krzyczał, że wszyscy jesteśmy martwi i zniknął. — Gestykulował, jakby chcąc to zademonstrować. — Jak dym.

Egwene pisnęła.

Mat skrzywił się z rozdrażnieniem.

— Mówiłaś, że tu nam się nic nie stanie! Twierdziłaś, że trolloki tu nie wejdą. Cóż więc mieliśmy myśleć?

— Najwyraźniej w ogóle nie myśleliście — powiedziała lodowatym tonem Moiraine, na powrót opanowana. — Każdy, kto choć odrobinę myśli, strzeże się miejsca, do którego trolloki boją się wejść.

— To sprawka Mata — wtrąciła Nynaeve z pełnym przekonaniem. — On zawsze namawia do złego i wtedy wszyscy w jego otoczeniu tracą tę odrobinę rozsądku, z jaką się urodzili.

Moiraine przytaknęła, ale nie spuszczała wzroku z Randa i jego dwóch kolegów.

— Pod koniec Wojen z Trollokami obozowała w tych ruinach armia, trolloki, Sprzymierzeńcy Ciemności, Myrddraale, Władcy Strachu, w sumie były ich tysiące. Ponieważ nie wracali, przysłano zwiadowców, którzy znaleźli porzuconą broń, fragmenty zbroi i bryzgi krwi dookoła. A na ścianach w języku trolloków nagryzmołone było wezwanie do Czarnego, aby przyszedł im z pomocą w ich ostatniej godzinie. Ludzie, którzy tu przyszedli później, nie znaleźli ani śladów krwi ani tych napisów. Zostały zatarte. Półludzie i trolloki pamiętają wszystko do dziś i to ich trzyma z dala od tego miejsca.

— I wy wybraliście to miasto na naszą kryjówkę? — spytał Rand, nie dowierzając własnym uszom. — Przecież bezpieczniej byłoby uciekać przed trollokami.

— Gdybyście tu nie wpadli w takim pędzie — powiedziała cierpliwie Moiraine — wiedzielibyście, że nałożyłam pas ochronny na ten dom. Myrddraale nawet by nie wiedziały o tych umocnieniach, bo oni się zatrzymują przed innym rodzajem zła, ale to, co zamieszkuje Shadar Logoth nigdy tego nie przekroczy, ani nawet tu nie podejździe. Rankiem bezpiecznie stąd odjedziemy, te stworzenia nie wytrzymują światła słonecznego. Będą się ukrywały głęboko w ziemi.

— Shadar Logoth? — spytała lękliwie Egwene. — Myślałam, że nazywałaś to miasto Aridhol.

— Kiedyś nazywało się Aridhol — odparła Moiraine należało do jednego z Dziesięciu Narodów zamieszkujących ziemię Drugiego Przymierza, ziemię, które opierały się Czarnemu od pierwszych dni po Pęknięciu Świata. W czasach, gdy Thorin al Toren al Ban był królem Manetheren, królem Aridhol był Balwen Mayel, Balwen Żelazna Dłoń. W okresie największej rozpaczki podczas Wojen z Trollokami, kiedy wydawało się, że Ojciec Kłamstw musi zwyciężyć, na dwór Balwena przybył mężczyzna zwący się Mordeth.

— Ten sam człowiek? — krzyknął Rand.

— Nie może być! — dodał Mat.

Moiraine uciszyła ich jednym spojrzeniem. W pokoju nie słyhać było nic prócz głosu Aes Sedai.

— Mordeth stał się na długi czas zausznikiem królewskim i wkrótce odpowiadał jedynie przed Królem. Pewnego razu wyszeptał trujące kłamstwa do ucha Balwena i Aridhol zaczęło się zmieniać, zbeczelniało, zhardziało. Powiadano, że niektórzy ludzie woleli spotykać trolloki zamiast mieszkańców Aridholu. Zwycięstwo Światłości jest wszystkim. Taki był okrzyk wojenny, jakiego nauczył ich Mordeth, i ludzie stamtąd wykrzykiwali go, gdy swymi uczynkami wyrzekali się Światłości.

Historia ta jest zbyt długa i zbyt ponura, by ją opowiedzieć w całości, nawet w Tar Valon znana jest tylko we fragmentach. Jak syn Thorina, Caar, przybył w celu odbicia Aridholu dla Drugiego Przymierza, a Balwen siedział na swym tronie jako wyschła skorupa z szaleństwem w oczach, śmiał się do Mordetha i wydawał rozkaz zabicia Caara i ambasadorów jako Sprzymierzeńców Ciemności. Jak Księcia Caara zaczęto nazywać Caarem Jednorękim. Jak uciekł z lochów Aridholu aż do Ziem Granicznych z nie-ludzkimi skrytobójcami Mordetha na karku. Jak tam spotkał Rheę, która go nie znała, więc ją poślubił i wprzął nić do Wzoru, co doprowadziło do jego śmierci na jej rękach i jej śmierci zadanej własną ręką na jego grobie i o upadku Alethloriela. Jak armie Manetheren przybyły pomścić Caara i zastały pustkę zamiast bram Aridholu, a za murami żadnej ludzkiej istoty, jeno coś gorszego od śmierci. Wrogiem Aridholu był sam Aridhol. Podejrzliwość i nienawiść zrodziła coś, co się żywiło tym, co oni tam stworzyli, coś zamkniętego w skalnym podłożu, na którym spoczywa miasto. Mashadar wciąż

czeka i głoduje. Ludzie przestali rozmawiać o Aridhol. Nazwali je Shadar Logoth, Miejsce, w Którym Czeka Cień, albo jeszcze prościej: Oczekiwanie Cienia.

Sam Mordeth nie został pożarty przez Mashadara, ale wpadł w jego sidła i również czeka od stuleci w tych murach. Inni też go widzieli. Niektórzy doświadczyli jego wpływu, przyjmując dary, które odbierają rozum i kalają ducha. Skaza rośnie i maleje, dopóki nie zapanuje nad resztą i nie zabije. Kiedy mu się uda przekonać kogoś, by towarzyszył mu za te mury, które są granicami władzy Mashadara, to będzie mógł pożreć duszę takiej osoby. Mordeth odejdzie stąd wówczas w ciele takiego człowieka, aby znów szerzyć swe zło po świecie.

— Skarb — wymamrotał Perrin, kiedy przestała mówić.

— Chciał, abyśmy pomogli mu go zanieść do koni. — Jego twarz przybrała dziki wyraz. — Założę się, że musiały czekać gdzieś poza miastem.

Rand zadygotał.

— Ale teraz już nam nic nie grozi, prawda? — upewniał się Mat. — Niczego nam nie dał i nie dotykał nas. Jesteśmy bezpieczni dzięki twemu pasowi ochronnemu.

— Naprawdę nic nam nie grozi — uspokoiła go Moiraine. — Ani on, ani żaden z mieszkańców tego miasta nie przekroczy linii ochronnej. A poza tym muszą się kryć przed światłem słonecznym, więc możemy stąd bezpiecznie wyjechać za dnia. A teraz postarajcie się zasnąć. Pas ochronny będzie nas strzegł, dopóki nie powróci Lan.

— Wyszedł już dawno temu.

Nynaeve z niepokojem wyjrzała na zewnątrz. Zapadł już całkowity mrok.

— Lanowi nic się nie stanie — zapewniła ją Moiraine i mówiąc to, rozkładała swe koce obok ogniska. — Jeszcze w kolebce ślubował walczyć z Czarnym, a w jego dziecińczych dłoniach umieszczono wówczas miecz. A poza tym, wiedziałabym, w którym momencie umrze oraz w jaki sposób, tak samo jak on będzie wiedział o mojej śmierci. Odpocznij, Nynaeve. Wszystko będzie dobrze.

Jednak przerwała przygotowania do snu i zapatrzyła się w stronę ulicy, jakby ona również chciała wiedzieć, co zatrzymało Strażnika.

Rand odnosił wrażenie, że jego ręce i nogi są zrobione z ołowiu, a oczy same się zamykają, sen jednak nie chciał jakoś nadejść, a kiedy już do tego doszło, śnił, mruczając coś i rozkopując koce. Obudził się nagle i rozglądał przez chwilę dookoła, zanim sobie przypomniał, gdzie jest.

Księżyc już wzeszedł, ostatni cienki płatek przed nową kwadrą, noc pożerała jego blade światło. Wszyscy pozostali leżeli pogrążeni w niespokojnym śnie. Egwene i obydwaj chłopcy kręcili się i pomrukiwali coś do siebie. Chrapanie Thoma, tym razem ciche, co jakiś czas przerywały bełkotliwe słowa. Nadal nie było ani śladu Lana.

Nagle zdało mu się, że zabezpieczenia nie są żadną ochroną. Wszystko mogło się kryć w tym mroku. Powtarzając sobie, że jest idiotą, dodał drewna do dopalających się węgli. Płomień był zbyt mały, aby dać więcej ciepła, zrobiło się za to jaśniej.

Nie miał pojęcia, co go mogło obudzić z nieprzyjemnego snu. Był w nim na powrót małym chłopcem, niosącym miecz Tama i z kołyską przywiązaną do pleców biegł przez puste ulice, ścigany przez Mordetha, który krzyczał, że chce go tylko schwycić za rękę. Był tam też jakiś starzec, który ich obserwował i cały czas zanosił się oszalałym śmiechem.

Uporządkował koce i położył się na nich, wpatrując się w sufit. Bardzo chciał spać, nawet gdyby miał śnić tak jak przed chwilą, ale nie potrafił zamknąć oczu.

Nagle z ciemności bezszelestnie wyłonił się Strażnik. Moiraine przebudziła się i usiadła, jakby zadzwonił dzwonek. Lan otworzył dłoń, na podłogę upadły z brzękiem trzy małe przedmioty. Trzy zakrwawione odznaki w kształcie rogatych czaszek.

— W mieście są trolloki — powiedział Lan. — Będą tu za niecałą godzinę. Co gorsza, są wśród nich Dha'vol.

Zaczął budzić pozostałych.

Moiraine zaczęła sprawnie składać swe koce.

— Ilu? Czy wiedzą, że tu jesteśmy?

Brzmiało to tak, jakby nie czuła żadnego zdenerwowania.

— Chyba nie — odparł Lan. — Jest ich ponad stu, tak przerażonych, że gotowi są zabijać wszystko, co się rusza, łącznie z sobą nawzajem. Półudzie są zmuszeni kierować nimi, po czterech na jedną garść, ale nawet oni zdaje się chcą jedynie przejść jak najszybciej przez miasto. Nie chcą wyraźnie szukać niczego po drodze i są tak nieuważni, że gdyby nie szli prosto na nas, powiedziałbym, że nie mamy się czym martwić...

Zawiesił głos.

— Coś jeszcze?

— Tylko to — wolno powiedział Lan. — Myrddraale wpędziły trolloków do miasta. A co zmusiło do tego Myrddraali?

Wszyscy słuchali w milczeniu. Nagle Thom zaklął ledwie słyszalnie, a Egwene wypowiedziała to pytanie:

— Czarny?

— Nie pleć bzdur, dziewczyno — ofuknęła ją Nynaeve. — Stwórca uwięził Czarnego w Shayol Ghul.

— Przynajmniej na razie — zgodziła się Moiraine. — Nie, Ojca Kłamstw tu nie ma, ale tak czy inaczej musimy stąd uciekać.

Nynaeve patrzyła na nią zmrużonymi oczyma.

— Zostawić zabezpieczenia i przejść przez Shadar Logoth pod osłoną nocy?

— Albo zostać tutaj i stawić czoło trollokom — powiedziała Moiraine. — Odparcie ich wymagałoby użycia Jedynej Mocy, która zniszczyłaby zabezpieczenia i przyciągnęła wszystkie stwory, przed którymi nas chronią. Poza tym wzniesienie ognia na którejś z tych wież zaalarmowałoby wszystkich Półudzi w promieniu dwudziestu mil. Wo-

lałabym teraz stąd nie wyjeżdżać, ale to my jesteśmy zającami, a ogary dyktują warunki goniwcy.

— A jeśli będzie ich więcej poza tymi murami? — spytał Mat. — Co wtedy zrobimy?

— Wykorzystamy mój pierwotny plan — powiedziała Mairaine. — Lan spojrział na nią. Podniosła dłoń i dodała: — Przedtem byłam zbyt zmęczona, aby go zrealizować. Teraz dzięki Wiedzącej już wypoczęłam. Udamy się w kierunku rzeki. Tam, od tyłu chroniona przez wodę, utworzę mniejszy pas ochronny, który zatrzyma trolloków i Półludzi, a my w tym czasie zbudujemy tratwy i przeprawimy się na drugi brzeg. Może nawet uda nam się przywołać jakąś łódź handlową płynącą z Saldei.

Twarze ludzi z Pola Emonda były pozbawione wyrazu. Lan zauważył to.

— Trolloki i Myrddraale czują wstręt do głębokiej wody. Trolloki się jej boją, żaden z nich nie potrafi pływać. Półczłowiek nie zanurzy się głębiej niż do pasa, szczególnie jeśli ta woda płynie. Trolloki nie robią tego, nawet gdy nie mają innego wyjścia.

— Więc jak już się przeprawimy, będziemy bezpieczni — powiedział Rand, a Strażnik przytaknął.

— Zmuszenie trolloków do zbudowania tratw będzie dla Myrddraali zadaniem równie ciężkim, jak zapędzenie ich do Shadar Logoth. Jeśli jednak się uprą, połowa stworów ucieknie, a reszta prawdopodobnie utonie.

— Chodźcie do koni — powiedziała Moiraine. — Jeszcze nie przeprawiliśmy się przez rzekę.

PYŁ NA WIETRZE

Gdy opuszczali białą budowlę, siedząc już na grzbietach płasających nerwowo koni, zerwał się lodowaty wichur, który jęczał wśród dachów, miotał ich płaszcami jak sztandarami i napędzał rzadkie chmury na wąski skrawek księżyca. Lan cichym głosem nakazał wszystkim trzymać się blisko i ruszył w dół ulicy. Konie wierzgały i ściągały cugle, pragnąc być już jak najdalej od nieprzyjemnego miejsca.

Rand obserwował czujnie mijane budynki, majaczące teraz niewyraźnie na tle nocy, ich puste okna przypominały wyklute oczodoły. Cienie zdawały się poruszać. Gdzieś niedziedzie słyhać było jakieś szczęki — to gruz osypywał się na wietrze.

„Przynajmniej te oczy zniknęły.”

Poczucie ulgi było jednak chwilowe.

„Dlaczego zniknęły?”

Thom i młodzi zbili się w gromadę, jadąc tak blisko siebie, że dotykali się nawzajem. Egwene zgarbiła się, jakby próbowała zmusić Belę do szybowania nad ulicą. Rand zapragnął nagle nie oddychać. Każdy dźwięk mógł przyciągnąć uwagę wroga.

Nagle zauważył przestrzeń, która rozdzieliła ich od Strażnika i Aes Sedai. Obydwoje stanowili teraz niewyraźne kształty jadące dobre trzydzieści kroków przed nimi.

— Zostajemy w tyle — mruknął i zmusił Obłoka do szybszego kroku.

Przez ulicę przeleciało rzadkie pasmo srebrzysto-szarej mgły.

— Zatrzymać się! — wydała zduszony okrzyk Moiraine, tonem ostrym i alarmującym, ale tak cichym, by nie rozszedł się za daleko.

Niepewny co robić, Rand przyhamował. Na ulicy zalegała teraz duża chmura mgły. Gęstniała powoli, jak gdyby tryskała z budynków po obu stronach ulicy. Była już grubości ludzkiego ramienia. Obłok zarżał i usiłował się cofnąć, gdy Egwene, Thom i pozostali wpadli wprost na niego. Ich konie również potrzęsały łbami, za nic nie chciały podejść do mgły.

Lan i Moiraine wolno zbliżyli się do mgły, która osiągnęła już grubość ludzkiego uda, i zatrzymali się w odpowiedniej odległości po jej drugiej stronie. Aes Sedai przyjrzała się mgielnemu konarowi, który ich rozdzielił. Rand wzdrygnął się, czując nagłe ukłu-

cie strachu między łopatkami. Mgle towarzyszyło blade światło, rosnące wraz z nią, ale i tak ciemniejsze od blasku księżyca. Konie nerwowo dreptały w miejscu, nawet Aldieb i Mandarb.

— Co to jest? — spytała Nynaeve.

— Zło Shadar Logoth — odparła Moiraine. — Mashadar. Nie widzi, nie myśli, porusza się po mieście równie bezcelowo, jak dżdżownice w ziemi. Jeżeli was dotknie, umrzecie.

Wszyscy pozwolili swym koniom cofnąć się odrobinę. Choć Rand dałby wiele, aby uwolnić się od Aes Sedai, teraz jednak, w porównaniu z tym co ich otaczało, przywodziła na myśl swojskość rodzinnego domu.

— Jak więc mamy się z wami połączyć? — spytała Egwene. — Czy możecie to zabić... oczyścić drogę?

Moiraine zaśmiała się sarkastycznie.

— Mashadar jest ogromny, tak ogromny jak sam Shadar Logoth. Cała Biała Wieża nie potrafiłaby go zabić. Gdybym go uszkodziła Jedyńą Mocą na tyle, abyście mogli się przedostać, przyciągnęłoby to Półludzi niczym zadęcie w trąby. A Mashadar pośpieszyłby naprawić wszelkie uszkodzenia i pewnie złapałby was w swe sidła. — Rand i Egwene spojrzeli na siebie, dziewczyna powtórzyła swoje pytanie. Moiraine westchnęła, zanim odpowiedziała. — Nie podoba mi się to, ale trzeba zrobić to, co należy. Nie wszędzie jest ta mgła. Na innych ulicach będzie pusto. Widzicie tamtą gwiazdę? — Odwróciła się, by wskazać czerwoną gwiazdę, wiszącą nisko nad wschodnim horyzontem. — Trzymajcie się tej gwiazdy, a ona was doprowadzi do rzeki. Cokolwiek by się działo, przez cały czas starajcie się dotrzeć do rzeki. Jedźcie najszybciej jak możecie, ale postarajcie się nie robić hałasu. Pamiętajcie, że tu nadal są trolloki i czterech Półludzi.

— Ale jak was znajdziemy? — zapytała Egwene, głosem pełnym protestu.

— Ja was znajdę — powiedziała Moiraine. — Bądźcie pewni, że was znajdę. A teraz ruszajcie. To coś jest zupełnie bezmyślne, ale wyczuwa pokarm.

Istotnie, z większej masy zaczęły się wyodrębniać srebrnoszare wici. Unosiły się i drżały, jak macki sturamiennicy na dnie stawu w Wodnym Lesie.

Gdy Rand oderwał wzrok od mętnej mgły, Strażnik i Aes Sedai już zniknęli. Zwilżył językiem wargi i spojrzął na swych towarzyszy. Byli równie zdenerwowani jak on, co gorsza wszyscy zdawali się czekać, aż ktoś wykona za nich pierwszy ruch. Otaczały ich noc i ruiny. Gdzieś tu były Pomory i trolloki, być może za następnym rogiem. Macki mgły zbliżały się coraz bardziej i przestały już drżeć. Wybrały ofiarę. Rand nagle rozpaczliwie zatęsknił za Moiraine.

Wszyscy wciąż tylko wytrzeszczali oczy, nie wiedząc, w którą stronę ruszyć. Rand pogonił Obłoka i siwek ruszył półstępa, szarpał wodze — chciał poruszać się szybciej. Tak jakby pierwszy ruch uczynił Randa dowódcą, wszyscy ruszyli w ślad za nim.

Od czasu zniknięcia Moiraine nikt już ich nie chronił, na wypadek gdyby na przykład pojawił się Mordeth. Tak samo było w przypadku trolloków. I... Rand usiłował przestać myśleć. Będzie jechał w kierunku tej czerwonej gwiazdy i myślał tylko o niej.

Trzykrotnie musieli zawracać z ulic zatarasowanych stosami kamieni i cegieł, których konie nie mogły sforsować. Rand słyszał urywane oddechy pozostałych, ściszone panicznym strachem. Zacisnął zęby, aby nie dyszeć głośno.

„Powinieneś wmówić im przynajmniej, że się nie boisz. Dobrze się sprawujesz, ty barania głowo! Wyprowadzisz stąd wszystkich bez szwanku.”

Okrzyżli kolejny róg. Mur mgły oblewał wyrwy w chodniku światłem tak jasnym, jak promienie księżyca w pełni. Nikt nie czekał, aż strumienie grubości końskich tułowi pognają ku nim. Zawrócili i pogalopowali w odwrotną stronę ciasną gromadą, nie zważając na łoskot kopyt.

Nieopodał, na ulicy przed nimi pojawiły się dwa trolloki.

Przez chwilę ludzie i trolloki tylko patrzyli na siebie, jedni bardziej zdumieni od drugich. Potem dołączyła następna para trolloków, potem następna i jeszcze jedna, wpadając na tych pierwszych i kłębiąc się w szoku na widok ludzi. Jednakże sparaliżowało ich tylko na chwilę. Gardłowe okrzyki odbiły się echem od ścian domów i trolloki pognały do przodu, ludzie umknęli jak spłoszone ptaki.

Siwek Randa puścił się galopem już po trzech krokach.

— Tędy! — krzyknął Rand, ale usłyszał to samo z pięciu gardeł.

Gdy obejrzał się pośpiesznie przez ramię, zobaczył, że jego towarzysze znikają w rozmaitych kierunkach, trolloki ruszyły w pogoń za wszystkimi.

Jego śladem, wymachując chwytakami, biegły trzy trolloki. Ścierpła mu skóra, gdy spostrzegł, że dotrzymują kroku Obłokowi. Opuścił się nisko na kark konia i popędzał go ostro, słysząc za plecami gardłowe okrzyki.

Ulica zwężała się, a zrujnowane szczyty domów pochylały niebezpiecznie. Powoli puste okna zaczęła wypełniać srebrna łuna, wytrysnęła z nich gęsta mgła. Mashadar.

Rand odważył się obejrzeć za siebie. Trolloki biegły za nim w odległości mniejszej niż pięćdziesiąt kroków, dzięki światłu bijącemu z mgły widziały go bez trudu. Za nimi pojawił się Pomor i zdawało się, że ścigając Randa, jednocześnie uciekały przed Półczłowiekiem. Przed nim drżące szare pasma wyłaniały się z okien i wypełniały powietrze. Obłok podrzucił łeb i zarżał, ale gdy Rand uderzył go bezlitośnie piętami, koń rzucił się jak oszalały do przodu.

Pasma mgły tężały. Rand przegalopował między nimi, przywarł do grzbietu Obłoka i starał się nic nie widzieć. Dalej droga była czysta.

„Jeżeli któreś mnie dotknie... Światłości!”

Pognał mocniej Obłoka i koń wskoczył w upragniony cień. Łuna Mashadara zaczęła blednąć. Obejrzał się z grzbietu galopującego wierzchowca.

Połowę ulicy blokowały drżące, szare pasma Mashadara. Trolloki oganiały się przed nimi, lecz Pomor trząskał batem ponad ich głowami, wydając przy tym odgłos podobny do uderzenia gromu i wzniesając w powietrze skry. Skulone trolloki pomknęły w ślad za Randem. Półczłowiek zawahał się i spod czarnego kaptura zmierzył uważnie ramiona Mashadara, zanim również pognął do przodu.

Gęstniejące wici mgły na moment zawisły niepewnie, po czym uderzyły jak zmięte. Każdego trolloka schwyciły co najmniej dwie, oblewając go szarym światłem, z pyśków stworów wydarł się wrzask, lecz mgła wpływała prosto do ich gardeł i tłumiła wyście. Pomora opłotły cztery, grube jak nogi, wstęgi. Półczłowiek oraz jego koń skrzyli się jakby w tańcu, czarny kaptur opadł, obnażając bladą, pozbawioną oczu twarz. Wrzasnął przenikliwie.

Okrzyk ten nie różnił się pozornie niczym od odgłosów wydawanych przez trolloki, lecz zadrgała w nim jakaś nieomal ogłuszająca, świdrująca nuta, jakby jednocześnie odezwały się wszystkie szerszenie na świecie, wtłaczając w uszy Randa cały strach, jaki kiedykolwiek istniał. Obłok zadrżał konwulsyjnie, na niego też tak to podziałało i pobiegł szybciej niż kiedykolwiek. Rand ledwie trzymał się jego grzbietu i dyszał, a jego gardło było suche jak piasek. Po jakimś czasie uświadomił sobie, że nie słyszy już zduszonego wrzasku umierającego Pomora i nagle stukot kopyt wydał mu się głośniejszy od krzyku. Z całej siły ściągnął wodze Obłoka i zatrzymał się przy częściowo zrujnowanym murze, tuż przy zbiegu dwóch ulic. W ciemnościach majaczyły kształty jakiegoś pomnika.

Skulony w siodle nasłuchiwał, ale nic nie słyszał prócz pulsowania krwi w uszach. Po twarzy spływały mu krople potu, zadygotał, gdy wiatr targnął połami jego płaszcza.

Wreszcie wyprostował się. W bezchmurnych miejscach niebo było usiane gwiazdami, ale łatwo było odnaleźć czerwoną iskrę we wschodniej części nieba.

„Czy ktokolwiek przeżył, aby ją zobaczyć?”

Czy pozostali są wolni, czy też wpadli w ręce trolloków?

„Egwene, niech mnie Światłość oślepi, czemu nie pojechałaś za mną?”

Jeżeli żyją i są wolni, to będą jechać w stronę gwiazdy. Jeżeli zaś nie... Ruiny były bezkresne, mógł je przeszukiwać przez wiele dni i nie znaleźć nikogo, o ile udałoby mu się nie wpaść w ręce trolloków, Pomorów, Mordetha i Mashadara. Niechętnie skierował się w stronę rzeki.

Schwycił wodze. Na ulicy krzyżującej się z tą, którą właśnie jechał, kamień uderzył głośno o kamień. Zastygł, przestał nawet oddychać. Stał ukryty w cieniach, o krok od rogu ulicy. Gorączkowo zastanawiał się, czy nie zawrócić. Co się kryło za jego plecami? Co mogło narobić hałasu i zdradzić się tym? Nie pamiętał i bał się oderwać wzrok od rogu budynku.

Nagle ciemność w tym miejscu wyrzuciła się i wysunęła cień, długi i cienki. Chwyta! Ledwie ta myśl zabłysła w jego głowie, a już poganiał piętami Obłoka, wrywając miecz z pochwy. Szarzy towarzyszył bezsłowny okrzyk. Wymachiwał z całej siły bronią i zatrzymał go dopiero rozpaczliwy krzyk. Mat z jękiem potoczył się do tyłu, omal nie spadł z konia, gubiąc łuk.

Rand wziął głęboki wdech i opuścił miecz. Jego ręka drżała:

— Czy widziałeś jeszcze kogoś? — wykrztusił.

Mat z trudem przełknął ślinę, zanim usiadł poprawnie w siodle.

— Ja... ja... tylko trolloki.

Przyłożył dłoń do gardła i oblizał wargi.

— Tylko trolloki. A ty?

Rand potrząsnął głową.

— Pewnie próbują dostać się do rzeki. Lepiej zrobmy to samo.

Mat przytaknął milcząco, nadal obmacując szyję. Razem ruszyli w kierunku czerwonej gwiazdy.

Zanim pokonali sto piędzi, pośrodku miasta rozbrzmiał lament rogu trolloków. Odpowiedział mu następny, tym razem z jakiegoś miejsca poza murami.

Rand zadygotał, ale utrzymywał powolne tempo, obserwując najciemniejsze miejsca i unikając ich, kiedy tylko mógł. Gdy choć raz tylko szarpnął wodzami, jakby chciał pogalopować, Mat robił to samo. Nie usłyszeli więcej dźwięku rogu i w ciszy dotarli do otworu w obrośniętym winoroślą murze, niegdyś była to brama. Pozostały jedynie wieże, odznaczające się ułamanymi wierzchołkami na tle czarnego nieba.

Przy bramie Mat zawahał się, lecz Rand powiedział cicho:

— Czy w mieście jest bezpieczniej niż tu?

Nie zwolnił konia i po chwili Mat opuścił w ślad za nim Shadar Logoth, usiłując rozglądać się na wszystkie strony jednocześnie.

„Uda nam się. Światłości, musi nam się udać!”

Mury zniknęły za nimi, pochłonięte przez noc i las. Nasłuchując każdego dźwięku, Rand kierował się wprost na czerwoną gwiazdę.

Nagle z tyłu przygalopował Thom, który zwolnił tytko po to, by krzyknąć:

— Jechać dalej, głupcy!

Chwilę później okrzyki i trzaski w krzakach zdradziły, że trolloki są na jego tropie.

Rand uderzył konia piętami i Obłok pomknął w ślad za wałachem barda.

„Co się stanie, jeśli dotrzemy do rzeki, a tam nie będzie Moiraine? Światłości, co się stało z Egwene?”

Perrin siedział na koniu, ukryty w cieniach, i z niewielkiej odległości obserwował otwartą bramę. W rozróżnieniu przesuwiał kciukiem po ostrzu topora. Wydawało się, że bez żadnych przeszkód może tędy wyjechać z miasta, ale siedział tak i przyglądał się bramie przez pięć minut. Wiatr rozwiewał jego zmierzwione włosy i próbował zerwać z niego okrycie, ale Perrin opatulił się tylko szczelniej, nawet nie zauważając, co robi.

Wiedział, iż Mat oraz prawie wszyscy pozostali mieszkańcy Pola Emonda uważali, że myśli powoli. Częściowo to mniemanie zawdzięczał swemu wzrostowi i ospałości ruchów — stale się bał, że może coś przypadkiem złamać, albo zrobić komuś krzywdę, bo był znacznie większy od swych rówieśników ale zawsze lubił wszystko przemyśleć dokładnie. Mat przez swoje błyskawiczne, szaleńcze pomysły, co jakiś czas pakował się w tarapaty, Rand często go w tym naśladował, czasami pakowali się w nie obydwaj.

Poczuł ścisk w gardle.

„Światłości, nawet myśleć mi nie wolno o kłopotach.”

Próbował ponownie uporządkować swoje myśli. Jedynym ratunkiem było staranne zastanowienie się nad sytuacją.

Przed bramą znajdował się kiedyś skwer z ogromną fontanną pośrodku. Pozostały jeszcze resztki fontanny, w wielkim, okrągłym basenie stało jeszcze kilka połamanych figur, dookoła rozciągała się otwarta przestrzeń. Aby dotrzeć do bramy, będzie musiał przejechać prawie sto piędzi. Jedynie noc będzie go wówczas chronić przed czymś czujnym wzrokiem. Niezbyt mu się to uśmiechało. Aż nadto dobrze pamiętał nie-widzialnych obserwatorów.

Pomyślał o dźwiękach rogu, które rozbrzmiały nieco wcześniej w mieście. Już miał zawrócić, sądząc, że ktoś z ich grupy mógł zostać porwany, ale uświadomił sobie, że sam i tak nikomu nie pomoże.

„Lan powiedział, że trolloków jest sto, a Pomorów czterech. Moraine kazała dotrzeć do rzeki.”

Ponownie zaczął obmyślać przejazd przez bramę. Głęboki namysł nie pomógł wiele, jednak wreszcie podjął decyzję. Wyjechał z głębokiego cienia w półmrok.

W tym momencie po drugiej stronie placu pojawił się koń. Perrin zatrzymał się i wymacał swój topór, bynajmniej nie przyniosło mu to uspokojenia. Jeżeli ten ciemny kształt to Pomor...

— Rand? — dobiegł go cichy, niepewny głos.

Odetchnął z ulgą.

— Egwene, to ja, Perrin — zawołał równie cicho w odpowiedzi.

We wszechogarniającym milczeniu i tak zabrzmiało to zbyt głośno.

Oboje podjechali do fontanny.

— Czy jest tu jeszcze ktoś z naszych? — zapytali jednocześnie i obydwójce odpowiedzieli sobie potrząśnięciem głowy.

— Nic im się nie stanie, prawda? — wyszeptała Egwene, klepiąc Belę po karku.

— Moiraine Sedai i Lan będą ich szukać — odparł Perrin. — Będą szukać nas wszystkich, gdy już dotrzemy do rzeki.

Miał nadzieję, że tak się stanie.

Poczuł wielką ulgę, gdy już wyjechali poza bramy. W lesie były wprawdzie trolloki i Pomory, ale o tym starał się nie myśleć. Nagie gałęzie nie przesłaniały im czerwonej gwiazdy, a poza tym nic już im nie groziło ze strony Mordetha, którego Perrin obawiał się bardziej niż trolloków.

Wkrótce dotrą do rzeki, spotkają się z Moiraine, a ona już zadba, by trolloki ich nie dopadły. Wierzył w to, ponieważ potrzebował wiary. Słyszał było ocieranie się gałęzi na wietrze, szelest uschłych liści i igieł na drzewach. W mroku rozległ się okrzyk nocnego jastrzębia, oboje podjechali bliżej siebie, jakby chcieli się ogrzać. Czuli się bardzo samotni.

Nagle gdzieś w tyle rozległ się odgłos rogu trolloków, krótkie, płaczliwe akordy nakażywały ścigającym pośpiech. Po chwili na ich szlaku rozległo się nieludzkie wycie, popędzane dźwiękiem rogu. Wycie stało się jeszcze bardziej przenikliwe, gdy stwory wyczuły ludzki zapach.

Perrin poganiał konia i krzyczał:

— No dalej!

Egwene pędziła w ślad za nim, oboje kłuli wierzchowce piętami, nie zważając na biczące ich gałęzie.

Kiedy tak pędzili wśród drzew, kierując się instynktem i mętym światłem, Bela nagle została w tyle. Perrin obejrzał się: Egwene poganiała klacz i szarpała cugle, ale to nie wystarczało. Sądząc po odgłosach, trolloki były coraz bliżej. Zwolnił, aby nie zostawić jej w tyle.

— Pośpiesz się! — zawołał. — Już widział ogromne, ciemne kształty trolloków przedzierających się między drzewami, stwory wyły i warczały, aż krew stygła w żyłach. Ścisnął rękojeść topora tak mocno, że bolały dłonie. — Pośpiesz się, Egwene! Pośpiesz się!

Nagle jego koń zarżał i potknął się, a Perrin zleciał na ziemię. Rozłożył ręce, aby się czegoś schwycić, ale wpadł głową w lodowatą wodę. Okazało się, że dojechał do samego skraju urwistego brzegu Arinelle.

Szok wywołany zetknięciem z lodowatą rzeką odebrał mu oddech. Mimo woli napił się porządnie wody, zanim wypłynął na powierzchnię. Wydało mu się, że słyszy jeszcze jeden plusk i pomyślał, że pewnie Egwene wpadła do wody tuż za nim. Brnął przez wodę, dysząc i plując. Nie było łatwo utrzymać się na powierzchni, jego ubranie już całkiem przesiąkło. Szukał wzrokiem Egwene, ale dostrzegł tylko odbicia księżycowych promieni od czarnej powierzchni wody, marszczącej się na wietrze.

— Egwene? Egwene!

Tuż przed jego oczami błysnęła włócznia, woda zalała mu twarz. Po chwili zasypał go cały grad włóczni, a od brzegu dały się słyszeć gardłowe wrzaski wyraźnie spierających się o coś trolloków. Włócznie przestały lecieć w jego stronę, na razie jednak postanowił więcej się nie odzywać.

Prąd spychał go w dół rzeki, ale basowe wrzaski i warczenia, rozlegające się na brzegu, wciąż mu towarzyszyły. Gdy zdjął płaszcz i pozwolił mu odpłynąć wraz z prądem rzeki, uzyskał większą swobodę ruchów. Płynął wytrwale w stronę przeciwległego brzegu. Miał nadzieję, że tam nie będzie trolloków.

Płynął tak, jak po stawie w Wodnym Lesie, machając ramionami i kopiąc nogami, wysuwając głowę ponad wodę. Wcale nie było łatwo, ponieważ nawet sam kaftan i buty zdawały się ważyć tyle samo, ile ciało. Ciężył mu również topór, ciągle grożąc zachwianiem równowagi, o ile nie wręcz wciągnięciem pod wodę. Perrin zastanawiał się, czy jego też nie ofiarować rzece. To byłoby proste, o wiele łatwiejsze, niż pozbycie się, na przykład, butów. Ale za każdym razem, gdy o tym myślał, wyobrażał sobie, że gdy wypełźnie na brzeg, napotka tam trolloki. Topór na niewiele zda się przeciwko kilkudziesięciu trollokom — czy może nawet przeciwko jednemu — ale i tak jest lepszy od gołych dłoni.

Po jakimś czasie nie był już nawet pewien, czy da radę go unieść, nawet gdyby na brzegu były trolloki. Miał wrażenie, że jego ręce i nogi odlano z ołowiu, poruszał nimi z wielkim wysiłkiem i nie zawsze był w stanie unieść głowę ponad powierzchnię. Krztusił się wodą, która wdzierała się do nosa.

„Cały dzień w kuźni jest niczym w porównaniu z tym” pomyślał ostatkiem siły i w tym momencie jego stopa uderzyła w coś.

Dopiero gdy wierzgnął po raz drugi, zrozumiał, że dotyka dna. Dopłynął na płyciznę. Udało mu się dostać na drugi brzeg.

Wstał, wciągając głęboko powietrze. Na uginających się nogach, wznecając bryzgi, przedzierał się gwałtownie przez wodę. Gdy dobrnął do brzegu, wyciągnął topór z pasa. Zadygotał w podmuchach zimnego wiatru. Nie widział ani trolloków, ani Egwene. Na brzegu rosło tylko kilka drzew, rzekę oświetlała wstęga księżycowego światła.

Kiedy odzyskał oddech, zaczął wywoływać imiona towarzyszy. Odpowiedziały mu niewyraźne okrzyki z drugiej strony rzeki, nawet z daleka rozpoznał głosy trolloków. Żaden z przyjaciół nie odezwał się jednak.

Wiatr dał z całej siły, unosząc ze sobą głosy trolloków. Perrin dostał dreszczy. Nie było aż tak zimno, by miał zamarznąć w przemoczonym ubraniu, niemniej nie mógł pozbyć się wrażenia, że to mu właśnie grozi. Wiatr ciął do kości lodowatym ostrzem. Obejmował się ramionami, ale był to tylko gest, który bynajmniej nie powstrzymywał drżenia. Samotny wspiął się na brzeg, szukając osłony przed wiatrem.

Rand poklepał Obłoka po karku i wyszeptał uspokajające słowa. Koń podrzucił łbem i wierzgał. Trolloki pozostały gdzieś z tyłu — tak się przynajmniej zdawało — ale Obłok wyczuwał je wrażliwymi nozdrzami. Mat trzymał łuk w pogotowiu, wypatrując wszelkich zasadzek, jakie mogła im gotować noc, natomiast Rand i Thom szukali czerwonej gwiazdy, która miała im posłużyć za przewodnika. Dopóki jechali prosto, nie trudno było mieć ją stale na oku, mimo gałęzi przesłaniających widok. Potem jednak pojawiły się następne trolloki i musieli zboczyć z drogi, uciekając przed dwiema bandami wyjąłymi z tyłu za nim. Trolloki równie szybkie jak konie biegły za nimi przez jakiś czas, aż wreszcie zaniechały pogoni. Ich wycie zostało daleko w tyle. Niestety, tyle razy skręcali i kluczyli, że stracili z oczu gwiazdę.

— Ja twierdzę, że ona jest tam — upierał się Mat, wskazując na prawo. — Pod koniec jechaliśmy na północ, a to oznacza, że wschód jest tam.

— Widzę ją — powiedział nagle Thom.

Wskazał, przez płataninę gałęzi po ich lewej stronie, prosto na czerwoną gwiazdę. Mat wymamrotał coś niezrozumiale.

Kątem oka Rand zauważył ruch, zza drzewa wyskoczył bezszelestnie trollok, zamachnął się chwytnością. Rand wbił pięty w bok konia i zwierzę pognało do przodu w tym samym momencie, gdy z cieni wyskoczyły jeszcze dwa stwory. Pętla otarła mu się o szyję, poczuł jak przeszywa go dreszcz.

Matowi udało się z galopującego konia trafić strzałą w oko jednej z bestii. Rand zorientował się, że mkną w stronę rzeki, ale wątpił, czy im się uda. Trolloki biegły tuż z tyłu, tak blisko, że nieomal były w stanie schwycić konie za ogon. Jeszcze chwila i arkany ściągną ich z siodeł.

Przywarł do karku Obłoka, chcąc choćby minimalnie zwiększyć odległość pomiędzy własną szyją i pętlami. Mat niemalże zagrzebał się w końskiej grzywie. Nie wiadomo było, gdzie zniknął Thom. Czyżby bard, wykorzystując fakt, że wszystkie trzy trolloki pognały za chłopcami, spróbował ucieczki na własną rękę?

Nagle z mroku, tuż za trollokami, wyłonił się wałach Thoma. Starczyło im tylko tyle czasu, aby się obejrzeć, a już ręka barda wykonała zamach. Stał błysnęła w świetle księżyca. Trollok stracił równowagę, potoczył do przodu i znieruchomiał, w tym samym niemalże momencie drugi zwałił się z krzykiem na kolana, obiema rękami próbując jakby chwycić się za grzbiet. Trzeci warknął, ukazując paszczę pełną ostrych zębów, ale widząc porażkę towarzyszy zdecydował się na ucieczkę w stronę lasu. Dłoń Thoma wykonała znowu ten sam ruch, trollok zaskrzeczał i pognał jeszcze szybciej, jego wrzask powoli ucichał.

Rand i Mat zatrzymali się, by spojrzeć na barda.

— Moje najlepsze noże — burknął Thom, ale nie kwapił się, by zsiąść z konia i je odzyskać.

— Ten jeden sprowadzi innych. Mam nadzieję, że jest już blisko do rzeki. Mam nadzieję...

Zamiast powiedzieć, na co ma jeszcze nadzieję, potrząsnął tylko głową i zmusił konia do galopu. Rand i Mat pognali za nim.

Wkrótce dotarli do niskiego brzegu, gdzie drzewa rosły aż nad samym skrajem czarnej jak noc wody. Jej oświetloną przez księżyc powierzchnię marszczył wiatr. Rand nie był w stanie dostrzec drugiego brzegu. Nie podobał mu się pomysł przeprawy tratwą, ale jeszcze gorszym wyjściem wydawało mu się pozostanie na brzegu pełnym trolloków.

„Popłynę, jeśli będę musiał.”

Gdzieś w oddali przelotnie rozległ się ostry i nagły odgłos rogu, usłyszeli go po raz pierwszy, odkąd opuścili ruiny. Rand zaniepokoił się, czy przypadkiem nie oznacza on, że inni zostali schwytani.

— Nie ma sensu zostawać tu na noc — powiedział Thom. — Wybierzcie kierunek. W górę albo w dół rzeki.

— Ale Moiraine może być wszędzie — zaprotestował Mat. — Dokąd byśmy nie pojechali, zawsze będziemy się oddalać.

— Trudno. — Thom cmoknął na swego wałacha i ruszył w dół rzeki, trzymając się blisko brzegu. — Nie mamy innego wyjścia.

Rand spojrzął na Mata, ten wzruszył ramionami. Pojechali w ślad za bardem.

Przez jakiś czas nic się nie zmieniało. Brzeg był w niektórych miejscach wyższy, w innych niższy, drzewa czasami rosły gęściej, czasem przerzedzały się, tworząc niewielkie polany, wiatr wszędzie wiał taki sam — zimny i groźny. Nigdzie nie było trolloków. Tę zmianę Rand przywitał z zadowoleniem.

Nagle zobaczył przed sobą światło — pojedynczy punkt. Kiedy podjechali bliżej, zauważył, że wisi ono nad rzeką, jakby zawieszona na drzewie. Thom przyśpieszył kroku i zaczął coś nucić pod nosem.

W końcu zorientowali się, skąd pochodzi światło, to była latarnia przymocowana do masztu dużej łodzi handlowej, zacumowanej na noc obok małej przecinki wśród drzew. Łódź, długości dobrych osiemdziesięciu stóp, chybotąła się nieznacznie wraz z prądem, naciągając liny, którymi przywiązano ją do drzew. Takielunek brzęczał i trzeszczał na wietrze. Blask latarni mieszał się ze światłem księżyca, nigdzie nie było widać nawet żywej duszy.

— To chyba — powiedział Thom zsiadając z konia — lepsze od tratwy Aes Sedai, prawda? — Stał wsparłszy dłonie o boki i nawet w ciemności widać było, jak bardzo jest zadowolony z siebie. — Wygląda na to, że statku tego nie zbudowano do przewożenia koni, ale jeśli wytłumaczymy kapitanowi, w jakim jest niebezpieczeństwie, być może zachowa się rozsądnie. Pozwólcie tylko, że ja będę z nim rozmawiał. Na wszelki wypadek zdejmijcie swoje koce i siodła.

Rand zsiadł z konia i zaczął zdejmować swój dobytek z jego grzbietu.

— Nie chcesz chyba sam odjechać?

Thom nie miał szansy odpowiedzieć, jakie są jego zamiary, bowiem na polanę wtargnęły dwa trolloki, wyjąc i wymachują chwytakami. Tuż za nimi biegły następne cztery. Dobiegające z oddali krzyki wskazywały na obecność całej sfory.

— Do łodzi! — krzyknął Thom. — Szybko! Zostawcie to wszystko! Biegnijcie! — Pobiegł natychmiast w stronę łodzi, poły jego płaszcz łąpotały, a zawieszona na plecach instrumenty obijały się o siebie. — Ej, wy tam, na łodzi! — krzyknął. — Obudźcie się, durnie! Trolloki!

Rand wyswobodził wreszcie swój koc, sakwy i dogonił barda. Przerzucił swój dobytek przez burtę, wskoczył na pokład. Zdążył tylko zauważyć jakiegoś mężczyznę zwiniego tego w kłębek na pokładzie, który powoli siadał, jakby właśnie się przebudził. Wylądował na jego plecach. Mężczyzna jęknął głośno, a Rand potknął się. Zakrzywiony chwytak trafił w burtę, dokładnie w tym miejscu, przez które właśnie przeskoczył. Na całej łodzi podniósł się krzyk, po pokładzie zadudnił tupot stóp biegnących marynarzy.

Włochate ręce chwyciły krawędź burty, w miejscu gdzie przed chwilą wbił się chwytak, w chwilę po nich ukazała się kozioroga głowa. Nim upadał na pokład, Rand zdążył jeszcze wyciągnąć miecz i ciąć. Trollok z wrzaskiem runął w dół. Pokład zaroił się ludźmi, którzy krzyczeli i odcinali toporami liny. Łódź zachybotwała się i zakołysała, jakby chciała odpłynąć. Na dziobie trzech mężczyzn walczyło z trollokiem. Ktoś zamierzał się włócznią, celując w mrok. Inny napinał raz za razem cięciwę łuku. Mężczyzna, na którego Rand wpadł, wygramolił się spod niego i podniósł ręce do góry.

— Oszczędź mnie! — krzyknął. — Bierz, co tylko chcesz, zabierz łódź, zabierz wszystko, tylko mnie oszczędź.

Nagle coś uderzyło Randa w plecy, przygniatając go do pokładu. Miecz wypadł z wyciągniętej dłoni. Szeroko otwierając usta, usiłował bezskutecznie złapać oddech i pochwycić miecz. Jego mięśnie reagowały niesamowicie wolno, wił się tylko jak ślimak. Człowiek, który chciał, aby go oszczędzono, rzucił tylko jedno przerażone spojrzenie na miecz i zniknął w mroku.

Rand z najwyższym trudem obejrzał się przez ramię i zrozumiał, że jego szczęście przysło. Na brzegu burty balansował trollok, wilczy pysk, wpatrywał się w niego, w łapie dzierżył ułamany kawałek chwytaka, którym go wcześniej niemalże pozbawił przytomności. Rand próbował dosięgnąć miecza, ruszyć się, uciekać, ale jego kończyny, nieposłuszne rozkazom woli, gięły się i rozchodziły w różnych kierunkach. Targały nimi drgawki. Miał wrażenie, że jego piersi oplatają żelazne wstęgi, przed oczyma tańczyły gwiazdy. Jak oszalały rozglądał się za sposobem ucieczki. Czas zwolnił bieg. Gdy trollok podniósł ostro zakończony drąg, chcąc go nim przeszyć na wylot, Rand odniósł wrażenie, że stwór porusza się jak we śnie. Obserwował zamach grubego ramienia, czuł nie-

malże ułamany hak przesywający jego kręgosłup, czuł już rozdzierający go ból. Pomyślał, że zaraz wybuchną mu płuca.

„Umieram! Światłości, dopomóż mi, zaraz...!”

Ramię trolloka ruszyło do przodu i Rand zdołał krzyknąć:

— Nie!

Nagle łódź zakołysała się, z płataniny cieni wysunęła się z łoskotem belka bomu, który wśród chrzęstu łamanych kości zmiażdżył trollokowi pierś. Stwór wyleciał za burtę.

Przez chwilę Rand leżał nieruchomo i wpatrywał się w rozkołysany bom.

„To już zupełnie wyczerpało mój zapas szczęścia — pomyślał. — Po tym wszystkim już nic mnie takiego nie spotka.” Drżąc cały, wstał i podniósł miecz. Tym razem trzymał go oburącz, tak jak nauczył się od Lana, ale nie było już nikogo, przeciwko komu mógł go użyć. Przestrzeń dzieląca łódź od brzegu powiększała się szybko, okrzyki trolloków cichły pośród nocy.

Wsunął miecz do pochwy, osunął się pod burtę, a wtedy na pokład wkroczył mężczyzna ubrany w długi płaszcz do kolan i zaczął mu się przyglądać. Długie włosy spadały na potężne ramiona, a okrągłą twarz okalała broda wygolona nad górną wargą. Okrągłą, wcale jednak nie łagodną. Bom ponownie się zakołysał, a brodacz poświęcił mu odrobinę uwagi, ujmując drzewce w szeroką dłoń.

— Gelb! — zawył. — Fortuno! Gdzieś ty jest, Gelb? — Mówił tak szybko, że jego słowa zlewały się ze sobą. Rand ledwie go rozumiał. — Nie schowasz się przede mną na moim własnym statku! Sprowadzić mi tu Florana Gelba!

Pojawił się jakiś marynarz z lampą, a za nim dwóch następnych, którzy wepchnęli do kręgu światła człowieka o wąskiej twarzy. Rand rozpoznał w nim tego, który chciał mu podarować łódź. Mężczyzna toczył rozbieranym wzrokiem, starannie omijając zwalistą postać. To pewnie kapitan, pomyślał Rand. Na czole Gelba nabrzmiewał siniak — efekt spotkania z butem Randa.

— Czy ty przypadkiem nie miałeś chronić bomu, Gelb? — spytał kapitan z zadziwiającym spokojem, ale równie szybko jak przedtem.

Gelb wyglądał na szczerze zaskoczonego.

— Przecież uważałem. Mocno go przywiązałem. Przyznaję, że czasem jestem w tym czy tamtym zbyt powolny, kapitanie Domon ale tego dopatrzyłem.

— Więc jesteś powolny, tak? Ale nie za wolny do spania. Śpisz, kiedy powinieneś stać na warcie. Przez ciebie mogliśmy zostać wymordowani w pień.

— Nie, kapitanie, nie. To jego wina. — Gelb wskazał Randa. — Stałem na straży, tak jak być powinno, kiedy on się tu zakradł i uderzył mnie pałką.

Dotknął siniaka na czole, skrzywił się i spojrzał na Randa.

— Walczyłem z nim, ale potem pojawiły się trolloki. On jest z nimi sprzymierzony, kapitanie. To Sprzymierzeniec Ciemności. Sprzymierzony z trollokami.

— Sprzymierzony z moją babcią! — ryknął kapitan Domon. — Czy już cię nie ostrzegałem ostatnim razem, Gelb? Wsiadasz w Białym Moście! A teraz wynoś się, bo każę cię wysadzić już teraz.

Gelb umknął z kręgu światła, a Domon zaciskał i otwierał dłonie, patrząc nie widzącym wzrokiem.

— Te trolloki stale mnie ścigają. Dlaczego mnie nie zostawia w spokoju. Dlaczego?

Rand spojrział ponad burtą i zdziwił się, nie zobaczywszy już brzegu. Dwóch ludzi obsługiwało długie wiosło sterujące, które wystawało z rufy, prócz tego na burtach pracowało teraz sześć wioseł, nadając łodzi wygląd wodnego owada.

— Kapitanie — powiedział Rand — tam są moi przyjaciele. Jeśli pan zawróci i zabierze ich ze sobą, z pewnością pana nagrodzą.

Kapitan obrócił okrągłą twarz w stronę Randa, a kiedy w krąg światła weszli Thom oraz Mat, ich również obdarzył tym samym pozbawionym wyrazu spojrzeniem.

— Kapitanie — zaczął Thom kłaniając się — pozwól, że...

— Pójdziecie ze mną — przerwał kapitan Domon. — Chcę zobaczyć, co się przywlokło na mój pokład. Chodźcie. Fortuno, zejdź mi z oczu. I niech ktoś się zajmie tym przeklętym bomem!

Kiedy członkowie załogi pośpiesznie podeszli do bomu, ruszył w stronę rufy. Rand i jego dwaj towarzysze poszli za nim.

Kapitan zajmował na rufie schludną kabinę, do której schodziło się po krótkiej drabince. Miało się wrażenie, że wszystko jest tam na odpowiednim miejscu, łącznie z płaszczami i kaftanami wiszącymi na kołkach za drzwiami. Kabina rozciągała się na całą szerokość statku, w jedną ścianę wbudowano szeroką koję, w drugą masywny stół. Stało tam jedno tylko krzesło z wysokim oparciem i szerokimi poręczami. Kapitan usiadł na nim, nakazując pozostałym zająć miejsca na rozmaitych skrzyniach i ławach, które stanowiły resztę umeblowania. Mat chciał już rozsiąść się na koi, ale przeszkodziło mu głośnie chrząknięcie.

— No dobrze — powiedział kapitan, kiedy już wszyscy zajęli miejsca. — Nazywam się Bayle Domon, jestem kapitanem „Spraya”, znaczy się tej łodzi. A teraz chcę wiedzieć, kto wy jesteście i dlaczego nie powinienem was wyrzucić za burtę przez te kłopoty, których mi narobiliście.

Rand w dalszym ciągu miał trudności z rozumieniem szybkiej mowy Domona. Kiedy dotarło do niego znaczenie ostatniego zdania, zamrugał oczami ze zdziwienia.

„Wyrzucić nas za burtę?”

— Nie chcieliśmy ściągać na pana kłopotów — pośpiesznie powiedział Mat. — Podróżujemy do Caemlyn, a stamtąd...

— Tam, gdzie nas wiatry poniosą — gładko przerwał mu Thom. — Tak podróżują bardowie, niczym pył na wietrze. Jestem bardem, rozumiecie, zwę się Thom Merri-

lin. — Poruszył swym płaszczem tak, że zamigotały pstrokate łatki, jakby można było ich od razu nie dostrzec. — Tych dwóch prostaków ze wsi chce zostać moimi uczniami, choć jeszcze nie jestem pewien, czy ich wezmę.

Rand spojrzął na Mata, który wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Wszystko to znakomite, człowieku — powiedział spokojnie kapitan Domon — ale nie wyjaśnia nic, a nawet jeszcze mniej. Okalecz mnie, Fortuno, ale to miejsce nie leży przy żadnej drodze do Caemlyn, o niczym takim nie słyszałem.

— Bo to było tak — powiedział Thom i zaczął gładko opowiadać ich historię.

Zgodnie z własnymi słowami, Thom miał zostać uwięziony przez śnieg w górniczym miasteczku położonym pośród Gór Mgły, za Baerlon. Tam usłyszał legendy o skarbach z czasów wojen z trollokami w zapomnianych ruinach miasta, zwanego Aridhol. Tak się złożyło, że wcześniej poznał położenie Aridholu z mapy, którą wiele lat temu podarował mu umierający przyjaciel w Illian, któremu on kiedyś uratował życie. Gdy ów człowiek wydawał ostatnie tchnienie, powiedział, że ta mapa uczyni Thoma bogatym, w co Thom nigdy nie uwierzył, dopóki nie usłyszał tych legend. Kiedy śniegi stopniały, ruszył w drogę wraz z kilkoma towarzyszami, a także tymi dwoma uczniami, i po niezwykle trudnej wyprawie, znaleźli istotnie to zrujnowane miasto. Okazało się jednak, że ów skarb był własnością jednego z Władców Strachu i trolloki miały go zabrać z powrotem do Shayol Ghul. Thom snuł swoją opowieść w taki sposób, jakby wszystkie niebezpieczeństwa, jakim stawiali czoło — trolloki, Myrddraale, draghkary, Mordeth, Masha-dar — zagrażały przede wszystkim jemu, zaś on radził sobie z nimi z niezwykłą zręcznością. Z wielkim bohaterstwem, głównie Thoma, uciekali przed trollokami, choć ostatniej nocy zostali rozdzieleni i w rezultacie Thom oraz jego dwaj towarzysze byli zmuszeni szukać schronienia w ostatnim miejscu, jakie im zostało, czyli na gościnnej łodzi kapitana Domona.

Kiedy bard skończył opowiadać, Rand uświadomił sobie, że od dłuższego czasu słu-chał go z rozdziawionymi ustami, teraz zamknął je ze szczękiem. Mat natomiast wpa-trywał się w Thoma wybałuszonymi oczyma.

Kapitan Domon zabębnił palcami po poręczy krzesła.

— Mało kto uwierzyłby w taką opowieść. No ale rzeczywiście widziałem trolloki, czyż nie?

— To wszystko szczerą prawdą — powiedział bezczelnie Thom. — Sam przez to wszystko przeszedłem.

— A czy macie przypadkiem przy sobie jakieś skarby?

Thom rozłożył ręce zrezygnowanym gestem.

— Niestety, wszystko co udało się zabrać, zostało przy naszych koniach, które ucie-kiły wraz z pojawieniem się trolloków. Wszystko, co mi zostało to flet, harfa, kilka mie-dziaków i te parę łachów na grzbiecie. Ale wierz mi, kapitanie, nie chciałbyś uszczknąć

ani odrobiny tego skarbu. Został bowiem skażony przez Czarnego. Lepiej pozostawić go ruinom i trollokom.

— A więc nie macie pieniędzy, aby zapłacić za przewóz. Nie przewiozłbym nawet własnego brata, gdyby nie miał czym zapłacić, szczególnie gdyby sprowadził wraz z sobą trolloki, a do tego jeszcze poniszczył takielunek. Czemu nie miałbym wam kazać popłynąć tam, skąd przyjechaliście?

— Chyba nie wysadzilibyście nas na brzeg, skoro tam są trolloki? — powiedział Mat.

— Kto tu mówił o brzegu? — odparł sucho Domon.

Przyglądał im się przez chwilę, po czym rozprostował palce na blacie stołu.

— Bayle Domon to rozsądny człowiek. Nie wyrzuciłbym was za burtę, gdyby nie było innego wyjścia. A widzę, że jeden z twych uczniów ma miecz. Potrzebuję dobrego miecza i jako że uczciwy ze mnie człowiek, mogę was za niego przewieźć aż do Białego Mostu.

Thom rozdziawił usta, a Rand zaprotestował gwałtownym:

— Nie!

Nie po to dostał ten miecz od Tama, aby nim handlować. Przejechał dłonią po rękojeści, wyczuwając mosiężną czapkę, Dopóki miał przy sobie to ostrze, dopóty miał wrażenie, że razem z nim jest Tam.

Domon pokręcił głową.

— Cóż, nie to nie. Ale Bayle Domon nie przewiezie nikogo za darmo, nawet własnej matki.

Rand z niechęcią opróżnił kieszenie. Niewiele w nich znalazł, kilka miedziaków i srebrną monetę, którą dostał od Moiraine. Podał wszystko kapitanowi. Po chwili Mat westchnął i zrobił to samo. Thom rzucił wściekłe spojrzenie, ale ponieważ chwilę później już się uśmiechał, Rand nie był pewien, czy rzeczywiście tak było.

Kapitan Domon zgrabnie wyłowił dwie srebrne monety z dłoni chłopców i z mosiężnej skrzyni stojącej za jego krzesłem wyciągnął małą wagę oraz pobrzękującą sakiewkę. Po skrupulatnym zważeniu monet wrzucił je do sakiewki i wręczył każdemu z nich trochę mniejszych monet, srebrnych oraz miedzianych. Głównie jednak miedzianych.

— Tylko do Białego Mostu — powiedział, odnotowując starannie przyплыw gotówki w oprawionej skórą księdze.

— To drogo jak za przejazd do Białego Mostu — burknął Thom.

— Oraz zniszczenia mojej łodzi — wyjaśnił spokojnie kapitan. Schował wagę i sakiewkę z powrotem do skrzyni i zamknął ją z wyraźnym zadowoleniem. — Oraz za sprowadzenie na mnie trolloków, przez co muszę płynąć po nocy rzeką, w której jest pełno mielizn.

— A co z tamtymi? — zapytał Rand. — Czy ich też zabierzecie? Już pewnie dotarli do rzeki, albo niebawem to zrobią, i zobaczą latarnię na waszym maszcie.

Kapitan Domon uniósł brwi w zdziwieniu.

— Tobie się chyba wydaje, że my stoimy w miejscu, młody człowieku. Pokalecz mnie Fortuno, odpłynęliśmy już jakieś trzy albo cztery mile od tego miejsca, w którym wsiedliście na pokład. Pod wpływem trolloków moi ludzie nieźle machają wiosłami, znają trolloki o wiele lepiej, niż by chcieli, a jeszcze pomaga im w tym prąd rzeki. Ale to i tak nie robi różnicy. Nie przybiję dzisiejszej nocy do brzegu, choćby stała na nim moja babcia. Może nawet nie zrobię tego, dopóki nie dopłyniemy do Białego Mostu. Na dzisiaj mam trolloków powyżej uszu, nic na to nie poradzę.

Thom przysłuchiwał mu się z zainteresowaniem.

— Czy już przedtem napotykaliście trolloki? Może niedawno?

Domon zaważał się, popatrując na Thoma z ukosa, ale kiedy się odezwał, w jego głosie zabrzmiało nieomal obrzydzenie.

— Przeczekałem zimę w Saldaei, człowieku. Nie z własnego wyboru, ale rzeka wczesnie zamarzała, a lód roztopił się zbyt późno. Powiadają, że z najwyższych wież Maradonu widać Ugór, ale mnie to nie obchodzi. Byłem już tam wcześniej, zawsze gadano o napaściach trolloków na farmy i tym podobne. Tej zimy jednak co noc płonęły jakieś farmy. Czasami nawet całe wsie. Podchodziły do samych murów miasta. I nie dość tego, ludzie powiadali, że to Czarny mąci i że nadchodzą Dni Sądu. — Zadygotał i podrapał się po głowie, jakby zaswędziała go czaszka od tych myśli. — Nie mogę się doczekać, kiedy wrócę tam, gdzie ludzie uważają, że trolloki występują tylko w bajkach, takich, które moim zdaniem są kłamstwami podróżników.

Rand przestał słuchać. Zapatrzył się na przeciwną ścianę. Rozmyślał o Egwene i pozostałych. Nieomal wydawało mu się niesprawiedliwe, że on jest bezpieczny na „Sprayu”, a tamci gdzieś błądzą po nocy. Kabina kapitana przestała się wydawać tak wygodna jak przedtem.

Zdziwił się, gdy Thom nakazał mu wstać. Bard popchnął jego i Mata w stronę drabinki, przepraszając jednocześnie Domona za zachowanie tych prostaków ze wsi. Rand wszedł na górę bez słowa.

Kiedy już byli na pokładzie, Thom rozejrzał się szybko dookoła, aby się upewnić, czy nikt ich nie podsłuchuje, a potem warknął:

— Mogłem załatwić nam przejazd za kilka pieśni i opowieści, gdybyście tak szybko nie wyciągnęli tego srebra.

— Nie jestem taki pewien — odparł Mat. — Moim zdaniem mówił całkiem poważnie o wyrzuceniu nas za burtę.

Rand powoli podszedł do burty i oparł się o nią, aby spojrzeć na spowitą w mroku rzekę. Nie widział nawet brzegu wszędzie panowała ciemność. Po chwili poczuł dłoń Thoma na swoim ramieniu, ale nie poruszył się.

— Nie możesz nic zrobić, chłopcze. A poza tym, pewnie już są pod ochroną Moiraine i Lana. Czy może im być lepiej, skoro pilnuje ich tych dwoje?

— Próbowałem ją przekonać, aby nie jechała — powiedział Rand.

— Zrobiłeś, co mogłeś, chłopcze. Nikt nie mógłby zrobić więcej.

— Obiecałem jej, że się nią będę opiekował. Powinienem był się bardziej starać.

— W trzasku wioseł i szumie wiatru gwizdzącego w takielunku dała się słyszeć żałobna nuta. — Powinienem był się bardziej starać — wyszeptał.

POSŁUCHAJ WIATRU

Promienie słońca wschodzącego nad Arinelle dotarły do kotliny nie opodal brzegu rzeki, gdzie siedziała Nynaeve oparta plecami o pień młodego dębu i oddychała głęboko przez sen. Jej koń również spał, zwiesiwszy łeb i rozłożywszy nogi. Kiedy słońce padło na jego powieki, zwierzę otworzyło oczy i podniosło łeb, szarpiąc wodze, które Nynaeve owinęła sobie wokół nadgarstka. Wiedząca przebudziła się gwałtownie.

Przez chwilę wytrzeszczała oczy, zastanawiając się, gdzie jest, a potem potoczyła dookoła oszalałym wzrokiem, kiedy wróciła jej pamięć. Zobaczyła jednak tylko drzewa, swojego konia i dywan z suchych liści zalegający dno kotliny. Tam, gdzie utrzymywał się najgłębszy cień, zeszłoroczne grzyby tworzyły kręgi na powalonej kłodzie.

— Niech cię Światłość strzeże, kobieto — mruknęła, rozluźniając się — skoro choć jednej nocy nie potrafisz czuć. — Odwiązała wodze, wstała i rozmasowała sobie przegub dłoni: — Mogłaś się obudzić w garnku trolloków.

Gdy wspinała się do krawędzi kotliny, uschłe liście szeleściły pod jej stopami. Wyjrzała na zewnątrz. Od rzeki dzieliła ją rzadka kępa jesionów. Popękane pnie i nagie gałęzie sprawiały wrażenie zupełnie martwych. Za nimi widać było rozległe, toczące się niebieskozielone wody. Pustka. Zupełna pustka. Na drugim brzegu rosło kilka drzew wiecznie zielonych, wierzby i choinki, ale było ich prawdopodobnie jeszcze mniej niż tutaj. Jeśli jest tu gdzieś Moiraine albo któreś z młodych, to nieźle się ukryli. Z pewnością nawet nie próbowali przepłynąć się na drugi brzeg w takim miejscu. Mogli zresztą być zupełnie gdzie indziej, oddaleni o dziesięć mil w górę lub w dół rzeki.

„O ile w ogóle przeżyli ostatnią noc.”

Zła na siebie za takie myśli, zsunęła się z powrotem na dno kotliny. Nawet przeżycia Zimowej Nocy, ani bitwa przed Shadar Logoth, nie przygotowały jej na coś takiego, jak ten Mashadar. Była zła na całą tę szaleńczą galopadę, gorączkowe zastanawianie się, kto jeszcze przeżył, oczekiwanie, że stanie zaraz twarzą w twarz z Pomorem albo trollokiem. Słyszała dobiegające z oddali wycia i krzyki trolloków oraz przenikliwe dźwięki ich rogów, które przeszywały ją głębszym dreszczem niż jakikolwiek wiatr. Jednakże prócz tego pierwszego spotkania w ruinach widziała trolloki tylko raz, a wtedy nie

jej się nie stało. Tuż przed nią, jakby spod ziemi, wyrosło dziesięć potworów, które wyły, krzyczały i potrzasały chwytakami. Kiedy jednak zawróciła konia, umilkły i uniosły pyski, wciągając powietrze nozdrzami. Zbyt zaskoczona, by uciekać, patrzyła, jak odwracają się od niej i znikają w mroku. I to właśnie przeraziło ją najbardziej.

— Znają zapach tych, których chcą złapać — powiedziała do swojego konia — a to nie jestem ja. Aes Sedai ma chyba rację, niech ją Pasterz Nocy pochłonie.

Podjąwszy decyzję, ruszyła w dół rzeki, prowadząc za sobą konia. Szła wolno, czujnie obserwując otaczający ją las. To, że trolloki nie tknęły jej ostatniej nocy, nie oznaczało wcale, że ją puszcza, jeśli znowu się na nie natknie. Równie uważnie jak las, badała grunt, bo jeśli inni dotarli tutaj nocą, to powinna wypatrzeć ich ślady, niedostrzegalne z końskiego grzbietu. Może nawet znajdzie ich jeszcze na tym brzegu. Jeśli nie, to dotrze tą drogą do Białego Mostu, stamtąd do Caemlyn i potem, jeśli zajdzie taka potrzeba, pojedzie aż do Tar Valon.

Taka perspektywa nieomal ją przerażała. Przedtem nie wyjeżdżała z Pola Emonda dalej niż chłopcy. Taren Ferry wydało jej się obce, na Baerlon patrzyłaby z podziwem, gdyby tak usilnie nie chciała odszukać Egwene i pozostałych. Niemniej jednak, nie pozwalała, by to wpłynęło na zmianę jej decyzji. prędzej czy później znajdzie Egwene i chłopców. Albo wymusi na Aes Sedai wyjaśnienie tego, co mogło się z nimi stać. Przysięgła sobie, że nie może stać się inaczej.

W niektórych miejscach znajdowała mnóstwo śladów, ale mimo największych starań, nie była w stanie określić, czy ci, którzy je zrobili, byli szukającymi, ścigającymi czy ściganymi. W niektórych rozpoznawała odbicia podeszew butów, mogły należeć zarówno do ludzi, jak i do trolloków. Widziała też ślady kopyt, jakby kozłów lub wołów, to były z pewnością ślady trolloków. Ale ani razu nie znalazła śladu z całą pewnością zrobionego przez kogoś z tych, których szukała.

Pokonała już jakieś cztery mile, gdy wiatr przywiał zapach dymu. Wahala się tylko chwilę, po czym przywiązała konia do świerku, rosnącego w sporej odległości od rzeki, wśród gęstego zagajnika, gdzie zwierzę było znakomicie ukryte. Dym mógł oznaczać obecność trolloków, ale żeby to sprawdzić, musiała się o tym przekonać naocznie. Starła się nie myśleć, na co trollokom mogło być potrzebne ognisko.

Skulona przemykała od drzewa do drzewa, przeklinając w duchu spódnice, które bezustannie musiała przytrzymywać. Zwolniła kroku, gdy usłyszała tętent kopyt, a gdy wreszcie odważyła się wyrzeć zza pnia jesionu, na małej polance nieopodal rzeki zobaczyła Strażnika zsiadającego właśnie z czarnego wierzchowca. Na kłodzie obok niewielkiego ogniska siedziała Aes Sedai, woda w czajniku postawionym na ogniu zaczynała wrzeć: Wśród rzadkich chwastów pasła się biała klacz Moiraine. Nynaeve nie ruszyła się z miejsca.

— Wszyscy zniknęli — ponurym głosem obwieścił Strażnik. — Mniej więcej dwie godziny przed świtem czterech Półludzi wyruszyło na południe, nie zostawiając za sobą

wyraźnych śladów, natomiast trolloki zniknęły. Nie ma nawet ciał, a trolloki na ogół nie zabierają ze sobą swych ofiar. Chyba że są głodne.

Moiraine wrzuciła garść czegoś do gotującej wody i odstawiła czajnik z ognia.

— Można jeszcze mieć nadzieję, że zawrócili do Shadar Logoth i dały mu się pochłoniąć, ale to już by było aż za dobrze.

Nynaeve poczuła upojny aromat herbaty. Światłości, nie pozwól aby mi zaburczało w brzuchu.

— Nie ma żadnych wyraźnych śladów ani chłopców, ani reszty. To co widać, jest tak przemieszane, że trudno cokolwiek wyczytać. — Nynaeve uśmiechnęła się, porażka Strażnika usprawiedliwiła ją odrobinę. — Ale jedna rzecz jest istotna, Moiraine — mówił dalej Lan, marszcząc czoło. Gestem dłoni odmówił herbaty i zaczął krążyć niespokojnie wokół ognia w swym mieniącym się płaszczu, dłonią obejmował rękojeść miecza. — Obecność trolloków w Dwu Rzekach mogła mnie nie zdziwić, nawet jeśli było ich stu. Ale tutaj? Wczoraj musiało polować na nas z tysiąc.

— Mieliliśmy dużo szczęścia, że wszystkie nie zabrały się za przeszukiwanie Shadar Logoth. Myrddraale pewnie nie wierzyły, że moglibyśmy się tam ukryć, bały się jednak powrócić do Shayol Ghul bez sprawdzenia wszystkich możliwości. Czarny nigdy nie był wyrozumiałym panem.

— Nie zmieniaj tematu, wiesz, o czym mówię. Jeżeli te tysiące miały być wysłane do Dwu Rzek, to czemu tam nie dotarły? Jest tylko jedna odpowiedź. Zostały wysłane dopiero wtedy, gdy przeprawiliśmy się przez Taren, kiedy już było wiadomo, że jeden Myrddraal i setka trolloków nie wystarczą. Jak do tego doszło? Jak im się udało? Skoro tak szybko i niepostrzeżenie można wysłać tysiąc trolloków tak daleko na południe od Ugoru, nie wspominając już o tym, że zebrano ich w taki sam sposób, to pewnie można wyprawić ich dziesięć tysięcy do samego serca Saldei, Arafel albo Shienar. Całe Ziemie Graniczne mogą zostać opanowane w przeciągu roku.

— Cały świat zostanie opanowany w pięć lat, jeśli nie znajdziemy tych chłopców — powiedziała Moiraine. — To pytanie także mnie martwi, ale nie znam odpowiedzi. Drogi są zamknięte i od Czasów Szaleństwa nie było Aes Sedai tak potężnej, by mogła podróżować. Niechaj Światłość nie dopuści, by tak było, teraz lub kiedykolwiek, ale o ile któryś z Przeklętych się nie uwolnił, nadal nie istnieje nikt, kto potrafiłby tego dokonać. W każdym razie nie sądzę, że wszyscy Przekłęci razem byliby w stanie przenieść tysiąc trolloków. Zajmijmy się jednak problemami, które musimy rozwiązać tu i teraz, wszystko inne może zaczekać.

— Chłopcy.

Nie było to pytanie.

— Nie próżnowałam podczas twojej nieobecności. Jeden jest za rzeką, żyje. Jeśli chodzi o innych, to był niewyraźny ślad w dole rzeki, ale zanikł, kiedy go znalazłam. Więź została przerwana wiele godzin temu, zanim zaczęłam poszukiwania.

Nynaeve przycupnięta za drzewem zmarszczyła czoło w zdziwieniu.

Lan zatrzymał się.

— Myślisz, że Półludzie, którzy kierowali się na południe, dopadli ich?

— Być może. — Moiraine nalała sobie herbaty i ciągnęła dalej: — Ale nie dopuszczam możliwości, że mogli zginąć. Nie mogę. Nie ośmielam się. Ty wiesz, jakie to jest ważne. Muszę mieć tych młodych ludzi. Spodziewam się, że Shayol Ghul będzie na nich polować. Akceptuję sprzeciw Białej Wieży, a nawet Tronu Amyrlin. Zawsze są takie Aes Sedai, które zgodzą się na jedno tylko rozwiązanie. Ale... — Nagle odstawiła filiżankę, skrzywiła się i wyprostowała. — Kto za bardzo strzeże się wilka — powiedziała półgłosem — tego mysz ugryzie w łydkę. — Spojrzała prosto w stronę drzewa, za którym ukrywała się Nynaeve. — Pani al'Meara, możecie stamtąd wyjść, jeśli chcecie.

Nynaeve zerwała się na nogi i pośpiesznie otrzepała uschłe liście, które przyłgnęły do jej sukni. Lan odwrócił twarz w stronę drzewa w tym samym momencie, w którym Moiraine skierowała tam wzrok. Zanim wymówiła nazwisko Nynaeve, zdążył już wyjąć miecz, zaraz jednak go schował, gwałtowniej niżli było trzeba. Jego twarz pozostała równie beznamiętna jak zawsze, ale Nynaeve pomyślała, że w układzie jego ust widać smutek. Poczowała pewną satysfakcję, sam Strażnik nie wiedział, że ukrywała się za drzewem.

Zadowolenie trwało jednak tylko chwilę. Utkwiła wzrok w Moiraine i zdecydowanym krokiem ruszyła w jej stronę, Miała zamiar zachować lodowaty spokój, ale jej głos drżał gniewem:

— W co wyście wmieszali Egwene i chłopców? Do jakich to brudnych spisków Aes Sedai chcecie ich wykorzystać?

Aes Sedai podniosła filiżankę i spokojnie wypić łyk herbaty. Jednak gdy Nynaeve podeszła bliżej, Strażnik wysunął ramię, aby jej zagrozić drogę. Próbowwała odsunąć tę przeszkodę i zdziwiła się, gdy ramię Strażnika, silne jak konar dębu, ani drgnęło. Ona sama nie była słaba, ale jego mięśnie wydawały się zrobione z żelaza.

— Herbaty? — zaproponowała Moiraine.

— Nie, nie chcę żadnej herbaty. Nie napiłabym się twojej herbaty, nawet gdybym miała umrzeć z pragnienia. Nie wykorzystasz nikogo z Pola Emonda do swoich brudnych planów.

— Masz niewiele powodów, by tak mówić, Nynaeve. — Moiraine zdawała się być bardziej zainteresowana gorącym płynem niż tą rozmową. — Sama też mogłabyś jako tako władać Jedyną Mocą.

Nynaeve jeszcze raz pchnęła ramię Lana, które znowu nawet nie drgnęło, postanowiła je więc zignorować.

— A może na dodatek jestem trollokiem?

Uśmiech Moiraine był tak domyślny, że Nynaeve miała ochotę ją uderzyć.

— Czy sądzisz, że nie jestem niczego świadoma, kiedy mam do czynienia z kobietą, która potrafi dotykać i przenosić moc Prawdziwego Źródła? Ty wyczułaś ten potencjał w Egwene. Skąd, twoim zdaniem, wiedziałam, że stoisz za tym drzewem? Gdybym nie była zaprzątnięta czym innym, zauważyłabym od razu, że się tu skradasz. Z całą pewnością nie jesteś trollokiem, bo nie wyczuwam w tobie zła Czarnego. Cóż więc takiego wyczułam, Nynaeve al'Meara, Wiedząca z Pola Emonda, nieświadomie władająca Jedy-ną Mocą?

Nynaeve nie podobał się sposób, w jaki Lan na nią patrzył, choć nic się nie zmieniło w jego twarzy, wyraz oczu mówił, że jest zaskoczony i coś obmyśla. Egwene jest wyjątkowa, Nynaeve zawsze to wiedziała. Byłaby z niej znakomita Wiedząca.

„One współpracują ze sobą — pomyślała — próbują mnie pozbawić wpływu.”

— Nie mam zamiaru dłużej tego słuchać. Ty...

— Musisz tego wysłuchać — powiedziała stanowczo Moiraine. — Miałam pewne podejrzenia względem Pola Emonda, zanim cię spotkałam. Ludzie mi opowiadali, jaka zmartwiona była ich Wiedząca, gdy nie przewidziała srogiej zimy i późnej wiosny. Opowiedzieli mi, jak znakomicie przepowiada pogodę i zbiory. Opowiedzieli mi, jak wspa-niale leczy, że czasami uzdrawia rany, które miast okaleczyć na dobre, pozostawiają tyl-ko ślad w postaci niewielkiej blizny. Jedyne złe słowa, jakie słyszałam na twój temat, po-chodziły od tych, którzy uważali cię za zbyt młodą na branie na siebie takiej odpowie-dzialności, a to tylko umocniło moje podejrzenia. Tyle umiejętności u tak młodej ko-biety?

— Pani Barran była dobrą nauczycielką.

Próbowała spojrzeć na Lana, ale jego wzrok wciąż ją niepokoił, więc patrzyła ponad głową Aes Sedai na rzekę.

„Jak mieszkańcy wsi ośmielili się plotkować przed obcą!”

— Kto twierdził, że jestem za młoda? — zapytała ostrym tonem.

Moiraine uśmiechnęła się, nie dając zbić się z tropu.

— W odróżnieniu od większości kobiet, które twierdzą, że potrafią słuchać wiatru, ty czasami naprawdę potrafisz to robić. Choć oczywiście nie ma to nic wspólnego z wia-trem. To Powietrze i Woda. To nie jest coś, czego trzeba cię uczyć, z tym się urodziłaś, tak samo jak Egwene. Ale ty nauczyłaś się tym władać, a ona dopiero musi tego doko-nać. Dwie minuty po pierwszym zetknięciu się z tobą, wiedziałam. Czy pamiętasz, jak zapytałam, czy to ty jesteś Wiedzącą? Dlaczego to zrobiłam, jak sądzisz? Byłaś taka sama jak inne piękne młode kobiety, przygotowujące się do święta. Szukając młodej Wiedzą-cej, spodziewałam się mimo wszystko ujrzeć kogoś trochę starszego.

Nynaeve znakomicie pamiętała to spotkanie, kobietę, znacznie bardziej opanowaną od innych w Kręgu Kobiet, ubraną w najpiękniejszą suknię, jaką kiedykolwiek widziała i przemawiającą do niej jak do dziecka. Pamiętała, jak Moiraine nagle zamrugnęła, jakby czymś zdziwiona i ni stąd, ni zowąd, zapytała...

Zwilżyła językiem nagle wyschłe wargi. Obydwoje patrzyli na nią. Aes Sedai z sympatią, choć bardzo uważnie. Strażnik miał twarz równie nieodgadzioną jak kamień. Nynaeve potrząsnęła głową.

— Nie! To niemożliwe! Wiedziałybym o tym. Chcecie mnie oszukać, a to wam się nie uda.

— Oczywiście, że nic o tym nie wiesz — powiedziała łagodnie Moiraine. — Na jakiej podstawie mogłabyś to podejrzewać? Całe życie słyszałaś o słuchaniu wiatru. W każdym razie prędzej byś obwieściła całemu Polu Emonda, że jesteś Sprzymierzeńcem Ciemności, niż przyznała się, nawet przed sobą, w najgłębszych zakamarkach swego umysłu, że masz cokolwiek wspólnego z Jedyną Mocą albo tymi strasznymi Aes Sedai. — Na twarzy Moiraine przelotnie pojawił się błysk rozbawienia. — Ale mogę ci powiedzieć, jak to się wszystko zaczęło.

— Nie mam zamiaru wysłuchiwać dłużej twoich kłamstw — oświadczyła, ale Aes Sedai nie przestała mówić:

— Być może stało się to osiem lub dziesięć lat temu. Zdarzają się różnice wiekowe, ale zawsze dzieje się to w młodości. Było coś, czego pragnęłaś bardziej niż czegokolwiek na świecie, coś, czego potrzebowałaś. I dostałaś to. Opadła nagle gałąź, po której mogłaś wydostać się ze stawu, zamiast utonąć. Mógł też wyzdrowieć przyjaciel albo ulubiony zwierzak, choć wszyscy uważali, że umrze.

Nie czułaś wtedy nic wyjątkowego, ale tydzień lub dziesięć dni później zareagowałaś po raz pierwszy na dotknięcie prawdziwego Źródła. Być może nagle dostałaś gorączki i dreszczy, i musiałaś położyć się do łóżka, ale te objawy zniknęły po kilku godzinach. Żadna z tych ewentualnych reakcji nie trwa dłużej niż kilka godzin. Bóle głowy, odrętwienie i wyczerpanie mieszają się ze sobą i ulegająca im osoba postępuje tak, jak dyktuje jej przypadek albo beztroška. Potyka się, przy każdym ruchu czuje zawroty głowy, nie potrafi wymówić zdania, by nie poplątały się jej słowa. Bywają jeszcze inne objawy. Pamiętasz je? — Nynaeve siadła ciężko na ziemi, nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Pamiętała, ale przekornie pokręciła głową. To mógł być zbieg okoliczności. A zresztą Moiraine mogła zadać znacznie więcej pytań w Polu Emonda. Ta Aes Sedai zadała całe mnóstwo pytań. Tak na pewno było. Lan podał jej dłoń, ale nawet tego nie zauważyła.

— Pójdę jeszcze dalej — powiedziała Moiraine, gdy Nynaeve w dalszym ciągu milczała. — Pewnego razu wykorzystałaś Moc, aby uzdrowić Perrina albo Egwene. Więzy umacniają się. Wyczuwasz obecność kogoś, kogo uzdrowiłaś. W Baerlon przysłałaś prosto do „Jelenia i Lwa”, chociaż ta oberża wcale nie znajduje się w pobliżu którejkolwiek z bram, przez które mogłaś wejść do miasta. Kiedy dotarłaś do oberży, byli w niej tylko Perrin i Egwene. Perrin czy Egwene? Może obydwójce?

— Egwene — wymamrotała Nynaeve.

Zawsze uważała za normalne, że potrafi powiedzieć, kto do niej się zbliża, nawet jeśli go nie widziała, dopiero teraz zorientowała się, że za każdym razem dotyczyło to osób, które uzdrowiła w cudowny nieomal sposób. Zawsze wiedziała, kiedy dane lekarstwo na pewno okaże się skuteczne, zawsze czuła pewność, kiedy twierdziła, że plony nadzwyczaj się udadzą, albo że pora deszczów opóźni się lub nastąpi wcześniej. Uważała jednak, że tak być po prostu powinno. Nie wszystkie Wiedzące potrafiły słuchać wiatru, ale najlepszym to się udawało: Tak zawsze twierdziła pani Barran, mówiąc jednocześnie, że Nynaeve będzie jedną z tych najlepszych.

— Zachorowała na dunge. — Nynaeve nie podnosiła głowy i przemawiała z wzrokiem wbitym w ziemię. — Byłam nadal uczennicą pani Barran, ona kazała mi zająć się Egwene. Byłam młodziutką i nie miałam pojęcia, nad czym potrafi zapanować Wiedząca. Okropnie było obserwować przebieg tej choroby. Dziecko było całe złane potem, jęczało i miało drgawki, wydawało mi się, że popękają jej kości. Pani Barran powiedziała, że gorączka przejdzie za jeden lub dwa dni, ale ja uważałam, że stara się mnie oszczędzić. Myślałam, że Egwene umrze. Czasami pilnowałam jej, gdy jeszcze była raczkującym niemowlakiem, kiedy jej matka była zajęta, i zaczęłam płakać, bo miałam teraz patrzeć na jej śmierć. Gdy Pani Barran wróciła godzinę później, gorączka opadła. Była zdziwiona, ale więcej uwagi poświęciła mnie niż Egwene. Potem wydawało mi się, że jej zdaniem dałam coś dziecku i tylko boję się przyznać. Zawsze uważałam, że pani Barran usiłuje mnie pocieszyć, przekonać, że nie zrobiłam krzywdy Egwene. Tydzień później upadłam na podłogę w jej salonie, trzęsłam się i jednocześnie płonęłam z gorączki. Położyła mnie do łóżka, ale do kolacji wszystko minęło.

Skończywszy mówić, ukryła twarz w dłoniach.

„Aes Sedai wybrała dobry przykład — pomyślała. — A niech ją Światłość spali! Używać Mocy jak Aes Sedai. Obrzydliwa Aes Sedai, Sprzymierzeniec Ciemności!”

— Miałaś dużo szczęścia — powiedziała Moiraine, a Nynaeve wyprostowała się.

Lan odsunął się, jakby to, o czym rozmawiały, nie interesowało go. Zajęty czymś u siodła Mandarba, nawet nie patrzył w ich stronę.

— Szczęścia!

— Udało ci się zapanować nad Mocą, mimo iż dotykałaś Prawdziwego Źródła nieświadomie. W innym przypadku Moc by cię zabiła. Tak wedle wszelkiego prawdopodobieństwa może się stać z Egwene, jeśli nie dopuścisz, by pojechała do Tar Valon.

— Skoro ja nauczyłam się ją kontrolować... — Nynaeve z trudem przełknęła ślinę. Zabrzmiało to jak przyznanie się, że potrafi robić to, o czym mówiła Aes Sedai. — Skoro ja nauczyłam się ją kontrolować, to i jej się uda. Ona nie musi jechać do Tar Valon i mieszać się do waszych intryg.

Moiraine powoli pokręciła głową.

— Aes Sedai szukają dziewcząt, które spontanicznie potrafią dotykać Prawdziwego

Źródła, tak samo jak szukamy mężczyzn, którzy to potrafią. Nie wynika to z pragnienia powiększania naszych szeregów, a przynajmniej nie tylko tym się kierujemy, ani też nie ze strachu, że te kobiety źle wykorzystają Moc. Zwykła kontrola nad Mocą, jaką mogą osiągnąć, jeśli Światłość im przyświeca, rzadko przyczynia się do powstania większych szkód, głównie dlatego, że prawdziwe dotykane Źródła jest dla nich nieosiągalne bez nauczyciela i przydarza się zupełnie przypadkowo. I naturalnie nie ulegają temu szaleństwu, które powoduje, że mężczyźni czynią zło albo postępują bezrozumnie. Pragniemy ratować im życie. Życie tych, którym nigdy nie udaje się osiągnąć żadnej kontroli.

— Taka gorączka i dreszcze, jakie ja miałam, nie mogły mnie zabić — upierała się Nynaeve. — To trwało tylko trzy czy cztery godziny. Przydarzyły mi się również inne rzeczy i też trudno byłoby od tego umrzeć. A zresztą to wszystko ustało po kilku miesiącach. I co na to powiesz?

— To były tylko zwykłe reakcje — powiedziała cierpliwie Moiraine. — Za każdym razem taka reakcja zbliża do rzeczywistego dotknięcia Źródła, aż w końcu prawie że zbiegają się ze sobą. Potem występują już reakcje wyłącznie nie zauważalne, ale to jest tak, jak z tykaniem zegara. Rok. Dwa lata. Znam jedną kobietę, która przeżyła tak pięć lat. Na każde cztery kobiety, które mają takie wrodzone zdolności, jak ty i Egwene, trzy umierają, jeśli ich nie znajdziemy i nie wyszkolimy. Nie jest to taka straszna śmierć, jakiej ulegają mężczyźni, ale nie jest też piękna, o ile śmierć można nazwać piękną. Konwulsje. Krzyk. Trwa to wiele dni, a kiedy już się zacznie, nie mogą tego zahamować nawet wszystkie Aes Sedai z Tar Valon.

— Kłamiesz. Zadawałaś w Polu Emonda pytania. Dowiedziałaś się o gorączce Egwene, o mojej gorączce i dreszczach. Całą resztę zmyśliłaś.

— Wiesz, że tak nie jest — powiedziała łagodnie Moiraine. Nynaeve skinęła głową z niechęcią, większą niżli odczuwała kiedykolwiek w życiu. Był to ostatni wysiłek zaprzeczenia temu, co było oczywiste i nie był zbyt przekonujący, tak jakby w istocie wszystko nie było aż tak nieprzyjemne. Pierwsza uczennica pani Barran umarła właśnie w sposób opisany przez Aes Sedai, kiedy Nynaeve jeszcze się bawiła lalkami i to samo przydarzyło się młodej kobiecie w Deven Ride zaledwie kilka lat temu. Ona też była uczennicą Wiedzącej, też potrafiła słuchać wiatru.

— Moim zdaniem dysponujesz wielkim potencjałem — ciągnęła Moiraine. — Po wyszkoleniu możesz się stać jeszcze potężniejsza od Egwene, a sądzę, że ona jest jedną z najpotężniejszych Aes Sedai, jakie żyły w ciągu ostatnich stuleci.

Nynaeve odsunęła się od Aes Sedai, jakby to była zmija.

— Nie! Nie mam nic wspólnego z...

„Z czym? Ja?”

Skuliła się, a jej głos przepełniło wahanie.

— Bardzo cię proszę, abyś nikomu o tym nie mówiła. Dobrze? — Słowa nieomal więzły jej w gardle. Wolałaby chyba zobaczyć teraz trolloki, niż prosić o cokolwiek tę

kobietę. Jednak gdy Moiraine skinieniem głowy wyraziła zgodę, wróciła jej odrobina zwykłej hardości. — Ale nadal nie rozumiem, czego chcecie od Randa, Mata i Perrina.

— Czarny chce ich dopaść — odparła Moiraine. — A jeśli Czarny czegoś chce, to ja się temu sprzeciwiam. Czy może być prostszy albo lepszy powód? — Dopija swoją herbatę, obserwując Nynaeve z nad brzegu filizanki. — Lan, musimy ruszać. Chyba na południe. Obawiam się, że Wiedząca nie zechce nam towarzyszyć.

Nynaeve zacisnęła usta słysząc, jak Aes Sedai wypowiada słowo „Wiedząca”. Zabrzmiało tak, jakby ona odwracała się od ważnych spraw na rzecz czegoś mało istotnego.

„Ona nie chce mnie zabrać. Próbuje mnie odstraszyć, żebym wróciła do domu i pozostawiła jej chłopców oraz Egwene.”

— Ależ oczywiście, że pojedę z wami. Nie możecie mnie przed tym powstrzymać.

— Nikt cię nie próbuje powstrzymać — powiedział Lan, który właśnie wrócił do nich. Wylał zawartość czajnika do ogniska i rozgrzebał popioły patykiem. — Część Wzoru? — spytał Moiraine.

— Być może — odparła z zadumą w głosie. — Powinam była porozmawiać z Min.

— Zrozum, Nynaeve... cieszymy się, że jedziesz z nami. — Lan wypowiedział jej imię z wahaniem, jakby chciał do niego dodać „Sedai”.

Nynaeve zjeżyła się, uważając to za drwinę, nie spodobał jej się nadto sposób, w jaki rozmawiali o różnych sprawach w jej obecności — o rzeczach, o których nie miała pojęcia nie racząc jej nic wyjaśnić. Nie powinna jednak dać im satysfakcji, zadając pytania.

Strażnik rozpoczął przygotowania do odjazdu, jego oszczędne ruchy były tak pewne i szybkie, że wszystko trwało tylko chwilę, sakwy, koce i pozostały dobytek zostały przywiązane do siodła Mandarba i Aldieba.

— Przeprowadzę twojego konia — powiedział do Nynaeve, skończywszy wiązać ostatni rzemień.

Ruszył w górę rzeki, a ona pozwoliła sobie na zjadliwy uśmiezek. Sądząc po tym, jak się do tego zabierał, miał zamiar znaleźć konia bez jej pomocy. Przekona się jednak, że nie zostawiła po sobie prawie żadnych śladów. To będzie przyjemność, kiedy wróci z pustymi rękami.

— Dlaczego na południe? — spytała Moiraine. — Słyszałam, jak mówiłaś, że jeden z chłopców jest na drugim brzegu. Skąd to wiesz?

— Każdemu z chłopców dałam monetę. To stworzyło między nami swoistą więź. Dopóki żyją i mają te monety przy sobie, będę potrafiła ich odnaleźć. — Oczy Nynaeve zwróciły się w kierunku, w którym poszedł Strażnik, a Moiraine potrząsnęła głową. — Nie w taki sposób. Dzięki temu wiem tylko, czy żyją i mogę ich znaleźć, gdyby nas oddzielono. Roztropne w naszej sytuacji, nie uważasz?

— Nie podoba mi się, że cokolwiek łączy cię z ludźmi z Pola Emonda — twierdziła uparcie Nynaeve. — Ale jeśli to ma nam pomóc w ich odnalezieniu...

— Na pewno pomoże. Gdybym mogła, sprowadziłabym najpierw tego chłopca, który jest na drugim brzegu. — Przez chwilę w głosie Aes Sedai brzmiało przygnębienie. — Dzieli nas odległość zaledwie kilku mil. Ale nie mogę sobie pozwolić na stratę czasu. Powinien bezpiecznie dostać się do Białego Mostu, skoro już nie gonią go trolloki. Ci dwaj, którzy kierują się w dół rzeki, mogą mnie bardziej potrzebować. Stracili swoje monety i Myrddraale albo są na ich tropie, albo będą starali się przeszkodzić nam wszystkim w dotarciu do Białego Mostu. — Westchnęła. — Najpierw muszę się zająć tym, co najważniejsze.

— Myrddraale mogli ich zabić — powiedziała Nynaeve. Moiraine potrząsnęła lekko głową, zaprzeczając tej sugestii, jakby była zbyt trywialna, aby ją w ogóle rozpatrywać. Nynaeve zacisnęła usta. — No a gdzie jest Egwene? Nawet o niej nie wspomniałaś.

— Nie wiem — przyznała Moiraine — ale mam nadzieję, że nic się jej nie stało.

— Nie wiesz? Masz nadzieję? Twierdziłaś, że zabierasz ją do Tar Valon, aby uratować jej życie, a tymczasem ona już może nie żyje!

— Mogłabym jej teraz szukać i przez to dać więcej czasu Myrddraalom, zanim przyjdę z pomocą tym dwóm chłopcom, którzy podążają na południe. To ich chce dopaść Czarny, nie Egwene. Nie będą się interesowali dziewczyną dopóty, dopóki nie zrealizują głównego celu polowania.

Nynaeve przypomniała sobie własne spotkanie z trollokami, ale nie chciała dostrzec sensu w tym, co mówiła Moiraine.

— Więc jedyne, co możesz mi ofiarować, to przekonanie, że ona żyje, jeśli miała szczęście. Żyje, prawdopodobnie jest sama, może nawet ranna, o wiele dni oddalona od najbliższej wsi, od możliwości uzyskania jakiejś pomocy. I ty masz zamiar ją tak zostawić.

— Równie dobrze może być z tym chłopcem za rzeką. Albo razem z pozostałymi dwoma właśnie podąża do Białego Mostu. W każdym razie trolloki jej nie zagrażają, a ona jest silna, inteligentna i zdolna samodzielnie znaleźć drogę do Białego Mostu, jeśli zajdzie taka potrzeba. Czy wolisz obstawać przy możliwości, że to ona potrzebuje pomocy, czy też chcesz pomóc tym, którzy tego naprawdę potrzebują? Czy chcesz, żebym jej szukała i pozwoliła chłopcom paść łupem Myrddraali, którzy z pewnością ich ścigają? Tak samo jak pragnę bezpieczeństwa Egwene, Nynaeve, walczę z Czarnym i to wyznacza moją drogę.

Moiraine ani razu nie straciła panowania nad sobą, kiedy wykladała te potworne rozwiązania. Nynaeve miała ochotę krzyknąć. Tłumiąc łzy odwróciła twarz, aby Aes Sedai nie zauważyła, że płacze.

„Światłości, Wiedząca powinna opiekować się wszystkimi ludźmi ze swej wioski. Dlaczego muszę dokonywać takiego wyboru?”

— Oto Lan — powiedziała Moiraine, zarzucając płaszcz na ramiona.

Kiedy Strażnik wyprowadził jej konia zza drzew, dla Nynaeve był to już tylko łagodny cios. Niemniej jednak zacisnęła wargi, gdy podał jej wodze. Gdyby zamiast tego nieznośnego, kamiennego spokoju zobaczyła choć ślad zainteresowania na jego twarzy, jej nastrój polepszyłby się odrobinę. W jego oczach rozbłysło wyraźne zdumienie, kiedy zobaczył jej twarz, więc odwróciła się, aby obetrzeć łzy.

„Jak on śmie naigrawać się z moich łez?”

— Zbierasz się do drogi, Wiedząca? — spytała chłodno Moiraine.

Ostatni raz popatrzyła uważnie w głąb lasu, zastanawiając się, czy jest tam gdzieś Egwene, zanim ze smutkiem dosiadła konia... Lan i Moiraine już to zrobili. Ruszyli na południe, Sztynno wyprostowana pojechała za nimi, nie oglądając się za siebie, nie spuszczała natomiast wzroku z Moiraine. Aes Sedai jest pewna swej mocy i planów, myślała, ale jeśli nie znajdą Egwene i wszystkich trzech chłopców, żywych i całych, cała moc już nie wystarczy, aby ją ochronić. Nawet cała Moc.

„Umiem ją wykorzystać, kobieto! Sama mi to powiedziałaś. Potrafię jej użyć przeciwko tobie!”

WYBRANA ŚCIEŻKA

Ukryty w małej kępie drzew, nakryty cedrowymi gałęziami narwanymi w ciemności, Perrin spał długo jeszcze po wschodzie słońca. Jednakże pomimo śmiertelnego wyczerpania poczuł w końcu igły cedru kłujące go przez nasiąkłe wodą ubranie. Wciąż pogrążony we śnie o Polu Emonda i pracy w kuźni pana Luhhana, otworzył oczy, nie bardzo wiedząc, gdzie teraz się znajduje. Leżał pod słodko pachnącymi gałęziami oplatającymi mu twarz i czuł przesączające się przez nie promienie słońca.

Kiedy usiadł zdziwiony, większość gałęzi opadła z niego, ale część zwisała dalej z ramion i karku, przez co sam wyglądał trochę jak drzewo. Wizja Pola Emonda zbladła, gdy wróciły mu najświeższe wspomnienia, tak żywe, że przez chwilę ostatnia noc wydawała mu się znacznie bardziej realna niż całe obecne otoczenie.

Dyszząc i miotając się, wyciągnął topór ze stosu gałęzi. Ścisnął go oburącz i wstrzymując oddech, rozejrzał się ostrożnie dookoła. Nie zauważył żadnego ruchu. Poranne powietrze było chłodne i nieruchome. Jeżeli na wschodnim brzegu Arinelle były jakieś trolloki, to nie poruszały się, przynajmniej nie w pobliżu. Wziąwszy głęboki oddech dla uspokojenia nerwów, opuścił topór i czekał, aż serce przestanie bić jak oszalałe.

Mała kępa iglastych drzew była pierwszym schronieniem, jakie znalazł w nocy. Jednakże gdy stanął wyprostowany, okazała się zbyt rzadka, aby ochronić przed poszukującym go wzrokiem. Wyplątał gałązki z ramion i włosów, zsunął z siebie resztę kłującego okrycia i wypełzł na czworakach na skraj zagajnika. Leżał tam chwilę, obserwując brzeg i wciąż wydłubując ostre igły z ciała.

Przenikliwy wiatr wiejący nocą, zmienił się teraz w spokojną bryzę, która ledwie mąciła powierzchnię, toczącej leniwie swe wody, rzeki. Była z całą pewnością zbyt szeroka i głęboka, aby Pomory mogły się przez nią przeprawić. Na jej drugim brzegu, gdziekolwiek nie spojrział, widział litą ścianę drzew. Z całą pewnością tam również nie dostrzegł żadnego ruchu.

Perrin nie umiał określić, jak się czuje w obecnej sytuacji. Bez Pomorów i trolloków mógł sobie znakomicie poradzić, nawet na drugim brzegu rzeki, ale cała lista innych zmartwień znikłaby dopiero wraz z obecnością Aes Sedai, Strażnika albo jeszcze lepiej, któregoś z przyjaciół.

„Gdyby życzenia miały skrzydła, owce potrafiłyby fruwać.” Tak zwykł mawiać pan Luhhan.

Jego koń zniknął bez śladu, odkąd przelecieli przez urwisko — miał nadzieję, że zwierzęciu udało się bezpiecznie wydostać z wody — ale Perrin i tak wolał chodzić pieszo, niż jeździć konno, a jego buty były solidne i dobrze podzelowane. Nie miał nic do jedzenia, ale przecież miał jeszcze swą procę i wnyki, więc pewnie uda mu się upolować jakiegoś królika. Przybory do rozpalenia ognia stracił wraz z sakwami, ale przy odrobini wysiłku rozpali go za pomocą drewna cedrowego, hubki i krzesiwa.

Zadygotał, gdy bryza owiała kryjówkę. Jego płaszcz spłynął wraz z rzeką, a kaftan i reszta ubrania jeszcze nie wyschły. W nocy był zbyt zmęczony, by czuć zimno i wilgoć, teraz jednak doskwierał mu każdy powiew chłodu. Z tego samego powodu postanowił nie rozwieszać ubrania na gałęzi, by wyschło. Ten dzień nie był może mroźny, ale też nie można go było nazwać ciepłym.

Problemem jest czas, pomyślał z westchnieniem. Wysuszenie ubrania potrwa chwilę. Upolowanie królika i rozpalenie ognia, aby go nad nim upiec, też potrwa chwilę. Burczało mu w brzuchu, ale postarał się zapomnieć o jedzeniu. Ten czas należy wykorzystać na najbardziej pilne przedsięwzięcia. Nie można robić jednocześnie wielu rzeczy, tylko jedną i to tę najważniejszą. Tak zawsze postępował.

Jego wzrok pobiegł w dół wartkiego nurtu Arinelle. Był lepszym pływakiem niż Egwene. Jeżeli udało się jej przepłynąć... Nie, nie ma żadnego jeżeli. Miejsce, w którym dopłynęła na drugi brzeg, musi być gdzieś w dole rzeki. Zabębnił palcami po ziemi, rozważając wszystko i przemyślując.

Podjąwszy decyzję, nie marnował czasu. Szybko schwycił topór i ruszył w dół rzeki.

Inaczej niż na zachodnim brzegu Arinelle, las był tu rzadki. Kępy drzew porastały z rzadka tereny, które wiosną zmienia w łąki. Niektóre należało nawet nazwać zagajnikami, oprócz drzew iglastych, można było dostrzec nagie jesiony, olchy i gumowce. Nędzna to była osłona, ale zawsze.

Skulony przemykał od jednej kępy drzew do drugiej, przypadając do ziemi, gdy chciał zbadać wzrokiem obydwie brzegi rzeki. Strażnik twierdził, że rzeka będzie stanowiła przeszkodę dla Pomorów i trolloków, ale czy na pewno miał rację? Jeżeli go zauważą, to niewykluczone, że pokonają swą niechęć do głębokiej wody. Uważnie więc obserwował zza drzew okolicę i pochylony biegł szybko od jednej kryjówki do drugiej.

Pokonał w ten sposób kilka mil, gdy nagle, w połowie drogi do nieźle wyglądającej kępy wierzb, mruknął i stanął jak wryty, z wzrokiem wbitym w ziemię. Brązowa mierzwa zeszłorocznej trawy była upstrzona łatami nagiej ziemi, pośrodku jednej z nich zauważył wyraźny odcisk kopyta. Na jego twarzy powoli wykwitał uśmiech. Niektóre trolloki miały kopyta, ale wątpił, czy którekolwiek były podkute, a szczególnie podkowami z podwójną poprzeczką, taką jaką wzmacniał swe wyroby pan Luhhan.

Zapominając o oczach, które mogły go obserwować z drugiego brzegu, zaczął pośpiesznie szukać następnych śladów. Na wygniecionym dywanie z martwej trawy odciski podków nie były zbyt wyraźne, wyłapywał je jednak swym ostrym wzrokiem. Skąpy ślad powiódł go od rzeki do gęstej kępy, pełnej drzew skórzanych i cedrów, które tworzyły mur osłaniający przed wiatrem i oczyma obserwatorów. Pośrodku tego wszystkiego wznosiły się rozłożyste gałęzie samotnego pietrasznika.

Nie przestając się uśmiechać, przedarł się między splecionymi gałęziami, nie dbając o to, że robi sporo hałasu. Nagle wszedł na małą polankę i przystanął. Obok małego ogniska kuliła się Egwene ze spochmurniałą twarzą. Wsparta o bok Beli, ścisnęła w dłoni gruby kij, niczym pałkę.

— Chyba powinienem był zawołać — powiedział zmieszany.

Odrzuciła swój kij i podbiegła do niego z wyciągniętymi ramionami.

— Już myślałam, że utonąłeś. Jeszcze jesteś mokry. Chodź, usiądź przy ogniu i ogrzej się. Straciłeś swojego konia, prawda?

Pozwolił się doprowadzić do ognia i rozpostarł nad nim dłonie, wdzięczny za ciepło. Egwene wyciągnęła ze swojej sakwy przy siodle pakunek owinięty w natłuszczany papier i dała mu trochę chleba i sera. Zawiniątko było opakowane tak szczelnie, że nawet po zanurzeniu w wodzie, jedzenie było nadal suche.

„Ty się o nią martwiłeś, a ona poradziła sobie lepiej.”

— Bela przewiozła mnie przez rzekę — powiedziała Egwene, poklepując wynędzniałą klacz. — Uciekała przed trollokami i przyholowała mnie tu za sobą. — Urwała. — Nikogo poza tym nie widziałam, Perrin.

Usłyszał w jej głosie pytanie. Z żalem obserwował, jak Egwene chowa pakunek i z nim coś powiedział, zlizął z palców ostatnie okruchy jedzenia.

— Od ostatniej nocy nie spotkałem nikogo prócz ciebie. Nie widziałem też Pomorów ani trolloków.

— Randowi nie mogło się nic stać — powiedziała Egwene i pośpiesznie dodała: — Nikomu nie mogło się nic stać. Na pewno teraz nas szukają. Mogą nas znaleźć w każdej chwili. Moiraine to w końcu Aes Sedai.

— Stale o tym pamiętam — powiedział Perrin. — Niech szczenę, ale wolałbym zapomnieć.

— Nie narzekałeś, kiedy uchroniła nas przed trollokami — stwierdziła oziębłym tonem Egwene.

— Wolałbym po prostu radzić sobie bez niej. — Wzruszył niespokojnie ramionami pod jej uporczywym spojrzeniem. — Ale to chyba niemożliwe. Zastanawiałem się właśnie... — Uniosła brwi, ale ludzie zawsze się dziwili, kiedy mówił, że ma jakiś pomysł. Nawet gdy jego pomysły były równie dobre, oni zawsze pamiętali, z jakim wysiłkiem do nich dochodził. — Możemy poczekać aż Lan i Moiraine nas znajdą — dorzucił po chwili.

— Oczywiście — wtrąciła Egwene. — Moiraine Sedai powiedziała, że będzie nas szukać, jeśli się rozdzielimy.

Pozwolił jej dokończyć, po czym ciągnął dalej.

— Albo przedtem nas znajdą trolloki. A Moiraine mogła zginąć. Mogło się tak stać z wszystkimi. Nie, Egwene, przykro mi, ale tak może być. Mam nadzieję, że nikomu nic się nie stało. Mam nadzieję, że podejdą za chwilę do tego ogniska. Ale nadzieja przypomina kawałek sznurka. Kiedy toniesz, nie wystarczy, aby się wyratować.

Egwene zamknęła usta i wpatrywała się w niego. Wreszcie powiedziała:

— Chcesz pójść w dół rzeki, do Białego Mostu? Jeśli Moiraine Sedai nas tu nie znajdzie, tam będzie na nas czekała.

— Wydaje mi się — powiedział wolno — że powinniśmy iść do Białego Mostu. Ale Pomory też o tym wiedzą. Tam będą nas szukali i tym razem Aes Sedai oraz Strażnik nas nie ochronią.

— Masz chyba zamiar zaproponować, abyśmy gdzieś uciekli, tak jak chciał Mat? Ukryć się tam, gdzie Pomory i trolloki nas nie znajdą? I Moiraine Sedai również?

— Nie myśl, że się nad tym nie zastanawiałem — odparł cicho. — Ale za każdym razem, kiedy myślimy, że już jesteśmy wolni, Pomory i trolloki nas znajdują. Nie wiem, czy jest gdziekolwiek takie miejsce, w którym moglibyśmy się ukryć. Nie podoba mi się to, ale potrzebujemy Moiraine.

— To już nic nie rozumiem, Perrin. Dokąd pójdziemy?

Zamrugął ze zdziwienia. Ona czekała na jego odpowiedź. Czekala aż on jej powie, co ma robić. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że się zgodzi, by nią pokierował. Egwene nigdy nie lubiła postępować zgodnie z cudzymi wskazówkami i nigdy nie pozwalała, aby ktoś jej coś nakazywał. Może tylko słuchała czasami Wiedzącej, ale nawet jej potrafiła się sprzeciwić, Otrzeptał brud ze swojego ubrania i chrząknął.

— Tu jesteśmy teraz, a tu jest Biały Most. — Dwukrotnie zaznaczył punkt na ziemi. — A, zatem Caemlyn powinno być gdzieś tutaj. — Zrobił z boku trzeci znak.

Urwał, wpatrując się w trzy kropki na ziemi. Cały plan opierał się na tym, co zapamiętał ze starej mapy ojca Egwene. Pan al'Vere twierdził, że nie jest zbyt dokładna, a poza tym nigdy tyle nad nią nie ślęczał, co Rand i Mat. Ale Egwene nic nie powiedziała. Kiedy podniósł wzrok, nadal wpatrywała się w niego z rękoma splecionymi na kolanach.

— Caemlyn?

Wydawała się zaskoczona.

— Caemlyn. — Wykreślił linię łączącą dwie kropki. — Dotrzemy tam prostą drogą i na dodatek oddalimy się od rzeki. Nikt nie będzie się tego spodziewał. Zaczekamy na nich w Caemlyn.

Otrzeptał ręce z ziemi i czekał. Uważał, że to dobry plan, ale spodziewał się teraz jej sprzeciwu. Spodziewał się, że Egwene go zaatakuje — zawsze znęcała się nad nim z jakiegoś powodu — ale to traktował normalnie.

Ku jego zdziwieniu skinęła głową.

— Tam muszą być jakieś wsie. Będziemy mogli pytać o drogę.

— Martwi mnie jedno — powiedział Perrin — co zrobimy, jeśli Aes Sedai nas tam nie znajdzie. Światłości, kto kiedykolwiek by pomyślał, że będę się czymś takim przejmował? Co zrobimy, jeśli ona nie dotrze do Caemlyn? Może myśli, że nie żyjemy? Może zabierze Randa i Mata prosto do Tar Valon?

— Moiraine Sedai powiedziała, że potrafi zawsze dowiedzieć się, gdzie jesteśmy — zaprzeczyła mu stanowczo Egwene. Jeśli nie znajdzie nas tutaj, to będzie szukała w Caemlyn.

Perrin przytaknął powoli.

— Może masz rację, ale jeśli ona nie pojawi się w Caemlyn w ciągu kilku dni, to pojedziemy aż do Tar Valon i przedstawimy całą sprawę przed Tronem Amyrlin.

Zrobił głęboki wdech.

„Dwa tygodnie temu nawet nie widziałeś żadnej Aes Sedai, a teraz gadasz o Tronie Amyrlin. Światłości!”

— Lan twierdził, że do Caemlyn wiedzie dobra droga.

Spojrzał na zawiniątko z jedzeniem, leżące obok Egwene i chrząknął z zakłopotaniem.

— Czy mógłbym dostać jeszcze trochę chleba i sera?

— To, co mamy, będzie musiało starczyć na długo — oświadczyła. — Chyba że ty potrafisz lepiej zastawiać sidła niż ja. Przynajmniej poradziłam sobie z rozpaleniem ognia.

Roześmiała się serdecznie, jakby powiedziała dowcip i schowała pakunek do sakwy.

Najwyraźniej istniały jakieś granice podporządkowania się, jakie była skłonna zaakceptować. Perrinowi zaburczało w brzuchu.

— W takim razie — powiedział wstając — możemy zaraz ruszać.

— Ale ty jesteś jeszcze mokry — zaprotestowała.

— Wyschnę po drodze — powiedział stanowczo i zaczął zasypywać ognisko ziemią. Jeśli miał być przywódcą, to czas zacząć przewodzić.

Zrywał się wiatr od rzeki.

WILCZY BRAT

Perrin wiedział od samego początku, że wyprawa do Caemlyn będzie co najmniej trudna, już choćby z powodu uporu Egwene, która chciała, aby na zmianę jechali na koniu. Nie wiedzą, jak to daleko, twierdziła, ale na pewno za daleko, aby ona tylko miała jechać konno. Przy tych słowach jej szczęki obrysowały twarde kontury, wbite w niego, szeroko otwarte oczy nawet nie mrugnęły.

— Jestem za ciężki, aby dosiadać Beli — powiedział. — Przywykłem do maszerowania piechotą i wolę to od jazdy konnej.

— A ja to niby nie przywykłam do chodzenia piechotą? — spytała ostro Egwene.

— To nie dlatego, że...

— Niby tylko ja mam się poobcierać od siodła, czy tak? A kiedy już przejdiesz tyle, że będą ci odpadać nogi, sądzisz, że ja się tobą zajmę.

— Niech już tak będzie — wykrztusił, gdyż najwyraźniej gotowa była klócić się bez końca. — Ale ty pojedziesz jako pierwsza.

Jej twarz przybrała jeszcze bardziej uparty wyraz, postanowił jednak nie dopuścić, by jeszcze coś powiedziała.

— Jeśli sama nie wsiądziesz na siodło, to ja cię na nie wsadzę.

Spojrzała na niego zaskoczona, a na jej ustach pojawił się lekki uśmiech.

— W takim razie...

Brzmiało to tak, jakby zaraz miała się roześmiać w głos, ale posłusznie dosiadła klaczy.

Pomrukiwał coś do siebie, gdy opuszczali brzeg rzeki. Przywódcy w opowieściach nigdy nie musieli się borykać z takimi rzeczami.

Egwene stale upierała się, że ma się z nią zamienić i choć próbował tego uniknąć, zmuszała go, by dosiadł konia. Od pracy w kuźni nie jest się szczupłym, a Bela nie była duża w porównaniu z innymi rumakami. Za każdym razem, gdy wkładał stopę w strzemię, kosmata klacz patrzyła na niego wzrokiem pełnym odrazy. Były to może drobiazgi, ale irytowały. Po iluś takich razach wzdrygał się, gdy Egwene obwieszczała:

— Twoja kolej, Perrin.

W opowieściach przywódcy raczej rzadko się wzdragali i nigdy ich nie zastraszano. Perrin pomyślał, że nie mieli jednak nigdy do czynienia z Egwene.

Została im tylko odrobina chleba i sera, zjedli to wszystko pod koniec pierwszego dnia. Perrin ustawił sidła tam, gdzie mogły biegać króliki, a Egwene zajęła się rozpaleniem ognia. Kiedy skończył swoje zadanie, postanowił wypróbować pętlę, zanim zajdzie słońce. Nie widzieli ani śladu żadnych żywych istot, ale... Ku swemu zdziwieniu prawie natychmiast natrafił na kościstego królika. Był tak zdziwiony, gdy zwierzę wyprysnęło spod krzaka prosto pod jego nogi, że prawie pozwolił mu uciec, dopadł go jednak po czterdziestu krokach, gdy usiłowało wbiec między drzewa.

Kiedy wrócił do obozowiska z królikiem, Egwene połamała już szczapy na ognisko, ale teraz z zamkniętymi oczami siedziała obok stosu.

— Co ty robisz? Samym życzeniem nie rozpalisz ognia. — Egwene zerwała się na dźwięk jego słów i odwróciła. Spojrzała na niego, trzymając dłoń przyciśniętą do gardła.

— Przestraszyłeś mnie.

— Miałem szczęście — oznajmił, unosząc królika w górę. — Weź hubkę i krzesiwo. Przynajmniej dzisiaj sobie dobrze podjemy.

— Nie mam hubki — powiedziała powoli. — Miałam ją w kieszeni i zgubiłam w rzece.

— No to jak...?

— Tam nad rzeką to było łatwe, Perrin. Tak, jak mi to pokazała Moiraine Sedai. Wyciągnęłam po prostu rękę i... — Zrobiła gest, jakby coś chwytiała, a potem opuściła dłoń z westchnieniem. — Już nie potrafię tego znaleźć.

Perrin oblizwał niespokojnie wargi.

— ...Mocy?

Przytaknęła, a on zagapił się na nią.

— Czyś ty zwariowała? Ty używasz... Jedynej Mocy? Nie możesz się czymś takim zabawiać.

— To było takie łatwe, Perrin. Potrafię to robić. Potrafię przenosić Moc.

Wziął głęboki wdech.

— Zrobię to przy pomocy dwu kawałków drewna, Egwene. Obiecuj, że więcej nie będziesz używała... tej rzeczy.

— Nie mogę.

Westchnął, gdy zobaczył sposób, w jaki zacisnęła szczęki.

— Czy ty byś się pozbył swego topora, Perrinie Aybara? Potrafiłbyś żyć z ręką związaną do pleców? Bo ja nie!

— Zrobię, jak mówiłem — powiedział znużony. — A przynajmniej nie próbuj tego robić dzisiejszej nocy, dobrze?

Przytaknęła niechętnie i nawet wtedy, gdy królik już się piekł nad ogniskiem, dawała do zrozumienia, że mogła zrobić to lepiej. Miała wyraźnie zamiar próbować podczas kolejnych nocy, mimo że na razie udało jej się wytworzyć jedynie smużkę dymu, która natychmiast zniknęła. Jej wzrok zabraniał mu wymówić choć słowo, więc roztropnie zamknął usta.

Był to ich jedyny gorący posiłek, potem jedli twarde, dzikie bulwy oraz młode pędy roślin. Wiosna w dalszym ciągu nie nadchodziła, więc nawet tego nie mieli w nadmiarze, a zresztą niezbyt im smakowało to pożywienie. Żadne z nich nie narzekało, ale nie było ani jednego posiłku, żeby któreś nie westchnęło ze smutkiem i oboje wiedzieli, że tęsknią za kawałkiem sera albo choćby zapachem chleba. Kiedy, któregoś popołudnia, w cienistej części lasu znaleźli grzyby — królewskie korony — wydały im się wielką uczcą. Zbierali je, śmiejąc się i wymieniając wspomnieniami z Pola Emonda, które zaczynały się od słów:

— A pamiętasz, jak...

Ale grzybów nie było wiele i krótko też się śmiali. Była to niewielka pociecha. To, które szło pieszo, zawsze trzymało w pogotowiu pętlę, aby jej zaraz użyć, na widok królika lub wiewiórki, kończyło się jednak na tym, że z przygnębieniem rzucali kamieniami. W sidłach, zastawionych starannie wieczorami, rankiem nie znajdowali nic. Ani razu nie odważyli się spędzić całego dnia w jednym miejscu, aby poczekać, aż coś się w nie złapie. Żadne nie wiedziało, jak daleko jest do Caemlyn i uważali, że dopiero gdy tam dotrą, będą bezpieczni. Perrin zaczął się zastanawiać, czy jego żołądek nie skurczy się tak, że w brzuchu powstanie dziura.

Według jego obliczeń posuwali się w niezłym tempie, ale choć oddalali się coraz bardziej od Arinelle, nie napotkali żadnych wsi, ani chociaż pojedynczych farm, w których mogliby zapytać o drogę. Zaczął mieć wątpliwości, czy jego plan jest na pewno słuszny. Egwene wydawała się nadal o tym przekonana, ale Perrin był pewien, że prędzej, czy później oświadczy, iż lepiej było zaryzykować spotkanie z trollokami, niż tak się błąkać przez resztę życia. Wprawdzie ani razu nie powiedziała czegoś takiego, on wciąż jednak tego się spodziewał.

Trzeciego dnia wędrówki dotarli do gęsto zalesionych wzgórz, równie znękanych zimą jak wszystko inne, następnego dnia teren ponownie stał się płaski, w lasach pojawiły się przecinki, czasami szerokości mili. W ukrytych kotlinach nadal leżał śnieg, poranne powietrze było mroźne, a wiatr zawsze zimny. Nigdzie nie widzieli żadnych dróg, zaoranych pól, dymu z komina w oddali, ani żadnych śladów ludzkich osiedli przy najmniej takich, w których wciąż mieszkali ludzie.

Pewnego razu przechodzili obok wzgórza otoczonego resztkami wysokiego, kamiennego wału obronnego. Las dawno go już pochłoniął, wszystko poprzerastały drzewa, kamienne bloki oplotły uschłe pnącza. Innym razem natknęli się na kamienną wieżę z uła-

manym szczytem, całą zbrązowiałą od starego mchu, wspartą o ogromny dąb, którego korzenie powoli ją przewracały. Nie znaleźli jednak żadnego miejsca, które by pamiętało ludzi. Wspomnienie Shadar Logoth odstraszało ich od wszelkich ruin. Pośpiesznie je omijali, aby znów znaleźć się w miejscu, którego najwyraźniej nigdy nie tknęła ludzka stopa.

Perrina podczas snu nawiedzały straszne koszmary. Pojawiał się w nich Ba'alzamon, który ścigał go po jakichś labiryntach, nigdy jednak Perrin nie spotkał się z nim twarzą w twarz tak blisko, by to zapamiętać. Już same trudy wyprawy mogły być powodem tych złych snów. Egwene uskarżała się, że śni o Shadar Logoth, szczególnie następnego dnia po tym, jak znaleźli zrujnowany fort i porzuconą wieżę. Perrin natomiast nie opowiadał jej o swej tajemnicy, nawet wtedy, gdy budził się w mroku cały spocony i rozdygotany. Jej zależało na tym, by dotarli bezpiecznie do Caemlyn, nie musiała dzielić z nim zmartwień, na które żadne z nich nie mogło poradzić.

Szedł obok Beli, zastanawiając się, czy tego wieczora znajdą cokolwiek do jedzenia i wtedy jako pierwszy poczuł zapach. Klacz rozdęła chrapy i obróciła łeb. Schwycił jej wędzidło, zanim zdążyła zarżnąć.

— To dym — powiedziała z ożywieniem Egwene.

Pochyliła się do przodu, zrobiła głęboki wdech.

— To ognisko. Ktoś sobie coś piecze. Królika.

— Może — stwierdził ostrożnie Perrin, a jej ochoczy uśmiech zbladł.

Zamienił pętlę na złowieszczy półksiężyc topora. Otwierał i zamykał dłonie na potężnym trzonku. To była broń, ale ani jego sekretne nauki na tyłach kuźni, ani nauki Lana nie przygotowały go tak naprawdę do jej używania. Nawet bitwa przed Shadar Logoth zbyt mgliście żyła w jego pamięci, żeby czuł się choć odrobinę pewny siebie. Nigdy do końca nie poradził sobie z pustką, o której rozmawiali Rand i Strażnik.

Promienie słońca padały ukośnie między drzewami, las stanowił masę nakrapianych cieni. Owiał ich odległy zapach dymu przemieszany z aromatem pieczonego mięsa.

„To chyba rzeczywiście królik” — pomyślał i zaburczało mu w brzuchu.

To może być równie dobrze coś innego, upominał samego siebie. Spojrzał na Egwene, obserwowała go. Bycie przywódcą wymuszało pewne obowiązki.

— Poczekaj tutaj — powiedział cicho.

Zmarszczyła brwi i już otwierała usta, by coś powiedzieć, ale przerwał jej słowami:

— I milcz! Jeszcze nie wiemy, kto to jest.

Skinęła głową z niechęcią. Perrin zadał sobie pytanie, dlaczego jego słowa nie odnoszą takiego skutku, kiedy usiłuje ją zmusić do jazdy. Zacerpnął oddechu i ruszył w stronę, skąd dochodził dym.

Nie bywał tak często w lasach otaczających Pole Emonda, jak Rand i Mat, ale też zdarzało mu się brać udział w polowaniach na króliki. Pełził teraz od drzewa do drzewa, ła-

miał tylko drobne gałązki. Chwilę potem wyrzał zza pnia wysokiego dębu, którego rozległe i wijące się konary były tak wygięte, że wrastały w ziemię. Pod nim płonęło ognisko, obok niego leżał szczupły, opalony mężczyzna.

Nie był co prawda trollokiem, ale za to bez wątpienia najdziwniejszym człowiekiem, jakiego Perrin kiedykolwiek widział. Całe jego ubranie, łącznie z wysokimi butami i czapką z płaskim denkiem, było uszyte ze zwierzęcych skór, jeszcze pokrytych futrem. Płaszcz stanowił wariacką mieszaninę króliczych i wiewiórczych skórek, materiału na spodnie dostarczyły prawdopodobnie długowłose, brązowe i białe, kozy. Siwiejące brązowe włosy, które sięgały mu do pasa, miał związane na plecach wstążką, a gęsta broda kryła całą pierś. U pasa miał zawieszony nóż, wyglądający prawie jak miecz, a pod drzewem stały w zasięgu ręki łuk i kołczan. Mężczyzna półleżał z zamkniętymi oczami, najwyraźniej pogrążony we śnie, jednak Perrin nie poruszał się w swej kryjówce. Ponad ogniskiem było zawieszonych sześć patyków, a na każdym skwierczał królik. Były już upieczone na brązowo, i co jakiś czas ociekały sokiem, który skapywał z sykiem w płomienie. Zapach sprawił, że Perrinowi ślina napłynęła do ust.

— Zaśliniłeś się? — Mężczyzna otworzył jedno oko i spojrzał w stronę kryjówki Perrina. — Możesz tu podejść ze swoją przyjaciółką i najeść się. Nie widziałem, żebyście zbyt dużo jedli podczas ostatnich dwóch dni.

Perrin zawahał się, po czym wstał powoli, nadal mocno ściskając topór.

— Obserwowałeś mnie od dwóch dni?

Mężczyzna zaśmiał się gardłowo.

— Tak, ciebie i tę piękną dziewczynę. Przegania cię jak koguta, co? Przede wszystkim jednak to was słyszałem. Koń jest jedynym z was, który nie tupie wystarczająco głośno, żeby go słyszano w promieniu pięciu mil. Masz zamiar ją tu przywołać, czy chcesz sam zjeść królika?

Perrin najeżył się, wiedział, że nie robił aż tyle hałasu. Nie można było z pętlą polować na króliki wśród drzew Wodnego Lasu, jeśli się robiło hałas. Ale zapach królika przypominał mu, że Egwene też jest głodna, nie mówiąc już o tym, że niepokoiła się, czy przypadkiem nie natrafili na ognisko trolloków.

Przypasał z powrotem swój topór i zawołał:

— Egwene! Wszystko w porządku! To królik!

Podał mężczyźnie dłoń i dodał nieco ciszej:

— Nazywam się Perrin. Perrin Aybara.

Mężczyzna przyjrzał się jego dłoni, zanim ją ujął niezgrabnie, jakby nieprzyzwyczajony do tego obyczaju.

— Ja się nazywam Elyas — powiedział podnosząc wzrok. — Elyas Machera.

Perrinowi zaparło dech i omal nie wypuścił dłoni Elyasa. Oczy mężczyzny były żółte, niczym jasne, wypolerowane złoto. Jakieś wspomnienie pojawiło się w zakamarku umy-

słu Perrina, po czym zniknęło. Myślał teraz tylko o tym, że wszystkie trolloki, jakie do-
tąd widział, miały czarne oczy.

Pojawiła się Egwene, lękliwie prowadząc za sobą Belę przywiązała wodze klaczy
do konaru dębu i odpowiedziała uprzejmie, gdy Perrin przedstawił ją Elyasowi, ale jej
wzrok bezustannie wędrował w stronę królików. Zdawała się nie zauważać oczu męż-
czyzny. Kiedy Elyas gestem dłoni zaprosił ich do jedzenia, usłuchała go skwapliwie. Per-
rin wahał się tylko chwilę dłużej, zanim do niej dołączył.

Elyas czekał cierpliwie, aż skończą jeść. Perrin był tak głodny, że rozdierał kawałki
bardzo gorącego mięsa i musiał je przerzucać z ręki do ręki, aby móc potem włożyć do
ust. Nawet Egwene nie była tak schludna jak zazwyczaj, tłusty sok spływał jej po bro-
dzie. Kiedy wreszcie zaczęli jeść wolniej, dzień już zaczął przechodzić w zmierzch, a wo-
kół ognia zamykała się bezksiężycowa ciemność. Wtedy dopiero Elyas się odezwał.

— Co wy tutaj robicie? W promieniu pięćdziesięciu mil nie ma żadnych domów.

— Wędrujemy do Caemlyn — wyjaśniła Egwene. — Może mógłbyś...

Chłodno uniosła brwi, gdy Elyas odrzucił głowę w tył i ryknął śmiechem. Perrin
wlepił w niego oczy, królicze udko zamarło w połowie drogi do ust.

— Caemlyn? — wyrzęził Elyas, gdy już mógł mówić. — Droga, którą podążacie od
dwóch dni, będziecie musieli przewędrować co najmniej dwieście mil na północ do Ca-
emlyn.

— Mieliśmy zamiar pytać o drogę — powiedziała zaczepnie Egwene. — Po prostu
jeszcze nie napotkaliśmy żadnych wsi albo farm.

— I nie spotkacie — powiedział chichocząc Elyas. — Tą drogą możecie zająć na-
wet do Grzbietu Świata, nie napotykając żadnego człowieka. Oczywiście, gdyby wam
się udało wspiąć na Grzbiet, bo w niektórych miejscach można tego dokonać, znaleź-
libyście ludzi na Pustkowiach Aiel, ale tam nie byłoby wam najprzyjemniej. Gotowali-
byście się za dnia, a zamierzali na kość w nocy i cały czas umierali z pragnienia. Trze-
ba być Człowiekiem Aiel, by znaleźć wodę na Pustkowie, zresztą oni tam nie lubią ob-
cych. — Znowu porwał go jeszcze bardziej obłąkańczy wybuch śmiechu, tym razem aż
się poturlał po ziemi. — Wcale ich nie lubią — wykrztusił w końcu.

Perrin poruszył się niespokojnie.

„Czy to wieczerza z szaleńcem?”

Egwene zmarszczyła czoło, ale czekała, aż wesołość Elyasa nieco osłabnie, po czym
powiedziała:

— Może więc ty nam pokażesz drogę. Zdaje się, że o wiele lepiej znasz położenie róż-
nych miejsc niż my.

Elyas przestał się śmiać. Podniósł głowę i poprawił czapkę, która przekrzywiła się
trochę, gdy tarzał się ze śmiechu, i spojrzał na nią spod nastroszonych brwi.

— Niezbyt lubię ludzi — powiedział beznamiętnym głosem. — Miasta są pełne lu-
dzi. Raczej nie zbliżam się do wsi albo farm. Wieśniacy i farmerzy nie lubią moich przy-

jaciół. Wcale bym wam nie pomógł, gdybyście nie bładzili tak bezradnie i niewinnie jak nowo narodzone szczenięta.

— Ale chyba możesz nam powiedzieć, którędy mamy pójść — nalegała. — Jeśli nas skierujesz do najbliższej wsi, nawet oddalanej o pięćdziesiąt mil, to tam już z pewnością nam powiedzą, gdzie leży Caemlyn.

— Zamilcz — powiedział Elyas — Nadchodzą moi przyjaciele.

Bela nagle zarżała ze strachu i zaczęła się szarpać, jakby chciała zerwać wodze. Perrin już wstawał, gdy z ciemniejącego lasu wyszły bezgłośnie jakieś ledwie widoczne stwory i natychmiast otoczyły ich kręgiem. Bela stawiała dęba, wierzgając i rżąc.

— Uspokójcie klacz — powiedział Elyas. — One nic jej nie zrobią. Wam też nic, jeśli zachowacie spokój.

Światło ogniska oświetliło cztery wilki. Miały zmierzwioną sierść i sięgały człowiekowi do pasa, swoimi szczękami mogły zgruchotać ludzką nogę. Jak gdyby nigdy nic podeszły do ognia i położyły się wśród ludzi. Światło odbiło się w oczach reszty stada, ukrytej wśród rosnących dookoła drzew.

„Żółte oczy” — pomyślał Perrin.

Takie same, jak oczy Elyasa. Właśnie to próbował sobie przypomnieć. Uważnie obserwując wilki, sięgnął po topór.

— Nie rób tego — powiedział Elyas. — Jeśli pomyślą, że chcesz im coś zrobić, przestaną zachowywać się przyjaźnie. — Perrin zauważył, że cztery wilki przypatrują się mu. Miał wrażenie, że wpatrują się w niego wszystkie, również te ukryte wśród drzew. Poczł nagle gęsią skórę. Ostrożnie zdjął dłonie z topora. Wyobraził sobie, że wyczuwa, jak napięcie wilków zelżało. Usiadł powoli na ziemi, jego ręce tak się trzęsły, że musiał je włożyć między kolana. Egwene z kolei tak zeszywniała, że omal się nie przewróciła. Jeden z wilków, prawie cały czarny z jaśniejszą szarą łatką na pysku, leżał tak blisko, że prawie jej dotykał.

Bela przestała rżec i wierzgać. Zamiast tego drżała i przestępowała z nogi na nogę, chciała mieć wszystkie wilki na widoku i ryła co jakiś czas kopytem ziemię, aby im pokazać, że drogo sprzeda swe życie. Wilki zdawały się ją ignorować, jak zresztą wszystkich pozostałych. Czekwały z wywalonymi jęzorami, demonstrując zupełną obojętność.

— No, tak już lepiej — powiedział Elyas.

— Czy one są oswojone? — spytała słabym, choć pełnym nadziei głosem Egwene.
— To twoje zwierzęta?

Elyas parsknął.

— Wilki nie dają się oswoić, dziewczyno, nawet nie tak, jak ludzie. To moi przyjaciele. Dotrzymujemy sobie towarzystwa, razem polujemy, rozmawiamy na swój sposób. Tak jak zwykli to robić przyjaciele. Czy nie mam racji, Łatka?

Wilczyca, której futro mieniło się kilkoma odcieniami jasnej i ciemnej szarości, odwróciła łeb i spojrzała na niego.

— Rozmawiasz z nimi? — dziwił się Perrin.

— To nie jest dokładnie rozmowa — powoli odpowiedział Elyas. — Słowa tu nic nie znaczą i nie są też specjalnie ważne. Ona nie ma na imię Łatka. Jej prawdziwe imię oznacza coś, co określa sposób, w jaki cienie grają na leśnej sadzawce podczas zimowego świtu, gdy bryza mąci jej powierzchnię, a także posmak lodu, gdy język dotknie wody i zapowiedź nocnych opadów śniegu. Ale to też nie jest dokładnie to. Tego nie da się wypowiedzieć słowami. To bardziej przypomina uczucie. Tak właśnie rozmawiają wilki. Pozostałe to Żar, Skoczek i Wiatr.

Żar miał starą bliznę na łopatce, co mogło wyjaśniać pochodzenie jego imienia, ale u pozostałych nie dawało się dostrzec żadnych cech tłumaczących, dlaczego tak się ważyły.

Pomimo całej gburowatości tego człowieka Perrin pomyślał, że Elyasa cieszy okazja do rozmowy z ludźmi. A przynajmniej wydawał się robić to z ochotą. Perrin obserwował zęby wilków połyskujące w świetle ogniska i pomyślał, że chyba należy podtrzymać rozmowę.

— Jak... jak się nauczyłeś rozmawiać z wilkami, Elyas?

— One to odkryły — odparł Elyas — nie ja. To nie ja zacząłem. Wydaje mi się, że zawsze tak się dzieje. To wilki cię znajdują, nie ty je. Niektórzy ludzie uważali, że zostałem dotknięty przez Czarnego, bo gdzie nie poszedłem, tam pojawiały się wilki. Zdaje się, że sam tak czasami myślałem. Większość porządnych ludzi zaczęła mnie unikać, a ci, którzy mnie szukali, z takich czy innych powodów, nie byli tymi, których chciałem poznać. Potem zauważyłem, że czasami wilki wydają się wiedzieć, co ja myślę, reagować na to, co się dzieje w mojej głowie. To był prawdziwy początek. Ja je ciekawiłem. Wilki zazwyczaj wyczuwają charakter człowieka. Cieszyły się, gdy mnie znalazły. Powiadają, że minęło dużo czasu, odkąd polowały razem z ludźmi, a kiedy słyszę od nich o długim czasie, to czuję coś, jakby zimny wiatr wyjący od samego Pierwszego Dnia.

— Nigdy nie słyszałam, by ludzie polowali razem z wilkami — powiedziała Egwene.

Jej głos nie był zbyt spokojny, ale fakt, że wilki tylko leżą obok nich, wyraźnie dodawał jej odwagi.

Jeśli nawet Elyas ją usłyszał, to nie dał tego poznać po sobie.

— Wilki mają inną pamięć niż ludzie — ciągnął. Jego dziwne oczy zapatrzyły się gdzieś daleko, tak jakby dał się ponieść własnym wspomnieniom. — Każdy wilk pamięta historię wszystkich wilków, albo przynajmniej jej zarys. Jak już mówiłem, trudno to opowiedzieć słowami. Pamiętają, jak uganiały się za zdobyczą u boku ludzi, ale było to tak dawno temu, że wspomnienie bardziej przypomina cień cienia, niżli pamięć.

— To bardzo interesujące — powiedziała Egwene, a Elyas spojrzał na nią przenikliwie. — Naprawdę tak myślę. — Zwilżyła wargi językiem. — Czy... tego... czy mógłbyś nas nauczyć rozmawiania z nimi?

Elyas znowu parsknął.

— Tego nie można nauczyć. Jedni to potrafią, a inni nie. One twierdzą, że on potrafi.
— Wskazał Perrina. Perrin spojrział na palec Elyasa, jakby to był nóż. On jest naprawdę szaleńcem. Wilki znowu wpatrywały się w niego. Poruszył się niespokojnie. — Mówiliście, że wybieracie się do Caemlyn — powiedział Elyas — ale to nadal nie wyjaśnia, dlaczego znaleźliście się tutaj, oddaleni o wiele dni od jakichkolwiek ludzkich domostw.

Zarzucił swój płaszcz z kawałków futra, położył się na boku, wsparty na jednym łokciu i czekał.

Perrin spojrział na Egwene. Wcześniej wymyślili historyjkę, którą będą opowiadali ludziom, aby nie narobić sobie kłopotów. Nikt nie miał się dowiedzieć, skąd oni pochodzą, ani dokąd naprawdę wędrują. Kto wiedział, jakie bezmyślne słowo mogło dotrzeć do uszu Pomora? Pracowali nad tą historią każdego dnia, wspólnie ją sklecając i wygładzając nieścistości. Postanowili również, że będzie ją opowiadać Egwene. Ona była znacznie sprawniejsza w mowie, a poza tym twierdziła, iż po twarzy Perrina od razu widać, że kłamie.

Egwene zaczęła z miejsca gładko opowiadać. Pochodzą z północy, z Saldei, z farm leżących na obrzeżach małej wsi. Żadne z nich nie wyjeżdżało dotychczas z domu dalej niż dwadzieścia mil. Słyszeli jednak opowieści bardów oraz kupców i chcieli zobaczyć trochę świata. Caemlyn i Illian. Morze Sztormów i może nawet bajeczne wyspy Ludu Morza. Perrin przysłuchiwał się temu z satysfakcją. Nawet Thom Merrilin nie mógłby wymyślić lepszej opowieści na podstawie tak skąpych wiadomości, jakie oni posiadali o świecie leżącym poza granicami Dwu Rzek, ani lepiej pasującej do ich potrzeb.

— Z Saldae, tak? — powiedział Elyas, gdy skończyła mówić.

Perrin skinął głową.

— Zgadza się. Mielśmy zamiar najpierw zwiedzić Maradon. Na pewno chciałbym zobaczyć Króla. Ale nasi ojcowie będą nas szukać przede wszystkim w stolicy.

Taka była jego rola w tym wszystkim, aby było jasne, że nigdy nie byli w Maradonie. Dzięki temu, nikt nie będzie się spodziewał, że wiedzą cokolwiek o tym mieście, na wypadek gdyby napotkali kogoś, kto naprawdę tam był. Od Pola Emonda i wydarzeń Zimowej Nocy dzieliła ich przepaść. Nikt, kto usłyszy taką opowieść, nie będzie miał żadnych powodów, aby coś pomyśleć o Tar Valon albo Aes Sedai.

— Niezła opowieść. — Elyas pokiwał głową. — Tak, niezła opowieść. Parę szczegółów się nie zgadza, no i przede wszystkim Łatka twierdzi, że to kupa kłamstw. Co do ostatniego słowa.

— Kłamstwa! — krzyknęła Egwene. — Po co mielibyśmy kłamać?

Cztery wilki nie poruszyły się, ale wyraźnie nie leżały już spokojnie dookoła ogniska, lecz przyczyły się i swymi żółtymi oczami wpatrywały się w nich dwoje, źrenice miały zupełnie nieruchome.

Perrin nic nie powiedział, ale wyciągnął dłoń do zawieszzonego u pasa topora. Cztery wilki wstały jednocześnie i jego ręka zastygła. Nie wydały z siebie ani jednego dźwięku, ale ich gęsta sierść na karku zjeżyła się. Mrok rozniósł warkotliwe wycie jednego z wilków siedzących wśród drzew. Odpowiedziało mu najpierw pięć innych, potem dziesięć, dwadzieścia, aż cała ciemność rozbrzmiała tym dźwiękiem. Jednakże nagle wszystkie się uspokoiły. Po twarzy Perrina ściekał zimny pot.

— Jeśli uważacie... — Egwene urwała, by przełknąć ślinę. Pomimo chłodu w powietrzu, jej twarz również była spocona. — Jeśli myślicie, że my kłamiemy, to pewnie wolelibyście, abyśmy rozbili gdzieś własny obóz, z dala od waszego.

— Normalnie tak bym wolał, dziewczyno. Ale w tej chwili chciałbym posłuchać o trollokach i Półludziach. — Perrin próbował przybrać obojętny wyraz twarzy, miał nadzieję, że jemu udaje się to lepiej niż Egwene. Elyas ciągnął dalej towarzyskim tonem. — Łatka twierdzi, że wyczuła Półludzi i trolloki w waszych myślach, kiedy opowiadaliście tę głupią historię. Wszystkie wilki to wyczuły. Jesteście w jakiś sposób powiązani z trollokami i Bezokimi. Wilki nienawidzą trolloków i Półludzi bardziej niż dzikiego ognia, bardziej niż czegokolwiek, więc i ja też. Żar pragnie was wykończyć. To trollok mu zrobił tę ranę, kiedy był szczeniakiem. Twierdzi, że niewiele mają rozrywek, a wy macie na sobie więcej tłuszczu niż te jelenie, które widywał w ciągu ostatnich miesięcy i w związku z tym powinniśmy z wami skończyć. Ale Żar zawsze się niecierpliwi. Więc może jednak opowiecie mi o wszystkim? Mam nadzieję, że nie jesteście Sprzymierzeńcami Ciemności. Nie lubię zabijać ludzi po tym, jak już ich nakarmiłem. Pamiętajcie tylko, że wyczują każde kłamstwo, a nawet Łatka jest równie zdenerwowana jak Żar.

Oczy Elyasa, równie żółte jak oczy wilków, nie mrugały tak samo jak one.

„To są oczy wilka” — pomyślał Perrin.

Zorientował się, że Egwene patrzy na niego i czeka, aż zdecyduje, co mają zrobić.

„Światłości, znowu muszę być przywódcą.”

Na samym początku postanowili, że nie będą ryzykowali opowiadaniem prawdziwej historii komukolwiek, ale nie widział żadnej szansy na ucieczkę stąd, nawet gdyby udało mu się wcześniej wyciągnąć topór..

Łatka warknęła głucho w głębi gardła, a pozostałe trzy wilki siedzące wokół ogniska podjęły ten dźwięk, a zaraz po nich wilki zaczajone w ciemności. Groźny warkot wypełnił znowu noc.

— W porządku — powiedział szybko Perrin. — W porządku! — Wycie ustało nagle. Egwene rozprostowała dłonie i przytaknęła. — Wszystko zaczęło się na parę dni przed Zimową Nocą — zaczął Perrin — kiedy nasz przyjaciel, Mat, zobaczył człowieka w czarnym płaszczu...

Leżący cały czas na boku Elyas ani razu nie zmienił wyrazu twarzy, lecz coś w nachyleniu jego głowy mówiło, że nadstawia uszu. Cztery wilki usiadły, gdy Perrin ciągnął

dalej. Miał wrażenie, że one także słuchają. Historia była długa i opowiedział ją prawie w całości. Nie wspomniał tylko o śnie, który on i pozostali dwaj mieli w Baerlon. Czekał, czy wilki zrobią jakiś znak, świadczący, że przyłapały go na tym, ale one tylko obserwowały. Łatka wydawała się być usposobiona przyjaźnie, Żar był chyba zły. Perrin ochrypl, zanim skończył opowiadać.

— ...więc jeśli ona nie znajdzie nas w Caemlyn, pojedziemy do Tar Valon. Nie mamy innego wyboru, jak tylko szukać pomocy u innych Aes Sedai.

— Trolloki i Półludzie tak daleko na południu — zadumał się Elyas. — Teraz trzeba się nad czymś zastanowić. — Pogrzebał gdzieś za sobą i nawet nie patrząc, cisnął w stronę Perrina skórzany bukłak. Wydawał się być bardzo zamyślony. Czekał, aż Perrin się napije i zakorkuje bukłak, potem znowu się odezwał. — Nie trzymam z Aes Sedai. Czerwone Ajah, czyli te, co polują na ludzi, którzy się babrzą w Jedynej Mocy, chciały mnie kiedyś oswoić. Powiedziałem im prosto w twarz, że są Czarnymi Ajah, że służą Czarne-
mu i to im się wcale nie podobało. Nie mogły mnie jednak złapać, kiedy już wpadłem do lasu, ale próbowały to zrobić. Tak, naprawdę tak było. Z tego powodu wątpię, czy jakaś Aes Sedai byłaby dla mnie przyjazna po tym wszystkim. Czerwone Ajah straciły kilku Strażników. To zła rzecz zabijać Strażników. Nie lubię tego.

— Te rozmowy z wilkami — zapytał niespokojnie Perrin. — Czy... czy to ma coś wspólnego z Mocą?

— Jasne, że nie — warknął Elyas. — To by na mnie nie podziałało, kochaneczku, ale wkurzyłem się, że próbowały. To stara sprawa, chłopcze. Starsza niż Aes Sedai. Starsza niż ktokolwiek, kto używa Jedynej Mocy. Stara jak ludzkość. Stara jak wilki. Aes Sedai też się to nie podoba. Powrót starych spraw. Ja nie jestem jedyny. Są jeszcze inne rzeczy, inni ludzie. Aes Sedai denerwują się tym, marudzą coś o osłabianiu starożytnych barier. Twierdzą, że wszystko się rozpada. Boją się, że Czarny się uwolni dzięki temu. Niektóre tak na mnie patrzyły, że można było pomyśleć, że mnie się za to wini. Nie tylko Czerwone Ajah, ale także inne. Tron Amyrlin... Aaaaah! Ja trzymam się od nich z daleka, tak samo jak od przyjaciół Aes Sedai. Wy też tak powinniście zrobić, jeżeli jesteście mądrzy.

— Niczego bardziej nie pragnę, jak uwolnić się od Aes Sedai — powiedział Perrin. Egwene obdarzyła go oskarżycielskim spojrzeniem. Miał nadzieję, że zaraz nie wybuchnie i nie oświadczy, że też chce być Aes Sedai. Jednakże tylko zacisnęła usta, więc Perrin mówił dalej. — My jednak nie mamy wyboru. Ścigają nas trolloki, Pomory i draghkary. Sami Sprzymierzeńcy Ciemności. Nie możemy się ukryć i nie możemy samotnie z nimi walczyć. No bo kto nam pomoże? Kto jest równie silny jak Aes Sedai?

Elyas milczał jakiś czas, popatrując na wilki, a najczęściej na Łatkę albo Żara. Perrin poruszał się niespokojnie i starał się tego nie widzieć, miał wrażenie, że nieomal słyszy, o czym Elyas i wilki rozmawiają. Nawet jeśli to nie miało nic wspólnego z Mocą, nie chciał brać w tym udziału.

„To na pewno jakiś wariacki dowcip. Ja nie potrafię rozmawiać z wilkami.”

Jeden z wilków — chyba Skoczek — spojrzał na niego i uśmiechnął się. Perrin zdziwił się, skąd zna jego imię.

— Możecie zostać ze mną — powiedział wreszcie Elyas. — Z nami. — Egwene gwałtownie uniosła brwi, a Perrinowi opadła szczęka. — No bo gdzie możecie być bezpieczniejsi? — zapytał Elyas. — Trolloki korzystają z każdej okazji, aby zabić wilka, ale nakładają całe mile, aby uniknąć spotkania ze stadem. Nie musicie też się obawiać Aes Sedai. One niezbyt często zagląдают do lasu.

— Nie wiem. — Perrin unikał patrzenia na otaczające go wilki. Czuł na sobie wzrok Łatki. — Przede wszystkim tu nie chodzi tylko o trolloki. — Elyas zaniósł się lodowatym śmiechem.

— Widziałem, jak stado dopadło Bezokiego. Wyginęła ich wtedy połowa, ale one nigdy się nie poddają, gdy wyczują jego zapach. Trollok czy Myrddraal, dla wilków to jedno i to samo. A one chcą mieć ciebie, chłopcze. One słyszały o istnieniu innych ludzi, którzy potrafią rozmawiać z wilkami, ale ty jesteś pierwszym, którego spotkały, oprócz mnie. Zaakceptują także twoją przyjaciółkę, wśród nich będziecie bezpieczniejsi niż w jakimkolwiek mieście. W miastach są Sprzymierzeńcy Ciemności.

— Słuchaj — powiedział niespokojnie Perrin — wołałbym, żebyś tak nie mówił. Ja nie potrafię tego robić... tego, o czym ty mówisz.

— Jak sobie życzysz, chłopcze. Udawaj głupiego, jeśli ci się tak podoba. Nie chcesz być bezpieczny?

— Ja nie oszukuję siebie. Nie mam żadnych powodów ku temu. My tylko chcemy...

— Jedziemy do Caemlyn — powiedziała stanowczym tonem Egwene. — A potem do Tar Valon.

Perrin napotkał jej gniewny wzrok. Wiedział, że ona go słucha wtedy tylko, gdy tego chce, ale przynajmniej mogłaby mu pozwolić odpowiadać za siebie.

— A co ty o tym myślisz, Perrin? — zapytał i sam sobie odpowiedział: — Ja? Poczekał, niech pomyślę. Tak. Tak, chyba pojedziemy dalej. — Uśmiechnął się teraz do niej łagodnie i rzekł: — Cóż, Egwene, to oznacza, że chyba się nie rozstaniemy. Dobrze jest wszystko wspólnie obgadać, zanim się podejmie decyzję, nieprawdaż?

Zaczerwieniła się, ale nie złagodniała.

Elyas mruknął coś.

— Łatka twierdzi, że to twoja decyzja. Mówi, że dziewczyna tkwi mocno w ludzkim świecie, ale ty — skinął na Perrina — stoisz pośrodku drogi. W takich okolicznościach, uważam, że najlepiej będzie, jak razem z wami powędrujemy na południe. W innym przypadku pewnie zagłodzicie się na śmierć, zagubicie, albo...

Żar wstał nagle i Elyas odwrócił głowę, aby spojrzeć na wielkiego wilka. Po chwili Łatka również wstała. Zbliżyła się do Elyasa tak, że widziała również wzrok Żara. Wszy-

scy zastygli na chwilę, po czym Żar odwrócił się gwałtownie i zniknął w mroku. Łatka otrząsnęła się, po czym zajęła z powrotem swe miejsce, jakby nic się nie stało.

Elyas napotkał pytający wzrok Perrina.

— Łatka przewodzi stadu — wyjaśnił. — Niektóre samce mogłyby ją pokonać, gdyby jej rzuciły wyzwanie, ale ona jest od nich sprytniejsza i one to wiedzą. Niejednokrotnie ratowała wszystkich. Żar jednak uważa, że stado marnuje czas z wami. Tak bardzo nie nawidzi trolloków, że już chce ruszać i zabijać je, jeśli rzeczywiście są na południu.

— To całkiem zrozumiałe — powiedziała Egwene z wyraźną ulgą. — Naprawdę możemy sami znaleźć drogę... jeśli naturalnie podasz nam jakieś wskazówki.

Elyas machnął ręką.

— Powiedziałem chyba, że to Łatka przewodzi stadu? Rankiem wyruszę razem z wami na południe i one też z nami pójda. — Egwene miała taką minę, jakby to była jedna z najgorszych wieści, jakie kiedykolwiek usłyszała.

Perrin siedział pogrążony w milczeniu. Czuł, jak Żar odchodzi. Poparzony samiec nie był zresztą jedynym, który to zrobił, w ślad za nim pobiegło susami jeszcze kilkanaście innych młodych samców. Perrin usilnie starał się wierzyć, że to Elyas manipuluje jego wyobraźnią, ale bezskutecznie. W chwili gdy odchodzące wilki zniknęły z jego umysłu, poczuł myśl, o której wiedział, że pochodzi od Żara, poczuł równie ostro i wyraźnie, jakby to była jego własna myśl. Nienawiść. Nienawiść i smak krwi.

UCIECZKA BRZEGIEM ARINELLE

W oddali słychać było kapanie wody, monotonny plusk odbijał się echem, a potem echem echa, na zawsze gubiąc swe źródło. Z szerokich, kamiennych wież o płaskich wierzchołkach, wypolerowanych i gładkich, pomalowanych w czerwone i złote pasy, niczym pędy roślin wyrastały kamienne mosty i balustrady. Spowite w mroku kolejne poziomy labiryntu rozchodziły się we wszystkich kierunkach, pozbawione widocznego początku lub końca. Każdy most prowadził do wieży, a każde schody do kolejnej wieży i następnych mostów. Gdziekolwiek spojrzał, wbijając wyteżony wzrok w ciemność, widział, że wszędzie jest tak samo, zarówno w górze, jak i na dole. Nieledwie był zadowolony, że z powodu braku światła nie ogarnia wszystkich szczegółów. Niektóre schody wiodły do podestów, które musiały się znajdować dokładnie nad podestami położonymi poniżej. Nie widział jednak, gdzie się zaczynają. Niezmordowanie szedł dalej, szukając wyjścia na wolność i wiedział, że to złudzenie. Wszystko było złudzeniem.

Znał ten miraż, zbyt wiele razy dał się mu zwieść, by go teraz nie rozpoznać. Gdziekolwiek poszedł, w górę, w dół czy w jakimś innym kierunku, zawsze natrafiał tylko na błyszczący kamień. Czuł powietrze przesiąknięte wilgocią świeżo spulchnionej ziemi i mdlącym odorem rozkładu. Grobowy zapach przelał się tutaj ze swego czasu. Rand stawał się nie oddychać, lecz ten zapach wciąż wypełniał jego nozdrza. Przywierał do skóry niczym oliwa.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch, więc zastygł w miejscu, przyczajony pod wypolerowanym murem otaczającym szczyt jednej z wież. Nie było to żadne schronienie. Obserwujący mógł go widzieć z tysiąca miejsc. Jednakże mrok nie tworzył nigdzie głębszych cieni, w których mógłby się ukryć. Źródłem światła nie były lampy, latarnie czy pochodnie — po prostu było, jakby się wysączało z powietrza. Wystarczało, by jako tako widzieć, wystarczało, by być widzianym. Jednak bezruch nie osłaniał najlepiej.

Znowu dostrzegł ruch, tym razem wyraźnie. Z odległych schodów szedł ku niemu jakiś człowiek, nie dbając o to, że brak balustrad może spowodować upadek w przepaść. Płaszcz falował w rytm pośpiesznych kroków, mężczyzna bezustannie odwracał głowę i czegoś szukał. Z daleka Rand nie widział nic więcej prócz sylwetki w mroku, ale odle-

głość była na tyle mała, by nie było wątpliwości, że jego płaszcz pokrywa czerwień świeżej krwi, a oczy płoną jak dwa węgle.

Próbował ogarnąć wzrokiem cały labirynt, by obliczyć, ile połączeń Ba'alzamon musi pokonać, lecz po chwili dał za wygraną. Odległości zwodziły — kolejna nauczka. To, co wydawało się dalekie, mogło się nagle pojawić za następnym rogiem. To, co zdawało się bliskie, mogło się okazać niedosiężne. Mógł tylko iść do przodu. Iść i nie myśleć. Wiedział, że niebezpiecznie jest myśleć.

Kiedy jednak odwrócił się od dalekiej sylwetki Ba'alzamon, nie wiedzieć czemu pomyślał o Macie. Czy Mat jest gdzieś w tym labiryncie?

„Czy są może dwa labirynty, dwóch Ba'alzamonów?”

Jego umysł odrzucił tę myśl, zbyt potworną, by ją roztrząsać.

„Czy to będzie tak, jak w Baerlon? To dlaczego on nie może mnie znaleźć?”

Odetchnął odrobinę. Niewielka pociecha.

„Pociecha? Krew i popioły, gdzie tu jakaś pociecha?”

Nie pamiętał tych starć dokładnie, miał już ich za sobą dwa albo trzy, a przecież uciekał od bardzo, bardzo dawna — od jak dawna? — i Ba'alzamon wciąż nie mógł go dopaść. Czy teraz będzie tak, jak w Baerlon, czy to tylko senny koszmar, taki sam jaki potrafi się przyśnić innym ludziom?

Przez chwilę — tak długo, ile trwa jeden oddech — wiedział, dlaczego niebezpiecznie jest myśleć i które myśli są niebezpieczne. Tak jak przedtem, wystarczało, że pozwolił sobie uważać to, co go otacza, za sen, a wtedy powietrze zaczynało połyskiwać i zamazywać pole widzenia. Zmieniało się w galarete, chwytalo go. Tylko przez chwilę.

Czuł, że skóra go szczypie od palącego żaru, w gardle zaschło mu już dawno temu, gdzieś na szlakach ciernistego labiryntu. Ile odtąd minęło czasu? Jego pot wyparowywał, zanim zdążył ściec, piekły oczy. Nad głową — nie tak wysoko wrzały wściekłe, stalowe chmury przetykane czarnymi pasmami, ale w labiryncie nie czuć było najłżejszego podmuchu wiatru. Na krótki moment odniósł wrażenie, że coś się zmieniło, ale i tę myśl wypędziło gorąco. Jest już tutaj od bardzo dawna. Wiedział, że niebezpiecznie jest myśleć.

Zarys chodnika tworzyły gładkie kamienie, blade i okrągłe, częściowo spalone na pył, którego tumany unosiły się przy każdym, najłżejszym nawet ruchu. Rand czuł, jak wierci go w nosie, bał się, że kichnie, zdradzając tym swoją obecność. Jednak kiedy próbował oddychać przez usta, pył zatkał mu gardło tak, że omal się nie udławił.

To było niebezpieczne miejsce — to też wiedział. Zobaczył przed sobą trzy otwory w wysokim murze z cierni, a dalej drogę, skręcającą gdzieś, nie wiadomo dokąd. W każdej chwili, zza jednego z tych rogów mógł się wyłonić Ba'alzamon. Rand spotkał się już z nim dwa albo trzy razy, ale niewiele zapamiętał, prócz tego, jak doszło do spotkań oraz to, że jakimś cudem udało mu się uciec... Niebezpiecznie jest zbyt wiele myśleć.

Dyszząc z gorąca, zatrzymał się i zbadał ścianę labiryntu. Gęsto splecione cierniste krzewy, brązowe i wyglądające na martwe. Wystawały z nich okrutne czarne kolce, niczym haki długości cala. Zbyt wysokie, aby spojrzeć ponad nimi, zbyt gęste, aby przejrzeć je na wylot. Ostrożnie dotknął ściany i z bólu zabrakło mu tchu w piersiach. Mimo że był bardzo ostrożny, jeden cierni wbił się w palec i oparzył go jak rozpalona igła. Zachwiał się do tyłu, zahaczając piętami o kamienie, strząsnął z dłoni gęste krople krwi. Rana zaczęła się zamykać, ale w całej dłoni czuł pulsowanie.

Nagle zapomniał o bólu. Gdy tracił równowagę, podważył jeden z gładkich kamieni i wyrwał go z suchej ziemi. Zobaczył wpatrujące się w niego puste oczodoły. Czaszka. Ludzka czaszka. Obejrzał całą ścieżkę wyłożoną identycznymi gładkimi i bladymi kamieniami. Pośpiesznie podniósł stopę, ale nie potrafił iść, nie następując na któryś z kamieni. Niejasno przyszła mu do głowy dziwna myśl, że to wszystko nie jest może takie, na jakie wygląda, ale odegnał ją bezlitośnie. Tutaj myślenie oznaczało niebezpieczeństwo.

Usiłował wziąć się w garść. Pozostawanie w jednym miejscu było również niebezpieczne. To była jedna z tych rzeczy, które wiedział nie wiadomo skąd, ale których był pewien. Palec przestawał już krwawić, a pulsowanie nieomal ustało. Włożył palec do ust i ruszył w dół ścieżki, w stronę, w którą akurat spojrział. Tutaj każda droga była tak samo dobra jak pozostałe.

Przypomniał sobie, jak kiedyś usłyszał, że najlepszy sposób na wydostanie się z labiryntu polega na skręcaniu zawsze w jednym kierunku. Przy pierwszym napotkanym otworze w murze z cierni skręcił w prawo, po czym przy następnym znowu w prawo. I wtedy stanął twarzą w twarz z Ba'alzamonem.

Na twarzy Ba'alzamona błysnął przelotnie wyraz zdumienia, a zakrwawiony płaszcz przestał falować. W jego oczach jarzyły się płomienie, ale w labiryncie panował taki skwar, że Rand ledwie je czuł.

— Wydaje ci się, że jeszcze długo mnie będziesz tak unikał, chłopcze? Jak długo możesz uciekać przed swym przeznaczeniem? Należysz do mnie!

Rand zatoczył się do tyłu, a jego dłoń powędrowała odruchowo do pasa, jakby w poszukiwaniu miecza.

— Światłości, pomóż mi — wyszeptał. — Światłości, pomóż mi.

Nie mógł sobie przypomnieć, co to oznacza.

— Światłość ci nie pomoże, chłopcze, a Oko Świata nie będzie ci służyć. Jesteś moim psem i jeśli nie podporządkujesz się moim rozkazom, uduszę cię w splotach Wielkiego Węża!

Ba'alzamon wyciągnął dłoń i Rand nagle domyślił się, jaki jest sposób ucieczki. Mgliste, ledwie sformułowane wspomnienie krzykliwie ostrzegało przed niebezpieczeństwem, ale nic nie równało się z niebezpieczeństwem dotyku samego Czarnego.

— Sen! — krzyknął Rand. — To sen!

Oczy Ba'alzamona rozszerzyły się ze zdziwienia i gniewu, potem powietrze załśniło i jego twarz zaczęła się zamazywać, aż wreszcie zniknęła. Rand obejrzał się i zobaczył tysiące odbić własnej twarzy. Dziesięć tysięcy. Na górze i na dole panowała czern, ale on sam otoczony był lustrami, ustawionymi pod najróżniejszym kątem. Gdzie nie sięgnął wzrokiem, wszędzie były te lustra i wszystkie pokazywały jego skuloną, chwiejącą się postać z wytrzeszczonymi, przerażonymi oczyma.

W lustrach zamigotała czerwona plama. Obrócił się, próbując pochwycić ją wzrokiem, ale w każdym lustrze zniknęła za jego odbiciem. Po chwili pojawiła się znowu, ale już nie jako zamazana plama. Przez lustra kroczył teraz Ba'alzamon, dziesięć tysięcy Ba'alzamonów, szukających, wchodzących i wychodzących z lustrzanych tafli.

Rand nagle spostrzegł odbicie własnej twarzy, bladej i drżącej z przenikliwego zimna. Tuż za nią pojawiło się oblicze wpatzonego weń Ba'alzamona — nie widział go, lecz twardo się w niego wpatrywał. Płomienie w tych oczach ścigały go w każdym lustrze, ogarniały, pochłaniały i pożerały. Rand chciał krzyknąć, ale miał ściśnięte gardło. W tych niezliczonych lustrach była już tylko jedna twarz. Jego własna. Twarz Ba'alzamona. Jedna twarz.

Rand zerwał się i otworzył oczy. Otaczała go ciemność, odrobinę zmacona bardzo bladym światłem. Ledwie oddychał, był w stanie poruszać jedynie powiekami. Leżał pod szorstkim wełnianym kocem z głową wtuloną w ramiona. Pod sobą czuł gładkie drewniane deski. Deski pokładu. Nocną ciszę zakłócało jedynie trzeszczenie takielunku. Zrobił głęboki wdech. Jest na pokładzie „Spray” i płynie. Już po wszystkim... przynajmniej do następnej nocy.

Machinalnie włożył palec do ust. Nagle przestał oddychać, gdy poczuł smak krwi. Powoli podniósł dłoń do twarzy, chcąc ją lepiej obejrzeć w bladym świetle księżyca i wtedy zobaczył paciorek krwi ściekającej z czubka palca. Krew od ukłucia cierniem.

„Spray” sunęła opieszale w dół Arinelle. Zerwał się silny wiatr, ale kierunek, z którego wiał, powodował, że żagle były bezużyteczne. Mimo że kapitan Domon nakazywał przyspieszyć, statek włókł się powoli. Wraz z nadejściem zmroku mężczyzna ustawiony na dziobie zapalił łojową latarnię i ostrzegł sternika, że znów wpłynęli na głębokie wody. Wciągnięto wiosła, nurt pchał teraz łódź pod wiatr. W Arinelle nie było żadnych podwodnych skał, których należało się obawiać, ale za to wiele mielisz i płycisz, w których łódź mogła się zaryć — potem długo trzeba byłoby czekać na pomoc. Za dnia wiosła pracowały od świtu do zmierzchu, lecz wiatr walczył z nimi, jakby chciał zepchnąć łódź z powrotem w górę rzeki.

Nie przybijali do brzegu ani za dnia, ani nocą. Bayle Domon kierował łodzią i jej załogą bez żadnej litości, urągając przeciwnym wiatrom i przeklinając powolne tempo. Traktował wiosłarzy jak próżniaków i nie pozostawiał na nich suchej nitki za każdą źle przeciągniętą linę. Bezustannie też straszył wszystkich, że na pokład wpadną trolloki i rozprują im gardła. Jednakże po jakimś czasie szok wywołany atakiem trolloków zaczął blednąć, ludzie zaczęli przebąkiwać o chęci spędzenia choć godziny na brzegu dla rozprostowania nóg, skarżyli się na ryzyko, jakie towarzyszy nocnej żegludze.

Utyskiwali tak wyłącznie po kryjomu, obserwując kątem oka, czy w pobliżu nie ma kapitana Domona, ale on zdawał się słyszeć każde słowo, jakie pada na jego łodzi. Za każdym razem, gdy podnosiły się głosy niezadowolenia, nic nie mówiąc, przynosił długi, zakrzywiony miecz i budzący trwogę topór, które znaleziono na pokładzie po ataku trolloków. Zawieszał je na godzinę na maszcie, a wtedy ci, którzy odnieśli rany, dotykali swych opatrunków i narzekania cichły... po czym upływał jakiś dzień i znowu któryś z marynarzy dochodził do wniosku, że z pewnością uciekli już trollokom i rytuał się powtarzał

Rand zauważył, że odkąd żeglarze zaczęli tak szeptać i marszczyć czoła, Thom Merilin trzyma się od nich z dala, choć normalnie zwykł ich klepać po plecach, opowiadać dowcipy i żartować z nich w taki sposób, że wywoływał uśmiech na twarzach nawet największych ponuraków. Przysłuchiwał się bacznie tym sekretnym rozmowom, udając jednocześnie, że jest zaabsorbowany wyłącznie swą fajką z długim cybuchem albo strojeniem harfy. Rand nie pojmował, o co mu chodzi. Załoga zdawała się winić nie tych trzech, którzy wpadli na pokład ścigani przez trolloków, lecz Florana Gelba.

Pierwszego czy drugiego dnia niejednokrotnie widywało się kościstą sylwetkę Gelba, który dopadał każdego, kogo tylko mógł, i opowiadał mu własną wersję wydarzeń tej nocy, podczas której Rand i pozostali dwaj dostali się na statek. Gelb to się odgrażał, to skarżył jęklwym głosem, wykrzywiając wargi, gdy wskazywał Thoma, Mata, a szczególnie Randa, starając się zwalić na nich całą winę.

— To są obcy — dowodził szeptem, nie spuszczać wzroku z kapitana. — Co my o nich wiemy? Wiemy tylko, że razem z nimi pojawiły się trolloki. Oni są z nimi w zmo-
wie.

— Na Fortunę, Gelb, dość tych bredni — warknął mężczyzna z włosami związanymi w kitkę i małą niebieską gwiazdą wytatuowaną na policzku. Mówiąc to nawet nie spoj-
rzył na Gelba, tylko spokojnie zwijał linę, przytrzymując ją bosymi stopami. — Nazwał-
byś nawet swoją matkę Sprzymierzeńcem Ciemności, gdyby to ci dało okazję do próż-
nowania. Daj mi wreszcie spokój!

Splunął Gelbowi pod nogi i na powrót zabrał się do zwijania liny.

Cała załoga pamiętała dobrze, że Gelb nie pełnił warty należycie i odpowiedź mężczyzny z kitką można było określić jako wyjątkowo uprzejmą. Nikt nawet nie chciał

z nim pracować. Gelb został skazany na samotne wykonywanie najbrudniejszych prac, takich jak szorowanie tłustych garnków albo wpełzanie na brzuchu do zęży, gdzie musiał szukać przecieków wśród nagromadzonego tam przez lata szlamu. Wkrótce przestał z kimkolwiek rozmawiać. Chodził zgarbiony i obnosił się ze swym pełnym urazy milczeniem — im więcej ludzi na niego patrzyło, tym ta uraza była głębsza, choć w zamian nie zyskiwał nic prócz pomruków zniecierpliwienia. Jednakże gdy tylko wzrokiem obejmował Randa, Mata czy Thoma, w jego długonosej twarzy pojawiała się żądza mordu.

Gdy Rand napomknął Matowi, że prędzej czy później Gelb przysporzy im kłopotów, ten rozejrzał się po łodzi i powiedział:

— Czy możemy ufać któremukolwiek z nich?

Rzekłszy to powędrował poszukać sobie jakiegoś miejsca, gdzie mógł być sam, o ile można było być samotnym na łodzi, mierzącej zaledwie trzydzieści kroków od zakrzywionego dziobu do rufowego wiosła steru. Rand zauważył, że od tamtej nocy w Shadar Logoth Mat spędza zbyt wiele czasu w odosobnieniu, pogrążony w zadumie.

— Jak już przyjdzie co do czego, to ze strony Gelba kłopotów nie należy się spodziewać, chłopcze — powiedział Thom. — Przynajmniej jeszcze nie teraz. Nikt z załogi go nie poprze, a on nie ma w sobie tyle odwagi, by zrobić cokolwiek w pojedynkę. Ale co z pozostałymi...? Domon zdaje się uważać, że trolloki ścigają właśnie jego, natomiast reszta jest chyba przekonana, że niebezpieczeństwo już za nami. Niewykluczone, że stwierdzą zwyczajnie, że to wszystko im się znudziło. Widać, że są rozdrażnieni. — Wyglądał połą pstrokatego płaszcza, a Rand miał wrażenie, że szuka swych ukrytych noży, tego gorszego kompletu. — Jeżeli się zbuntują, to nie zostawią przy życiu swych pasażerów, jako świadków, chłopcze. Tak daleko od Caemlyn Nakazy Królowej mogą nie mieć zbyt wielkiej mocy, ale burmistrz byle wioski na pewno coś z tym zrobi.

Od tego momentu Rand również dbał o to, by go nie zauważano, kiedy przebywał w pobliżu członków załogi.

Thom starał się jak mógł, by odwieść załogę od myśli o buncie. Każdego ranka i wieczora opowiadał im różne historie z wszelkimi możliwymi upiększeniami, a tymczasem grał melodie, jakich tylko sobie życzyli. Aby uwiarygodnić twierdzenie, że Rand i Mat uczą się jego rzemiosła, przerabiał z nimi codziennie lekcje, które również stanowiły rozrywkę dla załogi. Nie pozwalał im co prawda dotykać harfy, zaś nauka gry na flecie wywoływała zbolale miny i śmiech ze strony członków załogi, mimo że zatykali sobie uszy.

Nauczył chłopców niektórych łatwiejszych opowieści, kilku prostych sztuk akrobacyjnych oraz, naturalnie, żonglerki. Mat skarżył się, że Thom żąda od nich zbyt wiele, ale bard tylko wydymał wąsy i piorunował go wzrokiem.

— Nie umiem udawać, że cię uczę, chłopcze. Albo czegoś uczę, albo nie. Ale dość gadania! Nawet prostak ze wsi potrafi stanąć na głowie. No dalej!

Ci członkowie załogi, którzy akurat nie pracowali, otaczali ich ciasnym kręgiem. Niektórzy próbowali nawet korzystać z lekcji Thoma, śmiejąc się z własnej niezdarności. Gelb stawał samotnie z boku i obserwował wszystko z wyrazem ponurej nienawiści.

Większą część dnia Rand spędzał przy nadburciu, opierał się o balustradę i obserwował brzeg. Nie spodziewał się, że nagle zobaczy Egwene albo kogoś z pozostałych na brzegu rzeki, jednakże łódź płynęła tak wolno, że czasami miał wątplą nadzieję. Konno mogli przecież dogonić ich bez specjalnego trudu. O ile jeszcze żyją.

Leniwe wody rzeki toczyły się bez żadnych oznak życia, a „Spray” była jak dotąd jedyną płynącą po nich łodzią. Nie znaczyło to jednak, że nie było czego oglądać albo podziwiać. Pierwszego dnia Arinelle wpłynęła między dwa urwiste cyple, które z obu stron ciągnęły się przez połowę mili. Na całej ich długości stały kamienne rzeźby wysokości stu stóp, przedstawiające mężczyzn i kobiety w koronach, z czego należało wnosić, że to jacyś królowie i królowe. Żadna z rzeźb w tej paradzie nie była jednakowa i długie lata dzieliły wykonanie pierwszej od ostatniej. Wiatr i deszcz sprawiły, że figury znajdujące się na północnym krańcu szeregu były już zupełnie gładkie i pozbawione szczegółów, lecz następne stawały się coraz bardziej zróżnicowane, w miarę jak płynęły na południe. Rzeka bezustannie oblewała stopy rzeźb, przez co część z nich rozmyła się już doszczętnie, a pozostałe zamieniły w wypolerowane kikuty.

„Od jak dawna one tu stoją — zamyślił się Rand. — Od jak dawna rzeka podmywa te kamienie?”

Członkowie załogi musieli już wielokrotnie oglądać te starożytne rzeźby, ponieważ nikt z nich nawet na nie nie spojrzał.

Innym razem, kiedy wschodnie nabrzeże ponownie przekształciło się w równinę porośniętą trawą, z rzadka przetykaną krzewami, w oddali promienie słoneczne odbiły się od czegoś.

— Co to może być? — Rand zastanowił się na głos. — Wygląda jak metal.

Przechodzący właśnie obok kapitan Domon zatrzymał się i spojrzał zmrużonymi oczyma w tamtą stronę.

— To jest metal — potwierdził. — Nadal wymawiał wszystkie słowa jednym ciągiem, ale Rand nauczył się go rozumieć. — To metalowa wieża. Widziałem ją z bliska, więc wiem to na pewno. Handlarze podróżujący po rzece używają jej jako drogowskiego. Przy takim tempie, będziemy w Białym Moście za dziesięć dni.

— Metalowa wieża? — spytał Rand, a Mat, który siedział na skrzyżowanych nogach wsparty o beczkę, wyrwał się na moment z zadumy, chcąc usłyszeć odpowiedź.

Kapitan skinął głową.

— A jakże. Z wyglądu i z dotyku błyszcząca stal, ale bez śladu rdzy. Ma dwieście stóp wysokości i jest tak szeroka jak jakiś dom, ale w jej gładkich murach nie ma żadnego otworu, przez który dałoby się wejść do środka.

— Założę się, że ona kryje skarb — powiedział Mat. Wstał i zapatrzył się w stronę odległej wieży. — Na pewno ją zbudowano po to, by coś schować.

— Może i tak, chłopcze — zagrmiał kapitan. — Są jednak na tym świecie i dziwniejsze rzeczy. Na Tremalking, jednej z wysp zamieszkiwanych przez Lud Morza, ze wzgórza wystaje kamienna dłoń wysokości pięćdziesięciu stóp, która trzyma kryształową sferę tak wielką, jak ta łódź. Pod tym wzgórzem jest na pewno skarb, o ile w ogóle gdziekolwiek jest jakiś, ale mieszkańcy wyspy nie życzą sobie, by ktoś obcy tam kopał, a ich samych nie interesuje nic prócz żeglowania i poszukiwania Coramoora, ich Wybranego.

— Ja tam bym kopał — powiedział Mat. — Jak daleko jest to... Tremalking?

Błyszcząca wieżę zasłoniła już kępa drzew, lecz on nie przestawał patrzeć w tamtym kierunku.

Kapitan Domon pokręcił głową.

— Nie, chłopcze, żaden skarb nie zastąpi oglądania świata. Dobrze jest znaleźć garść złota albo klejnoty po jakimś umarłym królu, jednak tak naprawdę to do następnego horyzontu ciągną tylko nowe dziwy. W Tanchico, to port na oceanie Aryth, stoi pałac Panarcha, jak powiadają, zbudowano go jeszcze w Wieku Legend. Jest tam mur z frezem przedstawiającym zwierzęta, jakich nikt nigdy nie widział.

— Każde dziecko potrafi narysować zwierzę, jakiego nikt nigdy nie widział — powiedział Rand, a kapitan zaśmiał się.

— Jasne, chłopcze, że potrafi. Ale czy dziecko potrafi wymyślić kości takich zwierząt? W Tanchico wszystkie mają kości, połączone z sobą dokładnie tak, jak u żywych zwierząt. Stoją w takiej części pałacu Panarcha, do której każdy może wejść i je oglądać. Pęknięcie Świata pozostawiło po sobie tysiące cudów i od tego czasu powstało wiele mocarstw, niektóre równie wielkie, jak królestwo Artura Hawkinga, i po każdym coś zostało. Światłne laski, stalowe koronki, prakamień. Kryształowa krata pokrywająca wyspę, która brzęczy, gdy wschodzi księżyc. Góra wyżłobiona na kształt misy, ze środka której wznosi się srebrny szpikulec wysokości stu piędzi i każdy, kto stanie w odległości mili od niego, umiera. Zardzewiałe ruiny, skorupy i różne inne rzeczy znalezione na dnie morza, o których wzmianki nie znajdziesz nawet w najstarszych księgach. Sam zebrałem parę takich przedmiotów dla siebie. Rzeczy, o których nigdy się nawet nie śniło, są tam w takiej ilości, jakiej nie znajdziesz nawet przez dziesięć swoich żywotów. To są takie dziwy, potrafiące cię tam przyciągnąć.

— W Piaszczystych Wzgórzach kiedyś wykopywaliśmy kości — powiedział powoli Rand. — Dziwne kości. Pochodziły z ryby, tak myślę, że z ryby, wielkiej jak ta łódź. Niektórzy powiadali, że kopanie na tych wzgórzach przynosi pecha.

Kapitan przyglądał mu się bacznie.

— Dopiero co wyprawiałeś się w świat, chłopcze, a już myślisz o domu? Świat zarzuci na ciebie haczyk i ty go połkniesz. Wyruszysz na poszukiwanie wschodu słońca, poczekaś i zobaczysz, a jeśli kiedykolwiek wrócisz, twoja wioska już zawsze będzie ci się wydawała za mała.

— Nie! — obruszył się Rand. Ile czasu już upłynęło, odkąd po raz ostatni myślał o Polu Emonda? O tym, co dzieje się z Tamem? Pewnie wiele dni, a miał wrażenie, że miesiące. — Któregoś dnia wrócę do domu, jeśli tylko będę mógł. Będę hodował owce, jak... jak mój ojciec i tak prędko już stamtąd nie odjadę. Czy nie mam racji, Mat? Jak tylko będziemy mogli, wrócimy do domu i zapomnimy o wszystkim innym.

Mat z wyraźnym wysiłkiem oderwał wzrok od znikającej wieży.

— Co? Ach tak, oczywiście. Pojedziemy do domu, to jasne.

Odwrócił się, by odejść, a Rand usłyszał jeszcze, jak mruczy pod nosem:

— Założę się, że on nie chce, by ktokolwiek inny szukał tego skarbu.

Wyraźnie nie zdawał sobie sprawy, że powiedział to trochę za głośno.

Czwartego dnia podróży Rand wdrapał się na maszt i usiadł na jego szczycie, zaczepiając nogi o sztagi. „Spray” sunęła spokojnie po rzece, lecz szczyt masztu znajdujący się na wysokości pięćdziesięciu stóp kołysał się gwałtownie, zataczając szerokie łuki. Rand odrzucił głowę w tył i śmiał się głośno do wiatru, który wiał mu prosto w twarz.

Wiosła były wyciągnięte, z tej perspektywy łódź przypominała pająka o dwunastu odnóżach, pełznącego w dół Arinelle. Bywał już na takich wysokościach, gdy wspinał się na drzewa w Dwóch Rzekach, ale tym razem gałęzie nie przesłaniały mu widoku. Wszystko na pokładzie — wiosłujący marynarze, ludzie szorujący pokład na klęczkach, uwijający się przy linach i lukach — wyglądało tak dziwnie z tego punktu, spłaszczone i skrócone, że przypatrywał im się całą godzinę, nie przestając się przy tym zaśmiewać.

Śmiał się jeszcze za każdym razem, gdy na nich spojrzeł, ale teraz obserwował uciekające brzegi rzeki. Mimo że kołysał się, miał wrażenie, że sam znieruchomiał i to brzegi powoli przesuwają się obok niego, drzewa i wzgórza maszerują obok siebie. On był nieruchomy, a cały świat pełzł dookoła.

Pod wpływem nagłego impulsu wyplątał nogi ze sztag i wystawiwszy ręce oraz nogi na boki, zaczął balansować. Wykonał tak trzy łuki, po czym nagle stracił równowagę. Zamachał rękoma i nogami, runął do przodu i uchwycił się forsztagu. Dyndał nogami po obu stronach masztu, przytrzymując się tej bezcennej żerdzi tylko rękoma zaczepionymi o sztagi i śmiał się. Połykał duże hausty rzeńskiego, zimnego wiatru i śmiał się z radości.

— Chłopcze! — dobiegł go ochryply głos Thoma. — Chłopcze, jeśli powzięłeś zamiar złamania tego swojego głupiego karku, to nie rób tego spadając na mnie.

Rand spojrzeł w dół. Thom przywarł do drabinki tuż pod nim i patrzył gniewnym wzrokiem w górę. Podobnie jak Rand, bard zostawił swój płaszcz na dole.

— Thom — powiedział z zachwytem. — Thom, kiedy tu wszedłeś?

— Kiedy przestałeś zwracać uwagę na krzyczących do ciebie ludzi. Niech szczenę, chłopcze, wszyscy pomyśleli, żeś zwariował.

Spojrzał w dół i ze zdziwieniem zauważył, że wszystkie twarze zwrócone są ku niemu. Jedynie Mat, który siedział ze skrzyżowanymi nogami na dziobie, tyłem do masztu, nie patrzył. Nawet ludzie przy wiosłach pozwolili, by rytm ich pracy uległ zakłóceniu. Nikt im za to nie wymyślał. Rand obrócił głowę, aby spojrzeć w stronę rufy. Kapitan Domon stał przy sterze, wsparłszy swe wielkie jak bochny chleba dłonie o pośladki i też patrzył. Rand obrócił się i uśmiechnął szeroko do Thoma.

— Chcesz, żebym zszedł?

Thom pokiwał energicznie głową.

— Bardzo by mnie to ucieszyło.

— W porządku. — Przesunął dłonie po forsztagu, a potem skoczył przed siebie z masztu. Usłyszał, jak Thom mnie w ustach przekleństwo, gdy jego skok się nie powiodł i zawisł ponownie w powietrzu, uczepiony rękoma forsztagu. Bard spojrział na niego chmurnie i wyciągnął dłoń, aby go schwycić. Uśmiechnął się znowu do Thoma. — Już schodzę na dół.

Machając nogami w powietrzu, zaczepił kolanem o grubą linę, która biegła z masztu do dzioba, po czym oplótł ją łokciem i rozprostował dłonie. Powoli, z narastającą szybkością, zsuwał się w dół. Gdy znalazł się tuż nad dziobem, zeskoczył na pokład przed siedzącym tam Matem, zrobił krok dla złapania równowagi i odwrócił się w stronę wnętrza łodzi z wyciągniętymi szeroko ramionami, w taki sam sposób, w jaki to robił Thom po wykonaniu sztuczki akrobatycznej.

Członkowie załogi zgotowali mu skąpe oklaski, ale on patrzył ze zdziwieniem na Mata i na, dotychczas ukrywany przed wszystkimi przedmiot, który trzymał w ręku. Zakrzywiony sztylet z pochwą pokrytą dziwnymi symbolami. Rękojeść miał oplecioną cienkim złotym drutem i ozdobioną rubinem tak wielkim jak paznokiec kciuka Randa, poprzeczki tworzyły złote węże, obnażające kły.

Mat przez chwilę wsuwał i wysuwał sztylet z pochwy. Powoli podnosił wzrok, nie przerywając zabawy, w zamglonych oczach czaiła się pustka. Nagle zauważył Randa, wzdrygnął się i schował sztylet w zakamarkach płaszcza.

Rand przykucnął i wsparł dłonie na kolanach.

— Skąd to masz? — Mat nic nie odpowiedział, tylko rozejrzał się szybko dookoła, czy ktoś jeszcze na nich nie patrzy. O dziwo byli zupełnie sami. — Nie zabrałeś tego chyba z Shadar Logoth, prawda?

Mat patrzył na niego.

— To twoja wina. Twoja i Perrina. Wy obydwaj odciągnęliście mnie od skarbu, a ja wtedy trzymałem już go w ręce. Mordeth mi go nie dał. Sam go wziąłem, więc ostrzeże-

nia Moiraine, abyśmy nie przyjmowali podarunków, nie liczą się. Nie mów o tym nikomu, Rand. Mogą chcieć mi to ukraść.

— Nikomu nie powiem — obiecał Rand. — Kapitan Domon jest chyba uczciwy, ale nie ręczyłbym za nikogo z pozostałych, a szczególnie za Gelba.

— Absolutnie nikomu — nalegał Mat. — Ani Domonowi, ani Thomowi, ani nikomu. Tylko my dwaj zostaliśmy z Dwóch Rzek, Rand. Nie możemy nikomu ufać.

— Oni żyją, Mat. Egwene i Perrin. Wiem, że żyją. — Mat wyglądał na zawstydzonego. — Ale zachowam twój sekret. Zostanie między nami. Przynajmniej teraz nie musimy się martwić o pieniądze. Możemy go sprzedać za tyle pieniędzy, że dojedziemy do Tar Valon jak królowie.

— Pewnie — powiedział Mat po chwili namysłu. — O ile będziemy musieli. Tylko nie mów o tym nikomu, dopóki na to nie pozwolę.

— Już powiedziałem, że tego nie zrobię. Słuchaj, czy miałeś tu na łodzi jakieś sny? Takie jak w Baerlon? Po raz pierwszy mam okazję zapytać o to bez świadków.

Mat odwrócił głowę, patrząc na niego z ukosa.

— Może.

— Co niby ma znaczyć to może? Miałeś albo nie miałeś.

— No dobrze, już dobrze, miałem. Ale nie chcę o tym rozmawiać. Nie chcę nawet o tym myśleć. To się na nic nie zda.

Zanim którykolwiek z nich zdążył coś powiedzieć, pojawił się Thom z płaszczem przewieszonym przez ramię. Wiatr rozwiewał jego siwe włosy, a długie wąsy zdawały się jeżyć.

— Udało mi się przekonać kapitana, że nie postradałeś rozumu — obwieścił — i że to wszystko było częścią twych nauk. — Schwycił linę forsztaga i potrząsnął nim. — Ta twoja durna sztuczka z zsuwaniem się po linie okazała się pomocna, ale i tak masz szczęście, że nie złamałeś sobie karku.

Wzrok Randa powędrował od forsztaga aż po sam wierzchołek masztu i w tym momencie opadła mu szczęka. Ześlizgnął się z czegoś takiego. I siedział na czubku...

Nagle zobaczył tam samego siebie z rozpostartymi rękami i ramionami. Usiadł ciężko na pokładzie i omal nie przewrócił się na plecy. Thom przypatrywał mu się z uwagą.

— Nie myślałem, że masz taką dobrą głowę do wysokości, chłopcze. Moglibyśmy zrobić przedstawienie w Illian, Ebou Dar albo w Łzie. Ludzie w wielkich miastach na południu lubią linoskoczków.

— Przecież jedziemy do... — W ostatniej chwili Rand przypomniał sobie, że powinien się rozejrzeć, czy ktoś ich nie podsłuchuje. Obserwowało ich kilku członków załogi łącznie z Gelbem, ale nikt nie słyszał, co mówi. — Do Tar Valon — dokończył. Mat wzruszył ramionami; jakby mu było wszystko jedno, dokąd jadą.

— Na razie — powiedział Thom, siadając obok nich — ale jutro, kto wie? Różnie to bywa, gdy się jest bardem. — Wyjął z jednego ze swych szerokich rękawów kilka kolorowych piłeczek. — A ponieważ już cię ściągnąłem na dół, to popracujemy nad żonglowaniem trzema piłeczkami.

Wzrok Randa ponownie powędrował do szczytu masztu. Przeszył go dreszcz.

„Co się ze mną dzieje? Światłości, odpowiedz.”

Musi znaleźć odpowiedź. Musi się dostać do Tar Valon, zanim oszaleje.

LUD WĘDROWCÓW

Bela spokojnym krokiem pokonywała oświetloną promieniami bladego słońca drogę, zupełnie jakby trzy wilki, drepczące za nią w niewielkiej odległości, były zwykłymi wioskowymi psami. Jednakże sposób, w jaki od czasu do czasu spoglądała w ich stronę błyskając białkami, wskazywał, że czuje coś wręcz przeciwnego. Egwene, jadąca na grzbiecie kłaczy, przeżywała równie przykre chwile. Nie przestawała obserwować wilków kątem oka i co jakiś czas obracała się w siodle, by obejrzeć się za siebie. Perrin był pewien, że wypatruje reszty stada. Kiedy jednak to zasugerował, zaprzeczyła ze złością, twierdząc, że wcale się nie boi ani podążających za nimi trzech wilków, ani reszty stada oraz jego zamiarów. Zaprzeczyła, a jednak stale wodziła dokoła czujnym wzrokiem i nerwowo oblizywała wargi.

Całe stado było bardzo daleko, mógł jej to powiedzieć.

„No i co z tego, gdyby mi nawet uwierzyła? Zwłaszcza gdyby mi uwierzyła?”

Nie miał zamiaru wyciągać wszystkich asów z rękawa dopóty, dopóki nie będzie musiał. Nie chciał się zastanawiać nad tym, skąd wie. Ubrany w futro mężczyzna szedł przed nimi, stawiając długie kroki. Sam czasami przypominał wilka, a gdy pojawiały się Łatka, Skoczek i Wiatr, nawet bez oglądania się wiedział, że są blisko.

Tamtego pierwszego poranka wstali o świcie. Elyas znowu piekł królika i przypatrywał im się obojętnie znad swej gęstej brody. Wszystkie wilki, z wyjątkiem Łatki, Skoczka i Wiatru, gdzieś się pochowały. Pomimo bladego światła brzasku pod wielkim dębem wciąż utrzymywał się głęboki cień, a otaczające ich nagie drzewa sterczały dookoła jak palce odarte do gołych kości.

— Są niedaleko — odparł Elyas, kiedy Egwene spytała, gdzie się podziała reszta stada. — Wystarczająco blisko, by przyjść z pomocą w razie potrzeby i dostatecznie daleko, by uniknąć ludzkich kłopotów, w jakie możemy się wpakować. Wystarczy, że przynajmniej dwoje ludzi przebywa razem, a prędzej czy później rodzą się kłopoty. Wilki pojawiają się obok nas, w razie gdybyśmy ich potrzebowali.

Perrin, który właśnie wbił zęby w kawałek pieczonego królika, poczuł łaskotanie gdzieś w głębi umysłu. Jakiś kierunek, ledwie wyczuwalny.

„Oczywiście! One są właśnie...”

Gorący sok wypełniający usta stracił nagle wszelki smak. Nadgryzł jedną z bulw, które Elyas upiekł w żarze ogniska smakowały trochę jak rzepa — ale jego apetyt zniknął.

Kiedy wyruszyli w drogę, Egwene uparła się, że obydwójce będą jechali na zmianę. Perrin już nawet nie próbował się spierać.

— Pierwsza kolejka jest twoja — powiedział.

Skinęła głową.

— Potem ty, Elyas.

— Wystarczą mi własne nogi — powiedział Elyas. Spojrzał na Belę, która przewróciła oczami, jakby była jednym z wilków. — A poza tym, ona chyba nie chce, bym jej dośiadał.

— Bzdura — stanowczym głosem odparła Egwene. — Nie ma po co tak się przy tym upierać. To sensowne, jeśli każdy będzie od czasu do czasu jechał. Sam powiedziałaś, że czeka nas długa droga.

— Powiedziałem nie, dziewczyno.

Zrobiła głęboki wdech, a Perrin zaczął się zastanawiać, czy uda jej się sterroryzować Elyasa tak samo jak jego, gdy nagle spostrzegł, że Egwene stoi z otwartymi ustami, nie mówiąc ani słowa. Elyas patrzył na nią, po prostu patrzył, żółtymi oczyma wilka. Dziewczyna cofnęła się przed wychudłym mężczyzną, oblizła wargi i znowu się cofnęła. Zanim Elyas zdążył się odwrócić, podeszła do Beli i wdrapała się na jej grzbiet. Gdy ruszyli na południe, Perrin uznał, że jego uśmiech również ma w sobie coś ze szczerzącej się wilczej paszczy.

Podróżowali w taki sposób przez trzy dni, kierując się na południowy wschód, na zmianę idąc i jadąc, a zatrzymywali się dopiero wtedy, gdy zmierzch zaczynał już gęstnieć. Elyas zdawał się pogardzać pośpiechem ludzi z miasta, ale nie zwykł marnować czasu, kiedy już trzeba było ruszać w drogę.

Rzadko kiedy widywali trzy towarzyszące im wilki. Każdej nocy podchodziły na jakiś czas do ogniska, a czasami pokazywały się na krótko za dnia, pojawiając się blisko w najmniej spodziewanym momencie i znikając w taki sam sposób. Jednakże Perrin wyczuwał ich obecność i wiedział, gdzie są. Wiedział, kiedy przeprowadzają zwiady na drodze przed nimi i kiedy obserwują pokonaną już przez nich drogę. Wiedział, że opuściły tereny, na których zazwyczaj polują, i że Łatka odesłała stado, by na nią zaczekało. Czasami myśl o trzech wilkach blakła w jego umyśle, ale na długo przedtem, zanim pojawiały się ponownie, wiedział, że niebawem wrócą. W dowolnym momencie mógł po prostu wskazać palcem, gdzie są, nawet wtedy, gdy wychodzili z lasu i wkraczali w rzadkie zagajniki porozdzielane wielkimi pokosami martwej trawy, w których wilcze cienie przemykały jak duchy. Nie wiedział, skąd to wie i próbował sobie wmówić, że to wyobraźnia płata mu figle, ale daremnie. Wiedział tak samo, jak wiedział Elyas.

Starał się zapomnieć o wilkach, ale one i tak wślizgiwały się w jego myśli. Odkąd spotkał Elyasa i wilki, przestał śnić o Ba'alzamonie. Jego sny, z tego co pamiętał po przebu-

dzeniu, opowiadały o wydarzeniach z poprzedniego dnia i były takie same, jakie mógłby śnić w domu... przed Zimową Nocą... przed Baerlon. Normalne sny — z jednym wyjątkiem. W każdym śnie przypominał sobie chwile ze swojego życia, jak prostował się nad miechem kowalskim pana Luhhana, by otrzeć pot z twarzy, albo odwracał się od dziewcząt z wioski tańczących na Łące, albo podnosił głowę znad książki czytanej przed kominkiem. Niezależnie od tego czy był pod dachem, czy na dworze, zawsze towarzyszył mu wilk. Wilk był zawsze zwrócony do niego tyłem, a on zawsze wiedział — co w snach wydawało się rzeczą normalną, nawet przy stole jadalnym Alsbet Luhhan — że żółte oczy wilka wypatrują tego, co może się zdarzyć, strzegą przed tym, co może się zdarzyć. Dopiero po przebudzeniu te sny wydawały się dziwne.

Wędrowali już trzy dni. Łatka, Skoczek i Wiatr przynosiły im króliki i wiewiórki, a Elyas pokazywał rośliny, w większości Perrinowi nie znane, które nadawały się do jedzenia. Jednego razu nieomal spod samych kopyt Beli wyprysnął królik i zanim Perrin zdążył nałożyć kamyk na procę, Elyas zabił go nożem z odległości dwudziestu kroków. Innym razem Elyas upolował z łuku tłustego bażanta, trafiając go w skrzydło. Jadalni o wiele lepiej niż wtedy, gdy byli zdani wyłącznie na siebie, jednak Perrin z przyjemnością wróciłby do tamtych skąpych racji, gdyby to się wiązało ze zmianą towarzystwa. Nie był pewien, co czuje Egwene, lecz sam z chęcią chodziłby głodny, gdyby mógł to robić pod nieobecność wilków. I tak trwało to trzeciego dnia, aż do popołudnia.

Przed nimi rozciągała się kępa drzew, większa od innych, które napotkali na drodze, mierząca dobre cztery mile szerokości. Słońce wisiało nisko na zachodzie, rzucając skośne cienie po prawej stronie; zrywał się wiatr. Perrin poczuł, że wilki przestały węszyć za nimi i niespiesznie wysforowały się naprzód. Nie wywęszyły i nie wypatrzyły niebezpieczeństwa. Egwene korzystała ze swojej zmiany jazdy na Beli. Nadszedł czas szukania miejsca na nocne obozowisko, a ten zagajnik wydawał się odpowiednim schronieniem.

Kiedy dojechali bliżej drzew, zza osłony roślinności wypadły trzy mastify, psy o szerokich pyskach, równie ogromne jak wilki, nawet cięższe. Błysnęły zęby obnażone w donośnym, dudniącym warkocie. Gdy tylko wybiegły na otwartą przestrzeń, zatrzymały się w miejscu, a od trojga ludzi nie dzieliło ich więcej niż trzydzieści stóp. Ich ciemne oczy płonęły morderczym światłem.

Bela, wystarczająco podenerwowana obecnością wilków, zarżała i byłaby zrzuciła Egwene ze swego grzbietu, gdyby Perrin natychmiast nie zamachnął się swoją procą. Nie było sensu używać topora, kamień ciśnięty prosto w żebra może zmusić najgroźniejszego psa do ucieczki.

Elyas machnął w jego stronę ręką, nie odrywając wzroku od zeszywniałych stworzeń.

— Tsst! Nie teraz!

Perrin uniósł brwi ze zdziwienia, ale posłusznie zwolnił obroty procy, aż w końcu luźno opadła u jego boku. Egwene udało się opanować zdenerwowaną klacz i teraz obydwie nie spuszczały oka z psów.

Mastify zjeżyły się i położyły płasko uszy, warkot dobywający się z ich gardeł przypominał odgłosy trzęsienia ziemi. Nagle Elyas podniósł rękę na wysokość ramienia i wydał długi, przenikliwy gwizd, który zdawał się nie mieć końca i z każdą chwilą przechodził w coraz wyższy ton. Warczenie urwało się nagle. Psy cofnęły się, skowycząc i odwracając łby, zupełnie jakby chciały odejść, coś jednak trzymało je w miejscu. Nie odrywały wzroku od palca Elyasa.

Elyas powoli opuszczał rękę a ton gwizdu stawał się coraz niższy. Psy przysiadły jednocześnie, aż w końcu położyły się płasko na ziemi, z jęzorami wywieszonymi z paszcz. Trzy ogony zamerdały.

— Widzisz? — powiedział Elyas, podchodząc do psów. Mastify zaczęły lizać go po dłoniach, a on drapał je po szerokich łbach i gładził uszy. — Nie są takie złe, na jakie wyglądają. Chciały nas nastraszyć, ale na pewno by nas nie pogryzły, chyba żebyśmy wjechali między te drzewa. W każdym razie nie ma się czego bać. Możemy pokonać następną zarośla przed zapadnięciem mroku.

Perrin spojrział na Egwene — miała otwarte usta. Zamknął swoje, głośno szcękając zębami.

Elyas przypatrywał się rosnącym przed nim drzewom i nie przestawał głaskać psów.

— Tu na pewno są Tuatha'anowie. Lud Wędrowców. — Gdy popatrzyli na niego, nie rozumiejąc, dodał: — Druciarze.

— Druciarze?! — wykrzyknął Perrin. — Zawsze chciałem zobaczyć Druciarzy. Czasami rozbijają obóz po drugiej stronie rzeki, blisko Taren Ferry, ale nie przychodzą do Dwu Rzek, o ile mi wiadomo. Nie wiem, dlaczego.

Egwene pociągnęła nosem.

— Prawdopodobnie dlatego, że ludzie z Taren Ferry są takimi samymi złodziejami jak Druciarze. Bez wątpienia któregoś dnia ograbią się nawzajem do sucha. Panie Elyasie, jeśli rzeczywiście są tu gdzieś Druciarze, to czy nie powinniśmy opuścić tego miejsca? Nie można dopuścić, żeby nam ukradli Belę i... no cóż, raczej nic więcej nie mamy, ale każdy wie, że Druciarze kradną wszystko.

— Łącznie z niemowlętami? — spytał kwaśnym tonem Elyas. — Porywają dzieci i w ogóle? — Splunął, a Egwene się zaczerwieniła. Ludzie opowiadali czasami jakieś historie o dzieciach, choć głównie celowali w tym Cenn Buie, Coplinowie albo Congarowie. Pozostałe opowieści były wszystkim znajome. — Mdli mnie czasem na myśl o Druciarzach, ale oni nie kradną więcej niż inni ludzie. Znacznie mniej niż niektórzy, których znam.

— Niedługo się ściemni, Elyasie — zauważył Perrin. — Musimy rozbić gdzieś tutaj obóz. Może więc u nich, jeśli zgodzą się nas przyjąć?

Pani Luhhan miała garnek naprawiony przez Druciarza i twierdziła, że jest lepszy od nowego. Pan Luhhan nie był wprawdzie szczególnie szczęśliwy, gdy słyszał z ust żony pochwały na temat ich dzieła, ale Perrin miał ochotę zobaczyć, jak oni to robią. Niemniej jednak w wyrazie twarzy Elyasa doszukał się jakiejś niechęci, której nie potrafił pojąć.

— Czy jest jakiś powód, dla którego nie powinniśmy?

Elyas pokręcił głową, ale niechęć wciąż było widać, w układzie ramion i zaciśniętych ustach.

— Czemu nie. Tylko nie zwracajcie uwagi na to, co oni mówią. Same głupoty. Wędrowcy zazwyczaj niczym się nie przejmują, ale czasami narzucają pewien określony sposób bycia, więc postępujcie tak samo jak ja. I nie zdradzajcie swoich tajemnic. Nie ma powodu, by opowiadać o wszystkim światu.

Gdy Elyas wprowadził ich między drzewa, psy wlokły się tuż obok, merdając ogonami. Perrin poczuł, że wilki zwalniają i wiedział, że nie przyjdą do tego miejsca. Nie bały się psów — pogardały psami, które wyrzekły się wolności, by móc spać przy ogniu — unikały ludzi.

Elyas szedł pewnym krokiem, jakby znał drogę, a gdy doszli prawie do samego środka zagajnika, zobaczyli wozy Druciarzy, rozproszone wśród dębów i jesionów.

Jak każdy z Pola Emonda, Perrin wiele słyszał o Druciarzach, chociaż nigdy żadnego nie widział, ich obóz okazał się dokładnie taki, jak się spodziewał. Mieszkali w wozach wysokich, drewnianych skrzyniach, polakierowanych i pomalowanych na jaskrawe kolory: czerwienie, błękity, żółcie i zielenie, a także inne barwy, których nazw nawet nie znał. Wędrowcy krzątali się wokół różnych zajęć, które ku jego rozczarowaniu okazały się bardzo zwyczajne: gotowanie, szycie, opieka nad dziećmi, naprawianie uprzęży, jednakże ich ubiory były jeszcze bardziej jaskrawe niż wozy — i najwyraźniej dobierane na chybił trafił, czasami płaszczy i bryczesy albo suknie i szal, dopasowane kolorami w taki sposób, że aż bolały oczy. Przypominali motyle krążące wśród dzikich kwiatów.

Czterech czy pięciu mężczyzn, znajdujących się w różnych miejscach obozowiska, grało na skrzypcach i fletach, a kilku ludzi tańczyło w takt muzyki, przypominając tęczowe kolibry. Pomiędzy ogniskami goniły się dzieci, bawiły się z psami. Były tu również mastify, dokładnie takie same, jak te, które na nich napadły, jednak dzieci ciągnęły je za uszy i ogony, wspinały się na ich grzbiety, a ogromne psiska przyjmowały to wszystko ze spokojem. Trójka stworzeń, towarzyszących Elyasowi, z wywieszonymi jęzorami wpatrywała się w brodatego mężczyznę, jakby to był ich najlepszy przyjaciel. Perrin potrząsnął głową. Były przecież tak wielkie, że mogły dosięgnąć jego gardła, prawie nie odrywając przednich łap od ziemi.

Muzyka nagle przestała grać i wtedy zauważył, że Druciarze patrzą na niego i jego towarzyszy. Nawet dzieci i psy przystanąły w miejscu i przypatrywały im się czujnie, jakby zaraz miały się rzucić do ucieczki.

Przez chwilę nie słychać było żadnego dźwięku, po czym zbliżył się do nich niski, siwowłosy starzec i pokłonił uroczyście Elyasowi. Był ubrany w czerwony kaftan z wysokim kołnierzem i w workowate, jaskrawozielone spodnie, z nogawkami wetkniętymi w cholewy wysokich butów.

— Witajcie przy naszych ogniskach. Czy znacie pieśń?

Elyas odklonił się w ten sam sposób, przyciskając obie ręce do piersi.

— Twe powitanie podnosi mnie na duchu, Mahdi, a wasze ogniska ogrzewają me ciało, jednakże pieśni nie znam.

— A więc będziemy nadal szukali — odparł dobitnym głosem siwowłosy mężczyzna. — Jak było, tak będzie, musimy tylko pamiętać, szukać i znaleźć. Z uśmiechem zatoczył ręką łuk w stronę ognisk, a w jego głosie pojawił się beztroski, radosny ton. — Strawa jest już prawie gotowa. Bardzo proszę, przyłączcie się do nas.

Jakby te słowa stanowiły sygnał, znowu zabrzmiała muzyka, a dzieci na nowo zaczęły się śmiać i biegać z psami. Wszyscy mieszkańcy obozu powrócili do przerwanych zajęć, jakby przybysze byli ich znanymi od dawna przyjaciółmi.

Jednakże siwowłosy mężczyzna wahał się. Spojrzał na Elyasa.

— A twoi... przyjaciele? Powinni uważać. Tak bardzo przerażają te biedne psiska.

— Będą uważali, Raenie. — Elyas pokręcił głową z ledwie dostrzegalną pogardą. — Powinieneś już to wiedzieć.

Siwowłosy mężczyzna rozłożył ręce, jakby chciał dać do zrozumienia, że nic nigdy nie jest pewne. Kiedy się odwrócił, żeby ich zaprowadzić do obozu, Egwene zsiadła z klaczy i podeszła do Elyasa.

— Czy wy dwaj jesteście przyjaciółmi?

Uśmiechnięty Druciarz zabrał Belę. Egwene oddała mu z niechęcią wodze, usłyszawszy wrogie prychnięcie Elyasa.

— Znamy się — odparł zwięźle mężczyzna odziany w futra.

— Czy on ma na imię Mahdi? — spytał Perrin.

Elyas odburknął coś ledwie słyszalnie.

— Nazywa się Raen. Mahdi to jego tytuł. Poszukujący. Jest przywódcą tej grupy. Możecie go nazywać Poszukującym, jeśli inne imiona wydają wam się dziwne. Jemu to nie będzie przeszkadzało.

— O co chodziło z tą pieśnią? — spytała Egwene.

— To z jej powodu wędrują — wyjaśnił Elyas — a przynajmniej tak twierdzą. Szukają pieśni. Jej właśnie szuka Mahdi. Mówią, że stracili ją podczas Pęknięcia Świata i jeśli ją znajdą, wówczas na nowo nastanie raj Wieku Legend. — Omiótł wzrokiem cały teren obozowiska i wycedził: — Nawet nie wiedzą, jak brzmi ta pieśń. Twierdzą, że kiedy ją

znajdą, to rozpoznają. Nie wiedzą też, jakim sposobem pieśń ma sprowadzić na powrót raj, ale szukają jej od blisko trzech tysięcy lat, od samego Pęknięcia. Spodziewam się, że będą jej tak szukać do chwili, gdy Koło przestanie się obracać.

Doszli już do ogniska Raena, płonącego w samym sercu obozu. Wóz Poszukującego był żółty i obrzeżony na czerwono, a szprychy wysokich kół o czerwonych obręczach na przemian czerwone i żółte. Z wozu wyłoniła się przysadzista kobieta, równie siwo-włosa jak Raen, o wciąż jednak gładkich policzkach. Przystanęła na tylnych schodkach, poprawiając szal z niebieskimi frędzlami na ramionach. Miała żółtą bluzkę i czerwona spódnicę, obydwie w bardzo jaskrawych barwach. Widząc tę kombinację, Perrin zamrugał gwałtownie, a Egwene wydała z siebie zduszony okrzyk.

Na widok ludzi idących tuż za Raenem zeszła na dół, uśmiechając się na powitanie. Ila, żona Raena, o głowę przewyższała swego męża. Perrin wkrótce zapomniał o barwach jej ubioru. Miała w sobie macierzyńskość, którą przypominała mu panią al'Vere i już od jej pierwszego uśmiechu czuł, że jest tu mile widziany.

Ila powitała Elyasa jak starego znajomego, jednakże z pewnym dystansem, który wydawał się ranić Raena. Elyas obdarzył ją cierpkim grymasem i skinieniem głowy. Perrin i Egwene przedstawili się, a ona uściskała im dłonie ze znacznie większym ciepłem niż to, które okazała Elyasowi. Egwene nawet uściskała.

— Jakaś ty śliczna, maleńka — powiedziała z uśmiechem, ujmując podbródek dziewczyny. — Pewnie przemarzłaś do szpiku kości. Usiądź blisko ognia, Egwene. Wszyscy usiądźcie. Kolacja już prawie gotowa.

Wokół ogniska poukładane były kłody, na których można było usiąść. Elyas nie zgodził się nawet na takie ustępstwo względem cywilizowanych obyczajów i przycupnął na ziemi. Na żelaznych trójnogach porostawianych nad ogniskiem wisiały dwa małe kociołki, a na skraju węgla stał piecyk. Ila zakrzętnęła się przy nich.

Gdy Perrin i pozostali zajmowali miejsca, do ogniska podszedł szczupły młody mężczyzna, ubrany w pasiasty zielony strój. Uściskał Raena i ucałował Ilę, natomiast Elyasa i mieszkańców Pola Emonda obdarzył chłodnym spojrzeniem. Był mniej więcej w tym samym wieku co Perrin, a poruszał się w taki sposób, jakby przy następnym kroku miał zacząć tańczyć.

— Cóż, Aramie... — Ila uśmiechnęła się dobrotliwie — czyżbyś postanowił zjeść dla odmiany kolację z dziadkami? — Jej uśmiech prześlizgnął się po Egwene, kiedy przykłękała, by zamieszać w garnku wiszącym nad ogniskiem. — Ciekawe dlaczego?

Aram z gracją przykucnął — z dłońmi wspartymi na kolanach — po przeciwległej stronie ogniska, dokładnie naprzeciwko Egwene.

— Mam na imię Aram — powiedział do niej niskim, porozumiewawczym głosem. Od tego momentu wydawał się nie dostrzegać nikogo oprócz niej. — Czekałem na pierwszą różę wiosny, a znalazłem ją przy ognisku mego dziadka.

Perrin czekał na jakieś wzgardliwe parsknięcie Egwene, jednak ona wpatrywała się tylko w Arama. Spojrzał ponownie na młodego Druciarza. Musiał przyznać, że Aramowi natura nie poskąpiła urody, po jakiejś chwili zorientował się, kogo mu przypomina. Wila al'Seena, za którym wodziły wzrokiem i o którym szeptem rozprawiały wszystkie dziewczęta, gdy tylko przyjeżdżał z Deven Ride do Pola Emonda. Wil adorował każdą dziewczynę, jaka pojawiła się w zasięgu jego wzroku i udawało mu się przekonać każdą, że wobec wszystkich pozostałych jest tylko uprzejmy.

— Te wasze psy — powiedział głośno Perrin, a Egwene aż podskoczyła w miejscu — są takie wielkie, że przypominają niedźwiedzie. Dziwię się, że pozwalacie dzieciom bawić się z nimi.

Uśmiech na ustach Arama znikł, lecz gdy spojrzął na Perrina, pojawił się znowu, jeszcze pewniejszy.

— Nie zrobią ci nic złego. Popisują się, aby odstraszać niebezpieczeństwo i ostrzegać nas, ale są wytrenowane zgodnie z Drogą Liścia.

— Droga Liścia? — spytała Egwene. — Co to takiego?

Aram wskazał ręką drzewa, nie odrywając od niej wzroku.

— Liść żyje w wyznaczonym mu czasie i nie walczy z wiatrem, który go unosi. Liść nie czyni szkody i ostatecznie spada, by żywić następne liście. Tak być powinno z wszystkimi mężczyznami. I kobietami.

Egwene spojrzała mu w oczy, a na jej policzkach wykwitł błądy rumieniec.

— Ale co to oznacza? — spytał Perrin.

Aram zlustrował go zirytowanym spojrzeniem, ale zamiast niego odpowiedział Raen.

— To oznacza, że żaden człowiek nie powinien nigdy czynić krzywdy drugiemu. — Oczy Poszukującego błysnęły w stronę Elyasa. — Nie ma wytłumaczenia dla przemocy. Żadnej i nigdy.

— A jeśli ktoś cię atakuje? — dopytywał się Perrin. — Jeśli ktoś cię uderzy, chce cię obrabować albo zabić?

Raen westchnął, westchnieniem pełnym cierpliwości, jakby Perrin nie wiedział tego, co dla niego było oczywiste.

— Gdyby jakiś człowiek mnie uderzył, to spytałbym, dlaczego to zrobił. Gdyby nadal chciał mnie bić, wówczas uciekłbym. Tak samo bym postąpił, gdyby chciał mnie obrabować albo zabić. Znacznie lepiej pozwolić, by zabrał mi to, co chce, nawet życie, niż samemu uciekać się do przemocy. I miałbym nadzieję, że jemu samemu nie stała się zbyt wielka krzywda.

— Powiedziałeś przecież, że byś go nie zranił — zauważył Perrin.

— Nie zraniłbym, jednakże przemoc rani tego, który ją stosuje, w równym stopniu jak tego, przeciwko komu jest skierowana.

Perrin spojrział na niego z powątpiewaniem.

— Mógłbyś ściąć drzewo swoim toporem — powiedział Raen. — Topór oznacza przemoc wobec drzewa, sam wychodzi bez szwanku. Czy tak na to właśnie patrzysz? Drewno jest miękkie w porównaniu ze stałą, lecz stal się tępi od rąbania, a soki drzewa wżerają się w nią i sprawiają, że rdzewieje. Potężny topór zadaje gwałt bezbronemu drzewu i sam jest przez nie raniony. Tak samo jest z ludźmi, choć krzywda dotyczy ich dusz.

— Ale...

— Dosyć — warknął Elyas, przerywając Perrinowi w pół słowa. — Raen, niedobrze, że starasz się nawracać wioskowych młodzików na te bzdury. To przez nie przecież nieomal wszędzie ściągacie na siebie kłopoty, czyż nie tak? Nic ci jednak z tego nie przyjdzie, jak będziesz tak nad nimi pracował. Zostaw to.

— I zostawić ich tobie? — zapytała Ila. Kruszyła właśnie w palcach zioła i wsypywała je do kociołków. Mówiła spokojnym głosem, lecz jej dłonie rozcierały zioła ze wściekłością. — Będziesz ich uczył swoich sposobów: zabij, bo inaczej zginiesz? Czy chcesz ich skazać na los, jakiego sam się dopraszasz, na samotną śmierć, po której kruki i twoi... twoi przyjaciele będą walczyć o trupa?

— Zachowaj spokój, Ila — powiedział łagodnie Raen, jakby słyszał już to wszystko setki razy. — On został przyjęty do naszego ogniska, żono moja.

Ila poddała się, jednak Perrin zauważył, że nie wygłosiła żadnych przeprosin. Spojrzała tylko na Elyasa, ze smutkiem potrząsnęła głową, a potem otrzepała dłonie i zaczęła wyjmować gliniane miseczki oraz łyżki z czerwonej szafki przymocowanej do ściany wozu.

Raen zwrócił się znowu do Elyasa.

— Mój stary przyjacielu, ile razy mam ci powtarzać, że nam nie wolno nikogo nawracać. Kiedy ludzie z wioski pytają o nasze życie, to zaspokajamy ich ciekawość. Pytają najczęściej młodzi, to prawda, a czasami jeden z nich zabiera się z nami, kiedy wyruszamy w drogę, ale czyni to wyłącznie z własnej woli.

— Spróbuj to powiedzieć jakiejś żonie farmera, która właśnie odkryła, że jej syn albo córka uciekli do was, Druciarzy — odparł kwaśnym tonem Elyas. — Dlatego właśnie w większych miastach nie pozwalają wam rozbijać obozu w okolicy. Ludzie ze wsi trzymają z wami, bo naprawiacie im różne rzeczy, ale w miastach tego nie potrzebują i nie lubią, jak namawiacie młodzież, by z wami uciekała.

— Nie wiem, na co pozwalają w miastach. — Cierpliwość Raena wydawała się nie mieć końca. Najwyraźniej nie miał w ogóle zamiaru się zezłościć. — W każdym razie nie sądzę, by udało nam się odnaleźć naszą pieśń w jakimś mieście.

— Nie chcę cię obrazić, Poszukujący — powiedział powoli Perrin — ale... Cóż, ja sam nie pragnę przemocy. Od wielu lat raczej z nikim się nie biłem, najwyżej podczas tur-

niejów świątecznych. Gdyby jednak ktoś mnie uderzył, to bym mu oddał. Gdybym tego nie zrobił, to byłoby to tak, jakbym go zachęcał, żeby mnie bił, kiedy tylko zapragnie. Niektórzy ludzie uważają, że mogą wykorzystywać innych i jeśli im się nie pokaże, że nie mogą, to będą tak bez końca znęcali się nad wszystkimi słabszymi od siebie.

— Niektórzy ludzie — rzekł Aram z przytłaczającym smutkiem w głosie — nie potrafią nigdy opanować swoich najprostszych instynktów.

Mówił to spoglądając wymownie w stronę Perrina, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie ma na myśli wyłącznie tych znęcających się nad innymi, o których mówił Perrin.

— Założę się, że często bywasz zmuszony do ucieczki — powiedział Perrin, a twarz młodego Druciarza zwięzła się w sposób wyraźnie nie mający nic wspólnego z Drogą Liścia.

— Moim zdaniem to ciekawe — powiedziała Egwene, patrząc groźnie na Perrina — spotkać kogoś, kto nie wierzy, że mięśnie potrafią rozwiązać każdy problem.

Aramowi powrócił dobry nastrój. Wstał i z uśmiechem podał jej rękę.

— Pozwól, że pokażę ci obóz. Właśnie odbywają się tańce.

— Bardzo chętnie.

Odwajemniła uśmiech.

Ila, która do tej pory wyciągała bochenki chleba z ognia, wyprostowała się.

— Ale kolacja już gotowa, Aramie.

— Zjem z matką — rzucił Aram przez ramię, prowadząc Egwene za rękę. — Obydwoje zjemy u mojej matki.

Błysnął triumfalnym uśmiechem w stronę Perrina. Egwene roześmiała się i obydwójce pobiegli.

Perrin już miał biec za nimi, ale powstrzymał się. Nic jej się nie powinno stać, jeżeli zgodnie z zapewnieniami Raena ludzie z obozu postępują wedle nakazów Drogi Liścia. Spojrzawszy na Raena i Iłę, odprowadzających przygnębionym wzrokiem swego wnuka, powiedział:

— Przepraszam. Jestem gościem i nie powinienem...

— Nie mów głupstw — uspokoiła go Ila. — To ani jego wina, ani twoja. Usiądź i jedz.

— Aram jest zagubionym młodym mężczyzną — dodał ze smutkiem Raen. — To dobry chłopiec, jednak czasem mi się zdaje, że trudno mu żyć zgodnie z Drogą Liścia. Tak bywa z niektórymi, obawiam się. Proszę. Moje ognisko należy do was. Usiądziecie?

Perrin powoli usiadł, nadal czując się niezręcznie.

— Co się dzieje z kimś, kto nie przestrzega nakazów Drogi? — spytał. — Chodzi mi oczywiście o Druciarzy.

Raen i Ila wymienili zmartwione spojrzenia, a Raen odparł:

— Opuszczają nas. Straceni idą żyć do wiossek.

Ila popatrzyła w kierunku, w którym odszedł jej wnuk.

— Straceni nie mogą zaznać szczęścia.

Westchnęła, lecz jej twarz była na powrót łagodna, gdy podawała im miseczki i łyżki.

Perrin wbił wzrok w ziemię, żałując, że w ogóle pytał i już więcej nie rozmawiali, ani wtedy gdy Ila napełniała miski gęstym gulaszem z warzyw i podawała im grube pajdy chrupiącego chleba, ani też podczas jedzenia. Gulasz był doskonały i Perrin zjadł trzy miski. Elyas, co zauważył z uśmiechem, zjadł cztery.

Po posiłku Raen nabił fajkę, a Elyas wyciągnął swoją i napełnił ją zawartością nieprzemakalnego mieszka Raena. Zapalili, ubili tytoń i ponownie zapalili, a potem rozsiedli się wygodnie, nadal nic nie mówiąc. Ila przyniosła sobie jakąś robótkę. Zachodzące słońce jarzyło się czerwienią nad wierzchołkami drzew. Obóz był już przygotowany do nocy, ale gwar jeszcze nie ucichł, lecz tylko się zmienił. Muzyków, którzy grali, gdy wkraczali do obozu, zastąpili inni i jeszcze więcej ludzi niż przedtem tańczyło w świetle ognisk, ich cienie podskakiwały na ścianach wozów. Gdzieś rozległ się chór męskich głosów. Perrin zsunął się z kłody na ziemię i wkrótce poczuł, że zbiera mu się na drzemkę.

Po jakimś czasie odezwał się Raen:

— Czy odwiedzałeś jakichś Tuatha'anów, Elyasie, od czasu, gdy widziałeś się z nami ubiegłej wiosny?

Oczy Perrina otworzyły się i zaraz przymknęły do połowy.

— Nie — odparł Elyas, nie wyciągając fajki z ust. — Nie lubię, jak otacza mnie zbyt wielu ludzi.

Raen parsknął śmiechem.

— Szczególnie tacy ludzie, którzy żyją w zupełnie odmienny sposób niż ty, co? Nie, mój stary przyjacielu, nie przejmuj się. Już wiele lat temu porzuciłem nadzieję, że wstąpisz na Drogę. Jednakże od czasu, kiedy się po raz ostatni spotkaliśmy, słyszałem pewną opowieść i być może ona cię zaciekawi, jeśli jej jeszcze nie słyszałeś. Mnie ona bawi i wysłuchuję jej wielokrotnie, za każdym razem, gdy spotykamy innych Wędrowców.

— Wysłucham.

— Wszystko zaczęło się dwa lata temu, od grupy Wędrowców, którzy pokonywali Pustkowie północną trasą.

Perrin otworzył szeroko oczy.

— Pustkowie? Pustkowie Aiel? Pokonywali Pustkowie Aiel?

— Niektórzy ludzie potrafią bez żadnych kłopotów przejść teren Pustkowie — powiedział Elyas. — Bardowie. Handlarze, jeśli są uczciwi. Lud Tuatha'an bezustannie przekracza Pustkowie. Przed Drzewem i Wojną o Aiel robili to także kupcy z Cairhien.

— Ludzie z Aiel nas unikają — powiedział ze smutkiem Raen — choć wielu próbowało nawiązać z nimi rozmowę. Obserwują nas z oddali, nie podchodzą blisko ani nie pozwalają nam się zbliżyć. Czasami martwię się, że to oni mogą znać pieśń, jakkolwiek sądzę, że to mało prawdopodobne. Nikt nie śpiewa w Aiel. Czy to nie dziwne? Kiedy chłopiec z Aiel staje się mężczyzną, nie śpiewa już niczego prócz melodii wojennych lub pieśni pogrzebowych dla zabitych. Słyszałem, jak śpiewają umarłym, a byli to tylko ci, którzy zostali zamordowani. To pieśń, która kamienie zmusza do płaczu.

Słuchająca go Ila przytaknęła znad swojej robótki.

Perrin przemyślał wszystko błyskawicznie. Dotychczas uważał, że Druciarze cały czas się boją, zważywszy na to ich gadanie o uciekaniu, jednakże nikt, kto się boi, nawet by nie pomyślał o przejściu przez Pustkowie Aiel. Z tego co słyszał, nikt przy zdrowych zmysłach nie próbowałby przechodzić przez Pustkowie.

— Jeśli to ma być opowieść o jakiejś pieśni... — zaczął Elyas, ale Raen potrząsnął głową.

— Nie, mój stary przyjacielu, nie o pieśni. Nie jestem pewien, czy w ogóle wiem, o czym ona jest. — Zwrócił uwagę na Perrina. — Młodzi Aielowie często podróżują do Wielkiego Ugoru. Jedni idą tam samotnie, z jakiegoś powodu uważając, że są powołani do zabicia Czarnego. Większość jednak udaje się tam w małych grupach. Żeby polować na trolloków. — Raen smutno pokręcił głową, a kiedy znowu zaczął mówić, w jego głosie pobrzmiwało przygnębienie. — Dwa lata temu grupa Wędrowców, przekraczająca Pustkowie w odległości jakichś stu mil na południe od Ugoru, spotkała jedną z takich grup.

— Młode kobiety — wtrąciła Ila, równie zbolałym tonem jak jej mąż. — Jeszcze prawie dziewczęta.

Perrin wydał odgłos zdumienia, a Elyas uśmiechnął się krzywo.

— Dziewczęta z Aiel nie muszą doglądać domu i gotować, kiedy nie chcą, chłopcze. Natomiast te, które pragną zostać wojowniczkami, przyłączają się do jednego z ugrupowań bojowych, *Far Dareis Mai*, co znaczy Panny Włóczni i walczą u boku mężczyzn. — Perrin pokręcił głową. Elyas roześmiał się, widząc wyraz jego twarzy. Raen podjął przerwana opowieść, a w jego głosie mieszały się niesmak i zakłopotanie. — Te młode kobiety były martwe, z wyjątkiem jednej, a i ta umierała. Podpełzła do wozów. Oczywiście wiedziała, że są Tuatha'anami. Choć jej odraza była większa od bólu, miała wiadomość tak dla niej ważną, że koniecznie chciała ją przekazać komukolwiek przed śmiercią. Mężczyźni poszli sprawdzić, czy nie mogą jakoś pomóc pozostałym... wiodły do nich ślady jej krwi... jednakże wszystkie były martwe, a obok leżała trzykrotnie większa liczba zabitych trolloków.

Elyas wyprostował się, fajka omal nie wypadła mu z ust.

— Sto mil w głębi Pustkowia? Niemożliwe? *Djevik K'Shar*, tak właśnie trolloki nazywają Pustkowie. Umierająca Ziemia. Nie zapuściłyby się sto mil w głąb Pustkowia, nawet gdyby wszyscy Myrddraale z Ugoru próbowali je tam zapędzić.

— Bardzo dużo wiesz o trollokach, Elyasie — zauważył Perrin.

— Mów dalej — powiedział gburowatym tonem Elyas do Raena.

— Sądząc po trofeach, które miała przy sobie tamta kobieta z Aiel, wszystkie właśnie wracały z Ugoru. Trolloki szły w ślad za nimi, jednakże z pozostałości po bitwie widać było, że bardzo niewiele z nich przeżyło, mimo iż wybiły całą grupę. Jeśli zaś chodzi o dziewczynę, to nie pozwoliła nikomu się dotknąć, nawet opatrzyć ran. Schwyciła jednak Poszukującego z tamtej grupy za rąbek kaftana i oto, co powiedziała, dokładnie słowo w słowo: „Ten Który Zabija Liść chce oślepić Oko Świata, Straceni. Chce zabić Wielkiego Węża. Ostrzeżcie Lud, Straceni. Nadchodzi Ten Który Odbiera Wzrok. Powiedz im, że mają się przygotować na Tego, Który Przychodzi o Świcie. Powiedz im...”. I w tym momencie umarła. Ten Który Zabija Liść i Ten Który Odbiera Wzrok — dodał Raen na rzecz Perrina — to imiona, które lud Aiel nadał Czarnemu, ale poza tym nic nie rozumiem z tego wszystkiego. Jednakże ona musiała to uważać za wyjątkowo ważne, skoro zbliżyła się do ludzi, którymi najwyraźniej pogardzała, chcąc przekazać te słowa tuż przed wydaniem ostatniego tchnienia. Ale komu? My sami jesteśmy Ludem, ale raczej nie sądzę, by myślała o nas. Ludowi Aiel? Nie pozwoliliby nam ich powtórzyć, nawet gdybyśmy próbowali. — Westchnął ciężko. — Nazwała nas Straconymi. Nigdy przedtem nie wiedziałem, że tak bardzo nami gardzą.

Ila odłożyła robótkę na kolana i delikatnie dotknęła jego skroni.

— Czegoś się dowiedziały w Ugorze — zadumał się Elyas. — Jednakże nie ma w tym żadnego sensu. Zabije Wielkiego Węża? Zabije sam czas? I oślepi Oko Świata? To znaczy tyle samo, co powiedzieć, że zagłodzi skałę na śmierć. Może ona bredziła, Raen. Ranna, umierająca, mogła stracić kontakt z rzeczywistością. Może nawet nie wiedziała, kim są Tuatha'anowie.

— Wiedziała, co mówi i do kogo to mówi. To było coś ważniejszego niż jej życie, a my tego nie rozumiemy. Kiedy zobaczyłem, że wchodzisz do naszego obozu, pomyślałem, że może ty wreszcie znajdziesz na to wszystko odpowiedź, skoro byłeś...

Elyas wykonał szybki ruch ręką i Raen powiedział coś innego, niż zamierzał.

— ...jesteś przyjacielem i znasz się na wielu dziwnych rzeczach.

— Nie na takich — odparł Elyas tonem ucinającym całą rozmowę.

Milczenie panujące teraz wokół ogniska przerywały jedynie muzyka i śmiechy dolatujące z innych części otulonego w nocny mrok obozowiska.

Spoczywając z ramionami wspartymi o jedną z kłód leżących dookoła ogniska, Perrin starał się rozwikłać zagadkę przesłania kobiety z Aiel, ale nie potrafił się w nim dopatrzeć więcej sensu niż Raen albo Elyas. Oko Świata. Pojawiało się w jego snach i to nie

jeden raz, jednak on nie chciał myśleć o tych snach. No i jeszcze Elyas. Bardzo pragnął uzyskać odpowiedź na pewne pytanie. Co Raen chciał powiedzieć na temat tego brodatego mężczyzny i dlaczego Elyas mu przerwał? Z tym też mu się nie powiodło. Usiłował sobie wyobrazić, jak wyglądają dziewczęta z Aiel — udające się do Ugoru, dokąd, z tego co słyszał, udawali się tylko Strażnicy, walczący z trollokami, i wtedy usłyszał śpiew powracającej Egwene.

Podniósł się niezdarnie i wyszedł jej na spotkanie, na skraj łuny światła padającej z ogniska. Zatrzymała się w pół kroku, patrząc na niego z przechyloną głową. W ciemności nie był w stanie odczytać wyrazu jej twarzy.

— Długo cię nie było — powiedział. — Dobrze się bawiłaś?

— Zjedliśmy kolację z jego matką — odparła. — A potem tańczyliśmy... i śmialiśmy się. Mam wrażenie, że minęły wieki, odkąd ostatni raz tańczyłam.

— On mi przypomina Wila al’Seena. Zawsze miałaś wystarczająco dużo rozsądku, by nie dać się kupić Wilowi.

— Aram jest miłym chłopcem, jest z nim wesoło — powiedziała ściśniętym głosem. — Dzięki niemu się śmiałam.

Perrin westchnął.

— Przepraszam. Cieszę się, że się dobrze bawiłaś na tańcach.

Nagle zarzuciła mu ramiona na szyję i zaczęła wylewać łzy prosto na jego koszulę. Poglądził ją niezdarnie po włosach.

„Rand wiedziałby, co robić” — pomyślał.

Rand wiedział, jak postępować z dziewczętami. Nie tak, jak on, który nigdy nie wiedział, co zrobić albo powiedzieć.

— Powiedziałem ci, że przepraszam, Egwene. Naprawdę się cieszę, że się dobrze bawiłaś na tańcach. Naprawdę.

— Powiedz mi, że oni żyją — wymamrotała w jego pierś.

— Co?

Odsunęła się na długość wyciągniętej ręki, trzymając dłonie na jego ramionach i spojrzała mu w twarz w ciemnościach.

— Rand i Mat. Pozostali. Powiedz mi, że oni żyją.

Wzjął głęboki oddech i rozejrzał się niepewnie dookoła.

— Żyją — powiedział w końcu.

— To dobrze. — Otarła szybko policzki palcami. — To właśnie chciałam usłyszeć. Dobrej nocy, Perrin. Śpij dobrze.

Stała na czubkach palców, pocałowała go w policzek i odbiegła od niego, zanim zdążył coś powiedzieć.

Odwrócił się i odprowadził ją wzrokiem. Ila wstała, by ją przywitać i obydwie kobiety weszły do wozu, cicho o czymś rozmawiając.

„Rand by to zrozumiał — pomyślał — ale ja nie”.

Gdzieś w oddali, w mroku, wilki zawyły do pierwszego cienkiego sierpa nowiu wschodzącego na horyzoncie. Zadrżał. Jutro będzie dość czasu, by martwić się wilkami. Mylił się. Czekwały, by powitać go w snach.

BIAŁY MOST

Ostatnia, niepewna nuta ledwie rozpoznawalnego „Wiatru, który kołysze wierzba” zamarła litościwie i Mat odjął od ust ozdobiony złotem i srebrem flet Thoma. Rand odjął ręce od uszu. Jakiś marynarz zwijający w pobliżu linę wydał z siebie głośnie westchnienie ulgi. Przez chwilę słychać było tylko plusk wody objającej się o kadłub, rytmiczne trzaskanie wiosel i co jakiś czas skrzywienie takielunku, targanego przez wiatr. Wiatr przestał dąć w dziób „Spray” i bezużyteczne żagle zostały zwinięte.

— Zdaje się, że powinienem ci podziękować — mruknął wreszcie Thom — za przekonanie mnie, ile jest prawdy w pewnym starym powiedzeniu: choćbyś nie wiem jak ją uczył, świnia nigdy nie zagra na flecie. — Marynarz wybuchnął śmiechem, a Mat podniósł flet, jakby chciał nim w niego rzucić. Thom zręcznie wyrwał instrument z ręki Mata i schował go do skórzanego futerału. — Myślałem, że wszyscy pasterze zabijają czas spędzany przy wypasie stada, grając na dudach albo flecie. To mi dowiodło, że nie należy ufać temu, czego się nie wie z pierwszej ręki.

— Rand jest pasterzem — burknął Mat. — To on gra na dudach, nie ja.

— No cóż, rzeczywiście wykazuje odrobinę zdolności. Chyba powinniśmy popracować nad żonglerką, chłopcze. Przynajmniej do tego masz trochę talentu.

— Thom — powiedział Rand — nie rozumiem, dlaczego tak się starasz. Zerknął na marynarza i zniżył głos. — Przecież wcale nie próbujemy zostać bardami. Dzięki temu możemy się tylko zakamuflować, dopóki nie znajdziemy Moiraine i pozostałych.

Thom skubał koniec wąsów i wydawał się przyglądać gładkiej, ciemnobrązowej skórze futerału fletu, leżącego na jego kolanach.

— A jeśli ich nie znajdziemy, chłopcze? Nie ma podstaw, by sądzić, że jeszcze żyją.

— Oni żyją — stwierdził stanowczo Rand. Odwrócił się w stronę Mata w poszukiwaniu wsparcia, jednakże brwi Mata były ściągnięte aż do nasady nosa, usta stanowiły cienką kreskę, a wzrok miał wbity w pokład. — No dobra, gadaj — powiedział mu Rand. — Nie możesz się tak wściekać o to, że nie umiesz grać na flecie. Ja też tego nie robię najlepiej. Nigdy przedtem nie chciałeś grać na flecie.

Mat podniósł wzrok, ale nadal się marszczył.

— A jeśli oni nie żyją? — spytał spokojnie. — Powinniśmy przyjmować fakty do wiadomości, racja?

W tym momencie pełniący wachtę na dziobie zakrzyknął:

— Biały Most! Przed nami Biały Most!

Przez dłuższą chwilę, ledwie wierząc, że Mat mógł powiedzieć coś takiego tak zwy-
czajnym tonem, Rand patrzył w oczy przyjacielowi. Dookoła nich krzatali się żeglarze,
gotujący się do przybicia do brzegu. Mat patrzył na niego chmurnym wzrokiem, z gło-
wą wciągniętą między ramiona. Rand tak wiele pragnął powiedzieć, jednak nie potrafił
ująć tego w słowa. Muszą wierzyć, że pozostali żyją. Muszą.

„Dlaczego?” — dręczył go głos, rozbrzmiewający gdzieś w jego umyśle. — „Więc to
wszystko ma się odbyć tak, jak w opowieściach Thoma? Bohaterowie znajdują skarb,
pokonują jakiegoś rzezimieszka, a potem żyją długo i szczęśliwie? Niektóre z jego opo-
wieści tak się nie kończą. Czasami nawet bohaterowie giną. Czy jesteś bohaterem, Ran-
dzie al’Thor? Czy jesteś bohaterem, pasterzu?”

Nagle Mat zaczerwienił się i odwrócił wzrok. Uwolniony od swoich myśli Rand ze-
rwał się, by przepchnąć się przez powstały harmider do poręczy. Mat ruszył za nim wol-
no, nawet nie starając się ustępować żeglarzom, którzy zachodzili mu drogę.

Mężczyźni biegali po całej łodzi, tupocząc bosymi stopami o pokład, ciągnąc liny,
rozwiązując i związując jakieś sznury. Niektórzy wyciągali wielkie nieprzemakalne wor-
ki, wypchane taką ilością wełny, że omal nie pękały, a inni z kolei szykowali łańcuchy
kotwiczne, grube jak przegub dłoni Randa. Pomimo całego pośpiechu, poruszali się
z wprawą ludzi, którzy robili to już tysiące razy, natomiast kapitan Domon tupał głośno
w deski pokładu, wykrzykując rozkazy i przeklinając tych, którzy nie pracowali dosta-
tecznie szybko, aby go zadowolić.

Uwaga Randa była zwrócona na wszystko, co leżało przed nimi, wszystko, co właśnie
wylaniało się zza łagodnego zakrętu Arinelle. Słyszał o tym w pieśniach, opowieściach
i wspomnieniach handlarzy, ale teraz widział legendę naprawdę.

Biały Most gwałcił się wysokim łukiem nad szeroko rozlanymi wodami, był co najmniej
dwa razy wyższy od maszty „Spray”, od końca do końca połyskiwał mleczną bielą w bla-
sku słońca, tak przyciągając światło, że aż wydawał się płonąć. Pająkowate filary z tego
samego budulca pogrążały się w rwącym nurcie, sprawiając wrażenie, że są zbyt kruche,
by utrzymać wagę i wielkość mostu. Zdawał się być wykonany z jednego kawałka, jakby
wyrzeźbiła go z kamienia albo odlała z metalu ręka olbrzyma. Wysoki i rozłożysty, prze-
skakiwał rzekę z niedbałą gracją, dzięki której oko nieomal zapominało o rozmiarach.
Przy nim miasteczko, położone u jego stóp na wschodnim brzegu, wydawało się skarła-
łe, mimo iż było o wiele większe od Pola Emonda, ze swymi domami z kamienia i cegły,
równie wysokimi jak domostwa w Taren Ferry i drewnianymi przystaniami, przypomi-
nającymi szczupłe palce wystające z rzeki. Przestrzeń Arinelle była gęsto usiana małymi
łodziemi, rybacy ciągnęli sieci. A nad tym wszystkim górował i błyszczał Biały Most.

— Wygląda jak szklany — powiedział Rand w przestrzeń.

Kapitan Domon zatrzymał się tuż za nimi i wetknął kciuki za swój szeroki pas.

— Nie, chłopcze. Cokolwiek to jest, to nie może być szkło. Choćby nie wiem jak ulewne deszcze tu padały, nigdy nie jest śliski, nawet najlepsze dłuto i najsilniejsza dłoń nie zostawi na nim rysy.

— Pozostałość po Wieku Legend — powiedział Thom. — Zawsze uważałem, że tak jest.

Kapitan wydał z siebie chłodny pomruk.

— Może. Ale i tak ciągle jest użyteczny. Mógł go jednak wybudować ktoś inny. Nie musi być dziełem Aes Sedai, niech mnie Fortuna ukarze. Wcale też nie musi być taki stary. Ciągnij mocniej, ty dumny głupcze!

Pognał po pokładzie.

Rand patrzył z jeszcze większym podziwem.

„Z Wieku Legend”.

A więc wybudowany przez Aes Sedai. To dlatego kapitan Domon tak się o nim wyrażał, pomimo wszystkiego, co opowiadał o cudach i dziwach świata. Dzieło Aes Sedai. Co innego o nim słyszeć, a co innego widzieć i dotykać.

„Wiesz o tym, prawda?”

Przez chwilę Randowi wydawało się, że po mlecznobiałej konstrukcji przebiegł jakiś cień. Odwrócił wzrok w stronę zbliżających się doków, ale most nadal majaczył w polu jego widzenia.

— Udało nam się, Thom — powiedział, a potem zmusił się do śmiechu. — I nie było żadnego buntu.

Bard tylko coś odburknął i wydał wasy, jednakże dwóch żeglarzy, szykujących obok łańcuch kotwiczny, obdarzyło Randa ostrymi spojrzeniami, po czym szybko pochylili się na powrót nad swoją pracą. Przestał się śmiać i starał się na nich nie patrzeć, dopóki nie dopłynęli do Białego Mostu.

„Spray” wykonała łagodny skręt tuż obok pierwszej przystani, wybudowanej z grubych kłód osadzonych na ciężkich, pokrytych smołą palach, a potem cofające się wiosła zatrzymały ją, wytwarzając pianę na powierzchni wody wokół piór. Po wciągnięciu wiosła żeglarze rzucili łańcuchy w stronę ludzi stojących na przystani, którzy przymocowali je zamaszystymi ruchami rąk, podczas gdy inni członkowie załogi przewiesili worki z wełną za burtę, aby ochronić kadłub przed otarciem o poręcz.

Jeszcze zanim łódź zawinęła gładko do nabrzeża, na drugim końcu przystani pojawiły się powozy, wysokie i polakierowane błyszczącą czernią, a na drzwiach każdego była wymalowana jakaś nazwa, wielkimi, złotymi albo szkarłatnymi literami. Powozy dojeżdżały na miejsce i od razu do trapu biegli ich pasażerowie — mężczyźni o gładkich twarzach, ubrani w długie aksamitne surduty, płaszcze podbite jedwabiem i sukienne ka-

masze, a za każdym z nich podążał służący w prostym ubraniu, niosący okutą żelazem kasetkę na pieniądze.

Podeszli do kapitana Domona z uśmiechami wymalowanymi na twarzach, które natychmiast zbladły, gdy ryknął w ich stronę:

— Ty! — Wystawił tłusty palec, zatrzymując Florana Gelba, który przebiegał wzdłuż burty łodzi. Siniak pozostawiony na jego czole przez but Randa zdążył już zniknąć, jednakże Gelb jeszcze od czasu do czasu dotykał palcem tego miejsca, jakby chciał o nim sobie przypomnieć. — Po raz ostatni przespiałeś wachty na moim statku! Lub na jakiegokolwiek innej łodzi, już ja się o to postaram. Wybieraj, co wolisz, przystań albo rzeka, ale wynoś się z mojego statku i to zaraz!

Gelb stulił ramiona, a jego oczy załśniły nienawiścią do Randa i jego przyjaciół, dla samego Randa przeznaczył szczególnie jadowite spojrzenie. Rozejrzał się po przystani w poszukiwaniu wsparcia, ale jego wzrok krył niewiele nadziei. Wszyscy członkowie załogi, jeden po drugim, prostowali się znad swoich zajęć i patrzyli na niego chłodno. Gelb wiał pod tymi spojrzeniami, po chwili jednak znowu zaczął piorunować wszystkich wzrokiem, dwakroć silniej niż poprzednio. Wymamrotał pod nosem jakieś przekleństwo i zbiegł pod pokład, do kajut. Domon posłał za nim dwóch ludzi, by dopatrzyli, czy nie robi tam jakiejś szkody, po czym odprawił go mruknięciem. Kiedy kapitan zwrócił się w stronę kupców, ponownie zaczęli się uśmiechać i kłaniać, jakby nic im nie przerwało.

Na hasło dane przez Thoma, Mat i Rand zaczęli zbierać swoje rzeczy. Nie było tego zbyt wiele, prócz ubrań noszonych na grzbiecie. Rand miał swoją derkę i sakwy siodła, a także miecz ojca. Trzymał miecz w ręku przez chwilę, tęsknota naparła na niego z taką mocą, że aż poczuł szczypanie w oczach. Zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy Tama. Albo dom. Dom?

„Spędzisz resztę życia uciekając, uciekając i bojąc się własnych snów.”

Poczuł, że przebiega go dreszcz, westchnął i wsunął miecz za pas opinający jego kftan.

Na pokładzie pojawił się ponownie Gelb w towarzystwie swych bliźniaczych cieni. Patrzył prosto przed siebie, jednakże Rand nadal czuł bijące od niego fale nienawiści. Dumnie wyprostowany, z pociemniałą twarzą, zszedł na sztywnych nogach po trapie i wepchnął się brutalnie w rzadki tłum ludzi stojących na przystani. Po chwili zniknął za powozami kupców.

Na przystani stała niewielka grupa ludzi. Prosto odziani robotnicy, rybacy naprawiający sieci i kilku ludzi z miasteczka, którzy wyszli powitać pierwszą łódź przypluwającą tego roku z Saldae. Żadna z dziewcząt nie była Egwene i nikt nie przypominał choć trochę Moiraine, Lana albo kogokolwiek, kogo Rand miał nadzieję zobaczyć.

— Może nie przyszli na przystań — powiedział.

— Może — odparł krótko Thom. Pieczołowicie umocował swoje skrzynki na plecach. — Obydwaj strzeżcie się Gelba. Będzie się starał narobić kłopotów, jeśli tylko będzie miał taką możliwość. Musimy przejechać przez Biały Most tak niepostrzeżenie, że już pięć minut po tym, jak znikniemy, nikt nie powinien pamiętać, że tu byliśmy.

Kiedy szli w stronę trapu, poły ich płaszczy łopotały na wietrze. Mat niósł swój łuk przyciśnięty do piersi. Pomimo wszystkich tych dni, które spędzili na pokładzie łodzi, nadal przyciągał wzrok niektórych marynarzy, bowiem ich własne łuki były bardzo krótkie.

Kapitan Domon opuścił kupców i zagroził drogę Thomowi.

— Opuszczasz mnie już, bardziej? Czy nie dasz się namówić do dalszej żeglugi? Płynę aż do Illian, gdzie ludzie odpowiednio poważają bardów. Nie znajdziesz lepszego miejsca na świecie dla swojej sztuki. Przywiozę cię tam w sam czas na Święto Sefan. Zawody, sam zresztą wiesz. Sto złotych marek dla tego, kto najlepiej opowie *Wielkie polowanie na Róg*.

— To wysoka nagroda, kapitanie... — odparł Thom, kłaniając się wymyślnie i wywijając płaszczem w taki sposób, że wszystkie łatki zatrzepotały. — ... I wspaniałe zawody, które słusznie ściągają bardów z całego świata. Jednakże — dodał oschłym tonem — obawiam się, że nie moglibyśmy sobie pozwolić na twoje ceny.

— No tak, cóż, jeśli chodzi o to... — Kapitan wyciągnął skórzaną sakiewkę z kieszeni kaftana i rzucił ją Thomowi. W środku coś zaszczękało, gdy Thom ją złapał. — To zwrot twoich opłat i jeszcze coś ponadto. Uszkodzenie nie jest takie duże, jak myślałem, a ty zapracowałeś sobie z nawiązką na podróż swoimi opowieściami i harfą. Być może mógłbym ci zapłacić tyle samo, gdybyś został na moim pokładzie aż do samego Morza Sztormów. I wysadziłbym cię na brzeg w Illian. Dobry bard może tam zarobić fortunę, nawet pomimo silnej konkurencji.

Thom zawahał się, ważąc sakiewkę w dłoni, lecz w tym momencie odezwał się Rand.

— Mamy się tu spotkać z przyjaciółmi, kapitanie, i potem razem jedziemy do Caemlyn. Odwiedzimy Illian innym razem. — Thom wykrzywił usta, wydał swe długie wąsy i schował sakiewkę do kieszeni.

— No chyba, że tu nie ma tych ludzi, z którymi mieliśmy się spotkać, kapitanie.

— Ach tak — odparł Domon kwaśnym tonem. — Przemyślcie to. Szkoda, że nie mogę trzymać na pokładzie Gelba, aby ściągał na siebie gniew innych, ale zawsze robię to, co postanowię. Zdaje się, że muszę teraz złagodnieć, nawet jeśli to oznacza, że będę płynął do Illian trzy razy dłużej niż trzeba. Cóż, może te trolloki ściagały was trzech.

Rand zamrugał, ale nie odezwał się ani słowem, jednakże Mat nie był taki ostrożny.

— A niby czemu nie? — spytał podniesionym tonem. — Polowały na ten sam skarb, co my.

— Może — mruknął kapitan, wyraźnie jednak nieprzekonany. Przeczesał grubymi palcami swoją brodę, po czym wskazał kieszeń, do której Thom schował sakiewkę i rzekł: — Dwa razy tyle, jeśli zechcesz odwracać uwagę moich ludzi od tego, jak bardzo ich wykorzystuję. Przemyśl to. Wypływam jutro wraz z pierwszym brzaskiem.

Odwrócił się na pięcie i podszedł z powrotem do kupców, rozkładając szeroko ręce, gestem przepraszając, że kazał im tak długo czekać.

Thom nadal się wahał, ale Rand ponaglił go do zejścia z trapu, nie dając mu szansy na żadną dyskusję. Bard posłusznie poszedł za nim. Przez tłum ludzi przeszedł szmer, kiedy zobaczyli naszywany łatkami płaszcz Thoma, a niektórzy nawet zaczęli coś wołać, chcąc się dowiedzieć, jakiego rodzaju występy proponuje.

„A mieliśmy przejść nie zauważeni” — pomyślał Rand z przerażeniem.

Zanim słońce zajdzie, w całym Białym Moście będzie głośno o tym, że do miasteczka przybył bard. Pogonił jednak Thoma, który pogrążony w ponurym milczeniu nawet nie próbował zwolnić, by pysznić się uwagą, jaką na siebie ściągał.

Stangreci powozów z zainteresowaniem spoglądali na Thoma ze swych wysokich siedzeń, ale najwyraźniej godność zajmowanego przez nich stanowiska zabraniała im krzyczeć. Nie mając żadnego pomysłu, dokąd się teraz udać, Rand ruszył ulicą, która biegła wzdłuż rzeki pod mostem.

— Musimy znaleźć Moiraine i pozostałych — powiedział. — I to szybko. Szkoda, że nie przyszło nam do głowy, żeby Thom zmienił płaszcz.

Thom nagle się otrząsnął i stanął jak wryty.

— Jakiś karczmarz będzie nam mógł powiedzieć, czy oni tu są albo czy już tędy przejeżdżali. Prawdziwy karczmarz. Tacy ludzie znają wszystkie wieści i plotki. Jeśli ich tu nie ma... — Spojrzał w przód i w tył, na Randa i Mata. — Musimy porozmawiać.

Ruszył w stronę miasta, odchodząc od rzeki, tak szybko, że płaszcz zawirował wokół jego łydek. Rand i Mat musieli przyspieszyć kroku, żeby go dogonić.

Szeroki, mlecznobiały łuk, który nadał miastu jego nazwę, przytłaczał Biały Most tak samo z bliska, jak z daleka, lecz w chwili, w której Rand znalazł się wśród ulic, stwierdził, że miasteczko jest równie duże jak Baerlon, choć nie tak tłoczne. Po ulicach jeździło kilka fur, ciągniętych przez konie, woły, osły albo ludzi, ale nie było wśród nich żadnych powozów. Najprawdopodobniej tylko kupcy je posiadali i teraz wszystkie były zgromadzone przy przystani.

Na ulicach ciągnęły się szeregi sklepów najrozmaitszego rodzaju, wielu rzemieślników pracowało przed swoimi warsztatami, pod szyldami huśtającymi się na wietrze. Minęli człowieka naprawiającego garnki i krawca wystawiającego zwój tkaniny ku światłu, by klient mógł ją lepiej obejrzeć. Siedzący w drzwiach warsztatu szewc stuknął młotkiem w obcas wysokiego buta. Domokrądcy krzykiem zachwalali swoje usługi w dziedzinie ostrzenia noży i nożyc albo usiłowali zainteresować przechodniów swo-

imi skromnymi tacami owoców czy warzyw, żaden jednak nie ściągał na siebie większego zainteresowania. Sklepy, w których sprzedawano jedzenie, dysponowały równie żalonymi wystawami towarów jak te, które Rand zapamiętał z Baerlon. Nawet rybacy wystawiali na sprzedaż nędzne stosy małych ryb, jako że wszystkie łodzie były akurat na rzece. Czasy nie były jeszcze takie ciężkie, jednakże każdy wiedział, co się stanie, jeśli pogoda wkrótce się nie zmieni, a te twarze, których nie wykrzywiało zmartwienie, wydawały się wpatrywać w coś niewidzialnego, coś nieprzyjemnego.

W samym środku miasta, tam gdzie zaczynał się most, znajdował się wielki plac, wybrukowany kamieniami, startymi przez całe pokolenia. Plac otaczały karczmy, sklepy i wysokie domy z czerwonej cegły, na froncie których wisiały tablice z tymi samymi nazwami, które Rand zauważył na drzwiach powozów. Do jednej z takich karczm, najwyraźniej wybranej na chybił trafił, zajrzał Thom. Szyld na drzwiach, kołyszący się na wietrze, pokazywał z jednej strony wędrowca z tobołkiem na plecach, a z drugiej tego samego człowieka z głową ułożoną na poduszce i obwieszczal, że jest to „Przystań Podróżnika”.

We wspólnej izbie było pusto, z wyjątkiem tłustego karczmarza nalewającego piwo z beczki, i dwóch mężczyzn, ubranych w proste rzeczy robotników, którzy siedzieli przy stole na tyłach sali i ponurym wzrokiem wpatrywali się w swoje kufle. Tylko karczmarz podniósł wzrok, kiedy weszli do środka. Całą salę dzieliła od frontu do samego tyłu ścianka sięgająca na wysokość ramienia i po obu jej stronach znajdowały się stoły i kominki, w których płonął ogień. Rand zaczął jałowo dociekać, czy wszyscy karczmarze są grubi i łysiejący.

Żwawo rozcierając dłonie, Thom wygłosił uwagę o wieczornym chłodzie i zamówił grzane wino korzenne, po czym dodał cicho:

— Czy jest tu jakieś miejsce, w którym mógłbym bez przeszkód porozmawiać z przyjaciółmi?

Karczmarz wskazał skinieniem głowy niską ściankę.

— Po drugiej stronie będzie najlepiej, chyba że chcecie wynająć pokój. Na ten czas, kiedy przyjdą tu żeglarze znad rzeki. Zdaje się, że połowa wszystkich załóg ma na pieńku z tą drugą. Nie chciałem, żeby mi zrujnowali karczmę, więc przedzieliłem ją na pół. — Przypatrywał się płaszczowi Thoma dłuższą chwilę, potem przekrzywił głowę z chytrym błyskiem w oczach. — Zostaniecie? Od jakiegoś czasu nie było tu żadnego barda. Ludzie zapłacą naprawdę godziwie, jeśli pozwoli im się zapomnieć o codziennych sprawach. Wziąłbym od was taniej za jedzenie i pokój.

„Nie zauważeni” — ponuro pomyślał Rand.

— Jesteś zbyt hojny — powiedział Thom i zgrabnie się uklonił. — Być może przyjmę twą propozycję. Na razie jednak potrzebujemy odrobinę prywatności.

— Przyniosę wam wina. Bardowie dostają tu duże pieniądze.

Przy stołach po drugiej stronie ścianki było zupełnie pusto, lecz Thom wybrał stojący na samym środku.

— Dzięki temu nikt nas nie będzie podsłuchiwał nie zauważony — wyjaśnił. — Słyszeliście, co mówił ten człowiek? Weźmie od nas taniej. Pewnie, samym siedzeniem tutaj podwoję mu obroty. Każdy uczciwy karczmarz daje bardowi pokój, wikt i jeszcze sporą zapłatę.

Nagi blat stołu nie był zbyt czysty, a podłogi nikt nie zamiatał od wielu dni, o ile nie tygodni. Rand rozejrzał się dookoła i skrzywił. Pan al'Veve nie dopuściłby do takiego bałaganu w swojej karczmie, nawet jeśli z tego powodu musiałby wstać z łoża boleści.

— Przyszliśmy tu tylko po to, by zdobyć informacje. Pamiętacie?

— Dlaczego tutaj? — spytał podniesionym tonem Mat. Mijaliśmy inne karczmy, w których było czyszej.

— Prosto od mostu — powiedział Thom — biegnie droga do Caemlyn. Każdy, kto przejeżdża przez Biały Most, przechodzi przez ten plac, chyba że podąży brzegiem rzeki, a my wiemy, że nasi przyjaciele tego nie robią. Jeśli nie zostawili żadnej wiadomości tutaj, to nie zostawili jej nigdzie. Pozwólcie, że ja będę mówił. To trzeba zrobić ostrożnie.

W tym właśnie momencie pojawił się karczmarz z trzema powyginanymi cynowymi kuflami w dłoni. Tłusty mężczyzna przejechał niedbale ścierką po blacie stołu i przyjął pieniądze od Thoma.

— Jeśli zostaniecie, to nie będziecie musieli płacić za trunki. A mamy tu dobre wino.

Uśmiech Thoma był ledwie widoczny.

— Przemyślę to, karczmarzu. Jakie tu macie wieści? Od jakiegoś czasu niczego nie słyszeliśmy.

— Niezwykłe wieści, ot co. Niezwykłe.

Karczmarz przerzucił sobie ścierkę przez ramię i przystawił krzesło. Skrzyżował ręce na stole, rozparł się z przeciągłym westchnieniem, mówiąc, że to ulga wreszcie usiąść. Nazywał się Bartim i dalej szczegółowo opowiadał o swoich stopach, o odciskach, bolesnych guzach, o tym, ile to czasu spędza na nogach, w czym je moczy, aż wreszcie Thom upomniał się znowu o wieści i wtedy przeszedł do nich, prawie nie robiąc przerw w monologu.

Wieści były rzeczywiście tak niezwykle, jak powiedział. Logain, fałszywy Smok, został pojmany po wielkiej bitwie w pobliżu granicy Lugard, kiedy starał się przemieścić swoją armię z Ghealdan do Łzy. Proroctwa, rozumieją chyba? Thom przytaknął, a Bartim mówił dalej. Drogi na południu są pełne ludzi, szczęśliwców, niosących to, co dali radę unieść na grzbiecie. Tysiące uciekają we wszystkich kierunkach.

— Nikt — Bartim zaśmiał się krzywo — oczywiście nie wspierał Logaina. O nie, nie łatwo będzie teraz znaleźć takich, którzy przyznają się do tego. Sami uchodźcy, starający się znaleźć bezpieczne miejsce na trudne czasy.

W pojmaniu Logaina brały naturalnie udział Aes Sedai. Mówiąc to Bartim splunął na podłogę i potem jeszcze raz, gdy opowiedział, jak zabierały fałszywego Smoka na północ do Tar Valon. Zaznaczył, że jest uczciwym człowiekiem, szanowanym, i jeśli o niego chodzi, to wszystkie Aes Sedai mogą sobie wracać do Ugoru, skąd się wzięły, i zabrać tam z sobą Tar Valon. Nie podszedłby do żadnej Aes Sedai bliżej niż na tysiąc mil, gdyby miał możliwość wyboru. Słyszał, że one oczywiście zatrzymują się w każdej wiosce i mieście po drodze na północ, żeby pokazywać Logaina. Żeby pokazać ludziom, iż fałszywy Smok został pojmany i że świat jest na powrót bezpieczny. Chętnie by to zobaczył, nawet gdyby to oznaczało podejście blisko do Aes Sedai. Czuł sporą pokusę, żeby się przejechać do Caemlyn.

— Zabierają go tam, żeby pokazać królowej Morgase. — Karczmarz z szacunkiem dotknął swego czoła. — Nigdy nie widziałem królowej. Człowiek powinien zobaczyć swoją królową, nie uważacie?

Logain potrafił robić różne „rzeczy”, a sposób, w jaki Barcim przewrócił oczami i przesunął językiem po wargach, wyjaśniał, co ma na myśli. Ostatni raz widział fałszywego Smoka przed dwoma laty, kiedy przemierzał okolice na czele parady, ale był to tylko jakiś prosty człowiek, który myślał, że zostanie królem. Tamtym razem nie trzeba było wzywać Aes Sedai. Żołnierze przykuli go łańcuchami do wozu, ponuro wyglądającego człowieka, który pojękiwał na deskach i zakrywał głowę rękoma, gdy ludzie obrzucali go kamieniami, albo poszturchiwali kijami. Bardzo się przykładali, a żołnierze nie robili nic, aby to ukrócić, dopóki nie groziło, że zostanie zabity. Pozwolili ludziom zobaczyć, że nie był nikim szczególnym. Nie potrafił robić żadnych „rzeczy”. Ale w przypadku tego Logaina byłoby na co popatrzeć. To coś, o czym Bartim mógłby opowiadać wnukom. Gdyby tylko mógł się wyrwać z karczmy.

Rand nie musiał udawać zainteresowania, z jakim wysłuchał tego wszystkiego. Kiedy Padan Fain przywiózł do Pola Emonda wieści o fałszywym Smoku, człowieku aktualnie będącym w posiadaniu Mocy, to były to najniezwyklejsze wieści, jakie od wielu lat dotarły do Dwu Rzek. Wydarzenia, które nastąpiły potem, zepchnęły tamtą opowieść w głębsze zakamarki pamięci, ale nadal był to temat, o którym ludzie rozprawiają całymi latami, i o którym opowiadają swoim wnukom. Bartim prawdopodobnie opowie swoim wnukom, że widział Logaina, niezależnie od tego, czy tak rzeczywiście było. Nikomu nawet nie przyjdzie na myśl, że to, co się zdarzyło wieśniakom z Dwu Rzek jest warte opowieści, co najwyżej może ludziom z Dwu Rzek.

— Z tego — powiedział Thom — wyszłaby niezła opowieść, opowieść, jaką się powtarza przez tysiąc lat. Żałuję, że mnie tam nie było. — Powiedział to takim głosem, jakby to była szczerą prawdą i Rand stwierdził, że tak pewnie jest. — Ale mógłbym choć postarać się zobaczyć go. Nie powiedzialesz, jaką drogą oni podążają. Może są tu jacyś podróżnicy stamtąd? Mogli coś słyszeć.

Bartim zbył go machnięciem brudnej ręki.

— Na północy wszyscy o tym wiedzą. Jak chcecie go zobaczyć, to jedźcie do Caemlyn. Tyle tylko wiem, a jeśli o czymkolwiek wiadomo w Białym Moście, to wiem o tym ja.

— Nie wątpię — odparł bez zająknięcia Thom. — Pewnie wielu obcych tu przyjeżdża. Twój sztyld przykuwał moje oko od samych stóp Białego Mostu.

— Musisz wiedzieć, że przyjeżdżają nie tylko z zachodu. Dwa dni temu był tu jeden człowiek, mieszkaniec Illian, z odezwą całą ozdobioną pieczęciami i wstęgami. Odczytał ją na samym środku placu. Mówił, że jedzie z nią aż do samych Gór Mgły, może nawet do oceanu Aryth, jeśli uda mu się pokonać przełęcze. Mówił, że posłańcy z tą odezwą zostali wysłani do wszystkich krajów na świecie. — Karczmarz pokręcił głową. — Góry Mgły. Słyszałem, że są okryte mgłą przez cały okrągły rok, a w niej kryją się stworzenia, które obedną całe twoje ciało do kości, zanim zdążysz uciec.

Mat parsknął pogardliwie, ściągając tym ostre spojrzenie Bartima.

Thom pochylił się z napięciem do przodu.

— O czym mówiła ta odezwa?

— No jakże, o polowaniu na Róg, oczywiście — wykrzyknął Bartim. — A nie powiedziałem tego? Illiańczycy wzywali wszystkich, którzy pragną oddać swe życie polowaniu, aby zebrali się w Illian. Możecie to sobie wyobrazić? Oddać swe życie legendzie? Myślę, że znaleźli jakichś głupców. Głupców wszędzie pełno. Ten człowiek twierdził, że zbliża się koniec świata. Ostatnia bitwa z Czarnym. — Zaśmiał się, ale był to pusty dźwięk, jakby karczmarz starał się przekonać samego siebie, że jest się z czego śmiać. — Zdaje się, że ich zdaniem trzeba znaleźć Róg Valere, zanim to się stanie. No i co o tym myślicie? — Przez chwilę w zamyśleniu obgryzał kłykieć dłoni. — Jasne, że nie wiedziałbym, jak się z nimi sprzeczać po tej zimie. Zima, ten cały Logain, a także dwaj inni przed nim. Dlaczego w ciągu ostatnich lat ci wszyscy ludzie twierdzili, że są Smokami? I ta zima. To musi coś oznaczać. Co wy o tym myślicie?

Thom zdawał się go nie słuchać. Łagodnym głosem barda zaczął recytować, jakby tylko dla siebie:

*W ostatniej, samotnej bitwie
Przeciwko długiej nocy nastaniu
Góra będzie strażnikiem
A martwy oddany czuwaniu
Bo nie jest grób przeszkodą
Na moje wezwanie.*

— O właśnie. — Bartim wyszczerzył zęby w uśmiechu, jakby już widział tłumy wręczające mu pieniądze podczas słuchania Thoma. — O właśnie. *Wielkie polowanie na*

Róg. Powiesz im to, a będą siadali nawet na tych krokwiach. Każdy słyszał o odezwie.

Thom nadal wydawał się przebywać tysiąc mil stąd, więc Rand powiedział:

— Szukamy kilku przyjaciół, którzy mieli tutaj przyjechać. Z zachodu. Czy było tu wielu przybyszów w ciągu ostatnich dwóch tygodni?

— Kilku — wolno odparł Bartim. — Zawsze ktoś tu przyjeżdża, i ze wschodu, i z zachodu. — Popatrzył kolejno na każdego z nich, nagle stając się czujny: — Jak oni wyglądali, ci wasi przyjaciele?

Rand otworzył usta, ale Thom, nagle powracając do nich duchem, obdarzył go ostrym spojrzeniem, które nakazywało zamilknąć. Z rozdrażnionym westchnieniem zwrócił się do karczmarza.

— Dwaj mężczyźni i trzy kobiety — powiedział z niechęcią. — Mogą być razem albo nie.

Zwięźle w kilku słowach opisał każde z nich, wystarczająco dokładnie jednak, by mogli być rozpoznani przez tego, kto ich ostatnio widział. Lecz nie zdradził, kim są.

Bartim przejechał dłonią po głowie, mierzwiąc swe rzadkie włosy, po czym wstał powoli.

— Zapomnij o występach w tym miejscu, bardziej. Prawdę mówiąc byłbym rad, gdybyście dopili swoje wino i wyjechali. Wyjechali z Białego Mostu, jeśli macie dość rozumu.

— Czy ktoś jeszcze o nich pytał? — Thom upił łyk wina, jakby odpowiedź na to była najmniej ważną rzeczą na całym świecie i uniósł brew. — Kto by to mógł być?

Bartim znowu podrapał się po głowie i przestąpił z nogi na nogę; jakby zaraz miał odejść, po czym przytaknął samemu sobie.

— Będzie z tydzień temu, chyba tak mogę powiedzieć, jak do Mostu przyszedł jakiś podejrzany jegomość. Szalony, tak wszyscy myśleli. Cały czas mówił do siebie, ani na chwilę nie przestawał się ruszać, nawet gdy stał w miejscu. Wypytywał o tych samych ludzi... niektórych z nich. Pytał, jakby to było ważne, a potem tak się zachowywał, jakby nie dbał o odpowiedź. Raz mówił, że musi na nich poczekać, a innym razem, że musi jechać dalej, że mu spieszno. W jednej chwili skamlał i błagał, a w drugiej wydawał rozkazy jak jakiś król. Ludzie ledwie nie złoili mu skóry, szalony czy nie szalony. Straż omal nie zabrała go do aresztu dla jego własnego bezpieczeństwa. Ruszył do Caemlyn tego samego dnia, cały czas mówiąc do siebie i płacząc. Szalony, jak powiedziałem.

Rand popatrzył pytająco na Thoma i Mata, a oni pokręcili przecząco głowami. Nawet jeśli ten podejrzany jegomość ich szukał, to nie był to ktoś, kogo rozpoznali.

— Jesteś pewien, że szukał tych samych ludzi? — spytał Rand.

— Niektórych. Tego wojownika i kobiety ubranej w jedwabie. Jednak nie o nich mu tak bardzo chodziło. Szukał trzech chłopców ze wsi. — Jego wzrok prześlizgnął się po twarzach Randa i Mata tak szybko, że Rand nie był pewien, czy na pewno zauważył to

spojrzenie, czy je sobie tylko wyobraził. — Szukał ich z wielką desperacją. Ale to był szaleniec, jak już mówiłem.

Rand zadrżał i zastanowił się, kim mógł być ów szalony człowiek i dlaczego ich szukał.

„Sprzymierzeniec Ciemności? Czy Ba'alzamon wykorzystałby szaleńca?”

— Ten był szalony, zaś ten drugi... — Bartim niepewnie poruszył oczami i przejechał językiem po wargach, jakby miał zbyt mało śliny, aby je zwilżyć. — Następnego dnia... następnego dnia po raz pierwszy pojawił się ten drugi.

Umilkł.

— Ten drugi? — ponaglił go w końcu Rand.

Bartim rozejrzył się dookoła, choć w ich części sali nie było nadal nikogo. Stał nawet na palcach i spojrzał ponad barierką. Kiedy się wreszcie odezwał, mówił szybko i pospiesznie.

— Jest cały ubrany na czarno. Kaptur płaszcz trzyma nasunięty na głowę, więc nie da się zobaczyć jego twarzy, ale czuje się, że patrzy na ciebie, czuje się to tak, jakby po kręgosłupie wędrowała ci bryłka lodu. On... rozmawiał ze mną. — Drgnął i zanim znowu przemówił, zagryzł dolną wargę. — Jego głos przypomina szuranie węża pełznącego po uschłych liściach. Czułem, jak żołądek zamienia mi się w bryłę lodu. Za każdym razem, kiedy tu wraca, zadaje te same pytania. Te same pytania, co tamten szaleniec. Nikt nigdy nie widział, skąd przychodzi. Pojawia się nagle, nocą albo dniem, paraliżując cię na miejscu, w którym stoisz. Ludzie zaczęli oglądać się za siebie. A co najgorsze, strażnicy przy bramach mówią, że nigdy nie przeszedł przez żadną z nich, ani nie wszedł, ani nie wyszedł.

Rand usilnie starał się zachować obojętny wyraz twarzy, zaciskał szczęki tak mocno, że aż go rozboleły zęby. Mat spoglądał spode łba, a Thom wbił wzrok w wino. W dzielącym ich powietrzu zawisło słowo, którego żaden z nich nie chciał wypowiedzieć. Myrddraal.

— Pewnie bym zapamiętał, gdybym kiedykolwiek spotkał kogoś takiego — powiedział po chwili Thom.

Bartim z wściekłością pokiwał głową.

— Niech szczenę, na pewno byś zapamiętał. Na prawdę Światłości! Na pewno byś zapamiętał. On... szuka tych samych ludzi, co szaleniec, tylko mówi, że jest wśród nich dziewczyna. I — zerknął z ukosa na Thoma — i siwowłosa bard.

Thom uniósł gwałtownie brwi z niekłamany, zdaniem Randa, zdziwieniem.

— Siwowłosa bard? No cóż, nie jestem bodajże jedynym bardem, który jest już w swoich latach. Zapewniam cię, że nie znam tego człowieka i że on nie ma powodu, aby mnie szukać.

— Może tak być — odparł ponuro Bartim. — Nie mówił o tym zbyt wiele, ale odniosłem wrażenie, że byłby wielce niezadowolony, gdyby ktoś starał się pomóc tym lu-

dziom albo ukrywał ich przed nim. W każdym razie powiedziałem wam to, co jemu. Nie widziałem nikogo z nich, ani też o nich nie słyszałem i taka jest prawda. Żadnego z nich — zakończył dobitnie.

Położył nagle z trzaskiem pieniądze Thoma na stół.

— Dokończcie to swoje wino i idźcie już. Zgoda? Zgoda? — I podreptał od stołu najszybciej jak potrafił, oglądając się przez ramię.

— Pomor — ledwie słyszalnie wyszeptał Mat, kiedy karczmarz już zniknął. — Trzeba się było domyślić, że będą nas tu szukać.

— I on tu wróci — powiedział Thom, pochylając się nad stołem i zniżając głos. — Powiadam, że trzeba przekraść się z powrotem do łodzi i skorzystać z propozycji kapitana Domona. Będą na nas polowali przy drodze do Caemlyn, a tymczasem my udamy się do Illian, tysiąc mil od miejsca, w którym Myrddraal nas się spodziewa.

— Nie — odparł stanowczo Rand. — Poczekamy w Białym Moście na Moiraine i pozostałych albo pojedziemy do Caemlyn. Albo jedno, albo drugie, Thom. Tak przecież postanowiliśmy.

— To szaleństwo, chłopcze. Wszystko się zmieniło. Posłuchaj mnie. Nieważne, co mówi ten karczmarz, wystarczy, że Myrddraal spojrzy tylko na niego, a wszystko opowie, łącznie z tym, co piliśmy i ile kurzu mieliśmy na butach.

Rand zadrżał, przypominając sobie bezokie spojrzenie Pomora.

— A jeśli chodzi o Caemlyn... Myślisz, że Półudzie nie wiedzą, że chcesz się dostać do Tar Valon? Najlepiej popłynąć teraz łodzią na południe.

— Nie, Thom. — Rand musiał wyduszać z siebie słowa, gdy pomyślał o tysiącu mil dzielącym ich od miejsca, w którym szukają ich Pomory, wziął jednak głęboki wdech i udało mu się zdobyć na bardziej stanowczy ton. — Nie!

— Pomyśl, chłopcze, Illian! Nie masz wspanialszego miasta na całej ziemi. I Wielkie Polowanie na Róg! Nie było Polowania na Róg od blisko czterystu lat. Cały nowy cykl opowieści czeka, by go ułożyć. Pomyśl tylko. Nigdy o niczym takim nie śniłeś. Zanim Myrddraal się domyśli, dokąd pojechałeś, będziesz już stary, siwy i tak zmęczony pilnowaniem swych wnucząt, że nie będziesz dbał o to, czy cię znajdzie.

Na twarzy Randa pojawił się upór.

— Ile razy muszę mówić nie? Znajdą nas, gdziekolwiek nie pójdziemy. W Illian też będą czekały Pomory. A jak uciekniemy przed snami? Chcę wiedzieć, co się ze mną dzieje, Thom, i dlaczego. Jadę do Tar Valon. Z Moiraine, jeśli mi się uda, bez niej, jeśli będę musiał. Sam, jeśli będę musiał. Muszę wiedzieć.

— Ale Illian, chłopcze! I bezpieczna droga w dole rzeki, podczas gdy oni będą cię szukali w innym kierunku. Krew i popioły, sen nie może cię skrzywdzić.

Rand milczał.

„Czy sen nie może skrzywdzić? Czy ciernie ze snu kłują do prawdziwej krwi?”

Nieomal żałował, że nie powiedział Thomowi o tym śnie. „Odważył się opowiedzieć komukolwiek? Ba'alzamon jest w twoich snach, ale co jest między snem a przebudzeniem? Komu odważył się powiedzieć, że sam Czarny cię dotyka?” Thom wydawał się rozumieć. Jego twarz złagodniała.

— Nawet te sny, chłopcze. To ciągle są tylko sny, nieprawdaż? Na Światłość, Mat, pogadaj z nim. Wiem, że ty przynajmniej nie chcesz jechać do Tar Valon.

Twarcz Mata poczerwieniała, częściowo z zażenowania, częściowo ze złości. Unikał wzroku Randa, a zamiast tego spojrzał spode łba na Thoma.

— Po co te całe kłótnie i zamieszanie? Chcesz wracać na łódź? To wracaj. Sami się sobą zajmijmy.

Wąskie ramiona barda zatrzęły się od bezgłośniego śmiechu, lecz mówił głosem zduszonym od gniewu.

— Myślisz, że wiesz tyle o Myrddraalu, że uciekniesz przed nim bez niczyjej pomocy, czy tak? Jesteś gotów pojechać sam do Tar Valon i oddać się w ręce Tronu Amyrlin? Czy w ogóle potrafisz odróżnić jedną Ajah od drugiej? Niech mnie Światłość spali, chłopcze, ale jeśli uważasz, że sam dojedziesz do Tar Valon, to każ mi odejść.

— Odejdź — warknął Mat, wsuwając rękę pod płaszcz. Oszołomiony Rand pojął, że chwycił sztylet z Shadar Logoth i może nawet jest gotów go użyć.

Zza drugiej strony przepierzenia dzielącego izbę rozległ się ochryply śmiech, głośno przemówił czyjś pogardliwy głos.

— Trolloki? Załóż płaszcz barda, człowieku! Upiłeś się Trolloki! Bajki z Ziem Granicznych!

Słowa ociekały gniewem niczym garniec zimną wodą. Nawet Mat obrócił się w stronę ściany, wytrzeszczając oczy.

Rand wstał, by spojrzeć ponad ścianką, po czym pochylił się z mdłym uczuciem w żołądku. Po drugiej stronie ściany siedział Floran Gelb, przy stole na tyłach sali w towarzystwie tych dwóch ludzi, którzy już tam byli wcześniej. Śmiali się z niego, ale jednocześnie słuchali. Bartim wycierał stół, nie patrząc na Gelba i dwóch mężczyzn, jednakże sam też słuchał, bez końca szorując ścierką jedną płamę i pochylając się w ich stronę tak mocno, że wydawało się, że zaraz się przewróci.

— Gelb — wyszeptał Rand i opadł z powrotem na krzesło, a pozostali stężeli.

Thom szybko obiegł wzrokiem ich część izby.

Po tamtej stronie ściany zadźwięczał głos drugiego mężczyzny.

— Nie, nie, trolloki naprawdę kiedyś żyły. Ale wszystkie zostały wybite podczas Wojen z Trollokami.

— Bajki z Ziem Granicznych! — powtórzył pierwszy mężczyzna.

— To prawda, powiadam wam — głośno zaprotestował Gelb. — Byłem w Ziemiach Granicznych. Widywałem wcześniej trolloki i to były trolloki, czego jestem pewien tak,

jak tego, że tu siedzę. Ci trzej twierdzili, że trolloki ich ścigają, ale ja wiem lepiej. Dlatego właśnie nie mogłem zostać na „Spray”. Już od jakiegoś czasu miałem podejrzenia względem Bayle’a Domona, ale ci trzej są Sprzymierzeńcami Ciemności, na pewno. Powiadam wam...

Dalszy ciąg tego, co Gelb miał do powiedzenia, zagłuszyły śmiech i grubiańskie żarty.

Kiedy, zastanawiał się Rand, karczmarz usłyszy opis „tych trzech”? O ile już nie usłyszał. Jeśli już nie zerwał się w stronę tych trzech obcych, z którymi dopiero co się spotkał. Droga do jedynej wyjścia ze wspólnej izby wiodła tuż obok stołu Gelba.

— Może z tą łodzią to nie jest taki zły pomysł — mruknął Mat, ale Thom potrząsnął głową.

— Już nie.

Bard mówił spokojnie i szybko. Wyciągnął skórzaną sakiewkę, którą dał mu kapitan Domon i pospiesznie podzielił pieniądze na trzy stosy.

— Za godzinę o całej tej historii będzie głośno w całym mieście, choćby nawet nikt nie miał w nią uwierzyć, a Półczłowiek może ją usłyszeć w każdej chwili. Domon nie wypłynie do jutra rano. W najlepszym wypadku trolloki będą go ścigały przez połowę drogi do Illian. Cóż, on zdaje się tego jakby spodziewać, ale to nam wcale w niczym nie pomoże. Nie możemy zrobić nic innego, jak tylko uciekać. I to jak najszybciej.

Mat szybko schował do kieszeni pieniądze, które Thom przesunął w jego stronę. Rand podnosił swój stosik nieco wolniej. Monety, którą ofiarowała mu Moiraine, wśród nich nie było. Domon dał im równowartość w srebrze, jednak Rand, z powodu, którego nie potrafił odgadnąć, żałował, że nie ma monety Moiraine. Schował pieniądze do kieszeni i spojrzał pytająco na barda.

— Na wypadek, gdyby nas rozdzielono — wyjaśnił Thom. — Tak się prawdopodobnie nie stanie, ale jeśli tak będzie... cóż, obydwaj dacie sobie radę sami. Dobrzy z was chłopcy. Tylko trzymajcie się z dala od Aes Sedai, jeśli wam życie miłe.

— Myślałem, że zostajesz z nami — powiedział Rand.

— Zostaję, chłopcze, zostaję. Ale oni są już blisko i Światłość tylko wie, co się stanie. Cóż, nieważne, Nie wiadomo, czy w ogóle coś się stanie.

Thom umilkł, patrząc na Mata.

— Mam nadzieję, że już ci nie przeszkadza, że zostaję z wami — stwierdził oziębło.

Mat wzruszył ramionami. Popatrzył na każdego z nich i znowu wzruszył ramionami.

— Jestem po prostu zdenerwowany. Jakoś nie potrafię sobie z tym poradzić. Za każdym razem, kiedy się zatrzymujemy, żeby odsapnąć, pojawiają się oni i polują na nas. Cały czas mam uczucie, że ktoś wlepia wzrok w tył mojej głowy. Co teraz zrobimy?

Po drugiej stronie ścianki rozległ się śmiech, zagłuszający głos Gelba, który starał się przekonać obydwu mężczyzn, że powiedział prawdę. Ile jeszcze mamy czasu, zastana-

wiał się Rand. Prędzej czy później Bartim będzie musiał skojarzyć ludzi, o których opowiedział Gelb, z ich trójką.

Thom odsunął krzesło i wstał, ale nie wyprostował się. Nikt, kto patrzyłby zwyczajnie w stronę ścianki, nie mógł go zobaczyć. Gestem dłoni nakazał im iść za sobą, szepcząc:

— Zachowujcie się jak najciszej.

Okna po drugiej stronie kominka wychodziły na jakąś aleję. Thom przyjrzał się uważnie jednemu z nich, zanim uniósł je na taką wysokość, by mogli się pod nim przecisnąć. Okno prawie nie wydało żadnego dźwięku, siedzący w odległości trzech stóp po drugiej stronie niskiej ścianki mężczyźni, spierający się i śmiejący hałaśliwie, nie mogli nic usłyszeć.

Gdy już się znaleźli w alei, Mat chciał pomaszerować prosto przed siebie, jednak Thom schwycił go za ramię.

— Nie tak szybko — powiedział. — Jeszcze nie wiemy, co robić.

Bard zasunął za sobą okno na tyle, na ile mógł to zrobić, znajdując się na zewnątrz, odwrócił się i rozejrzał po alei. Rand powiódł wzrokiem w ślad za jego oczyma. Z wyjątkiem kilku beczek na deszczówkę, stojących pod murem karczmy i następnym budynkiem, w którym mieścił się warsztat krawiecki, na pokrytej wyschlłym błotem i piachem alei było pusto.

— Czemu to robisz? — spytał Mat, podniesionym znowu tonem. — Byłbyś bezpieczniejszy, gdybyś nas zostawił. Czemu zostałeś z nami?

Thom wpatrywał się w niego przez chwilę.

— Miałem bratanka, Owyna — powiedział znużonym głosem, strząsając swój płaszcz z ramion. Nie przestając mówić, rzucił go na stos razem z derką, ostrożnie kładąc na nim swoje futerały z instrumentami. — Jedyne dziecko mojego brata, mój jedyny krewny. Wdał się w kłopoty z Aes Sedai, a ja byłem zbyt zajęty... innymi sprawami. Nie wiem, co mogłem zrobić, ale kiedy wreszcie się za to zabrałem, było za późno. Owyn zmarł kilka lat później. Można powiedzieć, że to Aes Sedai go zabiły. — Wyprostował się, nie patrząc na nich. Mówił nadal beznamiętnym tonem, jednak kiedy Rand odwrócił głowę, dostrzegł łzy w jego oczach. — Jeśli uda mi się uwolnić was od Tar Valon, to może przestanę myśleć o Owynie. Poczekajcie tutaj.

Nadal unikając ich wzroku, pospieszył do wyjścia z alei, zwalniając, kiedy był już prawie u celu. Rozejrzał się raz szybko dookoła, normalnym krokiem wyszedł na ulicę i zniknął im z oczu.

Mat uniósł się, chcąc iść w jego ślady, ale zaraz usiadł z powrotem.

— Nie zostawi tych rzeczy — powiedział, dotykając skórzanych futerałów. — Wierysz w tę opowieść?

Rand przykucnął obok beczek na deszczówkę, uzbrajając się w cierpliwość.

— Co z tobą, Mat? Przecież ty jesteś zupełnie inny. Od wielu dni nie słyszałem twojego śmiechu.

— Nie lubię, gdy na mnie polują jak na jakiegoś królika — warknął Mat.

Westchnął, a jego głowa wsparła się bezwładnie o ceglany mur karczmy. Nawet w tej pozycji wyglądał na spiętego. Toczył dookoła niespokojnym wzrokiem.

— Przepraszam. To przez to uciekanie, tych wszystkich obcych i... i w ogóle wszystko. Przez to jestem taki drażliwy. Patrzę na kogoś i zaraz się zastanawiam, czy nie powie o nas Pomorom, albo nas nie oszuka, obrabuje, albo... Na Światłość, Rand, czy ciebie to wszystko nie denerwuje?

Śmiech Randa zabrzmiał jak urywany szczek z głębi gardła.

— Za bardzo się boję, żeby się denerwować.

— Jak myślisz, co Aes Sedai zrobiły jego bratankowi?

— Nie wiem — odparł nieswoim głosem Rand. Znał tylko jeden rodzaj kłopotów z Aes Sedai, w jakie mógł wdać się człowiek. — Wydaje mi się, że nie to, co nam.

— Nie. Nie to, co nam.

Przez jakiś czas siedzieli tylko oparci o mur, nic nie mówiąc. Rand nie wiedział, jak długo trwa to wszystko. Prawdopodobnie kilka minut, ale miał wrażenie, że czekają już całą godzinę na powrót Thoma albo na chwilę, w której Bartim i Gelb otworzą okno i obwieszczą wszystkim, że oni są Sprzymierzeńcami Ciemności. W pewnej chwili na końcu alei pojawił się jakiś człowiek, wysoki mężczyzna, który miał kaptur nasunięty na głowę, a płaszcz tak ciemny jak noc na tle oświetlenia ulicy.

Rand zerwał się na nogi, chwytając rękojęść miecza Tama tak mocno, że aż go zabolowały kłykcie. Zaszło mu w ustach i przetykanie śliny nie pomagało. Mat uniósł się, wsuwając dłoń pod płaszcz.

Mężczyzna podszedł bliżej i w miarę, jak się zbliżał, Rand czuł coraz silniejszy ścisk w gardle. Mężczyzna zatrzymał się nagle i odrzucił kaptur. Kolana omal nie ugięły się pod Randem. To był Thom.

— Cóż, skoro mnie nie poznajecie — bard uśmiechnął się szeroko — to znaczy, że w takim przebraniu uda mi się przejść przez bramy.

Thom przepchnął się między nimi i zaczął przekładać rzeczy ze swojego łaciatego płaszcza do nowego, tak szybko, że Rand ledwie je odróżniał. Widział teraz, że nowy płaszcz jest ciemnobrązowy. Głęboko, urywanie wciągnął powietrze do płuc, ale nadal miał uczucie, że jego gardło zacisnęło się niczym pięść. Brązowy, nie czarny. Mat nadal trzymał rękę pod płaszczem, jakby zamierzał użyć ukrytego sztyletu.

Thom zerknął na nich przelotnie, po czym obdarzył ich ostrzejszym spojrzeniem.

— To nie pora, żeby tak się bać.

Zaczął zręcznie tworzyć tobolek ze swojego starego płaszcza i instrumentów, w taki sposób, że łatki zostały schowane w środku.

— Będziemy stąd wychodzili kolejno, w takiej odległości; żeby nie stracić się z oczu. Dzięki temu nikt nas nie powinien zapamiętać. Czy nie mógłbyś się przygarbić? — dodał w stronę Randa. — Ten twój wzrost jest jak sztandar.

Zarzucił sobie tobolek na plecy, wstał i nasunął kaptur na głowę. Zupełnie nie przypominał siwowłosego barda. Był po prostu zwykłym wędrowcem, człowiekiem zbyt biednym, by móc sobie pozwolić na konia, a tym bardziej na powóz.

— Chodźmy. Już zmarnowaliśmy za dużo czasu.

Rand zgodził się skwapliwie, ale mimo tego, wciąż bał się wyjść z alei na plac. Nikt spośród rzadkich grup ludzi, rozproszonych na placu, nie obdarzył ich niczym więcej niż tylko przelotnym spojrzeniem — większość w ogóle na nich nie patrzyła — on jednak skulił ramiona, czekając na okrzyk ostrzegający przed Sprzymierzeńcem Ciemności, który zmieni tych zwykłych mieszczan w żądny krwi motłoch. Obiegł wzrokiem otwartą przestrzeń, ludzi krzątających się wokół swych codziennych spraw, a kiedy wreszcie dostrzegł Myrddraala, zdążył już pokonać połowę placu.

Nawet nie zdążył się domyślić, skąd przyszedł Pomor, który kroczył teraz w ich stronę śmiertelnie wolno, niczym drapieźnik wpatrzony w swoją ofiarę. Ludzie pospiesznie rozstępowali się przed odzianą w czerń sylwetką, starając się na nią nie patrzeć. Plac wyludniał się w miarę, jak stwierdzali, że mają coś do zrobienia gdzie indziej.

Czarny kaptur przykuł Randa do miejsca, w którym stał. Usiłował przeniknąć tę próżnię, ale przypominało to szukanie po omacku w oparach dymu. Ukryty wzrok Pomora ciął go do kości jak nóż i przemieniał jego szpik w bryłki lodu.

— Nie patrz na jego twarz — wysyczał przez zęby Thom. Jego głos trząsł się, skrzypiał, brzmiał teraz tak, jakby każde słowo musiał z siebie wyduszać. — Niech cię Świątłość spali, nie patrz na jego twarz.

Rand oderwał wzrok — omal nie jęknął głośno, bo było to tak, jakby odrywał sobie pijawkę od twarzy — ale mimo tego, że wpatrywał się w kamienie, którymi brukowana była ulica, nadal wiedział, iż Myrddraal idzie w jego stronę, niczym kot, który bawi się z myszą, igrając z jej nędznymi próbami ucieczki, zanim zaciśnie na niej swe szczęki. Pomor pokonał już połowę odległości.

— Będziemy tak tutaj stali? — wymamrotał. — Musimy biec... uciekać.

Nadal jednak nie potrafił zmusić swych stóp do ruchu. Mat wyciągnął wreszcie drżącą dłońią swój sztylet z rubinową rękojeścią. Jego wargi rozchyliły się w grymasie strachu, obnażając zęby.

— Myślisz... — Thom urwał, by przełknąć ślinę i mówił dalej ochryłym głosem. — Myślisz, że uda ci się przed nim uciec, chłopcze? — Zaczął coś mrużyć do siebie, jednakże jedynym słowem, jakie Rand zdołał wyróżnić, było „Owyn”. Nagle warknął: — Nie trzeba było mieszać się do waszych spraw, chłopcy. Nie trzeba było.

Zrzucił z pleców swój tobolek zrobiony z płaszcza i wcisnął go w ręce Randa.

— Zaopiekujcie się tym. Kiedy powiem biegnijcie, to biegnijcie i nie zatrzymujcie się dopóty, dopóki nie znajdziecie się w Caemlyn. „Błogosławieństwo Królowej”. To karczma. Zapamiętajcie ją na wypadek... Po prostu zapamiętajcie.

SPIS TREŚCI

| | |
|----------------------------|-----|
| PROLOG GÓRA SMOKA | 4 |
| PUSTA DROGA | 10 |
| OBCY | 26 |
| HANDLARZ | 38 |
| BARD | 51 |
| ZIMOWA NOC | 65 |
| ZACHODNI LAS | 80 |
| WYJŚCIE Z LASU | 87 |
| BEZPIECZNE MIEJSCE | 100 |
| NAKAZY KOŁA | 114 |
| POŻEGNANIE | 129 |
| DROGA DO TAREN FERRY | 139 |
| PRZEPRAWA PRZEZ TAREN | 147 |
| WYBORY | 159 |
| „JELEŃ I LEW” | 175 |
| OBCY I PRZYJACIELE | 188 |
| WIEDZĄCA | 207 |
| OBSERWATORZY I MYŚLIWI | 217 |
| DROGA DO CAEMLYN | 232 |
| OCZEKIWANIE CIENIA | 244 |
| PYŁ NA WIETRZE | 260 |
| POSŁUCHAJ WIATRU | 277 |
| WYBRANA ŚCIEŻKA | 288 |
| WILCZY BRAT | 293 |
| UCIECZKA BRZEGIEM ARINELLE | 306 |
| LUD WĘDROWCÓW | 318 |
| BIAŁY MOST | 333 |